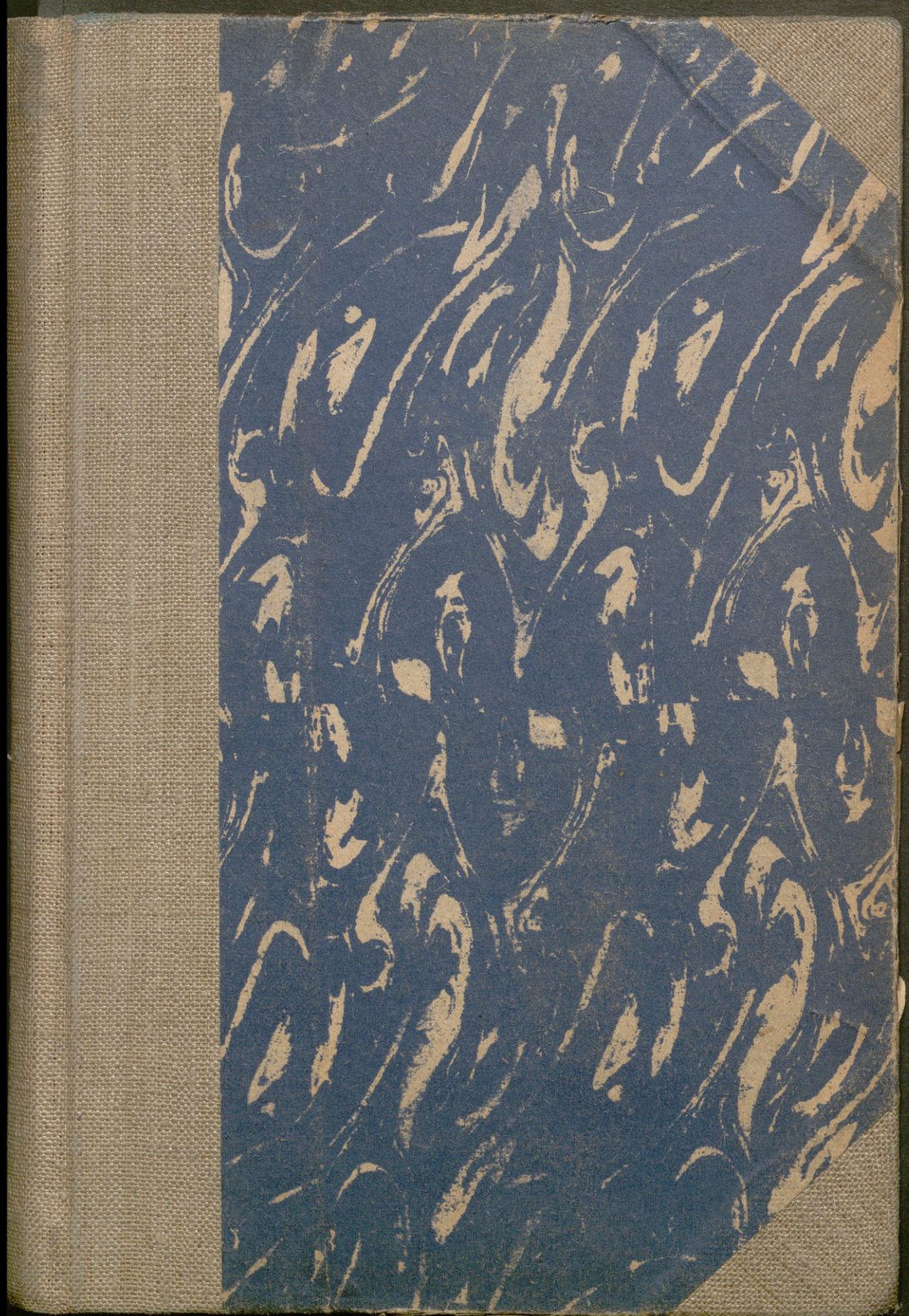
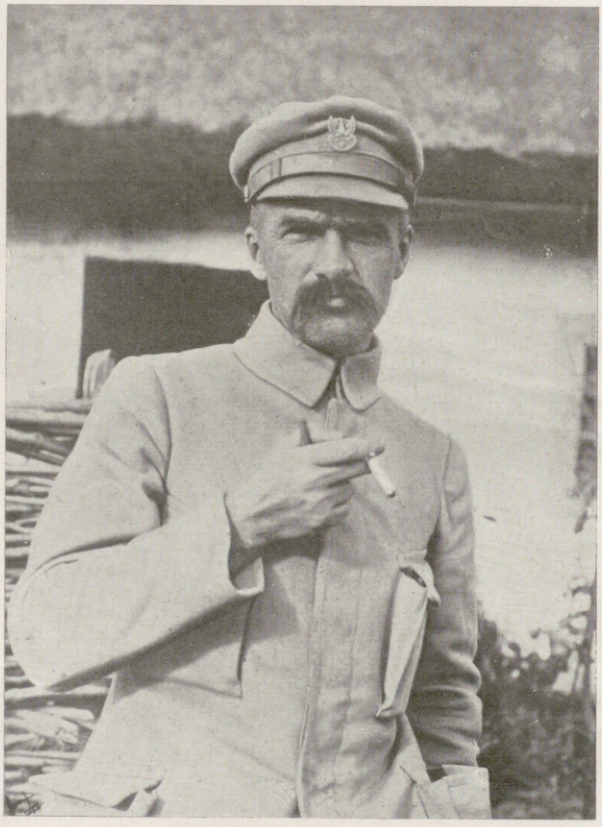


R G B WH GR BL C M Y K
Grey Scale #13
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Inches Centimetres



# PISMA ZBIOROWE



JÓZEF PIŁSUDSKI
w roku 1915

JÓZEF PIŁSUDSKI

# PISMA ZBIOROWE

WYDANIE PRAC DOTYCHCZAS DRUKIEM OGŁOSZONYCH

TOM IV

WARSZAWA 1937

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

TOM NINIEJSZY ZREDAGOWAŁ,
WSTĘPEM I PRZYPISAMI ZAOPATRZYŁ
WACŁAW LIPIŃSKI

26155/2

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ TADEUSZ GRONOWSKI
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

# WSTĘP

Wybuch wojny światowej zastaje Józefa Piłsudskiego w Krakowie w czasie przygotowań do uruchomienia Szkoły Letniej Związku Strzeleckiego w Krakowie. Zanim została zarządzona mobilizacja wojsk austriackich (31 lipca), Piłsudski wydaje pierwszy rozkaz mobilizacyjny z dn. 29 i 30 lipca, po czym 2 sierpnia wydaje rozkaz nakazujący koncentrację do Krakowa zmobilizowanych Związków Strzeleckich i Polskich Drużyn Strzeleckich, które poddały się pod jego zwierzchnictwo. Postanowiwszy wziąć czynny udział w wojnie światowej, nie chcąc dopuścić, by «na szalach, na które miecze rzucono, zabrakło polskiej szabli», formuje 3 sierpnia Kompanię Kadrową oraz wydaje rozkaz o utworzeniu Rządu Narodowego w Warszawie. Wysławszy Kompanię Kadrową w pole w dniu 6 sierpnia, w dwa dni później przekracza granicę zaboru rosyjskiego jako Komendant Główny Wojska Polskiego, rozpoczynając działania wojenne przeciwko Rosji, na czele samodzielnej siły polskiej. Pierwszy ten okres trwa do dnia 22 sierpnia, kiedy Piłsudski oddziały swoje poddaje pod zwierzchnictwo Naczelnego Komitetu Narodowego, utworzonego w Krakowie w dniu 16 sierpnia.

Utworzenie Naczelnego Komitetu Narodowego (N. K. N.) i formowanie przezeń w związku z armią austriacką Legionów Polskich, rozpoczyna drugi okres działalności Józefa Piłsudskiego w czasie wojny światowej. Sześć batalionów Piłsudskiego, stanowiące według pierwotnej organizacji kadrę Legionu Zachodniego, otrzymuje organizację pułku oznaczonego cyfrą 1.

Na czele swego oddziału przeprowadza Piłsudski działania wojenne w ramach 1-ej armii austriackiej, zajmując w dniu

12 sierpnia Kielce, skąd pod naporem przeciwnika zmuszony jest ustąpić. Po powtórnym zajęciu Kielc w dniu 21 sierpnia, co pozwala na dokończenie reorganizacji oddziału, 10 września Piłsudski opuszcza Kielce i maszeruje na południe przez Chmielnik i Stopnicę, przechodząc na prawy brzeg Wisły w rejonie Nowego Korczyna—Opatowca, gdzie w okresie 16—24. IX. prowadzi działania zaczepne na lewym brzegu Wisły. Jednocześnie z działaniami wojennymi prowadzi Piłsudski rozległą akcję polityczną, tworząc niezwiązaną z N. K. N. i Austrią Polską Organizację Narodową (P. O. N.), której zadaniem było skupienie społeczeństwa zaboru rosyjskiego pod hasłem walki z Rosją i znalezienie tam podstaw materialnych oraz rozwinięcie przez napływ ochotników istniejących już oddziałów.

Po zakończeniu działań w rejonie Nowego Korczyna, pułk Piłsudskiego przydzielony do składu I korpusu austriackiego, rozpoczyna 28. IX. marsz w kierunku na Sandomierz i Dęblin w związku z ogólną ofensywą austriacką na tym froncie. W tym czasie odkomenderowuje Piłsudski do Warszawy por. Tadeusza Żulińskiego w celu objęcia tam dowództwa nad założoną Polską Organizacją Wojskową, która ma prowadzić działania dywersyjne na tyłach wojsk rosyjskich oraz organizować społeczeństwo pod hasłem walki z Rosją o niepodległość.

Po dojściu do obszaru Dęblina, gdzie Piłsudski dowodzi bojem pod Laskami (23—26 października), rozpoczyna wraz z cofającymi się austriackimi oddziałami odwrót w kierunku Zagłębia Dąbrowskiego. Doszedłszy 8 listopada do Wolbromia, dokonywuje stamtąd słynnego przemarszu przez Ulinę Małą do Krakowa, powziąwszy decyzję prowadzenia walki na jedynie dotychczas wolnym od najazdu rosyjskiego skrawku ziemi polskiej, tj. na Podhalu. Zadyrygowawszy tam oddziały, sam udaje się na Śląsk Cieszyński, celem złączenia Polskiej Organizacji Narodowej z N. K. N., który przez wystąpienie zeń stronnictw narodowo-demokratycznych stworzył podstawę dla zbliżenia z Piłsudskim, co znajduje wyraz w konferencjach Piłsudskiego, przeprowadzonych w Wiedniu i na Śląsku oraz jego przemówieniach. Wróciwszy do oddziału 22 listopada,

w związku z działaniami austriackimi na linii Limanowa—Łapanów, dowodzi pułkiem w czasie od 23 listopada do 13 grudnia, walcząc pod Dobrą, Marcinkowicami i Limanową.

Wyjechawszy z Nowego Sącza do Wiednia dla przeprowadzenia szeregu konferencyj politycznych z kierownikami N. K. N., ostatnie dni grudnia 1914 r. przebywa na Śląsku Cieszyńskim, by stąd wrócić do oddziału, który w międzyczasie przeorganizowany na brygadę piechoty, po stoczeniu krwawego boju pod Łowczówkiem, stał w odwodzie w Lipnicy Murowanej. Uzyskawszy dla brygady dłuższy odpoczynek w Kętach, 27 lutego 1915 r. wychodzi wraz ze swym oddziałem z armii 4-ej do 1-ej, pod rozkazami której zajmuje odcinek nad Nidą na wprost Pińczowa. Od tej chwili przez szereg miesięcy nie opuszcza oddziałów, dowodząc I Brygadą nad Nidą oraz w czasie letniej ofensywy państw centralnych pod Konarami, Ożarowem, Tarłowem, Urzędowem, Radawczykiem i Jastkowem. Po krótkim pobycie w Lublinie, gdzie nawiązuje kontakt z działaczami polityczno-niepodległościowymi Królestwa, dowodzi dalej brygadą walczącą pod Ożarowem, po czym w związku z zajęciem przez Niemców stolicy Polski, 13 sierpnia wyjedża do Warszawy, aby tam udzielić instrukcyj działaczom politycznym w związku z ówczesną sytuacją wojskowo-polityczną. Treścią tych instrukcyj jest wstrzymanie wbrew Departamentowi Wojskowemu N. K. N. werbunku do Legionów, których rolę polityczną Piłsudski uważa za skończoną, nakazując przerzucenie całej energii na rozszerzenie prac Polskiej Organizacji Wojskowej jako drugiej, równoległej do Legionów siły wojskowej, będącej w całkowitej dyspozycji Piłsudskiego. Powróciwszy przez Lublin 11 września do Kowla, dokąd zostaje przerzucona I Brygada, odbywa odprawę oficerską, na której podaje do wiadomości swój pogląd na położenie polityczno-wojskowe, wytworzone po zajęciu ziem polskich przez państwa centralne.

Konsekwentnie walcząc o niezależność narodowego charakteru swego oddziału zarówno z władzami austriackimi, jak i lojalną w stosunku do nich komendą Legionów i Departamentem Wojskowym N. K. N., prowadząc rozległą akcję po-

lityczną, jednocześnie dowodzi nadal I Brygadą w ciężkich warunkach kampanii jesiennej na północnym Wołyniu. Objąwszy 20 września dowództwo grupy, złożonej z 4 i 5 pułku piechoty walczy pod Kobczami, Koszyszczami i Stowygorożem, po czym 16 grudnia odmaszerowuje do odwodu w rejon Leszniewki i Karasina, gdzie wszystkie oddziały I Brygady znajdują po ciężkiej kampanii zasłużony wypoczynek.

Wyjechawszy z Karasina w początkach marca 1916 r. na kilkutygodniowy urlop, wywołany chorobą i ciężkimi warunkami pracy na froncie, odbywa szereg konferencyj politycznych w Wiedniu, Krakowie i Lublinie, po czym wraca na front pod Kostiuchnówkę, gdzie w międzyczasie I Brygada zajmuje odcinek na linii wsi Optowa—Kostiuchnówka. W tym też czasie przeprowadza zorganizowanie t. zw. Rady Pułkowników, która występując w imieniu Legionów, wysuwa cały szereg postulatów w stosunku do Austrii, żądając m. in. tak zw. legionizacji Legionów oraz wypowiedzenia się państw centralnych w sprawie niepodległości Polski. W lipcu kieruje ciężkim bojem pod Kostiuchnówką oraz odwrotem nad Stochód, skąd 29 lipca wnosi podanie o dymisję, spowodowaną brakiem politycznych rozstrzygnięć w stosunku do sprawy polskiej przez państwa centralne. Dymisja Piłsudskiego, udzielona 26 września, daje początek pierwszemu przesileniu w Legionach. Okres tego przesilenia spędza Piłsudski w Krakowie i Zakopanem, biorąc udział w szeregu konferencyj politycznych. Tam zastaje go ogłoszenie przez państwa centralne aktu 5 listopada, deklarującego niepodległość Królestwa Polskiego. Ogłoszenie aktu 5 listopada stanowi zamknięcie drugiego okresu działalności Józefa Piłsudskiego w czasie wojny światowej, wypełnionego pracą, rozwijaną nad konsolidacją Legionów, nad wywalczeniem politycznej i organizacyjnej ich samodzielności oraz działalnością polityczną, idącą w kierunku zorganizowania społeczeństwa pod hasłem budowy niepodległego Państwa Polskiego.

Po akcie 5 listopada Piłsudski, stając na pozytywnym stanowisku w stosunku do państw centralnych i podejmując próbę współpracy przy zamierzonej budowie wojska polskiego

i organizacji państwowości polskiej, 15 grudnia przyjeżdża do Warszawy, obejmując kierownictwo Komisji Wojskowej w powołanej przez państwa centralne Tymczasowej Radzie Stanu. Okres ten jest trzecim z kolei okresem jego działalności, w którym kierując bezpośrednio obozem niepodległościowym, nie dopuszcza Niemców do zrealizowania ich prób, godzących w polskość i samodzielność mającego się formować wojska. Okres ten, charakterystyczny przez jego nieustępliwe stanowisko wobec Niemców w sprawie budowy wojska polskiego i realizowania ogłoszonej przez akt 5 listopada państwowości, zakończony zostaje w dniu 22 lipca 1917 r., kiedy Piłsudski po wystąpieniu z Tymczasowej Rady Stanu zostaje aresztowany i wywieziony do Niemiec.

Pobyt Piłsudskiego w więzieniach niemieckich (Poznań, Gdańsk, Szpandawa, Magdeburg) stanowi okres czwarty, zakończony w dniu 10 listopada przyjazdem jego do Warszawy i objęciem najwyższej władzy wojskowej i cywilnej w niepodległym Państwie Polskim.

Niezmiernie czynna rola Piłsudskiego w czasie wojny światowej jako dowódcy walczącego na froncie oddziału, jako polityka mobilizującego siły narodu do walki o jego niepozbywalne prawa, jako męża stanu, decydującego o zasadniczych kierunkach polskiej działalności politycznej, nie znajduje pełnego odbicia w tych pracach pisarskich i wypowiedziach, jakie ogłoszone zostały w tomie niniejszym. Wielka ich ilość znajduje się dotychczas w rękopisach, jednak już to tylko, co zostało w tomie niniejszym opublikowane, rzuca wymowne światło na tę rozległą i bogatą twórczość, jaka charakteryzuje Piłsudskiego w okresie jego działalności w latach wojny światowej.

* *
*

W t. IV «Pism Zbiorowych» zamieszczone zostały wszystkie prace pisarskie, przemówienia i wypowiedzi Piłsudskiego, które stanowiły treść t. IV «Pism — Mów — Rozkazów» oraz te z «Tomu Dodatkowego», które należą do okresu wojny świa-

towej. Ponadto włączone zostały: raport do gen. Baczyńskiego, raport o marszu na Ulinę Małą, raport z boju pod Rdziostowem i Marcinkowicami, przemówienie w Nawsiu, wspomnienie o kpt. Milce, telegram do Prezydenta m. Lwowa Neumanna, list do Prezesa Wydziału Narodowego w Lublinie oraz list do Komitetu Obrony Narodowej. Nie włączono natomiast szeregu krótkich meldunków wojskowych, opublikowanych w «Materjałach do historji artylerji Legjonów Polskich» opracowanych przez Maksymiliana Landaua (Warszawa 1934) oraz kilka wypowiedzeń drukowanych w «Wiadomościach Polskich» jako niekontrolowanych i nie oddających wiernie tekstu.

*Wacław Lipiński*

## *PRZEMÓWIENIE DO ZŁĄCZONYCH W KOMPANIĘ KADROWĄ ODDZIAŁÓW ZWIĄZKÓW I DRUŻYN STRZELECKICH 3 SIERPNIA 1914 R. w «OLEANDRACH» W KRAKOWIE*

*Powziąwszy decyzję rozpoczęcia walki zbrojnej z Rosją, Józef Piłsudski po zarządzeniu mobilizacji Związków i Drużyn Strzeleckich — sformował w dniu 3 sierpnia 1914 r. kompanię piechoty, która pierwsza miała przekroczyć granice Królestwa Kongresowego i rozpocząć działania wojenne.*

*Sformowanie tej kompanii, nazwanej «Kadrową», nastąpiło na placu powystawowym na Błoniach krakowskich, t. zw. «Oleandrach». W skład kompanii, liczącej 144 ludzi, weszli uczniowie oficerskich szkół Związków i Drużyn Strzeleckich, dowództwo kompanii otrzymał Tadeusz Kasprzycki (ob. Zbigniew).*

*Przemówienie Piłsudskiego, wygłoszone w późnych godzinach popołudniowych w dniu 3 sierpnia — zrekonstruował i opublikował po raz pierwszy Wacław Sieroszewski w pracy p. t. «Józef Piłsudski», wydanej w 1915 r. w Piotrkowie, na której oparty został tekst poniższy.*

Odtąd nie ma ani Strzelców, ani Drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd orzeł biały. Dopóki jednak nowy znaczek nie zostanie wam rozdany, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą wasze dawne oznaki, jako symbol zupełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech Strzelcy przypną do czapek blachy [1]) Drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce może pójdziecie na pola bitew, gdzie, mam nadzieję, zniknie najlżejszy nawet cień różnicy między wami.

* * *

[1]) Członkowie Związków Strzeleckich nosili na czapkach orła tzw. strzeleckiego, natomiast członkowie Polskich Drużyn Strzeleckich owalną blachę, z wytłoczonym na niej orzełkiem i napisem «Polska Drużyna Strzelecka w N. N.». Józef Piłsudski zamienił swego orzełka z dowódcą oddziału P. Dr. Strzeleckich Stanisławem Burhardt-Bukackim.

Żołnierze!... Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru [1]), jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było... Patrzę na was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanię.

---

## *ODEZWA NA WKROCZENIE WOJSK POLSKICH DO KRÓLESTWA KONGRESOWEGO*

*Odezwa Józefa Piłsudskiego na wkroczenie oddziałów wojsk polskich do Królestwa Kongresowego wydana została w dn. 12. VIII. 1914 r. i opublikowana w Krakowie jako druk ulotny z datą 10. VIII. Ponad tekstem, podpisanym przez Komendanta Głównego Wojsk Polskich, znajduje się na powyższym druku odezwa Rządu Narodowego, ponadto odezwa Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Tekst odezwy Rządu Narodowego brzmiał:*

*«Polacy! W Warszawie utworzył się Rząd Narodowy [2]). Obowiązkiem wszystkich Polaków jest skupić się solidarnie pod jego władzą. Komendantem polskich sił wojskowych mianowany został obywatel Józef Piłsudski, którego rozporządzeniom wszyscy ulegać winni.*

*Warszawa, 3 sierpnia 1914. Rząd Narodowy».*

*Tekst odezwy napisał Leon Wasilewski.*

Wybiła godzina rozstrzygająca! Polska przestała być niewolnicą i sama chce stanowić o swoim losie, sama chce budować swą przyszłość, rzucając na szalę wypadków własną siłę

---

[1]) Kompania «Kadrowa» przekroczyła granicę o świcie dn. 6 sierpnia.

[2]) Decyzja powstania Rządu Narodowego w Warszawie, do którego utworzenia nie doszło, polegała na zamiarze uniezależnienia się od stronnictw politycznych galicyjskich i przeniesienia ośrodka politycznego do Królestwa Kongresowego, co umożliwiałoby jednoczesne uniezależnienie się od Austrii.

orężną. Kadry armii polskiej wkroczyły na ziemię Królestwa Polskiego, zajmując ją na rzecz jej właściwego, istotnego, jedynego gospodarza — Ludu Polskiego, który ją swą krwawicą użyźnił i wzbogacił. Zajmuję ją w imieniu Władzy Naczelnej Rządu Narodowego. Niesiemy całemu Narodowi rozkucie kajdan, poszczególnym zaś jego warstwom warunki normalnego rozwoju.

Z dniem dzisiejszym cały Naród skupić się winien w jednym obozie pod kierownictwem Rządu Narodowego. Poza tym obozem zostaną tylko zdrajcy, dla których potrafimy być bezwzględni.

Komendant Główny Wojska Polskiego
Józef Piłsudski.

---

## *ROZKAZ O POWSTANIU NACZELNEGO KOMITETU NARODOWEGO I LEGIONÓW*

*Naczelny Komitet Narodowy (N. K. N.), o którego powstaniu zawiadamia w poniższym rozkazie Józef Piłsudski swoich żołnierzy, powstał w dn. 16 sierpnia, w rezultacie obrad Sejmowego Koła Polskiego, złożonego z posłów polskich do Sejmu galicyjskiego i Parlamentu austriackiego.*

*Utworzenie Naczelnego Komitetu Narodowego i powzięcie przezeń uchwały formowania Legionów Polskich, zostało spowodowane niedostatecznym poparciem zbrojnego wystąpienia Piłsudskiego przez ludność Królestwa i nadzieją polityków galicyjskich na korzystne rozwiązanie sprawy polskiej przez Austrię. Jakkolwiek dla naczelnej idei Józefa Piłsudskiego wykładnia polityczna Naczelnego Komitetu Narodowego staje się ciężkim kompromisem, kończącym okres samodzielności politycznej i wojskowej — Piłsudski, wobec trudności, w jakich się znalazł, przyjmuje opiekę N. K. N. i oddaje swoje oddziały na kadrę Legionów Polskich. W rezultacie tej decyzji wydaje rozkaz poniższy, który wedle wytycznych Piłsudskiego zredagował Kazimierz Sosnkowski.*

Kielce, 22 sierpnia 1914.

Żołnierze!

Wśród powszechnej bierności naszego społeczeństwa wypadki dziejowe zaskoczyły Polaków, zostawiając ich bez określonych decyzyj, bez możliwości jednolitego i silnego postępowania.

Koniecznem było, by najśmielsi i najenergiczniejsi wzięli

na swoje barki odpowiedzialność, inicjatywę rzucenia iskry na proch.

Tę iskrę rzuciliście, dając przykład innym, jako przodownicy walki narodu polskiego o niepodległość ojczyzny.

Wystąpiliśmy jako garstka, w Kielcach [1]) i pod Brzegami [2]) wstrzymaliśmy przemoc odwiecznego wroga, zasłaniając sobą to, co już było wolne od stopy najeźdźcy. Obecnie naród budzić się zaczyna i nie chce nas zostawić samotnymi, tak, jak byliśmy dotychczas.

W Krakowie zawiązał się Naczelny Komitet Narodowy ze wszystkich stronnictw polskich, który za zgodą austro-węgierskiej monarchii ma wystawić Legiony Polskie dla walki z Rosją. Po porozumieniu się z tajnym Rządem Narodowym w Warszawie, zgłosiłem w swoim i waszym imieniu przystąpienie do organizacji szerszej, zapewniającej wojsku polskiemu większe środki i silniejsze działanie.

Według umowy, zawartej między Naczelnym Komitetem Narodowym a dowódcą naczelnej armii austriackiej, oddziały nasze mają być kadrami dla formujących się Legionów.

Dziękuję wszystkim szarżom i żołnierzom za trudy i prace, dotąd uczynione, i chcę wierzyć, że zapał i dyscyplina wojskowa, które dotąd wykazujecie, będą dostateczną siłą, by przyszłe Legiony natchnąć pewnością zwycięstwa.

Z wiarą taką oddział nasz zejdzie na czas pewien z przednich wysuniętych linij bojowych, by dopełnić swej misji organizatorskiej.

Szef sztabu generalnego: Kazimierz Sosnkowski.

Komendant główny: Józef Piłsudski.

---

## *RAPORT DO KOMENDANTA LEGIONÓW GEN. BACZYŃSKIEGO*

*Wyjątek z raportu Józefa Piłsudskiego do gen. Baczyńskiego [3]) po raz pierwszy został wydrukowany w pracy*

---

[1]) Kielce zajęte zostały przez oddziały Piłsudskiego w dn. 12 sierpnia, które tegoż dnia stoczyły pomyślną dla siebie utarczkę z Rosjanami.

[2]) Po opuszczeniu w dniu 13. VIII. Kielc, w dniu 14. VIII. Piłsudski przeprowadza szereg utarczek z oddziałami 14 dywizji kawalerii rosyjskiej gen. Nowikowa nad Nidą, na linii Brzegi—Mosty.

[3]) Rajmund Baczyński (1857—1929), gen. austr. Od 20. VIII. 1914 do 25. IX. 1914 komendant Legionów Polskich. W dniu 26. IX. komendę Leg. Pol. obejmuje gen. Karol Trzaska-Durski.

*Józefa M. Musiałka p. t. «Rok 1914. Przyczynek do dziejów Brygady Józefa Piłsudskiego». Kraków 1914 na str. 71. Drukowany wyjątek zaczyna się od słów: «Stan moralny podwładnego mi oddziału...», a kończy się na słowach: «zwłaszcza po nocach chłodami». Kopia maszynowa tego raportu znajduje się w Archiwum Wojskowym w aktach I Brygady L. P. teka 2. W całości raport poniższy wydrukowany został przez Wacława Lipińskiego w «Polsce Zbrojnej» z dn. 12. V. 1937.*

Do J. E. Generała Baczyńskiego K-ta I Legionu Polskiego
w Krakowie

Kielce, 9/IX 1914.

1) Rezultat wywiadów z dn. 7 b. m. został przesłany przeze mnie dzisiaj przed poł. kpt. Zagórskiemu [1]).

Stan rzeczy w ciągu dn. 8 b. m. pozostał bez zmiany: patrole konnicy rosyjskiej dookoła Kielc we wszystkich kierunkach jednak najwidoczniej o funkcjach i zadaniach biernych przesłaniających, związanych z przesunięciami wojsk i bitwami na linii Sienno-Tarłów.

Na zachodzie zaczepne działanie kozackie na linię kolejową Częstochowa-Kielce. Tor kolejowy na linii powyższej w pewnych miejscach zerwany. Osłona niemiecka ściągnięta.

2) Garnizon niemiecki konsystuje jeszcze w Kielcach. Wczoraj oświadczył mi jednak podpułkownik Roos, że liczy się z możliwością ewakuacji Kielc w każdej chwili.

3) Zarządziłem ewakuację naszych ciężej chorych, w liczbie 64 do Jędrzejowa. Wobec tego jednak, iż Jędrzejów prawie w równej mierze jak Kielce jest eksponowany, pragnąłbym przesunąć ich głębiej w tył, ewentualnie do Krakowa. Proszę Generała o interwencję w sprawie powyższej, ponieważ zarówno Komenda twierdzy jak i Komenda linii kolejowej Olkusz-Kielce, czynią trudności i chorych naszych przyjmować nie chcą. Potrzebnym jest jeden wagon do przewozu chorych na przestrzeni Kielce-Słomniki, oraz punkt ewakuacyjny w pobliżu Krakowa, o ile przepełnienie szpitalów krakowskich i przepisy sanitarne twierdzy na przywóz chorych do Krakowa nie zezwolą. Oprócz czterech tyfoidalnych, ogół ewakuowanych stanowią prawie wyłącznie desynterycy.

4) Stan moralny podwładnego mi oddziału doskonały, stan fizyczny bardzo zły z powodu znanej Generałowi nędzy wyekwipowania. Od czasu wizytacji Pańskiej, Generale, nie wyszedł ani jeden transport z Krakowa, stan rzeczy uległ ra-

[1]) Kpt. Włodzimierz Zagórski, oficer wywiadowczy austr. Sztabu Generalnego, szef sztabu Komendy Legionów.

czej zmianie na gorsze, albowiem opierając się na poczynionych zapowiedziach i obietnicach powstrzymaliśmy pracę, zaimprowizowanych tu przez nas warsztatów, które choć surogatywnie i prowizorycznie i w bardzo skromnym zakresie, ratowały oddział kielecki od zupełnego odarcia się z odzieży i butów.

Czuję się w obowiązku zakomunikować Generałowi, iż jeśli podobny stan potrwa nieco dłużej, oddział kielecki przestanie istnieć, zwalony nie przez bagnet i kulę wroga, lecz przez nędzę i choroby. Już obecnie dzienny raport sanitarny wykazuje przeciętnie do dwustu przypadków przeziębień i chorób piersiowych spowodowanych brakiem ciepłej odzieży i panującymi zwłaszcza po nocach chłodami.

5) Polecam Generałowi do szczególnego uwzględnienia zły stan naszej kawalerii, która bez siodeł, uprzęży, w cienkich letnich mundurach znieść musi ciężką i wyczerpującą służbę i bić się z podjazdami rosyjskimi prawie bez broni, gdyż karabiny Kropatschka [1]), którymi jazda nasza rozporządza, jak niejednokrotnie przekonaliśmy się, nie zbijają ładunków.

Wiadomo nam, iż na potrzeby szwadronu formującego się w Krakowie wypłacono 50.000 koron. Szwadron kielecki nie otrzymał dotychczas nic, prócz słów ostrego potępienia, zastosowane środki rekwizycji, bez których przecież w podobnych warunkach nie mógłby ani powstać ani istnieć, ani pełnić ciężkiej i wyczerpującej służby na trzy fronty w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, koniecznej obecnie pod Kielcami.

6) C. K. Wojska austriackie konsystujące w Kielcach usuwają się stale od wszelkiego kontaktu ze mną. O ile ze strony załogi niemieckiej, jestem stale kilka razy w ciągu dnia z żołnierską lojalnością informowany, przy czym odwrotnie sam znajduje się względem niej w stosunku ciągłej łączności, ze strony austriackiej wbrew zasadom wojennego współdziałania i łączności, nie jestem orientowany najzupełniej; pozostawiony jestem sam sobie i muszę przez własną agenturę i przez patrole piesze wysyłane wbrew wszelkim prawidłom taktyki na kilkunastu kilometrach odległości od Kielc oświetlać położenie dookoła.

Proszę Generała o rychłe uregulowanie powyższej sytuacji, gdyż w warunkach podobnych nie mogę odpowiadać za komplikacje możliwe i przykre w następstwach, zwłaszcza w razie ataku rosyjskiego na Kielce.

---

[1]) Karabiny systemu Kropatschka.

Jedynie na tle podobnego systemu zaistnieć mogą wypadki ostrzeliwania naszych oficerów przez placówki austriackie, co zdarzyło się tutaj przed paroma dniami.

7) Proszę o zarządzenie wysłania 10.000 ład. Mannlichera do Kielc. 40.000 ład. Werndla do Jędrzejowa.

Powtarzam raz jeszcze, iż Jędrzejów jest bardzo eksponowany. Dziś w nocy miała tam nawet miejsce potyczka.

8) Żądane paszporty załączam.

Komendant pułku.

---

## *ROZKAZ PO BITWIE POD LASKAMI*

*W październiku, w związku z ogólną ofensywą austriacko-niemiecką, podjętą w kierunku na Dęblin i Warszawę, oddział Piłsudskiego, składający się z 6 batalionów piechoty i szwadronu kawalerii, walczy poszczególnymi batalionami w kilku punktach posuwającego się naprzód frontu. W walkach pod Laskami na przedpolu Dęblina, w dn. 23—26. X. trzy bataliony dostają się po raz pierwszy pod bardzo silne działanie fortecznej artylerii rosyjskiej, co żołnierze Piłsudskiego znoszą bardzo dobrze, trzymając się wytrwale na zajętych pozycjach. W boju pod Laskami odznaczył się szczególnie batalion I (mjr. Żymierskiego) i III (mjr. Rydza-Śmigłego).*

*Przytoczony poniżej rozkaz opublikowany został po raz pierwszy w pracy gen. Tadeusza Kasprzyckiego «Kartki z dziennika oficera I Brygady», Warszawa 1934.*

Brzechów, 1. IX. 1914.

Żołnierze!

Dawno już, bo prawie wiek temu, żołnierz polski brał udział w wielkich bojach, stanowiących o losach państw i narodów. Od r. 1831 tylko w drobnych utarczkach i małych bitwach krew przelewał żołnierz polski, walczący pod swoim polskim sztandarem. I wszędzie powszechnym stało się zdanie, że żołnierz ochotniczy, nie przeprowadzony przez szkołę regularnego wojska, nie nadaje się wcale do kapitalnych rozpraw orężnych, że mu twarz zblednie i serce zadrży przy wściekłej muzyce wojennej podczas wielkich bitew.

Wam, żołnierze, przypadło w udziale odnowić tradycję dawnych walk i stanąć znowu w wielkich bojach historycznego znaczenia, by reprezentować oręż polski. Wyznam, że bałem się. Nie o Was drżałem wtedy, gdym rzucił Was w bazę

ognia nowoczesnej artylerii, lecz o nasz honor wojskowy, o dobre imię i sławę naszą.

Dziękuję I i III batalionom w imieniu sprawy, której wszyscy służymy, za ten dzień chwały. Z dumą patrzyłem na spokój i pewność siebie, z którymi oba bataliony poszły w ogień. Wreszcie potem i inne bataliony wytrzymały dnie próby w boju pod Laskami. Ostatni zeszliście z pozycyj, gdy nadeszła ciężka godzina opuszczenia jej nie z Waszej winy. Honor naszego żołnierza został uszanowany nawet przez tych, którzy dotąd z głębokim niedowierzaniem i nieufnością patrzyli na nasze usiłowania. Ponieśliśmy duże ofiary, lecz te sowicie sprawie się opłacą.

Teraz, żołnierze, przychodzą inne terminy i nowe boje. Musimy dla siebie samych zdobyć dowód, że stać nas nie na jeden tylko wysiłek woli i serca. Musimy dowieść, że w stałej pracy żołnierskiej możemy być starymi wiarusami, choć nie szkolił nas kułak kaprala i połajanka feldfebla. Chcę wierzyć, żeście się nie spalili duchowo w jednej chwili i że wytrzymacie z podniesionym czołem długą próbę wojny. Przeciwko Wam idzie teraz gwardia moskiewska, czyż gwardia polska okaże się niższą i gorszą od niej?

Do boju więc! I niech bój pod Górnem [1]), który teraz stoczycie, będzie nowym listkiem wawrzynu na czołach Polaków, w imię Polski walczących.

Józef Piłsudski.
Komendant.

---

## *RAPORT Z MARSZU NA ULINĘ MAŁĄ*

*Raport z marszu na Ulinę Małą, napisany został przez Józefa Piłsudskiego w Krakowie w dniu 12. XI. 1914 r. i odesłany do Komendy Twierdzy krakowskiej. Odpis z oryginału znajduje się w archiwum Wojskowego Biura Historycznego, teka nr 2164. Po raz pierwszy raport poniższy opublikowany został przez Wacława Lipińskiego w «Polsce Zbrojnej» z dn. 12. V. 1937.*

---

[1]) Wobec niepowodzenia ofensywy austriacko-niemieckiej na Dęblin i Warszawę, pod koniec października rozpoczął się ogólny odwrót, w którym bierze udział oddział Piłsudskiego. Pierwsza próba powstrzymania odwrotu spod Dęblina zarządzona zostaje na linii Kielce—Sandomierz. Oddział Piłsudskiego zatrzymuje się na odcinku Brzechów—Górne, gdzie ma powstrzymać nieprzyjaciela. Do walk jednak nie dochodzi, wobec zarządzenia dalszego odwrotu.

*Słynny marsz Piłsudskiego na Ulinę Małą został szczegółowo przezeń opisany w «Moich pierwszych bojach» w rozdziale «Ulina Mała», znajdującym się w tomie niniejszym.*

Komenda 1 p. Legionu Polskiego.

RAPORT

z wywiadu oddziału detaszowanego 1 p. Leg. Pol., wysłanego pod komendą Józefa Piłsudskiego przez 46 dyw. piech. obr. krajowej.

Otrzymałem rozkaz, aby nad odcinku Żarnowiec-Miechów z posuwającym się naprzód nieprzyjacielem nawiązać czucie. 9/IX 1914 r. maszerowałem z 2 batalionami [1]) piechoty i 2 szwadronami [2]) na Strzegowę [3]), skąd wysłałem konno patrole w kierunku na Miechów, Żarnowiec i Tczycę. Z kierunku Miechów Stacja i Tczyce otrzymałem wkrótce meldunki, że w Żarnowcu kwateruje silniejszy oddział kawalerii przygotowujący chleb dla mającej nadejść piechoty. Aby rozpoznać jakie się tam znajdują oddziały podsunąłem do Poręby Wielkiej piechotę, by podtrzymać kawalerię, ażeby ewentualnie przez atak nocny otrzymać wiarygodne wiadomości. W międzyczasie z dokumentów znajdujących się u dwóch poległych kozaków dowiedziałem się, że na tym froncie (od Stacji Miechów na południe) działa jako awangarda korpusu 1 syberyjski pułk kozacki. Wymienione wyżej dokumenty natychmiast przesłałem do 46 dywizji.

Według wiadomości uzyskanych od miejscowej ludności nieprzyjaciel znajduje się również pod Miechowem (miasto). Dlatego postanowiłem tego samego wieczoru odmaszerować w kierunku płn.-wsch. aby następnego dnia rano silny oddział piechoty wystawić na płd.-wsch. od Miechowa, równocześnie zaś rozpoznać przez kawalerię kierunek frontu i ewentualnie również i zaplecze nieprzyjaciela.

O 10 wieczorem posuwając się po b. złej drodze, osiągnąłem Wolbrom, skąd odszedł ostatni meldunek do 46 dyw., ponieważ następnego dnia rano już przekroczyłem drogi zajęte przez nieprzyjaciela.

Chciałem manewrować na Czaple Małe; jednak ponieważ miejscowość ta leży na ważnej linii komunikacyjnej (Miechów-Skała) i ponieważ w czasie marszu patrole meldowały,

[1]) Winno być z 3 batalionami. W marszu na Ulinę Małą wzięły udział bataliony: I, III i V.

[2]) Winno być z 1 szwadronem.

[3]) W kopii z oryginału napis błędny: Strzegaj.

że w tej miejscowości i w pobliżu znajdują się silne oddziały nieprzyjaciela — postanowiłem zająć Ulinę Małą, leżącą na uboczu, gdzie znalazłem dobry punkt oparcia dla dobrego rozpoznania. Według wiadomości uzyskanych od ludności i na podstawie meldunków moich patroli, kozacy byli tylko w Miechowie; oddziały ich zajęte były naprawą mostu na głównej drodze Miechów—Wolbrom; równocześnie tego samego dnia patrole nieprzyjacielskie podeszły pod Wolbrom. Ruchliwą straż przednią nieprzyjaciela zauważono na drodze od Czaple Wielkie przez Czaple Małe, Wysocice, Ściborzyce do Iwanowic. Posuwały się tutaj oddziały kawaleryjskie, karabiny maszynowe i artyleria. Najbliższą miejscowością obsadzoną przez nieprzyjaciela były Czaple Małe, skąd już po południu zostałem rozpoznany. Ustaliłem, że oddziały te należą do korpusu kaukaskiego. W tym położeniu nie byłem w stanie przesłać żadnego meldunku, gdyż każdy goniec przychwycony by został przez nieprzyjaciela. Po południu zaatakowała mnie jedna sotnia kozacka z kierunku Wolbromia. Natarcie zostało z łatwością odparte. Ponieważ bezwątpienia zostałem odkryty, wysłałem patrole kawaleryjskie w kierunku na Czaple Małe, Wiktorkę i Wysocicę. Przyszło do małej potyczki z kawalerią nieprzyjacielską. Na drodze do Władysławowa pochwycono nawet 2 wozy z taboru nieprzyjacielskiego załadowane sucharami, owsem i mąką. Z zapadnięciem ciemności można było zauważyć ruch wsteczny nieprzyjaciela na drodze Wysocice—Wiktorka—Czaple Małe. Przez miejscowości te przechodziły oddziały artylerii jak również oddziały kozackie, przedtem odparte. Wobec powyższego skierowałem do Czapel Małych pluton kawalerii, który tam pozostał na północ od Uliny Małej. Ponieważ na północ od Uliny Małej działała większa ilość patroli nieprzyjacielskiej kawalerii, osądziłem że w kierunku płn.-zach. wszystkie drogi są zajęte; wobec powyższego postanowiłem nocnym marszem prześlizgnąć się do Krakowa, wzdłuż szosy Miechów-Kraków (mniej więcej na Słomniki) aby w ciągu drogi od ludności miejscowej otrzymać wiadomość o nieprzyjacielu. Tuż przed odmarszem pluton mojej kawalerii został wyparty z Czapel Małych przez przeważającą kawalerię nieprzyjaciela (3 szwadrony). Przynależności tych oddziałów ustalić nie zdołano.

O 9 m. 30 moja kolumna wymaszerowała, zostawiłem w Ulinie Małej 5 kucheń polowych, aby w ciągu nocy móc manewrować wskróś przez pola. Droga prowadziła przez Wiktorkę, gdzie na skrzyżowaniu dróg odrzuciłem silniejszy patrol nieprzyjacielski. Później się okazało, że ruch z Czapel Ma-

łych do Iwanowic i Wysocic do Czapel Wielkich prowadzony był przez oddziały kozackie, posiadające towarzyszącą artylerię. Przy tej sposobności można było wywnioskować z podsłuchanych rozmów kozackich, że wskutek ukazania się naszego oddziału w tych stronach, większe siły kawalerii zostały przesunięte z Miechowa w kierunku na Czaple Małe, Wiktorka i Wysocice. (Do Wiktorki miało przyjść 3 sotnie kozackie z artylerią). Z Władysławowa maszerowałem dalej, unikając dróg i osiedli. Maszerując w ten sposób, przed świtem przeciąłem drogę Słomniki-Skała, na której, według wiadomości od chłopów, odbywał się ruch większych oddziałów nieprzyjaciela (kozacy i artyleria polowa posuwała się w kierunku na Skałę). Nieco na północ od Widomej kolumna moja przecięła główną szosę Kraków—Słomniki i w pobliżu tego miejsca w lesie przy m. Zalesie zatrzymałem się dla odpoczynku. Stąd o 7 rano poszły na Kraków patrole kawalerii, które niedaleko od Michałowic natknęły się na patrole kawalerii i spędziły je w walce spieszonej. Pochwycone zostały przez moją kawalerię: koń z siodłem i z rzędem i jeden jeniec, należący do finlandzkiego pułku gwardii. Niedoszłe oddziały pochwyciły resztę tego patrolu z wyjątkiem jednego jeźdźca (został wzięty jeden st. podoficer). Cały patrol należał do oddziału wywiadowczego wymienionego pułku. Według zgodnych zeznań, pułk ich stoi w pobliżu Słomnik jako przednia straż korpusu gwardii, posuwającego się na Kraków. Oprócz tego zostali pochwyceni 3 maruderzy należący do 207 i 208 pułków piechoty (III kaukaski korpus) i do 1 p. piech. 75 dyw. rezerw., którzy szukali swoich oddziałów. Ostatni zeznał, że jego dywizja odmaszerowała na wschód od Słomnik. Wszystkie wymienione pułki walczyły pod Dęblinem i wszystkie miały znaczne straty (Finladzki pułk Gwardii 1.000 ludzi). Jedynie gwardia otrzymała uzupełnienie, tak, że posiada pełny stan. Pozostałe pułki są zdekompletowane, szczególnie wśród korpusu oficerskiego. Na całej drodze widać było z prawa i lewa od szosy przejeżdżających pojedyńczych jeźdźców, jednak nie można było ich ścigać z powodu niezwykłego zmęczenia ludzi. W czasie całej mojej akcji wywiadowczej straciłem 4 ludzi (2 z piechoty i 2 z kawalerii); zmuszony zostałem jak meldowałem pozostawić 5 kuchni polowych w Ulinie Małej. Proszę ten meldunek odesłać do 46 dyw. obr. kraj., która mnie odkomenderowała.

Kraków, 12 listopada 1914.

Komendant pułku
(—) Józef Piłsudski m. p.

# *RAPORT Z BOJU POD RDZIOSTOWEM I MARCINKOWICAMI*

*Raport Józefa Piłsudskiego z boju pod Rdziostowem i Marcinkowicami opublikowany został po raz pierwszy przez Maksymiliana Landaua w pracy p. t. «Materiały do historii artylerii Legionów Polskich». Cz. II. Warszawa 1934. Odpis z niemieckiego oryginału znajduje się w archiwum Wojsk. Biura Historycznego, w aktach 1 p. piech. Legionów. Boje oddziału Piłsudskiego, stoczone w pierwszej połowie grudnia 1914 r. na Podhalu, zostały przezeń opisane w «Moich pierwszych bojach» w rozdziale «Limanowa—Marcinkowice», znajdującym się w tomie niniejszym.*

Pisarzowa, Plebania, 6 grudnia 1914. 8,07.

Generał-major hr Bissingen[1]) w Kaninie.

W myśl otrzymanego rozkazu, do przekroczenia linii Dunajca w celu zagrożenia skrzydła nieprzyjaciela obsadziłem Marcinkowice tuż przy Dunajcu kawalerią wczoraj o godz. 1. Piechota i artyleria nadeszła i musiała okrążać, by nie być ostrzelaną przez artylerię nieprzyjacielską. Gdy z gros moich sił doszedłem do Klęczan, otrzymałem od mojej kawalerii i jednego patrolu honwedów meldunki, które mi przedstawiły następujący obraz: nieprzyjaciel ma silnie obsadzone okopy wzdłuż linii kolejowej przy Chełmcu. Patrole boczne były przy wzgórzu 368. Okopy przy wzgórzu Kurów 405 były opróżnione.

W myśl meldunków mieszkańców mieli Moskale opuścić Nowy Sącz, gdzie mieli duże zapasy środków żywności, owsa i siana. Wskutek tego zdecydowałem się jeszcze w nocy nacisnąć na Nowy Sącz, ponieważ sądziłem, że albo zmuszę nieprzyjaciela do szybszego opuszczenia Nowego Sącza, albo przynajmniej ściągnę siły nieprzyjaciela na siebie z szosy Limanowa—Nowy Sącz. Potwierdzeniem tego zdawało się jeszcze i to, że okopy oskrzydlające ze wzgórza 368 i Rdziostowa zostały zwinięte. Aby to przeprowadzić wysłałem artylerię z odpowiednią osłoną na wzgórze 368, sam z kawalerią i piechotą chciałem przekroczyć Dunajec i przeprowadzić atak w kierunku Nowego Sącza. Podczas pierwszego uderzenia kawalerii na drugą stronę Dunajca, wszczęto alarm z powodu obecności silnych patroli kozackich w Dąbrowie. Patrole te rozpędzono, przy czym wzięto do niewoli 13 koni i 2 kozaków z 32

[1]) Ferdynand Bissingen, gen. austr., dowódca grupy, w skład której wchodził oddział Piłsudskiego.

pułku kozaków dońskich. Jeńcy zgodnie meldowali, że do Nowego Sącza nadeszły nowe siły piechoty: wobec tego uważałem za niemożliwe większymi siłami przekraczać Dunajec, a zdecydowałem się ograniczyć do demonstracji przez ostrzeliwanie północnych i zachodnich wyjść z Nowego Sącza. Skoro o godz. 3 osiągnąłem wzgórze 368, wyraźnie słyszałem silny ruch wozów na szosie Nowy Sącz—Dąbrowa. Artyleria natychmiast otwarła ogień w tych samych kierunkach i skoro vis à vis Rdziostowa ukazała się kolumna taborowa, osłona otworzyła na nią ogień salwami. Wozy skutkiem tego na całej przestrzeni szosy stanęły. Ogień trwał do godziny 6. O tej godzinie jednak musiałem ściągnąć artylerię, bo cała droga Rdziostów-Marcinkowice w stosunku do drugiego brzegu Dunajca była bardzo eksponowaną.

O godz. 7 przesunąłem kawalerię z Marcinkowic w kierunku na Dąbrowę. Kawaleria natknęła się obok Dąbrowy na drugą kolumnę wozów i jedną odprzodkowaną baterię konną. Tak baterię jak i kolumnę trenową kawaleria ostrzelała silnym ogniem karabinowym, jednak pod naciskiem piechoty, która przyszła na pomoc trenowi musiała się wycofać i pod silnym ogniem nieprzyjaciela przekroczyć Dunajec, przy czym straciła 12 koni i 6 ludzi.

W tym czasie atak nieprzyjacielski na Marcinkowice zaznaczył się wyraźnie w dwu kierunkach: od południa (Rdziostów) i od wschodu (Kurów). Z pierwszego kierunku szły dwie kompanie piechoty w gęstych liniach tyralierskich, z drugiego także dwie kompanie wsparte 4 działami.

Ponieważ stanowisko moje w Marcinkowicach w stosunku do Kaniny uznałem za wysunięte zanadto naprzód — ściągnąłem straż przednią do Klęczan, gdzie stało gros moich sił. Z chwilą przybycia do Klęczan otrzymałem dyspozycję przewidującą pójście naprzód wszystkich oddziałów na Nowy Sącz. Na skutek tego poleciłem wszystkim w mojej dyspozycji będącym siłom iść naprzód w kierunku Marcinkowice—Rdziostów. Rozwinięcie odbyło się pod silnym ogniem artylerii i kilku karabinów maszynowych nieprzyjaciela, ale ułatwione ogniem własnej górskiej baterii 3 pod dowództwem por. Meisnera, który dzielnie zajął stanowisko prawie na równej wysokości z ogniową linią piechoty i do ostatniej chwili utrzymał się.

Utrzymanie się na stanowisku okazało się wkrótce niemożliwym, z uwagi na to, że około godz. 3 przed południem nasza piechota dostała się pod silny ogień piechoty, dział i karabinów maszynowych nie tylko z prawego skrzydła od strony

szosy, ale również od tyłu. W czasie trwania naszej walki na dwa fronty, z południa w kierunku drogi Limanowa—Nowy Sącz, na której nieprzyjacielskie oddziały bardzo szybko parły naprzód przez pozycję dominującą nad nami i od wschodu, z którego to kierunku nasz oddział musiał wycofywać się pod wyjątkowo silnym ogniem armatnim i karabinów maszynowych.

Tu muszę podnieść wyjątkowo waleczne i ofiarne zachowanie się górskiej baterii 3, która pod kierunkiem swego dzielnego komendanta por. honwedów Meisnera prawie równocześnie z piechotą zeszła ze stanowiska.

W tych warunkach odwrót nasz pod silnym ogniem krzyżowym karabinów, dział i karabinów maszynowych przedstawiał bardzo uciążliwe zadanie. Ludzie i oficerowie przemęczeni pracą poprzedniej nocy z trudem powstrzymali nacisk przeciwniwnika, który dopiero po przejściu Chomranic trochę osłabł, zwolnił i około godz. 8 po południu zaprzestał ognia, a ja mogłem zająć nowe stanowisko na równej wysokości z Kaniną.

Straty mojego oddziału są szczególnie ciężkie i według dotychczasowych meldunków wynoszą 70 ludzi, w tym 3 oficerów piechoty, a więc ponad 12% stanu ogólnego.

Wśród zabitych znajduje się dowódca kompanii Władysław Milko, zabity szrapnelem w straży tylnej. Zachowanie się moich oficerów i szeregowych było bardzo spokojne i mężne mimo ciężkiego położenia i mimo stale wzrastającego braku amunicji.

Najcięższe straty były spowodowane ogniem flankowym z prawej strony.

Szczególnie ludzie są w tej chwili bardzo wycieńczeni i wymagają natychmiast dłuższego odpoczynku dla odzyskania sił.

(—) J. Piłsudski
Kom. I. Leg. Pol.

## *PRZEMÓWIENIE NA BANKIECIE W WIEDNIU 21 GRUDNIA 1914*

*Po walkach na Podhalu i wkroczeniu do Nowego Sącza, Józef Piłsudski wyjechał do Wiednia, dokąd przybył 18. XII. celem odbycia rozmów z przedstawicielami Naczelnego Komitetu Narodowego i politykami galicyjskimi. W dn. 21. XII. odbył się urządzony przez Prezydium N. K. N. bankiet na cześć Piłsudskiego z udziałem około 80 osób. Po przemówieniu Władysława Leopolda Jaworskiego, prezesa N. K. N., zabrał głos Józef Piłsudski. Przemówienie to opublikowane zostało w «Wiadomościach Polskich» w nrze 62 dnia 26. XII. 1914 r. oraz w «Naprzodzie» z 23. XII. i w pracy Konstantego Srokowskiego p. t. «N. K. N. Zarys historii Naczelnego Komitetu Narodowego» Kraków 1923. Tekst obecny oparty został na tekście opublikowanym w «Wiadomościach Polskich».*

Szanowni Panowie! Pochodzę z kraju, gdzie ludzie nie są przyzwyczajeni do otwartego wypowiadania swych uczuć, z kraju niewoli. Przeto mi trudno odpowiadać na tyle komplementów i dziwno przyjmować tyle zaszczytów. Ale poruszono tutaj rzecz, która mnie głębiej obchodzi, rzecz ambicyj polskich, których przedstawicielem mnie nazwać zechciano. Bolało mnie już od dawna, że w społeczeństwie polskim nie było szerokiego rozmachu, gniotła mnie małość życia i aspiracyj, wynik niewoli.

Być może, jestem romantykiem, być może, że dlatego, że nigdy nie byłem zwolennikiem pracy organicznej, wszedłem w tę wojnę. Ale porwało mnie w niej coś wielkiego i to, że otworzyła się możność czynu polskiego. Byłem w tem tylko wyrazicielem tego w Polsce, co się dusiło w atmosferze niewoli. Dzięki tej części, która postawiła pierwsze wojenne kroki, mogliśmy pociągnąć za sobą choć część narodu. Trzeba było bowiem, aby to, co było szaleństwem, stało się także i rozumem polskim. Ten głos, ta odpowiedź na nasze zbrojne wezwanie, odezwała się z kraju, który z dawna wolności zakosztował, nie z kraju niewoli, nie z zaboru rosyjskiego. W Galicji znaleźliśmy poparcie i zrozumienie. Szaleństwem wiele zrobić można, ale uratować nim nic nie można. Mówiono, że Legiony walczą w obronie honoru Polski. Ale sama walka i poświęcenie w obronie honoru nam nie wystarcza. Jako rycerze walczący musimy mieć nie tylko siłę ramienia, ale moc głowy i serca. Tym uzupełnieniem jest zjednoczenie narodu w N. K. N. Rozum stanu musi uzupełnić naszą pracę i krwawe

nasze ofiary. Wznoszę więc zdrowie na cześć Naczelnego Komitetu Narodowego w ręce prezesa N. K. N. Niech żyje prezes Jaworski! [1])

## *PRZEMÓWIENIE PODCZAS WIECZERZY WIGILIJNEJ W NAWSIU*

*Przemówienie poniższe wygłosił Józef Piłsudski w dn. 24. XII. 1914 r. w Nawsiu, koło Jabłonkowa, ówczesnej siedzibie Departamentu Wojskowego N. K. N., gdzie zatrzymał się w drodze powrotnej z Wiednia. Cytowane przemówienie było odpowiedzią na mowę Władysława Sikorskiego, szefa Depart. Wojsk. N. K. N. Po kolacji odbyła się w gronie legionistów gwiazdka, na której przemawiał działacz śląski, ks. Michejda, podnosząc wpływ legionistów na uświadomienie narodowe Śląska oraz Iza Moszczeńska i M. Kukiel.*

*Po raz pierwszy przemówienie Piłsudskiego opublikowane zostało w nrze 7 «Wiadomości Polskich» z dn. 1. I. 1915 r.*

Pozdrawiam Was żołnierze polscy w dniu, w którym każdy chce mieć rodzinę. Między Wami czuję się w najbliższej rodzinie. Brzemię sławy, które na mnie spada obecnie, nie mnie przynależy; czego dokonać mi przypadło, zawdzięczam wiernej, nieustraszonej pomocy żołnierzy. Otoczenie, współpracownicy, dają możność czynu, decydują o jego mocy. Wnoszę toast, — który zawsze i wszędzie będę powtarzał: na cześć żołnierza polskiego.

---

[1]) W pracy dra Jana Hupki p. t. «Z czasów Wielkiej Wojny. Pamiętnik nie kombatanta» (Niwiska 1936) znajduje się opis powyższego bankietu oraz zanotowane drugie przemówienie Piłsudskiego. Relacja dra Hupki brzmi:

«Jaworski miał świetną wprost mowę, wznosząc toast na cześć Piłsudskiego. Piłsudski odpowiedział poważnie toastem na cześć N. K. N. i Jaworskiego. Najświetniejszy był finał obiadu.

Jeden z oficerów legionowych, Daniłowski, karcił Piłsudskiego w swej mowie, że nie szanuje swego drogiego życia. Że się naraża na kule. Że Komendant, na którego barkach spoczywa los Legionów, tak robić nie powinien.

Wtem poderwał się Piłsudski. Uderzył pięścią w stół, przerywając mówcy i krzyknął:

«Baczność! Jeżeli chcecie publicznie krytykować waszego Komendanta, to zrzućcie mundury».

«Żołnierzami jesteście. Słuchać ślepo, a nie krytykować macie. Gdybym był komendantem armii, to postępowałbym jak komendant ar-

## WSPOMNIENIE O KPT. MILCE

*Wspomnienie o kpt. Milce wypowiedział Józef Piłsudski wobec redaktorów «Wiadomości Polskich», prawdopodobnie w czasie swego pobytu na Śląsku. Ogłoszone ono zostało w nrze 7 «Wiadomości Polskich» z 1. I. 1915 r. w rubryce «Z chwili» p. t. «O ś. p. Władysławie Milce».*

Milko [1]) był od niedawna oficerem 1-go pułku, do którego przybył w połowie października z batalionu uzupełniającego Zygmunta Bobrowskiego. Pomimo tego wkrótce poznałem go jako dzielnego oficera, żołnierza z krwi i kości.

Pod Laskami baon uzupełniający był w rezerwie. Położenie rezerwy było niebezpieczniejsze w wyższym jeszcze stopniu, niż linii tyralierskiej. Na wieś Laski, za którą umieszczono rezerwę, Rosjanie skierowali gwałtowny ogień tyralierski, w którym wzięły udział wielokalibrowe moździerze, który nasz młody żołnierz baonu uzupełniającego wytrzymać musiał. Przebywał zatem na wstępie młody żołnierz baonu uzupełniającego próbę ogniową. Zaraz w początku ranny został komendant batalionu Bobrowski. Po nim Milko objął komendę.

Za Laskami zwiedzałem stanowiska rezerwy. Sąsiednie jej oddziały nie wytrzymując bombardowania, już ustąpiły z placu. Raz po razu biły na wieś i teren poza wsią wielkie «kuferki». Po uderzeniu każdego powstała jama, w której konia pogrzebać można albo chaty stawały jak zapałki w płomieniach.

Nasz batalion uzupełniający w szyku rozwiniętym leżał przyciśnięty do ziemi. Wzdłuż linii leżących żołnierzy przechadzał się spokojnie Milko, czuwając nad nimi, a jednocześnie dodając im ducha swoim nadzwyczajnym spokojem i pogodą. Wówczas nauczyłem się go cenić jako jednego z moich najlepszych oficerów.

---

mii. Ponieważ zaś jestem tylko pułkownikiem, więc robię to, co porządny pułkownik robić powinien. Miejsce pułkownika nie jest za plecami żołnierzy. I gdyby wszyscy pułkownicy tak robili jak ja, to cieszyliby się tym zaufaniem żołnierzy jak ja!»

O przemówieniu tym wzmiankuje również Leon Wasilewski w pracy «Józef Piłsudski, jakim Go znałem» na str. 140—141.

[1]) Kpt. Władysław Milko zginął w bitwie pod Marcinkowicami w dniu 6. XII. 1914 r.

## *ROZKAZ Z POWODU BOJU POD ŁOWCZÓWKIEM*

*W czasie wyjazdu Piłsudskiego do Wiednia, oddział jego, będący dotychczas 1 p. piechoty Legionów, przeorganizowany został na brygadę z cyfrą I. W dniu 20 XII. 1914 r. I Brygada została poderwana alarmowym rozkazem i rzucona pod Tarnów, na odcinek Meszny Szlacheckiej i Łowczówka, gdzie stoczyła w dniach 22—25 XII. ciężki bój leśny, dowodzony pod nieobecność Piłsudskiego przez Kazimierza Sosnkowskiego. Bój pod Łowczówkiem był najcięższym pod względem wysiłku, poniesionych strat i zadań, jakie oddziały Piłsudskiego przeprowadziły w ciągu 1914 roku.*

*Rozkaz cytowany wydany został w Lipnicy Murowanej, gdzie po boju pod Łowczówkiem I Brygada pozostawała w odwodzie.*

3 stycznia 1915.

Żołnierze!

Pięć miesięcy mija od czasu, gdy krwią własną i odwiecznego wroga znaczycie istnienie w ojczyźnie polskiego żołnierza! Pięć miesięcy krwawej i ciężkiej pracy, która nam dała sławę pierwszorzędnego wojska.

Z pięciu tysięcy ludzi, którzy byli w moim oddziele, tysiąc padło lub zostało rannych w bojach, świadcząc przed wszystkimi, że za honor należenia do naszego żołnierskiego koła obficie krwią płacić trzeba. Cześć im wszystkim i chwała, a pamięć o nich niech zawsze bliską będzie naszemu sercu!

My zaś bądźmy gotowi do dalszych walk i bojów, z których, jestem pewien, potrafimy wyjść może uszczupleni w swym gronie, lecz zawsze z honorem.

U schyłku ubiegłego roku, podczas mojej nieobecności, stoczyliście z przeważającymi siłami nieprzyjaciela bój najkrwawszy i najcięższy z tych, jakieśmy dotąd mieli. Zyskaliście w nim nową sławę i nowy liść wawrzynu wpletliście do wieńca sławy polskiego żołnierza. W imieniu sprawy, której służymy, dziękuję wam wszystkim za tę pracę. Jestem dumny, towarzysze broni, że wami przewodzę, jestem dumny z kłopotu, że gdy mam w rozkazie dziennym wymienić najbardziej godnych chwały, szukać muszę czegoś nadzwyczajnego, by wśród ogółu dzielnych, mężnych, znaleźć czyny, które nie będą dla nich powszednimi.

Przede wszystkim na odznaczenie zasługuje szef sztabu, podpułkownik Sosnkowski, pod którego dowództwem stoczyliście bój i który jeszcze raz wykazał w nim swe wysokie zdolności wojenne.

Porucznik Burhardt, prowadząc batalion, zdobył trzy szeregi okopów, zabezpieczonych drutami, wzniecając popłoch u nieprzyjaciela.

Podporucznik Ścieżyński z 8 ludźmi wziął w okopach 100 nieprzyjacielskich żołnierzy, jako jeńców.

Podporucznik Bortnowski, pomimo bolesnej rany w szczękę, pozostał w szeregu i kierował plutonem dalej.

Podoficer Świderski na czele patrolu z 9 ludzi przyprowadził, jako jeńców — pułkownika rosyjskiego, a przy nim 3 oficerów i 28 ludzi, wziąwszy ich ze wsi, jeszcze przez nieprzyjaciela obsadzonej.

Wymienionym oficerom i żołnierzom za przykłady odwagi i zręczności żołnierskiej, jakie w tym boju dali, wyrażam w imieniu oddziału podziękowanie i uznanie.

Józef Piłsudski.
Komendant.

---

## *TELEGRAM DO PREZYDENTA M. LWOWA JÓZEFA NEUMANNA*

*Cytowana depesza była odpowiedzią na telegram prezydenta Neumanna wysłany do Józefa Piłsudskiego z Wiednia w imieniu zebranych tam członków Rady Miejskiej Lwowa, opublikowana została po raz pierwszy w nrach 12 i 13 «Wiadomości Polskich» z dn. 1. II. 1915 r.*

Niezwykle wzruszony byłem, otrzymawszy od JWnego P. Prezydenta dowód pamięci o nas w postaci noworocznych życzeń.

Wielka ilość moich oficerów i żołnierzy, oraz ja sam — mamy tyle serdecznych wspomnień, związanych ze Lwowem, kolebką polskiego ruchu wojskowego, że wdzięczność nasza za dowód dalszego współżycia z nami przedstawicieli tego miasta jest ogromną.

Proszę przyjąć JWny P. Prezydencie i proszę wyrazić Wnym Radnym miasta Lwowa nasze podziękowanie i życzenia abyśmy możliwie w szybkim czasie złożyć wyrazy wdzięczności mogli osobiście w wolnym od stopy nieprzyjacielskiej Lwowie.

Lipnica Murowana, 16. I. 1915. J. Piłsudski, Brygadier.

---

## *ROZKAZ PO WYJŚCIU I BRYGADY ZE SKŁADU XI KORPUSU ARMII AUSTRO-WĘGIERSKIEJ*

*Z Lipnicy Murowanej, gdzie po boju pod Łowczówkiem I Brygada pozostawała w odwodzie XI korpusu, została przesunięta w obszar Kęt na 6 tygodniowy odpoczynek i reorganizację. W związku z tym wydany został rozkaz Dtwa XI korpusu oraz rozkaz Piłsudskiego cytowany w tekście.*

*Rozkaz ten opublikowany został po raz pierwszy w pracy gen. T. Kasprzyckiego p. t. «Kartki z dziennika oficera I Brygady» na str. 255.*

Kwatera Główna
Lipnica Murowana, 18. I. 1915.

Żołnierze!

Wczoraj przy pożegnaniu z c. i k. komendą korpusu XI otrzymałem rozkaz następujący:

Z powodu wyjścia Polskiego Legionu ze składu XI korpusu uważam sobie za przyjemny obowiązek wyrazić w imieniu Najwyższej służby podziękowanie oraz zupełne uznanie komendantowi, oficerom i żołnierzom Legionu za ich doskonałe i bohaterskie zachowanie się we wszystkich bojach. Przykro mi widzieć odchodzących tych dzielnych żołnierzy i życzę im, by w dalszych bojach również wybitne powodzenie było ich udziałem.

Ljubiczić
F. Z. M. [1])

Żołnierze! W imieniu swoim i Waszym wyraziłem głęboką wdzięczność za Wysokie uznanie i za troskliwą opiekę, której doznawaliśmy w komendzie korpusu w przeciągu całego czasu, gdyśmy mieli zaszczyt jej podlegać.

Rozkaz niniejszy przeczytać we wszystkich kompaniach i szwadronach.

Józef Piłsudski
Komendant.

---

[1]) F. Z. M. — skrót niemiecki, oznaczający stopień generała broni.

pułk [1]), nierozerwany przez losy na części. I batalion tego pułku (dawniej IV) biorąc udział w ataku na szosę opatowską, pierwszy doszedł do nieprzyjacielskich okopów, biorąc karabiny maszynowe i licznego jeńca; II batalion dał dowód niespożytej siły moralnej przy nieudanym ataku na Przepiórów, stojąc przez kilkanaście godzin w nadzwyczajnie silnym i bliskim ogniu nieprzyjacielskim i cofnąwszy się jedynie po otrzymaniu na to rozkazu.

Pierwszy batalion 1-go pułku przy ataku na Przepiórów wytrwał wraz z II batalionem aż do odwołania, następnie zaś w brawurowym ataku na Kamieniec zdobył kilkuset jeńców.

Wreszcie VI batalion, dotąd oderwany od macierzystego pnia, służbą swoją zyskał powszechne pochwały swych przełożonych.

Boje, któreśmy zakończyli, by przejść na razie do względnego spokoju, zostawić muszą głęboki ślad w naszych umysłach. Były one dla nas doskonałą szkołą, właśnie dlatego, że wymagały one bardziej, niż inne, by nieledwie każdy z oficerów i żołnierzy uczył się dostosowywać swe działania do działań otoczenia, a zarazem złożył dowód, że dla dobrego żołnierza nie ma położenia, z którego z honorem wyjść nie można.

Wśród mnóstwa bohaterskich czynów, dokonanych przez poszczególnych żołnierzy w czasie tych zmiennych co do szczęścia bojów, zaznaczyć chcę w swym rozkazie te, które na szczególne uwzględnienie zasługują.

1. Major Śmigły-Rydz, wziąwszy na siebie zadanie, najczęściej nie odpowiadające ani jego stopniowi, ani zdolnościom, nie tylko sam wytrwał na stanowisku, niezwykle przykrym pod względem moralnym, lecz złożył w bojach o lasek koziniecki nowe dowody niezwykłego męstwa i spokoju przy największym niebezpieczeństwie. Majorowi przede wszystkim przypisuję, że III batalion nie ugiął się przy spełnieniu zadania, przewyższającego znacznie siły moralne przeciętnego żołnierza.

2. Podporucznik Zygmunt Żarski-Radoński z III batalionu wykazał w boju o lasek koziniecki nadzwyczajną odwagę i sumienność pracy wojennej, stojąc ze swym plutonem, a potem, zastępując zranionego dowódcę kompanii, na zupeł-

[1]) Pułk 5, dowodzony przez kpt. Berbeckiego, nosił wewnętrzną numerację w I Brygadzie pułku 2. Podział ten istniał przez cały rok 1915 i polegał na tym, że zamiast dwu trzybatalionowych pułków (1 i 5), na jaki się oficjalnie I Brygada dzieliła — istniały w rzeczywistości trzy pułki w następującym składzie: 1 pułk — (bataliony I i III), 2 pułk — (bataliony II i IV), 3 pułk — (bataliony V i VI).

nie otwartej pozycji, w piekielnym i bliskim ogniu karabinów maszynowych, wobec widocznej przewagi nieprzyjaciela. Sam roznosił w ogniu amunicję wzdłuż linii ognia i rozdzielał ją pomiędzy żołnierzy. Wytrwał aż do otrzymania ciężkiej rany w głowę.

3. Podporucznik Dorobczyński z III batalionu prowadził swój pluton w największym ogniu w kontrataku na nieprzyjaciela, który już się silnie okopał. Zdobył okopy, biorąc 85 jeńców z oficerem.

4. Podporucznik Tunguz-Zawiślak z I batalionu (były IV) 2-go pułku, w ataku na Swojków, prowadząc prawoskrzydłowy pluton, z własnej inicjatywy skierował go przeciwko flankującym atakujący batalion rosyjskim karabinom maszynowym i porywając za sobą swych podkomendnych, pierwszy wpadł do okopów rosyjskich, biorąc kilkudziesięciu jeńców i dwa karabiny maszynowe.

5. Podporucznik Kołodziejski z VI batalionu, będąc opadniętym w nocy na forpocztach przez całą kompanię grenadierów rosyjskich, poraniony wybuchem granatu (kilkanaście ran) wyprowadza placówkę dzielnym atakiem na bagnety do swego batalionu.

6. Sierżant Dańko Jerzy z I batalionu przy ataku na Przepiórów 23-go maja, będąc z sekcją na samym przedzie, wziął szybkim atakiem na bagnety jednego oficera, komendanta służby wywiadowczej, i jednego żołnierza. 26-go maja, na czele 15 ludzi, podszedł skrycie pod Kamieńcem do samych okopów rosyjskich, gdzie, nie pokazując swej siły, wezwał nieprzyjaciela do poddania się. Gdy zaś będący w okopach oficer rosyjski, komendant kompanii, strzelił do niego, nakazał garstce swych podkomendnych dać salwę do okopów, co miało taki skutek, że się nieprzyjaciel poddał w liczbie 150 żołnierzy i 1 oficera.

7. Podoficerowie Bernhardt Bronisław i Wiśniowski Stanisław, obaj z III batalionu, wraz z wymienionym wyżej podporucznikiem Dorobczyńskim prowadzili nieustraszenie pluton we wściekłym ataku na okopy nieprzyjacielskie — obaj legli śmiercią walecznych prawie u celu — przed poddaniem się Rosjan.

8. Sierżant II batalionu 2-go pułku Brzozowski Zygmunt i szeregowcy Jagoszewski Marian i Urbanowicz Michał po przełamaniu przez Rosjan frontu w lesie płaczkowickim, posłani na patrol, we trójkę wzięli w Woli Konarskiej, jako jeńców, 58 żołnierzy rosyjskich, ścigających cofającą się linię 8-go pułku.

9. Albin Stanisław, szeregowiec V batalionu, dnia 21 maja, przy cofaniu się batalionu, został w okopie, nie zauważywszy odwrotu innych, pod krzyżowym ogniem okopał się z dwóch stron, a gdy nadszedł patrol nieprzyjacielski z 7 ludzi, ostrzeliwując ich z bliska, zmusił do złożenia broni i odprowadził jeńców pod ogniem nieprzyjacielskim do komendy pułku.

10. Lachor Jan, szeregowiec tegoż V batalionu, cofając się przy odwrocie z Kozinka ostatni, osłaniał celnymi strzałami odwrót swoich, a będąc zupełnie odcięty, schował się w dole na ziemniaki, by po 24 godzinach, spędzonych o głodzie, przekraść się z powrotem do swoich.

Wreszcie z przyjemnością wyrazić muszę wdzięczność i uznanie dla sanitariuszów kompanijnych, którzy, nie zważając na silny ogień nieprzyjacielski, wszędzie pełnili swą ciężką służbę, płacąc na równi z innymi żołnierzami krwią własną dług ojczyźnie. Specjalnie dziękuję sanitariuszom VI batalionu Muszyńskiemu Kazimierzowi, Bielohlawkowi Arturowi i Siemiginiewskiemu Antoniemu za nadzwyczajny akt odwagi, gdy spod okopów nieprzyjacielskich wynieśli, niestety, już tylko martwe ciało, powszechnie szanowanego i lubianego kapitana Franciszka Grudzińskiego.

Rozkaz niniejszy przeczytać we wszystkich kompaniach, szwadronach, bateriach, oddziałach karabinów maszynowych i wojskowych instytucjach podwładnego mi oddziału.

Józef Piłsudski.

---

## *RAPORT BOJOWY SPOD KONAR*

*Raport ten, pisany własnoręcznie przez Józefa Piłsudskiego i wysłany w tłumaczeniu na niemiecki do dowództwa 4 dywizji austriackiej, opublikowany został po raz pierwszy przez Hugona Zielińskiego w «Gazecie Polskiej» w nrze 216 z dn. 6. VIII. 1934 r.*

Zgodnie z dyspozycją z dn. 16. 5. Op. 37 maszerowałem z całą Brygadą Legionową jako rezerwa dywizyjna przez Konary do M. H. Pęcławic. Przed Konarami odpędziłem stojące na drodze części trenu pułkownika Mietzla [1]). Tu dowiedzia-

[1]) Pułk. Mietzl w czasie walki pod Konarami dowodził grupą złożoną z trzech batalionów 8 p. p. austr. i kilkoma bateriami artylerii. Oddziały 8 p. p., złożone z Czechów, biły się b. źle i poddawały się nieprzyjacielowi przy każdym jego natarciu.

łem się, że «Vorrückung» [1]) jest wstrzymany wobec oporu sił nieprzyjacielskich. Wstrzymałem kolumnę, nie wciągając jej do wsi Konar. Kazałem przygotować obiad, sam zaś udałem się naprzód do pułkownika Mietzla dla zorientowania się w sytuacji. Tu dowiedziałem się: 1) szwadron polskich Legionów został wstrzymany ogniem z Höhe bei [2]) Grabiny i cofnął się do lasu pod Płaczkowicami, 2) artyleria nieprzyjacielska (pomiędzy danymi i ciężka) słabym ogniem ostrzeliwuje las Płaczkowski i przestrzeń przy rzeczce Pokrzywiance, 3) oddział pułkownika Mietzla rozwija się na wschód od Konar.

O godzinie pół do 10 otrzymałem rozkaz dywizji — wydzielić czołowy pułk i wraz z baterią wysłać dla poparcia pułkownika Herzmańskiego [3]), który znajdował się w walce na północ od Przepiórowa. Wydzieliłem 2 pułk i 5 baterię [4]) i pod dowództwem kapitana Berbeckiego wysłałem go w kierunku na Płaczkowice z poleceniem skomunikowania się w Kamieńcu z Komendą Dywizji dla otrzymania szczegółowych rozkazów. Sam zaś wróciłem do Konar, skąd obserwowałem dalsze posuwanie się naprzód kolumny pułkownika Mietzla. O godzinie 1 otrzymałem rozkaz o poddaniu rezerwy pułkownikowi Mietzlowi i marszu do Pokrzywianki. Nakazałem kończyć obiad i sam udałem się do pułkownika Mietzla na kotę 222 [5]), gdzie po omówieniu sytuacji na jego odcinku, t. zn. Łownica — kota 282, otrzymałem rozkaz przeprowadzenia ataku na Grabiny na przestrzeni pomiędzy prawą flanką pułkownika Mietzla i lewą I korpusu. Do rozporządzenia otrzymałem całą resztę moich sił i batalion I/8 pułku, stojący dotąd w rezerwie na południe od wsi Kozinek.

W ustnym dodatku do rozkazu pułkownik Mietzl zrobił dwa wyjaśnienia: 1) na moje pytanie, czy w istocie jest jaka luka pomiędzy 8 pułkiem a I korpusem, odpowiedział, że ma meldunki tak sprzeczne, że przypuszcza, iż flanki nie stykają się z sobą; 2) że I batalion stanowi część ostatnią dywizyjnej rezerwy i że zatem należy go użyć tylko w ostateczności. Tu przy kocie 222 doczekałem czoła kolumny, już maszerującej do Pokrzywianki, i, wziąwszy ze sobą starszych oficerów, pojechałem przed kolumną do I/8, który zastałem w wąwozie na

---

[1]) Vorrückung — natarcie.

[2]) Höhe bei Grabiny — nomenklatura na podstawie austriackiej mapy sztabowej.

[3]) Płk. Herzmański dowodził 99 p. piech. austr.

[4]) W skład I Brygady wchodziły dwie baterie dział polowych, 4 i 5.

[5]) kota — wzgórze.

południe od Kozinka w rezerwowej formacji. Po długich poszukiwaniach majora Tartalii ułożyłem sposób komunikowania się z nim i wyszedłem na lisierę [1]) lasu na południowy wschód od Kozinka, skąd był dobry przegląd pozycji i gdzie zastałem majora Boruszczaka [2]). Z rozmowy z nim i obejrzenia pozycji przekonałem się:

1) Luki żadnej pomiędzy I korpusem a 8 pułkiem nie ma;

2) Przestrzeń przed lasem w kierunku pozycji nieprzyjacielskiej była już tak obsadzoną, że major Boruszczak mógł swobodnie połowę swego batalionu mieć w rezerwie, ukrytą w lesie;

3) Okopy nieprzyjacielskie przez M. H. Grabinę mają front południowy. Inne zaś okopy przed Zakrzowem mają front wschodni;

4) Próby ataku na Grabinę, czynione przez II/8 p. p. dały większe straty od flankowego ognia z prawa.

5) Najbardziej ukrytym podejściem do stanowisk nieprzyjacielskich jest wąwóz, odchodzący do Kozinka, a doprowadzający zarówno w stronę i Zakrzowa i M. H. Grabiny. Wąwóz jednak jest pod ogniem albo z Grabiny, albo z kierunku Goźlic. Tutaj też II/8 poniósł najwięcej strat;

6) Z prawego skrzydła I korpusu major Teufel oświadczył, że ataku nie zacznie, dopóki sąsiedzi z lewa nie posuną się naprzód, gdyż w przeciwnym wypadku będzie musiał posuwać się pod ogniem flankowym;

7) O przypuszczalnej sile nieprzyjaciela nikt nie mógł mnie poinformować oprócz ogólnego zdania, że linia «Ort stark besetzt» [3]), a że w tym czasie ze strony nieprzyjaciela strzelano tylko zrzadka, więc i z siły ognia nic wnosić nie można było.

Na podstawie tych danych postanowiłem atak rozpocząć tylko ze zmierzchem i to na M. H. Grabinę, przeprowadziwszy oddziały w kolumnie aż do okopów przednich 8 pułku. Motywy moje były następujące:

1) Wobec braku przestrzeni nawet dla rozwinięcia jednej kompanii przy przyjęciu szyków luźnych, koniecznych podczas dnia, zmieszałbym niechybnie wojsko, stojące już w ogniu, wojsko mnie nie podwładne, co przy pierwszym kroku doprowadziłby musiało do zaniku jedności w kierownictwie atakiem. Że zaś zgodnie z rozkazem początek ataku ogólnego miał być uczyniony przez legionistów, nie mogłem narażać całego frontu na niepowodzenie.

[1]) lisiera — brzeg lasu.
[2]) Mjr. Boruszczak dowodził batalionem 8 p. p.
[3]) Miejscowość silnie obsadzona.




Teren bitwy pod Konarami (1:100.000).

2) Samo podprowadzenie mego pułku do stanowisk już zajętych przez linię ognia dwóch kompanij V/8 podczas dnia, kosztowałoby tyle ofiar, że mogłoby wpłynąć demoralizująco na otoczenie.

Zgodnie więc z umową podałem czas rozpoczęcia ognia artylerii na godzinę 6.15 i kazałem podciągnąć kolumnę do wejścia do wąwozu od Kozinka. Wyznaczyłem do ataku 1 pułk, którego dowódca major Rydz był ze mną na pozycji i zdążył poznać teren. Artyleria gwałtownym ogniem doskonale przygotowała atak. Cała pozycja nieprzyjacielska była pokryta kurzem od granatów i dymem od szrapneli. Major Rydz przeprowadził swe dwa bataliony lasem, a potem o zmierzchu przez wąwóz, idący w kierunku Grabiny, wyminął ostatnie okopy 8 pułku i rozwinął czołowy batalion do ataku. Wysłano patrole naprzód, które stwierdziły, że w okopach nieprzyjacielskich panuje jakiś bezład, bo słychać było głośne okrzyki strachu i poruszanie w różne strony większej masy ludzkiej. Widocznie starano się tam wprowadzić jakiś ład po gwałtownym ostrzeliwaniu artylerii. Wtedy to o godzinie 7 i pół do 8 wieczór przyszedł rozkaz zaniechania ataku. Przy ściąganiu z powrotem batalionu, gdy czołowe patrole były już tylko o 100 metrów oddalone od okopów, raniono 2 ludzi strzałami, idącymi spod Zakrzowa. W batalionach, stojących jeszcze w rezerwie, rannych było od takichże strzałów 2 ludzi. Rany wszystkie lekkie. Po odwołaniu natarcia na Grabinę, już późno wieczorem, ściągnięto wszystkie cztery bataliony na noc do wsi Pokrzywianki, gdzie pozostały one aż do południa 17 maja, kiedy otrzymałem rozkaz z dowództwa dywizji, datowany z godziny 11.30, który nakazywał wysłanie jednego batalionu jako odwodu korpusu do Gorzkowa. Z pozostałymi zaś siłami miałem się udać do wsi Kopiec, gdzie miałem oczekiwać dalszych rozkazów. Udałem się naprzód przez Płaczkowice i Garbowice, gdzie znalazłem swój 2 pułk mojej Brygady, ostrzeliwany bardzo silnym ogniem artylerii, a który miał się wycofać na linię Konary—Domaradzice, jako prawe skrzydło odcinka pułkownika Herzmańskiego. Powróciłem do Domaradzic, gdzie spotkałem już kolumnę trzech pozostałych batalionów, które w myśl nowej dyspozycji pod dowództwem podpułkownika Sosnkowskiego maszerowały do Domaradzic i Zagórzyc, by pozostać tam jako odwód dywizji. Następnego dnia — 18. V. rano zostałem skierowany z dwoma baonami i szwadronami kawalerii do Małych Wysoczek i Wolicy, natomiast jeden batalion, a mianowicie V przeszedł do Ułanowic pod rozkazy pułkownika Mietzla. O godzinie 7.5 rano otrzy-

małem rozkaz wysłania jeszcze jednego batalionu na lewe skrzydło dywizji pod rozkazy pułkownika Strohubera. Przeznaczyłem do tego I batalion 1 pułku. 18. V. miałem więc przy sobie jeden III batalion 1 pułku i 3 szwadrony kawalerii. 19. V. o godzinie 3.30 po południu otrzymałem rozkaz przejścia z pozostałymi siłami pod rozkazy pułkownika Mietzla. Po przybyciu do Ułanowic udałem się na kwaterę pułkownika Mietzla, celem wyjaśnienia sytuacji i dowiedzenia się, jaki ja i oddziały moje mają wziąć udział na tym odcinku. Z wyjaśnienia pułkownika Mietzla dowiedziałem się:

a) I korpus żąda utrzymania lasu Kozinek przy kocie 282, celem ubezpieczenia lewego skrzydła korpusu.

b) Pułkownik Mietzl uważa zadanie to za trudne do wykonania i chce stanowiska utrzymać tak, by przebiegały one skośnie od koty 282 do koty 284, przyjmując, iż stanowiska na kocie 282 zostaną przez I korpus tak silnie umocnione, że będzie on mógł zrezygnować ze wsparcia przez grupę Mietzla.

c) Pułkownik Mietzl dał mi niedwuznacznie do zrozumienia, że nie życzy sobie, bym dowodził mymi batalionami.

Po opuszczeniu kwatery pułkownika Mietzla otrzymałem od adiutanta V batalionu, który od 24 godzin prawie znajdował się w grupie pułkownika Mietzla, sprawozdanie z działalności batalionu, z którego dowiedziałem się z niechęcią, iż batalion w tym czasie prawie bez walki został zdemoralizowany, w wyniku zupełnego braku spokoju, ciągłych alarmów i zmian rozkazów. Po rozważeniu położenia, postanowiłem pozostać w Ułanowicach, nie żądając od pułkownika Mietzla odpowiedniego dowództwa, ze względu na to, iż w przeciwnym wypadku zwiększyłbym jeszcze bardziej dezorganizację dowodzenia. Ograniczyłem się jedynie do: 1) wydania polecenia dowódcy 1 pułku majorowi Rydzowi udania się z III batalionem jego pułku na pole bitwy; 2) wpłynięcia na jego żołnierzy, celem zmniejszenia rozgoryczenia, którego obawiałem się, gdyż wiedziałem z doświadczenia, że Legiony z chwilą wcielenia w inne jednostki uległyby rozbiciu i rozkładowi wewnętrznego kierownictwa danej jednostki, a gdzie żaden z oficerów nie liczy się z podstawą wojskowego życia Legionów.

Najlepszym tego dowodem jest sprawozdanie V batalionu, który kompaniami, a nawet plutonami został rozproszony na całym froncie, w wyniku doraźnych, chwilowych rozkazów, bez uwiadamiania nawet o tym dowódcy batalionu.

Do 22. V., tj. do czasu, kiedy Brygada poczęła się ponownie zbierać, ograniczyła się praca dowództwa Brygady do bardzo skomplikowanej pracy administracyjnej, tyczącej się

oddalonych jednostek, jak VI batalion, około 30 kilometrów. Praca ta została jeszcze bardziej utrudnioną przez to, iż Brygada nie posiadała dostatecznej ilości koni i wozów, by zaopatrywać swe siły na tak szerokim froncie.

---

## *Z LISTU DO DEPARTAMENTU WOJSKOWEGO NACZELNEGO KOMITETU NARODOWEGO*

*Wyjątki z listu Józefa Piłsudskiego do Departamentu Wojskowego N. K. N. charakteryzują dobitnie przesłanki, jakimi się kierował Piłsudski, występując przeciwko angażowaniu Królestwa Polskiego w politykę N. K. N., opierającego się na t. zw. austro-polskim rozwiązaniu sprawy polskiej.*

*Cytowane wyjątki zostały wzięte z pracy Konstantego Srokowskiego, Sekretarza Generalnego N. K. N., wydanej p. t. «N. K. N. Zarys historii Naczelnego Komitetu Narodowego» (Kraków 1923). List Piłsudskiego był odpowiedzią na sprawozdanie Dep. Wojsk. N. K. N. ze zjazdu obywatelskiego, zorganizowanego przez Dep. Wojsk. w dn. 3. VI. 1915 r. w Piotrkowie. Zjazd ten stanął na stanowisku politycznym Nacz. Kom. Narodowego.*

...Wy gwałtownie budujecie N. K. N. w Królestwie, a ja staram się o zorganizowanie Królestwa samodzielnie, poza N. K. N., jako argumentu, mniej związanego z wszelką władzą, nawet, jako argumentu przeciw N. K. N. Wy w stosunkach zarówno z władzą, jak z N. K. N. chcecie przekonać ich dokonywaną pracą godzenia Królewiaków z obydwoma tymi instytucjami. Ja nie szukam zupełnie godzenia tych spraw ze sobą; odwrotnie, używam Królestwa jako argumentu przeciw niesłusznej i głupiej polityce zarówno Austrii, jak i N. K. N. Wy wyobrażacie sobie, że jesteście wszechpotężni zarówno w N. K. N., jak i w stosunkach z «Armee Ober-Komando» [1]). Ja zaś uważam, że jestem (tak samo, jak wy) atutem, już zgranym i tysiąc razy sprzedanym i bitym, który jest w stanie kaprysić i wyrażać niezadowolenie, lecz bez «wielkiego skandalu» niezdolnym do zmiany stosunków.

*Porównawszy na dowód słuszności swej polityki liczbę zwerbowanych przez departament wojskowy ochotników do Legionów z zastępem rekrutów, stojących w kadrach Polskiej*

[1]) Naczelne Dowództwo wojsk austriackich.

*Organizacji Narodowej, wykazuje Piłsudski, że jego metoda jest lepsza, i wylicza szkody, które departament wojskowy swoją właśnie jawną i legalną robotą sprawie wyrządza* [1]).

...Szkodami tymi są: 1) przedwczesne wykazanie, jak na dłoni, że Królestwo można albo dusić, jak chcąc, albo też kupować tanio, jak tanio zostało kupione «polskie przedsiębiorstwo» w Galicji, podczas gdy bez tego Królestwo długo jeszcze pozostałoby tym sfinksem, z którym liczyć się i rachować należy; — 2) zwiększenie łatwości tej kontroli Grzesickiego [2]), która w Galicji byłaby mocno utrudnioną; — 3) zmniejszenie łatwości nielegalnego działania, które, jedynie utrzymując w stanie realnym sfinksowość Królestwa, nie wykazywałoby słabego podkładu dla realnej siły tego błotka moralnego, którym jest Królestwo, równie zresztą dobrze, jak Galicja.

...Uważam, że wszelkie rezolucje ze strony Królestwa, podtrzymujące N. K. N., są złe i niepotrzebne, że N. K. N. na podstawie galicyjskiej albo znajdzie w sobie dość mocy, by się oprzeć rozkładowi, albo zginie. Obowiązani jesteśmy podtrzymywać N. K. N. z tym, co mamy, t. zn. ja z podkomendnymi i wy, jako część N. K. N., ale nie ma sensu politycznego wciągać do tego Królestwa i jego sił wewnętrznych, jego sił moralnych, gdyż one jedynie mogą stanowić podstawę do nowych kombinacyj, gdy stara podstawa runie. Zresztą w tej walce N. K. N. o swój honor i byt jest to złą usługę robić N. K. N., gdy mu się dodaje do tych kłopotów, jakie ma obecnie, jeszcze obronę niepewnego i skrzeczącego nieartykułowane dźwięki Królestwa...

Teraz, kiedy włoska istnieje wojna [3]), jest jedno z dwojga do oczekiwania. Albo będzie zawarty osobny pokój z Rosją, no i wtedy, rzecz prosta, sprawa nasza na razie jest skończona, lub też przybrać będzie musiała całkiem inne formy, — albo też wojna potrwa jeszcze długo, a zatem mamy czas. Więc nie śpieszmy do łatwych, ale tanich zwycięstw i efektów swojej pracy, wszelki bowiem efekt w Królestwie będzie tani, bo ma za podkład bierność i tchórzostwo ogólne...

---

[1]) Streszczenie tej części listu Piłsudskiego cytowane jest na podstawie K. Srokowskiego, str. 342.

[2]) Płk. austr. Wiktor Grzesicki, komendant grupy w Piotrkowie, której podlegał Dep. Wojskowy N. K. N.

[3]) Mowa o przyłączeniu się Włoch do koalicji przeciwniemieckiej. Włochy przystąpiły do wojny 23. V. 1915.

## *LIST DO KOMITETU OBRONY NARODOWEJ W AMERYCE*

*W dniach 9—11. VI. 1915 r. na pozycjach pod Konarami wręczony został I Brygadzie sztandar od Komitetu Obrony Narodowej w Stanach Zjednoczonych, założonego w r. 1912 jako odpowiednik Komisji Tymcz. Skonfeder. Str. Niepodległościowych. Wysłannikiem K. O. Nar. był Aleksander Dębski, emigrant socjalistyczny i wybitny działacz niepodległościowy.*

*List Józefa Piłsudskiego opublikowany został po raz pierwszy w biuletynie tygodniowym Kom. Obr. Nar., wychodzącym p. t. «Wici» w nrze 43 z 15. VII. 1915.*

Szanowni Obywatele!

Niezwykle byłem wzruszony, otrzymawszy przez waszego obywatela, wysłannika i członka, Aleksandra Dębskiego, tyle naraz dowodów serca i współczucia, pomocy i poparcia z waszej strony. Sztandar od Polek z Chicago powiewać nam będzie przy naszym zbliżaniu się do Wisły. Za zegarek dla mnie serdeczne dzięki, — zawsze mi będzie przypominał Amerykę, tak nielitościwie przez złe losy skazaną na bierną pomoc, bez możliwości czynu z nami.

Tym więcej cenić muszę pomoc waszą, pomimo tej depresji okazaną. Te 7500 dolarów w zubożałej podczas wojny Polsce umożliwią przeprowadzenie niejednego zamiaru, który bez pieniędzy pozostaćby mógł na zawsze w sferze dobrych chęci.

Jeszcze raz dzięki! Przyjmijcie, Obywatele, zapewnienie serdecznej wdzięczności.

J. Piłsudski,
Brygadier Legionów Polskich.

---

## *ROZKAZ DO P. O. W*

*Polska Organizacja Wojskowa, założona jesienią 1914 r. w Warszawie, prowadziła pracę wojskowo-niepodległościową na obszarze kraju zajętym przez wojska rosyjskie.*

*Cytowany rozkaz opublikowany został po raz pierwszy przez Wacława Lipińskiego w pracy p. t. «Walka Zbrojna o Niepodległość Polski» na str. 115.*

Żołnierze! Stoicie na posterunku najcięższym, jaki wypaść może polskiemu żołnierzowi. Bez błyskotek zewnętrznych,

które daje wojsko, bez moralnej satysfakcji walki z wrogiem, pierś w pierś i oko w oko, stoicie zagrożeni zewsząd przez niewidzialnego nieprzyjaciela jak żołnierz, postawiony na posterunku, powszechnie uważanym za stracony.

Lecz, żołnierze, gdyby Was brakowało, brakowałoby koniecznego nieodbicie w każdym wojsku ogniwa. Brakowałoby tego tonu, który jedynie czyni wojnę — wojnę narodową i zespoloną najściślej z tragicznymi tradycjami walk naszych ojców i dziadów. Powiem więcej! Gdy o mnie idzie, o mnie, którego obwołujecie swym naczelnikiem, to właśnie Wy, dzielni żołnierze, godzicie mnie z ciężkim losem, który mi wypadł podczas tej wojny. We własnym więc imieniu i w imieniu wojska, któremu przewodzę, dziękuję Wam za Waszą pracę.

Żołnierze! Znam warunki pracy Waszej, wiem, jak szalenie wpływają one na rozkład energii i woli ludzkiej, jak łatwo wprowadzają w stan zdenerwowania, najniebezpieczniejszy w każdej wojnie. Gdym tu wykuwał duszę nowoczesnego polskiego żołnierza, za jedno z pierwszych swych zadań uważałem wyrobienie w ludziach spokoju i wewnętrznej równowagi — bez względu na to, co się dzieje dokoła. I oto teraz jesteśmy sławni właśnie z powodu nadzwyczajnego spokoju, z którym przeprowadzamy pracę wojenną. Wam tego spokoju, tych nerwów, ze stali wykutych, więcej niż nam potrzeba. — I, jeżeli tu udało mi się w prędkim czasie uczynić to, co uważam za niemożliwe, dzielne wojsko bez żołnierzy i oficerów z powołania, tak chciałbym z Was wytworzyć inną t. zw. «niemożliwość» — żołnierza w całym tego słowa znaczeniu w warunkach pracy konspiracyjnej.

Pracy, odwagi i spokoju!

Józef Piłsudski.

Łączki, w Lubelskim, 25. VII. 1915 r.

---

## *ROZKAZ NA PIERWSZĄ ROCZNICĘ WOJNY*

*Rozkaz poniższy wydany został przez Józefa Piłsudskiego w Ożarowie pod Lubartowem, w czasie udziału I Brygady w letniej ofensywie austr.-niemieckiej 1915 r., po szeregu ciężkich i chlubnie stoczonych przez I Brygadę bojów pod Konarami, Ożarowem radomskim, Tarłowem, Urzędowem i Jastkowem.*

Ożarów pod Lubartowem, 5 sierpnia 1915.

Żołnierze!

Rok temu z garścią małą ludzi, źle uzbrojonych i źle wyposażonych, rozpocząłem wojnę. Cały świat stanął wtedy do boju. Nie chciałem pozwolić, by w czasie, gdy na żywym ciele naszej ojczyzny miano wyrąbać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tym brakowało. Nie chciałem dopuścić, by na szalach losów, ważących się nad naszymi głowami, na szalach, na które miecze rzucono, zabrakło szabli polskiej!

Że szabla nasza była małą, że nie była godną wielkiego 20-milionowego narodu, nie nasza w tym wina. Nie stał za nami naród, nie mający odwagi spojrzeć olbrzymim wypadkom w oczy i oczekujący w biernej «neutralności» jakiejś dla siebie od kogoś «gwarancji».

Żołnierze! Poszliście za moim rozkazem bez wahania, bez chwili namysłu, czy los wasz nie będzie podobnym do losu tylu poprzedzających nas pokoleń żołnierzy polskich. Poszliście, by stanąć w obronie, jeśli już nie szczęścia ojczyzny, to przynajmniej jej honoru.

Rok minął. Wyrobił się z nas ten typ żołnierza, jakiego nie znała dotąd Polska. Nie brawura, nie błyskotka żołnierska stanowi najistotniejszą naszą cechę, lecz ten przedziwny spokój i równowaga w pracy bez względu na przeciwności, jakie nas spotykają. Z młodego chłopaka w naszej atmosferze wyrabia się szybko spokojny, równy, stary żołnierz, przygotowany na długą i żmudną pracę, nie spalający się, jak słoma, w pierwszym, drobnym ogniu.

Żołnierze i towarzysze broni! Rok ciężkiej pracy minął. Pracy tak ciężkiej, tylu obstawionej przeszkodami, że gdy się obejrzymy na nią, dziw bierze, że istniejemy, że dawno już rodzime bory nie szemrzą po nas swej pieśni żałobnej, po nas, po polskich żołnierzach z wielkiej wojny 1914—1915 r.

I teraz po roku wojny, jak w początku, jesteśmy tylko awangardą wojenną Polski, a także Jej awangardą moralną z umiejętnością zaryzykowania wszystkim, gdy ryzyko jest konieczne.

Żołnierze! Dziś po roku wojny i pracy smutno mi, że powinszować wam olbrzymich triumfów nie mogę, lecz dumny jestem, że dzisiaj z większym spokojem, niż rok temu, mogę do was, jak ongi, zawołać: Chłopcy! Naprzód! Na śmierć, czy na życie, na zwycięstwo czy na klęski — idźcie czynem wojennym budzić Polskę do zmartwychwstania!

J. Piłsudski.

## *ROZKAZ WYDANY W ZWIĄZKU Z DZIAŁANIAMI NA POLESIU WOŁYŃSKIM*

*Rozkaz cytowany w tekście wydany został z powodu rozdzielenia I Brygady w czasie działań na Wołyniu. Pułk 1 (bataliony I i III) oraz pułk 3 (bataliony V i VI) oddane zostały płk. Rydzowi-Śmigłemu pod bezpośrednie rozkazy Komendy Legionów, pułk 2 natomiast (nazywany już od tego czasu 5) oraz pułk 4 utworzyły grupę, oddaną pod dowództwo Piłsudskiego.*

*Rozkaz poniższy opublikowany został po raz pierwszy w «Gazecie Polskiej» w dn. 23 maja 1935 r.*

Komenda I Brygady Legionów Polskich
Nr 994

ROZKAZ

Żołnierze!

Na krótki czas rozstaję się z Wami, powołany do innych czynności. W wypróbowane ręce podpułkownika Śmigłego Rydza oddaję komendę nad Wami, wiedząc, iż otoczycie Go tym samym zaufaniem i miłością, z jaką odnosiliście się do mnie.

Wiem, że nieraz będzie Wam ciężko i smutno mi, że z Wami wtedy nie będę, gdyż wtedy najbardziej Wam pomóc mogę.

Żołnierze! Żądam jednak od Was, abyście i beze mnie zawsze wysoko trzymali sztandar naszego oddziału, z którym zrosło się tyle serdecznych nadziei polskich.

Batalionowi V-mu za mężne i doskonałe zachowanie się w ostatnim boju w Hulewiczach wyrażam podziękowanie i głębokie uznanie.

Rozkaz niniejszy przeczytać w kompaniach, szwadronach, bateriach i instytucjach Brygady.

Kowel, dn. 19 września 1915 r.

J. Piłsudski.

Za zgodność:
Nałęcz ppor.

## *LIST DO PREZESA WYDZIAŁU NARODOWEGO W LUBLINIE*

*Po opanowaniu przez Niemców Warszawy, zaczęła w Królestwie krążyć ulotka p. t. «Legiony zrobiły swoje», przypisywana ogólnie Piłsudskiemu. W związku z tym też Wydział Narodowy w Lublinie zwrócił się do Piłsudskiego z zapytaniem czy istotnie jest on autorem tej ulotki. Odpowiedź Piłsudskiego umieściła «Ziemia Lubelska» w nrze z dnia 3. X., a za nią «Wiek Nowy», umieszczając ją w artykule «O werbunek do Legionów».*

Do W-go Prezesa Wydziału Narodowego w Lublinie.

Szanowny Panie!

Dostarczono mi tutaj odezwę pisaną na maszynie, rzekomo pisaną i podpisaną przeze mnie, a streszczającą jakoby moje poglądy w sprawie Legionów. Wyjątki z tej odezwy ukazały się w druku w «Głosie Lubelskim» i posłużyły temu pismu, jako temat do różnych wywodów.

Oświadczam niniejszym, żem odezwy nie pisał i z tymi, którzy ją rozpowszechniają, nie mam nic wspólnego. Uważam zaś samą odezwę za zwyczajny falsyfikat i nadużywanie mego imienia w sposób niegodny uczciwych ludzi, korzystających z mego położenia, nie pozwalającego na żywszy udział w życiu politycznym Polski.

Proszę przyjąć Panie prezesie, zapewnienie wysokiego szacunku i poważania

J. Piłsudski
Brygadier Legionów Polskich.

---

## *ROZKAZ Z POWODU WALK NA WOŁYNIU*

*Rozkaz cytowany w tekście wydany został po zakończeniu walk, jakie grupa Piłsudskiego toczyła w październiku pod Koszyszczami, nad rzeczką Korminem, dopływem Styru.*

Las pod Kołkami, 25 października 1915.

Żołnierze!

Ostatnie dni przyniosły nam, żołnierzom polskim, wielką chwałę. Odnieśliśmy zwycięstwo nad przemożnym wrogiem,

walcząc w najcięższych warunkach. Żołnierz przemęczony wielodniową dzienną i nocną pracą na rozciągłym froncie, wyniszczony przez chłód, wyniszczony nużącymi patrolami w lasach i błotach, nie tylko dał odpór liczebnie przeważającemu nieprzyjacielowi, ale wyszedł za nim po całonocnej walce, by w pościgu za uchodzącym zadać mu dalsze ciosy, przerazić i zdemoralizować nagłym i nieoczekiwanym napadem. Ostatnim bojem raz jeszcze żołnierze przekonaliście wszystkich, czym jest żołnierz polski. Rad jestem, mogąc to dzięki naszej pracy stwierdzić w licznych pochwałach, podziękowaniach i pochlebnych wzmiankach, jakie otrzymałem z powodu ciężkich dni, jakieśmy przebyli. Dzięki wam wszystkim w imieniu Sprawy, dla której walczymy. Przede wszystkim zaś mym najbliższym pomocnikom: podpułkownikowi Roji [1]) i majorowi Berbeckiemu [2]), których zawsze widziałem w pracy, utrzymujących obronę pozycji, przygotowujących napad. Majorowi Wyrwie-Furgalskiemu [3]) i kapitanowi Bończy-Uzdowskiemu [4]) wyrażam wysokie uznanie za dzielne i energiczne prowadzenie przez pierwszego — kontrataku, przez drugiego — wywiadu za cofającym się nieprzyjacielem. Korzystam tu ze sposobności, by wyrazić podziękowanie oficerom i żołnierzom I batalionu 2-go pułku, specjalnie zaś kapitanowi Sławowi-Zwierzyńskiemu za świetny czyn odbioru armat i karabinów maszynowych pod Stowygorożem dnia 1 października 1915, czyn, który powszechny zyskał poklask.

Rozkaz ten przeczytać w kompaniach, szwadronach i instytucjach podwładnego mi oddziału.

J. Piłsudski.

---

## *ROZKAZ POŻEGNALNY DLA 4-GO PUŁKU*

*Rozkaz poniższy wydany został z powodu odejścia 4 p. piech. na inny odcinek frontu wołyńskiego.*

21 listopada 1915.

Żołnierze!

Zwracam się do was w chwili przykrej dla mnie, a sądzę — i dla was. Czwarty pułk, wierny druh w doli i niedoli, odchodzi. Dwumiesięczna praca zbliżyła nas i zjednoczyła ze

[1]) Ppłk. Bolesław Roja, dowódca 4 p. p. Leg. Pol.
[2]) Mjr. Leon Berbecki, dowódca 5 p. p. Leg. Pol.
[3]) Mjr. Tadeusz Wyrwa-Furgalski, dowódca II batalionu 5 p. piech.
[4]) Kpt. Władysław Bończa-Uzdowski, dowódca batalionu 1 p. piech.

sobą tak, że, zdawało się, zrośniemy się w jeden nierozdzielny i nierozerwalny organizm, żyjący nie tylko wspólną myślą o ojczyźnie i służbą dla niej, ale i wspólnymi przyzwyczajeniami życia codziennego, wspólną wreszcie sławą, tak miłą sercu żołnierza, wspólną i jednakową metodą pracy.

Przeżyliśmy razem w tym lesie pod Kołkami chwile radosne i smutne, ciężkie dnie i noce, wesołe chwile i godziny — zwyczajnie, jak żołnierze. Chcę stwierdzić, że pułk czwarty zawsze okazywał się na wysokości zadania w tym wspólnym życiu, nigdy nie utrudniał życia swym zachowaniem się czy w boju, czy w nudnym okopowym życiu, owszem, zawsze je ułatwiał.

W imieniu wspólnej Sprawy dziękuję czwartemu pułkowi za służbę jego pod moją komendą. W pierwszym rzędzie składam swą wdzięczność pułkownikowi Roji, którego silna wola i indywidualność nadają czwartemu pułkowi jego specjalne cechy, a którego takt i koleżeństwo ułatwiły mi ogromnie komendę, a wam, żołnierze, współżycie. Dziękuję wam wszystkim, oficerowie i żołnierze, za dzielną i odważną pracę, która dała wam sławę godnych następców sławnych ongi «czwartaków». Niech żyje i niech zawsze godnie i dumnie nosi sztandar polskiego żołnierza nasz przyjaciel czwartak! Niech nie zapomina o swych kolegach i przyjaciołach, żołnierzach z I Brygady, tak, jak my o nich pamiętać będziemy.

Rozkaz ten przeczytać we wszystkich kompaniach, szwadronach i zakładach podwładnego mi oddziału.

J. Piłsudski.

---

## *ROZKAZ POWITALNY PO ZŁĄCZENIU BRYGADY*

*Rozkaz cytowany w tekście wydany został po powrocie do składu I Brygady grupy płk. Rydza-Śmigłego, walczącej od 17 września do połowy listopada pod rozkazami Komendy Legionów. Cztery bataliony tej grupy (I, III, V i VI) w czasie tym walczyły pod Jabłonką, Kuklami i Kamieniuchą, po czym już pod dowództwem płk. Sosnkowskiego pod wsiami Miedwieże, Kostiuchnówką i Wołczeckiem. Walki te, prowadzone w trudnym terenie i wśród fatalnych warunków atmosferycznych, jakkolwiek ogromnie wyczerpały te bataliony, prowadzone były przez nie z nadzwyczajnym męstwem, brawurą i wytrwałością.*

Żołnierze!

Po półtora miesięcznej rozłące oddział, któremu mam zaszczyt przewodzić, złączył się razem. Czułem, jak radośnie

biło wam wszystkim serce, widziałem, jak weselem błyszczały oczy, gdy jedni usłyszeli dźwięk muzyki nadciągających pułków, drudzy śpieszyli, by ujrzeć znajome twarze starych towarzyszów broni.

Znowuśmy razem, silni łącznością, mocni wspólną pracą, w przyjacielskim, serdecznym kole robioną! Nie mamy potrzeby drżeć o los i sławę podzielonych części, wiemy, że w naszym społeczeństwie i zgranym gronie zniesiemy największe ciężary.

Żołnierze! Spomiędzy części Brygady najcięższe zadanie spadło na tę połowę, która nie była pod moją komendą. Ciężkie boje, trudne warunki moralne i fizyczne — wszystko zawisło nad głowami dzielnych żołnierzy, by ich złamać. Ciężko mi było myśleć, że te trudy, te walki zewnętrzne odbywają się beze mnie, że w niczym pomóc im nie mogę, nie jestem w stanie dzielić z nimi ich trwóg i obaw, ich pracy i bólów. Wrócili zdziesiątkowani, lecz z tym samym znamieniem żołnierzy I Brygady, co znają śmierć i rany, lecz nie wiedzą, co jest bezsława, co, jak przysłowiowa, stara gwardia, umrzeć mogą — ale się nie poddadzą. W imieniu Sprawy, której służymy, dziękuję im za to.

Specjalnie dziękuję pułkownikowi Rydzowi-Śmigłemu, któremu wypadło w najcięższych warunkach prowadzić Brygadę, za siłę woli i hart, wykazane w tych chwilach, za sławę, którą okrył nas wzięciem Jabłonki i Kukli.

Żołnierze! Niejedna nas jeszcze czeka ciężka przeprawa, niejedną jeszcze trudną walkę przebyć musimy. Jestem przekonany, że złączeni i silni jednością, wyjdziemy z nich zawsze godni naszej sławnej przeszłości.

Rozkaz przeczytać w kompaniach, szwadronach, bateriach i instytucjach podwładnego mi oddziału.

J. Piłsudski.

---

## *ROZKAZ O PORUCZNIKU ŻULIŃSKIM*

*Por. I Brygady, Tadeusz Żuliński, bratanek członka Rządu Narodowego z r. 1863, ciężko ranny w czasie natarcia na okopy rosyjskie pod Kamieniuchą w dn. 28. X. 1915, zmarł w szpitalu polowym I Brygady w dn. 5. XI. 1915 r.*

*Por. Żuliński, jeden z najwybitniejszych oficerów Związku Walki Czynnej od października 1914 r. do sierpnia 1915 r. był Komendantem Naczelnym Polskiej Organi-*

*zacji Wojskowej, prowadzącej akcję wojskowo-niepodległościową i dywersyjną na obszarze Królestwa, zajętym przez wojska rosyjskie.*

Kołki nad Styrem, 29 listopada 1915.

Żołnierze!

W pamiętny dzień 29 listopada, gdy serce żołnierza polskiego żywiej bije z myślą o chwili, w której dziadowie nasi w Warszawie za broń porwali dla walki o wolność ojczyzny, chcę wrazić wam w pamięć imię kolegi naszego, który godzien jest stanąć obok czczonych przez nas bohaterów przeszłości. Mówię tu o zmarłym przed miesiącem od ciężkiej rany poruczniku Tadeuszu Żulińskim.

W zeszłym roku w październiku wysłałem go do Warszawy, by tam, w zaborze jeszcze wówczas rosyjskim, stanął na czele przygotowań wojennych. Gdy my z bronią w ręku mieliśmy satysfakcję boju otwartego z wrogiem, gdyśmy na odpoczynkach w wesołym kolegów gronie zapominali o troskach, gdy wreszcie nawet śmierć, czy ciężka rana spotykała żołnierza wśród wrzawy walki, świstu kul i w otoczeniu przyjacielskim, z nim było inaczej. Tam, w Warszawie, wśród sieci szpiegów i podszeptów słabości, bez wszelkich błyskotek zewnętrznego życia żołnierskiego, mając w perspektywie śmierć samotną w lochu więziennym lub w otoczeniu siepaczy, porucznik Żuliński długie miesiące stał na stanowisku, w tej wojnie najtrudniejszym, a więc i najbardziej honorowym, szedł w ślady ojców i dziadów, którzy tajemnie w ciężkich więzach podziemnego spisku gotowali broń przeciw najeźdźcy. Jego to i jego kolegów praca nawiązywała w naszej walce nić tradycji z tą specyficznie polską wojną, którą toczyli nasi przodkowie, a z ducha której wyrośliśmy i my — nowocześni żołnierze polscy.

Żołnierze! Wzywam was, byście oddali cześć komendantowi oddziału wojsk polskich w Warszawie i w zaborze rosyjskim w r. 1915.

Rozkaz ten przeczytać w kompaniach, szwadronach, bateriach i instytucjach Brygady. W częściach wojsk, nie będących w okopach, po przeczytaniu ostatnich słów komendanta: «Cześć pamięci porucznika Żulińskiego» — szarże salutują. W VI batalionie, gdzie służył w ostatnich czasach porucznik Żuliński, rozkaz przeczytać przed całym batalionem. Kopię rozkazu przesłać rodzinie porucznika Żulińskiego.

Piłsudski,
Brygadier.

## *ROZKAZ OFICERSKI*

*Rozkaz cytowany w tekście wydany został przez Józefa Piłsudskiego w czasie postoju I Brygady w rejonie Karasina. Rozkazem tym Piłsudski przyznał prawo do noszenia znaku oficerskiego tzw. «parasola» członkom Polskich Drużyn Strzeleckich, którzy uzyskali przed wojną pełne kwalifikacje oficerskie. Tą samą zasadą kierował się przed wojną Józef Piłsudski przy nadawaniu «parasola» członkom Związku Strzeleckiego. Ogółem «parasoli» noszonych nad lewą górną kieszenią bluzy mundurowej przyznał Piłsudski 65 oficerom Związków i Drużyn Strzeleckich*

*Po raz pierwszy rozkaz poniższy opublikowany został w pracy Henryka Bagińskiego p. t. «U podstaw organizacji wojska polskiego. 1906—1914». Warszawa 1935.*

Komenda I Brygady Legionów Polskich
Nr 459.

Kwatera Sztabu, dnia 2 III 1916.

Żołnierze!

Po półtorarocznej wojnie dla każdego, chcącego widzieć prawdę, jasnem być musi, że same Legiony, o ile w istocie są zaczątkiem wojska polskiego, jak zarówno cała praca wojenna polska w tej wojnie, jest dalszym ciągiem roboty jeszcze pokojowej dwóch stowarzyszeń wojskowych — Związków i Drużyn Strzeleckich. Pozostały one podstawą dla wszelkiej budowy organizatorskiej, dają ducha i ambitną podnietę do wyniesienia na możliwie wielką wysokość godności i wartości żołnierza polskiego. Bez tej ciężkiej pracy, którąśmy wbrew całemu prawie społeczeństwu prowadzili przed wojną, bez włożenia do dusz szlachetnej ambicji zbudowania własnymi siłami podstaw dla istnienia wojska polskiego, niemożliwymby było ani początek naszej kampanii, ani też późniejsze sławne czyny polskiego oręża.

Dwie te organizacje, współzawodniczące z sobą podczas pokoju, w chwili czynu zlały się w jedno i w ogniu walki stopiły się w nierozerwalną całość tak, że teraz z trudnością przyjdzie odróżnić Drużyniaka od Związkowca, związanych wspólnymi przeżyciami wojennymi, wspólnymi nadziejami i zawodami. Dla upamiętnienia naszej wspólnej pracy podczas pokoju, pracy, która tak świetne dała wyniki, a leżała w całości na barkach ówczesnych oficerów obu organizacyj, i dla zaznaczenia, że praca, pomimo sporów, do jednego zdążała celu — nadaję znak oficerski z czasów pokojowych, noszony dotąd

jedynie przez oficerów Związkowych, również tym obywatelom z Drużyn Strzeleckich, którzy jeszcze w czasie pokoju byli oficerami tej organizacji i wypełnili obowiązki swe względem niej podczas wojny.

Znak oficerski nie pociąga za sobą żadnych nowych zobowiązań i nadany jest przeze mnie jako komendanta obu organizacyj przy wyprowadzeniu ich na wojnę i przemianowaniu ich z pokojowych organizacyj w wojsko, walczące na polu chwały.

J. Piłsudski.

Za zgodność:
K. Sosnkowski, ppłk.

---

## *MOWA NA BANKIECIE W KRAKOWIE 29 MARCA 1916*

*W dniu 2. III. 1916 r. Józef Piłsudski po przebytej w Karasinie influenzie, wyjechał na kilkotygodniowy urlop, który początkowo spędził incognito w Brzuchowicach (od 3. III. do 17. III) pod Lwowem, występując od tego dnia oficjalnie. 17. III. odwiedził delegaturę N. K. N. we Lwowie [1]), 18. III. wziął udział w raucie, zorganizowanym na jego cześć w salach miejskiego kasyna, po czym wyjechał do Wiednia, gdzie 23. III. wygłosił przemówienie w ścisłym gronie polityków polskich; opuściwszy po szeregu konferencyj Wiedeń w dn. 26. III., przybył do Krakowa, gdzie 29. III. na bankiecie, urządzonym na jego cześć w hotelu Saskim przez prezesa N. K. N. Władysława Leopolda Jaworskiego, wygłosił cyto-*

[1]) Podczas przyjęcia Piłsudskiego w delegaturze N. K. N., po przywitaniu przez posła Lisiewicza, «odpowiedział Komendant, że wzrusza go przyjęcie, jakie spotyka we Lwowie, gdzie myśl polska nie zmarniała i nie stchórzyła pod ciężarem losu. Ze Lwowem łączą go najlepsze wspomnienia, on najbardziej przyczynił się do rozwoju idei legionowej. Ze Lwowem łączą go wspomnienia, gdzie po ciężkich przejściach mógł zawsze odpocząć i myśleć o Polsce. Lwów dał mu najlepsze siły, najlepsze siły wyszły ze szkoły lwowskiej. Gdy spojrzymy po szeregach, znajdziemy tam najdzielniejsze jednostki, najlepsi moi ludzie — to lwowiacy, na każdym kroku spotyka się ich uznanie i poważanie. Tak, jak Kielce, pierwsze większe miasto Polski, przyjęło nas serdecznie i nawiązało z nami nici serdeczności, tak i ze Lwowem łączą nas serdeczne nici. Gdy Lwów został oswobodzony, wielkie święto było w mojej Brygadzie. W imieniu własnym i żołnierzy, którym przewodzę, dziękuję wam za to, żeście nie zapomnieli o skromnym żołnierzu, który spełnia swoje obowiązki żołnierskie». (Por. «Kurjer Lwowski» i lwowski również «Wiek Nowy» z 18 i 19 marca 1916 r.).

*wane w tekście przemówienie. Było ono odpowiedzią na mowę Wł. Jaworskiego*[1]) *i Michała Łempickiego, b. posła do Dumy rosyjskiej.*

*Przemówienie poniższe opublikował «Naprzód» krakowski w nrze z 31. III. oraz piotrkowski «Dziennik Narodowy» z dn. 3. IV. 1916 r.*

Kiedy jestem obiektem czy to wyrazów czci, czy pochwał, czy wdzięczności, zawsze jestem wewnętrznie mocno zdziwiony. Bo przede wszystkim praca, której dokonałem, jest w moim wewnętrznym orzeczeniu mała, a jednocześnie mam tyle rozkoszy w tym, co tworzyłem, że po prostu nie może być mowy o zasłudze. U nas tak rzadko przyjemność łączy się z zasługą, że wbija mię to w dumę, nieco dziecięcą, i wstyd mnie, że tak dużo mam wspólnego z tym wiekiem, w którym to prawem było mierzyć siły na zamiary i łamać to, czego rozum nie złamie.

Gdy przejdę do rozmyślań nad okresem 6-go sierpnia

[1]) Przemówienie Wł. L. Jaworskiego, według Dziennika Narodowego» z dn. 3. IV. 1916 r. brzmiało:

«Z uczuciem dumy witamy cię, panie Brygadierze, a mówiąc «my», mamy na myśli tę nieokreśloną, nie dającą się ująć, ani zważyć siłę, tkwiącą gdzieś w społeczeństwie, która, nie wiemy jak, dokonywa selekcji wśród ludzi i wynosi ich na czoło. Jesteś, panie Brygadierze, tej siły wybrańcem i tego ci nikt nie odbierze. Jest to fakt, z którym liczyć się muszą swoi i obcy, przyjaciele i przeciwnicy. Trzeba, aby sobie to wszyscy uświadomili, trzeba, aby wszyscy wiedzieli, że Piłsudski może tylko rość, że zmniejszony i przekreślony być nie może...» «Przez Legiony złożył nasz naród przed światem dowód, że Polacy posiadają pierwszorzędne zdolności militarne. Z najwyższych miejsc stwierdzonym to zostało w słowach, pełnych niezwykłego uznania. Potrzebujemy jednak jeszcze drugiego dowodu, dowodu, że mamy zdolności polityczne, zdolności państwowe, twórcze. Znaczy to, że umiemy budować, a więc działać pozytywnie. To znów znaczy, że potrafimy pokonywać trudności, które stają w drodze pracy, jednoczącej energię i wolę. Legiony są dziełem pozytywnym, militarnym. Potrzebujemy takiegoż dzieła politycznego, potrzebujemy organu, ciała, któreby wydać mogło na świat wolę polityczną narodu. Legiony będą rosły samodzielnie — mam to głębokie przekonanie. Chcę mieć tę wiarę, że i politycznie naród stanie się organiczną całością, zdolną do egzystencji i wzrostu. I oto nasze uczucia, gdy cię widzimy wśród siebie, panie Brygadierze!»

«Dałeś inicjatywę do dzieła militarnego, które okrywa się chwałą i — jakżeż to ważne — jest przykładem dla pozytywnej pracy narodowej w ogóle, może przez ideę, którą mieści w sobie, stać się podstawą dzieła politycznego. Czy mogę cię, panie Brygadierze, powitać słowem droższym, niż to, które wyraża życzenie, aby to dzieło polityczne jak najrychlej złączyło się z dziełem militarnym. To nasze argumenty, którymi bronić będziemy naszej sprawy, sprawy, związanej na zawsze z imieniem Józefa Piłsudskiego. Bronić jej będziemy tak silnie, jak szczerze i gorąco wołamy teraz: Józef Piłsudski niech żyje!...»

1914 r., to muszę ujawnić największą tajnię serc i uczuć naszych żołnierzy. Raczcie się cofnąć, panowie, do tych tak niby dalekich, a przecież tak bliskich czasów, gdyśmy poszli na bój obok największych, najświetniejszych armij świata; my, żołnierze nie z powołania, nie kształceni w akademiach, bez możności przeprowadzenia tej nauki, którą przeciążeni są przedstawiciele milionowych armij. Kiedy przypomnę sobie nasz ówczesny stan ducha, to obok ideałów politycznych znajdę w nim na dnie zaciekłą wewnętrzną ambicję; pomimo, że byliśmy samotni, że była nas garstka, okazać chcieliśmy się godnymi wielkiej przeszłości żołnierza polskiego, chcieliśmy wywołać w duszy wielki oddźwięk pancernej przeszłości Polski. Nie mam żalu do nikogo, nawet do naszych wewnętrznych zwątpień, do tego braku zaufania do nas «laików», «cywil-bagaży», jakimi to mianami nas ochrzczono. Wśród tych, których prowadziłem, byłem najbardziej wiedzącym, co to jest wojna, i pamiętam, kiedym ich uczył przedzierać się przez ten las sprzeczności wiedzy wojennej, potrzebującej tyle techniki, której myśmy w ręku nie mieli, jak to było ciężko. Myśmy się porywali «z motyką na słońce», dmuchali przeciwko wichurze nieufności, pogardy dla tych, co się ważą na takie szalone czyny. Ale jeden jedyny tylko strach nas ogarniał, byśmy się nie stali śmiesznymi w historii, aby nie przysporzyć narodowi polskiemu jeszcze jednego upokorzenia. Żyła w nas ta wściekła ambicja: własnymi siłami wytworzyć nowe wartości polskie.

W tych ciasnych granicach, jakie nam zakreślono, uczył nas każdy szrapnel, każdy granat, każdy trup kolegów naszych i cieszyliśmy się, kiedy oczy nieledwie dziecinne naszych żołnierzy wżerały się w wypadki wojenne, by wyjść z tego upokorzenia i godnie zasłużyć na rycerskie ostrogi. Uczyła nas krew naszych chłopców, rośliśmy w każdej potrzebie. Jeśli mi wolno użyć symbolu, zwrócę się do Żeromskiego, który przedstawił w «Sułkowskim» adiutanta, wżerającego się w tajniki boga wojny. To było nasze zadanie, tym krzepił się nasz duch wobec niezaufania ogółu, jakim nas upokorzono. Gdy teraz wspominam ostatnie boje, gdy pomyślę o chwilach, kiedy drżą i łamią się dusze, gdy wspomnę tych starych wiarusów-gołowąsów, jak z zapałem chwytają do ręki druha-karabin, gdy owych oficerów swoich wspomnę, co, jak starych nauczycieli, witają szrapnele, to widzę, z czego jesteśmy dumni: zginąć możemy, ale hańby imieniu naszemu nie przyniesiemy. Gdy słyszę szum komplementów, gdziekolwiek staję w Polsce, czuję się tylko symbolem tego nowego w Polsce zjawiska: samodzielnie wytworzonego żołnierza. Jeżeli czym zasługuję na

wasze pochwały, to przeświadczeniem, że niech się stanie co chce, a praca nasza nie hańbę, lecz chwałę imieniu polskiemu przyniesie.

W tych przełomowych chwilach, kiedy państwa rzucają na szalę wszystko, co mają, w Polsce trzeba się trzymać w ściślejszych granicach. Nie wolno było rozwinąć się tak szeroko i potężnie, jak tego serce nasze pragnie. Ale w tych granicach jest zawsze wielka samodzielność pracy polskiej na wszelkich polach stwarzania wartości polskiej, wbrew wszelkim niewolniczym zakusom. Wam, panowie, sądzono stwarzać poczucie, że żołnierz nasz nie jest żołnierzem bez ojczyzny — nie tylko materialnej, ale i moralnej. Jeżeli tu staję między wami, jako symbol samodzielnej wojskowej pracy polskiej, to życzę, aby wasza, w określonych granicach prowadzona, praca, stała się tak samo samodzielną. Niech żyje, niech się rozwija Naczelny Komitet Narodowy!

---

## *LIST DO KOMITETU OBRONY NARODOWEJ*

*List Józefa Piłsudskiego, cytowany w tekście, opublikowany został po raz pierwszy w czasopiśmie «Wici» w nrze 27 z dn. 4. VII. 1916, wychodzącym w Chicago. «Wici» opublikowały go p. t. «List Wodza Legionów do Komitetu Obrony Narodowej».*

Obywatele!

Korzystając z okazji, przesyłam Wam serdeczne podziękowanie za tę pomoc, jaką okazujecie nam tutaj w starym kraju. Jako żołnierz dziękuję za tę garstkę «Amerykanów», których mam pod swoją komendą. Z przyjemnością widziałem w nich nie tylko dzielnych żołnierzy, lecz zauważyłem na nich wpływ życia w wolnej Ameryce, gdzie jakby strząsnęli ze siebie dużo z niewolniczych stosunków życia polskiego.

Życzę Wam, Obywatele, byście swą pracą za Oceanem możliwie dużo korzyści dla Sprawy Polskiej uczynić mogli, sądzę, że świadomość tego z obu stron Oceanu przyczyni się do serdecznych, przyjaznych stosunków, gdy da Bóg spotkamy się w Wolnej Polsce.

Kraków, 7. IV. 1916 r. J. Piłsudski.

---

## *SPRAWOZDANIE Z PRZEMÓWIENIA NA BANKIECIE W LUBLINIE*

*Sprawozdanie poniższe z przemówienia Józefa Piłsudskiego opublikował «Naprzód» z dn. 22. V. 1916. Przemówienie to wygłosił Piłsudski w ostatnich dniach kwietnia na bankiecie w Lublinie, po czym opuścił Lublin, udając się na front, na pozycje pod Kostiuchnówką.*

Zaznaczywszy, że z Polakami zaboru rosyjskiego złączony jest tysiącem myśli i uczuć, scharakteryzował życie tego odłamu narodu, którego wszystkie potrzeby wciąż załatwiali obcy: w szkole — obcy nauczyciele, w przemyśle — obcy inżynier, w handlu — obcy kupiec, w urzędzie — obcy urzędnik. Polak mógł ze wszystkiego korzystać, lecz własnymi rękami nie śmiał się dotknąć żadnej budowli naszego życia. I oto budziła się wątpliwość, która dla wielu była już pewnością niemal, że Polak samodzielnie zbudować nic nie zdoła. Polak — to istota podlejszego gatunku, która wtedy tylko żyć i rozwijać się potrafi, gdy mu ktoś obcy dopomoże w jego własnych dążeniach. I zjawiła się u nas wewnętrzna nieufność do siebie, wewnętrzna niemoc. Polak z zaboru rosyjskiego skłonny był do frazesów, do tęsknień, lecz samodzielnie pracować nie umiał. Szukał oparcia z zewnątrz, spoza społeczeństwa własnego, sam nie czuł się zdolnym do tworzenia czy to w dziedzinie kultury, czy w dziedzinie przemysłu, czy w życiu publicznym, pozostawała mu jedynie dziedzina życia prywatnego.

Słuchając toastów i przemówień na cześć swoją, nie może brygadier oprzeć się uczuciu wstydu, że Polak — tak małą robotę, jak wykonana przez niego, stawia aż tak wysoko... I tę tylko przyznaje sobie Piłsudski zasługę, że gdy wyprowadzał z «Oleandrów» żołnierza polskiego, jedno miał przeświadczenie: należy zrobić to, czego ojczyzna nie umiała — zbudować wiarę w siebie bez najmniejszej opieszałości, bez wahań.

I dowiódł, że Polak może stworzyć samodzielną wartość bojową. W każdym zaś narodzie cenioną jest tylko jego samodzielność. Tylko rzeczy własnymi rękami robione posiadają istotne znaczenie. To też twórca odnowionej bojowej wartości Polaków wzywa społeczeństwo do trwania przy własnej myśli, do opierania się na własnych siłach.

## *LIST DO LEONA WASILEWSKIEGO*

*List do Leona Wasilewskiego, ówczesnego kierownika biura Sekretariatu Generalnego N. K. N., opublikowany został w pracy tegoż p. t. «Józef Piłsudski, jakim Go znałem» na str. 142—143. Instrukcje, przesłane Wasilewskiemu, związane były z walką, jaką Józef Piłsudski prowadził z Depart. Wojskowym N. K. N., przeciwdziałającemu niezależnej polityce niepodległościowej, reprezentowanej przez Piłsudskiego.*

*List datowany jest spod Wołczecka, tj. z pozycji pod Kostiuchnówką nad Styrem.*

Pozycja pod Wołczeckiem 26/VI 1916.

Mój Drogi,

List ten dasz do przeczytania Radlińskiej [1]) i w odpisie prześlij go do Ulrycha [2]) oraz do Piotrkowa do Pietrka [3]).

Za wszystkie raporty i listy serdeczne dzięki, cieszę się ogromnie, że możemy tak ścisłą komunikację pomiędzy sobą utrzymać i że w ten sposób ściślej się wiąże wspólna praca.

Instrukcja jest następująca: Ulrych ma zażądać odprawy obiecanej, k o n i e c z n i e z p r e z e s e m [4]), przynajmniej do 15 lipca, w przeciwnym razie 15 lipca wszyscy i urzędnicy i oficerowie podają się do dymisji. Jeżeli odprawę obiecają, wówczas zrobić [ustępstwo] i zostać do odprawy. Jeżeli kogokolwiek do tego czasu wyrzucą, też ogólna dymisja.

W razie odprawy: żądać jak zwykle a) cywilnego departamentu, b) usunięcie się od K. Stelle [5]), c) usunięcia się od wewnętrznej polityki Królestwa. Zachowanie się ma być następujące: W razie, jeśli do tego czasu usuną się lub będzie pewnym, że się usuną, Sikorski, Downarowicz i Kot [6]), nie być nieustępliwymi i godzić się z wyjaśnieniami — decyzję w tym kierunku o tym, czy pewnym jest usunięcie się wymienionych osób, ma U l r y c h. W przeciwnym wypadku, to

---

[1]) Helena Radlińska, wybitna postać w polskim ruchu niepodległościowym i społecznym, pisująca pod ps. H. Orsza.

[2]) Juliusz Ulrych, podporucznik I Brygady, odkomenderowany przez Piłsudskiego do Dep. Wojsk. N. K. N.

[3]) Piotr Górecki, kierownik Zw. Strzel. w Belgii, w N. K. N. reprezentował obóz niepodległościowy.

[4]) Prezes N. K. N. — Wł. Leop. Jaworski.

[5]) K. Stelle — skrót od Kundschaftsstelle, służba wywiadowcza wojsk austriackich.

[6]) Płk. Władysław Sikorski, szef Dep. Wojsk. N. K. N., Stanisław Downarowicz i dr Stanisław Kot, najbliżsi współpracownicy płk. Sikorskiego.

znaczy, gdy jest pewność zostania tych nieobliczalnych maniaków «idei legionowej», podać dymisję wszystkich.

W tym wypadku oficerowie i szeregowcy wracają do pułków, urzędnicy idą do Centralnego Komitetu Narodowego [1]) na pracę. Teraz już wysłać do Warszawy do Sławka kogokolwiek dla omówienia szczegółów pracy każdego. Sławek jest uprzedzony o tym.

Ty i Sokolnicki [2]) zostajecie na stanowisku dotychczasowym. Sprawę zachować w sekrecie, nie rozbębniać jej przed czasem.

Uścisk dłoni

Ziuk

---

## *ROZKAZ Z POWODU BITWY POD KOSTIUCHNÓWKĄ*

*Bój pod Kostiuchnówką nad Styrem (zwany również bojem pod Kołodią lub pod «Polską Górą») stoczyły wszystkie trzy brygady legionowe w dniach od 4 do 6 lipca 1916 r., odpierając natarcie Rosjan, przeprowadzone na tym odcinku w związku z ogólną akcją rosyjską zwaną ofensywą gen. Brusiłowa.*

*Najcięższe zadanie w czasie boju pod Kostiuchnówką spadło na I Brygadę, a zwłaszcza na jej 2 pułk (5 Legionów), zajmujący prawe skrzydło pozycji, w sąsiedztwie z 128 brygadą austriacką. W bitwie tej, w której na trzy brygady legionowe przeprowadzone zostało natarcie dwóch dywizyj piechoty rosyjskiej i czterech dywizyj kawalerii, żołnierz legionowy wykazał niezwykły hart ducha i wspaniałe zalety bojowe, cofając się tylko na skutek załamania się skrzydeł austriackich.*

Czeremoszno, 11 lipca 1916.

Żołnierze!

Najcięższe z dotychczasowych naszych bojów przebyliśmy w dniach ostatnich. Ogień artylerii, z nieznaną nam dotąd potęgą szalejący na naszych okopach, masowe ataki nieprzyjaciela, przebijanie się bagnetem przez piechotę wroga, masowe również szarże kawalerii rosyjskiej, wreszcie odwrót w nadzwyczajnie ciężkich warunkach — oto, cośmy przeszli w ciągu kilku dni. Pomimo krwawych i ciężkich ofiar, któreśmy złożyli, cofnęliśmy się z każdorazowej pozycji jedynie wtedy, gdyśmy byli prawie otoczeni; schodziliśmy zawsze

[1]) Centr. Komitet Narodowy — organizacja stronnictw niepodległościowych Królestwa Kongresowego, założona w r. 1915.

[2]) Dr Michał Sokolnicki, Sekretarz Generalny N. K. N., mąż zaufania Piłsudskiego.

ostatni z pola, przeciwstawiając wszędzie na naszym froncie nowy opór przemocy.

Dumny jestem z zachowania się I Brygady w tych bojach pod Kostiuchnówką, chcę zaś wierzyć, że każdy z nas, jak to prawemu żołnierzowi przystoi, wyniósł z tych dni dużo doświadczenia i nauki, gdy tyle dla siebie nowych rzeczy widział, w tylu nowych formach boju brał udział. W kilka dni takiego boju rekrut staje się starym wiarusem, który ma co wspominać i czego uczyć drugich. Najcięższe działanie bojowe spadło tym razem na pułk 2-gi mojej Brygady, pułk «zuchowatych» Berbeckiego. Pułk stracił swego dowódcę, ciężko rannego, obu komendantów batalionów zabitych i rannych, — więcej, niż połowa, oficerów i prawie połowa żołnierzy spłaciły krwią serdeczną dług ojczyźnie i sławie wojska — i pomimo to pułk, zmniejszony w składzie, wyszedł wyczerpany fizycznie, nie moralnie.

Boje pułku Berbeckiego i VI batalionu kpt. Kukiela [1]) w dn. 4, 5 i 6 lipca, jeżeli pozostaną w mojej pamięci smutnymi z powodu ciężkich i bolesnych strat najlepszych kolegów broni, zaliczonymi jednak być muszą do najsławniejszych, jakie Brygada przeżyła. Dzięki oficerom i żołnierzom za dzielną pracę i hart ducha!

Najboleśniejszą naszą stratą jest zabity mjr. Wyrwa-Furgalski, który tyle sławy nam przysparzał, tylu żołnierzy wychował, a tylu upadających moralnie swym humorem i tężyzną podtrzymywał. Był jednym z najlepszych naszych oficerów.

Cześć jego pamięci!

Najsławniejszymi czynami w tych dniach są kontratak 8-ej kompanii pułku Berbeckiego na Polską Górę i odparcie przez bataliony mjr. Fleszara [2]) (specjalnie VI batalion kpt. Kukiela) masowej szarży kawalerii rosyjskiej. Pierwszy, prowadzony wieczorem 4 lipca przez ppor. Myszkowskiego z nadzwyczajną brawurą i efektem, uratował od zagłady płk. Berbeckiego, a przez odebranie Polskiej Góry, zdobytej przez wroga na naszych sąsiadach z prawej strony, cofnął o cały dzień odejście ostateczne z pozycji Kostiuchnówka—Wołczeck, co uratowało oddziały na południe od nas. Drugi — 6 lipca przeprowadzony przez V i specjalnie VI batalion pod dowództwem mjr. Fleszara — zatrzymał nieprzyjaciela w chwili nadzwyczajnie krytycznej, gdy wszystko naokół się cofało, a na

[1]) Kpt. Marian Kukiel dowodził VI batalionem, wchodzącym w skład 7 p. p. I Brygady.

[2]) Mjr. Albin Fleszar — dca V i VI batalionu.

nasz front rzucono masy kawalerii. Odparcie tych ataków i wyrzucenie z przedpola wdzierającej się na nasze pozycje z lewa piechoty, dozwoliło spokojnie odejść całej Brygadzie, nieledwie w półtora godziny po rozpoczęciu odwrotu przez inne oddziały — nieprzyjaciel długo nie ośmielił się potem nas ścigać. Znakomicie do tego przyczynił się mjr. Brzoza, kierując do ostatka ogniem baterii prawie w samej linii tyralierskiej.

Dziękuję oficerom i żołnierzom pułku Berbeckiego i obu batalionom mjr. Fleszara za dzielną pracę i bohaterstwo w tych walkach.

J. Piłsudski.

## *SPRAWOZDANIE KOMENDY I BRYGADY Z BOJU POD KOSTIUCHNÓWKĄ 4. VII. 1916*

### Pierwszy dzień bitwy

(4. VII. 1916 r.)

*Fragmenty ze sprawozdań Józefa Piłsudskiego z boju pod Kostiuchnówką opublikował po raz pierwszy Jan Sadowski w pracy p. t. «Bój Legionów Polskich pod Kostiuchnówką» (Warszawa 1931), a «Sprawozdanie Komendy I Brygady z odwrotu I Brygady Legionów Polskich na Stochód» Hugo Zieliński w «Gazecie Polskiej» z 6. VIII 1934 r. Całość, na podstawie akt Wojsk. Biura Historycznego, ogłoszona została w «Tomie Dodatkowym» «Pism — Mów — Rozkazów».*

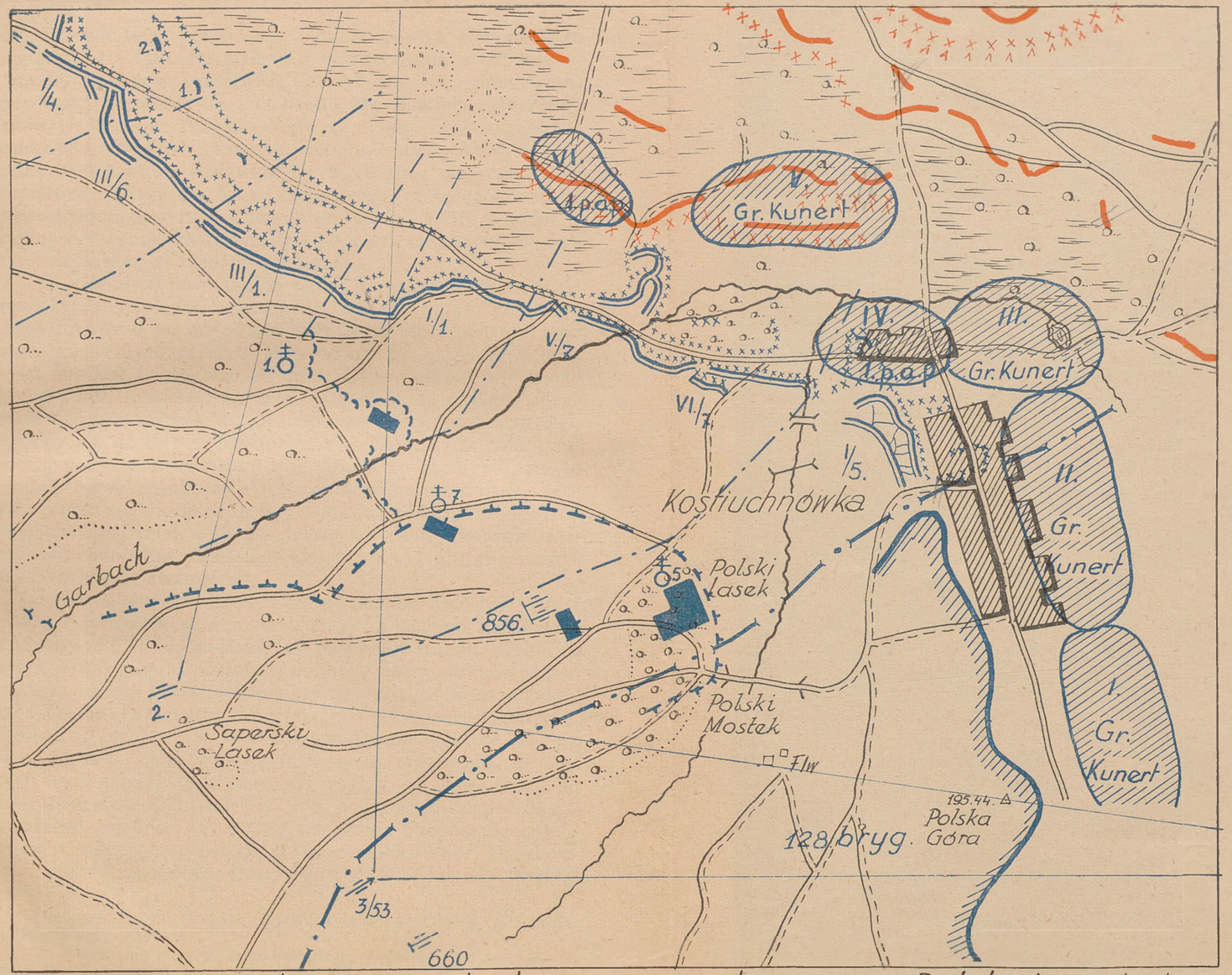
Dnia 4 b. m. nieprzyjaciel o godzinie 6 rano rozpoczął ostrzeliwanie pozycji I Brygady i sąsiadującego z nią odcinka honwedów [1]) ogniem ciężkiej i polowej artylerii. Ogień ów, wzrastając na sile, doszedł niebawem do napięcia ognia huraganowego, który trwał przez cały dzień z niesłabnącą siłą. Przybliżone obliczenie stwierdziło wprowadzenie po stronie rosyjskiej 4—5 bateryj ciężkiej (15—18 cm) oraz przynajmniej 5 polowych bateryj. Ogień skoncentrował początkowo przeciwnik na redutę przyczółka mostowego [2]) oraz na prawe skrzydło Brygady, po południu zaś przeniósł wszystkie wysiłki na prawe skrzydło baonu kpt. Kukiela (na wschód od przyczółka), oraz na odcinek 5 pułku piechoty. Ogień ciężkich

[1]) Mowa o 128 brygadzie austr., wchodzącej w skład 53 dywizji.

[2]) «Reduta Piłsudskiego» na przyczółku mostowym rzeczki Garbachu, dopływie Styru.




Ugrupowanie obronne i rozbudowa pozycji




Objaśnienie:

- okopy I pozycji
- przeszkody z drutu kolcz.
- rowy dobiegowe
- granica dywizyj
- ~"~ brygad
- ~"~ pułków
- ~"~ batalionów
- linia ryglowa (pozycja poprzeczna)
- pozycja II linii.
- stanowiska bateryj 8cm.
- ~"~ ~"~ haubic.
- Gr. Kunert — rejon alarmowego ognia art. (zapora ogniowa)
- mosty i kładki
- zasieki z drzew i drutów kolcz.

Uwaga: dalsze pozycje rosyjskie na podstawie zdjęć lotn.

Ugrupowanie obronne i rozbudowa pozycji Legjonów Polskich w dn. 4. VII. 1916 r.

1000m. 750 500 250 0 1 Km

BITWA POD KOSTIUCHNÓWKĄ

I dzień

bateryj szedł tutaj przeważnie z okolic rewiru Rogi, a więc najzupełniej z tyłu. Po południu równocześnie z ostrzeliwaniem linii okopów przeciwnik zaczął stosować nadzwyczaj silny ogień zaporowy na tyły baonu kpt. Kukiela i na Lasek Polski [1]), którego bezpośrednim skutkiem było kompletne zniszczenie wszelkich połączeń telefonicznych, których, pomimo wielokrotnie wznawianych wysiłków, nie udało się przywrócić, — raz dla ognia zaporowego, raniącego i zabijającego telefonistów z wysyłanych patroli, po wtóre z nadzwyczajnej siły ognia, który rozbijał po paru minutach połączenia, z największym trudem nawiązane.

O godzinie 6 po południu ogień huraganowy doszedł do największego napięcia. Jednocześnie przeciwnik, który w ciągu całego dnia pod osłoną artylerii rozwijał się i podszedł pod nasze linie, rozpoczął atak, skierowany na przyczółek oraz części okopów na zachód od przyczółka, wreszcie na prawe skrzydło kpt. Kukiela i na lewe skrzydło 5 p. p. Gęste masy przeciwnika, które w kilku po sobie następujących łańcuchach wyłoniły się od dworu Kostiuchnówki i z lasu na północ od dworu, podpuszczono blisko pod druty, po czym rozpoczęto masowy ogień karabinowy i karabinów maszynowych. Moskale rzucili się w popłochu do ucieczki. Uciekające masy nieprzyjaciela ostrzelał z flanki prawoskrzydłowy karabin maszynowy baonu kpt. Kukiela, zadając przeciwnikowi nadzwyczaj ciężkie i krwawe straty.

Próby ataku na redutę i na zachód od niej 400 p. p. [2]) zostały z łatwością stłumione w zarodku ogniem karabinów maszynowych. Około godziny 7.30 po południu ppłk. Berbecki, komendant 5 p. p. zameldował, iż okopy honwedów na prawo od niego zostały przez tychże zupełnie opróżnione oraz zajęte przez Rosjan. Przeciwnik, korzystając z gęstej sieci ganków [3]), zgromadził szybko i w sposób niewidoczny znaczne siły na tyłach I/5 p. p., które w pewnym momencie wyprowadził, atakując baon z tyłu. Ppłk. Berbecki, ratując sytuację, rzucił do kontrataku dwie kompanie II/5 p. p. pod komendą ppor. Myszkowskiego, wydając mu rozkaz odebrania okopów na południe od północnego cmentarza Kostiuchnówki. Ppor. Myszkowski, przeszedłszy Polski Most [4]), napotkał gromady tłumnie

[1]) «Lasek Polski» położony był na tyłach pozycji 5 p. p. i stanowił drugą linię obronną.

[2]) Natarcie na pozycje legionowe przeprowadzała 100 dywizja rosyjska w składzie 400, 399 i 397 pułków piech.

[3]) Ganki — rowy dobiegowe do okopów.

[4]) «Polski Most» łączył pozycje I linii z «Polskim Laskiem».

uciekających honwedów, z których na jego wezwanie przyłączyło się do atakujących nowych kompanij zaledwie kilku podoficerów plutonowych. Natychmiast po przejściu mostu kompanie otrzymały silny ogień karabinowy z Polskiej Góry [1]). Powyższa okoliczność zmusiła ppor. Myszkowskiego do atakowania Polskiej Góry, miast rozciągnięcia się frontem na północ i przyjęcia nakazanego dla kontrataku kierunku. Atak na Polską Górę został przeprowadzony szybko i zwycięsko, przy czym wzięto jeńców z 306 pułku piechoty. Ppor. Myszkowski kieruje swe kompanie na północ, pragnąc dotrzeć do zapory ryglowej [2]), przedzielającej odcinek I Brygady od odcinka honwedów, zdołał dotrzeć jednak zaledwie do odchylenia okopów flankującego teren wsi Kostiuchnówki przy drodze, dochodzącej do południowego krańca Kostiuchnówki. Jednocześnie kompania, czy też półtorej kompanii honwedów, świeżo przybyłych z Maniewicz, obsadzają zdobytą przez ppor. Myszkowskiego Polską Górę. W międzyczasie parcie nieprzyjaciela, atakującego w masach z tyłu I/5 p. p., stało się o tyle silnym i groźnym, iż kpt. Sław-Zwierzyński [3]), widząc odcięty odwrót i wzięty w ogień ze wszystkich stron, decyduje się wyprowadzić baon z okopów i z bagnetem w ręku przebić się w kierunku na Polski Las. Decyzję swą uskutecznia, przy czym sam pada zabity. Obok niego ginie dwu komendantów kompanii. Baon przebija się, biorąc po drodze jeńca, prażony równocześnie z tyłu przez Rosjan, którzy masami z krzykiem «ura» zajęli opróżnione przez odwrót okopy pod Kostiuchnówką, zaś z flanki z okopów na południe od cmentarza.

W sytuacji powyższej ppłk. Berbecki wydaje całemu pułkowi, nie wyjmując kompanii ppor. Myszkowskiego, rozkaz wycofania się na drugą pozycję [4]), co też zostaje uskutecznionym. Cofnięcie 5 p. p. wymusza odwrót baonu kpt. Kukiela, który wskutek zerwanych połączeń telefonicznych otrzymuje odnośny rozkaz z opóźnieniem przez ordynansa. W momencie otrzymania rozkazu baon ma Moskali na tyłach swego

[1]) Nazwa niewłaściwa. «Polska Góra», piaszczysta wyniosłość, położona w odległości 1 klm na płd. od wsi Kostiuchnówki, nazwana tak została po jesiennych walkach w 1915 r., kiedy o jej posiadanie walczyły oddziały legionowe. Wyniosłość, na której znajdował się 5 p. p. i 128 brygada honwedów, nosiła nazwę «Góry Madziarów»; powszechnie jednak w I Brygadzie nazywano tę właśnie wyniosłość «Polską Górą».

[2]) Zapora ryglowa — okopy prostopadłe do głównej pozycji obronnej, umożliwiające wycofanie się na II pozycję obronną.

[3]) Kpt. Stanisław Zwierzyński, dca I batalionu 5 p. p.

[4]) T. j. do «Lasku Polskiego».

prawego skrzydła; ruch odwrotowy wykonuje pod ogniem flankowym od strony Kostiuchnówki.

W rezultacie zmuszony zostałem wydać rozkaz cofnięcia obsady przyczółka, oraz części 1 p. p. na drugą pozycję i stanowisko ryglowe, łączące drugą pozycję z pozycjami lewego skrzydła 1 p. p. pierwszej linii. Ruch ten został uskuteczniony pod osłoną nocy.

Wobec zamierzonego kontrataku, postanowiłem utrzymać patrolami opuszczoną przez grupę mjr. Fleszara i części 1 p. p. pozycję pierwszej linii. Wysłane w ciągu nocy placówki w sile 2 plutonów z każdego baonu zajmują stare pozycje i utrzymują je do dnia następnego, wycofując się dopiero w następstwie nieudałego kontrataku.

Do przeprowadzenia kontrataku wyznaczony został baon II/5 p. p. i II/6 p. p. pod komendą mjr. Wyrwy-Furgalskiego. Punkt wyjścia kontrataku: Most Polski; kierunek frontu kontrataku: północno-wschodni. Przed rozpoczęciem kontrataku niezbędnym było stwierdzić stan rzeczy na Górze Polskiej, co napotkało na niesłychane trudności, gdyż meldunki ppłk. Berbeckiego, wiadomości z 53 dywizji i z Komendy Legionów stały w wyraźnej sprzeczności pomiędzy sobą co do stwierdzenia zasadniczego faktu: mianowicie, czy Polska Góra jest w ręku naszym (honwedów), czy też nieprzyjaciela. Oczywiście, iż w tym ostatnim wypadku kontratak nie mógł liczyć na powodzenie, zaś szczupłość sił nie pozwalała na wyznaczenie zbyt szerokiego frontu dla kontrataku. Wreszcie po upływie paru godzin za pośrednictwem patrolu kawaleryjskiego, wysłanego z 1 p. ułanów, udało się stwierdzić, iż na Górze Polskiej stoi 10 kompania honwedów pod komendą «gefreitra» [1]) oraz szczątki 9 kompanii, które zajmują wierzchołek góry oraz odcinek okopu długości do 200 kroków na północ od Polskiej Góry — nie mając zresztą żadnej łączności z sąsiadami na prawo. Wedle meldunku oficera, prowadzącego patrol, obsada była nadzwyczaj słaba liczebnie (plus minus 1 żołnierz na 10 kroków) i zdeprymowana moralnie.

Dla okoliczności powyższych kontratak rozpocząć się mógł dopiero o godzinie 3 [2]), gdy warunki oświetlenia pozwalały już nieprzyjacielowi widzieć dokładnie cele i orientować się w terenie.

Linia ataku posuwała się naprzód pod silnym ogniem przeciwnika, ponosząc dotkliwe straty w oficerach i żołnie-

[1]) Gefreiter — st. żołnierz.
[2]) O 3 nad ranem.

rzach. Z chwilą, gdy kontratak podchodził do linij opuszczonych okopów w części ich, położonej na północ od Polskiej Góry, wyłoniła się silna grupa Rosjan, którzy z okrzykiem «ura», rzucając ręczne granaty, zaatakowali od tyłu prawe skrzydło posuwającej się linii. Jednocześnie przed lewe skrzydło z dawnych pozycyj 5 p. p. wyszły do ataku gęste masy nieprzyjacielskie w sile co najmniej 10 kompanij. W warunkach podobnych, poniósłszy przy tym ciężkie straty, mjr. Wyrwa zmuszony był cofnąć się, co też uskutecznił pod silnym ogniem przeciwnika.

Straty w ciągu dnia 4 b. m. i nocy z 4 na 5 wynoszą:

w 1 p. p. — 1 oficer ranny,
14 żołnierzy rannych,

w 5 p. p. — straty nie zostały jeszcze podsumowane, w każdym razie dochodzą do 50%. Zabitych 11 oficerów, rannych 3.

w grupie mjr. Fleszara:
1 oficer ranny,
16 żołnierzy zabitych,
33 żołnierzy rannych,
10 żołnierzy kontuzjowanych,
7 żołnierzy zaginionych,

w II/6 p. p.:
1 oficer zabity,
2 oficerów rannych,
zabitych i zaginionych 43 żołnierzy,
rannych żołnierzy 35.

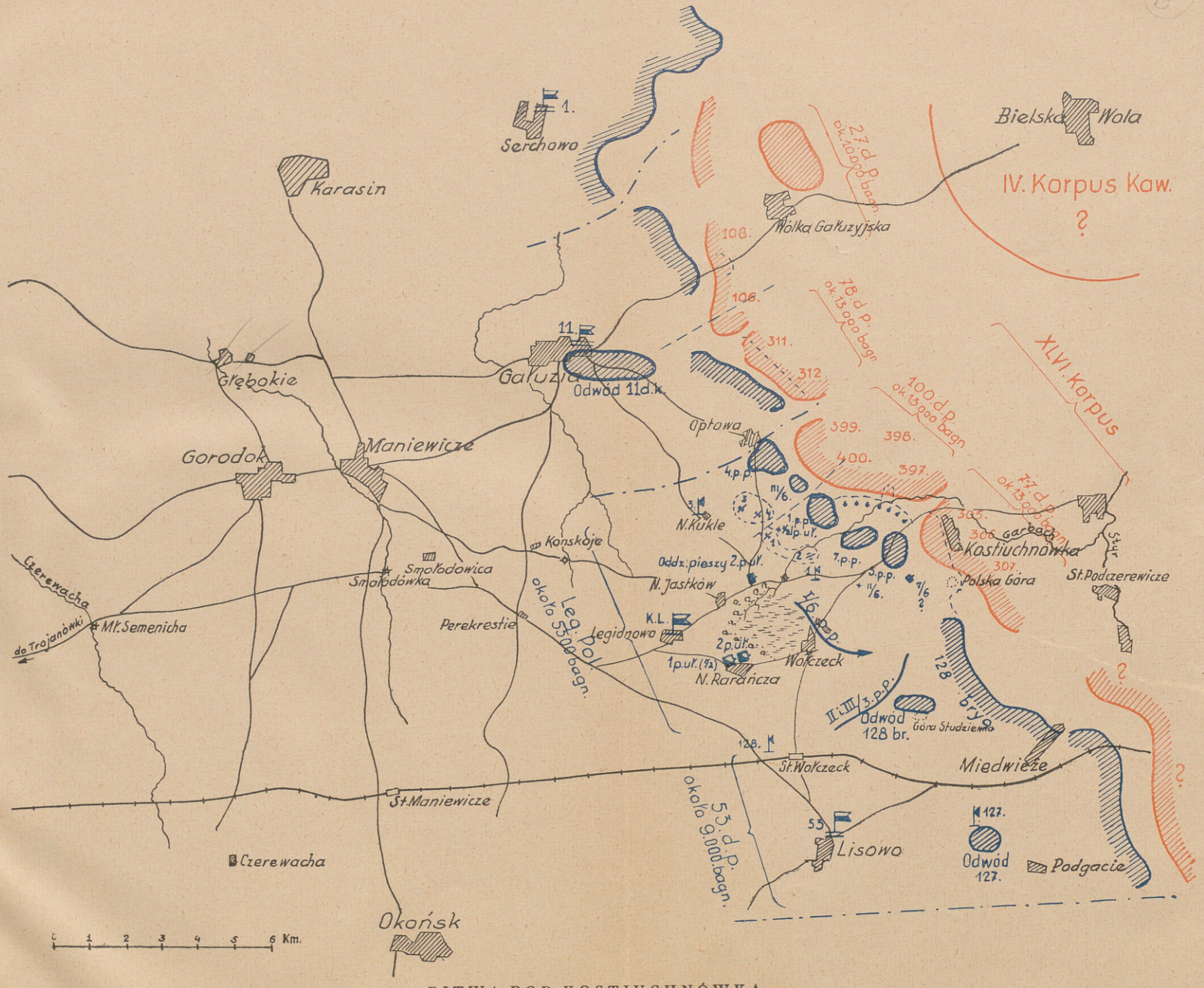
## Drugi dzień bitwy
(5. VII. 1916 r.)

Czeremoszno, dnia 12. VII. 1916.

Po wycofaniu się z kontrataku mjr. Wyrwa przeszedł do Polskiego Lasku; dla łączności z 3 p. p. honwedów została 7 kompania 6 p. p., który stanął w prawo od II/5 baonu.

O godzinie 6 rano 3 p. p. wszedł w lukę i obsadził ją trzema kompaniami. W tym samym czasie rozpoczął się ogień artyleryjski nieprzyjacielski na Polski Lasek i Polską Górę. Ogień trwał z przerwą godzinną w południe przez cały dzień i osiągnął intensywność tak znaczną, jakiej w poprzednim dniu nie było przez chwilę.

Strzelanie własnej artylerii nie stanowiło dla nieprzyjaciela żadnej przeszkody; małe kalibry i niewielka ilość artylerii, ponadto zerwanie linij telefonicznych i niemożność wsku-




BITWA POD KOSTIUCHNÓWKĄ

**II dzień**

tek tego racjonalnego kierownictwa ogniem powodowały to, że znaczenie jego było nieznaczne.

Tego dnia nieprzyjaciel od samego rana rozpoczął podsuwanie się pod cały front Brygady. Przed 1 p. p. stało się wkrótce niemożliwym wysyłanie patroli; silny patrol, wysłany o godzinie 10 przed południem, stwierdził już znaczne siły i wziął na jednej z wysuniętych placówek 39 jeńców.

Ogień artyleryjski jednakże był, jak poprzedniego dnia, skoncentrowany głównie na prawe skrzydło. Już o godzinie 10.30 były słabo w tym miejscu wybudowane okopy, zwłaszcza na północnym krańcu Polskiego Lasku, zupełnie rozwalone.

Stan broni u obsady Lasku był rozpaczliwy: karabiny maszynowe, częściowo zdemontowane, karabiny, zasypywane często piaskiem i niszczone pociskami artylerii, w znacznej części niezdatne do użycia.

Ponieważ nie robiono mi nadziei na nadejście posiłków, 5 p. p. zaś był zupełnie wyczerpany dwudniową bitwą, postanowiłem zluzować 1 p. p., dotychczas najmniej zmęczony, kawalerią, stojącą w Nowych Rarańczach, zaś 1-ym p. p. zluzować 5 p. p., przeprowadzając tenże do rezerwy.

Wysłałem po godzinie 2 dla wzmocnienia i częściowego zluzowania 5 p. p. dwie kompanie, stojące w rezerwie 1 p. p., jednakże luzowanie mogło być tylko częściowo uskutecznione ze względu na siłę ognia huraganowego (godzina 4.20 po południu).

Również na odcinku 1 p. p. ogień artyleryjski i napór nieprzyjaciela wzrósł tak, że luzowanie przez kawalerię okazało się niemożliwe (godzina 7 po południu).

O godzinie 7.30 po południu rozpoczął 3 p. p. między Polskim Lasem a Polską Górą cofanie się z powodu nacisku dużych mas nieprzyjacielskich. Jednocześnie rozpoczął się atak znacznymi siłami na 5 p. p. Wówczas cofnęła się w nieładzie, uciekając przez Polski Mostek, kompania honwedów, stojąca po wschodniej stronie mostu, w ślad za nią weszły do Polskiego Lasku kupy nieprzyjacielskie, zachodzące na tyły II/6 baonu i 5 p. p. Oddziały te trzymały się do ostatniej chwili, wówczas jednak, kiedy grupy nieprzyjaciela zaszły zupełnie na tyły, tak, że dochodziły już na środek odcinka mjr. Fleszara, były zmuszone wycofać się.

Rozwinięto natychmiast kompanię por. Lisa [1]) dla zasłonięcia odwrotu już otoczonych z trzech stron baonów.

Jednocześnie zarządzono co następuje: mjr. Fleszar obsadzi swoimi baonami pozycję wzdłuż Garbachu; w następstwie

[1]) Por. Leopold Lis-Kula, poległ jako major w r. 1919. Jeden z najświetniejszych oficerów I Brygady.

tego 1 p. p. cofnie się na II pozycję, o czym zawiadomiono III Brygadę. Na okopy na północ od Wołczecka wysłano natychmiast ostatnią rezerwę, t. j. kompanię saperów I Brygady, kompanię techniczną Komendy Legionów, kompanię saperów 3/9 i cztery szwadrony 1 i 2 pł ułanów, ściągnięte pośpiesznie z 1 p. p. Dla ustalenia tam pozycji i zatrzymania cofających się oddziałów zostali wysłani do Wołczecka wszyscy, będący w bezpośredniej dyspozycji Brygady, oficerowie.

Tym czasem kompania por. Lisa, zatrzymawszy na wschodnim skraju Lasku Saperskiego [1]) prącego z nadzwyczajną siłą nieprzyjaciela, umożliwia wycofanie się 5 p. p., 7 p. p. i II/6 baonu przez most M. na Garbachu. Wycofanie się tych oddziałów na Wołczeck było już niemożliwe. 5 p. p. i II/6 baon zebrały się w Nowym Jastkowie.

Wobec tego, że cała Brygada przyjęła front wschodni, otrzymałem zezwolenie na przeniesienie się do Nowego Jastkowa, dokąd przyszedłem o godzinie 1 w nocy. Tymczasowo komendę odcinka Wołczecka powierzyłem rtm. Belinie [2]).

Reasumpcja:

5-ty p. p. i II/6 baon w ciągu całego dnia wytrwał na pozycji w Polskim Lasku, z dawna już znanej nieprzyjacielowi i bardzo słabo wybudowanej (wybudowanie tej pozycji należało do 128 brygady piechoty). Przez cały dzień był na te pozycje prowadzony huraganowy ogień nieprzyjacielskiej artylerii, który już do południa zniszczył okopy.

Obsada ich zaś wycofała się dopiero wówczas, kiedy nieprzyjaciel, zaszedłszy dużymi masami od tyłu, obszedł ją z trzech stron. Nacisk nieprzyjaciela na cofające się oddziały był tak silny, że nie mogły się one wycofać na Wołczeck, lecz na most M. na Garbachu.

Pozycje zaś na Garbachu i na północ od Wołczecka zostały w całości zamknięte innymi oddziałami.

## Trzeci dzień bitwy
(6. VII. 1916 r.)

Czeremoszno, dnia 13. VII. 1916.

Dnia 6 o świcie linia ukształtowała się w sposób następujący. Od północy 1 pułk w liczbie 5 kompanij — 2 zostały odesłane dnia poprzedniego na pomoc pułkowi 5-mu, jedna

[1]) «Lasek Saperski» położony był za «Laskiem Polskim».

[2]) Rtm. Władysław Belina-Prażmowski, dca 1 p. ułanów I Brygady.

zaś 7-mu — rozwiniętych od lewego skrzydła III/6 p. p. w kierunku południowym koło dawnych stanowisk 1 baterji; dalej na południe szła niczym niewypełniona luka długości około 800 kroków; dalej na południe wzdłuż zachodniego skraju leśnego bagienka 174,95 — mapa 1:25000 — 2 pułk ułanów — bez drugiego szwadronu i bez szwadronów pieszych; do prawego skrzydła 2 p. ułanów łączył pułk 7, zajmując stanowisko przed drogą belkową M. na Garbachu i linię wzdłuż skraju lasu około 800 kroków na południe tak, iż prawe skrzydło 7 p. p. kończyło się mniej więcej na wprost Jastkowa. Dalej na południe aż do Nowej Rarańczy biegła zupełna luka, której wypełnić z powodu braku sił nie było możności. Wprawdzie około Nowego Jastkowa zbierały się w tym czasie zdziesiątkowany 5 i baon II/6 p. p., o wprowadzeniu tych sił na linię jednak wobec absolutnego wyczerpania żołnierzy mowy być nie mogło. Z dwóch detaszowanych dnia poprzedniego kompanij 1 p. p. zebrało się do rana około 60 żołnierzy, którzy zostali pośpiesznie odesłani na północ od swego pułku, gdzie bliskie podsuwanie się przeciwnika i rozpoczęty od wczesnego ranka ogień artyleryjski nasuwały poważne obawy co do położenia rzeczy.

W sposób powyższy front I Brygady o rozciągłości około 6 kilometrów obsadzony był tylko fragmentarycznie siłami, nie przenoszącymi 1300—1400 karabinów. W rezerwie grupował się w Nowym Jastkowie niezdolny absolutnie do boju, jak już wspomniano, pułk 5-ty.

Komenda Brygady od świtu zajęła stanowisko w Nowym Jastkowie.

W podobnej sytuacji, biorąc pod uwagę:

A. Możność przedarcia się przeciwnika przez błoto wołczeckie w kierunku mostu Brzozy, a więc w kierunku odcinka najzupełniej nieobsadzonego,

B. stan błot zupełnie prawie wyschłych i nastręczających dogodne warunki przejścia po terenie, osłoniętym krzakami,

C. stan pozycyj najzupełniej nieprzygotowanych — zaledwie w paru miejscach były wykopane rowy,

D. wiadomość, powziętą od jeńców dnia poprzedniego, iż przeciwnik zamierza wykonać decydujący atak w dwóch głównych kierunkach, a mianowicie na Wołczeck i na drogę belkową na Garbachu,

Komenda Brygady zwróciła się do Komendy Legionów, przedkładając położenie i żądając posiłków.

Około godziny 8.30 rano nadszedł do Nowego Jastkowa zadyrygowany tutaj dywizjon huzarów 7 p. huzarów pod ko-

mendą mjr. Fanto. Został on przeze mnie zadyrygowany na lewe skrzydło 2 p. ułanów z rozkazem przedłużenia linii w lewo oraz częściowo choćby znajdującej się tamże luki, przy czym 2 p. ułanów został oddany pod rozkazy mjr. Fanto. Rozkaz został przez tego ostatniego wykonany z widoczną niechęcią i ociąganiem się; jak się później dowiedziałem, mjr. Fanto nie wprowadził w ogóle huzarów swoich na linię i stanął schodem prawie o kilometr w tyle poza luką pomiędzy rtm. Ostoją [1]) i 1 p. piechoty.

W tymże czasie został wprowadzony na linię 5 p. p., który dołączył się do prawego skrzydła, 7 p. p. — wskutek jednak słabego stanu liczebnego pułku przestrzeń obsadzona nie przeniosła 600 kroków, dalej w prawo pozostała luka, której pilnowano patrolami pieszymi, wysyłanymi z 5 p. p., a dochodzącymi poza most Brzozy.

Między godziną 9 i 10 rano kolumny nieprzyjacielskiej piechoty wyszły z Saperskiego Lasku i rozwinęły się w kierunku na front 7 p. p. i 2 p. ułanów. Liczebność sił, które przeciwnik wyprowadził tutaj, wynosiła od 5—6 batalionów.

Atak, prowadzony w 6 liniach tyralierskich, podszedł dzięki zaroślom, leżącym przed frontem, stosunkowo blisko pod nasze pozycje; wzięte jednak w żywy i celny ogień karabinowy, tyralierki rosyjskie pryskały i dezorganizowały się jedna za drugą. Wreszcie atak załamał się w naszym ogniu.

Między 10 a 11 rano przybył do mego rozporządzenia 1 pułk ułanów około 200 karabinów. Pułk ów skierowałem niezwłocznie do dyspozycji płk. Rydza, który na swoim odcinku o znacznej rozciągłości, a słabej obsadzie — 5 kompanij — resztki kompanij detaszowanych do 5 p. p. dnia poprzedniego — nie przenoszącej 500 karabinów, wobec przejawiającego się już wówczas nacisku przeciwnika łatwo mógł znaleźć się w krytycznym położeniu.

O godzinie 12.15 przyszedł baon II/74 niemieckiego pułku piechoty. Wydałem wtedy następujące dyspozycje:

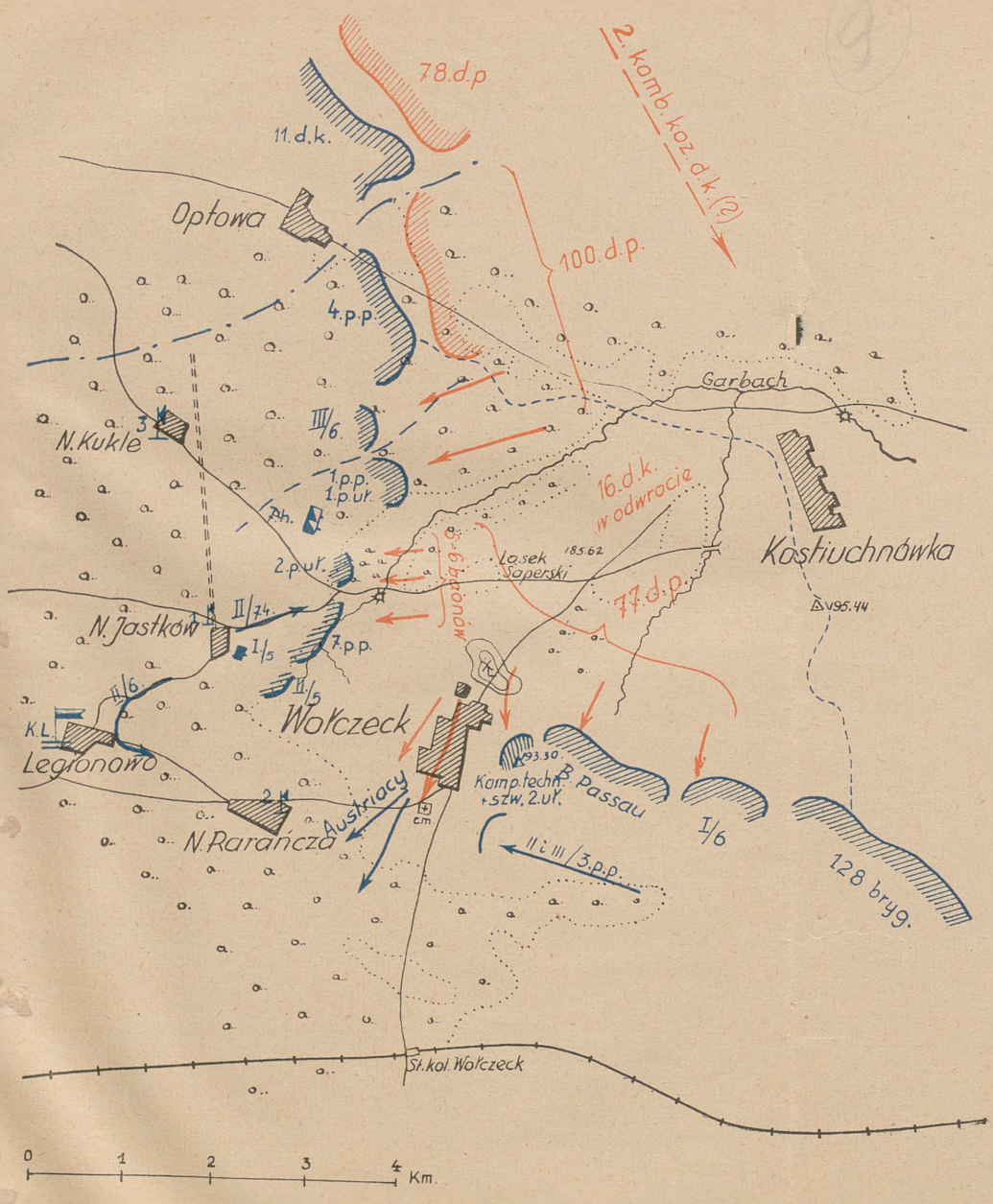
1. Baon II/74 luzuje 2 pułk ułanów i 7 p. p.

2. 2 p. ułanów luzuje dywizjon 7 pułku huzarów, który odchodzi natychmiast po zluzowaniu pod rozkazy Komendy Legionów.

3. Pułk 7-y przedłuża moje prawe skrzydło, wypełniając lukę i nawiązując łączność z lewym skrzydłem grupy płk. Küttnera [2]).

[1]) Rtm. Juliusz Ostoja-Zagórski, dca 2 p. ułanów Leg. Polskich.

[2]) Płk. Ferdynand Küttner, oficer austr., Niemiec, ówczesny dowódca II Brygady L. P.




BITWA POD KOSTIUCHNÓWKĄ

III dzień w południe

Komendant baonu kpt. Flughardt poprosił mnie z powodu głodu i zmęczenia jego oddziału o pozwolenie doczekania się taboru bojowego i spożycia obiadu. Przychyliłem się do tej prośby, po czym baon rozłożył się na biwaku zaraz za Nowym Jastkowem przy drodze do Legionowa.

O 12.30 rozpoczął się ponowny atak piechoty rosyjskiej, prowadzony tym razem w 2 kierunkach: Przede wszystkim poderwane zostały naprzód przez wprowadzenie świeżych rezerw rozbite uprzednio linie tyralierskie, atakujące front I Brygady, i równocześnie widać było kolumny nieprzyjacielskie, atakujące Wołczeck w kierunku cmentarza. Kolumny owe zostały wzięte w ogień flankowy 7 p. p. i częściowo rozproszone. Niezadługo potem na wzgórzach na północny zachód od Wołczecka ukazała się kawaleria nieprzyjacielska, która poszła do ataku na pozycje koło wołczeckiego cmentarza. Atakowały 3 szwadrony. Gwałtownym ogniem 7 p. p. przy celowniku 1200—1800 kroków szwadrony owe zostały prawie doszczętnie zniesione.

Około godziny 1.15 z obserwacyjnego punktu artylerii zameldowano do Komendy Brygady, iż batalion niemiecki, zajmujący pozycje przy Wołczecku, został przełamany i rzucił się do bezładnej ucieczki; a gęste kolumny rosyjskie wchodzą już w las koło Nowej Rarańczy. Komenda II Brygady opuściła Nową Rarańczę o godzinie 1.35.

Powyższą sytuację moich sąsiadów zameldowałem do Komendy Legionów, prosząc o bliższą orientację oraz o dalsze dyspozycje, na co żadnej wyraźnej odpowiedzi nie otrzymałem.

W tymże czasie około 2.00 przeciwnik, sądząc widocznie, iż na skutek przełamania Wołczecka cały front Legionów znajduje się już w odwrocie, wyrzucił do ataku na pozycje 2 p. ułanów i 7 p. p. całe masy kawalerii. W pierwszym eszelonie szarżowały 4 szwadrony, w drugim dalsze 4—6 szwadronów.

Piekielny nasz ogień, rozpoczęty przez 7 pułk i ułanów z dystansem 1800 kroków i trwający tak długo, dopóki szarża nie podeszła na 700 kroków, dosłownie zmiótł z pola kawalerię przeciwnika. Do pozycyj naszych dostało się zaledwie kilku jeźdźców, niewielu zaś więcej, zaledwie kilka dziesiątków, zdołało zbiec spod zabójczego ognia.

Równocześnie atakował nieprzyjaciel lewe skrzydło 7 p. p. piechotą, idącą w gęstych masach do szturmu. Resztkami amunicji, pozostałymi pomimo kilkakrotnych w ciągu dnia uzupełnień, otworzyło prawe skrzydło 7 p. p. flankujący

ogień na przeciwnika, ścieląc stosy trupa; jednocześnie mjr. Fleszar poderwał do kontrataku lewe swoje skrzydło, po czym nieprzyjaciel, nie dotrzymując pola, zaczął uciekać.

Batalion niemiecki II/74, zaalarmowany tym czasem przeze mnie, podciągnął do dawnej komendy pułku artylerii; oczywiście jednak z powodu związania sił na froncie zamierzone luzowanie rozpoczętym być nie mogło.

Batalion II/6 p. p. na wiadomość o wypadkach na froncie Wołczecka został przeze mnie pchnięty do Nowej Rarańczy; od batalionu jednak żadnego meldunku nie otrzymałem — nie wrócił on już zresztą w związek Brygady.

Około godziny 3.30, t. zn. w chwili, gdy sąsiedzi moi z prawej strony od 2 godzin, III Brygada od 20 minut znajdowała się w odwrocie, zaś Komenda Legionów od godziny przebywała w Kunskoje, na froncie Nowego Jastkowa przed centrum 7 p. p. miałem tylko resztki zdruzgotanej kawalerii, a na lewym skrzydle 7 p. p. cofającą się w popłochu piechotę nieprzyjacielską.

Nadmienić muszę wyraźnie, iż, pomimo będącego w toku odwrotu sąsiednich odcinków, nie otrzymywałem wyraźnych rozkazów odmarszu. Kilkakrotna rozmowa płk. Sosnkowskiego z kpt. Nieniewskim [1]), oraz moje z płk. Fischerem, szefem sztabu korpusu Hauera [2]), nie przyniosły żadnej definitywnej decyzji.

Dopiero około godziny 3.20 telefonicznie zakomunikowano płk. Sosnkowskiemu z Komendy Legionów ogólną dyspozycję odwrotową bez wskazania, o której godzinie i w jakim — w stosunku do sąsiadów — porządku należy ją wprowadzić w życie. Czekałem jeszcze pół godziny, w ciągu której patrole moje wyjaśniły, iż z prawa patrole rosyjskie podchodzą pod Legionowo [3]); zaś już od 2.50 po południu w Komendzie III Brygady rozmawiać można było jedynie z pozostawionym przy telefonie por. Biernackim, który zawiadomił o będącym w toku odwrocie III Brygady.

W podobnym położeniu o godzinie 3.50 wydałem dyspozycję do odwrotu, ogólnie dającą się ująć w następujących punktach:

a. 1 p. ułanów, 2 p. ułanów, 5 p. p. przez Legionowo na Perekrestie.

b. 1 p. p., 7 p. p. przez Kunskoje do Perekrestia.

[1]) Kpt. Adam Nałęcz-Nieniewski, oficer ze sztabu Kdy Legionów.

[2]) Brygady legionowe wchodziły w tym czasie w skład korpusu Hauera.

[3]) Legionowo — miejsce postoju Kdy Legionów.

c. Baon II/74 kryje odwrót, cofając się na Kunskoje—Perekrestie.

5 p. p. przed Legionowem został ostrzelany przez tyralierkę rosyjską i skręcił od mostu Zagórskiego na Kunskoje.

1 p. p. zszedł z pozycji o 4 po południu, naciskany z odległości kilkudziesięciu kroków przez wroga; musiał wysyłać 2 kompanie do kontrataku, by się odeń oddzielić.

Telefon Komendy Brygady w Nowym Jastkowie zdjęto o godzinie 4.05 po południu; o 4.10 odeszła Komenda Brygady.

7 p. p. cofnął się przed rozwiniętą linię Niemców, osłaniających odwrót, zebrał się poza nią i odmaszerował o godzinie 4.21.

Baon II/74 w ślad za 7 p. p.

Mjr. Fanto, którego zachowanie się, jak wynika z przedłożonych mi raportów, było przez cały czas jak najbardziej karygodne; który, mimo kilkakrotnego nalegania i próśb rtm. Ostoi, w najcięższych chwilach, gdy na front 7 p. p. i 2 p. ułanów szły ataki piechoty i kawalerii rosyjskiej, nie tylko nie chciał ze swymi huzarami wejść na linię, lecz n a w e t p o d c i ą g n ą ć swych karabinów maszynowych, cofnął się pierwszy, bez rozkazu, o godzinie bliżej mi nieznanej.

Jeśli odejście Brygady, pomimo, iż zeszła ona z pozycji ostatnia, mając już zupełnie odsłonięte flanki, odbyło się w porządku i bez wydatnych strat, przypisać to muszę przede wszystkim odparciu sił nieprzyjacielskich, rzuconych do ataku na front 7 p. p. i 2 p. ułanów.

Przeznaczona do zdezorganizowania i rozbicia cofających się kolumn naszych kawaleria została przed Garbachem doszczętnie skruszona; piechota, dwukrotnie w ataku odparta i zdziesiątkowana, nie miała już sił i ochoty do energiczniejszego napierania i pościgu.

P.

---

## *SPRAWOZDANIE KOMENDY I BRYGADY Z ODWROTU I BRYGADY LEGIONÓW POLSKICH NA STOCHÓD W DNIACH 6—7. VII. 1916*

Odwrót z pozycji odbywał się prawie bez przeszkód, niekiedy tylko rozlegała się, to na prawym, to na lewym skrzydle lekka strzelanina, która zresztą po przejściu 1—1½ km ustała zupełnie.

Ja ze sztabem i plutonem kawalerii przyjechałem na po-

lanę przy Kunskoje, gdy części 6 p. p. okopywały się na przedniej pozycji, a 4 nieco dalej w tyle. Tam jeszcze raz otrzymałem telefonicznie rozkaz od Komendy Legionów z Maniewicz o trzymaniu linii w Perekrestiu i zarządzeniu łączności z 53 dywizją i razem z 5 p. p. Berbeckiego ruszyłem z Kunskoje na Perekrestie. Zastałem tam rtm. Belinę i Ostoję wraz z częścią kawalerii. Rtm. Belina mi raportował, że przed Perekrestiem w oddaleniu 2 km po drodze do Legionowa stoi 4 szwadrony kawalerii, kryjąc patrolami i placówkami drogę z Legionowa, że w stronę wsi Ugły i stacji Maniewicze są wysłane patrole, które jeszcze nie wróciły. Od 7—8 ściągały się na polanę przy Perekrestiu wojska mojej Brygady, ostatnim o 8.10 wieczorem przyszedł batalion II/74 niemiecki. Przez ten czas otrzymałem następujące dane. O 7-mej wieczorem koło wsi Ugły stał płk. Küttner w 200 ludzi, osłaniając stację Maniewicze, którą przygotowywano do zniszczenia, dalej na południe płk. Küttner nie miał żadnego połączenia z jakimkolwiek oddziałem, pomiędzy zaś mną a słabym oddziałem płk. Küttnera na przestrzeni 5 km. patrole moje nie spotkały nikogo. O 7-ej też wieczorem patrol znalazł Legionowo zajęte przez nieprzyjaciela, który już 7.45 doszedł patrolami do linii, zajętej przez kawalerię, o 2 km. od Perekrestia i wymieniał z jej placówkami słabe strzały.

W tym czasie oddział mój, zebrany na dużej polanie leśnej na zachód od Perekrestia, był na niej rozlokowany w sposób następujący: Batalion niemiecki, bataliony Berbeckiego (5 p. p.), bataliony Fleszara (7 p. p.) w trzech rogach polany z wystawionymi osłonami, na przedzie w kierunku Legionowa o pół kilometra bataliony płk. Rydza (1 p. p.) kryły odpoczynek reszty, tamże reszta kawalerii z rtm. Beliną, gdy 4 szwadrony stały przy zejściu się dróg Perekrestie—Legionowo i stacja Maniewicze—Legionowo jeszcze dalej na wschód. Tym czasem zaczęła zapadać noc.

O godzinie 8.20 wieczór rozległy się strzały gdzieś koło Kunskoje i za chwilę potem wrócił patrol telefoniczny, wysłany dla związania się z III Brygadą legionową w Kunskoje, z zawiadomieniem, że tam stacja się zwija i wszystko cofa się na Maniewicze, w chwilę potem przyszła krótka kartka od ppłk. Norwida [1]), że wszystko z Kunskoje odchodzi, mając rozkaz pod wsią Maniewicze kryć tę wieś od wschodu (od kierunku Kunskoje—Perekrestie) i od północno-wschodniej (od Gałuzji).

---

[1]) Mieczysław Norwid-Neugebauer, dca 6 p. p. Leg.

Kazałem wzmocnić posterunki i patrole w kierunku na Kunskoje, ściągnąć osłonę kawaleryjską z kierunku na Legionowo, gdyż w nocy w terenie zalesionym kawaleria nic by nie pomogła, zgasić ognie na biwaku i wysłać oficera ze sztabu do Maniewicz do Komendy Legionów dla wyjaśnienia sytuacji i wytłumaczenia, że w ciągu nocy w warunkach obecnych (5 kilometrów luki pomiędzy mną, a płk. Küttnerem) nie może być mowy o wyciągnięciu przez lasy jakiejbądź linii obronnej.

Brygada stała w ten sposób przy Perekretiu do 9.40 wieczorem. Od Kunskoje zbliżały się do nas małe patrole nieprzyjacielskie, które po wymianie kilku strzałów lub salw z placówkami odchodziły, znikając w ciemności. Żadnego połączenia z 53 dywizją poza drobnym oddziałem płk. Küttnera pod stacją Maniewicze nie mogłem osiągnąć, chociaż patrole przekraczały kolej w kierunku na południe.

O 9.40 wieczorem otrzymałem rozkaz Komendy Legionów z Maniewicz (Op. 538/14), gdzie wskazaną mi była droga odwrotu na Trojanówkę—Smolary (III brygada i treny Gorodok—Nowa Ruda—Wielki Obzyr), określoną druga linia oporu (Smołodówka na rzece Maniewce), określony czas odejścia na Trojanówkę — 4 rano — i wreszcie nakazano z chwilą rozpoczęcia odwrotu odesłać 2 p. ułanów na linię odwrotową III Brygady. Oprócz tego rozkaz zawierał dane, że na północ od III Brygady warunki odwrotu są bardzo trudne, gdyż 11 K. T. D. [1]) została silnie rozbitą i III Brygada ma również niebezpieczną flankę od północy, jak moja Brygada od południa.

Warunki odwrotu dla Legionów ukształtowały się w ten sposób w nadzwyczajnie trudną operację, zważywszy osobliwie: a) że od linii Maniewicze—Stacyn—Gorodok jeszcze drogi odwrotu obu Brygad się rozchodziły — jedna (III Brygada), odchylając się ku północy, druga (I Brygada) nieco ku południowi; b) że wojsko (specjalnie I Brygada) 3-dniowym bojem była bardzo zmęczona i c) że części trenów bojowych II/74 niemieckiego i 5 p. p. zostały wciągnięte do ogólnej kolumny trenowej i prawdopodobnie odmaszerowały drogą na Obzyr, nie na Smolary.

W tych warunkach, mając już jawne dane, że odwrót idzie na linię Stochodu, zdecydowałem od razu zabezpieczyć linię odwrotu tak, by mieć zabezpieczone wejście do lasów, ciągnących się pomiędzy Semenichą a Trojanówką. Wobec tego wydałem następujące rozkazy:

---

[1]) 11 dywizja kaw. austr., łącząca się z lewym, północnym skrzydłem pozycyj legionowych

1) Mjr. Fleszar z dwoma batalionami (do 600 karabinów) z taborami bojowymi swego pułku i pułku 1-go rusza zaraz od Semenichy, wciąga treny do lasów i zabezpiecza wejście do nich.

2) Ppłk. Berbecki z dwoma batalionami (400 karabinów) i II/74 batalion niemiecki wyruszają do Smołodówki, stając jedną częścią sił na drodze Maniewicze stacja—Maniewicze wieś.

3) Kawaleria cała (1 p. i 2 p. ułanów) ściągają się za drogą Maniewicze stacja—Maniewicze wieś, gdzie mają szerokie odwrotu przestrzenie na południe od Gorodka—Maniewicz do kolei i wysyłają patrole wzdłuż drogi, łączącej Maniewicze wieś i stację.

4) Płk. Rydz z dwoma batalionami (800 karabinów) zostaje w Perekrestiu, starając się nawiązać kontakt z ppłk. Norwidem w stronę Smołodowic. W razie nacisku ze strony nieprzyjaciela cofa się na Smołodówkę.

5) Komenda po odmaszerowaniu awangardy mjr. Fleszara i gros ppłk. Berbeckiego przenosi się na drodze Maniewicze stacja—Maniewicze wieś.

Zarządzenia te zostały wykonane i ja sam ze sztabem i plutonem dyżurnym kawalerii odjechałem z Perekrestia o godzinie 10.40 wieczór, nie uzyskawszy, jak i przedtem, żadnej łączności z 53 dywizją na południu. Strzały od strony Kunskoje, które przedtem były niekiedy dosyć gęste, zamilkły zupełnie.

W Smołodówce zastałem kpt. Piskora [1]), któregom był posłał do Komendy Legionów, przywiózł on zaś nowy rozkaz (Op. 536/15) i ustne wyjaśnienia o zupełnej niepewności o tym, co się dzieje z 11 K. T. D. w Gałuzji. Nowy rozkaz, nie zmieniając nic w odwrocie, dodawał mi nowe zadanie — obsadzenia linii na Stochodzie — i obrony przejść przez tę rzekę na przestrzeni od Smolar po Stobychwę, ewentualnie rozciągając obronę na południe od Powurska. Zmieniał przy tym godzinę odmarszu na 3.30 rano i nie zawierał nic co do zabezpieczenia przestrzeni pomiędzy obu Brygadami Legionów, która to przestrzeń z każdym krokiem, zbliżającym nas do Stochodu, zwiększała się, licząc już w lini Trojanówka—Nowa Ruda 12 km. Rozkaz dodawał mi 2 baterie artylerii, stojącej jeszcze w Gorodku; tej posłałem rozkaz odmaszerowania możliwie szybko do Semenichy.

Gdym przyjechał na skrzyżowanie mojej drogi odwroto-

[1]) Kpt. Tadeusz Piskor, oficer operacyjny sztabu I Brygady.

wej z wielką drogą, łączącą Maniewicze stacje — ze wsią tej samej nazwy, zastałem tam zebraną kawalerię obu pułków i większą część gros moich sił (ppłk. Berbeckiego i batalion niemiecki). Tamże otrzymałem zmianę rozkazu, nakazującą rozpoczęcie odwrotu o 12.40 w nocy.

Wobec tego rozkazałem:

a) Rtm. Ostoja ze swym pułkiem odchodzi natychmiast do Maniewicz wsi, gdzie się melduje w Komendzie Legionów.

b) Ppłk. Berbecki wraz z batalionem niemieckim odmaszerowują natychmiast do Semenichy.

c) Płk. Rydz cofa się z Perekrestia na Smołodówkę, skąd o 1-ej w nocy cofa się dalej na Semenichę, przykryty dywizjonem kawalerii, który staje pod jego rozkazami.

d) Drugi dywizjon cofa się na Hradyskę, skąd zabiera pozostałe bagaże i, zostawiając jeden pluton w Hradysce, maszeruje na Trojanówkę, osłaniając Trojanówkę od północy.

e) Komenda zostaje na miejscu dla dopilnowania wykonania wszystkich zarządzeń, po czym udaje się z jednym plutonem jazdy do Semenichy, gdzie danym będzie odpoczynek tak, by do Trojanówki z gros sił trafić na godzinę 5 rano.

W tym czasie koło godz. 12 w nocy wrócił patrol ze stacji Maniewicze i zameldował, że żadnej 53 dywizji tam nie ma, są natomiast nieliczne grupy żołnierzy, kryjących niszczenie stacji, co już jest zupełnie przygotowane i w każdej chwili już oczekiwać można rozpoczęcia pożaru na stacji Maniewicze.

Wtedy też na północy rozlała się szeroka łuna pożaru od palącego się Karasina, który zgodnie z danymi od Komendy Legionów już miał być w ręku Rosjan.

O godz. 12.10 wyruszyłem ze sztabem i plutonem do Semenichy, gdzie stanąłem o 1.20 w nocy, zastając tam niestety tylko bataliony mjr. Fleszara. Batalionu ppłk. Berbeckiego i batalionu II/74 niemieckiego nie było, nie spotkałem go też po drodze. Natychmiast zarządzono poszukiwania, rozesłano kilka patroli z kilku oficerami ze sztabu, przy czym poszukiwania zwrócono do Maniewicz stacji i Czerewachy, gdyż niektóre ślady prowadziły w tym właśnie kierunku.

Istotnie, jak się okazało potem, kolumna ppłk. Berbeckiego zbłądziła w drodze i, zamiast w kierunku zachodnim, poszła w kierunku południowym. Gdy po pewnym czasie było zupełnie widocznym, że zmylono drogę, na zorientowanie się wyjechał ppłk. Berbecki, mjr. Wyrwa-Furgalski ze sztabem pułku. Napotkali oni silny patrol 16 pułku huzarów rosyjskich, którzy salwami zabili mjr. Furgalskiego, zranili ciężko ppłk. Berbeckiego, przy czym prawie wszystkie konie sztabu pułku

zostały zabite lub zranione. Nadbiegł oddziałek piechoty i odpędził patrol nieprzyjacielski, który zostawił na miejscu 2 trupy. Oddział cały ukrył się w lasku i ta okoliczność znacznie utrudniła poszukiwania. Jednak coś koło godziny 3-ej rano jeden z patroli natrafił na bataliony i skierował je na właściwą drogę. Na spotkanie zostały wysłane wozy dla rannych, a rtm. Belina sam wyjechał z patrolem dla odszukania ciała mjr. Wyrwy-Furgalskiego. Ciała nie znalazł, zabrał jeszcze dwóch rannych z 5 p. p. i skonstatował na trupach, że napastnikami byli huzarzy 16 p.

W tym czasie płk. Rydz cofał się do Semenichy, a kawaleria o godz. 3.20 ostatni raz dotarła patrolem do Maniewicz stacji, która była zupełnie opuszczona, następny patrol już był silnie ostrzelany jeszcze przed stacją z lasu.

Wojsko przechodziło do Semenichy w następującym porządku:

a) Dywizjon artylerii z Gorodka koło godziny 3-ej;
b) 1 p. p. o godzinie 3.40;
c) II/74 batalion niemiecki o 4.50;
d) 5 p. p. o 5.20.

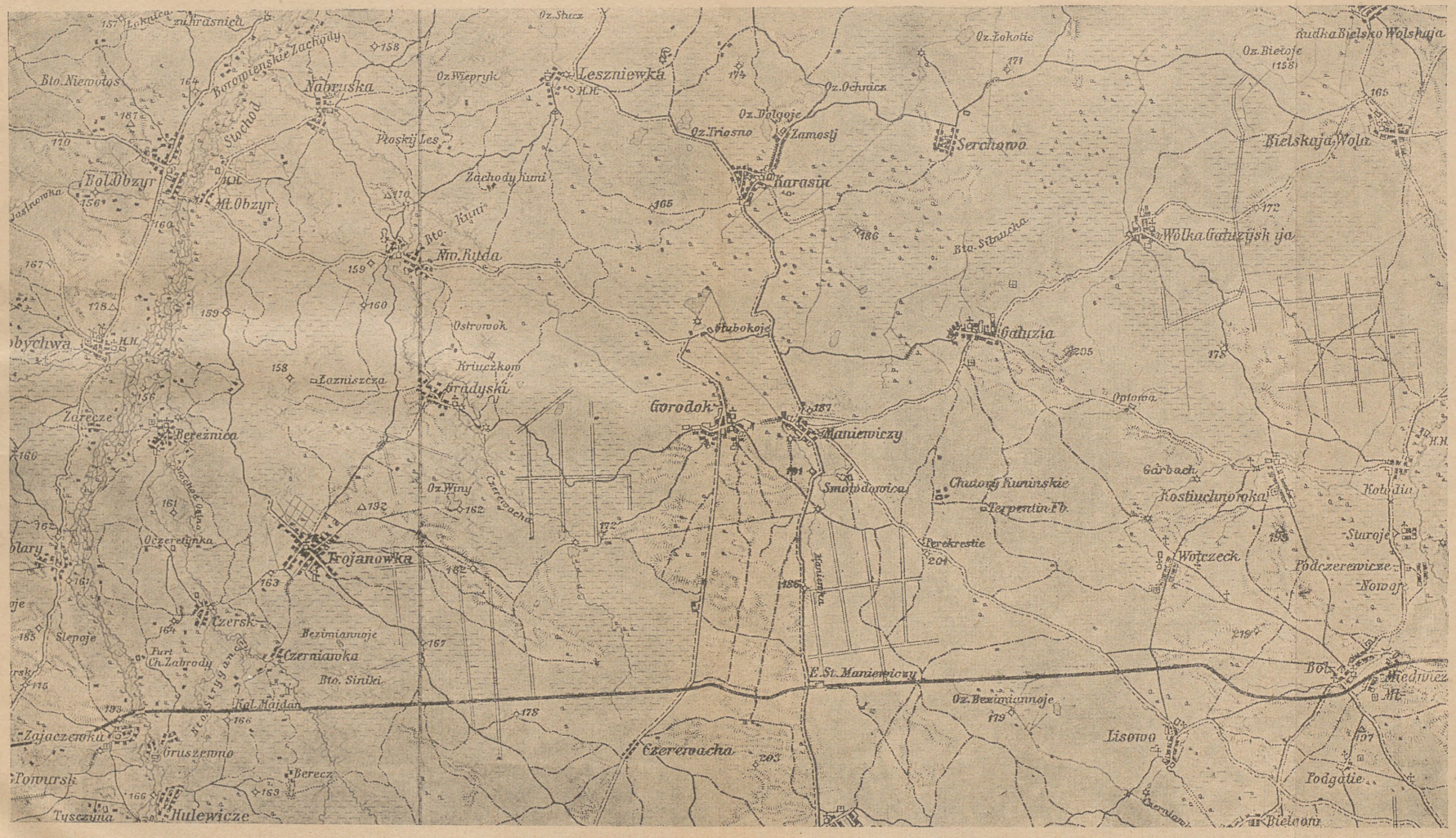
Te ostatnie dwa oddziały przyszły tak zmęczone i wyczerpane, że o dalszym marszu mowy być nie mogło. Ludzie musieli choć trochę odpocząć.

Dzięki więc przypadkowi marsz mój w kierunku Trojanówki został znacznie opóźniony, a tym czasem już od godziny 5-ej rano na wschodzie rozlegały się pojedyncze strzały naszej kawalerii, ucierającej się z patrolami rosyjskiej jazdy.

Wzbudzały one we mnie niepokój co do udania się głównego zadania wojennego: osłony mostów na Stochodzie, które były jeszcze oddalone ode mnie o 16 km. drogi, a które mogły stać się pastwą pierwszego lepszego patrolu nieprzyjacielskiego, bo przecie prześlizgnięcie się takiego patrolu na ogromnej przestrzeni, nieosłoniętej niczem, pomiędzy I Brygadą, a III Polskich Legionów ku północy ode mnie i pomiędzy I Brygadą, a 53 dywizją, na którą dotąd natrafić nie można było, — prześlizgnięcie się takiego patrolu było możliwym.

Wobec tego, jeszcze o godz. 4-ej zaraz po przyjściu płk. Rydza kazałem mjr. Fleszarowi wraz z artylerią i patrolem bojowym natychmiast maszerować do Trojanówki, z oddziałem tym posłałem mjr. Fabrycego[1]) z kilku jeźdźcami wprost do Smolar dla zbadania sytuacji przy mostach. Wymarsz 5 p. p.

[1]) Mjr. Kazimierz Fabrycy, oficer sztabu I Brygady.




Podziałka 1:200.000

KOSTIUCHNÓWKA — TROJANÓWKA

II/74 wyznaczyłem na godzinę 6.15, a płk. Rydza wraz z dywizjonem kawalerii zostawiłem dla osłony odwrotu przy moście na rzece Czerewacha.

Tak się też stało. O 6.15 ruszyły kolumny zmęczonych, głodnych i strasznie wyczerpanych nerwowo żołnierzy z 5 p. p., za nimi II/74, wreszcie sztab Brygady. Dla osłaniania odwrotu przy moście pozostał 1 p. p., a przy chatce przed mostem kawaleria, mająca przed sobą wyrzucone we wszystkich kierunkach patrole.

Marsz kolumny odbył się bez przeszkód i o godzinie 8.30, wyprzedzając nieco kolumnę, przyjechałem ze sztabem do Trojanówki, w tym samym czasie, gdy od Hradyski wchodził do wsi szwadron pieszy kawalerii oraz batalion III/6 p. p. pod kpt. Jakubowskim. Tutaj też otrzymałem od rtm. Beliny-Prażmowskiego meldunek, że wszystkie wysunięte przed Semenichę patrole cofają się wobec ukazania się o godzinie 6.30 szerokiej ławy kawaleryjskiej, idącej od wsi Maniewicze i z kierunku Perekrestia. Ławę obliczono nie mniej niż na 3—4 szwadronów jazdy. Od mjr. Fabrycego ze Smolar otrzymałem meldunek, że przy mostach u Smolar jest tylko zwykły kordon, pozycje na zachodnim brzegu Smolar nie są przez nikogo obsadzone, a przez mosty idą jeszcze treny, zdaje się, 53 dywizji, które częściowo rozkładają się w Smolarach, częściowo idą gdzieś dalej. Ruch taborów spokojny, lecz nieuporządkowany.

Taki sam przemarsz obserwowałem w samej Trojanówce. Szły spokojnie różnego rodzaju tabory, przerywane to paru armatami, to karabinami maszynowymi, to oddziałami piechoty, niektóre zatrzymywały się w Trojanówce (np. szpital polowy), gdy armaty i karabiny maszynowe szły dalej na Smolary. Niekiedy łańcuch wozów się urywał i przez dobrych 5—10 minut na drodze było zupełnie pusto. Od nikogo nic dowiedzieć się nie można było, wszyscy albo nie chcieli się zatrzymywać przy pytaniach, albo też odpowiadali wymijająco. Spokój jednak i brak pośpiechu gwałtownego świadczył, że na razie nacisku żadnego od południa nie ma.

Nadciągające wojsko zebrało się na południowo-zachodnim krańcu wsi, gdzie postanowiłem dać wojsku dłuższy odpoczynek i wydać jedzenie. Z kłopotów aprowizacyjnych wybawił mię pociąg prowiantowy, który przyszedł od Intendentury Legionów, mogłem więc wydać jedzenie wszystkim i II/74 niemieckiemu, 5 p. p. i batalionowi III/6 p. p. kpt. Jakubowskiemu, które to jednostki nie miały przy sobie trenu bojowego.

Zebranym mjr. Fleszarowi, kpt. Narbuttowi [1]) (5 p. p.) i kpt. Flughardtowi wytłumaczyłem położenie i powiedziałem, że jako główne zadanie uważam ochronę mostów i linii Stochodu, wobec czego w Trojanówce będę się trzymał tylko o ile nie będzie silniejszego naporu, wobec czego po 2—2 i pół godzinnym odpoczynku i wydaniu jedzenia mają być gotowi do marszu.

W tym czasie zgłosił się do mnie kpt. sztabu generalnego (nazwisko jego jest nieznane), jak twierdził z korpusu Ekscelencji Fatha [2]), który przedstawiał mi konieczność rozwinięcia linii Nowa Ruda (III Brygada) — Trojanówka (I Brygada) i dalej na południe 53 dywizja. Odpowiedziałem mu, że uważam to za zupełnie niemożliwe i że w każdej chwili oczekuję przerwania na północy jakiejkolwiek drogi do Nowej Rudy, gdyż nie mam wcale sił na utrzymanie tak długiej linii (w Hradysce tylko pluton jazdy), że wreszcie mam wyraźne polecenie obsadzenia linii Stochodu, która w wypadku zbyt długiego pozostawania w Trojanówce będzie poważnie zagrożona. Wówczas kapitan ów chciał, bym przynajmniej obsadził górę na wschód od Trojanówki i trzymał ją aż do wieczora. Odpowiedziałem znowu, że trzymać ją będę do czasu, gdy nie będzie silniejszego naporu, potem zaś odchodzę przez Czersk, gdzie chcę przygotować nową linię krótkiego oporu, aby dać czas i możność obsadzenia linii Stochodu po przejściu mostów. Wyjaśniłem mu położenie mego oddziału i prosiłem o wyjaśnienie sprawy z 53 dywizją, z którą nie mogłem w ciągu nocy nawiązać żadnej łączności. Kapitan nic nie mógł czy nie chciał wyjaśnić tak, że po rozmowie z nim wiedziałem o 53 dywizji akurat tyle, com wiedział przedtem. Kapitan ten wreszcie powiedział mi, że może najlepiejby było, by Niemcy II/74 obsadzili Stochód, a ja z Brygadą trzymałbym górę Trojanowską. Po 10 zaś minutach zameldował mi kpt. Flughardt, komendant II/74, że ów kapitan w imieniu generała Linsingena [3]) prosił go o zajęcie góry Trojanowskiej z tym, że moja Brygada zajmie pozycje na Stochodzie, prosił więc mnie o wyjaśnienie, w jakim stopniu może stać wymieniony kapitan sztabu do gen. Linsingena. Odpowiedziałem, że stosunek ten jest mi nieznanym, że znam tego kapitana jedynie jako kapitana sztabu z korpusu Fatha, że wreszcie osobiście zapatruję się na sytua-

[1]) Kpt. Aleksander Narbutt-Łuczyński po zranieniu ppłk. Berbeckiego objął dowództwo 5 p. p.

[2]) Korpus austr. Fatha, zajmował linię frontu na płd. od korpusu Hauera.

[3]) Gen. Aleksander Linsingen, dca grupy armii.

cję tak, jak to wyjaśniłem mu poprzednio. Kapitan odszedł, oświadczając, że zostaje pod moimi rozkazami.

O godz. 10.20 otrzymałem meldunek, że Hradyska jest przez nieprzyjaciela zajęta o 9.20, mianowicie na pluton kawalerii, który tam pozostał, wyszedł drogą z Gorodka szwadron jazdy, który otaczał wieś i podpalił pierwsze napotkane domy. Po wymianie strzałów pluton cofnął się ku Trojanówce.

Wobec tego, że nadszedł najważniejszy moment — możliwość obejścia z północy i dojścia nieprzyjaciela patrolami do mostów pod Smolarami, wydałem następujące rozkazy:

a) 5 p. p. i artyleria maszeruje natychmiast do Smolar dla obsady linii Stochodu.

b) Wysłałem rozkaz do Semenichy do płk. Rydza cofać się na Trojanówkę.

c) Reszta oddziałów stoi gotowa do wymarszu, przy czym II/74 batalion ma być przygotowany do obsadzenia Czerska jako pozycji przejściowej.

d) Dywizjon 2 pułku ułanów osłania Trojanówkę od strony Hradyski i wysyła patrole w stronę Bereźnicy.

e) Zawiadomić o tym kapitana sztabu generalnego w Trojanówce.

Tymczasem pod Semenichą odbywały się potyczki ariergardy z kawalerią rosyjską. O godz. 8.10 rano wszystkie placówki kawalerii, wystawione przed Semenichą, po skutecznej obronie, zmusiwszy kawalerię nieprzyjacielską do spieszenia się, cofnęły się w las za piechotę, stojącą na pozycji przy moście. Pozostał przed piechotą tylko jeden pluton z por. Grzmotem-Skotnickim, który jeszcze przez 20 minut ucierał się z wzmacniającym się nieprzyjacielem, wreszcie koło 9-ej rano cofnął się też za most za piechotę. Pierwsze nadchodzące do mostu oddziały zostały przywitane silnym ogniem karabinowym i karabinów maszynowych. Nieprzyjaciel poniósł widoczne straty w koniach i ludziach i cofnął się z grobli, rozwijając się natomiast na skrzydła w lewo i prawo. Walka z rzadką strzelaniną trwała do godz. 11.40, gdy płk. Rydz otrzymał rozkaz cofania się na Trojanówkę i, oddawszy kawalerii pozycję przy rozebranym już moście, wyruszył do Trojanówki. Rtm. Belina-Prażmowski z dywizjonem kawalerii, który wówczas po detaszowaniu wielu patroli liczył niecały szwadron jazdy, cofnął się z Semenichy o 2.10 wtedy, gdy zauważył obejście lasami przez spieszoną kawalerię swego prawego skrzydła.

Cofanie się obu oddziałów odbywało się bez przeszkód, raz tylko o godz. 1-ej po południu rtm. Belina powstrzymywać

musiał przez 10 minut nacierającą do tyłu pogoń kawalerii rosyjskiej. W ten sposób odbywało się cofanie aż do wzgórza pod Trojanówką, gdzie zgodnie z rozkazami płk. Rydza zatrzymawszy pułk, rozwinął dwie kompanie na górze, zostawiając resztę u podnóża góry na drodze do Trojanówki. Kawaleria zbliżała się, cofając się za piechotę, mając w bocznych osłonach po plutonie jazdy, przy czym prawa osłona szła za lasem. W ten sposób stały sprawy, gdy o 3.03 po południu zaszły wypadki, które wywołały 20-minutową panikę w Trojanówce i na drodze do Smolar. Załączony szkic przedstawia rozkład mojej Brygady w tym właśnie momencie.

Przedtem jednak muszę opisać stan Trojanówki w tym czasie. Jak i przedtem, wzdłuż drogi do Smolar ciągnęły przerwami tabory, pomieszane z armatami i poszczególnymi grupami piechoty, których nikt nie zatrzymywał i nikt nie porządkował. Jedyną siłą zorganizowaną we wsi był jedynie mój oddział. Trojanówka była osłonięta od północy (Hradyski) dywizjonem (1 szwadron pieszy) por. Głuchowskiego, od wschodu cofającą się kolumną płk. Rydza i jazdą rtm. Beliny-Prażmowskiego, we wsi stał zebrany batalion II/74 i dwa bataliony Fleszara. Oprócz tego grupki legionistów z innych brygad, które po nakarmieniu odsyłałem za Stochód do Smolar. Przejeżdżający i przechodzący drogą oglądali się nieraz trwożliwie na górę 192 na wschód, gdzie niekiedy migały sylwetki moich ułanów, twierdząc, że to są kozackie patrole, lecz ruch był na ogół spokojny.

Zaraz po 1-ej godzinie, otrzymawszy zapewnienia, że płk. Rydz już nadchodzi i gdy na północy w kierunku Hradyski już rozlegały się pojedyncze strzały, dałem rozkaz batalionowi II/74 odchodzić na Czersk, gdzie, specjalną mając baczność na ochronę od północy, zająć pozycję, na którąby odeszła reszta wojska w razie nacisku. O 1.25 batalion odmaszerował w kierunku Czerska.

Nagle na drodze spostrzegłem baterię artylerii, która maszerowała w kierunku wschodnim, idąc od Czerska, minęła rynek i spostrzegłem, że odprzodkowuje działa, zajmując pozycję przed Trojanówką. Nikt z oficerów baterii nie zgłosił się do mnie o jakiekolwiek wyjaśnienie sytuacji, nie wiem, kto ją zadyrygował, ani dlaczego wybrano dla niej miejsce, gdzie za sobą bateria miała ciasne uliczki miasteczka wraz z drogą, zapchaną wozami i ludźmi. Przede wszystkim byłem przerażony myślą, że artyleria, nie znając sytuacji, zacznie ostrzeliwać moją kawalerię lub bataliony Rydza, cofającego się od

wschodu. Posłałem więc oficera do baterii dla wyjaśnienia sprawy. Byłem przy tym oburzony na tak oryginalne pojmowanie obowiązków, gdy artyleria miała działać bez żadnego związku z piechotą i kawalerią, będącą przed frontem armat. Poszedłem więc sam odszukać owego kapitana sztabu, by go rozpytać, coby to miało znaczyć. Właśnie podczas poszukiwania wybuchła nagle straszna panika na drodze i całe mnóstwo wozów, jaszczyków, dział i z dzikim krzykiem «Kozacy za nami», w popłochu, zacinając konie, łamiąc wozy, pędzić poczęło w stronę Smolar. Z wielką trudnością dotarłem z powrotem do wojska i sztabu, dokąd spieszyłem, by nie pozwolić na podleganie panice. Z dumą konstatuję, że bataliony mjr. Fleszara zastałem pod bronią, zaalarmowane, lecz stojące spokojnie wśród domów. Sądząc, że istotnie kozacy ukazali się od południa za trenami, posłałem rozkaz batalionowi II/74 zatrzymać się tam, gdzie go zastanie rozkaz, i rozwinąć się tak, by osłonić drogę i dojście do niej od południa. Mjr. zaś Fleszarowi kazałem wyjść poza Trojanówkę, by mieć wokoło siebie nie domy, lecz swobodną przestrzeń dla możliwego manewru. Zaczęli też ściągać się potłuczeni, poranieni przez konie i wozy, których na miejscu opatrzył doktór. Po chwili nadjechał na mnie płk. Küttner, który powiedział mi, że obejmuje tu komendę, że popłoch był nieusprawiedliwiony, bo tam na górze są nasi, nie kozacy, że on jakiś batalion rozwinął w kierunku, wskazanym ręką (kierunek południowo-wschodni) i że ja muszę mu dać wojsko. Odpowiedziałem mu, że, jeżeli znajdę wolny batalion, to mu go oddam, przy czym przemówiłem się z nim dosyć ostro z powodu popłochu, który może zniszczyć porządek w wojskach, już i tak przemęczonych bojem. Płk. Küttner odjechał dalej w tył i wkrótce wrócił z kpt. Flughardtem, który mi oświadczył, że w imieniu gen. Linsingena znowu otrzymał rozkaz obsadzenia góry 192 i chociaż wie, że tam dotąd stoją oddziały moje, musi tam pomaszerować. Nie chcąc dalej mieszać się do zarządzeń, odpowiedziałem, że go zwalniam z pod mojej komendy i że go przykryję od istotnego niebezpieczeństwa od północy, na który to kierunek nikt nie chciał zwracać uwagi. Istotnie też dałem rozkaz mjr. Fleszarowi rozwinąć się w kierunku Bereźnicy i drogi na Hradyskę, tak, by zamknąć z tej strony drogę nieprzyjacielowi.

Istotne powody popłochu po przeprowadzeniu śledztwa przedstawiają się jak następuje:

Gdy kawaleria Beliny dochodziła do węzła dróg na wschód od Trojanówki, a płk. Rydz rozwijał kompanie ku górze, boczna osłona (pluton jazdy) w lesie została napadnięta

przez przeważającą liczbę kozaków, dała ku niej kilka salw i została po krótkiej potyczce na białą broń przewrócona i w części rozproszona. Kozacy szli ze strasznym krzykiem i hałasem do ataku. Kilku rannych z jednej i drugiej strony spadło z koni, które luzem rozleciały się po lesie, biegnąc w kierunku Trojanówki.

Na odgłos walki leśnej rtm. Belina, który prowadził jazdę w szybkim tempie, rozkazał zsiadać z koni do walki pieszej. W tej chwili wpadły na jazdę konie i obaliły kilkanaście koni wraz z jeźdźcami.

W ten sposób sformowała się grupa do 20 koni, lecących w przestrachu na Trojanówkę. Rotmistrz posłał za końmi część ludzi do zatrzymania koni i zebrania ich w Trojanówce, sam zaś wraz z nadbiegającą piechotą rzucił się w las przeciw nieprzyjacielowi. Po krótkiej strzelaninie nieprzyjaciel został odparty i pole poprzedniej potyczki leśnej zostało zajęte przez naszych. Ranni zostali zabrani i odesłani do Trojanówki, kilku ułanów zostało pokaleczonych przez uciekające konie.

Tym czasem zaś pędzące luzem konie i goniący za nimi ułani w wielkim kurzu zbliżali się do Trojanówki; ta właśnie okoliczność dała powód do popłochu i paniki. Konie rozhukane i goniący za nimi jeźdźcy zebrali się na rynku wsi, skąd po uspokojeniu koni odeszli z powrotem na front.

Za obowiązek sobie poczytuję zaznaczyć, że najgłębszą przyczyną paniki było, że nikt w Trojanówce (poza wojskami, będącymi pod moją komendą) nie rozumiał sytuacji, polegającej na tym, a) że Trojanówka była kryta ze wszystkich stron, i że nikt nie starał się o jakieś uporządkowanie przechodzących trenów i wojsk, b) że stosunki rozkazywania były zupełnie niejasne i c) że droga do Smolar była zajęta przez dwa oddziały wojska, będące pod różnymi komendami, które to wojska nic o sobie wzajemnie ani przedtem, ani podczas wypadku nie wiedziały.

Podnieść muszę również nadzwyczajny spokój, z jakim żołnierze I Brygady zachowali się podczas ogólnego popłochu. O batalionach mjr. Fleszara wzmiankowałem wyżej, oficerowie i żołnierze z mego otoczenia rzucili się na drogę, chwytając za uzdy konie, uspakajając uciekających, wreszcie kpt. Narbutt z 5 p. p., maszerujący do Smolar, gdy fala popłochu doszła do niego, zatrzymał kolumnę i kazał śpiewać pieśni strzeleckie, zwracając kolumnę frontem do nieprzyjaciela i rozwijając przednią kompanię w tyralierę. Zatrzymał w ten sposób wielu objętych paniką.

Po tym wypadku odjechałem ze sztabem do Czerska,

gdzie byłem bliżej do mjr. Fleszara, a nie chciałem pozostawać w Trojanówce, aby nie psuć stosunków rozkazywania. Stamtąd o 6-ej wieczorem wysłałem oficerów dla sprawdzenia całego frontu i przekonałem się, że żaden z moich oddziałów w tej chwili już nie jest potrzebny, gdyż oddziały albo stoją bez żadnych rozkazów, nie wiedząc, co czynić, jak to było z batalionami płk. Rydza, któremu natomiast przydzielono 3 p. p., którym nigdy nie dowodził, albo jak kawaleria i mjr. Fleszar stoją tam, gdzie oprócz nich stoi inne wojsko, nie wiedzące wcale, że tu jest ta, czy inna osłona. Wobec tego, obawiając się, by przy takim przemieszaniu wojsk nie wyszły wieczorem nowe nieporozumienia i może wzajemne ostrzeliwanie się, kazałem wszystkim oddziałom ściągać się na noc do Smolar, dokąd sam udałem się o godzinie 8.20 wieczorem, posławszy do płk. Küttnera zawiadomienie o tem. Posłany płk. Küttnera nigdzie nie mógł odnaleźć.

W Smolarach zastałem majora, dowodzącego batalionem 74 pułku, który mnie zapewnił, że pomocy przy obsadzie linii Stochodu na razie nie potrzebuje i że I Brygada może stanąć w rezerwie za Smolarami na konieczny dla niej odpoczynek.

Tak się zakończył odwrót I Brygady po trzydniowym boju pod Kołodią i Kostiuchnówką.

Streszczając swój raport bojowy, zaznaczyć muszę:

1) 4 lipca Brygada moja zeszła z pierwszej pozycji dopiero wtedy, gdy prawe skrzydło zostało zaatakowane z tyłu i gdy trzeba było bagnetami torować sobie drogę i gdy kontratak ppor. Myszkowskiego nie dał dostatecznego rezultatu.

2) 5 lipca została utracona druga pozycja w ten sam sposób, tzn., gdy kolumny piechoty nieprzyjacielskiej wdarły się przez sąsiednie odcinki na tyły 5 p. p. i VI batalionu, gdy po raz drugi znowu trzeba było przebijać się przez nieprzyjaciela.

3) Z niezabudowanych pozycyj na Garbachu Brygada zeszła ostatnia, gdy naokoło wojska już się cofały, po odparciu ataku kawalerii, co dało możność spokojnego odejścia wszystkim.

4) Wszystkie boje toczone były przy olbrzymiej przewadze nieprzyjaciela zarówno w artylerii, jak i w piechocie. Brygada, mając 2.800 karabinów i za sobą 20 polowych armat, miała przeciw sobie półtorej dywizji nieprzyjacielskiej i była ostrzeliwana przez artylerię co najmniej 80 dział do najcięższych kalibrów włącznie.

5) Z Perekrestia cofa się Brygada znowu ostatnia, a w odwrocie nie może już nawiązać żadnej łączności z sąsia-

dami, stając się w ten sposób zupełnie samodzielnym oddziałem.

6) Oddział mój cofał się z przedświadczeniem, że: a) Smolary i linia Stochodu nie jest przez nikogo obsadzona i b) że droga odwrotu na Smolary jest przeznaczona tylko dla I Brygady, nie przypuszczałem bowiem, abym o tak ważnym dla odwrotu fakcie, jak wspólnej drodze odwrotowej, mógł być niezawiadomiony. O zajęciu linii Stochodu przez batalion niemiecki dowiedziałem się z pewnością dopiero około godziny 2-giej po południu.

7) Straty w bojach 4, 5 i 6 lipca oraz przy odwrocie wynosiły: 35 oficerów i 604 żołnierzy, z których olbrzymią część (30 oficerów i około 500 żołnierzy) poniosły 2 prawoskrzydłowe bataliony pod dowództwem ppłk. Berbeckiego.

---

## *ROZKAZ NA DRUGĄ ROCZNICĘ WOJNY*

*Rozkaz cytowany w tekście został wydany w czasie walk nad Stochodem, już po wniesieniu przez Józefa Piłsudskiego podania o dymisję. Stąd też, Piłsudski przewidując odejście swoje od żołnierzy i głęboki wstrząs, jaki jego dymisja wywoła — podnosi konieczność godnego i pełnego honoru zachowania się w ciężkich chwilach, jakie staną się udziałem żołnierza legionowego.*

Kolonia Dubniaki, 6 sierpnia 1916.

Żołnierze!

Dwa lata minęły od pamiętnej naszemu sercu daty — 6 sierpnia 1914 r., gdy na ziemi polskiej naszymi rękami dźwignęliśmy zapomniany dawno sztandar wojska polskiego, w obronie ojczyzny stającego do boju. Gdym na czele waszym szedł w pole, zdawałem sobie jasno sprawę z ogromnych przeszkód, które nam na drodze stają. Gdym wyprowadzał was z murów nieufnego w wasze siły Krakowa, gdym wchodził z wami do miast i miasteczek Królestwa, widziałem zawsze przed sobą widmo upiorne, powstające z grobów ojców i dziadów — widmo żołnierza bez ojczyzny.

Czy takimi zostaniemy w historii, czy po nas zostawimy jedynie

krótki płacz niewieści
i długie nocne rodaków rozmowy —

pokaże przyszłość. My obecnie, stojąc w boju, mamy do obrony skarb, któryśmy bezsprzecznie zdobyli. W ciężkich walkach,

krwawymi ofiarami żołnierze wszystkich Brygad wyrwali nienawistnym losom to, czegośmy nie mieli jeszcze, wychodząc na wojnę — honor żołnierza polskiego, którego bitność i wewnętrzna dyscyplina nie podlega już nigdzie żadnej wątpliwości.

Dopóki stoję na waszym czele, będę bronił do upadłego, nie cofając się przed żadną ofiarą, tego, co jest naszą własnością i co oddać musimy w całości nienaruszonej naszym następcom — naszego honoru żołnierza polskiego. Tego też od was, żołnierze, z całą surowością wymagam. Czy w ogniu na polu bitwy, czy w obcowaniu z otoczeniem, oficer i żołnierz ma się zachowywać tak, by w niczym na szwank nie narazić honoru munduru, który nosi, honoru sztandaru, który nas skupia. Ofiary krwawe czy bezkrwawe, gdy trzeba, muszą być w tym celu złożone. Dwa lata minęły! Losy ojczyzny naszej ważą się jeszcze. Niech mi wolno będzie wam i sobie życzyć, by rozkaz mój następny w naszą rocznicę był odczytany wolnemu polskiemu żołnierzowi na wolnej polskiej ziemi.

Rozkaz ten odczytać w kompaniach, szwadronach, bateriach i zakładach oddziału.

J. Piłsudski.

---

## *USTANOWIENIE ODZNAKI «ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ»*

*Odznaka «Za Wierną Służbę» ustanowiona w Dubniakach w dn. 6. VIII. 1916 r., projektowana przez Wojciecha Jastrzębowskiego, przedstawia czteroramienny, żelazny krzyż w kole z inicjałami: J. P. i 1. Br.*

6 sierpnia 1916.

Niniejszym ustanawiam odznakę I Brygady «Za Wierną Służbę».

I. Prawo do noszenia odznaki mają:

a) wszyscy oficerowie i żołnierze, którzy nie mniej, niż rok, pracowali nienagannie na froncie w szeregach I Brygady, nie wyłączając taborów i zakładów, obsługujących I Brygadę;

b) wszyscy oficerowie i żołnierze z organizacyj strzeleckich w Królestwie, którzy byli tam w szeregach podczas okupacji rosyjskiej, bez względu na to, czy potem weszli w skład I Brygady, czy nie, oraz byłe biuro wywiadowcze I Brygady;

c) oficerowie i żołnierze, którzy byli w I Brygadzie mniej, niż rok, lecz dalszą służbę pełnili nienagannie w innych

jednostkach wojsk polskich, o ile sami sobie tego życzą i otrzymają na to pozwolenie swych komendantów.

II. O nienaganności służby decydują w swym zakresie: 1) Szef sztabu, 2) komendanci pułków, 3) komendant kompanii saperów, 4) komendant pułku artylerii, 5) odpowiednie szarże w innych jednostkach poza I Brygadą.

W wypadkach wątpliwych odnosić się do mnie.

III. Odznakę nosić na lewej stronie munduru pod kieszenią boczną.

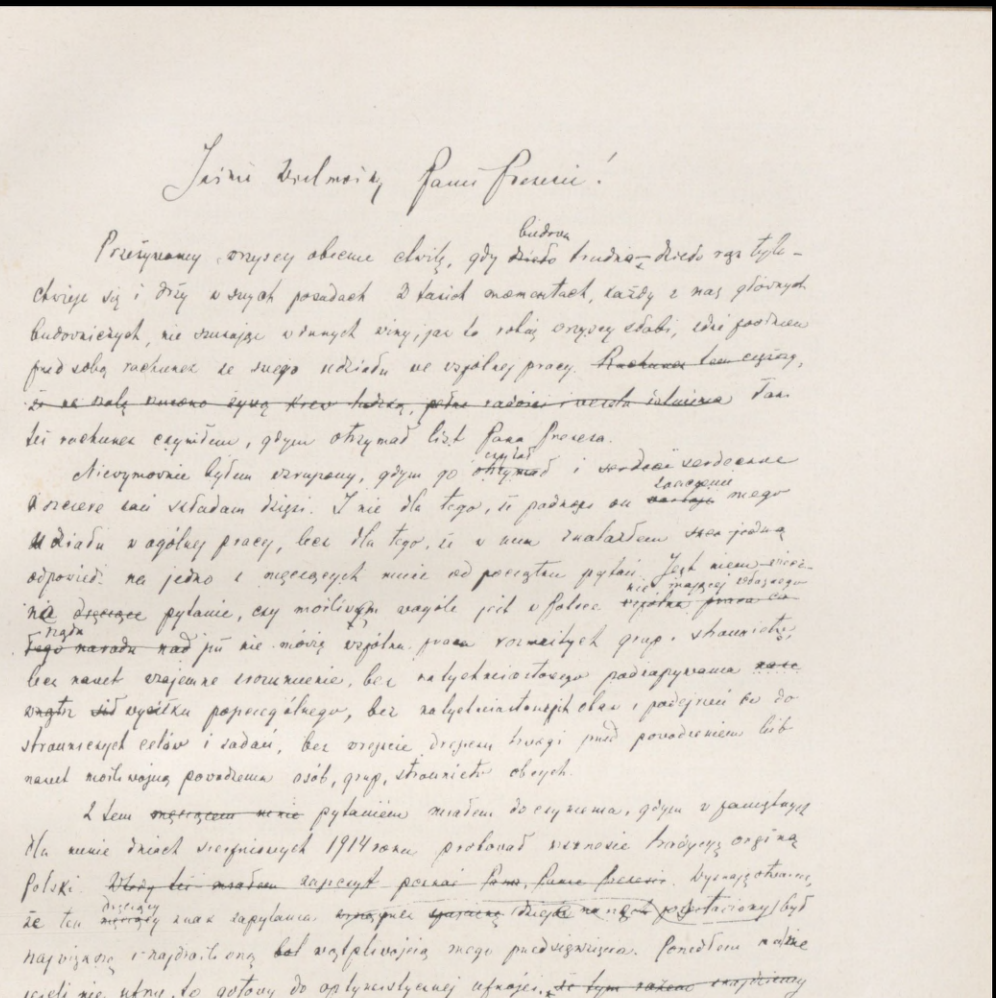
J. Piłsudski.

---

## *LIST DO PREZESA NACZELNEGO KOMITETU NARODOWEGO WŁADYSŁAWA LEOPOLDA JAWORSKIEGO*

*List Józefa Piłsudskiego z dnia 6. X. 1916 r. stanowił odpowiedź na list Władysława Leopolda Jaworskiego, napisany do Piłsudskiego dnia poprzedniego. W liście tym Wł. L. Jaworski, donosząc o głębokim zaniepokojeniu, jaki w wojsku i społeczeństwie wywołała dymisja Piłsudskiego, pisze: «Kto tak, jak ja, miał sposobność przez przeszło dwa lata poznać Twój umysł i duszę, może śmiało zwrócić się do Ciebie, Panie Brygadierze, abyś przemówił, i autorytetem, który zdobyłeś, podniósł serca. Mówiłeś mi, Panie Brygadierze, że celem Twoim było doprowadzenie do tego, aby w tej wojnie choć częściowo rozwiązaną została kwestia polska. Cel ten, jak dotychczas rzeczy stoją, będzie spełniony, a wskutek tego dzieło Twoje będzie owocne. Próżną jest rzeczą przewidywać obecnie już, przed końcem wojny, konstrukcję i rozmiary państwa, które chcemy wskrzesić, ale wydaje się dzisiaj, po dwuletnich, najstraszniejszych bojach, pewnym, że uzyskamy własne ognisko, przy którym myśleć i pracować będziemy mogli nad rozwojem. Legiony będą więc mogły być dumne i szczęśliwe. Uwolnienie spod jarzma rosyjskiego, zjawienie się na karcie Europy znowu państwa polskiego, choćby nie były przez to spełnione zupełnie nasze ideały, będzie postępem, za zdobycie którego warto było dać krew i życie. Powiedz to, Panie Brygadierze, Twoim żołnierzom, którzy w Tobie widzą symbol pracy dla niepodległości.*

*Sprawy tak się potoczyły, że nie mogłeś w szeregach, które wywiodłeś w pole, pozostać obecnie. Wojna wywiera wpływ na wszystkie kierunki życia indywidualnego i zbiorowego. Musiałeś się z tymi faktami, które wywołała, liczyć. Ale imię Piłsudskiego będzie nieodłącznym od Legionów i od Wojska Polskiego. Ojczyzna nie może się też pozbawić tej siły, którą Ty masz i dajesz. W moim zakresie działania starałem się zawsze wyjaśnić społeczeństwu, że Twoje imię i Twoja wartość jest własnością ogółu, a nie jego części. Na tym stanowisku trwam nadal, pełen przekonania, że kto,*



List do prezesa N. K. N. Wł. L. Jaworskiego z 6 X 1916 r.
Fotografia strony 1-szej

*jak Ty, Panie Brygadierze, zdobył tak wielkie zaufanie, ten się sam obciąża równie wielką moralną odpowiedzialnością. Wszyscy poczuć się winniśmy do obowiązku budowania państwa, nad którym unosić się będzie wolny Biały Orzeł. Nie wolno nam też nic uronić z dobytku dotychczasowego. Winniśmy go tylko rozwijać, poprawiać, doskonalić. Na tym czy innym terenie wznoś, Panie Brygadierze, w górę dzieło, które w historii związane będzie z Twoim imieniem. Krzep ducha, każ wytrwać, broń przed zwątpieniem, ucz budować!*

*Nie piszę Ci, Panie Brygadierze, o moich uczuciach w obecnej chwili; mam tę pretensję, że je odgadujesz. Ściskam tylko Twą dłoń i w tym uścisku chcę zaczerpnąć siły i otuchy do dalszych trudów, da Bóg, owocnych, — oddany Jaworski».*

*Obydwa listy oparte zostały na pierwodrukach, wydanych w formie ulotki w 1916 r.*

Kraków, 6 października 1916 r.

Jaśnie Wielmożny Panie Prezesie!

Przeżywamy wszyscy obecnie chwilę, gdy budowa trudna — dzieło rąk tylu — chwieje się i drży w swych posadach. W takich momentach każdy z nas, głównych budowniczych, nie szukając w innych winy, jak to robią wszyscy słabi, zdać powinien przed sobą rachunek z swego udziału we wspólnej pracy. Taki też rachunek czyniłem, gdym otrzymał list Pana Prezesa.

Niewymownie byłem wzruszony, gdym go czytał, i serdeczne a szczere zań składam dzięki. I nie dlatego, że podnosi on znaczenie mego udziału w ogólnej pracy, lecz dlatego, że w nim znalazłem odpowiedź na jedno z męczących mnie od początku pytań. Jest nim wieczne pytanie, czy możliwą w ogóle jest w Polsce, nie mającej własnego rządu, już nie mówię wspólna praca rozmaitych grup i stronnictw, lecz nawet wzajemne zrozumienie, bez natychmiastowego podkopywania na zewnątrz wysiłku poszczególnego, bez natychmiastowych obaw i podejrzeń co do stronniczych celów i zadań, bez wreszcie dreszczu trwogi przed powodzeniem lub nawet możliwością powodzenia osób, grup, stronnictw obcych.

Z tym pytaniem miałem do czynienia, gdym w pamiętnych dla mnie dniach sierpniowych 1914 r. próbował wskrzesić tradycję orężną Polski. Wyznaję otwarcie, że ten dręczący znak zapytania, postawiony przez nasze dzieje, był największą i najdrażliwszą wątpliwością mego przedsięwzięcia. Poszedłem na nią jeżeli nie ufny, to gotowy do optymistycznej ufności. Dwuletnie życie wraz z gorzkimi nieraz zawodami nie zmieniło mnie pod tym względem. Niechże więc wolno mi będzie

z listu Pańskiego, Panie Prezesie, zaczerpnąć otuchy, że w krytycznych chwilach możliwym jest zorganizowanie woli narodu.

Pozwoli jednak Pan, Panie Prezesie, że na apel jednego z wybitniejszych mężów stanu mojej ojczyzny odpowiem jako żołnierz.

Gdym szedł 6 sierpnia w pole, oprócz mniej czy więcej maksymalnych celów, o których słusznie sądzi Pan Prezes, gdy mówi, że próżną jest rzeczą dociekać realizacji szczegółów konstrukcji, stawiałem sobie minimalne zadanie, zgodne z wysokością poziomu sprawy wojskowej w Polsce. Nie szło mi w 1914 r. o to, jak w szczegółach ma być rozstrzyganą kwestia wojska w Polsce, lecz po prostu o to, czy w ogóle żołnierz polski ma pozostać istotą mityczną, pozbawioną krwi i ciała. Chciałem, by w wielkiej wojnie światowej, toczonej na polskiej ziemi, gdy żołnierz ze swym mundurem i bagnetem wedrze się do każdej niemal chaty i zagrody naszych wsi, żołnierz polski nie pozostał malowanką, oglądaną przez grzeczne dzieci nieraz pokryjomu po kątach. Chciałem, by Polska, która tak gruntownie po 1863 r. o mieczu zapomniała, widziała go błyszczącym w powietrzu w rękach swoich żołnierzy.

I niech mi Pan Prezes wierzy, gdybym mógł swych młodych żołnierzy, śniących w grobie o Polsce, zapytać o zdanie szczere — a umarli i umierający nie kłamią — powiedzieliby wraz ze mną, ich wodzem, że nie żałujemy ani krwi, ani ofiar, gdy ten sen i marzenie długich lat się ziściły. Żołnierz polski, własnymi polskimi siłami stworzony, dał swej ojczyźne nową wartość, której bez niego nie posiadała. Jestem, Panie Prezesie, dumny z tego, żem był duszą tego żołnierskiego dzieła, niestety, tak skromnego w swoim zakresie, pozostanę zaś bez względu na wszystko zawsze wdzięcznym wszystkim tym, którzy do jego urzeczywistnienia się przyczynili.

Jeszcze raz, Panie Prezesie, przyjmij podziękowanie za słowa, któreś do mnie w tej chwili skierował, i wybacz, jeśli moją odpowiedź znajdziesz niepełną.

Wyrazy wysokiego szacunku i poważania łącząc, pozostaję

Sługa

J. Piłsudski.

## *SPRAWOZDANIE Z PRZEMÓWIENIA NA WIECZERZY W HOTELU POLLERA W KRAKOWIE*

*Przemówienie cytowane w tekście, wygłosił Józef Piłsudski w dniu 9. X. 1916, na zakończenie uroczystego hołdu, złożonego mu tego dnia przez społeczeństwo w Krakowie. Po uroczystości w sali Tow. Lekarskiego, na której poseł Ignacy Daszyński odczytał adres do Piłsudskiego, podpisany przez 50.000 osób, przemawiał Bolesław Limanowski oraz odpowiadał Piłsudski. Treść tego przemówienia nie została jednakże zachowana. Na zakończenie odbył się bankiet w hotelu Pollera, gdzie po przemówieniach Daszyńskiego, redaktora Kempnera z Warszawy, Laskownickiego ze Lwowa, Nowaka w imieniu nauczycielstwa i dr Daszyńskiej-Golińskiej w imieniu kobiet — odpowiedział Piłsudski. Przemówienie to streszczone zostało w «Naprzodzie» z dnia 10. X., według którego zostało w tomie niniejszym zamieszczone.*

Żołnierz musi być zbrojnym ramieniem narodu, jego powszechności i przeto póki nim jest, nie może o wysuwaniu się na widownię polityczną myśleć.

Rzeczą tych, którzy owej regule żołnierskiej nie podlegają, przygotowywać kraj do oczekujących go wielkich zadań.

Mówca cofa się pamięcią wstecz ku 6 sierpnia przed dwoma z górą laty, gdy pierwsze oddziały strzeleckie ruszały do walki. Społeczeństwo polskie, zatraciwszy po ostatnim ruchu zbrojnym 1863 r. bezpośrednie tradycje bojowe, nawykło było do uważania żołnierza polskiego za jakiś prawie myt odległy, lub za malowankę, to też przyjęło wysiłek, celem wskrzeszenia go i przeniesienia w świat realny, żywy — na ogół sceptycznie lub niechętnie.

I nie wydobyło ze siebie tej siły, jaką stworzyćby mogło było.

Szerzej wyjaśnia mówca te obowiązki, które dziś ciążą nieodwołalnie na społeczeństwie polskim. Znajduje się ono w obliczu niezwykle ważnych rozstrzygnięć. Musi ono skupić wszystkie swoje siły, a sił tych niezużytych — mimo, że się przytacza obrazy ruin, zgliszcz, zniszczenia — jest przecie bardzo wiele. I relatywnie — wobec powszechnego wyczerpania, które wojna dokoła sprowadza, te siły zyskują na wartości, byle je w pełni zebrać, skrzepić. W osiągalność tego mówca wierzy głęboko. Wierzy, że zniknąć może trwożliwość, cechująca dotąd naród polski.

Widział bowiem — z różnych obserwacyj na polu walki, wśród różnych armij, w momentach, kiedy walka wzrastała w potęgę żywiołową, — jak nie tylko słabły, wyczerpywały się

ciała, lecz i duch wojujących był niejako zmiażdżonym, bezwładnym, a jednak mocą woli, energii dowództwa można go było dźwignąć i osiągnąć, że żołnierz taką grozę przetrzymywał.

Gdy nastąpi rozrachunek po wojnie, każdemu odmierzone zostanie wedle jego wartości: na bardzo czułych wagach ważyć się będzie i każde drgnienie serc naszych... Dlatego naród polski musi na ową chwilę być przygotowanym, musi dowieść, jaką wartością moralną rozporządza. I tu leży znaczenie obecnego czasu i wielkości obowiązku, przed którym naród stoi i któremu sprostać musi.

Mowę swoją zakończył Komendant Piłsudski toastem, aby żołnierz polski, dotąd pozbawiony ojczyzny, — ojczyznę swoją posiadł.

---

## *LIST DO PUŁKOWNIKA RYDZA-ŚMIGŁEGO*

*Po dymisji Józefa Piłsudskiego z Legionów, oficerowie i szeregowi, pochodzący z Królestwa Polskiego, poczęli wnosić podania o zwolnienie ich z Legionów, a poddani austriaccy o przeniesienie ich do wojska austriackiego, motywując swe podania tym, iż nie widzą dalszego celu służby w Legionach, skoro nie ma wśród nich Józefa Piłsudskiego. Wśród tego głębokiego kryzysu, jaki Legiony ogarnął, nastąpiło ogłoszenie aktu 5 listopada, przecinającego kryzys i stwarzającego nową, radosną dla żołnierza legionowego sytuację. List Piłsudskiego, skierowany do płk. Rydza-Śmigłego, był wyrazem jego stosunku do zmienionego położenia politycznego i wyciągnięciem zeń konsekwencji.*

*Tekst listu oparty został na współczesnych ulotkach.*

Kraków, 5 listopada 1916.

Kochany Pułkowniku!

Po raz pierwszy w tej wojnie światowej dzisiaj w miastach naszych publicznie z ust przedstawicieli wielkich armij-narodów padają zapomniane poza Polską słowa: Niepodległość Polski, Rząd Polski, Wojsko Polskie. Za te słowa ongiś umierali na polach bitew nasi ojcowie i dziadowie, z tymi słowami szliśmy pokryjomu, nieraz z ofiarą własnej wolności czy nawet życia, tworzyć podwaliny ich istotnej treści, te same słowa próbowaliśmy wymówić w imieniu Polski pamiętnego dnia 6 sierpnia 1914 r.

Drogi Kolego, w tej chwili myśl moja biegnie ku Wam wszystkim, towarzysze broni! Z całego serca winszuję Wam

tej chwili triumfu idei naszej, a pisząc do Was, Kochany Pułkowniku, wiem, że piszę do wszystkich moich współpracowników i kolegów bez różnicy stopnia.

Przez ten czas przeżyliśmy wiele przykrych i wiele radosnych chwil. I jeżeli jestem przekonany, że do radości u Was zawsze się miesza uczucie goryczy, gdy nie jestem razem z Wami, to chcę, abyście wierzyli, że najbardziej gorzko swój los odczuwam wtedy, gdy dla Was przychodzą momenty ciężkie, gdy stają trudne decyzje, a nie jestem z Wami, by zgodnie z istotą wojska wziąć na swe barki większą część odpowiedzialności, czyniąc ulgę tym, którzy z natury wojska mają ograniczony zakres odpowiedzialności.

Najcięższą może chwilę w naszym wspólnym życiu przeżyliśmy niedawno, gdy pękł widoczny mój związek z Wami, gdy niemożliwością się stało załatwianie spraw za pomocą krótkiego żołnierskiego rozkazu, gdy dla porozumienia się wyszukiwać trzeba form tak nieodpowiednich dla życia wojskowego, jak chociażby ta, którą macie przed oczami. Z chwilą mego ustąpienia daliście wyraz swym uczuciom i odpowiednik swemu położeniu przed podawanie się do dymisji.

Jeżeli w ten sposób stwierdziliście głęboką tęsknotę żołnierza do własnych polskich instytucyj rządowych i wojskowych, jeżeli dumny być mogę z tego własnowolnego zespalania swego losu przez żołnierza z moim losem, jeżeli do głębi duszy wstrząsało mną wzruszenie na myśl, że zasłużyłem na tak głębokie zaufanie i na tak szczere uczucie — jedno z najsilniejszych w świecie — uczucie prawdziwego żołnierza do swego naczelnika — to jednak, kochany Pułkowniku, sądzę, że teraz musicie wykazać uzasadnioną cierpliwość i ufność, że żołnierz polski w tej światowej wojnie znajdzie nareszcie ojczyznę w postaci własnego rządu i własnego wojska. Zdaniem moim, dymisje Wasze powinny teraz być cofnięte, a z tą chwilą żelazne prawa służby żołnierskiej powinny być w całej rozciągłości przez Was stwierdzone.

Przyjemnie mi jest stwierdzić, że w tej chwili po krótkiej rozmowie z pułkownikiem Roją i Sosnkowskim przyszliśmy do jednozgodnego w tej sprawie poglądu, któremu daliśmy wyraz w swojej depeszy do Was.

Kochany Pułkowniku, ufając głęboko Waszemu taktowi, który tak wysoko zawsze ceniłem, zwracam się do Was, abyście zechcieli wśród wojska być rzecznikiem mych uczuć i wyrazicielem mego zdania w tej sprawie.

Serdeczne uściśnienie łączę.

J. Piłsudski.

# *LIST DO REKTORA UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO JÓZEFA BRUDZIŃSKIEGO*

*List do Józefa Brudzińskiego, rektora otwartego w październiku 1916 r. Uniwersytetu Warszawskiego, wybitnego działacza politycznego, przewodniczącego delegacji polskiej, która w październiku w związku z przygotowywanym aktem 5 listopada udała się do Berlina, stanowił dokument polityczny, w którym Piłsudski formułował swój pogląd na konieczność powołania rządu powstającego państwa polskiego. Akcję o zrealizowanie tego dezyderatu rozpoczyna Piłsudski natychmiast po ogłoszeniu aktu 5 listopada.*

*List poniższy oparty został na ulotce współczesnej.*

Kraków, 6 listopada 1916.

Szanowny Panie Rektorze!

Pozwalam sobie zwrócić się do Pana w sprawie osobistej, dla usprawiedliwienia której znajduję tylko fakt, iż wiele spraw moich osobistych stało się dzięki wypadkom sprawami publicznymi.

Mianowicie, idzie mi o wyjaśnienie możliwie szerokie mego stosunku do zagadnień wojskowo-politycznych, w których odegrałem tak wybitną rolę w ubiegłych latach, a co do których kursują potworne nieraz gawędy. Pochodzenie tych gawęd jest mi zresztą skądinąd najzupełniej zrozumiałe, niemniej jednak szkodzą one nie tyle mnie — chyba odwrotnie, lecz samej rzeczy i sprawie.

Żołnierz, o ile nie jest najemnikiem, dla którego treścią jest kontrakt najemny, musi posiadać za sobą rząd, który mu wyznacza cele i metody, wyznacza wodzów i kierowników. Jest to tak koniecznym, że, jeżeli czegoś podobnego nie ma, zjawia się gwałtowna potrzeba operowania chociażby surogatami takiej politycznej reprezentacji.

Polska w tej wojnie miała to nieszczęście, że przed tym, nim powstał jej rząd, zjawił się na świat jej żołnierz. Stąd płyną wszystkie fikcje rządowe, które nikogo zadowolić nie mogły, a które wszystkie zadawalać miały choć w części tę naturalną tęsknotę żołnierza do prawomocnej politycznej reprezentacji jego dzieł i pracy.

Jestem żołnierzem z ducha i usposobienia, i dlatego — pomimo, że się sam dla wielu stałem takim surogatem przedstawicielstwa polskiej władzy, — tak samo, jak inni moi koledzy, tęsknię do istnienia formy, w którą się normalnie wy-

lewa ojczyzna żołnierza — do rządu, który żołnierza reprezentuje na zewnątrz, który z niego wszelkie troski polityczne zdejmuje i daje poczucie zrozumiałe celu, dla którego krew się daje.

Dawałem temu wyraz w formie bardzo dosadnej w głównym naczelnictwie armii austro-węgierskiej, gdzie parokrotnie oświadczałem, że pozostawanie w szeregach obcej — niepolskiej — armii bez wyraźnego nakazu własnej polskiej władzy politycznej jest tak ciężkim i trudnym do zniesienia, że z każdym dniem staje się to bardziej niemożliwym dla ludzi z zaboru rosyjskiego.

Że, o ileby Królestwo miało reprezentację polityczną, uznaną przez oba państwa okupacyjne, sprawa byłaby zupełnie rozstrzygnięta. Dawałem po temu drastyczne przykłady, mówiąc, że gdyby mi w czasie wojny rząd mój nakazał czyścić buty, tobym to z całą nieumiejętnością czynił, gdyby kazał wstąpić do armii Syngalezów czy Botokudów, uczyniłbym to również bez wahania. Odwrotnie zaś — przy braku rządu własnego nie mogę nie dawać wyrazu w swym postępowaniu, że po to poszedłem na wojnę, by moja ojczyzna swój własny rząd miała.

Ten zasadniczy stosunek do głównego zagadnienia politycznego w życiu żołnierza zachowuję dotychczas i z chwilą uformowania czegoś, co jest polską władzą rządową, natychmiast zwrócę się do niej ze swymi powolnymi służbami.

W oczekiwaniu, że wtedy będę mógł odnowić dawną znajomość z Panem Rektorem, proszę przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku i poważania, z jakim pozostaję.

J. Piłsudski.

---

## *MEMORIAŁ O ORGANIZACJI WERBUNKU DO POLSKIEJ SIŁY ZBROJNEJ*

*Józef Piłsudski po przyjeździe w dn. 15 XII 1916 r. do Warszawy, rozpoczął cały szereg rozmów w sprawach wojskowo-politycznych zarówno z działaczami politycznymi jak i z przedstawicielami państw centralnych. Ponieważ jedną z najpilniejszych spraw, którą w związku z aktem 5 listopada pragnęli Niemcy zrealizować, była sprawa tworzenia wojska polskiego, Piłsudski w memoriale o organizacji werbunku przedstawia swój pogląd na to zagadnienie, kładąc stanowczy nacisk na zapewnienie samodzielności i polskości mającego się tworzyć wojska.*

*Zacytowany w tekście memoriał skierowany w dn. 26 XII 1916 r. do gen. Hansa Hartwiga Beselera opublikowany został po raz pierwszy w IV t. «Pism — Mów — Rozkazów» jednakże w odmiennej redakcji. W przypisach do wymienionego tomu na str. XX znajduje się uwaga, iż memoriał ten został zredagowany na podstawie szczegółowych wskazówek Piłsudskiego przez Juliana Stachiewicza po polsku, później przetłumaczony na język niemiecki. Opublikowany został w aneksach książki Lipeckiego (Ireny Pannenkowej): «Legenda Piłsudskiego» (str. 141—151, wyd. II) jak ona podaje — według egzemplarza, otrzymanego z Departamentu wojskowego N. K. N.; prawdopodobnie jest to przekład z niemieckiego na polskie, a więc redakcja wtórna. Wobec tego wydawcy sięgnęli do archiwów i znaleźli tam dwie redakcje: pierwszą, pisaną ręką Juliana Stachiewicza z poprawkami Piłsudskiego i drugą już wykończoną w papierach Tymczasowej Rady Stanu, dostarczoną przez kapitana Stefana Pomarańskiego. Tę ostatnią redakcję przyjęto jako podstawę do ogłoszenia tekstu «memoriału».*

*W papierach Kazimierza Świtalskiego znajduje się ten sam dokument jeszcze w odmiennej redakcji. Ma on wszystkie cechy czystopisu ostatecznego. Wskazuje na to nagłówek, w którym jest podany Józef Piłsudski jako autor memoriału i pełna data 26 grudnia 1916 r. Tekst ten miał służyć jako podstawa do przekładu na język niemiecki, o czym świadczy to, że w kilku miejscach w nawiasach podane są terminy niemieckie, które miały być w tłumaczeniu użyte.*

*Porównując tekst wydrukowany w «Pismach — Mowach — Rozkazach» z dostarczonym przez Kazimierza Świtalskiego dokumentem, należy dojść do przekonania, iż ten ostatni tekst jest poprawniejszy. Terminologia w nim jest o wiele bliższa myślom, które mógł wtedy żywić Józef Piłsudski, zdania są jaśniejsze, styl bardziej prawidłowy, a co najważniejsze nie ma w nim zdań, które wypaczają sens, co powstało zapewne wskutek błędów przy przypisywaniu.*

Do
ces. niem. Generalnej Gubernii
w Warszawie.

Memoriał niniejszy porusza ogólne zasady, jakimi moim zdaniem przy przystępowaniu do organizacji armii polskiej kierować się należy, nie podnosi zaś żadnych szczegółów. Szczegółowe plany bowiem zależeć muszą od specjalnych umów, muszą uwzględniać zamiary i plany już zrobione, ja zaś pracowałem, ani tych zamiarów, ani praktycznych pomysłów w stosunku do mającej powstać armii zupełnie nie znając.

Przy rozpatrywaniu kwestii wojska polskiego biorę pod uwagę następujące punkty wyjścia:

1) Wojsko musi być uformowane jak najszybciej i jak najliczebniejsze.

2) Formowanie i wyszkolenie wojska musi się odbyć tak, aby mimo krótkiego czasu było ono wzorowe pod względem moralnym i techniczno fachowym.

Rozpoczynać formowanie wojska, jeżeli mają być spełnione powyższe warunki, a kompletowanie wojska ma się odbywać drogą werbunku ochotników, można wówczas, kiedy idea wojskowa jest w całości narodu popularna. — Dziś zaś tak nie jest, a powodem tego są długotrwałe warunki życia społeczeństwa pod zaborem rosyjskim, gdzie od lat z górą 80 nie było własnego wojska, wszelkie tradycje wojskowe i próby wytworzenia choćby pośrednich wartości militarnych były przez rząd rosyjski stale prześladowane i niszczone, służba zaś w armii rosyjskiej była przez Polaków znienawidzona i pogardzana.

Legiony polskie, jakkolwiek w tym stanie psychicznym wprowadziły wyłom, nie potrafiły jednak i nie mogły zmienić go wśród ogółu społeczeństwa, były bowiem zbyt nieliczne, a przy tym miały kontakt ze społeczeństwem utrudniony, poza tym, będąc zbyt ściśle złączone z armią obcą, nie były uważane za własne wojsko bez zastrzeżeń. Zrobiły one popularnym żołnierza, jako człowieka, nie zaś wojsko.

To też zaledwie bardzo nieliczna część społeczeństwa rozumie dziś ideę wojskowości i chętnie do służby wojskowej, mając gwarancję służby dla własnej sprawy, by się wciągnęła. Garstka ta niewątpliwie rozszerzyłaby obecnie w Legionach istniejące kadry; wzięcie jej jednak spowodowałoby odsunięcie od społeczeństwa czynników, najbardziej do propagowania wojskowości się przyczyniających, a co za tym idzie, możliwość bardzo słabego późniejszego wzrostu armii polskiej.

Musi być zatem, przed rozpoczęciem formowania wojska na większą skalę, przeprowadzona praca przygotowawcza, której celem byłoby wytworzenie popularności dla idei wojskowej i wszystkich spraw z wojskiem związanych. Bez zdobycia tej popularności sprawa wytworzenia armii nie poruszy się ani na krok naprzód; odwrotnie zaś, przy jej zyskaniu, upoważni ona do przedsięwzięcia środków, które teraz są nie do pomyślenia.

Przy wyborze metody tej pracy musi się wziąć pod uwagę, przystosować do niej i wyzyskać charakterystyczne cechy psychiczne narodu polskiego, które, podobnie jak podniesiony wyżej brak zrozumienia dla spraw wojskowych, są następstwem długoletnich rządów rosyjskich:

1) Polacy są nieufni w stosunku do każdej biurokracji i zawsze są skłonni do przeprowadzania każdej pracy samodzielnie, bez współdziałania jakichkolwiek urzędów.

2) Polacy nie są zorganizowanym narodem, wobec czego znaczy u nich więcej nastrój, aniżeli rozumowanie i argumenty; sztuką rządzenia Polakami jest zatem wzniecanie odpowiednich nastrojów.

Cechy te wytwarzają nadzwyczajne przeszkody dla tworzenia wojska nawet wtedy, gdyby wszelkie polityczne warunki temu sprzyjały. Przeszkody te są zwiększone sytuacją, którą obecnie przeżywamy. Na zwiększenie ich składają się następujące przyczyny:

1) Polska w tej wojnie nie jest jednolitą w poglądach i uczuciach. Gdy jedna część społeczeństwa oczekuje poprawy swego losu od zwycięstwa mocarstw centralnych, druga drży przed powrotem Rosji i obawia się zemsty za wszelkie współdziałanie z mocarstwami centralnymi. Nadzwyczajnie więc łatwo wykorzystać w tych warunkach najmniejszy nawet błąd dla zwiększenia bierności, czyli tzw. neutralności polskiej.

2) Polska ma do czynienia z dwoma mocarstwami, wobec czego przeprowadzenie każdej sprawy w stosunku do Polski nie jest jednolitem i znacznie się komplikuje.

3) Przy wojskowym zarządzie krajem okupowanym wszelkie zarządzenia opierają się na lokalnych organach obu państw okupacyjnych, które to organy zarówno z powodu swej obcości, jak i z powodu koniecznych ciężarów nakładanych na ludność nie są i nie mogą być popularne. Niepopularność tę podnosi jeszcze fakt, że przez długi okres czasu władze okupacyjne rządziły Polską, jak zdobytym krajem nieprzyjacielskim, wywołując stąd patrzenie na nie, jak na ciemiężących zwycięzców; ten punkt widzenia, który wyrobił się w ciągu dwóch lat, nie da się zmienić w jednym dniu, zwłaszcza, że zewnętrzny charakter rządów okupacyjnych nie może być zmienionym.

4) W ogólnym poczuciu ludności istnieje przekonanie o niedostatecznej prawowitości stanu obecnego, co pociąga za sobą uważanie każdej pracy za przejściową, zmienną, nie mającą trwałych podstaw.

Z powyższego wynika że:

1) cała akcja wstępna polegać musi na wyrobieniu nastroju w wielkim stopniu przez pobudzenie uczuć,

2) że musi ona być prowadzona przez samych Polaków. Rozpocząć się ona bowiem musi od przełamywania wewnętrznych uprzedzeń i podejrzeń, do czego potrzebne jest zupełne zaufanie ze strony społeczeństwa dla osób, akcją tą kierują-

cych, przy czym wytyczną dla pracy musi być kierowanie się raczej intuicją, niż rozumowaniem logicznym, opartym na teoretycznym i praktycznym znawstwie urządzeń odpowiednich w krajach o starej i ugruntowanej kulturze państwowej; do tego zaś konieczna jest tak gruntowna znajomość stosunków i nastrojów, jaką posiadać mogą tylko ludzie miejscowi.

Im mniej wmieszane w to będą władze okupacyjne, tem będzie to lepiej dla samej sprawy, dla władz okupacyjnych i dla następnych kroków, podjętych na szerszą skalę, które z natury rzeczy bez udziału i żywej pomocy rządów i armii obu państw centralnych przeprowadzone być nie mogą.

Całą akcję wyrobienia popularności dla idei wojskowej i w łączności z tem rozpoczęcia rekrutacji ochotniczej, przeprowadzić mogą Polacy:

1) przez wojsko tj. Legiony,

2) z pomocą środków cywilno-politycznych.

Działanie przez wojsko polegać by musiało na wywieraniu wpływu przez samo istnienie, przez stosunki towarzyskie, przez rozmowy, któreby pobudzały u młodych ludzi ambicje wojskowe, urok życia wojskowego. W narodach, żyjących własnym życiem państwowym, już w czasie pokojowym nie ma nieomal rodziny, z którejby ktoś w wojsku nie służył, nie wyniósł z niego mnóstwa tematów rozmów, ambicji wojskowej, zamiłowania do służby, zrozumienia jej, jako zaszczytnej formy spełniania obowiązku wobec ojczyzny. Działa to mimowoli agitująco na otoczenie, zwłaszcza jeżeli ten żołnierz wraca do domu otoczony aureolą chwały i bohaterstwa. W Polsce wprawdzie również w bardzo wielu rodzinach byli wojskowi, ale powracający do domu z przekleństwem i nienawiścią do armii obcej, w której pod przymusem musieli pełnić przykrą i poniżającą służbę.

Legiony polskie są zatem jedynym materiałem wojskowym, mogącym być pomocą jako czynnik agitujący w stosunku do społeczeństwa. Legiony w dzisiejszej swojej formie posiadają w narodzie polskim wiele popularności, która polega na:

1) zgodności z tradycją, drzemiącą w duszach ludzkich o powstawaniu żołnierza polskiego samodzielnie, bezpośrednio z ludności cywilnej, jako emanacji dążenia do swobody bez wszelkiej pomocy maszyny państwowej, która od stu lat spoczywa wszędzie w Polsce w rękach obcych;

2) na niespodziance, która polega na tem, że wbrew wszelkim oczekiwaniom pokazał żołnierz w Legionach to, co uznawano powszechnie za niemożliwość w obecnym wieku,

mianowicie stał się własnymi siłami wartością militarną. Podbija to wyobraźnię ludzką i stwarza dla wojska korzystną legendę;

3) na ogromnej łatwości towarzyskiej legionistów w stosunku do otoczenia, które przy szerokiej ciekawości ludzi do spraw wojny i zjawisk wojennych czyni z legionistów doskonałych popularyzatorów wojska i wojskowości w ogóle, a także i jakgdyby urodzonych fachowców polskich w niezrozumiałych dla ludności cywilnej sprawach wojskowych.

Aby jednakże mogły być Legiony użyte jako materiał propagujący ideę wojskowości polskiej, musiałyby być usunięte dotychczas istniejące wady, które wywoływały stale wśród legionistów samych rozgoryczenie, jako nieodpowiadające ani ich ambicjom, ani honorowi żołnierskiemu, dla narodu zaś były powodem niepopularności, stałych zastrzeżeń i abstynencji w stosunku do Legionów.

1) Zasadniczym tego powodem był fakt, że w ciągu wojny zmieniała się ciągle polityka w stosunku do Polski, a w łączności z tym i do Legionów; żołnierz, nie znając istotnych powodów, odczuwał dokonywane na sobie ciągłe eksperymenty, które, ponieważ wielokrotnie nosiły na sobie wyraźną cechę niszczenia ideału, dla którego ochotnicy do Legionów się zaciągali, mianowicie służby w wojsku polskim dla czysto polskich celów, wytwarzały stałą nieufność i zniechęcenie, obniżając w ten sposób moralny stan wojska i sprowadzając w swoich zewnętrznych objawach na ludzi patrzących z boku wrażenie wojska politykującego.

2) W związku z tem była niepopularna w Legionach ich zależność prawna od innego państwa, dzięki czemu Legiony znajdowały się często w przykrej rozterce dzięki obowiązkowi wykonania zarządzeń sprzecznych z ich sumieniem.

3) Dalej niepopularnymi są elementy obce Królestwu, a więc oficerowie obcych armii, którzy z jednej strony byli niejako zaprzeczeniem faktu powstawania żołnierza polskiego samodzielnie, z drugiej zaś, nie znając społeczeństwa i nie mając wobec narodu żadnej odpowiedzialności, gospodarowali Legionami nie tylko pod względem wojskowym, do czego byli przeznaczeni, ale również pod względem politycznym, biorąc na siebie reprezentację polityczną Legionów wobec państw centralnych i narodu.

4) W żołnierzu legionowym wyrosły w czasie długiej służby w polu, istniejące w ogóle wśród polskich żołnierzy ambicje wojskowe do wysokiego poziomu. Dla społeczeństwa ta ambicja i wartość żołnierza stanowiła najważniejszy czynnik

sympatii i szacunku dla legionistów. Z tego względu niepopularnym jest każdy legionista, który nie jest właściwym żołnierzem, nie był w polu i nie wytwarzał tego, co stanowi wartość militarną; niepopularność ta potęguje się wskutek tego, że obstawienie funkcyj pomocniczych i tyłowych nadmierną ilością ludzi robi wrażenie dekowania się ich i uchylania od służby na froncie.

5) Warunki powstawania i życia Legionów wytworzyły silniejszym, niż w innych wojskach, patriotyzm oddziałów («Korpsgeist») i ambicje w kierunku zyskania im sławy. Weszło to już do tradycji żołnierzy i jest przez nich szanowane, jako najcenniejszy skarb ich dumy żołnierskiej. Na spotęgowanie tego uczucia wpływają następujące czynniki: poszczególne jednostki były formowane niezależnie od siebie w różnych warunkach i z różnego materiału; większość żołnierzy rozpoczynała służbę jako żołnierze, służbą w polu dorabiając się stopni oficerskich i awansów, dzięki czemu żołnierze są z nimi zżyci tak silnie, jak w żadnej armii; każda z jednostek legionowych przeżywała chwile zaszczytne i chwalebne; oficerowie, mając mniej wykształcenia teoretycznego i regulaminowego, niż oficerowie armii regularnych, wkładali w służbę swoją znacznie więcej indywidualności zarówno w zakresie organizacji, jak i pracy wojennej; wreszcie w codziennym życiu każdy oddział stwarzał mnóstwo faktów podniecających w żołnierzu ambicję i poczucie honoru. Cechy te tym bardziej się wzmiacniały, że żołnierz wielokrotnie ze strony czynników zewnętrznych był poniżany, dobra sława szarpana, ambicja obrażana. Nic też dziwnego, że żołnierze każde nieuszanowanie tej ich tradycji i patriotyzmu oddziałowego uważają za krzywdę.

Praktycznie, aby Legiony uczynić zdolnymi do popularyzowania idei wojskowości, musiałoby nastąpić:

1) Oddanie ich w rozporządzenie tworzącej się Rady Stanu,

2) Ogłoszenie, że przystępuje się do zorganizowania pierwszego korpusu polskiego bez określania publicznego dalszych formacji i planów organizacji wojska.

3) Użycie do tego prawie wyłącznie oficerów i żołnierzy legionowych, do czego, zdaniem moim, siły techniczne Legionów są w zupełności wystarczające.

4) Postawienie na czele ludzi popularnych i mających za sobą legendę.

5) Dyslokacja Legionów w kraju w odpowiednich miejscowościach tak, aby istniała łatwość promieniowania ich wpływu. Dyslokacja ta musiałaby się liczyć z wartością danych

punktów jako ośrodków agitacyjnych, ilością żyjącgo tam materiału ludzkiego, zdatnego do służby wojskowej, i łatwością zaagitowania go. Jako przykład podam dwie uwagi:

a) gubernia Łomżyńska zawsze stanowiła w Królestwie polską Beocję, ośrodek, który żył życiem własnym, absolutnie nie promieniował swym wpływem na resztę Królestwa, — odwrotnie, sam szukał wskazówek i wytycznych dla życia ideowego i politycznego z zewnątrz; ponadto jest to gubernia stosunkowo bardzo silnie przez wojnę zniszczona i wyludniona. Dlatego też rozlokowanie tam oddziałów legionowych może zaagitować bezpośrednie otoczenie, nigdy zaś nie wpłynie na zmianę nastroju w całości Królestwa.

b) Nałęczów, w którym stoi obecnie 6 p. p., należy do okolic, gdzie były formowane legiony polskie po stronie rosyjskiej i gdzie zostawiły one swoją tradycję. Dlatego też pobyt obecny Legionów w tym punkcie może zanulować poprzednie wpływy, żadnych jednakże realnych korzyści nie da.

6) Częste urlopowanie żołnierzy do ich rodzin specjalnie na wieś, gdzie niechybnie wywrą wpływ większy, jako swój człowiek, niż najwymowniejszy mówca werbunkowy naznaczony z zewnątrz.

7) Postawienie jako zasady, że żołnierz nie miesza się do polityki wewnętrznej i działa na otoczenie jedynie przez swe towarzyskie stosunki.

8) Usunięcie od zetknięcia ze społeczeństwem i od pracy propagatorskiej wszystkich oficerów, którzy na wojnie nie byli i reprezentują przed społeczeństwem nie tężyznę i ducha żołnierskiego, lecz właśnie niepopularne funkcje polityczne wojska.

9) Wyłączenie tych wszystkich ludzi ze stanu wojskowego («Soldatenstand») i utworzenie specjalnej kategorii urzędników wojskowych.

10) Zakładanie szkół wojskowych dla oficerów z tym zastrzeżeniem, że pierwszymi kandydatami do tych szkół muszą być podoficerowie legionowi z kwalifikacjami wykształcenia ogólnego, którzy przez dwa lata przechodzili twardą służbę doświadczenia wojennego w polu, a teraz jakby przez ironię losu zostaliby pozbawieni możności zostania oficerami.

11) Przywrócenie dawnego, przed kilkoma miesiącami gruntownie zmienionego «Kriegsgliederung».

12) Aby Legiony mogły spełnić rolę, jaka im przypadnie, potrzebnem jest ukształtowanie stanu moralnego żołnierza, aby rozpęd i dobry humor mogły wrócić. Dwuletnia służba w ciężkich warunkach moralnych z jednej strony wyczerpały bar-

dzo znacznie żołnierzy fizycznie, z drugiej strony wszystkie zmiany i zajścia w Legionach znacznie obniżyły rozpęd Legionów, którym tak silnie odznaczały się w początkach i środku wojny.

Dla zrealizowania drugiego punktu powyższego programu koniecznym jest werbunek, który spełniać musi zarazem swą rolę polityczną, nie dając odsunąć na plan dalszy sprawy wojskowej wśród samego społeczeństwa. Dla powodzenia werbunku jednak koniecznym jest, aby miał on charakter możliwie mało biurokratyczny. Największym czynnikiem werbunkowym może być samo wojsko, tzn. każda jednostka legionowa ma prawo włączania w swój skład rekrutów, którzy dobrowolnie do niej zgłaszać się będą.

Drugą drogą dla werbunku musiałyby być towarzystwa sportowe o charakterze wojskowym, o których obszerniej mówię potem.

Na trzecim jedynie planie postawić można wszelkie urzędowe drogi, które też powinny być otwarte. Zastrzegłbym się jedynie przeciwko dwom sposobom werbunku, które moim zdaniem tylko szkodę sprawie przynoszą — jeden przez oficerów werbunkowych, którzy nigdy w polu nie byli, ciężarów wojny dotąd nie ponosili i coraz częściej ściągają na siebie zarzut, że są właściwie urzędnikami politycznymi, noszącymi mundur wojskowy jedynie przez nieporozumienie. Drugi sposób — to werbunek przez żołnierzy rozsypanych pojedynczo dla specjalnych funkcyj, związanych z werbunkiem, albowiem system ten doprowadzić może jedynie do niepotrzebnych tarć poszczególnych legionistów z niższymi organami okupacji, jak też do zdemoralizowania samego żołnierza i czynienia ujmy honorowi munduru, który nosi. We wszystkich bowiem funkcjach żołnierza jest koniecznem dbać o to, aby wysoka drażliwość na punkcie honoru wojskowego, która jest powszechna u legionistów, po dwuletnich nadzwyczajnie ciężkich próbach moralnych, jakie on przechodził, nie była na szwank narażona.

Jestem także przekonany, że nie należy zapominać o dodatkowych rzeczach zewnętrznych, jak muzyka, zebrania towarzyskie, obchody i uroczystości wojskowe, które mogą wywrzeć głęboki wpływ na ludność i przyczynić się do spopularyzowania idei wojskowej.

Powyżej skreślony system werbunku uważam za najbardziej celowy i najszybciej prowadzący do celu na podstawie doświadczenia, zdobytego od początku wojny, w którym to okresie prowadzono werbunek najrozmaitszymi metodami.

Zestawienie cyfrowe będzie pod tym względem najwymowniejsze.

W czasie wojny dwukrotnie urządzałem werbunek do podległego mi oddziału w ten sposób, że rekruci byli wcielani wprost do wojska; przy tym wszyscy rekruci wstępowali z tą świadomością, że wchodzą w skład oddziału, który starannie mimo ogromnych szykan i przeciwności, na jakie wskutek tego był narażony, zachowywał charakter służby Polsce, a nie interesom obcym.

1) Werbunek w Kielcach ogłosiłem na samym początku wojny z końcem sierpnia 1914; trwał on do początku września, tj. do czasu mojego wycofania się z Kielc, razem niespełna 3 tygodnie. Warunkami sprzyjającymi werbunkowi były — niezależność oddziału, początek wojny. Nie sprzyjały zaś — zewnętrzny wygląd oddziału był nad wyraz opłakany; przeważna część ludzi nie miała mundurów, lecz chodziła w cywilnych ubraniach; odżywianie, dzięki brakowi urządzeń pomocniczych, pozostawiało wiele do życzenia; broń starego systemu z dymnym prochem. Ponadto sytuacja wojenna była wówczas bardzo niepewna, patrole nieprzyjacielskie dochodziły niedaleko od miasta, czego przed mieszkańcami nie można było utaić. Mimo to zwerbowano i wcielono do wojska 1228 ochotników.

2) Werbunek w Lublinie; tuż po zajęciu Lublina ogłosiłem tam werbunek; werbunek ten natrafiał na znaczne trudności z powodu tego, że przeszkadzano mi i przeciwdziałano zarówno ze strony czynników rządowych, jak i władz legionowych. W ciągu miesiąca zwerbowano ponad 1400 ludzi. Nadmienić muszę, że cały werbunek odbył się z minimalnym nakładem finansowym i sił ludzkich.

W przeciwstawieniu do tego przytoczę cyfrę oficjalną przytoczoną przez Centralne Biuro Werbunkowe Departamentu Wojskowego. Przy ogromnym nakładzie pieniędzy i urządzeń werbunkowych, przy hojnym rozdzieleniu po całej okupacji austriackiej oficerów i «manszaftu» werbunkowego, zwerbowano i zaasenterowano w 24 miejscowościach w ciągu 6 miesięcy tj. od lipca 1915 do stycznia 1916 — a więc w okresie ciągłych zwycięstw państw centralnych — 1.620 rekrutów.

W powyżej przedstawionym kierunku należy prowadzić pracę w pierwszym okresie. Za cel jej stawia się wytworzenie nastroju, popularyzowanie idei wojskowości polskiej. Wszystko, co ta akcja praktycznie w tym czasie zdobędzie, zasilałoby kadry Legionów, formując w ten sposób pierwszy korpus pol-

ski, który już będzie uznany przez społeczeństwo za swoje polskie wojsko.

Długość tego okresu, o ile akcja od początku będzie ułożona roztropnie i jednolicie, wynosiłaby mniej więcej trzy miesiące.

Wszelka dalsza formacja, mając oparcie w poczuciu istnienia własnego korpusu i w wyrobionym przychylnym nastroju ludności, odbywaćby się mogła znacznie szybciej.

Rzeczą jest naturalną, że w tym okresie pożądana jest dla obu stron kontrola, inspekcja techniczna i praca instruktorska ze strony naczelnego dowództwa. Kontrola ta dałaby z jednej strony pewność i zaufanie państw okupacyjnych do tej pracy, a z drugiej strony dałoby to obecnym Legionom, które odznaczają się wielką ambicją wojskową, możność złożenia w tej dziedzinie egzaminu przed wymagającymi nauczycielami.

Jaką rolę w tej akcji cywilno-politycznej ma odegrać społeczeństwo?

Jestem zdania, że powyżej opisana działalność wojska w celu zdobycia dla siebie popularności i uznania nie jest wystarczająca, albowiem wchodzą w tym wypadku w grę sprawy polityczne wewnętrzne jak i zewnętrzne. Sprawy te nie mogą zaś z natury rzeczy być poruszane przez wojsko, gdyż nie chciałbym do tego dopuścić, aby jak się to dzieje teraz często przy werbunku, przez oficerów były zakładane organizacje polityczne zwalczane przez resztę społeczeństwa, co zmusza niejednokrotnie oficerów do wygłaszania politycznych mów i mieszania się do wewnętrzno-politycznych spraw kraju. Rolę tę musi wziąć na siebie samo cywilne społeczeństwo. Jednym z najsilniejszych środków ku temu byłoby zakładanie i rozszerzanie wszelkiego rodzaju towarzystw o charakterze sportowo-militarnym. Doświadczenia poczynione zarówno przed wojną, jak i w czasie wojny, dają mi prawo przypuszczać że wpływ nawet niewielkich ugrupowań tego rodzaju jest bardzo duży i zaraża duchem wojennym dalekie swe otoczenie. Z chwilą zaś, gdy będzie istniało prawomocne przedstawicielstwo polskie, będące wyrazem całokształtu życia politycznego Polski, i gdy to przedstawicielstwo otoczy swą opieką podobne zgrupowania, to będą one pozbawione tych cech politycznych, które wzbudzać mogą podejrzenie z tej czy innej strony. Przy umiejętnym kierownictwie podobnymi stowarzyszeniami mogą one wziąć na siebie w tej jedynej dziedzinie politycznej, mianowicie w stosunku do wojska i wojskowości, walkę z przesądami, z zastrzeżeniami i obojętnością polskiego społeczeństwa w sto-

sunku do wojska. Byłyby one zarazem stałym rezerwoarem, przez który łatwiej aniżeli w jakikolwiek inny sposób przechodziliby rekruci w okresie ochotniczego formowania wojska. Obok tego możnaby ze starszych ludzi, popierających podobny ruch, przygotować część tej polskiej maszyny, która będzie konieczna dla współdziałania z siłami technicznymi państw centralnych w drugim okresie, gdy będzie można już przejść do normalnego tworzenia wojska przez pobór.

Inicjatywa i nadanie jednolitego kierunku tej akcji przygotowawczej powinny być oddane w ręce Rady Stanu, względnie w ręce wyznaczonego referenta.

Akcja ta powinna opierać się na komitetach prowincjonalnych, złożonych z bezwzględnych zwolenników wojskowości. Zadaniem tych komitetów byłaby moralna opieka nad podobnymi stowarzyszeniami, w których z natury rzeczy brałaby przede wszystkim udział młodzież wiejska i miejska. Dalszym zadaniem byłoby reprezentowanie owych stowarzyszeń sportowo-militarnych przed władzami, zbieranie dla nich funduszów, popularyzacja wojskowego wychowania wśród społeczeństwa. Komitety te objęłyby wreszcie pracę wydawniczą, która musiałaby mieć przede wszystkim nie publicystyczno-polityczny charakter lecz bardziej militarny.

Tu mam na myśli zużytkowanie materiału historycznego, popularno-technicznego z możliwym powstrzymaniem się od wycieczek w dziedzinę polityki czy to przeszłości, czy teraźniejszości. Chciałbym bardzo, aby tę dziedzinę pracy należycie oceniono, albowiem jedynie ona zwalcza skutecznie cywilizm ogółu społeczeństwa, wdraża do karności i opanowywania siebie oraz przygotowuje możność odbycia w niedalekiej przyszłości wyborów do przyszłego sejmu pod hasłem wystawienia armii z własnej woli narodu.

Byłoby to na polski sposób czymś w rodzaju stowarzyszeń, które okazały się pożytecznymi — także i w Niemczech — dla zdobycia tych czy innych potrzeb wojskowych (np. Flottenverein, Schützenverein itd.).

Na podstawie zdobytej popularności dla idei wojskowej i dla ofiar, które społeczeństwo dla celów wojny ponosić musi, można potem przejść niejako do drugiej fazy, w której okaże się już oczywistością, że istniejące polskie siły techniczne nie starczą do dalszego organizowania armii i że trzeba będzie sięgnąć do obcych rezerwoarów. Musi to jednak wypływać samo z siebie, a nie śmie być z góry i za wcześnie narzucone. Wówczas konieczną będzie pomoc ze strony państw centralnych nie tylko techniczna, ale i w postaci odpowiedniego personalu

oficerów i urzędników wojskowych. Sądzę, że okres pierwszy przygotowawczy, podczas którego byłby formowany siłami polskimi pierwszy korpus, mógłby być użyty w tym także kierunku, aby odpowiednia ilość oficerów i urzędników mogła być przygotowana do pracy wśród materiału ludzkiego, najzupełniej im dotąd nieznanego, oraz by ich oswoić z metodą współżycia z polskim społeczeństwem tak, aby swoim postępowaniem nie popełniali bezwiednie błędów drażniących, a przez to szkodliwych. Jednym z najlepszych sposobów tego przygotowania byłoby odkomenderowanie na pewien czas takich oficerów do formującego się pierwszego korpusu, gdzie w koleżeńskim współżyciu z oficerami polskimi wytworzyłby się w pewnej mierze przyszły ich «modus vivendi». Zarazem oswoiłoby się przez to zarówno samo wojsko jak i otaczająca ludność z możliwością przyszłej współpracy, a odkomenderowani oficerowie zapoznaliby się dokładnie z językiem przyszłych ich podkomendnych.

Z powyższego widocznym jest, że będąc gorącym stronnikiem i zwolennikiem tworzenia armii polskiej podczas obecnej wojny, nie mogę zamykać oczu na poważne przeszkody, które istnieją i które, jak się obawiam niedoceniane lub jednostronnie oceniane są przez przedstawicieli państw o długoletniej kulturze państwowej, a zwłaszcza o długoletnim wzorowym wychowaniu wojskowym narodu. Właśnie dlatego, że jestem takim zwolennikiem wojska, obawiam się kroków, które mogą zaraz z początku zwichnąć całą sprawę, nie dając Polakom koniecznego czasu i koniecznych środków na wyzyskanie tego czasu na rzecz przygotowania umysłów i serc do sprawy dotąd dla nich obcej i nieznanej. Czas przejściowy jest, moim zdaniem, konieczny, a wyniki w tym czasie zdobyte zależeć będą znacznie więcej od postępowania państw centralnych aniżeli od samego społeczeństwa polskiego, albowiem zarówno inicjatywa, jak i realna władza spoczywają w zupełności w rękach państw centralnych, które w danym razie mogą zawsze zaszkodzić lub znihilować największe wysiłki polskiego społeczeństwa. Społeczeństwo to cenić zacznie swoje wojsko jedynie wtedy, gdy nad zorganizowaniem i rozwojem jego samo istotnie pracować będzie.

Trzeba się zawsze liczyć z możliwością tarć przy zetknięciu dwóch kultur, z których jedna nosi cechę wybitnie państwową i ma zaufanie i zrozumienie dla całej maszyny państwowej, druga apaństwowa z wielkim niezaufaniem właśnie do tych środków, jakimi posługuje się ta maszyna, zwłaszcza gdy one są w ręku obcym. Koniecznym wynikiem takiego ze-

tknięcia jest pewne tarcie w postaci podejrzeń, nieufności, bojaźni i wszelkiego gatunku zastrzeżeń, które zdaniem moim paraliżować jedynie można konsekwentną polityką przechodzącą do porządku dziennego nad rozmaitego rodzaju drobnostkami.

---

## *WYWIAD W «TYGODNIKU ILUSTROWANYM».*

*Wydrukowany poniżej wywiad, został udzielony przez Józefa Piłsudskiego przedstawicielowi «Tygodnika Ilustrowanego» red. Stanisławowi Dzikowskiemu i zamieszczony w tym czasopiśmie w dn. 6 I 1917 r.*

— *Czy ostatnie doświadczenia utwierdziły Pana Brygadiera w przekonaniu, że może być osiągnięta jednolita akcja polityczna w Królestwie Polskim?*

*Na to otrzymałem następującą odpowiedź:*

— Najpoważniejszą przeszkodą w tym kierunku jest zaściankowe życie polityki polskiej. Jednolitość mogłaby być osiągnięta, gdyby grupy polityczne, które się teraz pojawiły, rozporządzały większą sumą znajomości wzajemnej. Pomiędzy ludźmi politycznymi Polski istnieje nieprzebyta ściana, złożona z podejrzeń, obaw wszelakich i uprzedzeń, a nawet starych porachunków. Polacy pomiędzy sobą są, niestety, wrogami nieubłaganymi. Jest to dziwna struna psychiczna, która stała się naszą właściwością, naszą cechą organiczną. Gdyby ta właśnie struna osłabła, postulat jednolitości stałby się natychmiast możliwym.

— *Cóżby należało przewidywać, gdyby usiłowania, prowadzące do stworzenia takiej jednolitości, nie zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem?*

— Bezwątpienia akt z 5 listopada straciłby wiele ze swojej wartości.

— *Istnieje w naszym społeczeństwie powszechne przekonanie, że państwo niemieckie ogłosiło niepodległość Królestwa Polskiego przede wszystkim po to, aby na tej podstawie stworzyć sprzymierzoną armię polską. Co o tym sądzić należy?*

— Armia polska równie potrzebna jest Niemcom, jak i nam. Powinien jednak przede wszystkim wystarczyć fakt, że jest ona właśnie nam potrzebną.

— *Według jakiej zasady, zdaniem Pana Brygadiera, armia polska powinna być stworzona?*

— Zasadniczym programem każdego nowoczesnego państwa musi być stworzenie armii na podstawie powszechnego werbunku. Postulatu tego jednak nie możemy oprzeć na słusznej zresztą teorii. W obecnym położeniu naszym program ten nie może być wprowadzony. Przede wszystkim nie byłby możliwy technicznie do urzeczywistnienia nawet przy najlepszej woli z naszej strony. Trzeba pamiętać, że przy wprowadzeniu powszechnego werbunku wszystkie organa i ciała tej skomplikowanej maszynerii musiałyby być również powszechnymi. Jedynym programem wojskowym na dzisiaj jest system budowania armii ochotniczej, nie wyrzekając się przy tym werbunku powszechnego. Główną jednak przeszkodą i w pierwszym, i w drugim wypadku jest «cywilizm» społeczeństwa polskiego. Żołnierz polski jest dla nas bohaterem, męczennikiem, jest naszą dumą, naszym przekleństwem i naszą chwałą. Jest w ogóle jakimś pojęciem abstrakcyjnym — a nie jest zwyczajnym żołnierzem, nie jest poprostu cząstką naszego społeczeństwa. To właśnie stawia psychiczną zaporę i utrudnia wytworzenie polskiego żołnierza. Kiedy byłem w Chełmszczyźnie, usłyszałem takie ciekawe określenie: niemiecki Moskal, polski Moskal, francuski Moskal itd. Obcość społeczeństwa naszego dla żołnierza uniemożliwia jego istnienie. Ta obcość jest powszechna i żyje głęboko w podświadomości wielu. W ogóle o wojsku, o technicznych trudnościach i łatwościach budowania armii Polacy najmniejszego nie mają pojęcia. Wojsko polskie to tajemnicza księga, zamknięta na siedem pieczęci, do której Polacy zaglądają tylko w dni uroczyste. Poziom pojęć o żołnierzu jest tak niski, jak w żadnym innym kraju. Polska jest najbardziej cywilnym narodem na świecie.

— *A przecież tyle się mówi o naszej żołnierskości?*

— Tak, jesteśmy istotnie doskonałym materiałem wojskowym. Wszystkie moje obserwacje podczas wojny to potwierdziły. Ogólnie jednak panuje przekonanie o niższości polskiej w stosunku do wszelkich państwowych zagadnień. Mówi się ustawicznie, że potrzebujemy pomocy obcej, że musimy odrzucić zagadnienia zbyt trudne. Wskutek tego przewiduję w państwowym życiu Polski wielkie trudności do zwalczenia. Poważnymi przeszkodami w budowie państwa polskiego będzie: nasza abnegacja państwowa i nasza apaństwowa kultura. Odbije się to przede wszystkim na wojsku, które stanie się ciężarem dla ludności.

— *Czy nie widzi P. Brygadier zmian na lepsze w tym kierunku w przeciągu ostatnich dwóch lat?*

— Nie zmieniło się w tym czasie nic na lepsze. Żołnierz

stał się popularny, jako osoba, wojsko — nie. Żołnierz — tj. bohater, nadziemska istota, wojsko jest niczym. Dla potrzeb żołnierza społeczeństwo zdobędzie się nawet na wielką ofiarność, ale dla wojska, jako dla osobnego ciała, nie ma najmniejszego zrozumienia.

— *Wydaje mi się — pozwoliłem sobie wtrącić — że są to nieodzowne skutki stu lat niewoli. Prawdopodobnie każdy inny naród...*

*Żachnął się na moją uwagę Brygadier.*

— Tak, wytłumaczyć wszystko można. Przyczyny istnieją niewątpliwie — w historii nic się bez przyczyny nie dzieje. Ja zarzutów narodowi polskiemu nie robię. Ale jestem człowiekiem realnym, biorę rzeczy tak, jak one są, a nie tak, jakbym chciał je widzieć. Tłumaczyć ten stan, to rzecz historyka. Gdybyśmy tu rozprawiali jako socjolodzy, jako filozofowie, moglibyśmy toczyć długie dyskursy. Ale ja biorę te rzeczy jako praktyk. Przerabiałem przecież je przez całe życie i starałem się zawsze patrzeć na nie bez żadnej złudy, bez żadnej iluzji. Zdawałem sobie zawsze sprawę z trudności i usiłowaniem moim było zawsze budzić ambicję przełamywania tych trudności. Wyznaję całkowicie zasadę, którą wypowiedział największy człowiek na świecie — Napoleon: «Sztuką łamania przeszkód jest sztuka nieuważania tego lub owego za przeszkodę». Niestety, u nas częstokroć ma się zbyt wiele myślowych, pojęciowych zawad. Często przystępuje się do przezwyciężenia trudności z rozpaczą, zapałem, albo nie przystępuje się wcale. Tym czasem należy przede wszystkim usunąć te psychiczne przeszkody. Potem należy czynić to, co jest najbardziej celowe. Jedne przeszkody obchodzi się, inne wprost się przełamuje, czasem trzeba mosty budować przez rzeki, czasem przelatywać ponad nimi. Ogromnie rozpowszechnione jest u nas pojęciowe wytwarzanie przeszkód i panowanie słowa nad rzeczywistością. Na każdym kroku widać, jak ludzie tworzą fetysze, argumenty i przeróżne twory, które, żyjąc życiem własnym, stają się potem dla ich twórców nieprzebytą zaporą. Jest u nas historyczny brak szerszej pracy realnej. Na zwężonym polu pracy osiągamy ładne, bardzo ładne rezultaty. Skoro jednak społeczeństwo polskie przekracza te granice, cofa się już z przerażeniem przed każdą przeszkodą. Zawsze wystawia się ten argument, że Polacy budować nie mogą. W życiu organicznym wykazano dużo zdolności, ale wszystko, co jest tego życia nadbudową, uważane jest za niemożliwe. Dzięki nieszczęśliwemu naszemu losowi wytworzyły się w Polsce niezwykłe w tym kierunku przeszkody psychiczne. Rozmawiając z niektórymi

Niemcami, zawsze na to zwracałem uwagę, że we wzajemnych naszych stosunkach następuje spotkanie dwóch kultur odrębnych. Pomijając politykę i uczucie, jasnym jest, że z jednej strony staje przesiąknięta na wskroś państwową kulturą, z drugiej strony naród, który własnego państwa tak dawno nie posiadał, że wyrobił w sobie kulturę apaństwową. Z tego powodu następuje mnóstwo tarć i nieporozumień nawet w przyjacielskim stosunku. To są rzeczy tak różne, jak dwa światy. Parę pokoleń minąć musi, zanim stworzy się znowu państwowa kultura polska. Pokolenie dzisiejsze, które zostało powołane do rozstrzygnięcia zawiłych zagadnień współczesnych, nie dorosło do zadań swoich.

— *Czy więc wobec tego należy wyprowadzać zbyt pesymistyczne horoskopy dla naszej przyszłości?*

— Sądzę, że nie i to z dwóch powodów. Przede wszystkim istnieje pracująca za nas historia.

*Tu Brygadier wybuchnął wesołym, niefrasobliwym śmiechem.*

— *Tak — pozwoliłem sobie wtrącić — otrzymaliśmy niepodległość w sposób pozornie najmniej prawdopodobny.*

— Los nas wyręcza. Po wtóre istnieje także ze strony samych Polaków bardzo dużo tęsknoty do ładu i porządku, opartego na samym sobie. Ta tęsknota niewątpliwie istnieje we wszystkich sferach naszego społeczeństwa. Wojna, która przewaliła milionowe armie w jednym i drugim kierunku, zostawiła takie ślady i przewróciła tyle ustalonych i ustalanych pojęć, że mimowoli zrodziła się u ludzi tęsknota, aby ustaliło się to nareszcie w jakiś sposób, aby to było nareszcie polskie ustalenie. Spotykałem ślady tej tęsknoty nawet u ludu naszego — często w stanie podświadomym. Jest u nas mimo wszystko dużo dobrej woli. Rzecz jest do przezwyciężenia. Nie zamykam oczu na trudności. Własną samodzielność naród nasz musi zdobyć za wszelką cenę. Uleczyć swoje choroby, poprawić złą budowlę, zdrowe rzeczy wznosić może tylko samo społeczeństwo. Można korzystać z nauk obcych, ze zdobyczy, które świat wytworzył, a które nas ominęły. Ale musimy umieć to w dalszym ciągu przerabiać. Polska musi się sama rozwinąć, musi czym prędzej objawić niezmożoną chęć rozwoju. Inaczej stać się może igraszką losu.

## *BUDOWANIE ARMII POLSKIEJ*

*Zamieszczone poniżej przemówienie wygłosił Józef Piłsudski w dn. 19 II 1917 r. w Warszawie na zjeździe Pomocniczych Komitetów Wojskowych, powołanych do życia w celu popierania prac Polskiej Organizacji Wojskowej, którą Piłsudski rozwija w tym czasie bardzo intensywnie, przewidując niedojście do skutku budowy armii polskiej, wobec niemieckich zakusów na jej polskość i samodzielność.*

*Przemówienie to opublikowane zostało w streszczeniu w numerze 72 «Biuletynu» wydawanego przez Centralny Komitet Narodowy.*

Polska o wojsku swoim już zapomniała. Tułały się tam po zapylonych już księgach dalekie echa insurekcji kościuszkowskiej, bohaterskie czyny legionów Dąbrowskiego, wojsk Księstwa, olbrzymie, a tak nierówne boje rewolucji i krwawe dzieje ostatniego powstania. Młodzież jedynie do ksiąg tych sięgała, szeroki ogół nie zajmował się tym więcej. Nie wydawało się to kwestią aktualną, kwestią chwili bieżącej. Dopiero wojna wpływ swój na Królestwo wywarła, wpływ jednak początkowo nieznaczny.

Dopiero ciężka, w niezmiernie uciążliwych warunkach prowadzona, a świadoma celów swoich praca Polskiej Organizacji Wojskowej krok za krokiem czyniła wyłomy w tej niechęci do spraw wojska szerokich warstw społecznych. I praca ta dała wyniki realne, a organizacja wojskowa pochlubić się dzisiaj może, iż odniosła w opinii narodu zwycięstwo. Obecnie Polska Organizacja Wojskowa poddała się Radzie Stanu, której powinny także poddać się polskie komitety wojskowe.

Wojsko w wiekach średnich nie było narodowym. Współczesna myśl dopiero stworzyła związek nierozerwalny pomiędzy wojskiem a narodem. Gdy więc dawniej mogliśmy mieć wojska najemne, dzisiaj już mowy o tym być nie może, gdyż tego rodzaju pojęcie o najmie żołnierza obraża honor i godność narodu. Armia musi być narodową, musi zachować ścisły związek z narodem, aby nie można było przeprowadzić między nią a narodem demarkacyjnej linii. Nie chodzi tu o stworzenie bohaterów, lecz o to, aby żołnierz wiedział i czuł, że środowisko, z którego wyszedł, myśli o nim i o niego dba. Tylko wówczas żołnierz przestanie się uważać za sierotę, za człowieka bez ojczyzny. Aby wytworzyć to ciepło serdeczne, aby zdjąć z głowy żołnierza troskę o pozostawioną rodzinę, o swe interesy, aby otoczyć opieką żołnierza na urlopie, żoł-

nierza, wycofanego z szeregów przez kalectwo, muszą powstać polskie komitety pomocnicze, które ten ciężar, tę troskę przejmą, doli żołnierskiej przynosząc ulgę. Komitety wojskowe winny meldować swe powstanie Radzie Stanu i podporządkowywać się jej w celu scentralizowania działalności.

---

## *LIST DO PROFESORA N. W KRAKOWIE*

*List Józefa Piłsudskiego zacytowany w tekście wystosowany został do profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Napoleona Cybulskiego.*

*W tomie niniejszym podany został według tekstu opublikowanego w IV t. «Pism — Mów — Rozkazów».*

Warszawa, 15 marca 1917 r.

Kochany i Szanowny Panie Profesorze!

W odpowiedzi na Pańskie zapytania — które, rozumiem, że są męką nie jednego Pana, — spieszę skreślić parę słów. Być może, że się wydadzą one niedostatecznie określone i niedostatecznie jasne; niech trudne położenie, w jakim się znajduję, usprawiedliwi mnie pod tym względem.

Gdym 6-go sierpnia wyruszał w pole, obliczałem wiele przeszkód materialnych i moralnych, które napotkam na swej drodze, ujmowałem w rachubę opór bierności i niechęci ze strony społeczeństwa, za mało jednak brałem pod uwagę stanowisko tego, co z konieczności stanowić musiało «vis maior» całego przedsięwzięcia — stanowisko tego czy innego państwa, przy pomocy którego siła polska wyrosnąć mogła.

Teraz po dwóch latach ciężkich doświadczeń i prób, jeżeli z pewnością powiedzieć o sobie mogę, że wróciwszy z tym doświadczeniem, powtórzyłbym z pewnością próbę 6-go sierpnia 1914 r., to zarazem byłbym znacznie ostrożniejszym w metodzie przeprowadzania zamiarów. Cała sprawa, jak mnie się zdaje, polega na następującym: Oba państwa centralne nie mogą w jednej chwili zmienić zasadniczych rysów polityki swej względem Polski, polityki, która w pierwszym rzędzie odznacza się szaloną nieufnością względem Polaków. Nieufność wywołuje przy każdym kroku tysiące zastrzeżeń, które znowu trafiają od razu na użyźniony stuletnią pracą grunt tradycyj stosunków austro-niemiecko-polskich. To znaczy, że każdy krok, każdy środek już w swym założeniu, a tym bardziej

w realnym przeprowadzeniu natychmiast wywołuje antypolskiego wilka z lasu, wilka, przyzwyczajonego z dawna szczerzyć zęby, nigdy zaś szanować odrębności kultury narodowej, czy poczucia godności i honoru narodu polskiego. W ten sposób zawsze ma się wrażenie, że oba państwa centralne systematycznie jedną ręką niszczą to, co drugą usiłują budować. W chwilach zaś kryzysowych zastrzeżenia te i nieufność doprowadzają często do położenia, gdzie się wprost zatraca minimum polskiej strony w sprawie i człowiek staje w położeniu jakiegoś Botokuda lub Syngaleza, względem którego uprawiana jest polityka kolonialna z całą swoją krasą i jędrnością.

Jest to jedna strona sprawy, drugą jesteśmy my — Polacy. Tu mamy do czynienia ze zjawiskiem wychowania w niewoli, w systemie ugody ze wszystkim i we wszystkim, bez honoru i godności, z poczuciem lęku przed każdym większym zadaniem, na barki własne branym. Dlatego też nie przypominam sobie w ciągu ubiegłych paru lat ani jednej chwili, ani jednego kroku, który nie był nacechowany tą swoiście polską cechą konkurencji «in minus», licytacji, prowadzącej nie do góry, ale odwrotnie — zmierzającej do dołu. Gdy tylko kto gdzie wystawi jakie żądanie, znajdzie zaraz całe mnóstwo «doświadczonych» ludzi, którzy orzekną, że to za wysokie żądanie, że go z tej czy innej strony obciąć należy, aby było «realnem»; ba, znajdzie się natychmiast grupa czy człowiek, który zaofiaruje swe «usługi», aby uczynić żądanie bardziej «mangeable», a stanowisko tych, od których się żąda, bardziej «wygodnem». Jeżeli mówię «wygodnem» i stawię słowo w cudzysłów, czynię to rozmyślnie, nie mogąc dla określenia pojęcia znaleźć innego słowa. Ta metoda nie posuwa nigdy ani o jeden cal żadnej sprawy naprzód, przeciwnie — jeszcze bardziej wszystko gmatwa; nie czyni żadnego realnego kroku dla ujęcia jakiejkolwiek sprawy w sposób dogodniejszy pod względem politycznym, chociażby jednostronnie dla któregokolwiek z państw centralnych, zadawala jedynie instynkty kolonialnego stosunku do Polaków, pozostawiając treść rzeczy zupełnie na boku, gdyż ostatecznie Polacy Botokudami ani Syngalezami nie są i na wszelkie «kolonialne» metody odpowiadają zwykle zwiększonym oporem bierności i wzrastającej niechęci do wszelkiej nowej próby.

Tak było w ciągu ubiegłych dwóch lat z polityką i ideą, zwaną w Galicji «legionową», tak samo jest teraz z inną polityką, zwaną «realizacją aktu 5-go listopada».

Dla człowieka, jakim jestem, wyrosłego z walki, położenie jest nadzwyczaj ciężkie, gdyż w atmosferze, w której kształ-

towął się mój charakter i metoda pracy, przyzwyczajony jestem do zawierania jasnych i dokładnych umów, do szanowania tych umów bez «arrière-pensée», lecz zarazem żądającego uszanowania i wszystkiego, co jest honorem i poczuciem godności u siebie. Zarazem nie umiem nigdy przystosować się do metod, trochę trącących Syngalezem, gdzie po zrobieniu wielkiego krzyku wewnątrz — na zewnątrz wszystko wydaje się podobnym do pieszczotliwej fali, łagodnie szemrzącej u stóp pałaców.

Tyle co do ogólnego stanu rzeczy. Co się tyczy Legionów, o które Pan pyta, to drżę o to, by raz jeszcze na barki młodych żołnierzy nie spadła jakby kara za to, że wśród biernego i nie szanującego siebie społeczeństwa byli uosobieniem walki czynnej o prawa i honor narodu. Drżę tym bardziej, że nie jestem z nimi, by w ciężkiej chwili próby być im pomocą i ostoją lub przynajmniej znosić razem z nimi ciężki krzyż, który wypadło im nieść na barkach. Rozumie Pan dobrze, że dotąd najbardziej z nimi jestem związany, i chociaż los kazał mi być w obecnej chwili politykiem, to wszystko, co jest we mnie sercem i uczuciem, ciągnie tam, gdzie są oni, drodzy żołnierze i towarzysze broni. Dotąd jestem o tyle z nimi, że los mój najściślej wiążę z ich losem, z nimi upadam, z nimi się wznoszę. Naturalnie, mówię o żołnierzach, nie o tej zarazie, hańbiącej żołnierstwo, o «bohaterach tyłów», stanowiących przekleństwo losu polskiego żołnierza wielkiej wojny światowej XX stulecia.

Pyta Pan o Polską Organizację Wojskową. Naturalnie, jak Pan przypuszcza, tak się stanie. Z chwilą rozkazu Rady Stanu, staną oni pod broń, tak, jak ongiś w sierpniu stanęli strzelcy na mój rozkaz. Te nowe żołnierzyki są szczęśliwsi teraz od swych poprzedników, gdyż mogą usłuchać wezwania swego rządu, gdy tamci biedni są dotąd zależni od wszystkiego na Bożym świecie, tylko nie od tego, do czego tęsknili w bojach krwawych, nad czym ich mózg się biedził w trudach bojowych, czemuby przysięgli na wierność do grobu i za grobem — od własnego polskiego rządu.

Proszę przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku i poważania.

J. Piłsudski.

## O ARMII NARODOWEJ

*W dniu 16 III 1917 r. zwołany został w Warszawie przez Departament Spraw Wewnętrznych Tymcz. Rady Stanu ogólno-krajowy zjazd, złożony z przedstawicieli ziem Królestwa Polskiego. Ponieważ zjazd ten, zwołany w celu poparcia wśród społeczeństwa akcji politycznej Tymcz. Rady Stanu miał się w pierwszym rzędzie ustosunkować do sprawy wojska — Józef Piłsudski wygłosił na nim referat «o armii narodowej».*

*Wydawcy «Pism — Mów — Rozkazów» zamieścili referat ten w IV t. według «Naprzodu», nr. 78 z dnia 1 IV 1917 r., uzupełniając ustępy skreślone przez cenzurę z tekstu «zanotowanego w czasie przemówienia». Do tomu niniejszego podany został jednak drugi tekst, dzięki temu, iż w aktach Walerego Sławka znalazł się protokół tej części obrad Zjazdu. Przy porównaniu tekstu z powyższego protokółu z tekstem wydrukowanym w «Naprzodzie», stwierdzono cały szereg opuszczonych zwrotów. Redakcji «Naprzodu» wydały się zapewne w owym czasie niektóre wyrażenia Piłsudskiego zanadto «militarystyczne» i dlatego je pominęła.*

*Z tych względów tekst referatu «o armii narodowej» oparty został na wspomnianym protokóle z bardzo nielicznymi przeróbkami natury czysto stylistycznej, dokonanymi przez Kazimierza Świtalskiego.*

Szanowni Panowie! Mam mówić przed Wami o sprawie niezwykle ważnej, sprawie, o której Polska tak długo myśleć nie chciała, mam mówić o armii narodowej. Jeżeli połączę te dwa wyrazy: armia narodowa, powiem od razu, że wymagać ona musi nie tylko żołnierza, ale i narodu.

Nowoczesne pojęcie armii narodowej urodziło się w dwu krajach: we Francji i Niemczech. Bardzo jest ciekawem oraz pouczającem dla nas rozejrzeć się w tych warunkach, w których się to pojęcie urodziło. Kształtowanie armii narodowej w ścisłym, nowoczesnym tego słowa znaczeniu wieki dawniejsze nie znały. Armia narodowa w tym pojęciu, jak ją nowoczesny żołnierz i człowiek cywilny rozumie, urodziła się we Francji i Niemczech w tych warunkach, które mocno przypominają te, w których my się obecnie znajdujemy. Oto pod naciskiem najazdu pękła w proch budowa wojska poprzedniego, oto pół Francji, a potem całe Niemcy drżą pod stopą najeźdźcy. Zdawało się: wszystkie środki, wszystkie możliwości są przegrane i naród czekał ostatecznej klęski. I oto tym wielkim cudem woli narodowej, tym wielkim cudem, który daje gorące uczucie i silna wola — oba państwa, zarówno Francja, jak i Niemcy tworzą nowe podstawy dla wojska, tworzą nowe wielkie armie narodowe, które przez cały świat przechodzą, przy-

kuwając do swoich sztandarów zwycięskich uwagę całego świata. Tam był naród, który chciał armię tworzyć, który nie chciał zginąć, tam był naród, który chciał być zwycięzcą w tych ciężkich zapasach, które go spotkały. I oto Francja tworzy wielkie wojsko, wielki wzór, który dotąd naśladowany być musi. Wielka armia francuska nie tylko zwycięża, wyrzuca z granic nieprzyjaciela, ale przechodzi zwycięsko przez Europę całą.

I oto znowu Niemcy pohańbieni, zgnieceni przez Napoleona, tworzą i wykuwają w sobie tę wolę, tę chęć wyjścia z upokorzenia, złamania nieprzyjaciela, zdobycia siły, która może uczynić naród wolnym.

Dlatego mówię — na to, aby armia była narodowa, potrzebny jest naród, który ma wolę, który umie chcieć i umie wolę swoją przeprowadzić. Armia narodowa wymaga narodu, wymaga też i żołnierza. Żołnierz nowoczesny moi panowie, stworzony na wzór francuskiego i niemieckiego żołnierza nowoczesnego wychodzi z powszechnego poboru. Czy bogaty, czy biedny, urodzony w chałupie, czy w pałacu, każdy musi spłacić dług ojczyźnie. I tak, jak konieczną jest narodowi cywilizowanemu szkoła, tak samo koniecznem jest przejście przez wojsko, młodzieży z chwilą, gdy ona dorosła do odpowiedniego wieku. Dopiero szkoła i wojsko czynią człowieka dojrzałym, dają mu możność wykonania wszystkich swoich obowiązków obywatelskich. Nowoczesne wojsko tworzone być może jedynie na podstawie powszechnej służby wojskowej. Każdy musi być do niej pociągniętym i tylko wówczas naród i wojsko zlewa się w jedno, tylko wówczas każda rodzina ma żołnierza, każdy żołnierz ma rodzinę w Ojczyźnie.

Drugim koniecznym warunkiem żołnierza nowoczesnego jest istnienie swego własnego rządu, który temu żołnierzowi nakazy dawać ma prawo.

Proszę Panów! Odwołam się tutaj do moich osobistych wspomnień. Pokolenie dzisiejsze należy do pogrobowców r. 1863. Kiedy myślę o żołnierzu polskim, myślę o tem, że znaleźć on może przytułek tylko w umyśle i sercu dziecięcym. Żołnierz znajdował swój przytułek tylko w tych niedoświadczonych umysłach dzieci mających pięć czy sześć lat. Wszędzie skądinąd pojęcie o żołnierzu zostało wyrzucone tak gruntownie z pamięci i myśli polskiej, że nie znam na całym świecie społeczeństwa, któreby tak cywilnym było, jak jest nim społeczeństwo polskie. Wszystkie zajęcia, wszystkie prace, które człowiek w ogóle wykonywać jest w stanie, znajdują takich, lub innych zwolenników, takie lub inne uznanie, tylko żoł-

nierka, tylko więc to, co czyni naród silnym, tylko to starannie wyrzucono z umysłów i serc ludzkich, i z tego zrobiono prawo wychowania Polaków. Powiedziałbym, że my urzeczywistniliśmy ideał Berty Suttner, działaczki pokoju. I ten ideał wykazuje w najwyższym stopniu swoją wartość na losach narodu polskiego.

I oto przychodzi godzina, gdy wielkie państwa i olbrzymy rzucają na szalę wypadków wszystko, to, co miały najdroższego, wszystko to, co było w nich mocą i siłą. Rzucono miliardy pieniędzy, miliony ludzi poszło, żeby w wyścigu walki zdobyć dla swojej ojczyzny, dla swego państwa te rzeczy, które państwo i ojczyzna za słuszne dla siebie uznały. Tam Polaków zabrakło. Na naszych ziemiach miecze miały wyrębywać nowe granice, lecz przy tych mieczach szabel polskich prawie nie było.

I oto, proszę państwa, ten nowy, młody żołnierz, stworzony przez gorący zapał, poszedł też na boje. Byłem z nim, przeszedłem tę ciężką drogę, tę tragedię żołnierza polskiego, żołnierza, który bezskutecznie szukał ojczyzny. Myśmy nie byli w ojczyźnie realnej. Byliśmy pod ślicznymi górami karpackimi, byliśmy w żyznej ziemi kieleckiej, w pięknej ziemi lubelskiej; w innych częściach kraju stopy nasze deptały ziemię ojczystą, dokoła słyszeliśmy polską gwarę, byliśmy wśród swoich, a jednak ojczyzny w ścisłym słowa tego znaczeniu nie czuliśmy.

Trzeba być na wojnie, trzeba widzieć to, co panowie nazywacie okropnościami wojny, a co nieraz dla żołnierza jest rozkoszą wojny, trzeba widzieć ten oddech wojny, który znosi wszystko co napotyka, te palące się sioła, te w gruzach leżące miasta, te stosy trupów, zwały ciał, ten nadzwyczajny triumf władczyni świata śmierci. Trzeba widzieć to, co Panowie najbardziej odczuwali, to rozpanoszenie się żołnierza w stosunku do tego wszystkiego, co na drodze spotyka. Trzeba widzieć, jak żołnierz wdziera się do najtajniejszych skrytek ludzkich aby tam panować, jak wyrzuca gospodarza z łóżka, by samemu się tam położyć. Trzeba widzieć to panowanie żołnierza nad światem. I oto te dumne czoła, które się nie chylą w obliczu śmierci, te dumne sztandary, które w gronie kul nie zniżają swego lotu, te dumne pałasze, które przed żadnym strachem, przed żadną potęgą nie chcą się do pochew chować — mają potęgę i mają wolę, przed którą te dumne czoła i sztandary ku niemu się chylą. Bo żołnierz nie jest wszechwładny, bo za nim stoi rząd jego ojczyzny, zorganizowana Ojczyzna, która mu w każdej chwili posłuszeństwo nakazać jest w stanie.

Kiedym szedł, proszę panów, jako sierota-żołnierz, szukający Ojczyzny, kiedym wszedł do wspólnej rodziny żołnierza, by tego święta uroczystego dla każdego żołnierza tj. wojny zażyć, zazdrościłem otaczającym nas wojskom, nie przepychu technicznego, nie przepychu sztabów, jakie one posiadały. Zazdrościłem im nie tej wielkiej, olbrzymiej liczby ich wojsk, które w porównaniu z naszą garstką były olbrzymem wobec karła. Nie zazdrościłem im wielkości, dumy i pychy. Zazdrościłem im jednego. Że mieli za sobą wolę narodu swego, która im posłuszeństwo nakazuje, że mieli rząd zorganizowany, który dumę żołnierza stanowi, który dla niego samego tę Ojczyznę reprezentuje. Zazdrościłem im, że w koniecznej brutalności wojennej oni mieli przed czym czoła uchylić.

To jest wymaganie nowoczesnego żołnierza: żołnierz musi być powszechny i żołnierz musi mieć swój rząd, którego słucha.

Proszę Panów, wtedy kiedy analizuję pojęcie armii narodowej, to powtarzam: musi być z jednej strony naród, który chce, który ma wolę, a z drugiej strony musi być żołnierz, wychodzący z poboru powszechnego i mający silny rząd za sobą. Gdy o armii narodowej wśród Polaków mówię przychodzi mi zawsze na myśl jedna z cudownych scen u Wyspiańskiego. Czy panowie sobie przypominacie tego rozognionego poetę, marzącego o sile, marzącego o potędze ojczyzny, który w podnieceniu weselnych nastrojów śni i widzi przed sobą tę siłę, która z upodlenia i z upadku wyprowadza. I pamiętacie Panowie, jak na to zaklęcie: «co kto marzył, co kto śnił», zjawiają się upiory, widma, z grobu powstające, a wyobrażające to o czym ktoś śnił. I pamiętam zjawienie się zakutego rycerza w zbroję z pól grunwaldzkich powstałego, ogromnego, przerastającego sobą tego nowego małego człowieka. I oto rycerz chwyta poetę za rękę i powiada: «duszę daj, dam ci siłę». A przerażony marzyciel gnie się w uścisku żelaznym dłoni istotnego żołnierza. I pamiętają Panowie czym się kończy ta scena? Poeta żąda otwarcia przyłbicy i znajduje za przyłbicą to, co jest udziałem każdego żołnierza, — znajduje śmierć. I przerażony okropnym życiem żołnierza pada zemdlony. Zawsze tedy, kiedy mówię wśród Polaków o armii narodowej, boję się tego wrażenia, tego przeżycia, co przeszedłem patrząc na scenę z «Wesela» Wyspiańskiego.

Zjechaliście się tu ze stron tak różnych i dalekich, zjechaliście się nie po to tylko, żeby usłyszeć to, co w duszy mojej istnieje, a co, jak przypuszczam i jak chciałbym wierzyć, jest i w waszych duszach. Zjechaliście się, żeby dowiedzieć się, jak sprawy stoją. Zjechaliście się, żeby usłyszeć z ust najbardziej

miarodajnych, jaki te sprawy mają wygląd. Nie dziwię się, że przychodzicie z tą ciekawością. Niestety nie jestem w stanie zadowolić Was, dlatego, że pomimo gorącego pragnienia, które ożywia całą Radę Stanu przy chęci budowania armii polskiej, że mimo gorącego pragnienia, które prawdopodobnie i Was wszystkich ożywia, jesteśmy w tej drodze zatrzymani, zatrzymani dlatego, że mamy do czynienia z faktem tej natury, o który potrąciłem przy analizowaniu pojęć armii narodowej.

Żołnierz potrzebuje prawnego rządu, aby być żołnierzem, rząd potrzebuje prawnego żołnierza, aby być rządem. I gdzieś musi nastąpić to spotkanie rządu i żołnierza. My tego żołnierza już mamy, ten żołnierz już istnieje i ta wielka praca zrobiona przez Legiony, ten głęboki zasiew, już został zrobiony. Ten krwawy wysiłek nie może pójść na marne.

I oto sprawa stoi w ten sposób, że ani Legiony, ani żadna ich część, a więc i werbunek nie są oddane władzy i w żadnym stosunku nie stoją do Rady Stanu. Rada Stanu nie może ani wpływać, ani czegokolwiekbądź w tych rzeczach, jak są one urządzone, zmieniać. Rada Stanu dotąd jest w stosunku do tego wszystkiego, co dotąd było wojskiem bezsilna i nic w sprawie tej nie ma do mówienia.

Wobec tego proszę państwa, sprawa ta, jak powiadam, ugrzęzła, sprawa ta dotąd z tego położenia wyjść nie jest w stanie. Czy Rada Stanu pod tym względem potrafi znaleźć jakieś wyjście, czy te siły sprzymierzone, które zatrzymały sprawę pod tym względem w biegu, bieg ten doprowadzą do normalnego stanu, w to nie chcę wchodzić. Nie chcę być fałszywym prorokiem i nie chcę Wam dawać żadnych obietnic, których nie mógłbym dotrzymać. Dlatego też nie żądajcie ode mnie żadnego wyjaśnienia co do przyszłości, nie żądajcie, abym bez podstawy malował, jak to lub owo w przyszłości wyglądać będzie. Wszystkie te rzeczy są wynikiem trzech sił, z jednej strony siły obu państw okupacyjnych, z drugiej siły polskiej. Przewidywać zatem w szczegółach i malować rzeczy jakie mają być w przyszłości, malować, nie wiedząc, jak ugodzone te czynniki zostaną, uważam za niegodne siebie i powagi Rady Stanu.

Natomiast pozostaje nam jedno i to jedno wyraźnie sobie trzeba powiedzieć. Trzeba mieć wolę do tworzenia tego wojska, trzeba mieć chęci do tworzenia tego wojska. Trzeba budzić wśród siebie i innych ten stan ducha, który, gdy przyjdzie chwila tworzenia tego wojska, nie zrobi Wam zawodu, ale stworzy nam dostatecznie wielkie siły, na których rząd polski ostatecznie będzie się mógł oprzeć.

# PRZEMÓWIENIA NA POSIEDZENIACH TYMCZASOWEJ RADY STANU

*Po wydaniu przez państwa centralne aktu 5 listopada, gen. gub. Beseler postanowił jak najszybciej przystąpić do formowania wojska polskiego, co było jednym z głównych powodów proklamowania Niepodległości Polski. Ponieważ ogłoszona w kilka dni później (9. XI. 1916 r.) odezwa werbunkowa nie dała prawie żadnego rezultatu, Beseler 12. XI. ogłosił patent o organizacji Sejmu i Rady Stanu, po czym 6. XII. wydane zostało rozporządzenie o «Tymczasowej Radzie Stanu Królestwa Polskiego», która rozpoczęła swą działalność w dn. 15. I. 1917 r.*

*W skład T. Rady Stanu, według rozporządzenia władz okupacyjnych, weszło 25 członków, powołanych z nominacji. Marszałkiem wybrany został ziemianin z Kaliskiego, Wacław Niemojowski. Zakres działania T. Rady Stanu miał obejmować wypracowanie projektów «rozporządzeń, ustanawiających wspólne przedstawicielstwo części Królestwa Polskiego, administrowanych przez Monarchię Austro-Węgierską i Rzeszę Niemiecką, przygotowanie urządzenia polskiej administracji państwowej», «współdziałanie w tworzeniu wojska polskiego z naczelnym komendantem mocarstw sprzymierzonych» oraz zajęcie się podźwignięciem gospodarczego życia kraju.*

*Obdarzona nieuchwytnymi atrybucjami T. R. S. chciała się początkowo uważać za rząd polski, nie będąc nim w rzeczywistości nawet w najdrobniejszych sprawach, mając jedyną możność przedstawiania referatów, memoriałów i uchwał, z którymi okupanci zupełnie się nie liczyli. Oportunistyczne jej stanowisko wzbudzało zwiększającą ku niej niechęć społeczeństwa, które w T. R. S. widziało pozór, za którym kryły się cele Niemiec i Austrii, pragnących dla swoich interesów wojennych i politycznych wykorzystać Polskę i Polaków.*

*Józef Piłsudski wszedł do T. R. S. jako jeden z jej członków, wyznaczonych z okupacji austriackiej. Już w liście do rektora Brudzińskiego z dn. 6. XI. 1916 r. zaznaczając, że nie wyobraża sobie budowy wojska bez istnienia rządu polskiego, od początku jako Przewodniczący Komisji Wojskowej i Dyrektor Departamentu Wojny, który ze względu na brak zgody Beselera nie mógł się zorganizować,*

*stanął na zasadniczym stanowisku domagania się od państw centralnych szczerego i lojalnego wyciągnięcia konsekwencji z aktu 5 listopada, tj. budowy państwa polskiego przez Polaków i budowy wojska polskiego w zgodzie z polskimi interesami.*

*Wyrazem konsekwentnego stanowiska Piłsudskiego są jego przemówienia na plenarnych i poufnych posiedzeniach T. Rady Stanu, opublikowanych w tomie IV i tomie Dodatkowym «Pism — Mów — Rozkazów», za którymi w tomie niniejszym zostały przedrukowane.*

*Przypisy w większości wypadków zostały oparte na oryginalnych Protokółach posiedzeń plenarnych i poufnych T. R. S., znajdujących się w zbiorach Biblioteki Sejmu i Senatu, oraz częściowo na literaturze przedmiotu i na przypisach, znajdujących się w «Pismach — Mowach — Rozkazach», opracowanych przez Wł. Pobóg-Malinowskiego.*

## 20. I. 1917

*Przemówienie poniższe zostało wygłoszone na trzecim plenarnym posiedzeniu T. R. S. w dn. 20. I. 1917 r. Porządek dzienny posiedzenia przewidywał: 1) odczytanie protokółu drugiego posiedzenia (z 17. I. 1917), 2) komunikaty, 3) sprawozdanie Wydziału Wykonawczego [1]), 4) sprawozdanie Komisji Wojskowej.*

Następnie referent Komisji Wojskowej, brygadier Piłsudski, zdał sprawozdanie z prac Komisji [2]).

Pierwsze zebranie miało na ogół charakter informacyjny dla zorientowania się w możliwości pracy i rozejrzenia się

[1]) Na drugim z rzędu posiedzeniu plenarnym, odbytym 17. I. 1917, wybrany został Wydział Wykonawczy w składzie: Stanisław Bukowiecki, Stanisław Dzierzbicki, Stanisław Janicki, Włodzimierz Kunowski, Michał Łempicki, Józef Piłsudski i Wojciech Rostworowski. W skład Wydziału Wykonawczego wchodził również marszałek koronny Wacław Niemojowski i wicemarszałek Józef Mikułowski-Pomorski. Atrybucje Wydziału Wykonawczego nie były ściśle określone, stanowił on zawiązek rządu, wyłonionego z członków T. R. S.

[2]) Na drugim posiedzeniu T. R. S. w dniu 17. I. 1917 przyjęto jednomyślnie wniosek St. Dzierzbickiego: «W celu przyśpieszenia organizacji armii polskiej Tymczasowa Rada Stanu postanawia wybrać Komisję Wojskową, złożoną z Marszałka i 6-ciu członków, której porucza: 1) Porozumienie się z władzami okupacyjnymi co do sposobu współdziałania Rady Stanu w sprawach wojskowych na zasadzie art. 7-go Statutu Tymczasowej Rady Stanu. 2) Porozumienie się z Komendą Legionów, jako z kadrami wojska polskiego, co do ich stanu i potrzeb. 3) Zaprojektowanie organizacji Departamentu Wojskowego w Radzie Stanu. Komisja ma prawo kooptować rzeczoznawców spoza Rady Stanu podług swego uznania. Komisja przystąpi niezwłocznie do pracy i złoży

w materiale faktycznym. Komisja stwierdziła przede wszystkim ogromne zagmatwanie stosunków prawnych Legionów oraz trafiła na przeszkody w pracy z powodu nie wyjaśnienia kompetencyj Komisji. Wskutek tego, jako pierwszy swój krok, uważała za konieczne zwrócenie się do panów komisarzy rządowych [1]) z prośbą o wyjaśnienie prawnego stanowiska Legionów.

W ważniejszych sprawach Komisja postanowiła zasięgnąć informacji Komendy Legionów.

*Po przemówieniu J. Piłsudskiego członek T. R. S. Władysław Studnicki zgłosił wniosek następujący: «Zważywszy, że sprawa określenia prawno-państwowego stanowiska Legionów jest bardzo pilna i wyjątkowo ważna i nie może być załatwiona szybko w zwykłej drodze, Rada Stanu zwraca się z adresem do cesarza austro-węgierskiej monarchii z prośbą o oddanie Legionów Państwu Polskiemu, jako kadrów dla stworzenia armii polskiej. Przy czym adres winien zawierać podziękowanie za umożliwienie przez monarchię austro-węgierską powołania do życia Legionów, które zawsze przez ich twórców były uważane za kadry armii polskiej«. Wnioskowi temu sprzeciwił się członek T. R. S. Stefan Dziewulski, za wnioskiem zaś i za potrzebą zastanowienia się nad nim — członek T. R. S. Stanisław Bukowiecki, który między innymi powiedział: «Niepewny stan prawny Legionów po odezwie Rady Stanu jest najważniejszą przeszkodą dla werbunku. Należy przede wszystkim zwrócić się do panów Komisarzy austriackich z zapytaniem, co myślą. Ważnym jest też zdanie referenta Komisji Wojskowej. Sprawa jest pilna i zwlekać z nią nie należy».*

W odpowiedzi na to:

Piłsudski stwierdza, że pan Bukowiecki podniósł ważność sprawy i że wypowiedzieć się może, gdy usłyszy zdanie panów Komisarzy.

---

Radzie Stanu sprawozdanie w możliwie najkrótszym czasie». W wyniku zarządzonych wyborów weszli do Komisji Wojskowej: Franciszek Radziwiłł, Ludwik Górski, Józef Piłsudski, Michał Łempicki, Stanisław Dzierzbicki, Wojciech Rostworowski.

[1]) Komisarzem rządu niemieckiego był hr. Lerchenfeld, jego zastępcami zaś hr. Hutten-Czapski i dr Rosner, komisarzem rządu austro-węgierskiego był baron Jan Konopka, jego zastępcami radca Żychliński i Iszkowski. Obaj komisarze, a także i ich zastępcy byli obecni stale na posiedzeniach T. R. S.

## 1. II. 1917

*Przemówienie poniższe zostało wygłoszone na piątym*[1]*) posiedzeniu plenarnym w dniu 1. II. 1917. Obradom przewodniczył w zastępstwie nieobecnego marszałka Niemojowskiego wicemarszałek Mikułowski-Pomorski. Porządek dzienny obrad przewidywał obok sprawozdań Wydziału Wykonawczego i Komisji Wojskowej oraz Przygotowawczej Komisji Sejmowej szereg spraw natury wewnętrznej i organizacyjnej. Po sprawozdaniu z prac Wydziału Wykonawczego, które złożył J. Mikułowski-Pomorski zabrał głos J. Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski składa sprawozdanie z prac Komisji Wojskowej:

1) Podkreśla, że położenie wojskowe zasadniczo jest bardzo trudne, ponieważ sytuacja nie uległa żadnej zmianie i stanowisko prawno-państwowe Legionów do Państwa Polskiego i Rady Stanu w dalszym ciągu nie jest wyjaśnione; został nawet przerwany werbunek do Wojska Polskiego, a zgłaszający się po zapisaniu ich nazwisk zostają odsyłani do domu. Zwracanie się Komisji do rządów okupacyjnych przez pp. Komisarzy skutku dotąd nie odniosło; p. Studnicki wniósł projekt zwrócenia się z odpowiednią depeszą do cesarza Austro-Węgier, ale po wysłuchaniu zdania Ekscelencji bar. Konopki, że depesza ta mogłaby raczej zaszkodzić niż pomóc — propozycję p. Studnickiego na Komisji odrzucono, odsyłając ją do Wydziału Wykonawczego.

Cała sprawa armii polskiej i pertraktacje odbywają się poza naszymi plecami: wszystko jest w ciemności — nawet nie wiemy, kto i dlaczego ją przeciąga; musimy operować tylko domysłami.

To przewlekanie musi się fatalnie odbić na wszystkiem, co jest związane z formowaniem armii polskiej:

[1]) Na czwartym z rzędu posiedzeniu plenarnym, T. R. S. odbytym dnia 30. I. 1917 r., porządek dzienny nie przewidywał obrad nad sprawą wojska. W toku dyskusji nad projektem regulaminu J. Piłsudski ograniczył się jedynie do wniosku: «By referent streścił toczącą się na posiedzeniu Komisji Regulaminowej dyskusję, gdyż inaczej trudno się zorientować». Na posiedzeniu tym natomiast odczytano sprawozdanie z prac Wydziału Wykonawczego. Między innymi w dniu 23. I. 1917 r. nastąpił w Wydz. Wyk. podział referatów, a mianowicie: Referat Wojny— Józef Piłsudski, Referat Skarbu — Stanisław Dzierzbicki, Referat Spraw Politycznych — Wojciech Rostworowski, Referat Spraw Wewnętrznych — Stanisław Janicki, Referat Pracy — Włodzimierz Kunowski, Referat Sprawiedliwości — Stanisław Bukowiecki, Referat Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego — Józef Mikułowski-Pomorski.

a) Fatalnie się to odbija i na Legionach, z których powodu wniesiono nawet interpelację do Komisji Wojskowej. Legiony cierpią pod względem ekonomicznym, gdyż pobory w naturze, tzw. fasunki, pobierają według normy niemieckiej, niższej aniżeli austriacka, zaś żołd otrzymują według normy austriackiej, nieraz trzy razy mniejszej od norm niemieckich. Jeżeli wziąć pod uwagę, że żołnierze niemieccy mają urządzone specjalne kantyny, w których mogą po niskich cenach zakupować niewystarczające im jedzenie, społeczeństwo niemieckie materialnie i pieniężnie pomaga swojej armii, czego wszystkiego brak żołnierzom polskim, — to uwydatni się, jak niezwykle ciężkie jest ich położenie materialne.

b) Niewyjaśnione stanowisko prawno-polityczne niesłychanie ciężko odbija się też na moralnym stanie Legionów.

c) Poza tym zawisło poprostu w powietrzu 2.000 ludzi, którzy mniej więcej w tej liczbie zapisali się do wojska polskiego w Królestwie Polskim, zlikwidowawszy nieraz swoje osobiste interesy, a obecnie odsyłani są do domów.

d) Tak samo zawisła w powietrzu cała Polska Organizacja Wojskowa, która liczy 11 tysięcy ludzi, a która poddała się Radzie Stanu [1]).

[1]) Polska Organizacja Wojskowa poddała się do rozporządzenia T. R. S. w dniu 16. I. 1917 r. Odczytany na drugim posiedzeniu T. R. S. dnia 17. I. 1917 r adres P. O. W. brzmiał:

«Do Jaśnie Wielmożnego Pana Marszałka Koronnego
w Warszawie.

Warszawa, dnia 16 stycznia 1917 roku.

Sprawa wojska była do niedawna dla społeczeństwa polskiego, pozbawionego państwa i jego organów, sprawą obcą i niezrozumiałą. Dla przełamania psychiki narodu podjęto przed wojną pracę wojskowo-wychowawczą, która tworzyła zarazem podstawy przyszłej siły zbrojnej.

Entuzjazm, z jakim Galicja zmobilizowała organizacje strzeleckie i wysłała swoje dzieci na pole walki — świadczy, że praca przedwojenna wydała owoce.

Na ziemiach byłego zaboru rosyjskiego, gdzie długoletnia niewola głębokie ślady wywarła, gdzie warunki pracy dalekie były od ułatwień, które miał ruch wojskowy w Galicji — nie osiągnięto przed wojną wyników pożądanych. Stało się zatem rzeczą jasną, że należy z całym wytężeniem prowadzić pracę w myśl doświadczeń Galicji. Trzeba ją było podjąć, mimo ciężkich warunków zewnętrznych, mimo faktu, że już istniał żołnierz polski, zdobywający wawrzyny chwały na polu walki.

Wówczas to, twórca wojskowości polskiej, Komendant Józef Piłsudski, powołał do życia Polską Organizację Wojskową. Skupiła ona wysiłki podejmowane w tej dziedzinie na ziemiach byłego zaboru rosyjskiego i w myśl wskazań Komendanta prowadziła ze znacznym nakładem sił pracę, obecnie kraj cały szeroko obejmującą.

Przewodnią myślą Polskiej Organizacji Wojskowej było wytwo-

e) Referent zna cały szereg konkretnych wypadków, że wielu ludzi wyprzedało się, zlikwidowało swoje interesy materialne, oczekując wezwania do wojska, tym czasem wezwania tego nie otrzymują; wskutek tego powstaje rozgoryczenie, zapał wygasa, powstaje pewien ciężar moralny, spadający na Radę Stanu, gdyż o ludziach tych trzeba pomyśleć. Komisja Wojskowa jest bezsilna, a komunikat do prasy, wyjaśniający naszą sytuację, jest tylko maleńkim plasterkiem na tę ranę; zresztą — komunikat jest bardzo łagodny ze względów cenzuralnych, powinien on jednak pokazać społeczeństwu, że wstrzymanie prac Komisji Wojskowej nie jest naszą winą.

2) Komisja Wojskowa zastanawiała się też co do swej kompetencji w stosunku do Naczelnej Komendy przyszłej armii polskiej w czasie wojny. W komunikacie władz okupacyjnych o utworzeniu Tymczasowej Rady Stanu jest mowa o współdziałaniu z rządami okupacyjnymi przy formowaniu wojska bez bliższego określenia tego współdziałania.

Sprawa jest pilna, a wobec tego, że istniejemy w stanie wojny — trudna; powinna jednak być szybko załatwiona i na następnym posiedzeniu Komisja ma się nad nią zastanowić.

3) Komisja Wojskowa przyszła do przekonania, że przy mobilizowaniu P. O. W. potrzebny będzie udział społeczeństwa, w którym trzeba będzie uwzględnić różne ugrupowania polityczne — tak, aby szkody społeczeństwu nie wyrządzić; wskutek tego zdecydowano się utworzyć w łonie Komisji Wojskowej Podkomisję P. O. W. Co do werbunku przez inne organizacje, to nad sprawą tą Podkomisja Wojskowa również się zastanawia.

---

rzenie środków, któreby oczekiwany powszechnie Rząd Polski mógł wykorzystać dla wystawienia Wojska Narodowego.

Dziś — w chwili powołania do życia zawiązku Rządu Polskiego — Polska Organizacja Wojskowa uważa za swój zaszczytny obowiązek oddać Tymczasowej Radzie Stanu Królestwa Polskiego swe siły i krew do rozporządzenia. Mamy zaszczyt prosić Jaśnie Wielmożnego Pana Marszałka o podanie do wiadomości Rady Stanu tej naszej gotowości.

Tadeusz Zbigniew Kasprzycki
Komendant Naczelny P. O. W.».

Odczytanie tego adresu wywołało manifestację na cześć Józefa Piłsudskiego. Marszałek Niemojowski, stwierdziwszy bowiem doniosłość, jaką adres P. O. W. w danej chwili posiadał, zwrócił uwagę na rolę, jaką J. Piłsudski, «na którego dzisiaj zwrócone są oczy społeczeństwa», odegrał w polskim ruchu wojskowym i wezwał zebranych do uczczenia zasług jego przez powstanie z miejsc. Przemówienie marszałka powitali członkowie T. R. S. oklaskami i powstali z miejsc.

Następnie referent wypowiada swoje wrażenie co do pracy Komisji — dużą przeszkodę widzi w regulaminie Komisji, który nie jest dość prosty, i w składzie Komisji, która, zamiast liczyć 2—3 osoby, składa się z 6 osób, przy tym tych samych, co zasiadają już w Wydziale Wykonawczym, a że na Wydział Wykonawczy spada dużo pracy i obowiązków, przeto praca Komisji Wojskowej nie może być intensywna; poza tym Komisja właściwie nie ma odpowiedzialnego człowieka — albo jest ich za dużo, bo czterech — przewodniczący, wiceprzewodniczący, sekretarz i referent [1]).

## 10. II. 1917

*Na posiedzeniu szóstym, odbytym dnia 7. II. 1917 r. J. Piłsudski był nieobecnym. Przemówienie poniższe zostało wygłoszone na siódmym posiedzeniu w dniu 10. II. 1917 r. Posiedzenie to było poświęcone w całości sprawom wojskowym. Otworzyło je odczytanie przez sekretarza T. R. S. Artura Śliwińskiego referatu Komisji Wojskowej* [2]). *Po odczytaniu referatu marszałek Niemojowski otworzył dyskusję, w której zabrali głos Władysław Studnicki i Stanisław Bukowiecki. W odpowiedzi Piłsudski przemawia jako referent Komisji Wojskowej:*

1. Jest za utrzymaniem motywacji punktu 2-go przepisów dodatkowych, gdyż motywacja ta ma być publikowana

[1]) Po przemówieniu J. Piłsudskiego w otwartej dyskusji Śliwiński zapytał, czy Radzie Stanu wiadomo, że w paszportach osób, zgłaszających się do armii polskiej, są robione odpowiednie adnotacje, które utrudniają tym ludziom życie i znalezienie posady; czują się oni pokrzywdzeni, Rada Stanu musi się nimi zaopiekować. Piłsudski w odpowiedzi na to zaznaczył, że «sprawę tę będzie mógł zreferować na posiedzeniu następnym».

Wkrótce potem Przeździecki zgłosił wniosek: «Ponieważ większość Komisji Wojskowej należy do Wydziału Wykonawczego który ma do spełnienia wiele zadań, proponuje przeorganizowanie Komisji Wojskowej na następnym zebraniu plenarnym». Piłsudski jednak zaproponował wniosek ten odesłać do Wydziału Wykonawczego, co też zostało przyjęte.

[2]) Referat ten brzmiał:

«Dążąc do stworzenia w możliwie krótkim czasie licznej armii narodowej, Tymczasowa Rada Stanu pozwala sobie przedłożyć niniejszym rządom państw centralnych określenie zasad, przy zachowaniu których osiągnięcie zamierzonego celu byłoby zdaniem Tymczasowej Rady Stanu możliwe.

I. Należy powołać do boku Głównodowodzącego stały Komitet Doradczy dla spraw Wojska Polskiego. W skład Komitetu wchodziliby poza

i odczytana ochotnikom; ponieważ zaś do społeczeństwa zwracamy się z werbunkiem, a nie rekrutacją, więc należy użyć wszelkich argumentów, żeby w danej chwili wywyższyć zaciąg ochotniczy. Zresztą zaciąg ochotniczy jest uważany tylko za pierwsze stadium w tworzeniu Wojska Polskiego.

2. Co się tyczy ustępu II 2), to uważa za niesłuszną krytykę p. Studnickiego, gdyż chodzi tu o podkreślenie, że armia

---

oficerami, delegowanymi z ramienia państw centralnych, dwaj członkowie Tymczasowej Rady Stanu, Dyrektor Departamentu Wojskowego, jego Delegat i dwóch oficerów polskich, wyznaczonych przez Naczelną Komendę Wojsk Polskich. Zadaniem Komitetu Doradczego byłaby stała współrada, oraz współpraca w rzeczach organizacji wszystkich rodzajów broni Wojska Polskiego.

II. Organizacja Wojska Polskiego w ogólnych zarysach oprzećby się powinna, zdaniem Tymczasowej Rady Stanu, na następujących zasadach:

1) Legiony Polskie tworzą kadry 1-ej armii, dając wszystkich dowódców i sztaby piechoty, kawalerii, artylerii, jako też oddziałów technicznych, terenowych, ekonomiczno - administracyjnych, sanitarnych i pocztowych. Następne armie będą tworzone przy współudziale kadr oficerskich tej armii.

2) Armia ta stanowi odrębną całość, która nie może być częściami wcielona do oddziałów niemieckich i austriackich i może być użyta wyłącznie dla walki z Rosją na froncie wschodnim.

3) Na czele poszczególnych armij, dywizyj, jako też i niższych jednostek wojskowych stać powinni oficerowie Polacy.

4) Wydatki zaliczane na Wojsko Polskie wchodzą w ewidencję Tymczasowej Rady Stanu, która je prowadzi w budżecie Państwa Polskiego.

III. W zakresie prac pomocniczych następujące sprawy Wojska Polskiego powinny podpadać pod kompetencje Tymczasowej Rady Stanu.

1) Uzupełnienie Wojska Polskiego, a to:

a) przez zorganizowanie na razie werbunku ochotniczego na ziemiach Królestwa Kongresowego oraz ziemiach wschodniej dawnej Polski, uwolnionych od panowania rosyjskiego na zasadach objętych załączonym projektem szczegółowym.

b) przez przeprowadzenie odpowiednich prac przygotowawczych potrzebnych dla odbudowy normalnego poboru do Wojska Polskiego w przyszłości.

2) Organizacja służby sanitarnej w kraju przez utworzenie Polskiego Czerwonego Krzyża.

3) Ożywienie polskiego przemysłu przez:

a) pośredniczenie między wytwórcami a odpowiednimi władzami wojskowymi w sprawie udziału Polski w przemyśle wojennym,

b) pośredniczenie pomiędzy odpowiednimi organami Wojska Polskiego, a producentami, mogącymi załatwić jego potrzeby.

4) Opieka wojenna, a to:

a) organizacja pomocy dla inwalidów,

b) opieka nad rodzinami żołnierzy i pozostałymi po poległych, wypłata rządowych zasiłków,

jako taka nie może być rozwiązana i wcielona do armii sprzymierzonych. Inna jest rzecz podział taktyczny, który może się zdarzać, gdy np. sąsiednie odcinki będą zagrożone, gdy idzie o pomoc i zapełnienie luk — użycie częściowe oddziałów polskich będzie tylko konieczną współpracą. W całej tej sprawie brano pod uwagę smutne doświadczenie Legionów, które były niejednokrotnie dzielone, rozbijane, wskutek czego nie mogły

---

c) organizowanie pomocy społecznej dla żołnierza, będącego w polu,

d) opieka nad jeńcami wojennymi Polakami z wojska rosyjskiego.

5) Zakładanie stałych szkół wojskowych piechoty, artylerii i kawalerii, technicznych i wojskowo-administracyjnych, gdy tego okaże się potrzeba, i kierownictwo tychże.

6) Popularyzowanie idei wojskowej i propaganda na rzecz Wojska Polskiego (wydawnictwa, odczyty, agitacja, wychowanie młodzieży, towarzystwa sportowe).

Zorganizowanie powyższych działów oprzeć się powinno, zdaniem Tymczasowej Rady Stanu, o istniejące dzisiaj zawiązki Legionowe analogicznych instytucyj wojskowych. Po przekazaniu zatem Legionów Wojsku Polskiemu, odnośne instytucje Legjonowe nie powinny ulec rozwiązaniu, lecz należałoby przekazać je Tymczasowej Radzie Stanu do dyspozycji.

Tymczasowa Rada Stanu rozumie konieczność roli, jaka przy współorganizowaniu Wojska Polskiego przypadnie odnośnie reprezentantom państw centralnych. Ocenia również korzyści, jakie stąd dla narodu polskiego płyną. Równocześnie daje wyraz przekonaniu, że otrzymać ona musi odpowiedni wpływ na organizację Wojska Polskiego, niezbędny ze stanowiska narodu polskiego, by pogodzić potrzeby organizacyjne ze względami narodowymi i obudzić przez to w Polsce zaufanie do całej akcji, co jest niezbędnym warunkiem jej powodzenia.

Wobec powyższego organizacja Departamentu Wojny, przedstawiona do zatwierdzenia Naczelnej Komendy Armii (§ 25 Rgl.), ma wyglądać jak następuje:

1. Na czele Departamentu Wojny stoi Dyrektor, Członek Wydziału Wykonawczego Tymczasowej Rady Stanu.

2. Jego zastępcą jest Vice-Dyrektor, przedstawiony przez niego i zatwierdzony przez plenum Rady Stanu.

3. Praca Departamentu Wojny podzielona jest na sześć Wydziałów, a mianowicie:

I. Kancelaria, kasa i rachunkowość Departamentu Wojny,

II. Wydział Werbunkowy, zorganizowany na podstawie specjalnej ustawy — załącznik Nr. 1.

III. Wydział Opieki.

UWAGA: Obok Wydziału Opieki, po zorganizowaniu działu pod kontrolą Departamentu Wojny, Czerwony Krzyż Polski.

IV. Wydział Przemysłu Wojennego.

V. Wydział Propagandy na rzecz Wojska, do którego również należy opieka nad wychowaniem wojskowym młodzieży szkolnej.

VI. Ewentualnie Wydział szkół wojskowych.

4. Na czele każdego z Wydziałów stoi Referent, któremu podlegają odpowiednie biura i instytucje.

wytworzyć wspólnego ducha Armii Polskiej. Chodzi zatem, by Polacy nie byli uważani jakby jakiś specjalny gatunek broni (jak np. używa się piechoty, artylerii czy innych oddziałów, tak samo możnaby było używać specjalnego oddziału polskiego przy oddziałach innych armij, opierając się na tem, że Polacy znają specjalny język, stosunki miejscowe itp.) — chodzi więc, by Armia Polska nie uległa rozbiciu i nawet przy

5. Referenci i urzędnicy są mianowani na wniosek Dyrektora Departamentu Wojny przez Marszałka Koronnego.

6. Wydział propagandy organizuje w kraju Komitety popierania wojskowości polskiej, które na podstawie ogólnej zasady podlegają Komisarzom Tymczasowej Rady Stanu.

7. Przewodniczący tych Komitetów w razie nieobecności Komisarzów zastępują ich we wszystkich pracach werbunkowych.

8. Analogicznie do wszystkich Departamentów istnieje przy Departamencie Wojny Rada Departamentu.

## ORGANIZACJA I TECHNIKA ZACIĄGU DO WOJSKA POLSKIEGO

### A. Organizacja zaciągu.

1. Naczelną Władzą Wojskowych Władz Zaciągowych jest inspektorat zaciągu Wojska Polskiego w Warszawie, wchodzący w skład Departamentu Wojskowego Tymczasowej Rady Stanu. Inspektoratowi podlegają Komendy okręgowe, powiatowe zaciągu do Wojska Polskiego.

2. W skład komend okręgowych zaciągu do Wojska Polskiego wchodzą: 2 oficerowie, 2 podoficerowie i 6 żołnierzy.

3. W zakresie działania tychże leży:

a) organizacja i nadzór nad akcją zaciągową w danym okręgu,

b) władza dyscyplinarna nad wojskowym personelem werbunkowym na prawach detaszowanej Komendy Kompanii,

c) prowadzenie okręgowych list zaciągowych,

d) organizacja Komisyj poborowych,

e) organizacja kwater etapowych dla rekrutów oraz transporty tychże do oddziałów,

f) podręczny magazyn umundurowania i ekwipunku,

g) agendy Komendy Stacji w danej miejscowości — o ile taka nie istnieje,

h) współdziałanie z Komisarzem Tymczasowej Rady Stanu w organizacji rządowej pomocy dla rodzin wojskowych oraz inwalidów,

i) przygotowanie list poborowych, obowiązanych w danym okręgu do powszechnej powinności wojskowej.

4. Powiatowe Komendy zaciągu do Wojska Polskiego składają się na razie z 2 oficerów, 2 podoficerów oraz 6 żołnierzy.

5. Do zakresu ich działania należy:

a) organizacja i nadzór nad zaciągiem w obrębie powiatu,

b) przyjmowanie ochotników i układanie powiatowych list zaciągowych,

c) pobieżny przegląd ochotników (wstępny asenterunek),

d) organizacja kwater etapowych dla ochotników, oraz transporty tychże do Komend okręgowych,

e) przygotowanie list poborowych w obrębie powiatu,

podziale taktycznym wszystkie oddziały powracały potem do swojej macierzy — armii polskiej.

Nie zgadza się też ze zdaniem p. Studnickiego, że nie ma możności obsadzenia oficerskiego korpusu Polakami. Chodzi tutaj o zasadę zachowania narodowego charakteru armii od góry do dołu; p. Bukowiecki podkreślił też, że Armia Polska nie będzie liczną, składać się będzie z czterech dywizyj, na taką armię siły oficerskie Legionów wystarczą.

---

f) w braku miejscowej Komendy placu Wojska Polskiego wykonywanie jej funkcyj.

6. Biura zapisu do Wojska Polskiego złożone z 1 podoficera i 4 żołnierzy:

a) przyjmują zgłaszających się ochotników,

b) odstawiają ich do Komend powiatowych,

c) udzielają technicznej pomocy w zakresie propagandy.

B. Technika zaciągu

1. Zgłaszanie się ochotników odbywa się w Biurach zapisu do Wojska Polskiego, lub wprost w powiatowych Komisariatach zaciągowych.

2. Komisariaty uwiadamiają z góry posterunki werbunkowe o terminach przeglądu (pewne dni w tygodniu lub miesiącu), w których zbiera się w Komisariacie powiatowym wstępna Komisja przeglądowa.

3. W skład jej wchodzą:

1) Komisarz Rady Stanu, w braku tegoż przewodniczący Komitetu werbunkowego, jako przewodniczący,

2) oficer zaciągowy,

3) miejscowy lekarz. Personel pomocniczy Komisji przeglądowej składa się z jednego podoficera i dwóch żołnierzy jako ordynansów.

4. Rozstrzygający głos o zdolności lub niezdolności do służby ochotnika przysługuje przewodniczącemu, który kieruje się dyrektywami, umieszczonymi w instrukcji ogólnej.

5. Odstawianie ochotnika do Komend okręgowych odbywa się w pewnych z góry oznaczonych terminach, w których funkcjonuje w danym okręgu Komisja poborowa.

6. W skład okręgowej Komisji poborowej wchodzą:

1) Komendant okręgowy, jako przewodniczący poboru,

2) polski lekarz wojskowy,

3) zastępca Komisarza Rady Stanu,

4) jeden oficer i lekarz wyznaczeni przez Naczelną Komendę Armii.

7. Komisja przeprowadza ostateczne uznanie co do zdolności fizycznej do służby, jej rodzaju.

8. Ochotnicy, uznani za zdolnych, składają przysięgę na ręce Komisarza Tymczasowej Rady Stanu (zastępcy), po czym są odsyłani według rozkazów inspektoratu krajowego do odnośnych formacyj wojskowych.

Przepisy dodatkowe dla ochotniczego zaciągu do Wojska Polskiego.

1. Możliwie szybkie utworzenie silnej Armii Polskiej jest decydującym postulatem narodowym i państwowym.

*Po przemówieniu J. Piłsudskiego wywiązała się dyskusja, obracająca się głównie koło zagadnienia werbunku nie tylko w Królestwie, ale i na Litwie. W dyskusji zabierali głos: Kunowski, Śliwiński, Studnicki, Radziwiłł, Łempicki i in. Wszyscy oni oświadczyli się za akcją werbunkową na Litwie ze względów zasadniczych, udział bowiem Litwy w polskiej pracy wojskowej dawał rękojmię późniejszej przynależności tego kraju. Akcji werbunkowej na Litwie sprzeciwiał się jedynie L. Górski z tego względu, że w razie powrotu Rosjan mieszkańcy Litwy byliby narażeni na represje. Władysław Studnicki nie podzielał zdania Piłsudskiego, że oficerów legionowych wystarczy na 4 dywizje i stwierdził, że «będą konieczni generałowie obcy, a wypowiadanie się przeciw nim będzie dowodem, że nie chcemy licznej armii, gdyż, jeżeli mamy oficerów tylko na armię, składającą się z 4 dywizji, to nie biorąc obcych oficerów, nie będziemy mogli wojska rozszerzyć». W dalszej dyskusji ks. oficjał Przeździecki zaproponował do wniosku II — 2) poprawkę: «i może być użyta wyłącznie dla obrony ziem polskich przed wtargnięciem wojsk nieprzyjacielskich» i poprawkę do wniosku III — 1 a): «przez zorganizowanie na razie werbunku ochotniczego na ziemiach Królestwa*

---

2. Zaciąg ochotniczy jest na razie możliwą formą tworzenia pierwszego stadium Wojska Polskiego.

3. Każdy obywatel Państwa Polskiego i ziem uwolnionych spod panowania rosyjskiego w wieku od ukończenia 18 do 45 roku życia może zgłosić się, jako ochotnik do Wojska Polskiego.

4. Ochotnicy, którzy byli uprzednio karani więzieniem lub pozbawieni byli praw na mocy wyroku sądowego, nie mogą być przyjęci do Wojska Polskiego. Kary za przestępstwa polityczne nie wchodzą w rachubę.

5. Prawa przynależnych do Wojska Polskiego tak w czasie służby jak poza służbą, ich pobory normalne, oraz renty na wypadek niezdolności do pracy określa osobna ustawa.

6. Oficerowie, podoficerowie i żołnierze, zgłaszający się obecnie dobrowolnie do Wojska Polskiego, po nienagannie odbytej służbie wojskowej mieć będą w pierwszym rzędzie prawo do urzędów i posterunków służbowych przyszłej administracji państwowej polskiej.

7. Inwalidzi oraz żołnierze, którzy się szczególnie podczas służby wojskowej odznaczyli, otrzymują odpowiednie wynagrodzenie ze strony Rządu Polskiego.

8. Rodziny żołnierzy pobierają zasiłki, unormowane ustawą.

9. W wypadkach uzasadnionych rodzina ochotnika uzyskać może częściowe zwolnienie od podatków».

Po odczytaniu tego referatu w dyskusji zabierało głos paru członków T. R. S., po czym J. Piłsudski przemawiał jako referent Komisji Wojskowej.

*Kongresowego»; ten ostatni wniosek motywował tym, że termin «Królestwo Kongresowe» jest bardziej określony niż «Królestwo Polskie». Na te przemówienia ks. Przeździeckiego i Studnickiego odpowiedział J. Piłsudski:*

Nie zgodził się on z poprawką ks. Przeździeckiego — «co do obrony granic» — jest to bowiem wyrażenie nieokreślone i wywołuje wojskowo mylne wrażenie, jakgdyby wojsko miało stać na miejscu i czekać, aż nieprzyjaciel przyjdzie i wtedy dopiero bronić granic.

Według teorii wojskowej, należy iść w granice wroga, by przenieść ciężar wojny na obcy teren. Na poprawkę: «Królestwo Kongresowe» zamiast «Królestwo Polskie» zgadza się, gdyż jest ono bardziej określone. Z argumentacją p. Studnickiego w kwestii korpusu oficerskiego nie zgadza się, gdyż musi być naszym dążeniem zupełnie uzasadnionym, aby Polacy stali na czele Wojska Polskiego, zarówno z punktu widzenia Armii Narodowej, jak i wobec tego, że masy żywią podejrzenia, iż może być zrobiony zamach na polskość wojska; trzeba obalić owe podejrzenia, według których Polak może być przez Niemców użyty jako nowoczesny niewolnik. Nie przeszkadza to, aby w wypadkach konkretnej potrzeby Rada Stanu mogła odstąpić od tej zasady i punktu tego nie traktować zbyt formalnie.

*W dalszej dyskusji nad zgłoszonymi projektami zabierali kolejno głos poszczególni członkowie T. R. S.*

Piłsudski jako referent wypowiada swoje zdanie w kwestii zgłaszanych poprawek:

1) jest za odrzuceniem poprawki p. Studnickiego II — 2) wskutek jej nieokreślonego charakteru,

2) proponuje odrzucenie poprawki ks. Przeździeckiego, że «Armia może być użyta dla obrony ziem polskich». — Jest za pozostawieniem punktu 2-go w brzmieniu Komisji,

3) w punkcie III — 1 a) proponuje przyjęcie poprawki ks. Przeździeckiego: «Królestwa Kongresowego» zamiast «Królestwa Polskiego»,

4) do tegoż punktu jest poprawka p. Górskiego w sprawie Litwy [1]); zwraca uwagę, że poprawka ta tyczy się również punktu 3-go przepisów dodatkowych,

5) jest wreszcie poprawka p. Studnickiego, popierana

[1]) Poprawka członka T. R. S. Górskiego brzmiała: «Ograniczyć werbunek do granic Królestwa Kongresowego do czasu wyjaśnienia przez państwa centralne zamiaru co do krajów białoruskich i litewskich». Poprawka ta w głosowaniu upadła.

przez pp. Kunowskiego i Bukowieckiego [1]), co do punktu 2-go przepisów dodatkowych, której przyjęcie uważa za niemożliwe.

6) co do propozycji p. Kunowskiego skreślenia punktu 5-go w przepisach dodatkowych zaznacza, że w kwestii tej była na Komisji dyskusja i redakcja tego punktu została skrócona do minimum.

## 24. II. 1917

*Przemówienie poniższe zostało wygłoszone na ósmym posiedzeniu plenarnym w dniu 24. II. 1917 r. Porządek dzienny tego posiedzenia przewidywał jako punkt 3-ci «Sprawozdanie Komisji Wojskowej», jako punkt 6-ty «Statut Pomocniczych Komitetów Wojskowych». Po odczytaniu protokółu z 7-go posiedzenia i złożeniu sprawozdania Wydziału Wykonawczego zabrał głos J. Piłsudski.*

Referent Komisji Wojskowej brygadier Józef Piłsudski konstatuje, że Komisja Wojskowa wyszła z okresu organizatorskiego i dalsze jej prace zależą od zakresu działalności, jaki będzie zakreślony przez Główną Komendę Armii. Przedstawiwszy projekt, Komisja czekała, mając nadzieję, że sprawa szybko posunie się naprzód, tymczasem wszystko stoi w miejscu. Jeżeli przedtem sprawę hamowało nieokreślone prawnopaństwowe stanowisko Legionów, to dziś do tego dołącza się i sprawa nieokreślonych kompetencji, jakie będzie miała Rada Stanu w dziedzinie wojskowej. Co prawda sprawy wojskowe nie zamarły i prace przygotowawcze idą dalej, ale Komisja prawnego udziału w tych pracach brać nie może, wobec czego powstają obawy, że te czy inne usiłowania społeczne, robione bez udziału Rady Stanu, mogą się posunąć za daleko lub w kierunku niepożądanym. Prace te przyspieszą to, co prawnie posuwa się zbyt wolno. W ten sposób Rada Stanu może mieć jednak do czynienia z faktami dokonanymi, co może się stać powodem do różnych kłopotów. Mówca może przytoczyć szereg przykładów, o których słyszał, i wie o wielu tego rodzaju samorzutnie powstałych pracach społecznych. W jednym np. z miast poruszono kwestię niektórych przygotowawczych prac werbunkowych, nie licząc się zupełnie z tym, jakie będą prawa i przepisy werbunkowe. Kreisschef [2]) złożył werbunkową komisję, do której wszedł przedstawiciel wojska,

[1]) Członek T. R. S. Kunowski w porozumieniu ze Studnickim proponował w punkcie tym dodać słowo «na razie», opuszczając ustęp od słów «jak ze względu». Poprawka ta, jak również poprawka ks. Przeździeckiego zostały przyjęte w głosowaniu.

[2]) Kreisschef — Komendant powiatu.

rządowy weterynarz i doktór. Do komisji tej zaproszono jednego z obywateli miejscowych.

Taka jest pierwsza awangarda werbunkowa. A oto druga: referent ma przed sobą okólnik biura werbunkowego w Sosnowcu, w którym bardzo dużo mówi się o Radzie Stanu, ale który budzi w nim wielkie wątpliwości. Dokument ten datowany jest z dnia 14 lutego i brzmi, jak następuje:

*«Do*
*Biura Werbunkowego Wojska Polskiego*
*w Będzinie*

*Sosnowiec, dnia 14 lutego 1917 r.*

*Przypomina się niniejszym o rozkazie wysyłania patroli w obrębie działań biura. Patrole składać się mają z trzech do czterech żołnierzy; w tym celu należy podzielić żołnierzy posterunkowych na dwie lub trzy partie, któreby się w patrolowaniu wzajemnie zastępowały i zmieniały. Z każdorazowego patrolu ma być spisany raport, a raporty z patroli, odbytych w ciągu dekady, mają być przywożone do Komisariatu przez kuriera, przyjeżdżającego po żołd co dziesięć dni.*

*Zadaniem patroli tych ma być: podkreślanie powagi i znaczenia Rady Stanu, jak również wojska, tłumaczenie zwłoki, powstałej obecnie, w tworzeniu się armii, zbieranie danych o działalności obozu, wrogiego Radzie Stanu, wreszcie badanie działalności księży, wójtów, pisarzy gminnych i nauczycielstwa.*

*W rozjaśnieniu powyższego dodaje się, że:*

*a) Pod podkreśleniem powagi i znaczenia Rady Stanu należy rozumieć popularyzowanie jej jako prawowitego rządu państwowego polskiego, zaznaczanie konieczności posłuszeństwa bezwzględnego dla niej i dla jej rozporządzeń, wreszcie zapobieganie wszelkim szkodliwym dla niej krytykom i obmowom przez tłumaczenie trudnego położenia, w jakim się znajduje.*

*b) W sprawie wojska bezwzględnie należy zaznaczać konieczność dla istnienia państwa i wytłumaczyć gwarancje, jakie ono daje Państwu, tak młodemu i znajdującemu się dopiero w początkowej fazie swego rozwoju, jak Polska. W razie zapytań o powody zwłoki, zachodzącej w tworzeniu się Armii Polskiej, ma się odpowiadać, iż sprawę tę przewleka fakt, że Legiony Polskie nie zostały jeszcze przekazane przez Rząd austriacki Rządowi polskiemu. Sprawa ta zostanie wkrótce załatwiona po czym wydany zostanie przez Radę Stanu rozkaz ochotniczego zgłaszania się do Wojska Polskiego.*

*c) Patrole wspomniane mają też za zadanie zbieranie dokładnych danych o działalności obozu wrogiego Radzie Stanu, gromadząc fakty, zaszłe w tym kierunku. Również należy podać do wiadomości Komisariatu, czy na urzędach gminnych i nauczycielskich znajdują się osoby wyznania prawosławnego, a w tym wypadku określić dokładne dane, tyczące się ich.*

*d) Wymagane też są wiadomości o działalności księży, wójtów, pisarzy gminnych i nauczycielstwa — należy zbadać ich nastrój, zapatrywania na obecny rząd polski, sprawę wojska, jak również propagowane przez nich idee i kierunki.*

*Na przyszłość mają biura werbunkowe przesyłać co dekadę oddzielne trzy raporty: raport ogólno-polityczny, raport administracyjny, wreszcie raporty patroli.*

*W myśl nowych postanowień, zgodnych z rozkazem Rady Stanu, kwestia werbunku powierzona zostanie osobom cywilnym, przez nas wskazanym, i dlatego poleca się zapoczątkowanie zorganizowania na miejscu takiego komitetu, któryby odpowiadał wymaganemu przeznaczeniu».*

W ten sposób bez postanowienia Rady Stanu wysuwają się przeróżne awangardy indywidualnych poglądów; jest cały szereg zgłoszeń różnych zrzeszeń prowincjonalnych, które chciałyby z Radą Stanu współdziałać w sprawie wojskowej, ale, gdy się tego prędko nie doczekają, to same stwarzać sobie będą zakres pracy. Referent prosi, by członkowie Rady Stanu weszli w smutne położenie Komisji Wojskowej i w swoje własne, albowiem wszyscy na prawo i lewo są upoważnieni do rozpoczynania działalności w sprawach wojskowych, z wyjątkiem Rady Stanu, która nie ma możności prawnego działania i wskutek tego czynności jej w kwestii wojskowej zupełnie zamarły.

Chcąc wyjść z tego położenia, Komisja Wojskowa w porozumieniu z Wydziałem Wykonawczym opracowała projekt propagandy, miał on być na dzisiejszym zebraniu przedstawiony, ale referent nie miał możności go przepisać i rozesłać, wskutek tego będzie przedstawiony na następnym zebraniu. Ale i ten projekt będzie musiał w rezultacie przebywać czyśćcową wędrówkę przez różne władze. Nasuwa się i szereg innych bardzo poważnych spraw, wysuwanych przez samo życie, np. — kwestia pomocy sanitarnych Czerwonego Krzyża itp. Inicjatywa społeczna szuka i tu ujścia dla swych dobrych chęci, ale ich nie znajduje; w każdym razie, dopóki nie ma władzy odpowiedniej do działania, w tej kwestii jest upoważniona Komisja Wojskowa.

Pracy tej jest jednak za dużo. Referent, chcąc być lojal-

nym, przyznaje, że nie ma możności przepracować sam tego materiału. Wydział Wykonawczy upoważnił go do powiększenia liczby członków Komisji Wojskowej z tym, by weszli do niej ci członkowie Rady Stanu, którzy sami się do niej zgłoszą. Referent jednak nie widział formy, w jakiejby sam to powiększenie mógł przeprowadzić, wobec czego zwraca się do plenum, prosząc o wybranie nowych członków do Komisji Wojskowej [1]).

*Po przemówieniu J. Piłsudskiego zabrał głos Janicki, stwierdzając, że do Komisji Wojskowej powinni wejść członkowie Rady Stanu z prowincji. Według niego też należałoby powołać do tej Komisji osoby spoza T. R. S. Stolarski w przemówieniu swym podkreślił, że przeciąganie sprawy przez T. R. S. i przez władze okupacyjne jest rzeczą fatalną. «Przeciągnięta struna — mówił on — musi pęknąć i sprawa odwróci się w tę lub inną stronę, co zawsze będzie złem, bo albo nastąpi zupełna oziębłość i niewiara społeczeństwa, albo niepotrzebne wybryki w niektórych okolicach. Władze okupacyjne powinny się nad tym zastanowić, sprawy nie przewlekać, a T. R. S. powinna też wykazać więcej stanowczości». W odpowiedzi na przemówienie Stolarskiego hr. Lerchenfeld w imieniu swego rządu stwierdził, że «jest życzeniem władz okupacyjnych, by sprawa szybko została załatwiona; zapewniał on mówcę, że ze strony generał-gubernatora i władz wszystko robi się by sprawę przyśpieszyć. W Berlinie z naciskiem sprawa ta była podkreślona u czynników miarodajnych i według jego informacyj w Naczelnej Komendzie Armii są zrobione wszelkie przygotowania w tej sprawie. Mówca jest pewien, że w niedługim czasie nastąpi zadowalające rozstrzygnięcie». Po tym oświadczeniu marszałek Niemojowski wezwał do wyboru nowych członków Komisji Wojskowej, zapytując Piłsudskiego o ilu członków Komisja ma być powiększona.*

*Po tej odpowiedzi przyjęto w głosowaniu wniosek Dzierzbickiego o powiększenie Komisji o 5 nowych członków: W odpowiedzi na prośbę Janickiego o wymienienie nazwisk osób, które się zgłosiły* — «Brygadier Piłsudski prosi o wybór p. Dziewulskiego, który prowadzi już cały szereg prac sanitarnych i jest właśnie jedną z takich awangard prac społecznych w kwestii wojskowej, poza tym p. Kozłowskiego oraz zaznacza, że zgłosili się do niego, wyrażając chęć wzięcia udziału w pracy, pp. Jankowski, Maj i Stolarski».

---

[1]) W rezultacie wyborów weszli do Komisji: Dziewulski, Maj, Kozłowski, Jankowski i Stolarski.

## 5. III. 1917

*Przemówienie poniższe zostało wygłoszone na dziewiątym*[1]) *posiedzeniu w dn. 5. III. 1917 r. Po wysłuchaniu sprawozdania z czynności Wydziału Wykonawczego*[2]) *zabrał głos J. Piłsudski.*

Referent Komisji Wojskowej brygadier Piłsudski zdał sprawę z czynności tej Komisji. Komisja odbyła jedno posiedzenie, albowiem po przedstawieniu projektu organizacji Departamentu Wojny faktyczna odpowiedzialność za bieg spraw spoczywa w innych rękach, skąd dotychczas nie mamy żadnej odpowiedzi. Komisja jest skazana na bezczynność, nie ma prawnej podstawy działania i Rada Stanu musi się liczyć z awangardami społecznymi w dziedzinie wojskowej. Na ostatnim posiedzeniu, przewidując konieczność rozszerzenia swych prac, Komisja, zastępując dziś Departament Wojny, omawiała kwestię nadzwyczajnego budżetu, potrzebnego dla przeprowadzenia prac, związanych z organizacją propagandy na rzecz wojska polskiego; w kwestii tej jednak okazała się kontrowersja między poglądami Komisji a poglądami pp. Komisarzy. PP. Komisarze stwierdzili, że Komisja jest instytucją przejściową i jako taka nie może brać na siebie różnych stałych czynności; wystąpili przeciw uchwaleniu dodatkowego budżetu i sprawa rozstrzygnięta nie została; będzie o niej mowa prawdopodobnie na następnym posiedzeniu Komisji. Wywołuje też ogólne zaniepokojenie sprawa losów Legionów; wynikiem tego zaniepokojenia jest wniosek p. Studnickiego o formowaniu wojska polskiego z pominięciem Legionów. Wydział Wykonawczy przekazał ten wniosek Komisji Wojskowej, która będzie go rozważała na następnym posiedzeniu. Odezwa werbunkowa była już opracowana przez pp. Łempickiego, hr. Rostworowskiego i Śliwińskiego. Projekt został przyjęty przez Wydział Wykonawczy, jednak do tej pory plenum go nie zatwierdziło.

*Przemówienie Piłsudskiego wywołało replikę ze strony Studnickiego, który nie uważał, by prace Komisji Wojskowej były wyczerpane, «cóż bowiem dzieje się z jego wnioskami: 1) w kwestii utworzenia komisarzy dla zaciągu do wojska; 2) wynagrodzenia ochotników dobrowolnych (ewentualnie*

[1]) Przewodniczył w zastępstwie wicemarszałek Mikułowski-Pomorski.

[2]) Sprawozdanie, złożone przez Mikułowskiego-Pomorskiego, obejmowało czynności Wydz. Wykon. od 23. II. do 2. III. 1917 r.

*dobrami donacyjnymi); 3) rekrutacji. Sześć tygodni temu wnioski te postawił, sprawy są ważne i skomplikowane, droga werbunku bardzo powolna, czas uchodzi, zajęcie się tą sprawą jest pilne». Poza tym Studnicki zapytuje czy wiadomą jest rzeczą Wydziałowi Wykonawczemu, brygadierowi Piłsudskiemu i innym, «że telegram dla monarchów, który został postanowiony przez plenum. dotąd nie został wysłany aczkolwiek został doręczony pp. Komisarzom». Studnicki widzi w tym naruszenie praw Rady Stanu wobec czego wnosi w tej sprawie rezolucję. W odpowiedzi na to Mikułowski-Pomorski wyjaśnia, że nie wysłanie depesz było wynikiem nieporozumienia, gdyż Komisarze sądzili, że treść depesz wysłano do ich prywatnej wiadomości bez obowiązku wysłania do adresatów.*

W odpowiedzi Studnickiemu, «Piłsudski komunikuje, że wnioski p. Studnickiego, o których tenże dopiero co wspominał, wpłynęły do niego dopiero trzy dni temu» [1]).

*Bezpośrednio potem Śliwiński zainterpelował «referenta Komisji Wojskowej — co jest prawdą w krążących pogłoskach o fatalnych ekonomicznych warunkach, w jakich znajdują się Legiony, że brak tam zupełnie butów, bielizny, że warunki wyżywienia są bardzo ciężkie. Uważa (Śliwiński), że o ile by pogłoski były prawdziwe, w jakiś sposób na to zareagować należy».*

Brygadier Piłsudski zaznacza, że ma w tej sprawie ze strony kompetentnej ścisłe dane. Wyekwipowanie Legionów było rzeczywiście bardzo złe, gdyż wszystkie ekwipunki ogromnie się spóźniły: w sprawie tej jednak nie można mówić o opuszczeniu ze strony władz; w marcu Legiony otrzymały ekwipunek za styczeń zupełnie wystarczający, a nawet w pewnych wypadkach większy, niż wypadało ze względu na obecną liczbę żołnierzy. Transporty opóźniły się z powodu trudności kolejowych, w tej chwili jednak kwestia ekwipunku w Legionach została rozwiązana; inaczej się przedstawia sprawa wyżywienia — jest ona bardzo ciężka. W podstawie leży ten fakt, że Legiony mają tzw. fasunek austriacki, żołd zaś niemiecki; należy wziąć pod uwagę, że gospodarka wojenna austriacka jest zasadniczo odmienna od niemieckiej; zasadą jej jest większy fasunek w naturze, a mały żołd; w Niemczech — odwrotnie; Legiony wobec tego są pokrzywdzone; przyzwyczajone do naturalnej gospodarki austriackiej, nie wytworzyły dotąd żadnych zorganizowanych instytucji pomocniczych, któ-

[1]) Opóźnienie wysłania wniosków Studnickiego do Kom. Wojsk. wyjaśnił sekretarz T. R. S. Artur Śliwiński złym funkcjonowaniem niezorganizowanych jeszcze biur.

reby pozwoliły im wyzyskać, przez nabywanie po tanich cenach potrzebnych przedmiotów, swój niewysoki żołd. Dziś w tym kierunku przez poszczególnych oficerów i Komendę Legionów są robione duże wysiłki; coś nie coś już zrobiono i pewna poprawa, choć niewielka, już nastąpiła. Najgorszą rzeczą w całej tej sprawie jest zupełny brak cukru (żołnierze otrzymują kawę bez cukru). Wobec forsownych ćwiczeń oraz przy silnych, panujących tej zimy mrozach, wywołujących potrzebę lepszego odżywiania się, zły stan odżywiania się wywołuje tak smutne wypadki, jak omdlenia żołnierzy podczas ćwiczeń z powodu wyczerpania.

*Dalszą część przemówienia wygłosił Piłsudski po dyskusji, w której uskarżano się na fatalny stan zaopatrzenia Legionów, prowadzący do demoralizacji i nawet dezercji. oraz zgłoszono parę wniosków, między innymi w sprawie wydania odezwy do społeczeństwa, domagającego się wydatnej pomocy Legionom. Komisarz rządu austriackiego baron Konopka w wyjaśnieniu swym stwierdził, że «Legiony należą do składu armii austro-węgierskiej, nie można jednak robić zarzutu, by państwo nie dbało o nie; były chwile braku ekwipunku, wywołane jednak trudnościami komunikacyjnymi... sprawa trudnego położenie Legionów była już przedstawiona, gdzie należy, a pewne opóźnienie w załatwieniu sprawy ekwipunku było wywołane czynnikami niezależnymi, odezwa nie jest potrzebna». W końcu baron Konopka oświadczył, że «sprawa Legionów będzie wkrótce załatwiona», że na pewne niedomagania «chwilowo nie ma rady» i że «najboleśniejsza może sprawa ekwipunku — brak butów i odzieży została rozstrzygnięta».*

Piłsudski zaznacza, że Legiony nie są jedyną upośledzoną częścią armii austro-węgierskiej. W podobnym położeniu znajduje się żołnierz austriacki, walczący na Litwie. Chodzi o to, by pomóc Legionom w organizowaniu tych pomocniczych instytucyj, które mają żołnierze niemieccy. Mają oni wspaniale urządzone kantyny, nawet księgarnie ruchome; nasi żołnierze muszą mieć to samo, by mogli za tanie pieniądze kupować wszystko, czego potrzebują. Formalnie jesteśmy w położeniu ciężkim, nie wiadomo bowiem, jaki organ ma się tym zająć. P. Dziewulski mówił dużo o pomocy miejscowego społeczeństwa. Mówca zna wypadek, że grono obywateli z Sandomierskiego, skąd pochodzi rotmistrz Belina, postanowiło wysłać kilkanaście wagonów kartofli legionistom, napotkali jednak na trudności, które uniemożliwiły dobre chęci. Trudno było uzyskać pozwolenia na wywóz kartofli, nie było też wagonów.

Projekt p. wice-marszałka [1]) faktycznie nie da się przeprowadzić, raczej należy prowadzić pertraktacje, by inicjatywa społeczna w okazywaniu pomocy Legionom nie była hamowana, by pomoc ta nie podlegała konfiskacie i dochodziła do właściwych rąk. Trzeba ułatwić żołnierzowi polskiemu wykorzystanie tej drobnej monety, jaką posiada. Należy też dostarczać żołnierzowi w naturze cukru i papierosów; poza tym mówca zgadza się z wnioskiem ks. oficjała Przeździeckiego [2]).

## 6. III. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na dziewiątym posiedzeniu w dn. 6. III. 1917 r. Porządek dzienny obejmował sprawę statutu «Komitetów Popierania Wojskowości Polskiej», przedstawiony przez Piłsudskiego w dniu 5. III. w pierwszej części dziewiątego posiedzenia T. R. S. Statut ten, odczytany przez sekretarza T. R. S. Artura Śliwińskiego, brzmiał:*

*«Statut Komitetów Popierania Wojskowości Polskiej:*

*1) Celem popierania armii narodowej tworzy się w każdym powiecie Komitety Popierania Wojskowości Polskiej.*

*2) Komitety Popierania Wojskowości Polskiej powstają bądź samorzutnie, wyłonione z obywateli danego powiatu, bądź to wskutek zaproszenia szeregu obywateli na założycieli przez Komisarzy Tymczasowej Rady Stanu lub przez Departament Wojny. W pierwszym wypadku Komitet będzie uważany za utworzony po zaakceptowaniu go przez Departament Wojny. W jednym powiecie może być uznany tylko jeden Komitet Popierania Wojskowości Polskiej.*

---

[1]) Wicemarszałek Mikułowski-Pomorski w dyskusji proponował zwrócić się do władz okupacyjnych o udzielenie T. R. S. specjalnego kredytu na dodatkowy żołd dla Legionistów.

[2]) Wniosek ks. Przeździeckiego brzmiał: «Rada Stanu uchwala wystąpić jak najenergiczniej do władz okupacyjnych w sprawie jak najrychlejszego uregulowania i doprowadzenia do normalnego stanu warunków życiowych Legionów Polskich».

Bezpośrednio po przemówieniu Piłsudskiego Wicemarszałek zaproponował odesłać wszystkie wnioski do Komisji Wojskowej. W związku z tym Piłsudski proponuje, «by obowiązek zajęcia się tą sprawą plenum włożyło na dwie specjalnie wybrane osoby», następnie zaś, uzupełniając uwagę Śliwińskiego, że «najlepiej powierzyć sprawę brygadierowi Piłsudskiemu» — proponuję, «by polecić ją również p. Górskiemu». W głosowaniu tym właśnie członkom Rady przekazano przytoczone wyżej wnioski Śliwińskiego i Przeździeckiego.

*3) W zakres działalności Komitetów Popierania Wojskowości Polskiej wchodzi:*

*a) Propaganda wśród szerokich mas, uświadamiająca potrzebę wojska polskiego, oraz agitacja za wstępowaniem w szeregi armii narodowej,*

*b) współudział w akcji werbunkowej przez ułatwienie ochotnikom wstępowania do wojska, zapewnienie żołnierzom polskim pomocy prawnej i czuwania nad interesami ich i ich rodzin,*

*c) pomoc inwalidom i rodzinom żołnierzy przez tworzenie oddziałów prowincjonalnych instytucyj, mających te cele, i pracą członków Komitetu Popierania Wojskowości Polskiej rzeczonych oddziałów,*

*d) opieka i poparcie pracy wojskowo-wychowawczej wśród młodzieży.*

*4) Fundusze, potrzebne do prowadzenia prac Komitetów Popierania Wojskowości Polskiej, w zasadzie powinny powstawać z ofiar dobrowolnych, zebranych przez same Komitety, ewentualnie Komitetom mogą być przyznane subwencje rządowe lub gminne.*

*5) Rachunkowość Komitetów podlega kontroli komisarzy Tymczasowej Rady Stanu.*

*6) Każdy Komitet wybiera spośród siebie przewodniczącego, jego zastępcę, sekretarza i skarbnika. Wybór przewodniczącego podlega zatwierdzeniu przez Departament Wojny w porozumieniu z Departamentem Spraw Wewnętrznych. Wyżej wymienione prezydium mianuje kierowników poszczególnych sekcji spośród członków Komitetu i razem z nimi stanowi Wydział Komitetu Popierania Wojskowości Polskiej, kierujący pracami Komitetu i odpowiedzialny za jego działalność przed Departamentem Wojny.*

*7) W razie potrzeby Departament Wojny może mianować za porozumieniem z Departamentem Spraw Wewnętrznych sekretarza i przewodniczącego okręgowego, których zadaniem będzie przestrzeganie jednolitości działania powiatowych Komitetów Popierania Wojskowości Polskiej w określonym okręgu.*

*8) Przewodniczący Komitetów Powiatowych i przewodniczący okręgowi wchodzą z urzędu, jako zastępcy Komisarzy Tymczasowej Rady Stanu, do wstępnych komisji przeglądowych, względnie do Okręgowych Komisji Poborowych.*

*9) W działalności swej Komitety Popierania Wojskowości Polskiej podlegają jako swojej najwyższej władzy Departamentowi Wojny Tymczasowej Rady Stanu i są obowiązane*

*ściśle stosować się do instrukcyj, od Departamentu otrzymywanych. Niezależnie od tego Komitety Popierania Wojskowości Polskiej podlegają na ogólnej zasadzie Komisarzom Tymczasowej Rady Stanu.*

*10) Szczegółowy porządek swych prac Komitety Popierania Wojskowości Polskiej ustalą same, stosując się jednakowoż do ogólnej instrukcji, która zostanie wydana przez Departament Wojny.*

*11) Pomoc techniczną prowincjonalnym Komitetom Popierania Wojskowości Polskiej niesie specjalne Towarzystwo w Warszawie, którego celem jest zorganizowanie inicjatywy prywatnej w celu dostarczenia wydawnictw, odczytów itp. środków propagandy.*

*12) Towarzystwo jest instytucją pomocniczą, stojącą pod kontrolą Departamentu Wojny, i nie ma charakteru urzędowego.*

*13) Wszystkie Komitety Popierania Wojskowości Polskiej znoszą się z Towarzystwem, określonym w punkcie 11), za pośrednictwem Departamentu Wojny.*

*14) Do czasu ustanowienia ostatecznego Departamentu Wojny, czynności i prawa Departamentu w zakresie niniejszego, wypełnia Komisja Wojskowa Tymczasowej Rady Stanu».*

*Po odczytaniu tego projektu, zabrał głos Józef Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski zaznacza, że przedstawiając swój wniosek, wychodził z następujących założeń:

1) że propaganda wojskowa ma być ześrodkowana w Departamencie Wojny, ustrój jednak w organizacji propagandy nie został jeszcze określony, trzeba go rozwinąć, musi on być w zgodzie z przyjętym projektem zasadniczym, to też obecny statut nie jest niczym nowym, tylko rozwinięciem uprzednio przyjętego projektu;

2) trzeba się liczyć z tym, że cała Polska, podejmując tak trudne zadanie, jak formowanie armii narodowej, może stanąć w kolizji nie tylko z władzami okupacyjnymi, lecz i z własnym społeczeństwem; rzecz tak wielka, jak tworzenie armii narodowej, nie może się odbywać bez żywego udziału całego społeczeństwa, lub przynajmniej dużej jego części, dlatego dużo powinno być miejsca dla prywatnej i społecznej inicjatywy. Z ideą prywatnej incjatywy dzisiejsze pokolenie się zżyło i wychowało, w niej przejawia się charakter polski, oparcie o inicjatywę prywatną jest rzeczą konieczną;

3) żyjemy w czasach, gdy prace Rady Stanu w dziedzinie wojskowości zostały prawie wstrzymane; próbuje coś robić

samo społeczeństwo, szuka ono dróg rozwiązania tych kwestii, w których Rada Stanu zrobić nic nie może.

Mówca stara się w miarę sił uregulować inicjatywę społeczną; zarzut, że projekt nie liczy się z instytucją Komisarzy Rady Stanu, nie jest słuszny; instytucja ta nie istnieje, opóźnia się, nawet na Wydziale Wykonawczym nie był dotąd omawiany konkretny projekt instytucji Komisarzy, nie można się więc było w statucie Pomocniczych Komitetów Wojskowych oprzeć na nich. Nie wiadomo, kiedy zaczną oni funkcjonować. Tymczasem samorzutna inicjatywa społeczna w sprawie wojskowej istnieje, istnieć będzie, trzeba ją regulować, to rola Rady Stanu i przeszkadzać inicjatywie społecznej w sprawie, w której Rada Stanu dziś nic nie robi i robić nie może, nie należy. Zarzucano też, że nie istnieje Centralne Towarzystwo, o którym jest mowa w statucie; ale ono istnieć będzie musiało. Warszawa jest stolicą kraju, gromadzi dużo sił, skrępować ich nie można. Centralne Towarzystwo będzie pewnego rodzaju zaspokojeniem aspiracji społecznych w dziedzinie wojskowości. Prowincja znów żąda autorytetu i dla niej istnienie Centralnego Towarzystwa jest konieczne. Referent przedstawił swój projekt, gdyż stara się i starać się będzie o połączenie rozbieżnych prac. Mówca jest przeciwny koncentrowaniu prac propagandy wojskowej w rękach Komisarzy Rady Stanu, gdyż Komisarze będą musieli być wszędzie i we wszystko wnikać, wobec czego obarczanie ich jakąś konkretną specjalną pracą, jak w danym wypadku propaganda wojskowa, nie byłoby celowym i wskazanym. Zadaniem ich byłaby raczej kontrola i ujednostajnienie pracy, ale Komisarze nie mogą i nie powinni być związani z jedną dziedziną życia, nie mogą stać się specjalistami w jednym kierunku, propaganda na rzecz wojska nie może należeć tylko do nich. Winni oni baczyć, by propaganda była robiona, kontrolować ją, przykładać do niej, jak do wszystkiego, swoją pieczęć. Prace Komisarzy i tak będą wielkie. — Co się tyczy odłożenia projektu na tydzień w celu obznajomienia się bliższego Członków Rady Stanu z nim, to mówca nie ma nic przeciwko temu, przeciwnie, chciałby, aby członkowie Rady Stanu z pełną powagą, namysłem i przygotowaniem zabrali się do tej sprawy.

*Po przemówieniu Piłsudskiego wywiązała się dyskusja w sprawie wniosku odczytanego przez Śliwińskiego, w którym wnioskodawcy proponowali odłożenie sprawy wymienionego statutu na tydzień.*

Piłsudski wyjaśnia, że z góry zgodził się na odłożenie omawiania statutu Komitetów Popierania Wojskowości Pol-

skiej, obecnie tym bardziej się na to zgadza, słysząc, że ma się odbyć za tydzień specjalny zjazd z prowincji; poza tym jest dla niego bardzo ważnym oświadczenie hr. Lerchenfelda w kwestii Komisarzy. Cieszy się, że kwestia Komisarzy staje się kwestią aktualną; musi to wpłynąć na pewne zmiany w przedstawionym przez niego statucie. Przy układaniu go nie uwzględnił tej sprawy należycie, gdyż instytucji Komisarzy nie uważał za aktualną; obecnie trzeba będzie dopasować statut do nowej instytucji. Nie miałby w tej sprawie nic więcej do powiedzenia, gdyby w dyskusji oprócz motywów, o których tu wspominał, nie podniesiono innych. Najrealniej sprawę ujął p. Dziewulski. Rada Stanu przyszła o dwa lata za późno i ciągle ma do czynienia z faktami dokonanymi, do których prawa nie posiada; bez jej współudziału powstały Legiony, z ich ekspozyturą — Departamentem Wojskowym, z całym aparatem werbunkowym; prawda, że instytucje te poddały się Radzie Stanu chętnie, ale prawnie nie ma to żadnego znaczenia; tak samo bez Rady Stanu powstała Polska Organizacja Wojskowa i, będąc prawnie niezależną od jakiejkolwiek władzy, poddała się Radzie Stanu. Rada Stanu jednak nie rozporządziła tą organizacją; mówca nie dziwi się temu, gdyż jedyne wyjście, rozkaz wstąpienia do wojska, jest niemożliwe bez wojska; Polska Organizacja Wojskowa jak i dawniej jest pozostawiona sama sobie; to zawieszenie najlepszej części społeczeństwa, organizacji, która, mimo najcięższych warunków, potrafiła poruszyć dość liczne koła ludności, a nie może, chociażby z powodu temperamentów ludzi, w jej skład wchodzących, ciągle wisieć w powietrzu, odbija się fatalnie na stanie organizacji; musi być już dziś robione wszystko, by przygotować wejście Polskiej Organizacji Wojskowej na tory normalne. Polska Organizacja Wojskowa ma bowiem dwie drogi przed sobą: albo się rozwiązać, albo istnieć w takiej formie, jak obecnie, do czasu otrzymania rozkazu Rady Stanu. Pomoc materialna jest konieczna; tej sprawy nie poruszał dotąd, gdyż uważał, że kwestia istnienia Polskiej Organizacji Wojskowej, to kwestia jednego, dwóch tygodni i Polska Organizacja Wojskowa przestanie istnieć, ale sprawa trwa już cztery tygodnie. Polska Organizacja Wojskowa dalej istnieje, istnieć musi i powstaje tylko kwestia, czy zmienić jej organizację, czy pozostawić rzeczy swemu biegowi. Na Zjeździe Komitetów Pomocniczych Wojskowych [1]) mówca reprezentował powagę Rady Stanu, repre-

[1]) Mowa o pierwszym zjeździe Pomocniczych Komitetów Wojskowych jaki się odbył w Warszawie 19. II. 1917 r.

zentował myśl poddania się Polskiej Organizacji Wojskowej Radzie Stanu, prowadził politykę lojalną wobec Rady Stanu. Komitety Pomocnicze Wojskowe były stworzone dla pomocy Polskiej Organizacji Wojskowej, muszą one podtrzymywać Polską Organizację Wojskową, aby ta mogła istnieć. Za zupełnie słuszne uważa mówca zdanie, że powinny być tylko jedne Komitety Popierania Wojskowości Polskiej. Nie mogą być jedne tworzone przez Polską Organizację Wojskową, inne przez oficerów werbunkowych, przez Departament Wojny, lub Departament Spraw Wewnętrznych. Mówca dąży do jednolitości, jak i wszyscy w Radzie Stanu, i dąży do połączenia odrębnych stowarzyszeń. Pod względem materialnym Polska Organizacja Wojskowa albo musi się opierać jak dotąd na własnych siłach, czyli stwarzać sobie pomocnicze instytucje, lub zażądać funduszów od Rady Stanu; to ostatnie wyjście jest dla mówcy najsympatyczniejsze, mówca zgadza się z p. Łuniewskim, że to tylko wprowadzi jednolitość pracy, mówca nigdy się temu nie sprzeciwiał i sprzeciwiać nie będzie; ale zapominać nie należy, że stan przejściowy musi istnieć pewien czas i nie można w jeden dzień rozwiązać tego, co oddawna istnieje i spełnia jeszcze swoją rolę. Pomocnicze Komitety Wojskowe będą mogły być rozwiązane, gdy Rada Stanu sprawy Polskiej Organizacji Wojskowej obejmie; wtedy nigdy w Polskiej Organizacji Wojskowej nie powstanie wątpliwość, że rozwiązanie to jest potrzebne. Mówca wychował Polską Organizację Wojskową w karnej swej szkole i znajdzie ona w sobie najzupełniejszą lojalność pracy dla ogólnego dobra, tłumiąc wszelkie inne pobudki, czy to indywidualne, czy partyjne. Wspomniano tutaj o próbach jednostronnego załatwiania spraw, ale ten zarzut nigdy nie może spotkać mówcy; spada on raczej na Departament Spraw Wewnętrznych. Mówca nic nie wie o projektowanym Zjeździe, nic nie wie o tym, że będą tam omawiane sprawy wojskowe, nie wie, kto będzie je referował, zdaje mu się też, że nikt z członków Komisji Wojskowej nie wie o Zjeździe. Zarzutu jednostronności, skierowanego ku sobie, przyjąć nie może. Gdy mówca w swym czasie dowiedział się o zjeździe Pomocniczych Komitetów Wojskowych i gdy wbrew jego przewidywaniom wypadł on licznie, prosił p. Łempickiego i p. Górskiego, by byli na nim obecni; pracę swoją uważa za polską i lojalną i szuka w niej jawności, jeżeli zaś czasem praca musi być tajna, to nie jest winą jego, lecz okoliczności, od woli jego niezależnych.

*Po przemówieniu J. Piłsudskiego wice-marszałek J. Mikułowski-Pomorski stwierdził, że kwestia jest wyczerpana*

*i po zarządzonym głosowaniu wniosek odłożenia dyskusji nad statutem Pomocniczych Komitetów Wojskowych został uchwalony.*

*Pod koniec posiedzenia ks. Przeździecki postawił wniosek, by «wszelkie projekty większej wagi, noszące charakter polityczny przechodziły przed wniesieniem ich na plenum przez Departament Spraw Politycznych, który załączy swą opinię, ewentualnie zaproponuje zmiany». W odpowiedzi na to zabrał głos J. Piłsudski:*

(Brygadier Piłsudski) nie uważa za potrzebne, by wnioski musiały przechodzić przez Departament Spraw Politycznych, przechodzą one bowiem przez Wydział Wykonawczy, w którym zasiada dyrektor Departamentu Spraw Politycznych. Należy raczej projekty oddawać do Departamentu Spraw Politycznych przed wniesieniem ich na Wydział Wykonawczy dla przeredagowania.

## 21. III. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na jedenastym posiedzeniu w dn. 21. III. 1917 r.*[1]*). Porządek dzienny obrad przewidywał m. in. jako pkt. 3 Sprawozdanie Komisji Wojskowej, jako pkt. 7 Statut Pomocniczych Komitetów Wojskowych. Po odczytaniu proponowanego porządku dziennego, «Brygadier Piłsudski prosi o skreślenie 7-go punktu porządku dziennego, ponieważ odnośne statuty nie były rozważane ponownie na Komisji Wojskowej», na co marsz. kor. się zgodził. Po sprawozdaniu z prac Wydziału Wykonawczego, złożonym przez J. Mikułowskiego-Pomorskiego, zabrał głos J. Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski zdawał sprawę z prac Komisji Wojskowej. Najważniejszą sprawą, jaką zajmowała się Komisja Wojskowa od czasu ostatniego plenum, była spraw żywnościowa w Legionach. Zajęcie się tą sprawą plenum poruczyło mówcy oraz p. Górskiemu, którzy się udali do obu przedstawicieli państw okupacyjnych — płk. von Paića[2]) i płk. von Herzbrucha[3]); u płk. Paića delegowani podkreślili konieczność podniesienia żołdu Legionów do norm niemieckich; sprawa ta, jak się dowiedzieli u płk. Paića, była już poruszana przez Komendę Legionów, została jednakże przez Austriacką Naczelną Komendę odrzucona z przyczyn zasadni-

[1]) W tomie «Dodatkowym» omyłkowo 31. III. 1917 r.
[2]) Płk. Paić, przedstawiciel austriacki.
[3]) Płk. Herzbruch, przedstawiciel niemiecki.

czych; podług obliczeń mówcy różnica obu norm wyniosłaby dla Legionów 150—180 tysięcy marek miesięcznie; delegaci proponowali, aby suma ta była obecnie wypłacana Legionom, a po wojnie nastąpił rozrachunek pomiędzy państwem Austro-węgierskim a Państwem Polskim. U płk. Herzbrucha delegaci podnosili braki w żywieniu Legionów, specjalnie wskazując na brak cukru, oraz na ryby morskie, które są pokarmem, bardzo niechętnie spożywanym, gdyż żołnierze polscy nie są przyzwyczajeni do tej strawy. Płk. Herzbruch oświadczył, że sprawa cukru poniekąd została już pomyślnie załatwiona; w kwestii zaś ryb nic się zrobić nie da. Wobec tych odpowiedzi mówca obliczył, że na ostatnią dekadę marca wypadłoby dodać Legionom mniej więcej marek 12.000, ażeby wyrównać braki w żywieniu, specjalnie w kartoflach i tłuszczach.

Wydział Wykonawczy postanowił asygnować z kasy Rady Stanu tę sumę; gdy mówca zwrócił się jednak do Komendy Legionów, tam pieniędzy nie przyjęto, gdyż Legiony wkrótce wymaszerują z Królestwa. Wobec tego mówca uważa za wskazane wyjaśnić sprawę wyjścia Legionów z Królestwa z punktu widzenia techniczno-wojskowego.

Politycznej strony kwestii nie porusza, gdyż została ona już rozstrzygnięta przez przyjęcie odpowiedniej rezolucji na ostatnim posiedzeniu plenarnym.

Z punktu widzenia technicznego podkreśla jak najsilniej, że wycofanie Legionów z Królestwa Polskiego wywoła ogromną stratę czasu w formowaniu wojska. Dotychczasowa teoria wojenna odrzuciła budowanie wojska bez kadrów, uważając to za technicznie niemożliwe. Rosjanie swoją klęskę w wojnie japońskiej przypisywali zbyt małym kadrom; obecna wojna teorię tę jednak przywróciła, gdyż ma się do czynienia z wielkim aparatem ludzkim, z całymi korpusami, które są zbudowane bez kadrów; budowanie armii bez kadrów jest więc możliwe, z ogromną jednak stratą czasu; wobec tego niepodobna wyobrazić sobie, by bez kadrów legionowych można było szybko utworzyć armię polską. Następnie mówca podkreśla, że znaczenie kadrów polega też na tym, że przedstawiają one bardzo cenny materiał ludzki; jeżeli Legiony będą usunięte, to muszą się znaleźć jakie inne kadry dla tworzenia armii, któreby uczyły nowo-powoływany materiał ludzki; kadrami musiałby być materiał obcej narodowości, co z punktu widzenia technicznego niezmiernie przedłuża okres formowania wojska. Usunięcie Legionów, które są przygotowane do wchłonięcia w siebie dużej liczby nowo-zwerbowanych ochotników,

spowoduje ogromną stratę czasu; z punktu widzenia techniczno-wojskowego należy podkreślić inne jeszcze znaczenie Legionów, a mianowicie znaczenie tradycji dla wojska. Legiony wniosą do nowotworzącej się armii polskiej swoją tradycję bojową, to zapłodni nowe wojsko duchem Legionów, stanowić to może o wartości wojska [1]).

## 31. III. 1917

*Przemówienie poniższe zostało wygłoszone na dwunastym posiedzeniu plenarnym w dn. 31. III. 1917 r. Porządek dzienny posiedzenia w pkt. 2 przewidywał sprawozdanie Komisji Wojskowej. Po wygłoszeniu sprawozdania z prac Wydziału Wykonawczego zabrał głos J. Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski stwierdza, że prace Komisji Wojskowej w dalszym ciągu są w zawieszeniu, gdyż nic planowego robić nie można, bo się nie wie, jaka ma być rola Rady Stanu. Pracy realnej nie ma, sytuację zaciemnia jeszcze dziś zakomunikowana odpowiedź p. generał-gubernatora w kwestii współdziałania Rady Stanu przy pertraktacjach rządów niemieckiego i austro-węgierskiego w kwestii armii polskiej [2]). Ze spraw bieżących w Komisji Wojskowej referent zaznacza, że:

[1]) Po przemówieniu J. Piłsudskiego, zabrał głos A. Śliwiński, który zaznaczył, że «Plenum Rady Stanu powinno obecnie upoważnić Wydział Wykonawczy do asygnowania 12.000 mk. na potrzeby żywnościowe Legionów, wobec tego, że sytuacja może się zmienić, i Legiony, jak należy się spodziewać, pozostaną w kraju. Wydział Wykonawczy sumę tę może wyasygnować na własną odpowiedzialność». W związku z tym mówca stawia konkretny wniosek: «Tymczasowa Rada Stanu upoważnia Wydział Wykonawczy do asygnowania na potrzeby żywnościowe Legionów 12.000 mk. z funduszu ofiar na Wojsko Polskie». Wniosek ten został jednomyślnie uchwalony i sprawy wojskowe, przewidziane w porządku dziennym, wyczerpane.

[2]) Tymczasowa Rada Stanu zwróciła się pismem z dn. 17. III. do obu generał-gubernatorów (Beselera i Kuka) z prośbą o dopuszczenie przedstawiciela T. R. S. do rokowań, jakie miały prowadzić w sprawie wojska polskiego rządy austro-węgierski i niemiecki. Dn. 25. III. T. R. S. otrzymała od Beselera odpowiedź odmowną, umotywowaną tym, że tego rodzaju współdziałanie T. R. S. z obu rządami nie leży ani w granicach rozporządzenia o utworzeniu T. R. S. ani zatwierdzonego przez nie regulaminu. Poza tym dopuszczenie przedstawiciela T. R. S. do pertraktacyj uważa Beseler za niepotrzebne, gdyż i tak jest ona stale informowana o wszystkich zamiarach obu rządów w sprawie wojska, udział zaś delegata nie tylkoby rozwiązania tej sprawy nie przyspieszył, lecz opóźnił, ponieważ wprowadzanie kwestii natury politycznej, bądź partyjnej wniosłoby za sobą dalsze powikłania ze szkodą dla organizacji armii polskiej. Odpowiedź gen.-gub. lubelskiego Kuka była grzeczniejsza, lecz również odmowna. Odczytał ją bar. Konopka na posiedzeniu w dn. 6. IV. 1917 r.

1) napłynęło wiele statutów projektowanych Towarzystw, które chciałyby Radzie Stanu pomóc w dziedzinie prac wojskowych. Statutów tych zgłoszono wiele, kilka Towarzystw stawia sobie nieraz jedne i te same zadania, lub też zakres prac analogiczny i niedostatecznie rozgraniczony. Komisja postanowiła wobec tego wybrać specjalną Podkomisję [1]), któraby statuty te rozpatrywała i starała się zjednoczyć Towarzystwa o podobnym zakresie działania.

2) Dalej Komisja zajęła się likwidacją tych Towarzystw, których działalność mogła kolidować z Radą Stanu, więc np. likwidację Polskiego Skarbu Wojskowego przy Polskiej Organizacji Wojskowej wobec utworzenia Komitetu Ofiary Narodowej [2]). Referent osobiście był zdania, by skarb ten zlikwidować z dniem 15 kwietnia br., Komisja jednak termin ten uchyliła.

3) Napłynęło wiele skarg i spraw, związanych z zatargiem, istniejącym pomiędzy P. O. W. i Inspektoratami Werbunkowymi, zależnymi od obu pp. generał-gubernatorów [3]).

Wobec stałej nagonki na P. O. W. referent proponował rozwiązanie tego Stowarzyszenia, aby usunąć tarcia i różne podejrzenia; Komisja Wojskowa jednak wypowiedziała się przeciw temu i wybrała na razie specjalną Podkomisję, która ma się zwrócić do obu stron dla zbadania sprawy, dla złagodzenia tarć i powstrzymania wzajemnych nieporozumień. Wreszcie Komisja Wojskowa jednogłośnie przyjęła następujący wniosek p. Jankowskiego:

«Wobec ujawniających się coraz silniej rozbieżności w społeczeństwie polskim na tle nierozstrzygniętej sprawy wojska i wobec szkodliwości takiego stanu rzeczy dla sprawy polskiej w ogóle, a Wojska Polskiego w szczególności — Komisja Wojskowa przedkłada Tymczasowej Radzie Stanu nieodzowną konieczność doprowadzenia jak najszybszego sprawy tworzenia wojska do pomyślnego załatwienia».

---

[1]) Do Podkomisji tej weszli: Ludwik Górski, Andrzej Maj i Franciszek Radziwiłł.

[2]) Komitet Ofiary Narodowej powołany został do życia przez Wydział Wykonawczy T. R. S. z końcem marca 1917 r. W skład tego Komitetu weszło 12 osób: ks. Włodzimierz Czetwertyński (junior), ks. prał. Jan Gnatowski, ks. prał. Zygmunt Chełmicki, Aleksander Grobicki, Stefan Krzywoszewski, Stanisław Libicki, Wacławowa Niemojowska, Józef Piłsudski, ks. Eustachy Sapieha, Stanisław Staniszewski, Bronisław Szlubowski, Stanisław Wessl.

[3]) Tj. od gen. Beselera, gen.-gub. okupacji niemieckiej, i gen. Kuka, gen.-gub. okupacji austriackiej.

*Bezpośrednio po przemówieniu Piłsudskiego Kunowski odczytał następującą interpelację:*

*1) «Czy Komisji Wojskowej wiadomo, że Komisariaty Werbunkowe rozsyłają Biurom Werbunkowym cyrkularze, w których wskazują, że zadaniem patroli wojskowych ma być podkreślenie powagi i znaczenia Rady Stanu, zbieranie danych o działalności wrogiego Radzie Stanu obozu, badanie działalności księży, nauczycieli, wójtów i pisarzy gminnych?*

*2) Czy Komisji Wojskowej wiadomo, że Komisariaty Werbunkowe informują podległe im biura, że zgodnie z wolą Rady Stanu, werbunek zostanie powierzony osobom cywilnym, przez Komisariaty Werbunkowe Radzie Stanu wskazanym?*

*3) Czy Komisji Wojskowej wiadomo, że Biura Werbunkowe rozsyłają na piśmie sprawozdania z posiedzeń Rady Stanu i rozpowszechniają tendencyjnie przedstawione wnioski, przez członków Rady Stanu zgłoszone?*

*4) Czy Komisja Wojskowa przedsięwzięła, ewentualnie jakie środki przedsięwziąć zamierza, aby żołnierze polscy nie byli używani do posług policyjno-wywiadowczych, aby nie zajmowali się akcją polityczną i nie powoływali się w tej akcji na stanowisko Rady Stanu i to w sposób powadze Rady Stanu ubliżający»?*

Brygadier Piłsudski odpowiada, że co do ustępu pierwszego interpelacji, to sprawa jest mu znana, konkretnie wie o jednym z takich cyrkularzy; poza tym skarżyli się mu poszczególni oficerowie werbunkowi, że muszą wskazane w interpelacji dane zbierać; co do ustępu drugiego interpelacji, to również wie o jednym tego rodzaju fakcie; co do ustępu trzeciego, to zasadniczo nie rozumie, dlaczego interpelacja w tej sprawie jest skierowana do Komisji Wojskowej, skąd ona ma o tym wiedzieć? Mówca wie, że istnieją rozmaite niedyskrecje co do posiedzeń Rady Stanu, na tym tle wynikają nawet sprawy honorowe, wie np. o jednej takiej kwestii, wynikłej pomiędzy jednym z członków P. O. W. i oficerem werbunkowym, który jakoby ze słów jednego z członków Rady Stanu rozpowszechniał przekręcone wiadomości ze sprawozdania P. O. W., złożonego Radzie Stanu; co do ustępu 4. interpelacji, to sprawa ta była na Komisji Wojskowej podnoszona, ponieważ były również w tej sprawie skargi z całego kraju. Mówca był u płk. Szeptyckiego [1]) w tej sprawie, który oświadczył mu zupełnie kategorycznie, że Inspektoraty Werbunkowe zupełnie od niego nie zależą i nie ma żadnego wpływu na ich działal-

[1]) Płk Stanisław Szeptycki, ówczesny Kdt Legionów Polskich.

ność, jedynie tylko prawo dyscyplinarne w stosunku do oficerów. Na zapytanie, co to są Inspektoraty Werbunkowe [1]), od kogo zależą itd., żadnej odpowiedzi udzielić nie może, jest to sprawa niejasna; o ile prywatnie wie, są one zależne od obu generał-gubernatorów. Podobnie niejasna jest też sprawa zależności Departamentu Wojskowego od Naczelnego Komitetu Narodowego; jedynie pewnym jest oświadczenie Komendy Legionów, że od niej Inspektoraty Werbunkowe zależne nie są; będąc ogromnym przeciwnikiem politykowania żołnierzy, wystąpił z tym do płk. Sikorskiego, żadnej jednak odpowiedzi dotąd nie ma.

*Po wyczerpującej i burzliwej dyskusji w sprawie Inspektoratów Werbunkowych, w której zabierało głos szereg mówców zabrał ponownie głos Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski widzi w całym tym zatargu dwie strony: polityczną i wojskową; co do wojskowej, zgadza się zupełnie z ks. oficjałem Przeździeckim, zgadza się również na wydanie rozkazu. Ale, gdy chodzi o politykę, o wydawanie pism, to jest to sprawa zupełnie inna; jeżeli mowa o zgodzie, to nie będzie on nigdy przeciw niej, będzie do niej nakłaniał i to z zapomnieniem o bardzo poważnych różnicach i uchybieniach; ale jest tu i strona prawna; pod tym względem p. Grendyszyński ma rację. Istnieje Tymczasowa Rada Stanu i uważa się za rząd moralny, występowanie więc w jej imieniu może odbywać się tylko za wyraźnym jej zezwoleniem. Dotychczas występowanie to jest robione przez organy nieupełnomocnione, Rada Stanu nie upoważniła bowiem do takich wystąpień żadnej instytucji. Inspektoraty Werbunkowe istnieją, jako instytucje związane z wojskiem, ale do sprawy wojskowej jest powołana Rada Stanu. Twierdzenie, że Rada Stanu nie wydała żadnej odezwy w kwestii wojska, nie upoważnia nikogo poza nią do jej wydania. Postawiono tu pytanie, w jakim stosunku dziś stoi Departament Wojskowy do N. K. N., nie wiemy, czy Inspektoraty wojskowe są dalszym ciągiem Departamentu Wojskowego, więc słuszne jest pytanie; nie wiadomo, z kim Inspektoraty związane są prawnie; jeżeli rozpowszechniały one odezwę Rady Stanu, to nie było to robione na podstawie prawnej, lecz na podstawie osobistej znajomości z poszczególnymi oficerami; rozpowszechniają one poza tym i inne druki, które nie były wcale aprobowane przez Radę Stanu; szkoda, że nie ma na posiedzeniu p. Łempickiego, który

[1]) Pytanie to postawił członek T. R. S. Grendyszyński, korzystając z interpelacji, wniesionej przez Kunowskiego.

przy pomocy Inspektoratów zwoływał Zjazd, może od niego są Inspektoraty zależne? Byłoby to może i dobre, gdyż świadczyłoby o pośredniej zależności od Rady Stanu. Wyjaśnienie wszystkich poruszonych kwestyj jest obowiązkiem Rady Stanu [1]).

## 6. IV. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na trzynastym plenarnym posiedzeniu w dn. 6. IV. 1917 r. Posiedzenie to zostało poświęcone wyłącznie sprawie wojska i zajęcia stanowiska wobec deklaracji rządu rosyjskiego z dn. 30. III. 1917 r. Przed przejściem do porządku dziennego marsz. kor. Niemojowski prosi sekretarza T. R. S., A. Śliwińskiego, o odczytanie zasadniczej deklaracji [2]) T. R. S. Po dyskusji nad deklaracją [3]), Niemojowski przechodzi do 1 pktu obrad, odczytując trzy wnioski w tej materii [4]). Po ich odczytaniu zabrał głos bar. Konopka, prosząc o powtórne ich odczytanie, ponieważ miał przed sobą inny tekst. W odpowiedzi «Brygadier Piłsudski zaznacza, że przez pomyłkę rozdał inny tekst. Tekst dobry brzmi tak, jak go odczytał p. marszałek koronny. Po zarządzonym głosowaniu wnioski 1 i 2 przechodzą przy jednym sprzeciwie (Wł. Studnicki), wniosek 3-ci jednomyślnie. W dalszym ciągu głos zabrał J. Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski komunikuje, że członkowie Tymczasowej Rady Stanu w porozumieniu ze sobą postanowili, aby specjalna Komisja opracowała komunikat w kwestii wojskowej, gdyż dotychczas Tymczasowa Rada Stanu w kwestii wojska prasie nic nie komunikowała. Komisja postanowiła ograniczyć się do suchego wyliczenia faktów, nie wdając się w ich ocenę, i opracowała następujący komunikat:

*Komunikat w sprawie organizacji Wojska Polskiego.*

*1) Tymczasowa Rada Stanu w odezwie swej z dn. 15-go stycznia zapowiedziała, jako swą «radosną a pilną konieczność», tworzenie armii narodowej.*

*2) W dn. 16-go stycznia 1917 r. Polska Organizacja Wojskowa oddała Radzie Stanu «swe siły i krew» do rozporzą-*

[1]) W zakończeniu dyskusji, na wniosek St. Dzierzbickiego, przekazano sprawę wyjaśnienia stosunku Inspektoratów Werbunkowych do N. K. N. i T. R. S. Podkomisji, o której J. Piłsudski mówił w sprawozdaniu z prac Komisji Wojskowej.

[2]) Deklaracja ta została uchwalona na 10 nadzwyczajnym plenarnym posiedzeniu T. R. S. w dn. 19. III. 1917 r.

[3]) W dyskusji zabierał głos jedynie Wł. Studnicki, który zgłosił ze swej strony votum separatum.

[4]) Wnioski te zamieszczone są w 13 pkcie «Komunikatu w sprawie organizacji Wojska Polskiego» por. niżej.

*dzenia i wyraziła swą gotowość do wstąpienia w szeregi armii polskiej.*

*3) Na drugim posiedzeniu Tymczasowej Rady Stanu w dn. 17-go stycznia 1917 r. postanowiono w celu przyśpieszenia organizacji armii polskiej wybrać Komisję Wojskową, której poruczono: a) porozumienie się z władzami okupacyjnymi co do sposobu współdziałania Rady Stanu w sprawach wojskowych na zasadzie artykułu 7 Statutu Tymczasowej Rady Stanu, b) porozumienie się z Komendą Legionów jako kadrami wojska polskiego co do ich stanu i potrzeb, c) zaprojektowanie organizacji Departamentu Wojny w Radzie Stanu. Komisja, złożona z Marszałka Koronnego i sześciu członków Rady Stanu, na tymże posiedzeniu została wybrana.*

*4) Na posiedzeniu Tymczasowej Rady Stanu w dn. 30-go stycznia na żądanie władz okupacyjnych przy uchwalaniu regulaminu Rady Stanu, w stosunku do projektowanego Departamentu Wojny, zostało wprowadzone do regulaminu następujące zastrzeżenie: «organizacja Departamentu Wojny ulega zatwierdzeniu Naczelnego Komendanta Wojskowego Mocarstw Sprzymierzonych, upoważnionego do tworzenia Wojska Polskiego. Do czasu zaś zorganizowania tego Departamentu załatwia jego sprawy specjalna Komisja Wojskowa, wybrana przez Ogólne Zebranie Tymczasowej Rady Stanu.*

*5) Wobec powyższego Komisja Wojskowa wypracowała projekty: a) określenia kompetencyj Tymczasowej Rady Stanu przy tworzeniu Wojska, a mianowicie: uzupełnianie Wojska Polskiego, Polski Czerwony Krzyż, ożywienie polskiego przemysłu wojennego, opieka nad inwalidami, rodzinami żołnierzy, jeńcami wojennymi, organizowanie pomocy nad żołnierzami w polu, zakładanie stałych szkół wojskowych, popularyzowanie idei wojskowej i propaganda na rzecz Wojska Polskiego; b) organizacja Departamentu Wojny. Odpowiednio do tych kompetencyj został przedstawiony projekt organizacji Departamentu Wojny, zgodnie z ogólnym regulaminem Tymczasowej Rady Stanu, obejmującym pozostałe departamenty Tymczasowej Rady Stanu; c) organizacja i technika werbunku Wojska Polskiego. Według projektu cała organizacja werbunkowa do Wojska Polskiego ma podlegać Departamentowi Wojny Tymczasowej Rady Stanu. Komisarzom Tymczasowej Rady Stanu zastrzeżone zostało prawo udziału w Komisjach poborowych i obowiązek przyjmowania przysięgi, którą ochotnicy, uznani za zdolnych, składaliby na ich ręce; d) określenie zasad, przy zachowaniu których, zdaniem Tymczasowej Rady Stanu, możliwe byłoby utworzenie w krótkim czasie licz-*

*nej armii narodowej. Tymczasowa Rada Stanu uznała za konieczne, aby Legiony Polskie tworzyły kadry armii polskiej. Armia polska ma stanowić odrębną całość i może być użyta tylko do walki z Rosją na froncie wschodnim. Na czele poszczególnych armij, dywizyj i niższych jednostek wojskowych stać powinni Polacy. Wydatki, zaliczane na wojsko polskie, wchodzą w ewidencję Tymczasowej Rady Stanu, która je prowadzi w budżecie Państwa Polskiego.*

*Wreszcie Tymczasowa Rada Stanu uznała za konieczne powołanie do boku Głównodowodzącego stałego Komitetu Doradczego dla spraw Wojska Polskiego. W skład Komitetu powinni wchodzić, poza oficerami, delegowanymi przez państwa centralne, dwaj członkowie Tymczasowej Rady Stanu, Dyrektor Departamentu Wojny, jego delegat i dwóch oficerów polskich, wyznaczonych przez Naczelną Komendę Wojska Polskiego.*

*Zadaniem Komitetu Doradczego byłaby stała współpraca oraz współpraca w rzeczach organizacji wszystkich rodzajów broni Wojska Polskiego.*

*Projekt ten został uchwalony na 7 posiedzeniu Tymczasowej Rady Stanu w dn. 10-go lutego 1917 r. i doręczony równocześnie Komisarzom rządów okupacyjnych.*

*Do dnia dzisiejszego żadnej odpowiedzi na ten projekt Tymczasowa Rada Stanu nie otrzymała.*

*6) Wobec tego, iż po przyjęciu zasady, że kadrami Wojsk Polskich mają być Legiony, sprawa tworzenia Wojska Polskiego została ściśle związana z losami Legionów. Tymczasowa Rada Stanu postanowiła zwrócić się do obu monarchów z prośbą o możliwie szybkie przekazanie Legionów Państwu Polskiemu. Odpowiednią uchwałę powzięto na posiedzeniu Tymczasowej Rady Stanu w dn. 7-go lutego 1917 r. i postanowiono wysłać depesze w tej sprawie do cesarzy Niemiec i Austro-Węgier. Depesze te z przyczyn niezależnych od Tymczasowej Rady Stanu zostały wysłane dopiero około 9-go marca roku bieżącego.*

*7) Na posiedzeniu Tymczasowej Rady Stanu w dn. 10-go lutego przyjęto w zasadzie projekt odezwy w sprawie powołania ochotników do szeregów Wojska Polskiego. Odezwa ta nie mogła być wydana, wskutek nierozstrzygnięcia sprawy przejścia Legionów na służbę Państwa Polskiego oraz braku odpowiedzi na projekt, przedstawiony w dn. 10-go lutego, określający kompetencje Tymczasowej Rady Stanu w tworzeniu Wojska Polskiego i zabezpieczający charakter narodowy Armii, mającej być tworzoną.*

*8) Następne prace Komisji Wojskowej miały charakter prac przygotowawczych dla przyszłego Departamentu Wojny Tymczasowej Rady Stanu. Dążeniem Komisji Wojskowej było zespolenie pracy Tymczasowej Rady Stanu i wszelkiej inicjatywy społecznej i obywatelskiej w sprawie tak wielkiej i ważnej, jak tworzenie Armii Narodowej.*

*9) Dn. 17-go marca Tymczasowa Rada Stanu zrobiła jeszcze jeden krok, wskazujący na chęć współudziału w sprawie tworzenie Armii Polskiej i szybkiego realizowania, mianowicie — przez Departament Spraw Politycznych — zwróciła się do obu pp. Generał-Gubernatorów z propozycją dopuszczenia przedstawicieli Tymczasowej Rady Stanu do rokowań, toczących się między rządami cesarsko-niemieckim i c. i k. austro-węgierskim w sprawie Wojska Polskiego. Propozycja ta spotkała się z kategoryczną odmową ze strony władz okupacyjnych niemieckich dn. 25-go marca roku bieżącego.*

*10) Wyjątkowe położenie Legionów nieraz było przedmiotem dyskusji i interpelacji, zarówno w Komisji Wojskowej, jak i na posiedzeniach Tymczasowej Rady Stanu. Specjalnie omawiano sprawę ujemnego stanu wyżywienia Legionów w porównaniu z żołnierzami armii austriackiej i niemieckiej, Legiony bowiem otrzymują żołd podług norm austriackich, niższych od niemieckich (dla żołnierzy o połowę niższy, dla podoficerów ²/₃), a pożywienie według norm niemieckich, niższych znacznie od norm austriackich. Tymczasowa Rada Stanu wszczęła starania u przedstawicieli obu armij w celu wyrównania tych stosunków i osiągnęła tylko nieznaczne polepszenie i wyasygnowała ze specjalnych funduszów, składanych do jej dyspozycji, 12.000 marek na ostatnią dekadę miesiąca marca.*

*11) W dn. 21-go marca na posiedzeniu Tymczasowej Rady Stanu na wniosek Komisarzy obu rządów zmieniony został § 25 Regulaminu Tymczasowej Rady Stanu, który w nowej redakcji brzmi, jak następuje: «Organizacja Departamentu Wojny ulega zatwierdzeniu Generała Gubernatora warszawskiego, upoważnionego przez monarchów Sprzymierzonych do tworzenia Wojska Polskiego».*

*12) Tymczasowa Rada Stanu przez cały czas swego istnienia poruszała rozmaite sprężyny, aby Legiony przeszły na służbę Państwa Polskiego i aby tworzenie armii z zachowaniem jej charakteru narodowego w jak najkrótszym czasie zostało podjęte. Gdy wszystkie starania nie dały rezultatu, Rada Stanu dn. 19-go marca powzięła uchwałę treści następującej:*

*«Akt 5-go listopada proklamował niepodległe Państwo Polskie. Do budowy tego Państwa i tworzenia armii narodo-*

*wej polskiej powołana została Tymczasowa Rada Stanu. Uroczyste zapewnienia przedstawicieli obu Mocarstw Sprzymierzonych wskazały na Legiony, jako na kadry Armii Polskiej. Takie oświadczenie odpowiadało pragnieniom i pojęciom Narodu Polskiego.*

*«Zasady te podała Tymczasowa Rada Stanu do wiadomości ogółu w swej odezwie i tym samym przyjęła na siebie wyraźne zobowiązanie wobec całego społeczeństwa.*

*Tymczasem w ostatniej chwili rozeszły się wiadomości jakoby Legiony Polskie nie miały być w całości swej kadrami Armii Polskiej. Stwierdzamy, że wiadomość ta do głębi poruszyła i zatrwożyła całe społeczeństwo.*

*«Wobec tego uważamy za swój obowiązek, że w razie usunięcia Legionów z kraju i pozbawienia ich charakteru kadrów przyszłej Armii, oraz w ogóle w razie, jeżeli tworzenie Armii Polskiej w myśl postulatów Tymczasowej Rady Stanu w najbliższym czasie do skutku doprowadzone nie będzie — Tymczasowa Rada Stanu traci rację bytu, gdyż będzie pozbawiona możności budowy Państwa Polskiego, tj. spełnienia zadania, do którego została powołana.*

*W tym wypadku członkowie Tymczasowej Rady Stanu w poczuciu przyjętej na siebie wobec całego narodu odpowiedzialności będą zmuszeni ustąpić ze swych stanowisk».*

*Legiony pozostały w kraju. Tymczasowa Rada Stanu stoi w dalszym ciągu niezłomnie na gruncie deklaracji z dn. 19-go marca i oczekuje ze strony władz okupacyjnych oświadczeń, decydujących o ich trwałym zamiarze realizacji Państwa Polskiego, w szczególności tworzenia armii.*

*13) Wreszcie w dn. 6-go kwietnia 1917 r.:*

*a) Tymczasowa Rada Stanu, stojąc na stanowisku deklaracji z dn. 1-go marca r. b., a zatem uznając konieczność pozostawienia Legionów w całkowitym obecnym składzie, jako kadrów do formowania Wojska Polskiego, postanowiła wysłać delegację do rządów Niemiec i Austro-Węgier dla postawienia postulatów wojskowych i ogólno-politycznych.*

*b) Tymczasowa Rada Stanu, stojąc na stanowisku opracowanych przez siebie projektów organizacji Wojska Polskiego, złożonych p. Generał-Gubernatorowi, prosi o rychłe udzielenie na nie odpowiedzi.*

*c) Tymczasowa Rada Stanu poleca Komisji Wojskowej wszcząć natychmiast pertraktacje z Ekscelencją Beselerem lub wyznaczonymi przez niego referentami w sprawie przygotowawczych ćwiczeń wszystkich ochotników Wojska Pol-*

*skiego. Koniecznym warunkiem tych ćwiczeń ma być kierownictwo nimi przez oficerów legionowych, wyznaczonych ku temu przez dowództwo Wojska Polskiego* [1]).

## 13. IV. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na czternastym posiedzeniu w dn. 13. IV. 1917 r. Na porządku dziennym była sprawa wprowadzenia przez Niemców nowej waluty pod postacią marki polskiej oraz zniesieniem pieniądza rosyjskiego jako środka płatniczego.*

Brygadier Piłsudski wyraża zdanie, że sprawa jest bardzo skomplikowana; nie wchodzi w meritum sprawy, gdyż nie o meritum tu chodzi; w zasadzie jest on za rozporządzeniem, gdyż tak dzikich warunków walutowych, jak u nas obecnie, nikt nie widział; mamy w kraju trzy waluty [2]), które tańczą kontredansa; nikt w obecnych warunkach nie wie, czego się trzymać, wszelkie więc próby wprowadzenia jednolitości są pożądane. Co do kar, są one dość oryginalne, np. kupiwszy coś

---

[1]) Po odczytaniu przez Piłsudskiego komunikatu, zabrał głos hr. Lerchenfeld jako Komisarz rządu niemieckiego i zaznaczył, że komisarze: «1. muszą mieć komunikat, aby móc się w nim rozpatrzeć, 2. ponieważ zaś jest bardzo ważny, muszą go dobrze rozważyć. Nie można też przewidzieć, jakie komisarze zajmą stanowisko i czy ogłoszenie komunikatu będzie możliwe; sprawa może ulec pewnej zwłoce. Byłoby też wskazane, by zamiast zwoływać nowe plenum w tej sprawie, wybrać obecnie komisję i upoważnić ją do ewentualnego wprowadzenia pewnych zmian w komunikacie». W odpowiedzi «Brygadier Piłsudski uważa propozycję hr. Lerchenfelda za słuszną i proponuje powierzenie wprowadzenia ewentualnych zmian do komunikatu Sekretariatowi».

W sprawie 9 pktu komunikatu zabrał również głos bar. Konopka, który sprostował, że T. R. S. nie otrzymała jeszcze na swe pismo do gen.-gub. Kuka żadnej odpowiedzi i że odpowiedź tę w tym dniu właśnie otrzymał. Odpowiedź ta podpisana przez gen.-gub. Kuka, datowana w Lublinie 2. IV. 1917 r., odczytana została przez Iszkowskiego i jak wyżej wspomniano, zawierała grzeczną odmowę.

Po zarządzonej przerwie wywiązała się dyskusja na temat opublikowania komunikatu. Wobec otrzymanych przez komisarzy informacyj, że sprawa przekazania Legionów Polskich Królestwu Polskiemu została załatwiona pozytywnie, radzą oni nie publikować komunikatu, gdyż publikowanie takich komunikatów, «mogących wywołać nastrój pesymistyczny w społeczeństwie nie jest wskazane».

W sprawie tej zgodzono się ostatecznie na propozycję Grendyszyńskiego, «aby w pismach natychmiast umieścić choć kilkunastowierszową wzmiankę o posiedzeniu».

[2]) Mowa o walucie rosyjskiej, niemieckiej i austriackiej.

za 50 kopiejek, można zapłacić kary marek 100.000. Zgadza się ze zdaniem Dyrektora Departamentu Skarbu, że nowa waluta napotka bierny opór ludności, że szczególnie u ludności wiejskiej spotka się ona z niechęcią, jako coś nowego, a wszak jednym z pierwszych warunków powodzenia reform finansowych jest kwestia zaufania. Osobiście wątpi, czy przewidziane kary zaufanie to wzbudzą: są to środki za słabe, szczególnie dla ludności, przyzwyczajonej do konspiracji i ukrywania. Tą drogą kwestie finansowe nie dadzą się rozwinąć; metody władz okupacyjnych wzbudzania zaufania są niezmiernie dziwne. Współdziałanie to, «Mitwirken», potem sprowadzono do «Mitsprechen», i to pomiędzy sobą, mianowicie przy tym zielonym stole, przy którym siedzimy. W zasadzie nie ma nic przeciwko temu, aby kary nawet podwyższyć do 6 lat więzienia i marek 150.000 grzywny, ale chodzi o to, by kary osiągały skutek, a prawo Rady Stanu do «Mitwirken», współdziałania, nie stało się frazesem. P. von Conrad[1]) długo przedstawiał Radzie Stanu, że prawa Rady Nadzorczej («Beiratu») w Kasie Pożyczkowej są ważniejsze niż Komisarzy przy niej, którzy mają decydować, i że przewodniczącym w Radzie Nadzorczej ma być członek Rady Stanu. Nie zasiadał on nigdy w radach bankowych, jednak nie słyszał, żeby Rada była czynnikiem decydującym: widać i w tym wypadku, że sprawa «współdziałania» zmienia się na «współradzenie». Tego rodzaju metody nie mogą trafić do przekonania ludności i mogą dać smutne wyniki. Brak zaufania do władz da się usunąć tylko wtedy, gdy rzeczywiście słowo «Mitwirken» stanie się rzeczą realną. Skutkiem projektowanego rozporządzena walutowego będzie, że rubel będzie rublem, a okupanci zostaną przy polskich markach, ludność ich brać nie zechce; w kraju zapanuje samowola administracji; zaczną się masowe wypadki delatorstwa i donosicielstwa i będą demoralizować życie. Rozporządzenie może w Warszawie, pod wpływem przerażenia ludności wobec wysokich kar i wobec bliskości władz okupacyjnych, wywołać efekty czasowe, ale nie będzie tego na prowincji, gdyż w ogóle nie ma władzy, która mogłaby systematycznie karać ludność za drobiazgi; wszelkie kary będą bezcelowe. Bezskutecznie już nieraz staraliśmy się przekonać władze w sprawie «Mitwirken», obecnie należy wyciągnąć konsekwencje, przedstawić swą opinię i przejść do porządku dziennego nad całą sprawą.

---

[1]) Von Conrad — rzeczoznawca dla spraw walutowych ze strony rządu niemieckiego; ze strony rządu austro-węgierskiego występował w tym charakterze ppor. Lewakowski.

*Po dalszej dyskusji nad tą sprawą i po objęciu przewodnictwa przez wice-marsz. Mikułowskiego-Pomorskiego przystąpiono do następnego (3) punktu obrad, do spraw wojskowych.*

Brygadier Piłsudski podkreśla, że Rada Stanu ma do czynienia obecnie z bardzo ważną sprawą, ma do czynienia z pierwszym ustąpieniem przez «beati possidentes» z ich stanu posiadania, gdyż cesarz austro-węgierski zrzeka się na rzecz Państwa Polskiego części wojska austro-węgierskiego — Legionów [1]). Dalej, Rada Stanu pierwszy raz staje przed potrzebą wydania rozkazu do ludności; dotąd bowiem ludność była pilnie od Rady Stanu strzeżona. Chwila jest ważna, należy ją wyzyskać, należy przedstawić zdanie Rady Stanu jako obowiązek wszystkich. Dotychczas Rada Stanu stawiała na kartę osobiste stanowisko swych członków; dziś chcemy, by ludność siebie postawiła na kartę. Przystępuje jednak do wydania rozkazu z pewną obawą, gdyż wymagać się będzie od ludzi decyzji trudnej; poza tym, osobiście, jako żołnierz, ma strach przed decyzją wielogłową, ponieważ jednak chwila jest bardzo ważna i decyzja powzięta być musi — «hic Rodus, hic salta».

Przy konkluzji należy pamiętać, że Rada Stanu nie jest decydującym czynnikiem w tej sprawie — czynnikiem tym jest Ekscelencja Beseler [2]); czując się żołnierzem, musi uznać prawo komendy wojskowej do rzeczy, które są jej powierzone. Dowiedział się, że dopiero w przyszłym tygodniu ma być określony sposób współdziałania Rady Stanu w sprawach wojska, wtedy dopiero będzie można mówić o planie samej roboty, przy tym osobiście nie chce decyzji, która mogłaby spowodować jakiekolwiek starcia z komendą wojskową już w pierwszych działaniach; dyskusję wobec tego należy dziś ograniczyć tylko do ogólników i żadnych postanowień nie przedsiębrać; gdy się przygląda niektórym metodom działania władz okupacyjnych, które np. uwydatnione zostały w dyskusji nad poprzednią sprawą, ma duże obawy, by te metody nie zostały przeniesione i na sprawy wojskowe, wobec czego cała sprawa mogłaby się nie udać. Rada Stanu powinna zachować autorytet w stosunku do ludności; nie będzie chodzić o to, by decydować w sprawach wojska, lecz by być pośrednikiem pomiędzy decy-

[1]) Legiony Polskie zostały przekazane przez Austrię Tymcz. Radzie Stanu w dn. 10. IV. 1917 r.

[2]) Na mocy umowy, zawartej między mocarstwami centralnymi tworzenie wojska polskiego zostało powierzone gen.-gub. von Beselerowi, który do czasu ustanowienia głowy państwa polskiego spełnia czynności wodza naczelnego.

zjami władz okupacyjnych a żądaniami społeczeństwa w sprawach wojskowych.

W dyskusji u Generał-Gubernatora Beselera została poruszona sprawa, że wojsko zostało oddane gen. Beselerowi bez zastrzeżeń co do stosunku do Państwa Polskiego i instytucji polskiej. Osobiście uważa, że z chwilą, gdy wojsko nie jest ani niemieckie, ani austriackie — jest polskie. Niewątpliwie wyznaczenie takiego lub innego komendanta może być przykre — może być tym przykrzejsze, o ile pochodzenie komendanta nie jest związane z Polską; osobiście przeżył już czterech komendantów, z których jeden był Rusinem, dwóch prawie nie mówiło po polsku, a pomimo to wojsko zostało polskie [1]). Zapewne inna narodowość komendanta będzie przeszkodą psychologiczną, ale w całej sytuacji jest poprawa natury prawnej, wojsko jest polskie i z tego osobiście wyprowadza konsekwencje. Dawniej za wojskiem stał N. K. N., teraz Tymczasowa Rada Stanu Królestwa Polskiego; zwracając się do ludności Królestwa, trzeba wszystkie plusy dzisiejszej sytuacji wyzyskać, trzeba podkreślić, że prawnie wojsko stało się polskie, że autorytet polskości Rady Stanu jest większy niż N. K. N.

W całej sprawie są jednak i minusy; przy pomocy armii austriackiej, przy pomocy wojska można było rozporządzić oficerami-Polakami, mówiącymi po polsku, choć zależnymi od obcego państwa; teraz są w kraju władze niemieckie, które nie są lubiane, a oficerów-Polaków bardzo mało; dalszym minusem jest ogólne zmęczenie wojną: nikt do wojska nie tęskni, wszyscy chcą pokoju, rozentuzjazmować ludności się nie uda: również minusem jest to, że pożądania polskie silnie wzrosły po akcie 5-go listopada i idą w górę, a ciągle spotykają się z rozczarowaniem. Osobiście na siebie tej winy wzrostu pożądań społeczeństwa nie bierze; społeczeństwo chciałoby mieć w Radzie Stanu rząd polski i obecnie jest rozczarowane w tej kwestii, jak i w stosunku do aktu 5-go listopada, tym bardziej, gdy obecnie wystąpiły w sprawie polskiej Rosja [2]) i Ameryka [3]).

Gdy brać w rachubę wszystkie te plusy i minusy, to minusy są większe, plusy bowiem są natury prawnej, a kto u nas w Polsce żyje prawnie, kto rozumie się na prawie? Są to rzeczy

---

[1]) Mowa o komendantach Legionów, którymi kolejno byli: gen. Baczyński, gen. Trzaska-Durski, gen. Puchalski, płk. Szeptycki.

[2]) Mowa o deklaracji Tymcz. Rządu rosyjskiego hr. Lwowa w sprawie niepodległości Polski ogłoszonej w dn. 30. III. 1917 r.

[3]) Mowa o orędziu prezydenta St. Zjednoczonych z dn. 22. I. 1917 r., w którym Woodrow Wilson stwierdził, iż w wyniku wojny musi powstać Polska «zjednoczona, samodzielna i niepodległa».

gabinetowe; minusy są natury życiowej; wobec tego sytuację ocenia pesymistycznie. Poprzednia dwuletnia praca dała — bez względu na to, kto temu jest winien — rezultat zły; przy legalnym werbunku w okupacji austriackiej do wojska szło ludzi mało, i to element wcale nie najlepszy: głodomory i ludzie wątpliwej moralności. Z drugiej strony — budowała się inna akcja bez podstawy prawnej, lecz na gruncie ideowym, dopasowująca się do dziwolągów polskiego życia: budowało się P. O. W. Dziś, jeżeli Niemcy odziedziczą po Austriakach system werbunku, będą mieli te same rezultaty, będą mieli lumpów, głodomorów i ludzi naiwnych; sednem rzeczy zawsze jest, czy się coś udaje, czy nie i dlaczego się udaje lub nie. Ludzie są bezrozumni, nieraz udają się najgłupsze rzeczy, lecz chodzi tu o udanie się sprawy, a pracy prowadzonej na dawnej podstawie nie można przepowiadać dobrego rezultatu. Chodzi o to, jakie ma być współdziałanie Tymczasowej Rady Stanu, «Mitwirken» z władzami okupacyjnymi, czy to ma być tylko współmowa — «Mitsprechen»?

Prorokiem być nie chce; przewidywał, że Rada Stanu będzie mogła liczyć tylko na P. O. W. i swój rozkaz do niej; P. O. W. jest odpowiednio wychowana, rozkazu usłucha, rozkazu tego czeka. P. O. W. liczy około 15 tysięcy ludzi, jest to jednak organizacja, rozsypana po całym kraju i to w małych grupkach, po 10, 15—20 osób. Warszawa i Łódź są jedynie wyjątkiem. Mobilizacja P. O. W. musi nosić wskutek tego przeciągły charakter. Trzeba się też liczyć z psychologią ludzi: w Polsce nikt nikomu nie ufa — trzeba nieufność przełamać. Tymczasowa Rada Stanu nie potrafiła dotąd wzbudzić ufności, wobec tego dla powodzenia sprawy należy, by agitacją zajęli się ci, do których ludność ma zaufanie. W ciągu ostatnich paru tygodni P. O. W. była bardzo prześladowana, wydawano przeciwko niej masę broszur, wypowiadano masę podejrzeń itd. Szczególnie robił to aparat werbunkowy; to było jego obowiązkiem, a jest rzeczą obojętną, czy robiono to z ochoty, czy z nakazu; jest to faktem i ten miesiąc walki wpłynie hamująco na werbunek; rzeczy są nagłe i należy wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Taki jest stan obecny P. O. W.; chodzi o to, czy, wydając rozkaz, osiągniemy skutek, czy nie będziemy skompromitowani. Włączając Warszawę z okolicami, można liczyć na zwerbowanie trzech tysięcy ludzi w całym kraju przy dotychczasowym systemie werbunkowym; przy lepszych warunkach werbunkowych i przy pewnym wysiłku cyfrę tę będzie można powiększyć o dwa tysiące ludzi, czyli doprowadzić do 5 ty-

sięcy. Przy stosowaniu metody innej, przy przełamywaniu uprzedzeń przez P. O. W., licząc na pomoc własnych ludzi, przy werbunku podług obliczenia, jaki robił z Komendantem P. O. W., przy trwaniu mobilizacji przez dwa tygodnie, można liczyć na 15—20 tysięcy ludzi. Poprzednio liczył na znacznie większą cyfrę, lecz przy dzisiejszej psychice na więcej liczyć nie można; jeżeli więc do cyfry tej dodać to, co może osiągnąć werbunek dzisiejszy, tj. 5 tysięcy — otrzymamy w najlepszym wypadku 25.000.

Co się tyczy odezwy werbunkowej, to nie chodzi o to, czy ją wydać, lecz tylko o to, czy mamy się kompromitować w razie, gdy nie odniesie ona rezultatu, czy nie. Osobiście jest zwolennikiem wydania odezwy — niech wrzód pęknie i niech pokaże się, czym jesteśmy. Odezwa musi jednak nosić zupełnie inny charakter, niż poprzednio projektowana, musi przynajmniej w pewnym stopniu mówić prawdę o ciężkich warunkach decyzji każdego przy wstępowaniu do wojska dzisiaj; nie należy bawić się w frazesy, które są tyle warte, co złamany szeląg; odwołać się należy do poczucia obowiązku, należy wykazać, że dusza się chwieje przy powzięciu tej decyzji; nie możemy dziś pisać weksli w powietrzu, lecz musimy wskazać na trudne warunki, w jakich znajduje się Ojczyzna. Gdy ludzie odczują prawdę w odezwie, to wzbudzi w nich szacunek dla ludzi, którzy ją wydali; tylko taka odezwa, która nie będzie ukrywać rzeczywistego stan urzeczy, nie będzie kpiła z tego wahania, jakie jest w kraju, — tylko taka znajdzie posłuch; należy mówić do cywilów tak, jak się mówi do żołnierzy, i użyć ostrej formy rozkazu; należy wziąć pod uwagę, że ludzie są słabi, mają wahania, ale pomimo to wydać rozkaz; musi to podnieść wartość Rady Stanu, gdyż nie będzie to polityka strusia, chowającego głowę w piasek wobec niebezpieczeństwa. Mówca widział projekt odezwy Departamentu spraw politycznych; zdaniem jego nie odpowiada on potrzebie; dla osiągnięcia wskazanych w odezwie celów należy wybrać drogę rozkazu i żądać od ludzi decyzji. Co się tyczy praktycznego przeprowadzenia sprawy, to nie ma co do tego gotowego projektu; mógłby go przedstawić według swoich zapatrywań, ale rozumie, że Rada Stanu nie jest decydującym czynnikiem, dlatego należy wyczekiwać odpowiedzi eksc. Beselera co do postulatów współdziałania Rady Stanu. Wszystko, co powiedział, jest oparte na obiektywnej ocenie sytuacji. Ocena ta jest pesymistyczna, ale przemawiająca do ludzi, którzy mają powziąć decyzję; uważa za konieczne zupełnie obiektywne przedstawianie faktów, aby na ich podstawie powziąć decyzję. Autorytet Rady

Stanu jest bardzo poderwany w kraju, samym autorytetem Rady Stanu nie da się ratować sytuacji.

*Na pytanie Stolarskiego «czy Rada Stanu postanowiła utworzyć Departament Wojny i jak ta sprawa stoi» oraz Dzierzbickiego, «jak stoi sprawa jeńców Polaków»:*

Brygadier Piłsudski odpowiada, że oczekuje odpowiedzi w kwestii Departamentu Wojny od gen. Beselera; sprawa jeńców jest w początkowym stadium pertraktacyj; zgłosiło się na ogół 350 oficerów i wielu żołnierzy, ale materiał ten jest pod względem wojskowym bardzo trudny do przerobienia.

*W dyskusji nad przemówieniem J. Piłsudskiego zabrał głos W. Rostworowski, polemizując ze stanowiskiem referenta Komisji Wojskowej i opowiadając się za natychmiastowym ogłoszeniem odezwy werbunkowej. Odpowiada mu Piłsudski:*

Hrabia Rostworowski walczy z wiatrakami, gdyż on mówił tylko, że nie może przedstawić projektów współudziału Rady Stanu w organizacji wojska, gdyż nie jest znane stanowisko gen. Beselera, ale nie wypowiedział się przeciw odezwie.

*Na wniosek Bukowieckiego «by Komisja Wojskowa możliwie szybko przystąpiła do pertraktacji w kwestii określenia współdziałania Rady Stanu w sprawach wojskowych».*

Brygadier Piłsudski zaznacza, że do tej ostatniej sprawy trzeba będzie przystąpić po otrzymaniu odpowiedzi od p. Generał-Gubernatora, która ma nastąpić w przyszłym tygodniu.

## 21. IV. 1917

*Na piętnastym posiedzeniu plenarnym T. R. S. w dn. 21. IV. 1917 r. rozpatrywana była sprawa budżetu i wojska. W tej ostatniej sprawie zabiera głos hr. Lerchenfeld, który oświadczył, że w imieniu Beselera przybył specjalny delegat mjr. Meier, który przyniósł odpowiedź gen.-gubernatora na memoriał T. R. S., złożony w dn. 10. II. 1917 r. Po odczytaniu tej odpowiedzi hr. Lerchenfeld ze swej strony złożył oświadczenie*[1]*. Po wyjaśnieniu, że oświadczenie to na-*

[1]) Oświadczenie to brzmiało:

1) «Zamiana Komisji Wojskowej na silniejszy organizm w postaci Departamentu Wojny jest przewidziana. Szczegóły umowy muszą być z Radą Stanu omówione; 2) periodyczne zebrania Komisji Wojskowej, ewentualnie Departamentu Wojny, będą zwoływane przez Generał-Gubernatora, by Tymczasowa Rada Stanu mogła otrzymywać stałe informacje o postępach i bliższych szczegółach tworzenia wojska; 3) co się tyczy techniki werbunku, to działalność Rady Stanu w kierunku wpływania na ludność nie jest w niczym ograniczona, przeciwnie, w jak najszerszej mierze powinna być stosowana i uroczysty udział duchowień-

*leży traktować łącznie z odpowiedzią Beselera, Artur Śliwiński zaproponował, by wobec wagi sprawy, dodatkowe oświadczenie komisarza ustalone zostało na piśmie. W związku z tym:*

Brygadier Piłsudski prosi, by mógł być obecny jako fachowiec podczas ustalania przez Śliwińskiego i hr. Lerchenfelda punktów tego oświadczenia.

*Po przerwie marsz. kor. W. Niemojowski otworzył dalszy ciąg posiedzenia i oznajmił, że większość członków T. R. S. po porozumieniu się między sobą pod represją warunków postanowiła wydać odezwę werbunkową i poddał tę decyzję pod głosowanie*[1]*). Józef Piłsudski wstrzymał się od głosowania i dla motywacji swego kroku zabrał głos:*

Brygadier Piłsudski zabiera głos w celu umotywowania swego wstrzymania się przy głosowaniu oraz oświadcza, że 1) z jednej strony — wobec przywiązania, jakie ma do wojska, i konieczności jego tworzenia musiałby się wypowiedzieć za wojskiem; 2) ponieważ jednak każda armia musi posiadać nie tylko żołnierza, ale i własny rząd, w danym zaś wypadku żołnierz jest, ale nie ma rządu — nie mógłby więc głosować za wydaniem odezwy; wobec tego musiał się wstrzymać od głosowania. Większości się jednak poddaje i prosi Marszałka Koronnego o pozwolenie wstąpienia do wojska.

*Po przemówieniu Piłsudskiego marsz. kor. Niemojowski zwrócił uwagę, że w sprawie wstąpienia do wojska Józef Piłsudski powinien się zwrócić do plenum. W odpowiedzi:*

Brygadier Piłsudski zaznacza, że właśnie zwraca się obecnie do plenum za pośrednictwem p. Marszałka Koronnego.

---

stwa i Rady Stanu przy składaniu przysięgi jest bardzo pożądany; 4) mieszkańcy obszarów polskich, należących przedtem do Rosji, a nie w hodzących obecnie do obu Generał-Gubernatorstw, mogą wstępować do Wojska Polskiego; 5) założenie szkół techniczno-wojskowych zależne jest od werbunku, gdyż dopiero wówczas, zależnie od liczby i kwalifikacyj ochotników, można będzie rozstrzygnąć tę kwestię; 6) Czerwony Krzyż, którego utworzenie poruszone było przez Radę Stanu, przez Generał-Gubernatorstwo będzie popierany. Co się tyczy okupacji austriackiej, to jej reprezentant już oświadczył, że to stowarzyszenie będzie przez austriacki zarząd wojskowy popierane, które zaleci Rada Stanu; 7) Generał-Gubernator jest gotów we wszelki sposób popierać utworzenie własnego duszpasterstwa polowego; 8) wykształcenie militarne młodzieży może być traktowane w szkołach jako część ogólnego wychowania młodzieży».

[1]) W głosowaniu za wydaniem odezwy padło 19 głosów, przeciw 2 głosy (Jankowski, Janicki), przy 3 wstrzymujących się (J. Piłsudski, ks. Sztobryń i W. Niemojowski).

## 26. IV. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na posiedzeniu poufnym 26 kwietnia 1917 r. Na tym posiedzeniu Śliwiński odczytał wniosek co do sposobu wyjścia z wynikłej sytuacji politycznej:*

*«Zważywszy, że Tymczasowa Rada Stanu Królestwa Polskiego nie może w dotychczasowych warunkach realizować aktu 5 listopada, że chcąc z pożytkiem dla kraju egzystować dalej musi wykazać społeczeństwu możność budowania w porozumieniu z mocarstwami centralnymi państwa polskiego przez stwarzanie faktów, nie pozwalających wątpić w powstawanie niepodległej Polski, —*

*zważywszy, że Tymczasowa Rada Stanu, nie mogąc wywierać żadnego wpływu na bieg życia w kraju, traci oparcie we własnym społeczeństwie i zamiast usuwać społeczeństwo nurtujące uprzedzenia i wątpliwości, pogłębia tylko szerzące się niezadowolenie, —*

*zważywszy, że szerokie koła ludności ogarnia wrzenie umysłów i coraz większy niepokój, grożący nieobliczalnymi następstwami, których rozmiarów nawet określić dzisiaj niepodobna, —*

*zważywszy na wielką odpowiedzialność przed własnym narodem, zawiedzionym w nadziejach, pokładanych w Tymczasowej Radzie Stanu, —*

*i zdając sobie sprawę, że do współpracy nad budową państwa polskiego powołać należy wszystkie do pracy państwowej zdolne czynniki —*

*plenarne posiedzenie w dniu 26 kwietnia uchwala:*

*1) przystąpić do niezwłocznej reorganizacji Tymczasowej Rady Stanu przez powiększenie jej składu do liczby 50 osób i zamianę jej na stały organ państwowy,*

*2) wybrać 5 delegatów, którzy niezwłocznie udadzą się do Berlina i Wiednia, by przedstawić sferom miarodajnym konieczność natychmiastowego utworzenia rządu polskiego, z ministrami Polakami przez zreorganizowaną Radę Stanu mianowanymi, a stanowiącymi Radę Ministrów.*

*Rada Stanu wybiera komisję, która najdalej w ciągu trzech dni opracuje dla delegacji, udającej się do Berlina i Wiednia:*

*a) program przejmowania przez rząd polski władzy w kraju;*

*b) zasady wzajemnego stosunku zreorganizowanej Rady Stanu, rządu polskiego i władz okupacyjnych.*

*W pracy swej komisja winna uwzględnić wszelkie konieczności wojenne.*

*Rada Stanu wybiera komisję dla przedstawienia w ciągu tygodnia planu reorganizacji Rady Stanu i zaproponowania plenarnemu zebraniu listy kandydatów, mających skład Rady Stanu uzupełnić».*

*Po odczytaniu tego wniosku wywiązała się dyskusja nad niemożnością trwania Tymczasowej Rady Stanu w do-*

*tychczasowych warunkach, nad ewentualnym zawieszeniem czynności, a nawet i całkowitym jej rozwiązaniem. Przeważnie wypowiadano się za powiększeniem ilości członków Rady Stanu oraz za powołaniem regenta.*

*Głos w dyskusji zabierali: Bukowiecki, Janicki, Dzierzbicki, ks. Przeździecki, Mikułowski-Pomorski, Studnicki i Natanson. Po tym ostatnim przemawiał J. Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski zgadza się zasadniczo z p. Studnickim, że najważniejsze sprawy Rady Stanu — to sprawy wojska. Wdzięczny jest ks. oficjałowi Przeździeckiemu, że obecnie cofa swój głos za odezwą werbunkową i chce reasumpcji odnośnej uchwały. Zwraca uwagę, że we wszystkich sprawach sami nie jesteśmy czynnikiem decydującym; są możliwe wobec tego dla Rady Stanu dwie drogi: albo przystosować się do własnego społeczeństwa albo do okupantów, trzeba wybierać; osobiście nigdy nie obawiał się własnego społeczeństwa; wie, że jest ono słabe, daje się łamać, przystosowuje się do silniejszego, ale silny musi mieć możność oddziaływania; osobiście wybiera przystosowanie się do społeczeństwa; uważa, że społeczeństwu nie grozi zbliżenie się do Rosji, nie grozi mu także wejście na drogę rewolucyjną; wie, jak wygląda rewolucja, ale to, co się dzieje w Polsce, nie jest podobne do stanu przedrewolucyjnego; jest tylko inna kwestia, a mianowicie, że wszędzie w Europie narody dochodzą do głosu, nawet państwo austriackie zwołuje parlament, by naród mógł się wypowiedzieć. Coś podobnego dzieje się i w Polsce, to upodabnia jej stan obecny do stanu rewolucyjnego. P. wice-marszałek boi się przekreślenia naszej dotychczasowej pracy i dlatego radzi przeciągnąć sprawę; ale myśmy wiele rzeczy chcieli, a nic nie mogliśmy zrobić, gdyż system pracy, jaki przyjęła Rada Stanu, nie daje się pogodzić z programem «móc». Tymczasowa Rada Stanu tylko gadała o przygotowaniach, ale pomiędzy gadaniem, a robieniem jest przepaść. Rada Stanu uroiła sobie państwowo-twórcze gadanie, ale państwa przez gadanie nie tworzy się; państwo tworzy się wolą, z pewnym ryzykiem, powstaje w nieporządku i chaosie, a u nas jest za dużo porządku, ryzyka się boimy, boimy się, by nie zrobić głupstwa, ale kto się boi Maciejowic, ten nie ma Racławic. Przypomina mu się Skrzynecki, który się też ciągle wahał.

Dzisiaj na posiedzeniu postawiono szereg projektów, mówiono: 1) o regencie, 2) o złożeniu mandatów, 3) o kierunku rewolucyjnym, 4) o obstrukcji przy postawieniu szeregu żądań, 5) o reorganizacji Rady Stanu. Zdanie jego jest znane Radzie Stanu — to zrzeczenie się mandatów; nie oznacza to bynaj-

mniej przekreślenia tego, co było dotąd zrobione. Zrzeczenie się mandatów, tzn. dać krajowi nowy program; co się tyczy przedłożonych projektów, to: regent jest tylko ślimaczeniem sprawy, zabawką dla grzecznych dzieci, to samo tyczy się delegacji do Berlina i Wiednia, to oczekiwanie na wujaszka z Ameryki, — w tym nie ma nawet próby tworzenia siły własnej; co się tyczy reorganizacji, to przecież Rada Stanu jest bankrutem i kto do niej zechce przystąpić, powie: wasz wóz ugrzązł w błocie, nie chcemy go wyciągać. Co się tyczy drogi obstrukcyjnej, tj. ona bezcelowa, bo będzie złamana, więc po co? Droga rewolucyjna byłaby dobra, gdybyśmy mieli władzę, zresztą rewolucyjnego nastroju nie wyczuwa się ani w kraju, ani w Radzie Stanu; pozostaje więc jedynie złożyć mandaty z pozostawieniem po sobie programu dla innych.

## 27. IV. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na posiedzeniu poufnym w dn. 27. IV. 1917 r. Piłsudski zabrał na nim głos, rozwijając swój wniosek podania się T. R. Stanu do dymisji ze względu na niemożność realizowania budowy państwa i wojska polskiego. W dyskusji Grendyszyński występował przeciw takiemu rozwiązaniu. Kaczorowski, choć w zasadzie uważał dymisję za najprostsze wyjście z sytuacji, obawiał się jednak, że to unicestwi Legiony, Natanson proponował postawienie ultymatywnych warunków władzom okupacyjnym, Dziewulski proponował utworzenie Regencji. Przemówienie Piłsudskiego analizuje wszystkie te propozycje.*

Brygadier Piłsudski utrzymuje w dalszym ciągu swój projekt podania się niezwłocznego do dymisji. Z przytoczonych na dzisiejszym zebraniu kontrargumentów chce omówić następujące: po pierwsze — mówiono o żołnierskiej psychologii nieschodzenia z placówki; jest on żołnierzem i cofał się nieraz z placówek. Uważa nawet to cofanie się za najlepsze momenty swej żołnierskiej działalności, chodzi tylko o to, by to było robione w odpowiednim momencie; po drugie — mówiono, że Legiony będą rozbite przez ustąpienie Rady Stanu. Osobiście uważa, że będzie na odwrót, właśnie taktyka gen. Beselera prowadzi do rozbijania; jeżeli Rada Stanu odejdzie, to Legiony zostaną, chociaż będą musiały przeżywać bardzo ciężkie czasy; po trzecie — wniosek p. Natansona konkretnie podszedł do jądra sprawy, proponuje on bowiem podanie się do dymisji, a w postawionych postulatach zostawia spadek innym.

Obecna Rada Stanu nie może bowiem przebić postawionej przed nią przez okupantów ściany; stawianie terminów dla spełnienia postulatów nie jest wskazane. Należy do dymisji podać się niezwłocznie, dając w postulatach podstawę dla pertraktacji innym. Zgadza się z p. Dziewulskim, że międzynarodowa sytuacja dla sprawy polskiej jest dobra, że sprawa polska wyrasta i nieszczęściem jest jej tylko to, że przy wyrastaniu brak polskiej ręki. I właśnie zewnętrzna sytuacja powinna skłonić Radę Stanu do dymisji, gdyż po Radzie Stanu nie może pozostać próżnia. Wewnętrzna sytuacja w kraju obraca się koło pojęcia «aktywistów» i «pasywistów», a obecna Rada Stanu została zwołana na podstawie aktywizmu. On osobiście takiej Rady Stanu nie chciał, uważając jej podstawę za zbyt wąską; dziś podział społeczeństwa na dwie grupy nie istnieje, została się jakaś mieszanina, aktywiści stają się pasywistami i odwrotnie; co się tyczy projektu p. Kaczorowskiego, to wszyscy go słusznie krytykują, niewiadomo bowiem, jak go przeprowadzić. Rada Stanu jest powołana do prawnej polityki w imieniu kraju, a więc i do stosunku z okupantami, o ile więc polityki tej nie będziemy prowadzili, to z jakiej racji mamy brać pieniądze i to jeszcze od okupantów; poza tym wolałby, by dyskusja była toczona wobec komisarzy, by oni ją słyszeli [1]). Z przytoczonych projektów, projekt p. Natansona uważa za najodpowiedniejszy, stawianie jednak terminu uważa za pewnego rodzaju obrazę okupantów; odpowiedź napewno będzie, zdaniem jego, nieprzychylna, a więc dymisja będzie konieczna; wobec tego lepiej ją złożyć od razu, projekt zaś p. Natansona będzie programem, pozostawionym przez Radę Stanu społeczeństwu; należy zejść z placówki z honorem, ratując honor i samej instytucji, którą mówca szanuje, a której zadaniem było przełamanie pierwszych lodów między społeczeństwem polskim a okupantami. Honor instytucji zależy od dwóch rzeczy: od lojalnego zachowania się wobec społeczeństwa i okupantów, jesteśmy bowiem obdarzeni zaufaniem społeczeństwa, a mianowani przez okupantów; o tym zapominać nie należy, dopóki się nie wchodzi na drogę rewolucyjną; w tym wypadku bowiem musiałby powiedzieć, że nie można dalej trwać i trzeba się podać do dymisji.

[1]) W posiedzeniach plenarnych Tymczasowej Rady Stanu brali udział komisarze rządów okupacyjnych — hr. Lerchenfeld i baron Konopka, lub też zastępcy ich — hrabia Hutten-Czapski, dr Rosner, Żychliński i Iszkowski. W urządzaniu przez Radę Stanu poufnych posiedzeń bez komisarzy niektórzy jej członkowie widzieli «pierwszy krok rewolucyjny».

Projekt p. Bukowieckiego poddania się decyzji Rady Narodowej [1]) uważa za nieodpowiedni. W Radzie Stanu dyskutuje 25 ludzi od paru dni i do żadnego rezultatu dojść nie może, jakże więc można żądać od zebrania 300 ludzi, by te sprawy przedyskutowało szybko; najpewniej Rada Narodowa powie nam, byśmy sami zadecydowali; zebranie Rady Narodowej może być tylko masówką; nie ma nic przeciwko temu, by na taką masówkę pójść, ale po to, by ją opanować i przeprzeć swoje żądania. Co się tyczy sprawy regenta, to uważa to za przeciąganie sytuacji. Dalej zaznacza, że osobiście postanowił wstąpić do wojska.

## 28. IV. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na posiedzeniu poufnym 28 kwietnia 1917 r.*

*W dniu tym roztrząsano sprawę odezwy werbunkowej, omawiano wniosek przerwania prac Rady Stanu oraz projekt memoriału do władz okupacyjnych w sprawie powołania do życia rządu polskiego.*

Brygadier Piłsudski stwierdza, że zasadniczo jest za złożeniem mandatów, uważając to za najlepsze rozwiązanie kwestii, ale i on uważa, że nie można tego robić bez zostawienia testamentu. Popiera wnioski, by testament taki ułożyć i wybrać do tego komisję. Mamy cały szereg wniosków bardzo dobrych, jak, np., wnioski p. Natansona i innych. Na ich podstawie należy ułożyć jeden elaborat; po opracowaniu elaboratu może się okazać, że żądania nasze będą tak skromne, że wniosek dymisji okaże się zbyt silny dla tak małych żądań.

Uważa za swój obowiązek odpowiedzieć p. Grendyszyńskiemu, który zbyt personalnie stawiał sprawę i chciał, żeby on brał na swoje barki sprawę wojskową [2]). Nigdy w Radzie

[1]) Rada Narodowa powstała w Warszawie 15 kwietnia 1916 r. O powstaniu jej pisał «Biuletyn» Centralnego Komitetu Narodowego w nrze 31 z dnia 18 listopada 1916 r., że «obejmując wszystkie kierunki myśli politycznej polskiej, dążące do realizacji aktu 5 listopada, Rada może z całą słusznością twierdzić o sobie, że skupiła wszystko niemal, co dąży w Polsce do odbudowy ojczyzny». Zadaniem jej — «kierowanie polityką polską i reprezentowanie społeczeństwa polskiego wobec czynników obcych». W formowaniu jej wzięły udział «wszystkie stronnictwa, stojące na gruncie realizacji państwa polskiego na zasadzie aktu 5 listopada, od skrajnej lewicy niepodległościowej, a skończywszy na grupach konserwatywnych». Nie weszły do Rady Narodowej stronnictwa, zgrupowane w Kole Międzypartyjnym, organizacji, pozostającej pod decydującym wpływem Narodowej Demokracji.

[2]) Grendyszyński w przemówieniu swym wyraził przekonanie, że «należy uprzytomnić społeczeństwu, co nas skłania do zrzeczenia się

Stanu nie był w tym położeniu, by móc co zrobić, gdyż większość zawsze przeprowadzała swoje wnioski, a jego upadały; zawsze był przeciwny wnioskom większości; co się tyczy sprawy wojska, to jeżeli Rada Stanu wyda odezwę, to wyjdzie z Rady Stanu i wstąpi do wojska, jeśli odezwy nie wyda, to nie ma racji wstępować do wojska.

*Po przemówieniu Piłsudskiego zabrało głos jeszcze cały szereg członków T. R. S., po czym znów wygłosił przemówienie Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski stwierdza, że ponieważ każdy rząd jako swoje dopełnienie musi mieć rządzonych, musi więc mieć egzekutywę: osobiście byłby zadowolony, żeby choć w jednej jakiejkolwiek dziedzinie Rada Stanu egzekutywę tę otrzymała; żeby choć w jednym zakresie otrzymać egzekutywę, warto podać się do dymisji; należy ten pierwszy wyłom zrobić w dziedzinie sądownictwa i oświaty, najmniej to jednak da się zrobić w sprawach wojskowych.

Tu można tylko dążyć, by wojsko było robione przez Polaków; kwestię gabinetową należy robić na tle uzyskania egzekutywy; należy podkreślić, że egzekutywa ta może być nam dana niezwłocznie, nie ma bowiem żadnych przeszkód nawet podczas wojny ku temu; chcąc stworzyć jakąś organizację, nie trzeba zbytnio troszczyć się, by była ona czemś bezwzględnie idealnym, chodzi o to, by była w ogóle; chodzi o to, byśmy robili ją własnymi rękami, inaczej bowiem staniemy na stanowisku tego, co Rosjanie nazywają «samounicztożeńje» [1]) i, logicznie biorąc, dojdziemy do uciekania się do pomocy Niemców w zakładaniu szkółek freblowskich lub do tego, że hr. Lerchenfeld będzie nas uczył mówić po polsku.

Żądania p. Natansona uważa za dobre w zasadzie, podkreślić należy tylko silniej kwestię oświaty i sądów — a inne usunąć w cień, jako niewspółmierne: nie możemy, np., mówić, by sprawy rekwizycyjne były dokonywane za zgodą Rady Stanu, gdyż na to w czasie wojny nikt się nie może zgodzić; to samo tyczy się sprawy aprowizacji, otrzymanie w tej sprawie głosu stanowczego obecnie jest prawie niemożliwe; tak samo trudnę jest zniesienie sekwestru. Należy się skoncentrować na dwóch zasadniczych dziedzinach: sądownictwa i szkolnictwa; nie zgadza się z p. Dziewulskim, z przemowy jego wygląda,

---

mandatów. Pierwotnie była sprawa odezwy werbunkowej — nie wiedzieliśmy, jak z niej wybrnąć, ale to już przeszło; jeżeli brygadier Piłsudski bierze sprawę wojskową na siebie, to ona też odpada, nie potrzebujemy się o nią troszczyć, a myśleć tylko o sprawach cywilnych...»

[1]) samounicztożeńje — samounicestwienie.

jakbyśmy my tylko chcieli w Polsce z państwami centralnymi gadać, a wszyscy inni — z koalicją.

Tak nie jest; rozmawiał niedawno z najskrajniejszymi narodowymi demokratami; żądania ich od okupantów były tak skromne, że aż musiał wyrazić swoje zdziwienie; tylko jest u nich dalej posunięte niezaufanie co do dobrej woli okupantów, zresztą, i nasze zaufanie nie jest zbyt wielkie. Zbliżenie się więc do tych grup jest możliwe. Należy wybrać komisję dla opracowania żądań, a tu mówić tylko «jak poprzeć te żądania».

## 1. V. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na szesnastym plenarnym posiedzeniu w dn. 1. V. 1917 r.*

*Na posiedzeniu tym był omawiany całokształt sprawy polskiej i stosunku do okupantów, przy czym wobec zupełnego ignorowania przez państwa centralne stworzonej przez nie T. R. S. i wysuwanych przez nią żądań, jest omawiana sprawa zajęcia przez nią odpowiedniego stanowiska. Większość członków, jakkolwiek zdawała sobie sprawę z bezowocności poczynań w kierunku przejęcia przynajmniej części faktycznej władzy w kraju, była zdania, że nie należało zrywać zupełnie z państwami centralnymi i pozbywać się w ten sposób atutu, jakim bezsprzecznie była T. R. S. Wyrazem tego przekonania było stwierdzenie marsz. kor. Niemojowskiego, który na posiedzeniu tym oświadczył, że «jeżeli Rada Stanu na razie nie składa jeszcze mandatów, to tylko dlatego, że chce użyć ostatecznych środków, chce przedstawić całe położenie mocarstwom centralnym i zaproponować sposoby wyjścia z sytuacji». Wynikiem tego nastawienia były jego wnioski w tym kierunku, zredagowane i odczytane na posiedzeniu* [1]*). W odpowiedzi zabrał głos Józef Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski zasadniczo zgadza się z przedstawionymi przez marszałka koronnego motywami do wniosków. Nie zgadza się z samymi wnioskami [1]) i utrzymuje swoją pro-

[1]) Motywy i wnioski odczytane przez Niemojowskiego i uchwalone przez plenum T. R. S. brzmiały:

«Tymczasowa Rada Stanu powołana do życia po długich i trudnych rokowaniach, zawiodła oczekiwania społeczeństwa.

Projektowane stopniowo przejmowanie władzy dotychczas nie zostało wprowadzone w życie; sprawa wojska, którą Rada Stanu od pierwszego istnienia uważała za swe najpilniejsze zadanie, nie jest dotychczas rozstrzygnięta; stosunek do ludności nie przyjął form przyjaźniejszych; rozporządzenia prawodawcze nadal wydawane były albo z pominięciem Rady Stanu, albo bez uwzględnienia jej opinii.

W tych warunkach stanowisko Tymczasowej Rady Stanu jako ekspozytury kierunku politycznego, pragnącego przystąpić do budowy państwa polskiego na zasadzie aktu 5 listopada, zostało w społeczeń-

pozycję podania się niezwłocznie «in gremio» do dymisji, chociaż przez to może w oczach p. Studnickiego wyglądać on będzie na agenta koalicji. Rozumie stanowiska przedstawicieli rządów administracyjnych i rozumie, że państwa centralne krwią swoją opłaciły zdobycie polskiej ziemi przy niewielkim przelewie krwi samych Polaków, mają więc prawo moralne do urządzenia naszego kraju. Sytuację tę, jako wojskowy, rozumie; jako człowiek, który wysoko ceni rozlew krwi, nie szczędził jej

stwie polskim zachwiane. Jej bezsilność na wszystkich polach, brak wszelkich widocznych rezultatów jej pracy pozbawił ją wszelkiej powagi i oparcia w kraju; stanowisko rządu rosyjskiego wobec zupełnego braku realizacyjnych zamierzeń ze strony państw centralnych zachwiały w samym zawiązku ideę oparcia niepodległego państwa polskiego o wolny sojusz z państwami centralnymi.

Istnienie Tymczasowej Rady Stanu w tej formie, z tą kompetencją i w tym do niej stosunku władz okupacyjnych, jak dotychczas, nie tylko nie przynosi pożytku interesowi polskiemu, nie tylko nie wpływa na ustalenie przyjaznych politycznych stosunków między państwem polskim a państwami centralnymi, ale — przeciwnie — podciąć może w samym zarodku koncepcję państwa polskiego, opartego o Zachód, koncepcję, która w przekonaniu Tymczasowej Rady Stanu jest podyktowana istotną racją stanu polską.

Tymczasowa Rada Stanu uważa za swój polityczny i narodowy obowiązek kraj na gruncie tej koncepcji skonsolidować i dlatego uważa przeciąganie obecnego stanu rzeczy za szkodliwe i niebezpieczne.

Jedynie radykalna zmiana dotychczasowych stosunków oraz przejście do innych doskonalszych form realizacyjnych, a więc do formy rządu polskiego, może stosunki wewnętrzne w kraju i stosunki do państw okupacyjnych naprawić. Wszelkie próby połowiczne, nie noszące cech daleko idącej ze strony obu rządów decyzji, sytuacji w chwili dzisiejszej nie będą w stanie uratować, przeciwnie, staną się tylko źródłem nieporozumienia i rozgoryczenia.

W myśl wyżej wypowiedzianego Tymczasowa Rada Stanu, nie chcąc w tych warunkach, w jakich się obecnie znajduje, a które nikogo w kraju nie zadawalniają, przyczynić się do załamania i bankructwa tej linii politycznej, którą reprezentuje, uchwala:

zwrócić się do mocarstw centralnych z przedstawieniem, że w obecnej sytuacji koniecznym jest:

1) powołanie przez Tymczasową Radę Stanu regenta, którym stosownie do życzeń kraju powinna być osoba, władająca biegle językiem polskim, religii katolickiej, z krajem naszym przynajmniej w pewnym stopniu związana, pochodząca, o ile możliwe, z dynastii panującej. Pierwszym zadaniem regenta będzie powołanie do życia stałego gabinetu ministrów o charakterze czysto polskim i zwołanie sejmu,

2) natychmiastowe utworzenie Tymczasowego Rządu Polskiego, złożonego z ministrów Polaków, przez Radę Stanu w myśl życzeń społeczeństwa wyznaczonych, a stanowiących radę ministrów, która od czasu rozpoczęcia sprawowania urzędu przez regenta obejmować będzie władzę wykonawczą w kraju. Rząd polski przedstawi rządom państw centralnych przygotowany przez Radę Stanu program obejmowania władzy w kraju z uwzględnieniem konieczności wojennych».

i u swych przyjaciół, — który był gotów ją przelewać dla wielkiego celu; uważa to stanowisko za zrozumiałe i moralne. Ale dziś chodzi o co innego, chodzi o to, że Rada Stanu w obecnej swej budowie jest w dzisiejszych warunkach formacją straconą. Na dnie każdej rzeczy wielkiej musi tkwić idea odpowiedzialności moralnej, tym czasem statut Rady Stanu i jej system pracy wypacza te idee odpowiedzialności. Uważa, że Rada Stanu ponosi podwójną odpowiedzialność, — wobec tych, co ją mianowali, i wobec kraju. Rządy okupacyjne ponoszą także odpowiedzialność, ale nie przed narodem polskim, gdyż wobec niego odpowiedzialną jest tylko Rada Stanu. Ale każda odpowiedzialność ma tylko wtedy wartość, gdy nie jest abstrakcyjną, inaczej wpływa ona demoralizująco. Od początku swego istnienia Rada Stanu jest bez możności odpowiedzialności za swą pracę. Odpowiedzialność Rady Stanu jest zbudowana na fikcji. Z początku ufał, że zarząd kraju w rzeczach cywilnych, nie mających związku ze sprawami wojennymi, będzie oddany Radzie Stanu. Tak się nie stało. Mimo to Rada Stanu jest dziś w Polsce jedyną instytucją odpowiedzialną przed narodem, bo innej nie ma. Wobec takiego zdemoralizowania pojęcia odpowiedzialności cierpieć musi naród polski i jest to jeden z motywów, który skłania go do postawienia wniosku złożenia mandatów; chodzi o niedopuszczenie dalszego deprawowania poczucia odpowiedzialności. Drugim motywem dla złożenia mandatu jest to, że Rada Stanu była zbudowana na podstawie podziału społeczeństwa na dwie grupy: aktywistów i pasywistów. Aktywiści godzili się na wojnę z Rosją, pasywiści nie. Nie może się zgodzić z p. Studnickim na podejrzywanie pasywistów, że są agentami koalicji; traktuje ich, przeciwnie, jako ludzi o pewnym podkładzie politycznym, z którym zresztą osobiście się nie zgadza. Ale dziś, gdy na stanowisku niewalczenia z Rosją stoją Bethmann-Hollweg i minister Czernin [1]), to podział w Polsce na aktywistów i pasywistów jest rzeczą minioną, której się nie da dalej utrzymać. Dziś upada dawne moralne prawo kierunku aktywistycznego do reprezentowania społeczeństwa. Osobiście zmiana sytuacji może mu być nawet przykrą, ale nie można zamykać oczu, gdyż są to fakta.

Wobec tego podstawa, na której zbudowaną została Rada Stanu, nie ma racji bytu. Wreszcie ma jeszcze i trzeci argument dla złożenia mandatów: przy swym powstaniu Rada Stanu radośnie przyjęła zasadę budowania wojska polskiego.

[1]) Bethmann-Hollweg Teobald — niemiecki mąż stanu, do lipca 1917 r. kanclerz Rzeszy i minister spraw zagranicznych. — Czernin Ottokar — polityk austriacki, w 1916—1918 r. minister spraw zagranicznych.

Osobiście jest najstarszym aktywistą z tu obecnych, ale nigdy nie mógł nazwać budowania wojska rzeczą radosną; przeczuwał, że radość ta będzie rozbijana przez «vis maior», przez okupantów; nie widział on, jakie szczerby pozostawi ta «vis maior» na naszym honorze, myślał ciągle o ciężkich warunkach, w jakich trzeba będzie budować wojsko polskie. Jeżeli porównamy nasz dawny i dzisiejszy stosunek do tej sprawy, to dziś zamiast radości zobaczymy wahania, niepewność i chwiejność. Czwarty miesiąc pracy Rady Stanu zmienił radość aktywistyczną na ciężki obowiązek. Skąd ta zmiana? Przypomina sobie, że wspomniano tu i o konieczności istnienia obok rządów okupacyjnych i polskich organów wykonawczych «Neben-Regierung»[1]), wtedy hr. Lerchenfeld zastrzegł się najusilniej przeciwko tej koncepcji, twierdząc, że, jeżeli nawet dwoje ludzi dąży do jednego i tego samego, to nie mogą oni także tego samego czynić razem. A tymczasem dążenie polityczne Polaków polega obecnie na tym właśnie «Neben-Regierung». Chodzi o to, aby własnymi rękami tworzyć swe państwo, a rządy okupacyjne uważają, że jest to niemożliwe. Czy dlatego, że własną krwią kraj ten zdobyli, czy dlatego, że w narodzie niemieckim są zbyt silnie rozwinięte przyzwyczajenia kameruńskie — jak padło tu słowo — czy działa tu niemieckie «Besserwisserei»[2]), wszystko jedno, faktem jest, że kraj żąda tego «Regierung», a druga strona twierdzi, że to niemożliwe. Wobec tego cała radość pierwotna staje się smutkiem, a zamiast decyzji mamy do czynienia z wahaniem. Przeciw projektowi składania mandatów postawiono trzy zarzuty: 1) że wzmocni się w ten sposób moskalofilstwo; o moskalofilstwo nikt mówcy nie może podejrzywać; nawet wtedy, gdy Rosja wchodziła na drogę odrodzenia i całe społeczeństwo szło w kierunku Rosji, on w tym kierunku nie szedł. Dziś uważa na podstawie znajomości swego kraju, że moskalofilstwa nie ma w Polsce lub też jest bardzo nikłe; walka z nim jest zbyteczna. Moskalofilstwo istnieje tylko jako pewna doza przyzwyczajenia do pewnych stosunków i form życia oraz niechęci do rzeczy nowych — istnieje ono jako skutek deprawacji, jaką wnosi tyloletnia niewola; moskalofilstwo jednak jako kierunek polityczny w Polsce nie istnieje; 2) to przywiązanie ludzi do pracy, którą rozpoczęli — nie tylko do pracy, ale nawet do cienia pracy; wydaje się im bowiem, że ta praca z końcem istnienia Rady Stanu zostanie zaniechaną, ale tak nie będzie; praca ta może być da-

[1]) Rząd poboczny.
[2]) Najlepsza wiedza, przemądrość.

lej rozwijana i poza Radą Stanu za pozwoleniem władz okupacyjnych przy ewentualnym udziale obecnych członków Tymczasowej Rady Stanu; może ona być prowadzoną nawet przez zalegalizowane towarzystwa. Cała bowiem różnica polegać będzie na tym, że Rada Stanu była zatwierdzona przez wyższe cyrkuły, niż inne zalegalizowane stowarzyszenia, a pod tym względem niemożliwe jest przecie stać na stanowisku megalomanii; 3) mówiono też, że gdy wojujące strony zechcą się pogodzić i będzie zwołana konferencja pokojowa, to wtedy niepodległe państwo polskie nie będzie mogło mieć innych przedstawicieli, jak Tymczasową Radę Stanu, ale jeżeli Tymczasowa Rada Stanu na podstawie swej ustawy ma reprezentować Polskę, to to wcale nie jest pożądane. Polska może być bowiem reprezentowana na konferencji pokojowej tylko przez rząd polski, za którym stoi kraj, który ma władzę w kraju; inna reprezentacja będzie śmiesznym dodatkiem, takim samym, jakim jesteśmy w stosunku do władz okupacyjnych.

Rozwiązanie się Rady Stanu jest naturalnym wynikiem jej czteromiesięcznej pracy, która była próbą ustalenia czegoś innego, niż to przewidywał jej statut. Przy tym statucie Rada Stanu jest tylko polskim «Beirat'em» [1]) przy rządach obu pp. generał-gubernatorów. Staraliśmy się stać «Neben-Regierung», ale się to nam nie udało; ale nawet gdyby się tak nie stało, to i wtedy byłoby lepiej złożyć dymisję i zażądać zmiany statutu, po czym możnaby wezwać te same 25 osób, ale już do «współdziałania», a nie do «współrozmawiania».

Co się tyczy przytoczonych wniosków, to odwlekają one tylko rozwiązanie zaostrzonej sprawy, zmuszają nas do przeprowadzenia długich, nowych narad, tymczasem rozwój wypadków zmusza Radę Stanu do ustąpienia; zmusza ją do ustąpienia i to, że jest zbudowana na zasadzie zupełnie nieodpowiedniej w chwili obecnej. Rada Stanu zadanie swoje spełniła, przełamała pierwsze lody, przełamała nieufność kraju do polityki państw centralnych i tę zasługę historia jej przyzna, zapisze ją na plus; ale obecnie Rada Stanu jest «moritura» [2]), nowe dyskusje na nic się nie zdadzą. Toteż motywację wniosków uważa za słuszną, same zaś wnioski — nie; co się tyczy sprawy regenta, to uważa, że żądanie to w obecnej sytuacji, dopóki lody wzajemnych stosunków nie są zupełnie jeszcze przełamane, wniosek ten jest przedwczesnym i nie jest niczym innym, jak sprowadzeniem do polskiego Kamerunu nowego kacyka; co się tyczy rządu, to żądanie to będzie popierał, o ile

[1]) Beirat — Rada przyboczna.
[2]) Mającą umrzeć.

nie jest ono ultimatum, bo to byłoby pośrednim wypowiedzeniem wojny, czego nie chce, gdyż wierzy, że interesy okupantów zmuszą ich niebawem do tworzenia «Neben-Regierung»; nie tylko nasza będzie w tym wola, ale i ich własny interes, a więc po co mamy się kłócić?

*Po Piłsudskim przemawiali kolejno Śliwiński, Kaczorowski, Łuniewski, Przeździecki, Niemojowski i Janicki.*

*Wszyscy oni, stwierdzając katastrofalny stan kraju, obniżenie się nastrojów społeczeństwa, które z coraz większą nieufnością odnosi się do T. R. S. oraz niezmiernie trudne w tych warunkach stanowisko tej ostatniej, oświadczali się za wnioskami marsz. kor. Niemojowskiego, w razie zaś nieuwzględnienia ich przez państwa centralne za gremialnym podaniem się do dymisji.*

*Wł. Studnicki w przemówieniu swym dał wyraz przekonaniu, że T. R. S. od samego początku prowadziła fałszywą politykę, jego zdaniem bowiem istniały warunki do stopniowego przejmowania władzy w kraju, przy udziale elementów nie polskich. Zasadniczo zgadzał się on z twierdzeniem, że T. R. S. jest fikcją, ale gdyby od samego początku postawiła sobie ona jako cel rozwiązanie kwestii organizacji wojska, to byłaby fikcją pożyteczną. W końcu zabrał głos Dzierzbicki, który oświadczył się za wnioskiem J. Piłsudskiego, idącym w kierunku natychmiastowego podania się do dymisji*[1]*. Uważał jednak, że przed swym ustąpieniem, T. R. S. winna zostawić swym następcom testament polityczny i w tym kierunku powinna iść redakcja wniosków. W odpowiedzi na dwa ostatnie przemówienia zabrał głos J. Piłsudski.*

Piłsudski zgadza się ze zdaniem p. Studnickiego, że osią całej pracy Rady Stanu powinna była być sprawa wojskowa. Ale sytuacja przedstawia się tak: jeżeli jest mowa, że sprawa wojskowa ma być naszym kołem rozpędowym, to nie trzeba zamykać oczu, że przy kole stanęli maszyniści, którzy się na maszynie nie znają i jej nie smarują. Osobiście przed wojną prowadził studia co do rekwizycji, przypuszczając, iż będzie je musiał kiedyś wykonywać. Otóż teoria wojskowa twierdzi, że rekwizycje trzeba robić przy udziale tych, co znają kraj, przy udziale ludności miejscowej, gdyż tym sposobem najłatwiej unika się tarć, które szkodzą spokojowi na tyłach armii, a oprócz tego zrzuca się z samych siebie odpowiedzialność na ludność miejscową — w ten sposób najmniej też się rujnuje

[1]) Wniosek ten, po zarządzonym przez marsz. kor. Niemojowskiego głosowaniu, upadł większością 19 głosów przeciw 4. Za wnioskiem oświadczyli się J. Piłsudski, A. Śliwiński, B. Stolarski i St. Dzierzbicki.

kraj. Tak mówi teoria, ale do Polaków zastosowano co innego; nie są oni widać uważani za ludzi, żeby do nich stosować to, co się stosuje w Belgii, Serbii itd. Przyczynę widzi w tym, iż oba państwa okupacyjne mają zadawnione przyzwyczajenia rządzenia Polakami bez nich. Na dnie całej sprawy leży wielka obustronna nieufność — nieufność Niemców, że nie potrafimy się sami rządzić, nieufność, że moglibyśmy się okazać ich wrogami. Należy ich przekonać, że ta nieufność jest niesłuszna. Ale kameruńskie przyzwyczajenia obu państw muszą się skończyć. Ogólnie uważa, zgodnie ze zdaniem p. Dzierzbickiego, że Rada Stanu musi po sobie pozostawić testament [1]).

## 5. V. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na siedemnastym plenarnym posiedzeniu w dn. 5. V. 1917 r. Na posiedzeniu tym omawianą była m. in. sprawa utworzenia Tymczasowego Rządu Polskiego, którego projekt opracowała wybrana przez Wydział Wykonawczy Komisja. Na posiedzeniu tym przedstawione były również wnioski Komisji Wojskowej. Nad projektem, opracowanym przez Komisję, wywiązała się dyskusja, w której zabrał głos m. in. St. Bukowiecki. Przedłożony projekt mówcy nie zadowolił ze względu na braki natury formalnej i rzeczowej. Według niego projekt winien iść w kierunku umożliwienia porozumienia się ze społeczeństwem, a w tym celu należałoby dobrać nowych 25 osób do T. R. S. Z kolei zabrał głos J. Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski zgadza się z opinią p. Bukowieckiego, że z chwilą, gdy Rada Stanu występuje z inicjatywą, to nie ma racji zrzekać się swych praw przy ustanawianiu czegoś nowego, to też uważa za niesłuszne, by w projektowanym zebraniu brało udział tylko siedmiu członków Rady Stanu, a nie cała Rada. Chodzi o to, że Rada Stanu chce się porozumieć ze społeczeństwem, a to wskutek swej pesymistycznej oceny sytuacji, w jakiej się sama znalazła. Projektu p. Grendyszyńskiego dobrania do Rady Stanu nowych 25 osób nie uważa za dobry i z tego względu, że z góry określa on liczbę, do jakiej

[1]) Dyskusję zakończyło uchwalenie wniosków, na podstawie których T. R. S. wybrać miała Komisję, która w możliwie krótkim czasie opracować miała program obejmowania władzy w kraju i zasady wzajemnego stosunku Rządu Polskiego, Rady Stanu i władz okupacyjnych. Przeciw tym wnioskom głosowali J. Piłsudski i S. Dzierzbicki. Wybrana przez Wydz. Wyk. T. R. S. Komisja w składzie: J. Mikułowski-Pomorski, A. Śliwiński i St. Janicki opracowała projekt utworzenia Rządu Polskiego, dyskutowany na siedemnastym plen. posiedz. 5. V. 1917 r.

Rada Stanu ma być powiększona. Tymczasem zależne to jest od tego, z kim się Rada Stanu będzie porozumiewać. Wobec tego proponuje przyjąć pierwszą część przedłożonego wniosku ze zmianą, że cała Tymczasowa Rada Stanu, a nie siedmiu tylko członków wchodzi w skład projektowanego zebrania. Dalsze wnioski, przedstawione przez Komisję, chce uważać jako projekty dla przedstawienia temu zebraniu do dyskusji. Komisji należy poza tym polecić ułożenie listy osób, które mają być zaproszone na zebranie, do zatwierdzenia ich przez plenum.

*Po długiej dyskusji nad opracowanym przez Komisję projektem utworzenia Rządu Polskiego, który ze zmianami i uzupełnieniami został uchwalony oraz po omówieniu sprawy Instytutu Rolniczego w Puławach przystąpiono do omawiania wniosków Komisji Wojskowej.*

Brygadier Piłsudski informuje, że Komisja zastanawiała się nad obecnym stanem Legionów, a p. Kozłowski postawił dodatkowy wniosek do złożonego przez niego w dniu 1 maja. Wniosek ten został zaaprobowany przez Wydział Wykonawczy i obecnie poddaje go pod decyzję plenum; brzmi on jak następuje: «*Rada Stanu uchwala zasadę, że żołnierze i oficerowie Legionów Polskich, nie będący obywatelami Królestwa Polskiego, mogą w razie wyrażonego przez nich życzenia uzyskać niezwłocznie obywatelstwo Królestwa Polskiego. Rada Stanu upoważnia Wydział Wykonawczy do zatwierdzenia przepisów, jakie będą w tym względzie przez Departament Sprawiedliwości opracowane*[1]).

W dalszym ciągu brygadier Piłsudski informuje, że w celu unormowania spraw opieki nad legionistami inwalidami i ich rodzinami Komisja Wojskowa projektuje utworzenie specjalnej Rady Wydziału Opieki przy Komisji Wojskowej. Praca «Opieki» jest prowadzona przez cały szereg instytucji społecznych, jak np. Koło Pomocy dla Legionistów i ich Rodzin, Wydział Opieki nad Legionistami Inwalidami, Wdowami i Sierotami po Poległych, Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego, Towarzystwo Niesienia Pomocy Ofiarom Wojny i inne. Samorzutna ta działalność stworzyła pewne ośrodki organizacyjne o celach pokrewnych, nieraz identycznych; zakres ich działalności nie jest rozgraniczony, co doprowadza niejednokrotnie do bardzo smutnych wyników, jak np. pielgrzymki legionistów od towarzystwa do towarzystwa dla otrzymania wsparcia. Rozdrobnienie wysiłków społeczeństwa nie pozwala

[1]) Wniosek ten został jednomyślnie przyjęty.

na operowanie większymi sumami, to też nawet okazywana dotychczas niejednokrotnie pomoc legionistom ustała, przestała być np. wysyłana do wojska bielizna, obuwie itd.; natomiast weszły w życie datki, niejednokrotnie demoralizujące. Zamiast gospód i herbarciarni z pismami daje się datki kilkunastokopiejkowe, zmuszając w ten sposób żołnierzy do szukania nieodpowiednich miejsc odpoczynku. Obecnie, gdy zamiast Legionów ma istnieć wojsko polskie, a społeczeństwo zacznie się bardziej z nim stykać, inicjatywa społeczna zaczęła się szybko rozwijać, powstaje coraz to więcej różnych stowarzyszeń na prowincji, jak np. Koło Ziemianek w Grójeckim, obywateli w Pułtuskim itd.; otóż koordynowanie tych wszystkich stowaszyszeń staje się coraz konieczniejsze. Interwencja Rady Stanu jest tym konieczniejsza, że jedynie instytucja, nosząca charakter państwowy, będzie miała dostateczny autorytet, żeby jednoczyć działalność tych towarzystw, zażegnywać ich spory i regulować czynności; konieczne jest powstanie naczelnego organu; konieczne to jest i dla zapobiegania marnowaniu sił wskutek rozproszenia wysiłków i dlatego konieczne jest udzielanie ścisłych dyrektyw co do kierunków pracy, gdyż przy najlepszej nawet woli poszczególnych towarzystw brak odpowiednich fachowców i zrozumienia potrzeb żołnierskich stawia nieraz pracę na nieodpowiednim gruncie; konieczna jest instytucja centralna — fachowa, mająca w ręku cały materiał, traktujący o potrzebach żołnierzy i ich rodzin; potrzebne jest utworzenie przy Komisji Wojskowej specjalnego Wydziału Opieki; instytucjom społecznym należy zostawić jak największą autonomię wewnętrzną, a ingerencję Wydziału ograniczyć jedynie do uporządkowania prac w poszczególnych instytucjach i do ogólnej kontroli nad nimi, skorygowania ich błędów; konieczne też jest opracowanie wzorowego statutu dla tych instytucji. Również konieczna jest pomoc prawna w Legionach; obok poddanych Państwa Polskiego są również poddani państwa austriackiego, a jedni i drudzy nie znają zakresu swych praw w stosunku do państwa; zakres działalności wydziału ma być następujący:

*Schemat Organizacji Wydziału Opieki Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu*

*Rada Wydziału Opieki: Przewodniczący — Referent Wojskowy Tymczasowej Rady Stanu. Skład: Szef Wydziału Opieki, referenci, Szef Biura Głównego, przedstawiciele spo-*

*łecznych instytucyj opieki. Podział prac pomiędzy poszczególne instytucje opieki, opinie nad projektami rzeczonych instytucji, opinie co do spraw bieżących.*

*Referent Wojskowy.*

*Kierownik Wydziału Opieki.*

*Szef Kancelarii. Kancelaria Wydziału Opieki, Kasa i Rachunkowość Wydziału Opieki. Administracja i kolportaż wydawnictw.*

*Referent spraw Czerwonego Krzyża. Kontrola nad działalnością Czerwonego Krzyża. Wskazówki co do sposobów prowadzenia prac. Kontakt z władzami wojskowymi.*

*Referent Spraw Inwalidów. Kontrola nad działalnością Towarzystw Opieki. Wskazówki co do sposobu prowadzenia prac organizacyj: objazdowej, odczytowej itp. Redakcja wydawnictw agitacyjnych. Kontakt z władzami państwowymi i wojskowymi.*

*Szef Biura Głównego Towarzystwa Opieki nad Żołnierzami i Ich Rodzinami. Kontrola nad działem Towarzystwa Opieki. Wskazówki co do sposobów prowadzenia prac. Organizacja ogólna. Krajowy zjazd opiek, objazd itp. Zakładanie instytucji filialnych opieki na prowincji. Redagowanie wydawnictw, popularyzujących zasady świadczeń publicznych. Ścisły kontakt z władzami państwowymi i wojskowymi. Ewidencja zabitych, rannych, jeńców.*

*Mężowie zaufania. Reprezentacja Wydziału Opieki na prowincji. Zakładanie instytucji filialnych. Pośredniczenie Wydziału Opieki między miejscowymi władzami państwowymi i wojskowymi a organizacjami społecznymi Opieki.*

*Referent prawny. Porady i wskazówki prawne instytucjom i osobom zainteresowanym. Projekty praw opieki państwowej i społecznej.*

*Projekt statutu Wydziału Opieki Komisji Wojskowej*

*Istnieje w chwili obecnej cały szereg instytucyj społecznych, mających na celu opiekę nad żołnierzami i ich rodzinami, np. Koła Pomocy dla Legionistów i ich rodzin, Wydział Opieki nad Legionistami — Inwalidami oraz Wdowami i Sierotami po Poległych, Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego, Towarzystwa Pomocy dla Ofiar Wojny i inne. Działalność tych instytucji, chociaż owocna, ma jednak zasadniczy brak, a mianowicie nie jest skoordynowana. Samorzutna inicjatywa społeczeństwa niejednokrotnie tworzyła pewne ośrodki organizacyjne o celach pokrewnych, które o sobie nic nie wiedziały wzajemnie, i stąd powstały różne instytucje o celach identycz-*

*nych. Wystarczy wskazać, że pomocą dla inwalidów zajmuje się obok Wydziału Opieki nad Inwalidami-Legionistami jeszcze podobny Wydział przy Towarzystwie Pomocy dla Ofiar Wojny, a jest już złożony do zatwierdzenia statut trzeciego Towarzystwa o identycznym celu działania. Podobnie również dzieje się z opieką nad żołnierzami i rodzinami żołnierzy, którymi zajmują się trzy Ligi Kobiet, Koło Pomocy dla Legionistów i będzie się nimi zajmowało nowopowstające Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza Polskiego. Doprowadza to do tego, iż zdarzyły się wypadki pielgrzymki legionistów z towarzystwa do towarzystwa, od których przeważnie otrzymywali pomoc. Rozdrobnienie się wysiłków nie pozwalało na operowanie większymi sumami, to też zaprzestano wysyłać na front bieliznę, obuwie itp. Natomiast weszły w życie małe datki jednorazowe w gotówce oraz wydawanie pojedynczych sztuk odzieży i bielizny, co znowu deprawująco działa na legionistów. Otrzymał ten, kto prosił, a każdy proszący znajdował się zwykle w opłakanym stanie, zaś koledzy jego, nie chcąc się zniżać do żebraniny, choć również potrzebujący, nie otrzymywali nic. Stan powyższy sprowadził do szeregów rozgoryczenie na instytucje opieki. Zamiast dużych gospód i herbarciarni z pismami i towarzyskimi rozrywkami dawano po kilkadziesiąt kopiejek na śniadanie i kolację na mieście, zmuszając w ten sposób żołnierza do szukania sobie miejsc częstokroć nieodpowiednich, a w każdym razie znacznie droższych, niż wzorowo urządzone gospody opieki. Zdarzało się, że jedna rodzina otrzymywała zasiłki w kilku towarzystwach, inna zaś nie otrzymywała żadnych, gdyż nie było wspólnej ewidencji rodzin, korzystających z opieki społecznej i rządowej. Instytucyj tych było już bardzo wiele w chwili, gdy istniały jedynie Legiony, nawet gdy te były na froncie. Obecnie zaś, gdy się społeczeństwo zetknęło naocznie z nędzą żołnierza polskiego, zaczęło powstawać ich coraz więcej, częstokroć bez specjalnych nazw i statutów, jak np. Koło Ziemianek w Grójeckim, lub Kółko obywateli ziemskich w Pułtuskim i inne. Wówczas o jakimkolwiek nadzorze Tymczasowej Rady Stanu nad nimi nie mogło być mowy, chociażby z tego względu, że Rada Stanu nie mogła się opiekować wojskiem, które formalnie miało inną przynależność państwową. Obecnie zaś, gdy Legiony przetworzą się w Wojsko Polskie, wzrośnie niezawodnie i ofiarność społeczeństwa, a co za tym idzie — powstaną obok istniejących i nowe instytucje, przeto byłoby rzeczą wprost niemożliwą, żeby Tymczasowa Rada Stanu była jedynie biernym widzem tych wysiłków. Interwencja Tymczasowej Rady Stanu*

*jest tym konieczniejsza, że jedynie instytucja, nosząca wybitnie charakter państwowy, będzie miała dostateczny autorytet, ażeby jednoczyć działalność, zażegnywać spory tych instytucji społecznych przy możności kontrolowania i regulowania ich czynności. Konieczność powstania takiego Naczelnego Organu wykazała już praktyka dotychczasowa. Pomijając bowiem już względy praktyczne, jak zapobieganie marnowaniu sił, skutkiem rozstrzelenia wysiłków, o których mówiliśmy wyżej, podkreślić należy, że instytucje społeczne potrzebują ścisłych dyrektyw co do kierunku swoich prac, gdyż przy najlepszej woli kierowników brak fachowości i zrozumienia potrzeb żołnierskich powoduje stawianie pracy na fałszywym gruncie. Zadośćuczynić może tej potrzebie jedynie instytucja państwowa, która, mając w ręku cały materiał faktyczny o potrzebach żołnierzy i ich rodzin, jest w stanie opracować właściwe normy i skierować działalność instytucji społecznych we właściwe łożysko. Ze względów powyższych wypływa konieczność utworzenia przy Komisji Wojskowej, Wydziału Opieki, którego zadaniem będzie scentralizowanie wysiłków społeczeństwa i kierowanie nimi w ten sposób, ażeby osiągnąć najlepsze rezultaty. Potrzeba stworzenia takiego wydziału jest oczywista dla tych, co się zetknęli z pracami Komisji Wojskowej, do której stale napływają prośby o rozstrzyganie różnych wątpliwości, jak również o pomoc w zakresie opieki rządowej austriackiej oraz instytucji społecznych. Rozumie się, że poszczególnym instytucjom społecznym pozostawić należy jak najszerszą autonomię wewnętrzną, a ingerencja Wydziału Opieki powinna się ograniczyć jedynie do uwzględnienia prac poszczególnych instytucji, ogólnej kontroli nad ich działalnością i ewentualnego korygowania błędów w kierownictwie tymi instytucjami. W zakresie prac opieki nad żołnierzami i ich rodzinami Wydział dążyć będzie do scentralizowania wszystkich tych wysiłków w jedno Towarzystwo o wzorowym, popieranym przez rząd, statucie. Specjalne warunki, w jakich powstaje Armia Polska, obecność w niej obok poddanych państwa polskiego również poddanych państwa austriackiego, pretensje do rządu austriackiego, które mogą mieć jedni i drudzy z tytułu dawniejszej przynależności Legionów, wytworzyły i wytwarzają cały szereg skomplikowanych kwestii prawnych, które będą wymagały jednolitego i pełnego autorytetu rozstrzygnięcia, stąd powstaje konieczność stworzenia przy tym Wydziale — obok referenta do spraw inwalidów — działu opieki nad rodzinami i żołnierzami, jeszcze i referatu prawnego.*

*I. Zakres działalności Wydziału*

*§ 1. Prace Wydziału obejmują sprawy: a) Czerwonego Krzyża, b) Opieki nad Inwalidami, c) Opieki nad rodzinami, poza świadczeniami państwowymi, d) Opieki prawnej.*

*§ 2. Wydział koordynuje i reguluje prace instytucji społecznych, zajmujących się sprawami pod a), b), c), d).*

*§ 3. Wydział prowadzi ewidencję zabitych, przebywających w szpitalach i obozach jeńców, dostarcza instytucjom społecznym wszelkich informacji o nich.*

*§ 4. Wydział w zakresie opieki prawnej pośredniczy między żołnierzami i ich rodzinami w sprawach pretensyj ich do wszelkich instytucyj świadczeń państwowych, kontroluje działalność pomocy prawnej w instytucjach społecznych. W tym celu Wydział ma prawo delegowania swych urzędników.*

*§ 5. Wydział budzi inicjatywę społeczeństwa w miejscowościach, w których dotąd nie ma instytucyj opieki, do wytworzenia takowych i służy wszelką techniczną pomocą.*

*II. Środki działania*

*§ 6. Dla wypełnienia zadań w sprawie opieki, wymienionej w poprzednich §§ 2 i 4, podejmuje Wydział prace następujące: a) akcję odczytową, objazdy, wykłady, pogadanki z przeźroczami itp., b) zwoływanie zjazdów instytucyj opieki społecznej dla ujednostajnienia prac i scentralizowania kierownictwa, c) kwestionariusze i ankiety, d) informacje, wskazówki, instrukcje, pomoc techniczną Towarzystwom Opieki, e) pomoc w dostarczaniu pracy zwolnionym ze służby czynnej oficerom i żołnierzom w instytucjach państwowych, f) wyjednywanie u instytucyj prywatnych oraz u prywatnych osób dalszego wypłacania pensyj rodzinom swych pracowników, którzy poszli do wojska, g) rozdzielanie towarzystwom subwencyj, przyznanych przez Komisję Wojskową, h) wydawnictwa, popularyzujące sprawy opieki i świadczeń wszystkich, i) druki agitacyjne dla zadań opieki (plakaty, odezwy, ulotne pisma itp., wydawnictwa obrazkowe z życia inwalidów), j) utrzymanie kontaktu ze wszelkimi istniejącymi Towarzystwami Opieki.*

*III. Organizacja wewnętrzna Wydziału*

*A. Kierownictwo*

*§ 7. Na czele Wydziału stoi Szef Wydziału, odpowiedzialny za całokształt prac przed referentem wojskowym Tymczasowej Rady Stanu.*

*§ 8. Szefowi Wydziału podlegają referenci Wydziału i Szef Kancelarii Wydziału.*

*B. Organizacja Wydziału*

*§ 9. Prace Wydziału podzielone są pomiędzy następujące organy: a) Kancelaria, b) referent spraw Czerwonego Krzyża, c) referent spraw opieki nad inwalidami, d) biuro główne Towarzystwa Opieki nad żołnierzami i ich rodzinami, e) referent prawny, f) mężowie zaufania.*

*§ 10. Kancelaria obejmuje również kasę, rachunkowość Wydziału oraz administrację wydawnictw.*

*§ 11. Referenci spraw opieki oraz szef biura głównego rozciągają kontrolę nad działalnością instytucyj opiekuńczych, poddają im projekty działalności, udzielają im wskazówek, pomagają przy zakładaniu filij tych instytucji na prowincji, utrzymują ścisły kontakt z państwowymi organami opieki i władzami wojskowymi, akceptują wydawnictwa.*

*§ 12. Biuro Główne Opieki nad żołnierzami i ich rodzinami tworzy się dla pomocy Szefowi Biura w zakresie jego zadań.*

*§ 13. Referent prawny rozstrzyga kwestie prawne, udziela porad i wskazówek instytucjom i osobom zainteresowanym, opracowuje projekty praw opieki państwowej i społecznej.*

*§ 14. Do pomocy w zakresie swych zadań powołują referenci w miarę potrzeb przedstawicieli społeczeństwa lub też dobierają personel urzędniczy.*

*§ 15. Mężowie zaufania są mianowani przez Wydział Opieki dla reprezentowania go oraz zakładania instytucji filialnych opieki na prowincji.*

*IV. Udział społeczeństwa*

*§ 16. Przy Wydziale Opieki istnieje Rada Wydziału Opieki, składająca się z Kierowników Wydziału, ze wszystkich referentów, Szefa Biura Głównego oraz przedstawicieli społecznych instytucji opiekuńczych. Przewodniczy w Radzie referent wojskowy Tymczasowej Rady Stanu lub jego delegat. Rada Wydziału Opieki ustala podział prac pomiędzy poszczególnymi instytucjami społeczeństwa, obraduje nad projektami rzeczonych instytucji, wydaje opinie do spraw bieżących.*

*§ 17. Opinie Rady podlegają zatwierdzeniu Referenta Wojskowego Tymczasowej Rady Stanu.*

*§ 18. Rada zwoływana jest każdorazowo przez Referenta Wojskowego Tymczasowej Rady Stanu*[1]).

[1]) Przedstawiony projekt został przyjęty jednomyślnie.

W dalszym ciągu brygadier Piłsudski przedstawia trzeci wniosek Komisji Wojskowej, który uzyskał aprobatę Wydziału Wykonawczego, a mianowicie: wniosek o wyasygnowanie z funduszu ofiar marek 10.000 dla Polskiej Organizacji Wojskowej, a to z tego względu, że wobec likwidacji Polskiego Skarbu Wojskowego P. O.W. straci dość duże dochody, wynoszące miesięcznie od 10 do 18 tysięcy marek; wobec czego należy P. O. W. sumę tę w miesiącu maju wypłacić, ażeby umożliwić tej organizacji przetrwanie czasu krytycznego. W Komisji Wojskowej p. Górski proponował, aby wypłacić P. O. W. 18.000 marek, on osobiście uważa, że wystarczy suma marek 10.000 [1]).

## 15. V. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na posiedzeniu poufnym 15. V. 1917 r. Na posiedzeniu tym omawiano głównie konieczność porozumienia się ze społeczeństwem, tudzież o zawieszeniu czynności Rady Stanu do czasu nadesłania przez rządy okupacyjne odpowiedzi na deklarację z 1 maja 1917 r.*

Brygadier Piłsudski podnosi, że osią całej sprawy jest kwestia, czy podać się do dymisji? Zasadniczo stanowiska swego nie zmienił i argumentów nie powtarza, musi dodać tylko parę nowych myśli i skonstatować, że Rada Stanu nie jest w stanie rządzić, a zorganizować społeczeństwa nie umiała, wskutek tego jest instytucją martwą. Chodzi o postawienie sobie pytania, co Rada Stanu może dziś dać społeczeństwu? Otóż może mu dać swe oficjalne stanowisko, którego nikt nie ma w społeczeństwie, to jest jej uprawnienie do utrzymywania stosunków z władzami okupacyjnymi w imieniu Polski, innych wartości dać społeczeństwu Rada Stanu nie może. Sami zaś wisimy w powietrzu, gdyż dla okupantów jesteśmy reprezentantami Polski, dla społeczeństwa zaś reprezentantami nie jesteśmy, choć chcemy nimi być. Tymczasowa Rada Stanu nie dotrzymała swoich obietnic ani w stosunku do okupantów,

[1]) W dyskusji nad tym wnioskiem zabrał głos Wł. Studnicki, który przemawiał za odrzuceniem wniosku; jego zdaniem bowiem P. O. W. powinna była natychmiast wstąpić do wojska. «Organizacja ta — mówił on — była przyczyną, że werbunek się nie udał; była konkurencyjnym wojskiem dla wojska prawdziwego; jeżeli P. O. W. teraz nie pójdzie do wojska, to będzie to demoralizacja». W zarządzonym głosowaniu wniosek J. Piłsudskiego przeszedł większością 16 głosów na 21 głosujących.

ani w stosunku do własnego społeczeństwa. Okupanci spodziewali się, że przez nas zbliżą do siebie społeczeństwo polskie i łatwiej go wyzyskać będą mogli dla swych celów wojennych, i nie można o to do nich mieć pretensyj. Nie można bowiem chcieć, aby Bethmann-Hollweg i hr. Czernin byli patriotami polskimi, interesów społeczeństwa polskiego z interesami państw centralnych nie pogodziliśmy — nawet przeciwnie, widzimy wzrost czegoś odwrotnego i otwarcie musimy sobie powiedzieć, że upadek powagi Rady Stanu wynika stąd, że okupanci zawiedli się na swej metodzie, za część której uważali Radę Stanu.

Społeczeństwo polskie też ma zawód, było ono naiwne, oczekiwało dużo od Rady Stanu, a myśmy dużo mówili i dawaliśmy wszystkim poznać, że chcemy być rządem; społeczeństwo temu uwierzyło, a myśmy mu nic nie dali, i w tym nasza tragedia. Gdy dziś zastanawia się, co może Rada Stanu dać społeczeństwu, to przychodzi do wniosku, że tylko swe oficjalne stanowisko, choć i ono jest mało wartościowe; może idzie w swym poglądzie za daleko, a członkowie Rady Stanu myślą, że oficjalne stanowisko Rady Stanu da się wyzyskać dla interesów społeczeństwa i że lepiej utrzymać Radę Stanu, on jednak z tym zdaniem się nie zgadza; uważa, że istnienie Rady Stanu jako instytucji martwej zarazić tylko może całe otoczenie i że do tego dopuścić nie należy. Jeżeli chodzi o parę dni, a jak on myśli o parę tygodni, to o tym można pomyśleć, ale trzeba sobie zdać sprawę z tego, że Rada Stanu jest dziś instytucją, nad którą łatwo się przechodzi do porządku dziennego.

Jeżeli mamy trwać jako instytucja, to musimy dążyć do wzmocnienia naszej pozycji w stosunku do władz okupacyjnych. Niewątpliwie będziemy silniejsi, gdy będziemy razem ze społeczeństwem, to też należy wrócić do społeczeństwa; wyrażone tu zdanie, że społeczeństwa nie można odszukać, wydaje mu się oryginalnym. Dotąd mówiono, że wszystkim jest w społeczeństwie Rada Narodowa, którą uważano za stronnictwo rządowe. Teraz mówią, że Rada Narodowa nie jest społeczeństwem — czyżby dlatego, że pozwoliła sobie na krytykę Rady Stanu? Ale, jeżeli będziemy o tym tylko mówić i zapytywać, kto jest społeczeństwem, a kto nim nie jest, to powstanie cały szereg zapytań i trudności, które w rezultacie społeczeństwa nie pozwoli odszukać i w rezultacie może Radę Stanu tylko osłabić. Trzeba porozumieć się ze społeczeństwem takim, jakim jest, nie szukając czegoś w obłokach. Na tę drogę weszła Rada Narodowa, porozumiewając się z kołem międzypartyj-

nym; ale o tym nie mówi, gdyż nie stoi ta sprawa na porządku dziennym, tylko podkreśla ponownie, że jest za złożeniem mandatów. Co się tyczy zawieszenia czynności, to należy to uskutecznić w najostrzejszej formie [1]).

## 25. V. 1917

*Przemówienie poniższe zostało wygłoszone na zebraniu poufnym w dn. 25. V. 1917 r. Podczas zebrania toczyła się dyskusja nad konsolidacją społeczeństwa, pozyskaniem go dla T. R. S. i zorganizowaniem jego opinii. W kwestii tej zabierali głos poszczególni członkowie T. R. S., a m. in. J. Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski zaznacza, że na wczorajszym posiedzeniu p. Kunowski [2]), zdając sprawozdanie ze swego pobytu w Sztokholmie, mówił o szerokich horyzontach narodowych, jakie się otwierają przed Polską. Sprawozdanie p. Kunowskiego i jego poglądy uważa za słuszne, gdyż dziś Polska stanowić może środkowy punkt pomiędzy choasem rosyjskim a znienawidzonymi Niemcami, to też teoretycznie może ona być punktem oparcia dla tych, którzy chcą nareszcie wyjść z tej sytuacji. Ale dlatego, żeby Polska odpowiedziała swej roli historycznej, potrzebne jest, żeby Polska, jako Polska, posiadała odpowiednią siłę.

Patrząc obiektywnie na Tymczasową Radę Stanu i uważając za rzecz obojętną, czyją winą jest jej stan obecny — czy okupantów, czy społeczeństwa polskiego, czy Rady Stanu i jej poszczególnych członków — stwierdza, że Rada Stanu nie ma

---

[1]) Po długotrwałej dyskusji nad wnioskami, z których jeden (J. Piłsudskiego) szedł w kierunku natychmiastowego złożenia mandatów, drugi zaś w kierunku zawieszenia oficjalnych posiedzeń plenarnych i posiedzeń Wydziału Wykonawczego oraz czynności poszczególnych Departamentów, marsz. kor. Niemojowski zarządził głosowanie. W rezultacie wniosek Józefa Piłsudskiego dał 4 głosujących za (J. Piłsudski, Paweł Jankowski, A. Śliwiński i ks. Sztobryn). Wniosek drugi po usunięciu z niego o czynnościach poszczególnych Departamentów, przeszedł nieznaczną ilością głosów.

[2]) «W księgach protokółów (plenarnych i poufnych) posiedzeń Tymczasowej Rady Stanu» nie ma protokółu posiedzenia z dn. 24 maja 1917 r. Kunowski w maju 1917 r. udał się do Sztokholmu i odbył tam szereg narad z działaczami niepodległościowymi z terenu rosyjskiego. O jego misji do Sztokholmu i jej rezultatach pisze szczegółowo Tadeusz Hołówko w pracy swej «Przez dwa fronty — ze wspomnień emisariusza politycznego z 1918 r. — Z Warszawy do Kijowa», Warszawa, 1931, Dom Książki Polskiej, na str. 245—247.

odpowiedniej powagi i autorytetu, który daje siłę. Nie ma tego autorytetu w stosunku do własnego narodu, a wobec tego musi go stracić i na zewnątrz, i w stosunku do «vis maior», do okupantów.

Z takiego położenia, gdzie tak wielkie zadania postawił przed Polską niezależny od niej bieg historii, jest dla każdego jedyne wyjście — tworzenie siły polskiej. Nie można wprawdzie twierdzić, szczególniej wobec tylu prób, które były robione od samego początku wojny, by było to zadaniem łatwym; znaleźć w Polsce siłę, któraby mogła promieniować na wewnątrz i na zewnątrz, jest trudnym, ale skonstatować należy, że rozproszkowany kraj tęskni do autorytetu moralnego, chociażby nawet miał ten autorytet być przejściowy i miał się zużyć. Wszyscy pamiętają, z jaką siłą przejawiała się ta wielka tęsknota do autorytetu w początkach istnienia Rady Stanu. Powaga Rady Stanu początkowo silnie wzrastała; nie chce analizować, dlaczego autorytet upadł, może tak być musiało, to też lepiej dzisiaj nikogo nie winić, ale stanąć na stanowisku olimpijskiego spokoju, na stanowisku sił wyższych, konieczności historycznych. Należy znów wytworzyć, chociażby czasowy, nowy autorytet i zadowolić istniejące pragnienia społeczeństwa w tym kierunku, choć dotychczasowe próby rozwiązania tego problematu skończyły się źle.

Powtórzy tu to, co mówił wczoraj na pewnym bezpartyjnym zebraniu lewicy:

«Tymczasowa Rada Stanu nie ma autorytetu, ale jest charakterystycznym, że wszelkie dzisiejsze dyskusje polityczne wciąż się kręcą koło Rady Stanu, a więc posiada ona jeszcze jakąś wartość, wszystko jedno — pozytywną, czy negatywną; posiada ona wartość prawa do oficjalnego reprezentowania kraju na zewnątrz i atut ten musi być dla dobra Polski wyzyskany».

Jeżeli osobiście mówi o podaniu się do dymisji, to dlatego, że to oficjalne zewnętrzne reprezentowanie Polski przez Radę Stanu zaczyna się stawać fikcją i że zaostrza się konflikt pomiędzy Radą Stanu a krajem. Udawanie siły uważa za komedię w stosunku do narodu, tym niebezpieczniejszą dla kraju, że Rada Stanu opiera się na znienawidzonych niemieckich bagnetach. Chodzi dziś o nową próbę stworzenia autorytetu dla narodu. Przed powstaniem Rady Stanu mówił do swoich przyjaciół politycznych, że idą do Rady Stanu na kompromitację; może być, że i obecne próby będą na to samo skazane, ale próbę taką stworzenia chociażby czasowego autorytetu zrobić należy, aby zapobiec ostatecznemu rozdźwiękowi między Radą

Stanu a społeczeństwem, gdyż rozdźwięk ten może się stać katastrofą. Tłum jest nieobliczalny — idzie zawsze w kierunku najmniejszego oporu — a więc w Polsce pójdzie zawsze przeciw Radzie Stanu, wszystkie nieszczęścia w kraju jej przypisze i skutki tego mogą być nieobliczalne. To też należy szukać porozumienia ze społeczeństwem, a w tym celu należy zejść ze stanowiska rządu, a stanąć na stanowisku poddania się.

Nie rozumie też dzisiejszej pewnej zarozumiałości Rady Stanu lub jej niektórych członków, nie rozumie chęci niektórych członków Rady Stanu, by ze społeczeństwa zrobić dla siebie pewnego rodzaju «Beirat».

Czyż to jest słuszne, by Rada Stanu, która się tak skompromitowała, mogła być jeszcze sędzią społeczeństwa?

Żądać dla siebie «Beirat'u» jest to zarozumiałością i rzeczą szkodliwą, gdyż ani sposób przypadkowy utworzenia się Rady Stanu i jej składu, ani nasza czteromiesięczna działalność nie dają żadnej podstawy do takiej zarozumiałości, to też za najważniejszą uważa część wniosku p. Kunowskiego, mówiącą o poddaniu się mającej powstać konsolidacji. Zgadza się z wnioskiem p. Kunowskiego i uważa, że przeprowadzenie konsolidacji należy powierzyć specjalnej komisji.

*Po przemówieniu J. Piłsudskiego toczyła się w dalszym ciągu dyskusja na ten sam temat. Głos zabierali: Łuniewski, Grendyszyński, Śliwiński, Łempicki, Natanson, Bukowiecki, Radziwiłł, Dzierzbicki, Studnicki, Janicki i Przeździecki. Obok zagadnienia stosunku T. R. S. do społeczeństwa treścią dyskusji była kwestia zachowania się jej w związku z wysuniętymi i uchwalonymi w dn. 1 V 1917 postulatami, skierowanymi do rządów państw centralnych. Po przemówieniach wyżej wymienionych zabrał głos powtórnie J. Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski zabiera głos, ażeby przedstawić nielogiczność dyskusji w kwestii porozumienia się ze społeczeństwem. W dyskusji to się słyszy, np., że Rada Narodowa jest instytucją poważną dlatego, że Rada Stanu z niej powstała, to znów, gdy Rada Narodowa wypowiada się przeciw Radzie Stanu [1]), że nie jest to ciało poważne. W ten sposób dochodzi się

[1]) Mowa o zjeździe plenarnym Rady Narodowej powołanej do życia w drodze wyborów, a odbytym w dn. 2 i 3 maja 1917 r. Tematem obrad zjazdu była polityka T. R. S., której delegaci w osobach J. Mikułowskiego-Pomorskiego, J. Piłsudskiego i L. Grendyszyńskiego składali wyjaśnienia. W rezultacie długiej dyskusji wysunięto szereg wniosków. Pośród nich największą ilość głosów otrzymał wniosek Centralnego Komitetu Narodowego i Zjednoczonych Stronnictw Demokratycznych. Zasadnicza część tego wniosku brzmiała: «Rada Narodowa po wysłuchaniu sprawozdań T. R. S. uważa dalsze jej istnienie za szkodliwe dla

do zdania, że poważnym jest tylko ten, kto się z nami zgadza. To doprowadzi do megalomanii *à la* p. Studnicki, który uważa, że tylko on jest poważny, ale gdy się przychodzi z ostatnią próbą ratowania sytuacji do społeczeństwa, to przecież jest obowiązkiem Rady Stanu w tych warunkach poddać się decyzji, tym bardziej, że dla praktycznej strony rzeczy, a mianowicie — dla zorganizowania zebrania będzie to bardzo ważne, ale mówić, że jeżeli usłyszymy na zebraniu coś przeciwko nam, to dowodzi, że to nie będzie poważne zebranie. To przecież lepiej z góry powiedzieć, że zebranie to nie dojdzie do skutku. Przecież nie można uważać za poważny urządzony w swoim czasie przez Departament Spraw Wewnętrznych Zjazd Krajowy [1]) dlatego tylko, że była na nim uniemożliwiona wszelka dyskusja.

Nie można zapominać, że zupełnie inny będzie charakter zebrania, gdy jego uczestnicy będą wiedzieli, że postanowienia ich są obowiązujące. Łatwo bardzo operować frazesami: anarchia i moskalofilstwo, ale tu nie chodzi o anarchię, a chodzi o stworzenie siły dla zapobieżenia anarchii.

Nie wolno nam przecież zapominać, że, np., w Rosji odpowiedzialność za anarchię tak samo ponosi Mikołaj II, jak i ci, którzy obecnie kraj do anarchii prowadzą. Trzeba istniejące przepaści łagodzić, a nie rozszerzać. Trzeba umieć być lojalnym wobec tego zebrania, które ma się zwoływać.

*W dalszej kolejności na porządku dziennym obrad znalazła się sprawa «Komisarzy T. R. S.» przy Komisjach Asenterunkowych, które na mocy rozporządzenia gen.-gub. Beselera wydanego z początkiem maja 1917, miały dokonać przeglądu wojskowego tych ochotników, którzy zgłosili się do wojska polskiego. Członek T. R. S. Łempicki, jako dyrektor w Dep. Spr. Wewn. bez porozumienia się z Wydziałem Wykonawczym, na własną rękę wysłał w dn. 15 V 1917 r. w imieniu T. R. S. telegramy do naczelników wszystkich Głównych Urzędów Zaciągu w których upoważnił ich do zaproszenia według swego uznania przedstawicieli ludności miejscowej do uczestniczenia w pracy Komisyj Asenterunkowych. Samowolne*

interesów polskich. Opracowany przez T. R. S. projekt mianowania regenta i rządu przez państwa centralne Rada Narodowa odrzuca, gdyż tylko rząd, wyłoniony z łona społeczeństwa i przed społeczeństwem odpowiedzialny zadość uczynić dziś może żądaniom narodu polskiego».

[1]) Mowa o Zjeździe Krajowym, zwołanym przez Departament Spraw Wewnętrznych T. R. S., który odbył się w Warszawie 16. III. 1917 r. Na zjeździe tym, licznie obesłanym, sprawę wojska referował J. Piłsudski, wygłaszając przemówienie, umieszczone w tomie niniejszym na str. 110 p. t. «O armii narodowej».

*wystąpienie Łempickiego było przedmiotem obrad na poufnym plenarnym posiedzeniu w dn. 18-go V i zostało określone jako wysoce nielojalne wobec T. R. S., która w tym czasie znajdowała się w ostrej walce z Zarządami obu okupacyj. Na tym zebraniu też postanowiono wyciągnąć wobec Łempickiego odpowiednie konsekwencje. Sprawa ta była przedmiotem dalszych obrad na posiedzeniu poufnym w dn. 25-go V wywołując ożywioną dyskusję i polemikę. W dyskusji zabierał głos również J. Piłsudski, który przy sposobności odpowiedział Studnickiemu na jego atak skierowany przeciw P. O. W.*

Brygadier Piłsudski sądzi, że nie należy wchodzić w «meritum» sprawy, gdyż cała sprawa nie zasługuje na wielką wagę, nie będzie miała ona żadnego wpływu na taki, czy inny bieg spraw wojskowych. Trzeba mieć dużo zaufania w swe czyny i nie mieć obiektywnej oceny stosunków, by taką wagę przywiązywać do swego wystąpienia; sprawę należy rozpatrywać formalnie i prawnie; chodzi tu o zmniejszenie powagi Rady Stanu. W dyskusji chciano przedstawić Komisję Wojskową jako instytucję stronniczą.

Nie ma on najmniejszego zamiaru polemizować z p. Studnickim, nic go to nie obchodzi, co mówi. Ponieważ jednak obraził jego przyjaciół, konstatuje, że żadnych dezerterów w niej nie ma, są tylko ludzie, którzy na rozkaz jego ustąpili z Legionów, gdyż rozkazowi sprzeciwiać się nie mogli [1]). Co do wyjazdu p. Kasprzyckiego jakoby w celach agitacji P. O. W., to jest to nieprawdą, gdyż p. Kasprzycki wyjeżdżał tylko dla likwidacji pewnych działów robót P. O. W. Powracając jeszcze do sprawy dezercji z wojska, nie uważa za stosowne odpowiadać w tej sprawie ostro na krzykactwo p. Studnickiego i jego przyjaciół, ale zaznacza, że p. Kasprzycki swoją dezercją więcej się przyczynił dla dobra wojska polskiego, niż p. Studnicki dezercją swoją od zdrowego rozsądku i rozumu [2]).

---

[1]) Studnicki w przemówieniu swym oświadczył się za Łempickim. Zarzut, że Łempicki przed swoją decyzją nie porozumiał się z Komisją Wojskową, która i tak była ograniczona do najwyższego stopnia w swych kompetencjach, a która była najbardziej powołana do powzięcia decyzji, uważał za niesłuszny, ponieważ «oglądać się na Komisję Wojskową nie można, gdyż jest ona tylko przykrywką dla Polskiej Organizacji Wojskowej. Szerzy ona nie dyscyplinę, ale dezorganizację; w Komisji Wojskowej siedzą dezerterzy armii polskiej».

[2]) Ustęp odpowiedzi Piłsudskiego, danej Studnickiemu, odnosi się do zarzutu przezeń postawionego, iż oficerowie i żołnierze I Bygady porzucali wojsko dla pracy w Polskiej Organizacji Wojskowej, co Studnicki kwalifikował jako dezercję. Kpt. Tadeusz Kasprzycki w tym czasie był Kdtem Naczelnym P. O. W.

## 31. V. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na posiedzeniu poufnym w dn. 31. V. 1917 r. Na porządku dziennym tego posiedzenia było sprawozdanie z posiedzenia Koła Sejmowego galicyjskiego, odbytego 27. i 28. V. 1917 r. w Krakowie oraz sprawozdanie z pobytu W. Rostworowskiego w Sztokholmie. W dyskusji nad pierwszym sprawozdaniem zabrał głos J. Piłsudski.*

Piłsudski stwierdza, że rezolucja Koła Polskiego [1]) dawno nie jest dla niego niespodzianką. Rezolucja ta dawno już przyjść musiała. Wygłoszone tu zdanie, że jest ona ułożona w Lozannie i że na jej uchwalenie wywarł wpływ eksc. Głąbiński [2]), nie wytrzymuje krytyki; zna on dobrze Galicję przed wojną i w czasie wojny, brał udział w jej życiu politycznym i stanowczo twierdzi, że rezolucja ta tłumaczy się zupełnie innymi rzeczami. Galicja pierwsza w Polsce rozpoczęła czynną akcję polityczną podczas wojny, a uchwała koła sejmowego z dn. 16-go sierpnia [3]) była bardzo popularna i głęboko przeniknęła nie tylko w społeczeństwo inteligenckie, ale i w sfery ludowe.

Akt 16-go sierpnia i polityka polska, na nim oparta, była polityką zbierania ziem polskich przy Galicji, jako ośrodku, przy pomocy Austrii. Przypuszczano szczególniej w sferach ludowych, że Polska będzie wolna, w sferach politycznych zaś rojono, że ukochany system austriacki będzie rozciągnięty na całą Polskę.

Polityka ta doznała porażki. Przede wszystkim w narodzie polskim. Naród polski nie mógł się zgodzić z metodą austriacko-niemiecką robienia Polski bez Polaków. Doszło do

[1]) Mowa o rezolucji Koła Polskiego, powziętej na wniosek posła Tetmajera, w brzmieniu następującym:

«Polskie Koło Sejmowe stwierdza, że jedynym zadaniem narodu polskiego jest odzyskanie niepodległej Polski, z dostępem do morza, i uznaje się solidarnym z tym dążeniem.

Polskie Koło Sejmowe stwierdza dalej międzynarodowy charakter tej sprawy i uznaje jej urzeczywistnienie za porękę trwałego pokoju.

Polskie Koło Sejmowe wyraża nadzieję, że życzliwy nam cesarz Austrii sprawę tę ujmie w swe ręce.

Wskrzeszenie państwa polskiego przy pomocy Austrii zapewni jej naturalnego i trwałego sprzymierzeńca».

[2]) Stanisław Głąbiński, prof. Uniw. Lwowskiego, ekonomista, wybitny działacz narod.-demokratyczny, minister kolei (1911) monarchii austriackiej, członek Koła Polskiego.

[3]) Mowa o uchwale Koła Sejmowego z dn. 16. VIII. 1914 r., tworzącej Nacz. Kom. Narodowy.

bankructwa tej polityki, co ogłosił oficjalnie prezes Biliński [1]) i tj. zwrotnym punktem w polityce galicyjskiej. Początkiem tego zwrotu jest powyższa mowa Bilińskiego, przyznająca się do bankructwa i jako jeden z powodów podająca, że wszystko w sprawie Polski działo się bez udziału Polaków. Wtedy zaczęła powstawać nieufność do wszelkich środków, przedsiębranych dla Polaków bez Polaków, powstało żądanie udziału w tym wszystkim Polaków. Do rozgoryczenia politycznego przyłączyło się i ekonomiczne, a mianowicie — ten fakt, że Galicja jest traktowana przez Austrię, jako kolonia. To doprowadziło do wzrostu opozycji, która wzbierała powoli, ale stale. Naczelny Komitet Narodowy i konserwatyści stracili swą popularność i można powiedzieć, że nie ma dziś w Galicji instytucji bardziej niepopularnej, jak Naczelny Komitet Narodowy. Wniosek Tetmajera [2]) jest przejawem tej opozycji. Na całym świecie w organizmach państwowych istnieją partie rządowe i opozycja. Metody tych dwóch partyj muszą być inne, to też z chwilą zdecydowania się na opozycję przeciw Austrii w Galicji możliwem się stało postawienie tylko maksymalnego programu, chociażby dla uzyskania minimalnych ustępstw. Nic dziwnego, że opozycja nie ma żadnego planu realizacji swych żądań. Plany takie byłyby zresztą nierealne. Planu w sprawie polskiej nie mają nawet i ci, co chcą budować państwo polskie w sojuszu z mocarstwami centralnymi; oni oddali całą decyzję w ręce mocarstw centralnych i powiedzieli sobie: ,

«Jakoś to będzie!».

Nie widzi nic dziwnego w tym, że rezolucja Tetmajera zrodziła się u ludowców, gdyż te sfery były najbardziej rozgoryczone i skłonne do wyciągania ze swego rozgoryczenia odpowiednich wniosków. O wpływie Głąbińskiego i narodowych demokratów nic nie wie, za to musi stwierdzić, że wpływ duchowieństwa był bardzo wielki. Nie należy bowiem zapominać, że konserwatyści galicyjscy są podzieleni, a wpływ duchowieństwa wśród pewnej ich części jest wielki. Narodowa Demokracja ma duże wpływy w Królestwie, ale w Galicji małe; Narodowa Demokracja jest tam skompromitowana jeszcze od początku wojny, gdy przegrała swą sprawę na tle Legionów. Niewątpliwie, że stara się obecnie odegrać i chętnie się przyczepia

[1]) Leon Biliński (1846—1923), wybitny ekonomista i polityk, parokrotny minister austriacki, w 1915—1917 r. prezes Koła Polskiego. W Polsce odrodzonej minister skarbu w 1919 r.

[2]) Włodzimierz Tetmajer (1862—1923), malarz, pisarz i polityk, jeden z wybitniejszych przywódców galic. Stronnictwa Ludowego, członek N. K. N.

do nowych prądów, ale wpływu na rezolucję wielkiego mieć nie mogła. Narodowa Demokracja teraz dopiero może urosnąć; za to wpływ niewątpliwy wywarli konserwatyści, którzy idą pod egidą duchowieństwa. Przewidywania ich są proste. Każda opozycja może z czasem przyjść do rządów, czego przykładem chociażby obecnie hr. Andrassy [1]) na Węgrzech.

Co się tyczy naszego akcesu do rezolucji, to nie dziwi się, że Galicja prosi o to, bo to ją wzmocni, najmniej też się dziwi, że prosi o to p. Leo [2]), który jest skompromitowany i zupełnie bez wpływów nawet w Krakowie. Dla nas powinno być ważnym zachowanie się konserwatystów i demokratów, którzy, będąc przeciw rezolucji, głosowali za nią; tym dali oni świadectwo, że ich polityka przegrała, gdyż nie ośmielili się przeciwstawić polityce, której są przeciwni. Przegrali oni swą sprawę i prawo do kierownictwa sprawami Polski w oczach Polaków. Dowodem tego bankructwa jest, np., i zachowanie się demokratycznej «Nowej Reformy» [3]). Któż zrozumie jej dzisiejsze artykuły wstępne? Motywowanie, że rezolucja Tetmajera przeszła w kole parlamentarnym wskutek tego, że chwilowo przestał przewodniczyć German [4]), a przewodniczył Kędzior [5]), to kpiny, tego nie można uważać za poważne stawianie kwestii politycznej. Przypuszcza, że sprawa tak się przedstawiała, że w ostatniej chwili albo konserwatyści zdradzili demokratów, albo demokraci konserwatystów. Nie był tam, więc nie wie, kto kogo zdradził, ale jest przekonany, że właśnie tak było. Jeżeli chodzi o naukę i dyrektywę dla nas z tego, co się dzieje w Galicji, to jasnym jest że nie wolno przechodzić do porządku dziennego nad nastrojami i usposobieniem społeczeństwa, bo to się mści. Konserwatyści, ta partia kilkunastu ludzi, powstała w Galicji na tle upadku ducha polskiego po powstaniu 1863 r., obecnie sprawę przegrała, gdyż łatwo przechodziła nad usposobieniem i poglądami kraju.

---

[1]) Juliusz Andrassy (1860—1929), wybitna postać polityczna Węgier. Mąż stanu, wielokrotny minister i premier.

[2]) Juliusz Leo (1862—1918), prezydent Krakowa, profesor uniwers. i poseł do parlamentu wiedeńskiego.

[3]) «Nowa Reforma», krakowski dziennik, organ demokratów galicyjskich. Wstępne artykuły pisywał w niej sekr. gen. N. K. N. Konstanty Srokowski.

[4]) Ludomił German, poseł w parlamencie austriackim i członek N. K. N.

[5]) Andrzej Kędzior, inż., poseł do parlamentu austriackiego, polski minister robót publ. w gabinecie Skulskiego (XII. 1919—VI. 1920).

## 1. VI. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na poufnym plenarnym posiedzeniu w dn. 1. VI. 1917 r. Przedmiotem obrad, obok spraw natury formalnej, była kwestia odpowiedzi państw centralnych na deklarację T. R. S. z dnia 1. V. W przeddzień posiedzenia bowiem byli u marsz. kor. Niemojowskiego zastępcy Komisarzy Rządowych, którzy poinformowali go o tym, że rządy ich odpowiedzi na deklarację jeszcze nie przygotowały, że będzie ona jednak gotowa w krótkim zapewne czasie i zostanie do wiadomości T. R. S. podana. Radzili oni również, by T. R. S. wykazała cierpliwość i do czasu otrzymania odpowiedzi nie przedsiębrała żadnych decydujących kroków. W związku z tym wywiązała się dyskusja, w której zabierało głos kilku członków T. R. S., po czym wrócono do zagadnienia porozumienia się ze społeczeństwem. W tej sprawie zabiera głos również J. Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski przede wszystkim stwierdza, że przy obronie Rady Stanu robi się pewne sztuczne podstawienie; mówi się, że Rada Stanu jest obrońcą aktu 5-go listopada, i tych, co wypowiadają się przeciw Radzie Stanu, uważa się za przeciwników samego aktu, — jest to tylko podstawienie. Akt 5-go listopada został zrobiony bez udziału społeczeństwa polskiego, jest on stwierdzeniem, że z punktu widzenia polityki okupantów stworzenie niepodległego państwa polskiego z zaboru rosyjskiego jest potrzebne. Osobiście wątpi, aby ktokolwiek w społeczeństwie polskim, prócz zupełnie wyraźnych austrofilów, opierał się aktowi 5-go listopada. Akt ten nie ma przeciwników, tak samo, jak nie ma go oświadczenie Wilsona w sprawie polskiej; chodzi o co innego, chodzi o metody. Chodzi o metody rządzenia Polakami bez Polaków, jaką jest metoda życia polskiego po 5 listopada; metoda ta ma swoich zwolenników i przeciwników. Wczoraj mówił, że rezolucja krakowska jest wynikiem austriackiej metody rządzenia Polską bez Polaków. Metodę tę przeprowadza się nawet w najmniejszych drobiazgach, wdziera się ona do najdrobniejszych przejawów życia polskiego.

W Galicji w czasie wojny rządzą bez Polaków, uważając ją tylko za prowincję graniczną, objętą wojną. Zahamowano całe życie społeczne, zniesiono faktycznie autonomię, działalność szeregu instytucyj; poprostu zczechizowano i zniemczono życie i zarząd krajem w Galicji. Ta metoda doprowadziła do przejścia Koła Polskiego do opozycji; kto zna historię i wie, czym jest Koło Polskie w Galicji, ten rozumie, że zdobycie się tego Koła na uchwałę opozycyjną jest czymś niesłychanym.

Koło Polskie było w Austrii zawsze instytucją, jak to w Radzie Stanu lubią mówić, państwo-twórczą, było ono «für jede Regierung zu haben» [1]). Dziś, dzięki metodzie rządowej, która dotyczyła nie tylko spraw państwowych, ale i polskich spraw krajowych, zrodził się nastrój opozycyjny w stosunku do Koła i zmusił Koło do opozycji. My jesteśmy w położeniu cięższym, niż Galicja; myśmy się dostali państwom centralnym na podstawie prawa miecza, mocarstwa centralne nie mają wobec nas żadnych obowiązków, ale z chwilą wydania aktu 5 listopada sytuacja uległa zmianie. Skutkiem tego aktu powstała w nas chęć wyciągnięcia z niego pewnych konsekwencyj, które byłyby skasowaniem zasady rządzenia Polską bez Polaków. Tym czasem mocarstwa centralne stworzyły Radę Stanu po to, by zrobić z niej ogniwo w swojej metodzie rządzenia Polakami bez Polaków. Rada Stanu ciągle szarpała się w sieci, chcąc metodę tę przełamać, ciągle mówiła, że my, Polacy, na podstawie aktu 5-go listopada powołani jesteśmy do mówienia o swoim losie i potrzebach, do rozstrzygania i rządzenia i wszystko jedno, jak daleko kto idzie w zakresie swoich żądań; niewątpliwą bowiem jest jednozgodność większości członków Rady Stanu z całym społeczeństwem co do zasady politycznej, że Polacy chcą sami decydować i rozstrzygać o swoich losach i rządzić się. Na tym stanowisku stoi całe społeczeństwo polskie; okupanci dobrze o tym wiedzą, pomimo to od samego początku jednakowo nas traktują. Przeprasza, że użyje trywialnego porównania, ale nie może inaczej sytuacji określi: okupanci stale nam mówią: «jesteście głodni, my was nakarmimy» i podają nam wspaniały befsztyk, ale podlany wstrętnym i odrażającym sosem; i dziwią się, gdy my nie mamy apetytu na ten specjał. Ogromna różnica rasowa pomiędzy Niemcami a Polakami przejawia się ciągle i zawsze przejawiać się będzie, gdy zaczną rządzić nami metodami niemieckimi. Ten wstrętny sos, którego przełknąć nie możemy, polega na traktowaniu Polski jako kolonii, jako kraju podbitego, który musi przełknąć wszystko, co mu podają. Jakaż rola w tym wszystkim Rady Stanu? Jest ona ogniwem, należy do metody niemieckiej. Osobiście dziwi się, gdy widzi bardzo wytrawnych polityków, którzy tego wszystkiego nie spostrzegają i widzieć nie chcą, że Rada Stanu jest koniecznym dopełnieniem ogólnej metody niemieckiej. Rada Stanu walczyła, żeby nie stać się tym wstrętnym sosem, aby nas z nim nie zmieszano, ale to zrobiono, i nie chce przypuszczać, abyśmy się mogli z tym pogodzić i powie-

[1]) Do pozyskania dla każdego rządu.

dzieć, że to już taki nasz los. Osobiście jest wyjątkiem w tym zebraniu, wyrósł bowiem z walki, całe życie ją prowadził, to też przyzwyczaił się do metod walki; inni panowie, tu obecni, walki jako walki nie znają i metody ich są takie, że nawet gdy walczą, jednocześnie zawierają ugodę. W rozumowaniach swoich jest cynikiem, to też uważa, że Polska dlatego jest tak traktowana, że jest niczym, i gdyby sam był Niemcem, to nie inaczyjby Polskę traktował. Polska wewnętrznie nie posiada żadnych sił, dlatego nie ma swej polityki. Polityka niemiecka jest wyraźna, wyzyskuje Polskę, dla celów wojny, gdyż jest ona słaba i wyzyskać się daje; przewidując zaś niemożliwość aneksji po wojnie, już dziś za pomocą faktów, dokonanych w czasie wojny, narzuca Polsce rzeczy, które mogą być Niemcom pożyteczne po wojnie. Taką jest polityka Niemiec. Polityka austriacka jest inna, ale również wyraźna. Robi ona Niemcom różne trudności w sprawie Polski, niby dla dobra Polaków, po to tylko, żeby potem te trudności sprzedawać gdziekolwiek lub komukolwiek, choćby za byle co; to jest naturalne, to leży w charakterze Austrii. Niemcy i Austria nie są naszymi adoratorami, zresztą nie mają nas za co adorować. Państwa te mają swe konkretne interesy, a gdy my nie będziemy mieli swej wewnętrznej siły i nie przeciwstawimy się, nawet zawierając z nimi sojusz, to w gruncie rzeczy nie będziemy mieli żadnej podstawy dla realnej polityki polskiej; z tego wypływa konieczność wytworzenia wewnętrznej siły w Polsce, jeżeli ma być mowa o realnej polityce. U nas za realnych polityków uważają tych, którzy liczą na własne społeczeństwo. Pogląd ten wypływa zapewne z niewielkiej wartości społeczeństwa polskiego. Jest faktem, że realna polityka musi się przystosować do wszystkiego, co jest faktem i rzeczywistością, a więc i do społeczeństwa polskiego, takiego, jakim ono jest, i każdy, kto pomija tę rzeczywistość, nie jest realnym politykiem. Dotąd w polityce, prowadzonej na gruncie aktu 5-go listopada, nie ma polityki polskiej, a jest tylko polityka okupantów i dopóki polityki polskiej nie będzie, dopóty jest pustym gadanie o realnej czy idealnej polityce. Kiedyś powiedziano tu, że realną polityką jest oparcie się o stan urzędniczy, który trzeba w Polsce stworzyć. Osobiście nie wie, czy warto robić politykę polską dlatego, by stworzyć klasę urzędniczą, ale jest zawsze zwolennikiem szukania siły we własnym społeczeństwie; wie o tym lepiej, niż każdy z tu obecnych, że to łatwym nie jest, ale tylko w ten sposób można zyskać podstawę dla realnej polityki, choćby dla najbardziej ugodowej. Dzisiejsi Wielopolscy to są «mładszije

pomoszczniki starszawo nadziratiela» [1]), a Niemcy pozwalają im tylko pisać dla siebie referaty. Nie ma się co obawiać o akt 5-go listopada; należy się porozumieć ze społeczeństwem. Nie ma żadnej obawy, żeby społeczeństwo w chwili, gdy się otworzy możność roboty w ramach aktu 5-go listopada, wypowiedziało się przeciw tej robocie; jeżeli dziś jest inaczej, to dlatego, że społeczeństwo nie ma zaufania do naszej roboty realizacyjnej. Co się tyczy rewolucji, to zwraca uwagę, że właśnie realna polityka Wielopolskiego doprowadziła w swoim czasie do wybuchu powstania w 1863 r. Należy on do tych, którzy bardzo dokładnie studiowali 1863 r., i stanowczo twierdzi, że czerwoni w chwili wybuchu rewolucji byli przeciw niej, chcieli nawet wybuchowi temu przeszkodzić; to samo jest dziś. Nie spotykał ludzi w Polsce, którzyby chcieli rewolucji, prócz chyba doktrynerskich esdeków, a ludzi tych szukał, chociażby dlatego, żeby się dowiedzieć, jak sobie wyobrażają drogi rewolucji. Przeżył on rewolucję i wie, co się dzieje tam na dole, zna dobrze mechanizm rewolucji i stanowczo twierdzi, że dla metody, którą reprezentuje Rada Stanu, jest rzeczywiście 5 minut do dwunastej. Ten moment wyczuło Koło Polskie w Galicji, niewątpliwie i u nas kierunek maksymalny brać będzie górę, jest ostatni czas, by ratować w społeczeństwie to, co można, a wobec tego, że my, Polacy, nie będąc «vis maior», nie mamy możności ratować całej sprawy, to tym bardziej miejsce nasze w łonie społeczeństwa; gdyby miał możność zatrzymania wskazówek na zegarze, toby to zrobił, nie mając jednak tej możności, uważa za swój obowiązek być w zgodzie ze społeczeństwem.

## 8. VI. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na dziewiętnastym plenarnym posiedzeniu w dn. 8. VI. 1917 r.* [2]).

*Przedmiotem obrad tego posiedzenia była sprawa rezygnacji ze stanowiska członka T. R. S. i dyrektora Departamentu Pracy Wł. Kunowskiego, oraz ze stanowiska członka i Dyrektora Departamentu Skarbu St. Dzierzbickiego, sprawa samowolnego wystąpienia w imieniu T. R. S. M. Łempic-*

[1]) Młodsi pomocnicy starszego dozorcy.

[2]) Po przerwie w oficjalnych posiedzeniach T. R. S., na których stale byli obecni komisarze rządowi i ich zastępcy, trwającej od 15. V. do 8. VI. 1917 r. wobec nadejścia odpowiedzi państw centralnych na deklarację z 1. V. 1917 r., marsz. kor. Niemojowski zarządził plenarne posiedzenie na dzień 8. VI. 1917 r. W czasie przerwy w oficjalnych posiedzeniach członkowie T. R. S. zbierali się na zebrania poufne, na których reprezentanci rządów austro-węgierskiego i niemieckiego nie byli zapraszani.

*kiego (por. wyżej), oraz w szczególności sprawa poddaństwa polskiego legionistów i wydzielenia z Legionów poddanych austriackich. W obu ostatnich sprawach zabierał głos J. Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski z góry zaznacza, że reprezentuje zdanie odmienne od wszystkich, gdyż w postępku p. Łempickiego widzi nie tylko naruszenie formalności, ale i merytorycznie zły krok. Zmniejszył on autorytet Rady Stanu. P. Łempicki postąpił źle i Rada Stanu powinna krok jego potępić. Rada Stanu uznała: 1) że wojsko może być formowane tylko jako Wojsko Polskie, zależne od polskiej instytucji politycznej, inaczej bowiem będzie to wojsko nie polskie, ale kolonialne. Jest to zdanie Polaków, dbających o honor Polski i godność. Do czasu rozesłania depesz p. Łempickiego, werbunkowej odezwy Rada Stanu nie wydała, a więc jedyna polska urzędowa instytucja żadnej decyzji w kwestii wojska nie powzięła; nie może być więc mowy o tym, by postępek p. Łempickiego był dobry z punktu widzenia idei Wojska Polskiego i autorytetu Rady Stanu. Wystąpił on tylko w swym własnym imieniu i tak, że dał mu pozór, jak gdyby to robił w imieniu całej Rady Stanu. Jak ten fakt odbił się na stosunkach całego kraju? Rozporządzenie było przyjęte jako nakaz Rady Stanu, tym czasem tak nie było i gdy się ludzie dowiedzieli, że żadnego nakazu nie było, to powiedzieli, że Rada Stanu jest instytucją, w której każdy może robić, co mu się podoba. Autorytet Rady Stanu został mocno narażony na szwank i na śmieszność. 2) Wojsko Polskie może być formowane tylko wtedy, gdy będzie miało związek z jakąś instytucją rządową polską; za taką instytucję nie można przecież uważać p. Łempickiego. 3) Gdy się mówi o ratowaniu Wojska Polskiego, to nie można do tak drobnej rzeczy jak postępek p. Łempickiego używać tak wielkich słów; można raczej mówić o uratowaniu aparatu werbunkowego, ale dziś został ten aparat zwinięty, a więc Polska upadła? Słyszał, że na prowincji ludzie powiedzieli, iż nie pójdą do wojska, bo nie ma odezwy Rady Stanu, a jest tylko prywatne wezwanie p. Łempickiego.

*W dalszej dyskusji nad tą sprawą Ant. Kaczorowski postawił wniosek, proponujący uchwalenie wyrazów ubolewania, że Dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych uczynił swój krok bez porozumienia się z T. R. S. Bezpośrednio po zgłoszeniu tego wniosku*[1]*) zabiera powtórnie głos J. Piłsudski.*

[1]) W zarządzonym tajnym głosowaniu wniosek Kaczorowskiego przeszedł większością 13 głosów, przeciw 3, przy 4 wstrzymujących się od głosowania.

Brygadier Piłsudski uważa za konieczne podkreślić, że p. Łempicki zrobił swój krok wtedy, gdy był zatarg pomiędzy Radą Stanu a władzami okupacyjnymi o kompetencję; i właśnie w czasie tego ostrego zatargu władze okupacyjne postanowiły zrobić coś bez Rady Stanu; wtedy Łempicki w tym sporze pośrednio przyznał rację okupantom i w ten sposób poderwał autorytet Rady Stanu. Faktycznie sprawa tak się przedstawia: zapisanych do wojska ochotników było 4.000; na wezwanie Rady Stanu, tak bowiem był zrozumiany krok p. Łempickiego, stawiło się 2.000, a więc tylko 50%. Z tego wzięto 1.300, w tej liczbie 400 z Litwy, czyli 900 zostaje na Królestwo. Ta cyfra nie podtrzymuje przecież autorytetu Rady Stanu, ale go obniża. P. Łempicki poderwał swym postępkiem autorytet Rady Stanu.

*W dalszej kolejności rozwinęła się dyskusja nad sprawą legionistów, w której zabierali głos marsz. kor. Niemojowski* [1]*, bar. Konopka, Bukowiecki oraz Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski ubolewa, że minęło dwa tygodnie i sprawa uległa zwłoce i dopiero teraz ma być załatwiona. Osobiście myśli, że jeżeli się zwrócić do cesarza Karola, który jest przyjacielem żołnierza i ceni go, to napewno wniosek Rady Stanu będzie przyjaźnie przyjęty. Uważa, że najlepiej zwrócić się z memoriałem, w którym można wszystko szerzej wyłożyć. Opracowanie memoriału należy polecić Departamentowi Spraw Politycznych; po wysłaniu memoriału będzie można po pewnym czasie wysłać depeszę lub delegację.

## 9. VI. 1917

*Przemówienie poniższe zostało wygłoszone na posiedzeniu poufnym w dn. 9. VI. 1917 r. Przedmiotem obrad była odpowiedź rządów austro-węgierskiego i niemieckiego na deklarację T. R. S. z dn. 1. V. 1917 r.; odpowiedź odczytali hr. Lerchenfeld i bar. Konopka na dwudziestym nadzwyczajnym posiedzeniu plenarnym w dn. 8. VI. 1917 r. Nieza-*

[1]) Po omówieniu sprawy Łempickiego, przystąpiono do spraw wojskowych. Marszałek kor. zajął się sprawą losu poddanych austriackich, służących w Legionach Polskich, oraz sprawą przekazania tych ostatnich państwu polskiemu. Według niego «Rada Stanu musi stać na stanowisku swych żądań z dn. 19 marca, żeby Legiony były przekazane Państwu Polskiemu w całości, wobec tego widzi przed Radą Stanu trzy wyjścia: 1) wysłać odpowiednią depeszę do cesarza Karola, podkreślając, że Rada Stanu zasadniczo stoi na stanowisku uchwał z 19 marca, 2) wysłać tylko depeszę, nie wspominając o stanowisku z dn. 19 marca, 3) wystosować memoriał, oparty na uchwałach z dn. 19 marca».

*leżnie od tego marsz. kor. Niemojowski zarządził poufne posiedzenie na dzień 9. VI., celem omówienia tej odpowiedzi bez udziału komisarzy rządowych. W dyskusji nad tą sprawą zabrał głos również J. Piłsudski.*

Brygadier Józef Piłsudski podkreśla, że nie można odpowiedzi tej uważać ani za konsekwentną, ani za wystarczającą [1]).

Jesteśmy w tym położeniu, że rachunki nasze są załatwiane bez nas, bez gospodarzy. W punkcie trzecim jest powiedziane, że mocarstwa centralne zwracają się do Rady Stanu z wezwaniem, by opracowała i przedstawiła im szczegółowe wnioski, potem dopiero, po przedstawieniu tych wniosków, mają nam być przekazane pewne działy administracji. Wpierw jednak mamy szczegółowo opracować projekty, obmyśleć fundusze itd. To szczegółowe opracowanie wniosków można uważać tylko za metodę hamowania, gdyż zawsze można powiedzieć, że wnioski nie były dostatecznie opracowane, to kwadratura koła. Dalej — jak pogodzić stanowisko, przysługujące mocarstwom centralnym w myśl prawa międzynarodowego,

---

[1]) Na wstępie sekretarz T. R. S. A. Śliwiński odczytał ponownie odpowiedź obu rządów państw centralnych. Odpowiedź ta brzmiała:

«1) życzenie co do ustanowienia regenta dla państwa polskiego, wyrażone w uchwale Rady Stanu z dn. 1 maja, odpowiada zupełnie zamiarom państw centralnych i będzie spełnione, skoro tylko stworzone zostaną warunki dla pomyślnej działalności regenta,

2) mocarstwa centralne uważają już teraz Tymczasową Radę Stanu za przedstawicielkę tworzącego się państwa polskiego i spodziewają się, że Rada Stanu w możliwie krótkim czasie ukończy prace przygotowawcze około konstytucyjnej i administracyjnej organizacji Królestwa Polskiego.

3) mocarstwa centralne zwracają się zarazem do Tymczasowej Rady Stanu z wezwaniem, by wypracowała i przedłożyła im osobne wnioski co do tego, w jaki sposób, bez naruszenia stanowiska, przysługującego mocarstwom okupacyjnym według prawa międzynarodowego, ma się odbyć oddanie poszczególnych gałęzi administracji polskim władzom centralnym (ministerstwom), oraz w jaki sposób mają być pokryte koszty tych gałęzi administracji. Tymi gałęziami administracji są — prócz sądownictwa i szkolnictwa — sprawy wyznaniowe, opieka nad sztuką i nauką, dalej — z dziedziny gospodarstwa społecznego handel i rolnictwo z ograniczeniami, które mają być jeszcze bliżej określone ze względu na gospodarkę wojenną, organizacja rzemiosł, usunięcie szkód wojennych i odbudowa w kraju, w końcu dobroczynność publiczna i opieka społeczna.

Dalej oczekują mocarstwa centralne, że Rada Stanu zaproponuje im osobistość, której jeszcze aż do ustanowienia regenta poruczono naczelne kierownictwo gałęzi administracyjnych, oddanych państwu polskiemu. Wymienione rządy przypuszczają, że przy wyborze na to stanowisko przede wszystkim będzie wzięty pod rozwagę wybór przewodniczącego Tymczasowej Rady Stanu, marszałka koronnego».

z naszą administracją i z naszymi żądaniami; w gruncie rzeczy akt 5-go listopada jest sprzeczny z prawem międzynarodowym i sprzecznym jest z prawem to wszystko, co po tym akcie nastąpiło, nie wolno bowiem okupantom tworzyć nowego państwa, a tym bardziej nie wolno im tworzyć wojska, które ma być użyte w wojnie. Wojsko, sama Rada Stanu i akt 5-go listopada — wszystko to sprzeciwia się prawu międzynarodowemu, więc czyż postawiony nam problemat, byśmy uzgodnili żądania z wymaganiami prawa międzynarodowego, nie jest kwadraturą koła? Jest to furtka dla ciągłego odrzucania naszych projektów; dla niego jest kwestią, czy odpowiedź mocarstw centralnych jest zrobiona w celu przeciągania istnienia Rady Stanu, co jest pożądanym dla okupantów, a szkodliwym dla kraju, — czy też jest to chociażby maleńki krok naprzód? Treść odpowiedzi przemawia za tym, że jest to odpowiedź nierealna, a przeciąganie sprawy. Byłoby to zgodne z interesami okupantów, którzy przeciągają sytuację, nie dając nam nic realnego. Treść odpowiedzi przemawia za tym, że Austria i Niemcy chcą dziś po wypadkach w Rosji sprawę polską przeciągnąć aż do zawarcia pokoju; jeżeli tak jest, to Rada Stanu powinna dla przekonania się zrobić próbę w sprawie mianowania premiera; gdy napotka opór, powinna energicznie wystąpić, szczegółowe zaś opracowania, o których nam mówią w odpowiedzi, oznaczają czekanie miesiącami na załatwienie każdego drobiazgu. Rada Stanu pod tym względem nie ma nic do zrobienia i winna złożyć mandaty. Praktycznym wyjściem z danej sytuacji będzie próba urzeczywistnienia naszych żądań z dn. 1-go maja i natychmiastowe utworzenie rządu polskiego. Pierwszy krok — to wskazanie premiera, drugi — polecenie mu utworzenia ministeriów. Radzie Stanu pozostałaby pewna kontrola nad ministeriami i byłaby ona przypuszczalnie pewnym surogatem przedstawicielstwa. To byłyby próby, któreby nam wskazały, czy otrzymana odpowiedź jest realna, czy też tylko działa na zwłokę; dlatego sądzi wraz z p. marszałkiem, że należy wybrać osobę premiera. W kwestii tej chce omówić kandydaturę hr. Adama Tarnowskiego [1]). Jest przeciwny tej kandydaturze nie ze względów na osobę hr. Tarnowskiego, lecz tylko dlatego, że jest on urzędnikiem obcego mocarstwa, byłoby więc dla nas pewnego rodzaju dyshonorem, aby naczelne stanowisko w Królestwie zajmował urzędnik obcego mocarstwa.

[1]) Hr. Adam Tarnowski, polityk i dyplomata austriacki, b. ambasador austr. w Sofii i Waszyngtonie, usilnie wysuwany na stanowisko szefa rządu przez koła zachowawcze.

Stanowisko hr. Tarnowskiego byłoby niezwykle trudne, gdyż jako urzędnik obcego mocarstwa, któremu przysięgał posłuszeństwo, musiałby być posłusznym jego woli. To zasadnicza strona kwestii. Podobnego rodzaju sytuację miał on w wojsku; ileż to nadziei było pokładane w hr. Szeptyckim i oto przyszedł rozkaz i nie ma go już w wojsku polskim, tak samo może przyjść rozkaz dla hr. Tarnowskiego, aby objął, np. ambasadę w Hiszpanii, i premier państwa polskiego pojedzie do Hiszpanii. Musi on ulegać swemu państwu, to też nie może być samodzielnym premierem polskim. Nie możemy państwa polskiego narażać na ewentualności, wypływające z takiego stanu rzeczy. Zastanawiał się głęboko nad tą kandydaturą i widzi w niej chęć niektórych członków Rady Stanu wyszukania czegoś poza obrębem tworzącego się państwa polskiego, na czym możnaby się było oprzeć. Widzi w tym, co podkreślał w swym przemówieniu marszałek koronny, mówiąc o skarbie, że byłoby to nieszczęściem, gdybyśmy skarb otrzymali, gdyż mielibyśmy tylko ambaras. Przedtem mówiono również w Radzie Stanu, że gdyby okupanci chcieli wyjść, to może trzeba będzie ich prosić, by pozostali, gdyż sami jesteśmy tacy bałwani, że nie damy sobie rady. To szukanie zbawcy ojczyzny poza sobą jest szkodliwe. Jeżeli nie jesteśmy zdolni do rządzenia się sami, to uwiecznijmy okupację. Trzeba nareszcie wyjść z niewiary w swe siły, premiera trzeba wybrać z pomiędzy obywateli tworzącego się państwa polskiego; osobiście jest bardzo przywiązany do Galicji, woli ją, niż Królestwo, ale nie może zamykać oczu na obowiązki, jakie mają Galicjanie względem Austrii. To też wskutek tego wyniki oddawania naszych urzędów Galicjanom muszą być szkodliwe. Mówić, że są oni Polakami jest frazesem i naiwną fikcją, albowiem są oni również poddanymi państwa obcego, któremu przysięgali. Przecież wśród komisarzy mocarstw centralnych mamy tylko jednego Niemca, inni są Polakami, pomimo tego są oni przedstawicielami państwa obcego; chciałby też widzieć, jakby hr. Hutten-Czapski [1]) uniósł się patriotyzmem i poszedł przeciw Niemcom. Austria, jako państwo mniej dobrze zorganizowane, niż Niemcy, pozwala na pewne odstępstwa od tej zasady, ale zasada pozostaje i trzeba albo wystąpić przeciw niej rewolucyjnie, albo poddać się. W każdym razie pozycja Polaków, poddanych obcych mocarstw, jest bardzo niedogodna. Reasumując, uważa, że należy

[1]) Hr. Bogdan Hutten-Czapski, Polak, dzięki swej wyjątkowej lojalności wobec Rzeszy Niemieckiej, miał znaczny wpływ w sferach rządzących. W omawianym czasie był zastępcą hr. Lerchenfelda, komisarza rządu niem. przy T. R. S., oraz zaufanym doradcą gen. Beselera.

wypróbować otrzymaną odpowiedź i bez opracowania szczegółowych wniosków spróbować utworzyć ministeria, poza tym na podstawie naszej uchwały z dn. 1-go maja powinniśmy wszystko oddać w ręce społeczeństwa.

## 13. VI. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na posiedzeniu poufnym w dn. 13. VI. 1917 r. Na posiedzeniu tym w dalszym ciągu omawiano stosunek do oświadczenia rządów mocarstw centralnych z dn. 8 czerwca 1917 r.*

Brygadier Józef Piłsudski uważa, że jakąś odpowiedź mocarstwom centralnym dać trzeba — jest ona bardzo trudną dlatego, że Rada Stanu nie jest jednolitą; jeżeli ma ona odpowiadać opiniom nas wszystkich, to musi być bardzo ogólnikowa. Zdaniem jego, w odpowiedzi należy zwrócić uwagę na rzeczy zasadnicze, a nie konkretne; ponieważ państwa centralne dziś nie chcą robić państwa polskiego, projektowany więc memoriał ks. Radziwiłła [1]) jest zły, nie można bowiem przekonywać hr. Czernina lub Bethmann-Hollwega, że źle rozumieją oni interesy swych państw, gdyż w interesie tych państw leży budowa państwa polskiego, a oni tego robić nie chcą. Nauk dawać im nie można, przeciwnie — należy w odpowiedzi przeciwstawić nasze żądania i interesy ich zapatrywaniom; nie ulega bowiem kwestii, że dziś, gdy państwa centralne pozbyły się nacisku ze Wschodu i są zagrożone przez koalicję, postawieniem sprawy polskiej nie chcą się w tej chwili angażować i nie chcą podczas wojny tworzyć faktów dokonanych. Charakterystycznym jest powoływanie się ich na przysługujące im prawa z punktu widzenia międzynarodowego prawa, a przecież z tego punktu widzenia jest nielegalne istnienie Rady Stanu, a tym bardziej wojska polskiego. O tej niechęci państw centralnych do budowania Polski mówił dużo obecnie podczas swej bytności w Krakowie z ludźmi, znającymi stosunki, i tu chce powtórzyć słowa, które wypowiedział hr. Czernin, że nie leży dziś w naszym interesie wytwarzanie w Polsce czegoś stałego, wytwarzanie państwa polskiego. W chwili obecnej stanowczo okupantom nie jest to potrzebne i tylko wtedy, gdy sprawę postawimy na ostrzu noża, może będzie można coś

[1]) Mowa o odczytanym na posiedzeniu memoriale członka T. R. S. ks. Franciszka Radziwiłła, formułującym odpowiedź T. R. S. na odpowiedź państw centralnych z dn. 8. VI. 1917 r.

uzyskać. Rada Stanu, jeżeli się szanuje, odpowiedź dać powinna; nasze milczenie byłoby nietaktem.

Odpowiedź musi być ogólnikowa, by wszystkich zadowolniła. Musi być w niej stanowczo wyrażona chęć budowania państwa polskiego. Co się tyczy słów p. Studnickiego, wzywającego policję niemiecką do większej gorliwości, to osobiście pójdzie do więzienia, jeżeli go władza polska będzie uważała za stosowne tam zaprowadzić, ale nie może się zgodzić na to, by to robiły obce ręce; wywołać to może bardzo ostrą odpowiedź, przed którą ludzie się nie zawahają.

## 15. VI. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na posiedzeniu poufnym w dn. 15. VI. 1917 r. Posiedzenie to poświęcone zostało w całości rozpatrzeniu projektów odpowiedzi mocarstwom centralnym na oświadczenie ich, złożone w dn. 8. VI. 1917 r.*

Brygadier Józef Piłsudski zaznacza, że każdy z przedstawionych projektów ma swoje dobre i złe strony. Projekt Departamentu Spraw Politycznych jest o tyle lepszym, że jest krótszy. Projekt A ma jaśniejsze, realniejsze określenia. Wywody p. Studnickiego do pewnego stopnia są słuszne [1]). Akt 5 listopada ma rzeczywiście inny charakter, niż inne akty, przede wszystkim dlatego, że jest on pisany na ziemi, a nie na wodzie.

Nie można jednak powoływania się na inne akty uznać za nieprzyzwoite, jak to mówił p. Studnicki, przeciwnie — powołując się na wszystkie te akty, trzeba z nich wyciągnąć jasne konsekwencje, a mianowicie: ponieważ dziś wszystkie państwa uznają niepodległość Polski, więc sprawa państwa polskiego nie może komplikować sprawy pokoju, a przeciwnie; budowanie państwa polskiego dziś, podczas wojny, nie stanowi żadnej międzynarodowej przeszkody i to muszą Niemcy uznać; w pertraktacjach pokojowych Polska nie może

[1]) Studnicki w przemówieniu swym podkreślił, że «jest nieprzyzwoitością stawianie aktu 5 listopada na równi z oświadczeniami innych mocarstw w sprawie polskiej, albowiem są to akty niejednakowej wartości». Państwa centralne «w akcie 5 listopada rozporządziły się tym, co faktycznie miały w swym posiadaniu, podczas gdy Rosjanie rozporządzają się tym, czego nie mają. Deklaracje innych państw są bardzo niewyraźne i ogólnikowe; poza tym zaś wszystkie one są kierowane ku temu, by poderwać akt 5 listopada i zniszczyć tę linię polityczną...»

być już przedmiotem targu; można jednak zwrócić uwagę na różnicę pomiędzy aktem 5 listopada a innymi aktami. Wspólnym w obu projektach jest imputowanie państwom centralnym pewnych poglądów w sprawie regenta oraz co do przysługujących okupantom praw z punktu widzenia prawa międzynarodowego; ale nie wiadomo, czy poglądy te są poglądami okupantów. Toteż imputować nic nie potrzeba; przecież 1 maja uznaliśmy warunki, dziś istniejące, za wystarczające dla istnienia regenta, nie możemy więc dziś mówić, że chcemy podjąć takie kroki i stworzyć takie warunki, żeby mogło nastąpić powołanie regenta w najkrótszym czasie. Powinniśmy zażądać od okupantów, by oni powiedzieli i wyjaśnili, jakie warunki uważają za pomyślne dla ustanowienia regenta. To samo rozumowanie tyczy się kwestii prawa międzynarodowego. Dlaczego my im mamy imputować, że chodzi o to, aby rząd polski zabezpieczył konieczności wojenne; to nie leży nawet w naszych interesach; powinniśmy zażądać od mocarstw centralnych wyjaśnienia, co, zdaniem ich, przyznaje im prawo międzynarodowe; takie powinno być nasze zasadnicze stanowisko względem mocarstw centralnych. Co się tyczy różnic w projektach, to ustęp, mówiący o naszych koniecznościach narodowych, w projekcie A jest jaśniej sformułowany, zaznaczone jest bowiem, że bez ministerium spraw zagranicznych, wewnętrznych, finansów i wojny — nie ma w ścisłym tego słowa znaczeniu niepodległego państwa. W projekcie Departamentu jest mowa tylko, że oczekujemy przekazania i pozostałych dziedzin życia. Co się tyczy kwestii regenta, to jest ona lepiej postawiona w projekcie Departamentu, chociaż też niejasno. Należy oba przedstawione projekty przemyśleć i stopić w jedną całość po uwzględnieniu zasadniczych poglądów, które tu wyraził.

## 2. VII. 1917

*Przemówienie poniższe wygłoszone zostało na dwudziestym posiedzeniu plenarnym w dn. 2. VII. 1917 r. Porządek dzienny przewidywał w punkcie pierwszym — «Budżet Tymczasowej Rady Stanu».*

Piłsudski prosi, by w budżecie członków Tymczasowej Rady Stanu skreślić jego pensję za czerwiec w sumie marek 1.200, ponieważ idzie w tej mierze zgodnie ze swą decyzją, zapowiedzianą już w początku czerwca, co do podania się do dymisji; uważa więc za niemożliwe pobieranie pensji za czerwiec. Przy tej sposobności pozwala sobie zaznaczyć motywy ustąpie-

nia. Do Rady Stanu wstąpił nie dla służby politycznej; uważał, że od samego początku formowania Rady Stanu były zrobione kroki błędne i Tymczasowa Rada Stanu nie reprezentowała całego społeczeństwa. Wtedy robił on próby, by Rada Stanu była wiernym odbiciem społeczeństwa. Próby mu się te nie udały, wobec tego postanowił do Rady Stanu wstąpić nie jako polityk, ale jako wojskowy. Był to czas, gdy próba niemiecka tworzenia wojska polskiego była w zaczątku — myślał, że może z niej coś będzie; przedtem były próby austriackie tworzenia wojska polskiego. Musi o próbach tych wypowiedzieć parę uwag, gdyż postępowanie niemieckie — to kopia postępowania austriackiego. Podstawą próby austriackiej było, że Legiony nie miały żadnego politycznego wykładnika polskiego, to samo cechuje i próbę niemiecką. W Polsce nie ma dotąd politycznego wykładnika dla wojska; za czasów próby austriackiej Legiony były «włączone» do armii austriackiej, obecnie są one dołączone («angegliedert») do armii niemieckiej.

Drugą zasadniczą cechą próby austriackiej była nieufność polityczna co do wysiłków samodzielnych społeczeństwa w kierunku formowania wojska. Wszystko jedno, czy było to dobrem, czy złem, ale tak było, wskutek tego mieliśmy do czynienia z opieką policyjną austriacką nad wojskiem polskim. Były więc w wojsku polskim specjalne przywileje dla oficerów, przedstawicieli mocarstw centralnych; życie w Legionach płynęło dwoma korytami — oficjalnym na zewnątrz i realnym wewnętrznym. Te prądy nie łączyły się. Przywileje niektórych oficerów doprowadziły do złych wyników; stworzyły się niejako dwa wojska: komenderujące i słuchające. To doprowadzało nieraz do śmiesznych, ale bardzo drażliwych konfliktów; pułkownik Legionów, będący uprzednio chorążym wojska austriackiego, przy zetknięciu się z nim był traktowany jako chorąży, a nie jako pułkownik. Na tym tle powstała śmieszna sprawa zmuszania Legionów do noszenia rozetek, a nie gwiazdek; zmuszano oficerów legionowych do poddawania się rozkazom niższych rangą oficerów austriackich. Wskutek tego wytworzyła się niesłychana nieufność; zasadniczym jej powodem była utopia austriackiej komendy armii wytworzenia wojska polskiego o charakterze austriackim. Utopie często mogą być sympatyczne, ale nie wtedy, gdy są przeprowadzone siłą. Odbijają się one wtedy fatalnie na samej sprawie. Utopia ta zdemoralizowała wojsko polskie na wewnątrz i doprowadziła go prawie do ruiny. Stworzono przywileje dla wszystkich oficerów, popierających utopię, powstało delatorstwo i osłabienie dyscypliny; w końcu tej próby

odpowiedzialni kierownicy Legionów, komendanci pułków, byli zmuszeni odnieść się do Naczelnej Komendy Armii z przedstawieniem, że jeśli wszystko tak ma pozostać, to lepiej Legiony rozwiązać [1]). Musieli taki wniosek postawić ludzie, których przywiązanie do wojska polskiego jest znane; skutkiem tych stosunków było ogromne zaostrzenie stosunków pomiędzy wojskiem austriackim a polskim, zamiast koleżeństwa nastąpiła niechęć i podejrzliwość. W takich warunkach wojsko polskie zostało oddane władzom niemieckim; gdy opuszczał front, panowało wówczas koleżeństwo broni i wielka przyjaźń pomiędzy wojskiem niemieckim a polskim; żeby się przekonać, jak jest teraz, dość pójść do Legionów i zobaczyć, co się tam dzieje. Próba niemiecka dała takie same rezultaty, jak austriacka. Wojsko polskie nie ma żadnej politycznej podstawy; pomiędzy wojskiem niemieckim i polskim panuje wzajemne niezaufanie; Polacy w ogóle nie wiedzą, czy Niemcy chcą wojska polskiego. Wojsko polskie zatraca wewnętrzną wartość — wszystko to jest wynikiem utopii niemieckiej; rozkład następuje jeszcze szybciej, niż za czasów austriackiej utopii, a to dlatego, że Niemcy nie mają tych plusów w stosunku do narodowości polskiej, jakimi mogą się wykazać Austriacy. Nie mają oni w swej armii tylu Polaków, co Austriacy, nie mają poddanych swego państwa w Legionach. Wobec tego, że od początku istnienia Rady Stanu ta utopia niemiecka nie tylko się nie zmniejszyła, ale rośnie i jej skutki stają się coraz widoczniejsze, patrząc pilnie na to wszystko po długiej walce moralnej, przyszedł do podobnego wniosku, jaki wyciągnął w Legionach za czasów rządów austriackich: że Legiony przy tej metodzie skazane są na zagładę. Jako jedyny przedstawiciel spraw wojskowych w Radzie Stanu, nie może brać na siebie odpowiedzialności za to i uważa, że jedyną służbą, jaką może jeszcze okazać swym braciom w wojsku polskim, ostatecznym ostrzeżeniem tych, których ostrzec należy, jest podanie się jego do dymisji. Powiedział ekscelencji Beselerowi, że brać odpowiedzialności za to, co się dzieje, nie może; powiedział, że trzy minuty do dwunastej, teraz mówi, że jest pół minuty! Referentem spraw wojskowych być nie może; głos zabrał w tej sprawie dlatego przy rozpatrywaniu budżetu, by z wyżej wymienionych motywów prosić o skreślenie jego pensji; zaznacza, że chociaż Rada Stanu nie ma wpływu na sprawę wojskową, ale społeczeństwo polskie myśli inaczej i myśli słusznie; nie może

[1]) Mowa o memoriale Rady Pułkowników z dn. 15. VII. 1916 r., wysłanym do naczelnej komendy austriackiej do Cieszyna.

bowiem być odpowiedzialny za sprawę wojska polskiego p. Beseler, gdyż jest on odpowiedzialny przed kim innym, a nie przed społeczeństwem polskim; odpowiedzialną może być tylko Rada Stanu; prosi więc, by Rada Stanu zgodnie z parlamentarnym zwyczajem uznała jego motywy i skreśliła pensję jego, swego urzędnika, który nie może brać odpowiedzialności za to, co się dzieje; poza tym zwraca uwagę i na wzgląd moralny; w ciągu czerwca nie miał on możności wykonywania w Komisji Wojskowej nawet drobnych spraw, a to tym bardziej, że brał na serio strajk Rady Stanu, nie może więc brać pensji [1]).

*Bezpośrednio po tym przemówieniu zabrał głos komisarz rządu austr.-węgierskiego baron Konopka po czym wygłosił przemówienie Piłsudski.*

Brygadier Piłsudski wyraża żal, że jego słowa wywołały nieporozumienie i replikę ekscelencji Konopki; uważa za swój obowiązek obiektywne przedstawienie stanu rzeczy; jest jednym z tych, którzy zachowali największą wdzięczność do śp. cesarza Franciszka Józefa za to, że pozwolił na formowanie się wojska polskiego; pomimo tego uważa za konieczne przedstawić obiektywny stan rzeczy i zaznacza, że Legiony wdzięczności swojej do cesarza Franciszka Józefa i Austrii dowiodły nie słowem, ale krwawymi bojami w Galicji. Przypomina, że gdy większość obecnej Rady Stanu była jeszcze moskalofilami, gdy wszyscy uciekali z Krakowa do Wiednia, wtedy on ze swoją brygadą staczał krwawe boje dla honoru polskiego i aby nie okazać się niewdzięcznym wobec państwa, które pierwsze pozwoliło na tworzenie armii polskiej. Dług wdzięczności został spłacony krwią.

*W dyskusji nad oświadczeniem J. Piłsudskiego o ustąpieniu z T. R. S. zabrał głos m. in. St. Bukowiecki, który stwierdzał, że ustąpienie Brygadiera Piłsudskiego «osłabi nie tylko Radę Stanu, ale wzmoże wzburzenie w wojsku polskim, gdyż brygadier Piłsudski cieszy się w nim ogromnym autorytetem. Jego ustąpienie będzie tragedią dla wielu ludzi w Legionach».*

Brygadier Piłsudski zabiera głos wskutek przemówienia p. Bukowieckiego; nie może zgodzić się na postawiony zarzut, że zbyt lekko odnosi się do sprawy i ucieka, gdy mu się coś nie podoba. Jeżeli chodzi o politykę Tymczasowej Rady Stanu,

---

[1]) Aluzja do uchwały zawieszenia obrad T. R. S., powziętej w dn. 15. V. 1917 r., jako protest przeciwko przewlekaniu przez państwa centralne realizacji aktu 5 listopada 1916 r.

to choć można mieć o niej bardzo krytyczne zdanie dla sprawy wojska, pracowałby nawet z tak dziwną instytucją, jak Klub Państwowców [1]), a cóż dopiero z tak sympatyczną instytucją, jak Tymczasowa Rada Stanu, ale nie widzi żadnej możności pracy; jest związany przede wszystkim z wojskiem i to nie teoretycznie, ale swoim życiem; oskarżać go o lekkie traktowanie spraw wojskowych nie można; zarzut ten możnaby raczej skierować przeciw innym członkom Rady Stanu. Jeżeli zdecydował się na ustąpienie, to napewno nie z lekkim sercem opuszcza placówkę; Rada Stanu, która tyle razy obrażliwie była usunięta w sprawach wojskowych, nie ma nic w nich obecnie do mówienia. Wzywają ją tylko wtedy, gdy ma coś w wojsku łagodzić; głos zabierać może tylko przez przedpokoje i osobiste stosunki, a nie prawnie. Nigdy nie chodził pokątnymi drogami, to też swą rolę uważa za skończoną. Rozumie, jakie ma znaczenie w sprawach wojskowych; los, szczęście, a może zdolności pozwoliły mu odegrać rolę w sprawie wojskowej w Polsce; ale zawsze tak było, mówiono mu: rób, ale jednocześnie kneblowano usta, krępowano ręce i nogi. To jest fakt. W wojsku polskim doczekaliśmy się ładnych rzeczy: są dziś trzy wojska polskie, a każde z państw wojujących chce mieć swoich Polaków.

Smutnie to o nas świadczy. Akt 5-go listopada ma realniejszy charakter, niż inne oświadczenie w sprawie polskiej, ponieważ jest pisany na ziemi, a nie na obłokach, i dlatego sprawy wojskowe u nas mają realniejszy kształt, niż gdzieindziej. Rozumie, że państwa centralne mają swoich Polaków, swoich poddanych, to hamuje sprawę i komplikuje ich stosunek do Królestwa; ale dla każdego człowieka, dla każdej instytucji musi istnieć pewne minimum wymagań, poza które wychodzić nie wolno. Może historia lub tu obecni panowie wypowiedzą ostry sąd o nim, ale sumienie nie pozwala mu więcej się zniżać. Prosi o niezarzucanie mu, że traktuje rzeczy lekko.

*Po tym przemówieniu, na prośbę J. Piłsudskiego przystąpiono do głosowania nad wnioskiem o skreślenie z budżetu 1.200 mk jego pensji za miesiąc czerwiec. Wniosek ten w głosowaniu upadł.*

*Po przejściu do punktu porządku dziennego: «Sądy Wojskowe» Brygadier Piłsudski odczytuje odnośny projekt, który brzmi jak następuje:*

---

[1]) Stronnictwo polityczne o nieznacznych wpływach, głoszące zasady polityki czynnej na gruncie aktu z 5 listopada i daleko posuniętego współdziałania z władzami okupacyjnymi.

*«Zważywszy, że istnienie dwu odrębnych procedur wojskowych karnych wprowadza i utrwala podział Legionów Polskich, sprzeczny z ich moralną, narodową i historyczną jednością, uniemożliwiając kadrowe wykorzystanie całości dla celów budowy Armii Polskiej, Tymczasowa Rada Stanu uchwala: 1) zwrócić się do Najjaśniejszego Pana Cesarza Austrii, króla Węgier z prośbą, oraz z przedstawieniem do wysokiego c. i k. rządu austriackiego o zwolnienie na czas trwania wojny z przysięgi poddanych austriackich narodowości polskiej, nie będących oficerami zawodowymi (Berufsoffizier) c. i k. armii, względnie nie należących obecnie do składu c. i k. armii oficerów i żołnierzy, przynależnych do polskiego Korpusu Posiłkowego, przekazanego z woli Najjaśniejszego Pana Cesarza Karola I armii polskiej, jako formacja kadrowa tejże armii. Do czasu przychylnego rozstrzygnięcia sprawy powyższej a) prosić o pozwolenie, by poddani austriaccy, należący do Legionów, mogli złożyć przysięgę wojskową polską, uchwaloną przez Tymczasową Radę Stanu, a zatwierdzoną przez obu monarchów państw centralnych, pozostając w armii polskiej na czas trwania wojny, b) prosić o pozwolenie, by wszyscy oficerowie i żołnierze Legionów Polskich na czas trwania wojny podlegali wojskowej ustawie karnej i procedurze sądowo-karnej, przyjętej dla armii polskiej. 2) Przyjąć niemiecką wojskową ustawę karną (20 VI 1872) oraz procedurę sądową karną (1 XII 1898), jako ustawę i procedurę, obowiązującą czasowo i przejściowo armię polską — analogicznie do wszelkich innych regulaminów i ustaw wojskowych. 3) W związku z punktem poprzednim Tymczasowa Rada Stanu powierza specjalnej Komisji spolszczenie i opracowanie ustaw wymienionych. Komisja ma funkcjonować przy Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu w następującym składzie: jeden delegat Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu, dwóch oficerów Sądu Polowego Komendy Legionów Polskich, dwóch delegatów Departamentu Sprawiedliwości Tymczasowej Rady Stanu. 4) W myśl punktu II pisma cesarsko-niemieckiego Generał-Gubernatorstwa Warszawskiego z dn. 12-go bieżącego miesiąca oraz w związku z motywacją wstępną uchwał niniejszych, Tymczasowa Rada Stanu uchwala, iż wykonywanie sądownictwa w armii polskiej powierzone być winno wyłącznie oficerom polskim, bez względu na ich przynależność państwową, przy jednoczesnym wykorzystaniu fachowych sił obecnego personelu sędziowskiego Legionów Polskich. W wypadku, gdyby liczba rozporządzalnych, fachowo uzdolnionych do pełnienia służby sądowniczej oficerów polskich («Militär-*

*justizbeamten») okazała się nie wystarczającą, Tymczasowa Rada Stanu poleca Departamentowi Sprawiedliwości i Komisji Wojskowej wyszukanie fachowców, którzy, wstąpiwszy do armii polskiej, służbę powyższą objąćby mogli. 5) W związku z uchwałami powyższymi Tymczasowa Rada Stanu postanawia zwrócić się do oficerów legionowych z wezwaniem podjęcia czynności sądowniczych»* [1]).

W dalszym ciągu Brygadier Piłsudski informuje, że wniosek jest wywołany przez to, że pierwsze próby wprowadzenia sądownictwa w Legionach napotkały na opór. Oficerowie legionowi boją się, że w ten sposób będzie utrwalony i pogłębiony podział na dwie części w Legionach; jedna część będzie sądzona według przepisów austriackich, inna część według niemieckich. Niebezpieczeństwo takie niewątpliwie istnieje. Dla austriackich poddanych ma być c. i k. sąd w Piotrkowie, a Naczelna Komenda armii powiedziała, że będzie legionistów sądzić tylko wtedy, gdy nie będą oni należeli do Legionów, tzn., że każdy oficer, czy żołnierz, posądzony o cokolwiek, zostaje niejako wyrzucony z Legionów, gdyż inaczej nie może być sądzony; zwraca uwagę na otwierającą się możliwość wyrzucania ludzi z Legionów na podstawie podejrzeń. Prawnicy twierdzą, że ustawa sądowa niemiecka jest lepsza od austriackiej. Chodzi tu jednak przede wszystkim o jednolitość sądzenia wszystkich legionistów. Należy się zwrócić do cesarza austriackiego z prośbą, by zezwolił, aby poddani austriaccy w Legionach podczas wojny byli sądzeni według procedury, przyjętej w armii polskiej. Dalej zaznacza, że punkt 5 projektu ma sens tylko przy przyjęciu innych punktów, z którymi jest «iunctim» [2]) związany.

---

[1]) Wniosek ten, ze zmianami, wywołanymi wyjaśnieniem bar. Konopki w sprawie zwolnienia od przysięgi poddanych austriackich, w głosowaniu został przyjęty.

[2]) iunctim — łącznie.

## *LIST DO KSIĘCIA ZDZISŁAWA LUBOMIRSKIEGO*

*List Józefa Piłsudskiego, wraz z dwoma załącznikami, wystosowany do członka Rady Regencyjnej ks. Zdzisława Lubomirskiego, opublikowany po raz pierwszy w książce Jana Lipeckiego (Ireny Pannenkowej) p. t. «Legenda Piłsudskiego» i przedrukowany w IV t. «Pism — Mów — Rozkazów», pisany był w Magdeburgu, w lipcu 1918 r. Miał on na celu dostarczenie argumentów Radzie Regencyjnej, która starała się — zresztą bezskutecznie — o zwolnienie Piłsudskiego z więzienia.*

Jaśnie Oświecony Książę i Panie!

Już zaraz po ukonstytuowaniu się Rady Regencyjnej i pierwszego ministerium [1]) miałem zamiar zwrócić się do Księcia z prośbą o łaskawe zajęcie się moją sprawą. Zdecydowałem się wówczas jednak powstrzymać się od tego kroku, a to dla następujących motywów. Wiedziałem z góry, że Panowie, będąc powołani do obrony interesów ojczyzny, przede wszystkim będziecie mieli do czynienia ze sprawami, nad którymi poprzednio ja pracowałem, a które, niestety, doprowadziły mnie do więzienia. Mianowicie z Radą Stanu, do której miałem nieszczęście należeć, i z Legionami, z którymi — co uważam sobie za zaszczyt — moje imię nierozerwalnie jest złączone. Obie te sprawy niezmiernie skomplikowane i za nic w świecie nie chciałem ich Panom komplikować jeszcze bardziej swoją osobą i swymi sprawami. To też postanowiłem zaczekać, aż obie sprawy o tyle się wyklarują, że moja osoba nie będzie im dodawała niepotrzebnych komplikacyj. Przypuszczałem, że bieg wypadków będzie znacznie szybszy, lecz po wzięciu decyzji postanowiłem w niej wytrwać, chociaż, Bóg widzi, jak trudno mi było wprost moralnie nie zwrócić się o opiekę do pierwszego jako tako zorganizowanego rządu mojej ojczyzny.

[1]) Rada Regencyjna utworzona została w dn. 12. IX. 1917 r. Pierwszy gabinet Jana Kucharzewskiego mianowany został przez Radę Regencyjną w dn. 8. XII. 1917 r.

Ze skąpych wiadomości, jakie znajduję w pismach tutejszych, wiem, że obie sprawy, o których mówiłem wyżej, doczekały swego ostatecznego rozstrzygnięcia. Rada Stanu, w której ongi zasiadałem, nie istnieje: zamiast niej zebrała się już nowa, która oby miała więcej autorytetu w kraju i na zewnątrz [1]). A Legiony zostały rozwiązane i znajdują swój smutny koniec w więzieniach i na ławie oskarżonych, w każdym zaś razie należą już do historii, a nie do czynników, mających wpływ na chwilę bieżącą [2]).

Wypadki te, według mego zdania, są i dla mnie końcem mojej roli publicznej podczas wojny. Stawią mnię one w szereg szarych, nieoficjalnych, «prywatnych», że tak powiem, Polaków. Wyznam otwarcie Księciu, że do tej «prywatności» ogromnie tęsknię, chociażby dlatego, że jedynym znamieniem mojej «oficjalności» jest... więzienie.

Poza tym nie ukrywam wcale, że względy czysto prywatnej natury zmuszają mnie poprostu do tego, bym możliwie dużo czasu poświęcił na uregulowanie zawikłanych stosunków familijnych i na prace dla załatwienia zaciągniętych zobowiązań równie prywatnych. W przeciągu wojny przecież zająć się tym nie mogłem, służbę w wojsku pełniłem, prawie nie pobierając pensji, a właśnie podczas wojny stosunki moje prywatne zawikłały się jeszcze bardziej, niż to było przedtem.

Gdy więc osoba moja, specjalnie po zakończeniu sprawy legionowej, pracy rządu polskiego skomplikować już nie może, a istnienie moje, jako prywatnego człowieka, wymaga coraz bardziej mojej pracy, zdecydowałem się zwrócić do Księcia w celu przyspieszenia rozwiązania mojej sprawy w jakikolwiek sposób.

Zostałem uwięziony rok temu, dn. 22-go lipca. Przy aresztowaniu byłem przekonany, że stoi ono w ścisłym związku z jakimiś nieznanymi mi jeszcze zajściami w Legionach. Wobec tego zaś, że sam prosiłem o to, bym mógł dzielić zły czy dobry los tych, których na wojnę wyprowadziłem, nie uważałem za stosowne ani pytać o przyczyny, ani w jakikolwiek sposób protestować przeciwko aktowi.

---

[1]) Piłsudski Tymcz. Radę Stanu nazywa w skrócie Radą Stanu. Tymcz. Rada Stanu podała się do dymisji w dn. 25. VIII. 1917 r., po czym utworzona została w dn. 4. II. 1918 r. Rada Stanu, składająca się ze 110 członków.

[2]) Po odmowie przysięgi przez pułki b. I i III Brygady, oficerowie i szeregowi, pochodzący z Królestwa Kongresowego, zostali internowani w obozach jeńców (Benjaminów i Szczypiórno), a poddani austriaccy wcieleni do wojska austriackiego i wysłani na front włoski.

Ku wielkiemu memu zdumieniu dowiedziałem się z wypadkowo przeczytanej gazety, że powodem mego uwięzienia jest sfałszowanie dokumentów dla swojej podróży. To samo czytałem w różnych dziennikach przy przewożeniu mnie z więzienia do więzienia z dziwacznymi hipotezami co do celu tego fałszerstwa. Gazeciarskie te wiadomości powoływały się na półurzędowe biuro prasowe w Warszawie. Zwróciłem się natychmiast do eksc. von Beselera. Wykazałem w nim wszystkie dokumenty podróżne, których używałem w Warszawie, i przedstawiłem całą nielogiczność podobnego oskarżenia, gdy, jako członek Rady Stanu, miałem prawo do swobodnej podróży, zagwarantowane przez obie władze okupacyjne.

Jako odpowiedź otrzymałem papier, podpisany przez podpułkownika Nothe'go [1]). Papier ten stwierdza niesłuszność poprzedniego oskarżenia i na dowód, że odwołane zostało w ten sam sposób, jak zostało postanowione, — w prasie — załączono mi numer 211 z 3-go sierpnia 1917 r. «Warschauer Zeitung» z artykułem «Zur Verhaftung Piłsudski's» [2]). W artykule tym poza odwołaniem poprzedniego oskarżenia, znalazłem nowe publicystyczne wyjaśnienie rzekomej mej winy. Wina ta tym razem związana była z pracą i działalnością P. O. W.

Artykuł ten bardzo jednostronnie przedstawia pracę P. O. W. Zbyt dobrze myślę o informacyjnych zdolnościach wojska niemieckiego, aby te jednostronne, albo nawet wręcz sprzeczne z prawdą gazeciarskie oskarżenie uważać za istotne dla mojej sprawy. Na wszelki wypadek załączam w załączniku nr 2 odpowiedź na powyższy artykuł. Przypuszczam, że było to publicystycznym usprawiedliwieniem faktu mego uwięzienia, odpowiadającym potrzebom danej chwili.

Że tak jest istotnie, dowodzi zresztą treść głównego punktu, który twierdzi, że ta właśnie moja działalność, związana z P. O. W., nie daje się pogodzić ze stanem kraju, znajdującego się na tyłach armii, walczącej ciężko z Rosją. Polska dawno przestała być tyłami armii walczącej, nie wiem, co się z P. O. W. stało, ale wątpię, by mi ktokolwiek mógł przypisać teraz odpowiedzialność za nią, a jednak sprawa moja pozostaje dla mnie jakąś zagadką, której na podstawie wszystkich mi danych rozwiązać nie jestem w stanie.

Nie jestem prawnikiem, a specjalnie praw niemieckich nie znam zupełnie. Jedyne moje zetknięcie z prawami, rządzą-

---

[1]) Ppłk. Nothe, adiutant gen. Beselera.
[2]) W sprawie aresztowania Piłsudskiego.

cymi więzieniem, odbywało się na tle stosunków politycznych dawnej Rosji, stosunków, które powszechnie są uznane, jako najbardziej średniowieczne. Więc gdy zestawiam wszystko, com przebył od czasu mego uwięzienia i staram się odgadnąć na tej podstawie przyczyny takiego postępowania ze mną, mierzę je znanymi mi stosunkami rosyjskimi. Dodaję zaś na swoją niekorzyść całą różnicę, jaka istnieje pomiędzy kulturą prawną Niemiec a barbarzyńskiej Rosji.

Bo proszę. Od samego początku aż do tej chwili — więc przez rok cały — jestem skazany na absolutną samotność, wtedy, gdy więzienie celkowe, skazujące na samotność, wszędzie jest uważane jako surowa kara, albo stosowane jako środek prewencyjny przy śledztwie dla uniknięcia szkodliwych dla biegu sprawiedliwości działań oskarżonego w celu usunięcia dowodu winy. W Szlüsselburgu, najcięższym więzieniu rosyjskim, więzień już po paru tygodniach miał kolegę, z którym mógł dzielić swój smutny los. Do mnie, powtarzam, ta kara, albo środek prewencyjny, stosowany jest w przeciągu całego roku.

Nie mogę nie widzieć dalej, że w stosunku do mnie zastosowana jest duża doza tajemniczości i starannej izolacji od zetknięcia ze światem zewnętrznym — rzeczy, zwykle spotykane przy tzw. przestępstwach stanu.

Następnie, jeszcze wtedy, gdym dostatecznie nie zgłębił położenia, w którym się znajduję, spowodowany komplikacjami rodzinnymi, zwróciłem się był z podaniem, aby mi dozwolono wyjechać do kraju na kilka tygodni dla uregulowania najpilniejszych potrzeb, ręcząc słowem honoru, że się stawię do rozporządzenia z upłynięciem wyznaczonego terminu. W razie niemożliwości prosiłem o pozwolenie przyjazdu do mnie kogokolwiek z rodziny lub najbliższych przyjaciół dla tegoż celu. Na pierwszą otrzymałem wyraźną odmowę, na drugie niewyraźną, gdyż odpowiedzi nie udzielono. W ten sposób zostałem pozbawiony wielkiej części swych praw cywilnych, czego ciężkie konsekwencje, niestety, nie ja sam ponosić muszę.

Wreszcie nawet listowne komunikacje są obstawione jakimiś nieznanymi mi środkami ostrożności. Niekiedy miesiącami całymi nie otrzymuję ani jednego słowa, a widocznie cenzura jest bardzo pilna, gdy zwyczajna kartka potrzebuje dwóch, często więcej miesięcy, aby przejść przez jej sito.

Powtarzam, nie znam praw niemieckich, lecz gdyby wszystko to spotkało mię w Rosji, powiedziałbym sobie, że jestem oskarżony o poważne przestępstwo stanu. Na podwyższenie tej powagi dodaję, jak mówiłem, całą różnicę pomiędzy

kulturą prawną Niemiec a Rosji. Dodatkowo zaś obciążam swe położenie przez okoliczność, że te nadzwyczajne środki zastosowane są do człowieka, który przez dwa długie lata walczył bok o bok z wojskiem państw centralnych przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi i któremu, gdy zachodziła potrzeba po temu, nie wahano się oddawać pod komendę własne oddziały wojskowe. Gdy biorę pod uwagę wysoko rozwiniętą kulturę wojskową Niemiec z daleko posuniętym poczuciem koleżeństwa broni, czego sam byłem świadkiem i obiektem podczas wojny, nie mogę nie przyjść do przekonania, że tylko nadzwyczajne powody i przyczyny skłaniać mogą do podobnego traktowania swego kolegi wojennego.

Dodam jeszcze, że na jedno z moich pytań, na jakiej podstawie jestem trzymany w więzieniu, otrzymałem odpowiedź, że dzieje się to na podstawie następującego prawa, które tu dosłownie przytaczam.

*Abschrift aus dem Verordnungsblatte 1914, Seite 291. Abs. 2.*

*Die höheren Kommandoführer sind ferner befugt, kraft der ihnen über die feindlichen Untertanen zustehenden Gewalt, diejenigen polizeilichen Massregeln vorzunehmen, welche von ihnen zur Sicherheit der Truppen für erforderlich erachtet werden, zum Beispiel Verhaftung feindlicher Untertanen, Freiheitsentziehung auf bestimmte oder unbestimmte Zeit, Abführung nach dem Innlande usw.* [1])

Nie potrafię powiedzieć, jak pogodzić określenie «feindliche Untertanen» [2]) z Polską, wzywaną przez publiczny akt obu monarchów do walki ze wspólnym wrogiem, tym mniej potrafię to pogodzić, gdy się to stosuje do mnie, który już dwa lata tę wspólną walkę odbywał i przez tychże monarchów powołany był do spełniania zaszczytnego urzędu. Ale nawet przypuściwszy, że to nic nie znaczy i że nie straciłem smutnego prawa, a raczej braku praw, byłego rosyjskiego poddanego, to po zawarciu z Rosją pokoju i tak przestałem być «feindlicher Untertan». Powtarzam, nie jestem prawnikiem i nie ośmielę się swych nieprawniczych wątpliwości postawić ponad prawo.

---

[1]) Odpis z Dziennika Rozporządzeń 1914, str. 291, ustęp. 2.

Wyżsi dowódcy są poza tym uprawnieni mocą władzy, przysługującej im w stosunku do poddanych nieprzyjacielskich, do zastosowania tych policyjnych zarządzeń, które przez nich uważane są za potrzebne dla bezpieczeństwa wojsk: na przykład, zaaresztowanie poddanych nieprzyjacielskich, pozbawienie wolności na czas określony lub nieokreślony, odstawienie do wnętrza kraju itd.

[2]) Poddani nieprzyjacielscy.

Zauważyć jednak muszę, że punkt ten nie daje w żadnym wypadku wytłumaczenia dla trzymania mnie w więzieniu w nadzwyczajny — inaczej tego nazwać nie mogę — sposób, ani tych dodatkowych ciężarów pozbawienia mnie wolności, których jestem obiektem.

Wobec tego wszystkiego badałem sumiennie — miałem czas po temu — całą swoją pracę i działalność podczas wojny, szukając w niej przyczyny dla swego losu. Otwarcie wyznaję, nie znalazłem jej. Pozwolę sobie w załączniku nr 1 przedstawić moją pracę w ciągu wojny. Uważam to za konieczne ze względu, że przy spotkaniach moich z Księciem w Warszawie nigdym tych rzeczy nie poruszał, więc mogę przypuszczać, że oświetlenie ich z mojej strony, chociażby dla zasady «audiatur et altera pars», przyczynić się może dla wyrobienia obiektywnego o nich sądu. Przytoczę tutaj swe ostateczne wywody.

Z przedstawienia sprawy, którą tu (w załączniku) podałem, a które najzupełniej jest szczerym, wynika, że przez cały czas wojny, będąc przekonanym, że interesa mojej ojczyzny wymagają czynnego wystąpienia po stronie mocarstw centralnych w ich wojnie z Rosją, dawałem temu wyraz w mojej pracy nawet wtedy, gdy byłem pozostawiony własnym siłom i gdy szedłem wbrew opinii ogromnej większości swego narodu, jak to było na początku wojny. Dalej, służąc mojej ojczyźnie jako żołnierz, gdy warunki ograniczały wojsko do kompletowania jedynie za pomocą ochotników, wszystkie swe siły, prace i plany przystosowywałem nie do czego innego, jak do możliwego rozrostu sił wojskowych, nie przypuszczając ani chwili, żeby ta praca stać mogła w sprzeczności z interesami państw centralnych, które zresztą w akcie 5-go listopada wyznaczyły jako główny cel dla stworzonej przez nie Rady Stanu — sformowanie ochotniczego wojska narodowego.

Następnie, byłem i podczas swej służby w Legionach, i w pracy w Radzie Stanu przeciwnym względem metod, stosowanych dla formowania wojska, gdyż, pomijając już wszelkie inne względy, nie osiągnęły one — według mego najgłębszego przekonania — swego celu. Ochotników do wojska nie przyciągały, owszem — odstraszały, a rozdrażnienie, przez nie wprowadzane, psuło dobre stosunki danego państwa do Polski.

Potem we wszystkich wypadkach, gdy następowały momenty kryzysu w wojsku, staraniem moim było zawsze zapobiec ekscesom i ostrym starciom, które wyniknąćby mogły.

W obu swych pracach: w Legionach i w Radzie Stanu zawsze lojalnie i otwarcie, nie robiąc czego innego w oczy, a czego innego za plecami, wypowiadałem swoje zdanie, wy-

czerpując wszystkie zależne ode mnie środki, dla przekonania miarodajnych czynników o konieczności zmiany metody na inną, skuteczniejszą, według mego zdania.

Wreszcie, gdy spostrzegłem, że osoba moja, zamiast pomóc sprawie, tylko jej szkodzić może, usuwałem się na stronę, do życia prywatnego, nie szukając absolutnie niczego z tytułu mych zasług czy pracy.

Wobec tego wszystkiego ani na chwilę przypuszczać nie mogę, aby przyczyną mego uwięzienia, a tym bardziej traktowania mnie w nim ponad przeciętną miarę surowo, mogła być moja otwarta i lojalna krytyka metody formowania wojska, specjalnie w Radzie Stanu, gdzie po prostu obowiązkiem moim było zdania nie ukrywać. Przypuszczenie takie przeczyłoby, zdaniem moim, prostemu uczuciu sprawiedliwości i prawnej kulturze o europejskim poziomie.

Oskarżenia, związanego z P. O. W., powtarzam, na serio traktować nie mogę i zresztą nie daje mi ono klucza do nadzwyczajnych środków, stosowanych do mnie. Oskarżenie kryminalne co do fałszerstwa papierów upadło w tej samej chwili, gdy zostało postawione.

Nic dziwnego, że przyszedłem do przekonania, że prawdopodobnie jestem podejrzany o jakąś zbrodnię stanu, o naturze bardzo ciężkiej, która na razie udowodnić się nie daje. Innego wytłumaczenia nie znajduję.

Gdyby mnie zapytano, o jakie właściwie przestępstwo mogę być podejrzany, odpowiem szczerze i poprostu, że nie mam o tym najmniejszego wyobrażenia. Lecz jeżeli śledcza wyobraźnia, szukająca mojej winy, mogła mi kazać fałszować papiery dla podróży, gdy miałem sobie zagwarantowaną wszelką swobodę ruchu, to nie jest wykluczonym wcale i jakikolwiek inny kierunek tych poszukiwań.

Inaczej tego, co się ze mną dzieje, wytłumaczyć nie mogę. Nie jestem wcale internowany, jak to czytałem w pismach, i jak, zdaje się, wyobraża sobie wielu z moich rodaków. Jestem uwięziony, a warunki, stworzone dla mnie, mówią albo o karze bez sądu, albo o ostrym więzieniu śledczo-prewencyjnym. Wobec tego, gdy się zwracam do Księcia, to proszę przede wszystkim o starania o to, czego najcięższym zbrodniarzom się nie odmawia — o sąd. I podkreślam, nie proszę o żadne ulgi pod tym względem. Wszystko mi jedno, jaki to sąd będzie: polski, austriacki, czy niemiecki; cywilny, wojskowy, czy polowy. Niech raz się dowiem, co popełniłem takiego, że już od roku nie mogę do nikogo przemówić słowa. Niech raz moje ciężkie przewinienia będą sądownie rozpatrzone i niech wre-

szcie na moją winną głowę spadną wyroki najsurowszego — ale prawa.

Będę z niecierpliwością oczekiwał odpowiedzi Księcia i proszę przyjąć zapewnienie głębokiego szacunku, z jakim pozostaję.

Sługa

J. Piłsudski.

Więzienie w Magdeburgu, 22 lipca 1918 r.

---

## *ZAŁĄCZNIK NR 1*

Przed wojną stałem na czele najliczniejszego odłamu tzw. ruchu strzeleckiego. Podstawowymi zasadami ruchu były: a) dążenie do niepodległości ojczyzny, b) bezpartyjność organizacji, c) obietnica posłuszeństwa rządowi polskiemu, gdy na ziemiach polskich powstanie.

W oczekiwaniu wojny, zastanawiając się nad położeniem Polski, która stać się miała teatrem wojny i której synowie stanąćby musieli z bronią w ręku do bratobójczej walki, przyszedłem do przekonania, że interesa mojej ojczyzny wymagają czynnego wystąpienia po stronie mocarstw centralnych w ich wojnie z Rosją. Wobec tego, gdy mi zaproponowano, wszedłem w stosunki ze sztabem cesarskiej i królewskiej armii austro-węgierskiej. W stosunkach tych trzymałem się następujących wytycznych, którym do końca pozostałem wierny. Po pierwsze — żadnej pieniężnej zależności, po drugie — żadnych umów politycznych. Pierwsze jest zupełnie zrozumiałem, była to kwestia honoru ruchu, który reprezentowałem. Drugie wynikało z podstawowych zasad ruchu strzeleckiego, który unikał brania na siebie i swoją odpowiedzialność spraw politycznych, pozostawiając to rządowi swej ojczyzny, umowom tego z innymi rządami i wreszcie nakazom w stosunku do wojska, które z góry zupełne tym nakazom posłuszeństwo ślubowało. Zadanie swoje na początku wojny uważałem jako postawienie przed narodem kwestii, na którą odpowiedź dać musieli ojcowie, — nie dzieci, zebrane w wojsku.

Za zgodą więc sztabu wyprowadziłem w pole pierwsze oddziały strzeleckie w omówionym kierunku na Kielce. Oddziały strzeleckie, sformowane przeze mnie czy też przez najbliższych mych pomocników, legły jako podstawa dla później-Legionów.

Już w drugiej połowie sierpnia, po uformowaniu się Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie, wypłynęła kwestia polityczna w postaci przysięgi i jej formuły. Nie mogę ukryć, że kwestia ta od razu groziła ostrym przesileniem. Młodzież strzelecka odnosiła się z głęboką niechęcią do brania na siebie odpowiedzialności politycznej za całą Polskę i rozstrzygania w jej imieniu zawiłych spraw politycznych, związanych z przysięgą. Wszyscy strzelcy przed przysięgą zażądali ode mnie rozkazu, składając na moje barki odpowiedzialność, której bardzo słusznie sami ponosić nie chcieli. Nie będę tu wchodził w motywy mego postępowania, dosyć, że tę odpowiedzialność przyjąłem i rozkaz złożenia przysięgi wydałem.

Ku wielkiemu memu zdumieniu przysięga okazała się podwójną — inną w Krakowie, gdzie były skoncentrowane oddziały, przygotowujące się do wymarszu, inną w Kielcach, gdzie byłem ja z tą częścią strzelców, która zaraz po wybuchu wojny wyszła w pole. W Krakowie składano ogólno-austriacką przysięgę wojskową. My w Kielcach złożyliśmy przysięgę ś. p. cesarzowi Franciszkowi Józefowi, jako królowi polskiemu. Dla ścisłości zaznaczę, że z kieleckiego oddziału rozwinęły się: I Brygada piechoty, 1-szy pułk ułanów i większa część artylerii, poza tym z niego wyszła wielka ilość oficerów i podoficerów w obu innych Brygadach, gdzie kariera okazała się znacznie łatwiejsza, niż w oddziałach, dowodzonych przeze mnie.

Nie będę się zatrzymywał na dwuletniej mojej pracy czysto wojennej, na czele oddziału (brygada piechoty, pułk ułanów i kilka bateryj artylerii), który zorganizowałem i prowadziłem samodzielnie bez żadnej pomocy ze strony oficerów cesarskiej i królewskiej armii. Sądzę bez zarozumiałości, że nie zrobiłem nigdy wstydu orężowi polskiemu, przeciwnie — zyskałem dla siebie i podwładnego mi oddziału pewną dozę sławy. Pozwolę sobie jedynie z tej dziedziny podkreślić, że gdy teraz jestem traktowany, jako «feindlicher Untertan», wtedy oddawano mi nieraz, gdy tego zachodziła potrzeba, pod komendę w bojach poszczególne części wojsk austriackich, węgierskich i niemieckich.

Przechodzę do tarć wewnętrznych, które były stałym zjawiskiem w życiu Legionów, a które doprowadziły mnie do złożenia swej dymisji. Zatrzymać się muszę na nich dłużej, gdyż motywy moje w tym okresie były dla mnie miarodajnymi i przy pracy w Radzie Stanu, i dla mojej z niej dymisji. Związane one były zawsze z dwoma dziedzinami życia wojskowego — organizacyjną i polityczną. Przy czym zaznaczam od razu, że obie te dziedziny bardzo ściśle się przeplatały, nie dając

się nigdy oddzielić. Odpowiadały one dwom głównym, podstawowym namiętnościom, które doprowadzały młodzież polską do własnowolnej ofiary ze swego życia — wybujałemu, drażliwemu w drobnostkach, nadczułemu na dotknięcie i obrazę uczuciu patriotycznemu i równie drażliwej ambicji młodego żołnierza polskiego, zdobywającego własnymi siłami uznanie dla swej wartości w ciężkiej wojnie.

Przed wojną, przygotowując się do pracy, w ciągu kilku lat przestudiowałem prawie wszystkie próby formowania wojsk ochotniczych w ostatnim stuleciu — udane i nieudane. Niestety, tych pierwszych było bardzo mało. Zmierzyłem więc ogromne trudności takiego przedsięwzięcia. Te trudności są tak olbrzymie, że — poza paru entuzjastami — teoretycy kwestii niecierpliwie i z niechęcią machają na nią ręką, jako na sprawę straconą, z góry skazaną na niepowodzenie, klęski i porażki. Wyznaję, że z trwogą przystępowałem do eksperymentu, nie byłem przecie tak młodym i łatwo zapalnym entuzjastą, jak większość moich podkomendnych, i zdawałem sobie jasno sprawę z ujemnych stron, nieodłącznych od improwizowania wojsk ochotniczych. Trudności te dadzą się sprowadzić do następujących głównych punktów:

1) Materiał rekrucki, który najczęściej musi być organizowany i uczony prawie pod kulami nieprzyjacielskimi, a w każdym razie w ciągłej możliwości zetknięcia się z nimi.

2) Zupełny brak uregulowanych przez prawo i długie lata pokojowe wewnętrznych stosunków służbowych.

3) Kapryśność każdego materiału ochotniczego, której następstwem jest swoistość dyscypliny wojskowej, która cechuje wszystkie formacje ochotnicze. Stąd niezwykła łatwość demoralizacji przy niepowodzeniach i odwrotnie, przy powodzeniach wzrost wygórowanej i drażliwej ambicji żołnierskiej. I jedno, i drugie wytwarza warunki, przy których opanowanie podwładnych przez wyższych i niższych dowódców należy do zadań niezwykle trudnych.

Wszystkie te warunki z niezwykłą łatwością wytwarzają u żołnierzy przekonanie o swej niższości w porównaniu z nieprzyjacielem lub, co jest jeszcze gorsze, predysponują one niejako podobne formacje do wewnętrznego nieporządku, zaniku dyscypliny i zaufania wzajemnego pomiędzy dowództwem i żołnierzami, podmywają jakby główny filar, na którym stać musi każda budowa wojskowa — bezsprzeczny autorytet przełożonego w stosunku do swego podwładnego.

Specjalnie dla naszych warunków obciążającym dodatkiem były: a) zmienność charakteru narodowego u Polaków,

b) prawdopodobna niższość uzbrojenia i wyekwipowania technicznego w porównaniu z nieprzyjacielem i c) brak wyszkolenia praktycznego nawet wśród tych, co mieli się stać kadrowym materiałem dla następnych rekrutów.

Przyszli i obecni krytycy mojej pracy znajdą i znajdują prawdopodobnie wiele do zarzucenia memu postępowaniu i, naturalnie, nie jest ono bez «ale». Niechybnym jednak faktem jest, że dzięki systemowi, który zastosowałem w tych niesłychanie ciężkich warunkach, zdołałem opanować o tyle ten kapryśny materiał, że zyskałem u swych podwładnych nie tylko znane powszechnie gorące przywiązanie i miłość, lecz i zupełne zaufanie wraz z absolutnym posłuszeństwem dla siebie i dla każdego przełożonego, postawionego przeze mnie. Rzecz ta dotąd napawa mnie dumą i wzrusza serce, gdy myślę o tym, tym bardziej, gdy nie miałem w swym rozporządzeniu żadnych środków dla przywiązania do siebie ludzi za pomocą łatwej kariery albo materialnego dobrobytu — te środki zawsze były w ręku u przeciwników mego systemu.

Nie będę zatrzymywał się nad szczegółami systemu, wybranego zupełnie świadomie przeze mnie. Ogólnikowo jedynie zaznaczę, że opierałem się w nim na przemożnych namiętnościach, które skłaniały ochotników do własnowolnego oddawania swego życia do rozporządzenia, — na drażliwym, jak już zaznaczyłem, patriotyzmie i na ambicji stania się własnymi siłami dobrym żołnierzem. Starałem się te silne u legionistów uczucia przekuć na wartości ogólno-żołnierskie: odwagę i spokój w boju, sumienność w spełnianiu obowiązku, dyscyplinę w wewnętrznych stosunkach i posłuszeństwo przełożonym.

Lecz nie dosyć jest wybrnąć z trudnej sytuacji i przetwarzać ochotników na wojsko, zdatne do użycia w walce z nieprzyjacielem. Trzeba umieć je stale uzupełniać, a nawet, gdy się chce utrzymać namiętności ochotnicze w napięciu, zapewnić takiemu wojsku rozwój. Jednym słowem, trzeba umieć ściągnąć do wojska możliwie wielką ilość ochotników. Zadanie to ściśle jest związane ze stroną polityczną wojska, a pod tym względem Legiony były zupełną anomalią.

Każde wojsko służy celom politycznym swojej ojczyzny, każde zaś ma za sobą wyobraziciela tej polityki, wyobraziciela, któremu jest posłusznym. Tym wyobrazicielem jest rząd, tak czy inaczej zorganizowany. W ten jedynie sposób wojsko oswobodzone jest od zajmowania się polityką, rujnującą podstawę istnienia każdego wojska — dyscyplinę i duch posłuszeństwa przełożonym. My — Legiony — pod tym właśnie politycznym względem, powtarzam, byliśmy zupełną anomalią. Żołnierz bez

ojczyzny, wojsko bez rządu — oto w krótkich słowach charakterystyka położenia Legionów.

Jestem dalekim, gdy to piszę, od zarzutu w stosunku do Austrii, że te anormalne warunki dla nas nie zostały od razu usunięte. Przeciwnie, osobiście — a przypuszczam i ogromna większość legionistów — jestem głęboko wdzięczny przede wszystkim ś. p. cesarzowi Franciszkowi Józefowi i jego rządowi za próbę polskiego życia wojskowego, jaką mieliśmy w postaci Legionów, a która to próba bez jego łaskawego zezwolenia i poparcia powstaćby nie mogła. Twierdzę tylko, że metody, zastosowane do wojska pod względem politycznym, były tego rodzaju, że wojsko skazywały na tarcia wewnętrzne, a zarazem pozbawiały go nadziei rozwoju. I w tym wypadku nie idzie mi o krytykę czy zarzuty, broń Boże. Wierzę, że zarządy wojskowe i cywilne miały po temu swoje poważne racje, zmuszające do poświęcenia spokoju wewnętrznego i ładu w Legionach oraz ich rozwoju na rzecz innych interesów, niechybnym jednak jest, że dla samych Legionów konsekwencje tych metod były przykre i smutne.

Pod względem politycznym nie ułatwiał wcale sytuacji legionowej krakowski Komitet Narodowy. Nie wchodzę wcale w ocenę tej instytucji, twierdzę, że sam fakt, iż nie miała ona żadnych praw w stosunku do wojska i nic z życia wewnętrznego w wojsku do niej nie należało, czynił z niej instytucję dla wojska mgławicową. Niechybnym zaś faktem jest również, że Naczelny Komitet Narodowy w wojsku był zupełnie niepopularny. W lepszym wypadku był dla niego czymś w rodzaju filantropijnej instytucji, w gorszym — machinacją poszczególnych partyj politycznych Galicji, stworzoną świadomie dla przykrycia smutnej prawdy. Osobiście starałem się w wojsku utrzymać znaczenie N. K. N., jako jedynego surogatu reprezentacji politycznej wojska i mogę zapewnić, że nie łatwo mi to przychodziło, pomimo wielkiego autorytetu, jaki posiadałem w wojsku. Lecz jeszcze przed końcem 1914 r. rozporządzenia władz austriackich pozbawiły do reszty N. K. N. nadziei na rozwój jego autorytetu. Nastąpił bowiem zakaz dla Galicjan wstępowania do Legionów; odtąd Legiony miały opierać swe istnienie i rozwój jedynie na przypływie ochotników z zaboru rosyjskiego.

Każdy z Galicjan, jako poddany austriacki, obowiązany był zarówno do niesienia ofiary ze swej krwi podczas wojny, jak i do innych wysiłków, potrzebnych państwu w ciężkiej próbie wojennej. Legiony więc, jako forma polska tej ofiary i wysiłków, była, że tak powiem, przywilejem Galicjan, łaskawie im

przez monarchę nadanym, i N. K. N., jako przedstawiciel tego przywileju polskiego w Austrii, mógł liczyć na to, że autorytet jego i powaga wraz z rozwojem Legionów wzrastać będzie. Lecz dla zaboru rosyjskiego rzecz się miała akurat odwrotnie. Udział w Legionach tutaj nie był żadnym przywilejem, zastępującym obowiązkową służbę na rzecz państwa rosyjskiego z oczekiwaniem znanych skutków takiego postępowania — kary i zemsty. Jeżeli więc, dopóki całe przedsięwzięcie legionowe opierało się na Galicji, lekka odpowiedzialność za przywileje łatwo leżała na barkach N. K. N., to z przeniesieniem bazy do Królestwa nie można było oczekiwać, aby ciężka odpowiedzialność za możliwe kary i zemstę choć cokolwiek szerzej została uznana w Królestwie, jako przynależna instytucji N. K. N. Ten nie wystarczał najzupełniej w tym wypadku, nawet jako surogat instytucji politycznej i prowadzącej politykę, za którą żołnierze krew swoją i cudzą przelewają.

Jeszcze gorszym sposobem załatania sprawy był udział w sprawach politycznych Komendy Legionów i wybranych przez nią podkomendnych. Nie wchodząc najzupełniej w krytykę czy to osób, czy instytucji, śmiem twierdzić, że dziewięć dziesiątych tarć wewnętrznych, niezadowoleń i przykrości życiowych w życiu legionowym zostałoby usunięte, gdyby komendanci Legionów i ich sztab ograniczył się jedynie wojskową pracą i nie robił prób mieszania się do polityki.

Powtarzam raz jeszcze — nie idzie mi o krytykę, czy jakiekolwiek zarzuty, czy pretensje w stosunku do kogokolwiek. Stwierdzam tylko, że system, obrany w stosunku do Legionów, szedł często nawet w drobnostkach przeciwko dwu zasadniczym namiętnościom wśród polskiej młodzieży wszelkich stanów, z pomiędzy której jedynie można było rekrutować ochotników. Przeciwko nadczułemu patriotyzmowi i przeciwko ambicji ochotniczego żołnierza, który własnymi siłami chciał zdobyć uznanie i szacunek dla polskiego oręża. Gdy zaś Legiony miały już wyłącznie oprzeć się na Królestwie, system ten z góry skazywał wszelkie próby rozwoju na niepowodzenie, a wojsko zatem — na brak przyszłości i beznadziejność położenia.

Z początku wydawało mi się, że system ten opiera się na nieporozumieniu i niedostatecznej informacji o istotnym stanie rzeczy. Dlatego też zupełnie lojalnie, nie ukrywając swego zdania, starałem się o zmianę. W rozmowach, które prowadziłem z referentem dla spraw legionowych przy głównej kwaterze armii austro-węgierskiej, płk. Hranilowiczem, w listach do niego, w listownych i ustnych komunikacjach z prof. Jaworskim, prezesem Naczelnego Komitetu Narodowego, przed-

stawiałem rzecz tak, jak ją rozumiałem, wskazywałem na prawdopodobne konsekwencje systemu, prosząc o jego zmianę. Jako dowód przedstawiałem względne powodzenie mego systemu, który stwarzał wojsko, mające siłę atrakcyjną dla ochotników. Lecz, niestety, starania moje były bezskuteczne. Zyskałem, zdaje się, jedynie to, że teraz z łatwością przypisywano mi winę niepopularności tych czy innych zarządzeń i osób tam, gdzie ta niepopularność zależała od rzeczy samej i nie była skutkiem jakichkolwiek moich wpływów. A niepopularność ta wzrastała z dniem każdym, tak, że po półrocznym istnieniu wątpię, aby w Legionach można było znaleźć człowieka, który z systemu obowiązującego był zadowolony, jeszcze zaś mniej można było liczyć na rozwój wojska. Utrzymywała mnie jedynie nadzieja, że system się zmieni na lepsze. Wyznaję otwarcie, że po wszystkich moich lojalnych próbach zmiany panującego systemu, przestałem należeć do liczby tych, którzy się cieszyli tą zwodną nadzieją. Przyszedłem do przekonania, że państwo austriacko-węgierskie nie chce, czy też nie może systemu swego zmienić, że interesy i potrzeby, sprzeciwiające się zmianie, są zbyt wielkie, a interesy i potrzeby, związane z rozwojem Legionów, zbyt małe, aby dla optymistycznej nadziei była dostateczna podstawa, a wobec tego położenie moje w Legionach stawało się niesłychanie ciężkim i trudnym do zniesienia.

Jak już zaznaczyłem, lojalna i otwarta moja próba zmiany systemu, zrobiona przed płk. Hranilowiczem i prez. Jaworskim, doprowadziła do tego, że zaczęto często przypisywać mi winę niepopularności zarządzeń w stosunku do Legionów. Obok tego popularność mego imienia zaczęła wzrastać silnie w Galicji i w Polsce, a jako skutek tej popularności z jednej strony, z drugiej zaś mego milczenia, naturalnego u oficera w czynnej służbie, było stałe nadużywanie mego imienia dla potwierdzenia poszczególnych poglądów, wypowiedzianych w licznych w owe czasy dyskusjach nad Legionami. Wszystko to razem doprowadziło w prędkim czasie do tego, iż spostrzec musiałem, iż należę do oficerów, mających złą markę u władzy. Gdyby to szło o mnie jedynie, byłoby to mniejsze: spełniałem swoje obowiązki wojenne tak, że najczęściej otrzymywałem pochwały, kariery wojskowej nie miałem na myśli. Lecz, niestety, odbijało się to wszystko na moich podkomendnych, na ich losie i na podwyższaniu dla nich ilości przykrości życiowych. A przecież nie mogłem zapomnieć, że jedynie swoim rozkazem wyprowadziłem ich w pole, i ciężko czułem odpowiedzialność za ich los i położenie. Tym bardziej, gdy wi-

działem, że niezadowolenie z losu wśród nich wzrasta, a przekonanie o beznadziejności pod względem rozwoju utrwalać się zaczyna. Byłem pod ciężarem podwójnej odpowiedzialności, doprowadzającej często do ciężkich kolizji uczuć, sumienia i honoru. Nie mając zaś żadnej władzy po temu, nie mogłem nawet łagodzić tej kolizji ani ułatwiać sobie choćby w mniejszych sprawach niesienie odpowiedzialności. Śmiało powiem, że ta podwójna odpowiedzialność ze wszystkimi jej następstwami była przekleństwem mego życia podczas wojny. Już wówczas odczuwałem konieczność wyjścia z tej fałszywej sytuacji. Ostatecznie zdecydowałem to uczynić w drugiej połowie 1915 r. po zajęciu przez państwa centralne całego Królestwa.

Po przemarszu przez większą część Królestwa w pościgu za cofającymi się Rosjanami miałem jeszcze okazję krótkiego pobytu w Warszawie. Przekonałem się naocznie o słuszności mego poglądu na sprawę i o beznadziejności zdobycia liczniejszego ochotnika przy istniejącym systemie. Byłem też przeświadczony, że teraz właśnie ferment polityczny w wojsku wzbierać zacznie gwałtownie.

Dla zilustrowania głębokiej różnicy położenia przed sierpniem 1915 r. i po nim, pozwolę sobie zestawić te dwa okresy z życia legionowego.

Koniec 1914 r., jak wiadomo, był okresem najmniej szczęśliwym dla oręża Niemiec i Austrii w ich wojnie z Rosją. Dla sprawy zaś polskiej w związku z tymi państwami był po prostu zabójczym. Cała prawie Galicja była zajęta przez Rosjan, w Królestwie, z wyjątkiem drobnych skrawków zachodnich, nie było ani śladu żołnierza niemieckiego czy austriackiego. Właśnie wtedy — w listopadzie — przedarłem się ostatnim tchem do Krakowa, do którego bram pukała petersburska gwardia. Nie było tam ani śladu tego ożywienia politycznego, którego świadkami byliśmy w początku wojny. Całą politykę wymiótł stamtąd strach i zwątpienie. Zresztą, olbrzymiej większości Polaków wydawało się pewnym, że kwestie polityczne, których wojskowym wyobrazicielem były Legiony, były na zawsze pogrzebane. Dodam zaś do tego, że wówczas byliśmy źle uzbrojeni i bardzo licho, powiem — żebraczo wyekwipowani. Ani jednego karabinu maszynowego, przestarzałe armatki z dymnym prochem, ani jednej kuchni polowej, co przy długich marszach, odbywanych wspólnie z innym wojskiem, oznaczało, że żołnierz albo musiał być przemęczony, albo na pół głodny, bez ciepłej odzieży przy wzrastającym zimnie, w podartym obuwiu przy jesiennym błocie lub ostrej gołoledzi. Nieraz wtedy, przejeżdżając koło moich batalionów,

gdy słyszałem stały głuchy kaszel, rozdzierający piersi, gdy widziałem w oczach i na policzkach u przemęczonych żołnierzy gorączkę, myślałem, że się nadają oni bardziej do szpitala, niż do boju. I doprawdy, śmiem zapewnić, że gdybym wówczas pod wpływem ogólnego zwątpienia politycznego, w ten właśnie — szpitalny — sposób postawił koniec zarówno pracy swojej, jak i żołnierzy, w najostrzejszym sądzie odpowiednich rzeczoznawców znalazłbym uznanie i poparcie. Lecz właśnie z tymi na wpół chorymi, źle ubranymi, licho wyekwipowanymi żołnierzami wziąłem wówczas udział — nie bez sławy — w ciężkich walkach pod Limanową, zakończonych u schyłku roku dwudniowym bojem pod Łowczówkiem, gdzie oddział w krwawych stratach złożył ofiarę w 40% swego składu.

Rozumowałem wówczas w sposób następujący: nadzieje polityczne zgasły, a wojska, po których stronie walczyliśmy, znajdują się w nieszczęściu. Pozostaje więc prawdopodobnie tylko honorowy koniec eksperymentu polityczno-wojskowego, tzn. — do końca wypełnić musimy własnowolnie wzięty na siebie obowiązek, wypływający z honoru żołnierza polskiego i koleżeństwa broni. I odczuwałem doskonale, że w tym rozumowaniu mam za sobą uczucia moich podwładnych. Żołnierz polski, zgodnie ze swoją tradycją, obdarty, pół głodny, bosy i źle uzbrojony, ginął na straconym posterunku w imię swego honoru i w imię wierności, płynącej z obowiązku nieopuszczania kolegów broni, znajdujących się w nieszczęściu.

Całkiem inaczej wyglądała sprawa w drugiej połowie 1915 r. Rosja była pobita, całe Królestwo wraz z Warszawą oswobodzone od wojska i zarządów rosyjskich. A wraz z tym wszystkie wątpliwości polityczne, nierozstrzygnięte kwestie, zapytania bez odpowiedzi, jednym słowem — wszystkie komplikacje polityczne, związane z kwestią polską i Legionami, stawały na porządku dziennym. Teraz żadna siła w świecie nie mogła zatrzymać pytań ze strony rodziców, przyjaciół czy znajomych żołnierzy i werbowanych rekrutów: «o co właściwie wy się bijecie?» Żadne wykręty nie pomogą, gdy padnie zapytanie: «kto was, dzieci, upoważnił, abyście swymi przysięgami wojskowymi dysponowali nie tylko swoją krwią, która do kraju należy, ale i polityką kraju — zawierali sojusze czy oddawali w poddaństwo». I jeszcze, gdyby cała impreza mogła liczyć na powodzenie. Powodzenie tyle rzeczy tłumaczy, tyle uprawnia. Lecz system, zastosowany do Legionów, z góry skazywał imprezę na niepowodzenie i porażkę.

Nauczony dotychczasowym doświadczeniem, wiedziałem, że odpowiedzialność moja, a raczej kolizja różnych odpowie-

działności, zaostrzy się dla mnie niesłychanie. Zdecydowałem usunąć się. Wygrywałem w ten sposób nie tylko wyjście z fałszywego położenia, a więc spokój sumienia i honoru, lecz może i zwiększenie szans na zmianę systemu. Nie łatwą mi była ta decyzja. Głęboko przywiązany do pracy i do swych podwładnych i kolegów broni, odczuwałem, mówiąc szczerze, tragicznie ruinę własnowolną przyszłości żołnierskiej w wojsku polskim — rzeczy, wymarzonej i ukochanej od dzieciństwa. Przy wszelkim jednak rozumowaniu dochodziłem do tego samego wniosku: konieczność złożenia dymisji.

Niestety, wtedy — we wrześniu 1915 r. — nie mogłem wykonać swej decyzji. Przy pierwszej próbie wysondowania opinii wojska — w tym celu badałem wszystkich starszych oficerów — przyszedłem do przekonania, że usunięcie się moje wstrząśnie tak silnie moralnie wojsko, iż następstwem istniejącego już rozdrażnienia muszą być ekscesy, których znowu za wszelką cenę chciałem uniknąć. Wobec tego postanowiłem dymisję odłożyć i starać się odzwyczajać wojsko od wiązania zbyt silnie swego losu z moim.

Tak minął rok; w ciągu tego czasu wszystkie moje przypuszczenia zdążyły się sprawdzić najzupełniej. Królestwo nie uznało za swoje Legionów, postawionych prawnie i organizacyjnie tak, jak były one postawione. Pozostały one dla kraju czymś egzotycznym. Rozpaczliwe wysiłki tej części Legionów, której przywilejem było uprawianie polityki, mianowicie — aparatu werbunkowego, doprowadziły do tego, że stawał się on coraz bardziej niepopularnym i zyskiwał przykrą dla stosunków Królestwa sławę roboty policyjno-politycznej. Zgodnie z tym położeniem ochotnicy, zgłaszający się do Legionów, byli bardzo nieliczni, tak, że jednostki taktyczne nigdy nie mogły pokrywać swych strat. Gorzej jeszcze — jakościowa wartość tych ochotników była bardzo niska. Zaledwie mała część odpowiadała względniej wysokiej przeciętnej, jaka w Legionach wyrobiła się dla «morale» żołnierza, jego zapału, przywiązania do sztandaru i jego honoru. Większość była to zbieranina o bardzo niskim poziomie i prawem w Legionach stał się fakt, że z nadejściem uzupełnienia trzeba było wprowadzać środki ostrożności, jakich dawniej nie znano, gdyż wówczas następowały dezercje do nieprzyjaciela i wzmagały się okropnie kradzieże wśród kolegów broni. Wreszcie beznadziejność sytuacji i odgłosy życia w Królestwie wprowadziły w życie legionowe silny ferment niezadowolenia. Tarcia wszelkiego rodzaju mnożyły się niepomiernie. Wszystko to razem doprowadziło do tego, że starsi oficerowie legionowi podali w czer-

wcu 1916 r. memoriał [1]), w którym prosili o gruntowną zmianę systemu, prosząc w razie niemożliwości o rozwiązanie zupełne Legionów.

W tej sytuacji wiedziałem z poprzedniego mego doświadczenia, że dla mnie kolizja sprzecznych odpowiedzialności zaostrzy się silniej, niż kiedykolwiek. Zdecydowałem więc tym razem wykonać swój zamiar złożenia dymisji. Przeczekałem ciężkie boje nad Styrem i Stochodem, gdyż bałem się, aby moje podanie się do dymisji nie wpłynęło na zachowanie się żołnierzy podczas boju, i skorzystałem z pierwszej okazji, jaka się nadarzyła w stałych służbowych tarciach, by wnieść podanie o dymisję.

W liście do płk. Hranilowicza, referenta spraw legionowych przy głównej kwaterze c. k. armii, wyjaśniłem, że powód, na który się powołuję w oficjalnym podaniu, jest tylko pretekstem, ułatwiającym danie mi dymisji, nawet z uznaniem mnie, jako winnego. Natomiast istotnymi przyczynami są: a) fałszywa sytuacja, w której się znajduję oddawna, niosąc wobec anormalnych stosunków prawnych dla Legionów podwójną odpowiedzialność, b) niemożliwość przy istniejących stosunkach nie tylko zharmonizowania sprzecznych odpowiedzialności, lecz nawet ich łagodzenia, c) zupełna beznadziejność położenia Legionów przy dotychczasowym systemie. Wreszcie, będąc wezwany do głównej kwatery, w rozmowie osobistej z tymże pułkownikiem przedstawiłem jako jedną z głównych konieczności dla dalszego rozwoju Legionów — reprezentację polityczną Królestwa z nadaniem jej pewnego «quantum» praw w stosunku do wojska, formowanego już wyłącznie z ochotników tego kraju. Na zapytanie zaś, czy zdaniem moim byłaby wystarczającą reprezentacja jedynie okupacji austriackiej, odpowiedziałem, że w Królestwie i tak silnymi są podejrzenia o chęć zrobienia nowego podziału Polski, taka więc instytucja byłaby pośrednim tych podejrzeń potwierdzeniem i z tego powodu nie przyczyniłaby się wcale do rozwoju Legionów. W końcu września otrzymałem dymisję, zredagowaną w słowach bardzo pochlebnych dla mojej pracy wojennej.

Wyznaję otwarcie, że pomimo ciężkiego żalu z powodu zerwania związku z kolegami broni, pierwszy raz odetchnąłem swobodniej. Nie czułem na sobie całego ciężaru komplikacji, w które los i praca moja mnie wtrąciły.

Dodam tu od razu, że silne wzburzenie i masowe szuka-

[1]) Mowa o memoriale Rady Pułkowników, wysłanym w dn. 30. VIII. 1916 r.

nie wyjścia z Legionów po mojej dymisji przypisuję nie faktowi samej dymisji, lecz pobocznym krokom, które zostały uczynione w Legionach w związku z moją dymisją [1]). Mówię tu o ostrym połamaniu wszystkich jednostek, które złączyła tradycja wspólnych bojów i trudów wojennych oraz prawie przymusowa dymisja, udzielona memu zastępcy, płk. Sosnkowskiemu. Przy podnieconym stanie legionistów środki te, zastosowane z surową bezwzględnością, uważane były jako niezasłużona kara, zaaplikowana natychmiast po ciężkich bojach z wielkimi stratami, gdzie Legiony otrzymały publiczne — we wszystkich oficjalnych sprawozdaniach — podziękowanie i uznanie za waleczność i «ofiarne poświęcenie się w trudnej sytuacji».

Chcę tu jeszcze raz podkreślić, że nie idzie mi tutaj o żadną krytykę, ani o wyrażanie jakiejkolwiek pretensji, przekonany bowiem jestem, że istniały poważne racje po temu, aby poświęcić interesa i rozwój tak małej części wojska, jakim były Legiony. Przedstawiłem tylko zupełnie szczerze i otwarcie moją w nich pracę i moją w nich rolę.

Po mojej dymisji, osobliwie przy wzburzeniu w Legionach, uważałem siebie jako «persona ingrata» i zdecydowałem zająć się swymi prywatnymi sprawami, usuwając się, o ile możności, od spraw publicznych. Jedynym moim wystąpieniem była odpowiedź na publicznie do mnie zwrócony list prof. Jaworskiego. Poza tym wystosowałem po 5 listopada list do pułk. Rydza, napisany pod wrażeniem aktu 5 listopada. Prosiłem go, by zechciał w moim imieniu zachęcić oficerów i żołnierzy w Legionach do spokoju i ufności. List nie był wcale przeznaczony do publicznego użytku i miał charakter całkiem poufny. Odczytanie go więc publicznie w Warszawie przez ppłk. Berbeckiego odbyło się bez mojej ingerencji, a wbrew moim chęciom i zamiarom.

Ku wielkiemu memu zdumieniu w połowie listopada otrzymałem zaproszenie ekscelencji Kuka, gen.-gub. w Lublinie.

W rozmowie ekscelencja Kuk zawiadomił mnie o swoim zamiarze przedstawienia mnie rządom państw okupacyjnych jako członka przyszłej Rady Stanu Królestwa Polskiego, której zadaniem miało być pomiędzy innymi sformowanie ochotniczej armii narodowej. Odpowiedziałem, że żyjąc przez cały

---

[1]) Po dymisji Piłsudskiego dawna I Brygada, składająca się z 1 i 5 pułku, została podzielona. Według nowej organizacji I Brygada miała się składać z 1 i 2 pułku, II — z 3 i 4, III — z 5 i 6.

czas wojny z dala od Warszawy i nie mając bezpośredniego stosunku z ludźmi, zajmującymi się polityką, trudno mi osądzić wpływ aktu 5 listopada na Polskę, a bez takiej oceny trudno zdobyć się na odpowiedź na zaszczytną propozycję.

Otrzymałem wówczas pozwolenie na wyjazd do Warszawy. Wszystkie umysły były tam zajęte przyszłą instytucją Rady Stanu i jej składem osobistym. Zrobiłem i ja swoją próbę pod tym względem. Sądziłem, że najlepiej dla Rady Stanu będzie, gdy będą w niej reprezentowane wszystkie stronnictwa; sądziłem, że tylko taka miałaby dostateczną powagę dla kraju i na zewnątrz i taka łagodziłaby sprzeczności i kolizje stronnicze, zamiast je roznamiętniać. Dla mnie samego, wobec tego, że nie wiązałem siebie od samego początku wojny z żadnym stronnictwem, myślałem o roli usuniętego od spraw politycznych doradcy w sprawach wojskowych, które, niestety, tak długo i tak skutecznie dla umysłów polskich były obcymi.

Prowadziłem w tym celu pertraktacje ze wszystkimi stronictwami i, jak wiadomo, pertraktacje te nie powiodły się. Klub międzypartyjny, reprezentujący dobrą połowę kraju, usunął się i został usunięty od formacji Rady Stanu [1]). Zawahałem się wówczas w decyzji i dla siebie samego, usunąłem się od pertraktacyj i ze sporów przy układaniu listy przyszłych radców stanu i wyjechałem z powrotem do Krakowa.

Na swoje nieszczęście — gdyż za nieszczęście i błąd uważałem swój udział w Radzie Stanu — po namyśle postanowiłem wyrazić zgodę na zaszczytną propozycję ekscelencji Kuka. Miarodajnymi były wówczas dla mnie dwa motywy. Pierwszy — główny — była to chęć przysłużenia się w sprawie formowania wojska. Znając kraj, wiedziałem, że moje usunięcie się wpłynie bardzo ujemnie na ilość zgłaszających się ochotników. Drugi — poboczny motyw — była to obawa, abym po swojej dymisji i usunięciu się od Rady Stanu po nieudanych pertraktacjach z klubem międzypartyjnym, nie zaczął uchodzić, jako zaprzeczający swej niedawnej przeszłości, w której byłem pierwszym podnoszącym hasło samodzielnego i czynnego wystąpienia Polski po stronie mocarstw centranych w ich wojnie z Rosją.

Pomijając motyw drugi, jako poboczny i nie mający, o ile mi się zdaje, żadnego znaczenia w mojej sprawie, chcę się zatrzymać na pierwszym, gdyż był on rozstrzygającym zawsze

[1]) Mowa o Kole Międzypartyjnym, łączącym organizacje polityczne t. zw. passywistyczne, narodowo-demokratyczne lub pozostające pod wpływem Narodowej Demokracji.

w mojej pracy w Radzie Stanu. Byłem wtedy optymistycznie usposobiony co do możliwości rozwoju ochotniczego wojska w Polsce.

Wydawało mi się rzeczą jasną, że kto chce formować ochotnicze wojsko, musi dopasować się do tych uczuć, które skłaniają ludzi do wstąpienia do wojska z własnej i nieprzymuszonej woli, czy to są pieniądze i błyszczące mundury, gdy idzie o wojsko najemne, czy też jakakolwiek namiętność polityczna lub żądza sławy, zadowolenie ambicji itp. uczucia. Dla młodzieży polskiej — czy to w Legionach, czy poza nimi — miarodajnymi były dwa uczucie, jak to już wskazałem wyżej. Silny i drażliwy patriotyzm oraz silnie rozwinięta ambicja żołnierza polskiego, własnymi siłami zdobywającego sobie uznanie w otoczeniu. Zdawało mi się więc logicznym przypuszczać, że teraz, gdy publicznie, na cały świat, ogłoszono o chęci formowania ochotniczego wojska narodowego i miano za sobą dwa lata próby, nieudanej z powodu niedostosowania się do tych zasadniczych namiętności — że teraz muszą nastąpić zmiany na lepsze.

Byłem również dostatecznie oczytany w odpowiedniej literaturze fachowej, aby zdawać sobie dokładnie sprawę z głębokich uprzedzeń, jakie istnieją wśród oficerów fachowych w stosunku do wszelkich formacji ochotniczych z ich swoistymi formami bytu i organizacji. Wiedziałem z doświadczenia, że te uprzedzenia stanowią nieraz poważną przeszkodę dla rozwoju wojska, gdy ono skazane jest na ochotnicze uzupełnienie i rozwój. Lecz i w tym wypadku sądziłem optymistycznie o przyszłości wobec uroczystości ogłoszonego zamiaru formowania właśnie ochotniczego wojska. Oprócz tego sądziłem, że z chwilą, gdy po akcie 5 listopada los Polski, jako państwa, zdawał się ustalać, ochotnicze wojsko jest uważane, tak, jak je zawsze uważałem, za objaw przejściowy, że zatem wszystkie urządzenia z nim związane, nie mają charakteru stałego, obowiązującego i na czasy pokojowe, a więc i uprzedzenia w stosunku do nich mogą być wysunięte.

Rada Stanu, co prawda, nie była rządem polskim, bo pod tym względem nie dzieliłem wcale iluzji większości moich kolegów z Rady Stanu i przypuszczałem z góry, że fakt ten przyczyni się do popularności instytucji dla spraw werbunku ochotników. Lecz znowu przypuszczałem, że prawa tej instytucji w stosunku do wojska, specjalnie w zakresie werbunku, będą o całe niebo wyższe od praw Naczelnego Komitetu Narodowego. A zarazem znałem dobrze usposobienie wśród legionistów i młodzieży polskiej. Tęsknota do nakazu ze strony rządu

polskiego, była tam tak wielka, że czerwoni radykalni przysięgaliby na absolutne posłuszeństwo absolutnemu monarsze polskiemu, a odwrotnie — zacięci rojaliści spieszyliby wykazać takież posłuszeństwo rządowi skrajnie republikańskiemu. W tych warunkach, przypuszczałem, młodzież nie będzie analizowała kwestii prawniczych, byleby związek wojska z instytucją Rady Stanu był wyraźny, a to wydawało mi się pewnym.

Wreszcie jako ostateczny argument na korzyść swego optymizmu brałem wyniki swych rozmów z obu panami — ekscelencją von Beselerem i ekscelencją Kukiem — którzy, jako generał-gubernatorowie obu okupacji, mieli przemożny wpływ na sprawy polskie. Byłem zaszczycony rozmową z obu wysokimi panami, obu też podałem krótkie memoriały w sprawie wojska, gdzie — jak zwykle — podkreśliłem konieczność, według mego zdania, liczenia się z nastrojami w narodzie tak nastrojowym, jakim są Polacy.

Ani chwili nie przypuszczałem, aby powody, które mnie skłoniły do dymisji, mogły być nieznane obu wysokim panom. A wobec tego wyciągnięto mię bez mojej po temu prośby z zacisza, do któregom się był usunął, i wobec tego, że żaden z tych dygnitarzy, w rozmowach ze mną nie raczył ani słowem mnie ostrzec, że sprawy wojskowe mogą w przyszłości być załatwiane w ten sam sposób, jak dotąd w stosunku do Legionów, mogłem, być może naiwnie, nie być pesymistą co do zmian, które jedynie według mego głębokiego przekonania decydowały o udaniu się werbunku ochotników.

Zaznaczam od razu, że nie wyrażam w ten sposób żalu do nikogo. Naturalnie, obaj wysocy dygnitarze mieli prawo, nawet może obowiązek, pominąć wszelkie moje pretensje do odsłonięcia rąbka zasłony tajemniczej, otaczającej przyszłość. Pretensja taka byłaby nawet śmieszną z mojej strony. Idzie mi tylko o to, by stwierdzić fakt, który mi pozwalał przypuszczać, że zamiary obu panów w stosunku do wojska zasadniczo nie są dalekie od moich optymistycznych nadziei. Wreszcie zaznaczam, że gdybym choć słowem był uprzedzony, że system w stosunku do wojska ulegnie zmianie, nie wahałbym się usunąć od udziału w Radzie Stanu, gdyż byłbym przekonany, że zadania, postawione Radzie Stanu, sformowania ochotniczego wojska narodowego — nie dają się wykonać.

Plan pracy, który wówczas miałem dla przedstawienia go Radzie Stanu i władzom okupacyjnym, zapewniał, zdaniem moim, powodzenie rekrutacji. Polegał on na tym, by odpowiednio rozkwaterować Legiony w kraju i otworzyć rekrutację wprost do batalionów, bateryj i szwadronów z pominię-

ciem zupełnym specjalnej organizacji werbunkowej, nadzwyczajnie niepopularnej w kraju, a specjalnie wśród tych, na których przede wszystkim liczyć trzeba było. Wojsko, odbywające ćwiczenia, pełniące służbę na oczach wszystkich, zawsze jest pociągającem dla dużej części młodzieży. Gdy zaś to wojsko jest tak wesołym i towarzyskim, jakimi były Legiony, i gdy ma za sobą świeżą tradycję chwalebnych dla niego bojów, siła atrakcyjna znacznie się zwiększa. To swoje przeświadczenie opierałem na doświadczeniach z pracy organizatorskiej ze strzelcami przed wojną i z udanych prób rekrutacji, które podczas wojną tą właśnie metodą prowadziłem w Kieleckim i Lubelskim. Następnie sądziłem, że pierwszy krok powinien polegać na rozwinięciu istniejących jednostek legionowych w wyższe za pomocą wyłącznie materiału kadrowego Legionów, coby odpowiadało silnej ambicji żołnierskiej, a zarazem usunęłoby przy pierwszych krokach wiele z podejrzeń i motywów, powstrzymujących, wobec braku odpowiedniego materiału, powołania oficerów i podoficerów z armii niemieckiej i austriackiej tylko wtedy, gdy nastrój pod wpływem pierwszych udanych kroków o tyle się wzmocni, że już wytrzyma ten niewątpliwie niepopularny wśród ludności środek. Plan ten omawiałem i w memoriałach, które podałem, i w dłuższej rozmowie, którą w tych sprawach miałem z ppłk. von Bülowem, przedstawicielem cesarskiej armii niemieckiej w Lublinie.

Po ukonstytuowaniu się Rady Stanu bardzo prędko przekonałem się, że sprawa rozwoju Legionów wcale nie jest tak prosta, jak ja sobie wyobrażałem. Widocznym było, że co do Legionów państwa okupacyjne nie są jeszcze pomiędzy sobą w zgodzie, zamknięto nawet do nich dopływ nowych ochotników. Tym bardziej więc nie były one w stanie rozporządzalnym dla Rady Stanu. Jedyną częścią ich, która zdawała się być swobodną od niewiadomości swego losu i która miała widoczną «carte blanche» [1]) do ostentacyjnego poddawania się Radzie Stanu, była to część, która z powodu zawodowego uprawiania polityki w kraju właściwie wojskiem nie była wcale. Lecz ta część — aparat werbunkowy — właśnie była nadzwyczajnie niepopularną i obciążała z góry swoją służbą rachunek powodzenia akcji werbunkowej wielkimi minusami. W każdym razie o moim planie, który, według mego zdania, zapewniał powodzenie, mowy być nie mogło i zamiast żywej pracy, trzeba było w Radzie Stanu tworzyć papierowe projekty.

[1]) Carte blanche — dosłownie: biała karta czyli nieograniczone pełnomocnictwo.

W Radzie Stanu zostałem wybrany do Wydziału Wykonawczego, gdzie mi został poruczony referat przy specjalnie skonstruowanej Komisji Wojskowej, której pierwszym zadaniem było przedstawienie projektu co do kompetencji Rady Stanu w sprawach wojskowych i co do sposobu rekrutacji ochotników. Co do mnie, reprezentowałem kierunek, żądający rozgraniczenia spraw ściśle wojskowych (organizacji, nauki, uzbrojenia i wyekwipowania) od samej rekrutacji, z oddaniem pierwszych w ręce odpowiednich komend i odwrotnie — drugich w ręce cywilne Rady Stanu i jej organów. Motywy moje były następujące. Z chwilą, gdy — jak widziałem — położenie prawne Legionów nie upoważnia wcale do użycia ich bezpośrednio dla celów rekrutacji, sądziłem, że dla powodzenia akcji należy użyć tego, co mogło być najpopularniejszym i co wzbudzałoby najmniej podejrzeń u uprzedzonych, mianowicie — instytucji cywilnych polskich. Ogromna większość moich kolegów z Komisji Wojskowej była innego zdania. Dążyła ona w swych projektach do przetworzenia Komisji w coś w rodzaju ministerium wojny z różnymi funkcjami administracyjnymi, traktując werbunek tylko jako część pracy tego ministerium. Odnosząc się z natury rzeczy z gorącą sympatią do prób organizacji rządu polskiego, pomimo, iż dla danych warunków nie podzielałem iluzji moich kolegów co do możliwości praktycznego urzeczywistnienia wszystkich ich projektów, nie mogłem zasadniczo większości się opierać. Liczyłem, że praktyczna dyskusja wykreśli granice w przyszłości, i dla przyspieszenia sprawy ustąpiłem, zdecydowany lojalnie reprezentować projekt wszędzie, gdzie to będzie wskazane. Projekt został przez plenum Rady przyjęty i oddany obu komisarzom państw centralnych.

Do dyskusji żadnej nad tym projektem nie przyszło. Jak wiadomo, po dłuższym czasie został on potraktowany «per non est» i otrzymaliśmy rozstrzygnięcie sprawy, które nie uwzględniało ani zasad, ani szczegółów projektu. System, jaki ustanowiono, był jota w jotę jednakowy z dotychczasowym systemem legionowym. Nawet niepopularna organizacja werbunkowa została na miejscu w tej samej roli. Udział Rady Stanu w pracy nad formowaniem wojska został sprowadzony do zera, gdyż wprowadzenie do komisji kwaterunkowych przedstawicieli miejscowego społeczeństwa bez żadnego zresztą wpływu na rzecz samą, nie zmieniło w niczym istoty rzeczy — usunięcia jedynej instytucji polskiej od związku i wpływu na wojsko narodowe. Druga zmiana, zmiana mody austriackiej (uniformów, ćwiczeń, instruktorów, personelu administracyjnego) na

niemiecką, naturalnie nie oznaczała zmiany systemu. Dodawała ona pewne minusy w postaci języka niemieckiego, niezrozumiałego dla ludzi, oraz powrotu do tych czasów, gdy wszystko, co było władzą w wojsku, nawet zewnętrznie było czymś zupełnie odrębnym od wszystkich podwładnych, sprowadzonych w ten sposób do roli mniej więcej kolonialnego wojska, w którym kolor skóry rozstrzyga o przywileju władzy. W Legionach niegdyś wywoływało to silne tarcia i niezadowolenia i wreszcie przy przemianowaniu Legionów na korpus pomocniczy polski zostało szczęśliwie zaniechane.

Po tym rozstrzygnięciu było dla mnie zupełnie jasnym, że w tych warunkach akcja werbunkowa udać się nie może. Zupełnie szczerze i otwarcie wypowiedziałem to w Radzie Stanu i podkreśliłem swoje zdanie przez wstrzymanie się od podania głosu przy głosowaniu nad wydaniem odezwy werbunkowej, podając przy tym zupełnie oficjalnie jako motyw prawdopodobną bezskuteczność odezwy. Zaznaczyłem przy tym, że z chwilą wydania odezwy będę uważał za swój obowiązek temu wezwaniu być posłusznym i do wojska się zameldуję, zgłaszając zarazem swoją dymisję z Rady Stanu.

Położenie, które dla udania się akcji werbunkowej tak pesymistycznie oceniałem, obciążone było dodatkowo silnym podnieceniem w kraju całym z powodu kwestii rządu polskiego. Muszę się na niej zatrzymać dlatego, że konsekwencją tej kwestii była jedyna sprawa polityczna, w której brałem udział w ciągu mej pracy w Radzie Stanu. Mówię tu o podaniu się do dymisji Rady Stanu.

Od samego początku swego istnienia Rada Stanu kwestię rządu polskiego wniosła na porządek dzienny wszystkich rozpraw politycznych w kraju. Uznając siebie za zawiązek tego rządu, Rada Stanu konsekwentnie dążyła do rozwoju każdego z poszczególnych działów swej pracy w ministeria z całym zakresem ich praw i obowiązków. I trzeba przyznać, że o ile przy zawiązywaniu się Rady Stanu stanowisko względem niej w opinii kraju było bardzo wyczekujące, to te właśnie jej starania czyniły z niej instytucję, rosnącą w popularność i uznanie narodowe. Niestety jednak, te starania napotkały opór ze strony władz okupacyjnych. Kwestia sama zaczęła przybierać charakter jakiejś przewlekłej choroby samej instytucji, a wraz z tym stanowisko Rady Stanu w opinii kraju spadać zaczęło szybko i gwałtownie. W ostatnich miesiącach mego pobytu w Radzie Stanu byłem świadkiem zjawisk, które każdy tylko jako zjawiska rozkładu instytucji charakteryzować może. Rada Stanu to zamykała swe biura, to znowu je otwierała, zawieszała swe

posiedzenia na miesiące. Całą treścią licznych poufnych posiedzeń było rozstrzyganie kwestii — być albo nie być. Z natury rzeczy ten stan prostracji duchowej wzmagał jeszcze bardziej niepopularność instytucji, czyniąc zarazem pobyt w niej dla każdego czynnego człowieka trudnym psychicznie do wytrzymania.

W kwestii bytu albo niebytu Rady Stanu — jedynej, powtarzam, politycznej sprawie, w której brałem udział — rozumowałem w sposób następujący: pochodziliśmy nie z wyboru, lecz mianowania. Mieliśmy więc podwójne zobowiązanie. Przebieg wypadków doprowadził nas do tego, że nikt z nas i naszych czynności — nie wyłączając nas samych — nie jest zadowolony. Jest mi wszystko jedno, czy z naszej, czy czyjej winy to się stało. Faktem jest, że nie spełniamy tej roli, jakiej po nas oczekiwano. Przyczyną tego niezaprzeczenie przykrego dla nas zjawiska być może albo zła zasada, na której instytucja jest zbudowana, albo też nasza do niej niezdatność. Naturalnym więc wyjściem jest podanie się do dymisji, co pozwala swobodnie albo zmienić istotę instytucji, albo też zastąpić nas zdatniejszymi ludźmi. Jak ta sprawa ostatecznie przez Radę Stanu została rozstrzygnięta — nie wiem, lecz wiem — powtarzam — była to jedyna polityczna kwestia, którą się zajmowałem podczas mego pobytu w Warszawie i doprawdy wątpię, by najdrażliwszy sędzia znalazł w tym dowód winy przed którymkolwiek z państw centralnych.

W stosunku zresztą do siebie osobiście całą tę kwestię uważałem za całkiem akademicką. Była ona z góry rozstrzygnięta, gdy decyzja w sprawach wojskowych zapadła w całkiem przeciwnym kierunku, niż projekt Rady Stanu. Nie miałem właściwie w niej żadnej pracy; wstąpiłem do niej jedynie dla roboty nad formowaniem wojska, ten zaś dział został zupełnie z kompetencji Rady Stanu usunięty. Do wszelkiej zaś pracy politycznej uważałem siebie za niezdatnego i nie chciałem się do niej mieszać. Wreszcie zapowiedziałem już swoje usunięcie się, gdy po wydaniu odezwy werbunkowej zgłoszę się do wojska, gdyż pomimo protestów niektórych mych kolegów uważałem za niemożliwe łączenie służby wojskowej z radcostwem stanu, jako pracą o charakterze wybitnie politycznym. Zgłoszenie się zaś do wojska uważałem za konieczne, gdyż to był już jedyny — bardzo zresztą słaby — sposób przyczynienia się do rozwoju wojska, jaki mi został pozostawiony.

Istotnie zgłosiłem się do szefa sztabu przy generał-gubernatorstwie warszawskim, ppłk. Nothe. Prosiłem go, aby ekscelencji von Beselerowi, jako komendantowi wojska, zameldo-

wał, że z chwilą wydania odezwy werbunkowej zgłaszam się do wojska, zgodnie z zapowiedzą, którą złożyłem w Radzie Stanu. Ppłk. Nothe odpowiedział mi, że to zrobi, wątpi jednak, o skutku, gdyż przy tym stadium rozwoju wojska, z jakim się ma do czynienia, nie ma właściwie w nim odpowiedniego dla mnie miejsca. Przez parę tygodni czekałem na odpowiedź, innej nie otrzymałem, więc i ta ostatnia droga pracy dla wojska została mi zamknięta.

Z tej odmowy, jak również z tego, co się działo dokoła — kilkakrotny zakaz zgromadzeń na prowincji, na które byłem zaproszony, aresztowania wśród młodzieży, zbliżonej do mnie — zrozumiałem, że eksc. von Beseler w swym systemie formowania wojska życzy sobie oprzeć pracę wyłącznie na wpływach i metodach dotychczasowego aparatu werbunkowego dla Legionów, mój zaś w tym udział uważany jest za zbyteczny, nawet za szkodliwy. Powtarzam raz jeszcze — byłem najmocniej przekonany o tym, że i tym razem próba ściągnięcia ochotników do wojska przy tym systemie udać się nie może. Wszystkie moje próby przyczynienia się do rozwoju wojska spotkały się z odmową, nawet wtedy, gdy usuwałem swoją osobę z czynnego wpływu, jak to zrobiłem, zgłaszając się sam do wojska. Zdecydowałem się więc usunąć do prywatnego życia i wyjechać na razie na wieś dla odpoczynku i leczenia swych starych dolegliwości.

Po zgłoszeniu swej dymisji zostałem w Warszawie jedynie dlatego, by lojalnie przedstawić raz jeszcze swoje zdanie w sprawach wojskowych eksc. von Beselerowi i dlatego, by doczekać rozstrzygnięcia spraw w Legionach, które przybierały charakter ostry z powodu przysięgi.

Znając Legiony, wiedziałem, że nie wytrzymają one dalszej próby życia wojskowego, niezależnego od życia kraju, za który życie i krew dawali. Gdy więc znowu swą przysięgą sami w całym kraju mieli zatwierdzić formę bytu państwowego (przysięga na przyszłego króla), sami w całym kraju zawierać mieli sojusze polityczne (wierność wojskom państw centralnych) i czynić to nie z nakazu swych ojców albo przedstawicieli kraju, lecz z własnej nieprzymuszonej woli, bo takim przecie jest akt przysięgi w wojsku ochotniczym — nie mogłem przypuszczać, ażeby akt przysięgi gładko przeszedł. Podkreślam raz jeszcze niezaprzeczony dla mnie fakt, że wśród legionistów, jak i w ogóle wśród młodzieży polskiej w tym czasie, nie szło nigdy o żadne określone formy życia politycznego, ani o żadne sympatie, czy antypatie narodowe. Szło jedynie

o to, by być wojskiem i być posłusznym przedstawicielom swojej ojczyzny.

Powtórzę tu swoje słowa z mego memoriału do eksc. von Beselera. Nawet Rada Stanu, pomimo, że wtedy nie miała ona ani powagi, ani popularności, byłaby wystarczającym surogatem rządu i jestem przekonany, że nikt w Legionach nie zawahałby się złożyć jej przysięgę na posłuszeństwo, pozostawiając zupełnie jej odpowiedzialności i sojusze, i formy ustroju państwowego w Polsce.

Nie ukrywałem wcale moich obaw, związanych z oczekiwanym aktem przysięgi, i na pytanie w tej mierze, skierowane do mnie przez kolegów w Radzie Stanu, lojalnie swe pesymistyczne przypuszczenia wypowiadałem. Obawiałem się jeszcze bardziej, aby rozdrażnienie nie przybrało charakteru ostrego, nie licującego z powagą chwili i z honorem wojska. Osobiście więc przy wszystkich spotkaniach z mymi byłymi podwładnymi używałem wszystkich swoich wpływów, aby wszelkim ekscesom zapobiec. Tę trudną i ze wszech miar przykrą pracę uważałem jako swój ostatni obowiązek względem sztandaru, pod którym spędziłem dwa długie lata wojny. Sytuacja była niezmiernie drażliwa, gdyż ogromna część oficerów i żołnierzy posunięta była do rozpaczy z powodu ruiny wszystkich swoich nadziei. Dodatkowo na zwiększenie rozdrażnienia wpływała ta okoliczność, że duża część legionistów — mianowicie Galicjanie — z natury rzeczy solidarnymi ze swymi kolegami broni być nie mogli, solidarność zaś, jak u wszystkich, w twardych i nieszczęśliwych dla siebie warunkach wychowanych ludzi, była zawsze wśród legionistów bardzo silna.

Do końca więc nie byłem pewien przebiegu sprawy. Byłem zdecydowany prosić władzę, abym mógł dzielić los swych byłych podwładnych, których ongi wyprowadziłem własnym rozkazem na wojnę, w razie zajść w Legionach, któreby pociągały za sobą ciężkie dla żołnierzy skutki. I wtedy bowiem, byłem przekonany, mój pobyt z nimi przyczyniłby się do utrzymania spokoju i godności żołnierskiej, a zarazem dałby im moralną ulgę w znoszeniu ciężaru losu.

Taką właśnie prośbą zakończyłem swój memoriał do eksc. von Beselera. Nie zdążyłem go wręczyć z powodu swego aresztowania. Lecz o chęci lojalnego zakończenia swego udziału w Radzie Stanu i szczerego wypowiedzenia swego zdania mówiłem na kilka dni przed uwięzieniem hr. Hutten-Czapskiemu, komisarzowi niemieckiemu przy Radzie Stanu, któremu też zakomunikowałem ogólną treść swego pisma. Zgodnie z jego radą dałem memoriał do przetłumaczenia na język niemiecki swemu

przyjacielowi, drowi Sokolnickiemu. W tym stadium sprawy zostałem 22-go lipca aresztowany.

Z przedstawienia sprawy, które tu podałem, a które najzupełniej jest szczere, wynika, że będąc przekonanym, że interesy mojej ojczyzny wymagają czynnego wystąpienia Polski i po stronie mocarstw centralnych w ich wojnie z Rosją, dawałem temu wyraz w mojej pracy, nawet wtedy, gdy byłem pozostawiony własnym swym siłom i gdy szedłem wbrew opinii większości swego narodu, — jak to było na początku wojny.

Dalej służąc mojej ojczyźnie jako żołnierz, gdy warunki ograniczały wojsko do kompletowania się jedynie za pomocą ochotników, wszystkie swe siły, prace i plany przystosowałem nie do czego innego, jak jeno do możliwego rozrostu sił wojskowych. Nie przypuszczałem ani chwili, żeby praca, tak pojęta, stać mogła w sprzeczności z interesami państw centralnych, specjalnie, gdy one w akcie 5-go listopada jako główny cel dla stworzonej przez siebie Rady Stanu wyznaczyły formowanie ochotniczej armii narodowej.

Następnie, i podczas swej służby w Legionach, i w Radzie Stanu byłem przeciwnym metodom, stosowanym dla formowania wojska, gdyż, pomijając wszelkie inne względy, nie osiągały one, według mego najgłębszego przekonania, swego celu — ochotników do wojska nie przyciągały, owszem — odstraszały, a przez rozdrażnienie, wprowadzane przez nie, psuły dobre stosunki danego państwa do Polski.

Potem, we wszystkich wypadkach, gdy następowały momenty głębszych kryzysów w wojsku, staraniem moim było zawsze zapobiec ekscesom i ostrym starciom, które wynikaćby mogły.

W obu swych pracach — w Legionach i w Radzie Stanu — zawsze lojalnie i otwarcie, nie robiąc co innego w oczy, a co innego za plecami, wypowiadałem swoje zdanie, wyczerpując wszystkie zależne ode mnie środki dla przekonania miarodajnych czynników o konieczności zmiany metody na inną, skuteczniejszą — według mego zdania.

Nareszcie, gdy spostrzegłem, że osoba moja zamiast pomóc sprawie, tylko jej szkodzić może, usuwałem się na stronę do życia prywatnego, nie szukając absolutnie niczego z tytułu mojej pracy czy zasługi.

J. Piłsudski.

Więzienie w Magdeburgu, 25-go lipca 1918 r.

## *ZAŁĄCZNIK NR 2*

## W SPRAWIE POLSKIEJ ORGANIZACJI WOJSKOWEJ

Odpowiedź na artykuł «Zur Verhaftung Piłsudski's» w Nr 211 «Warschauer Zeitung» z dn. 3-go sierpnia 1917 r.

Przed wojną w Królestwie istniały tajne stowarzyszenia młodzieży wszelkich stanów jako filie centrali galicyjskich towarzystw strzeleckich. Rozsiane one były po całym kraju i w uniwersyteckich miastach Rosji. Wybuch wojny z natury rzeczy zdezorganizował je w wielkim stopniu, a już zupełnie zerwał ich związek z tą częścią strzelców, która pod moją komendą wyruszyła 6-go sierpnia na wojnę z Rosją. Dla nawiązania na nowo kontaktu i ściągnięcia do swych szeregów większej ilości ochotników wydelegowałem w początku wojny do Warszawy jednego ze swych adiutantów, por. Tadeusza Żulińskiego. Żuliński, synowiec powieszonego w 1863 r. członka ówczesnego rządu narodowego, Traugutta, został jesienią 1915 r. zabity w bojach, które miała moja Brygada na Wołyniu.

Żuliński był założycielem organizacji, którą ochrzcił jako Polską Organizację Wojskową, stąd w skróceniu zwaną P. O. W. [1]) i był jej kierownikiem aż do zajęcia Warszawy przez wojska niemieckie. Co do swej treści — była ona dokładną kopią organizacyj strzeleckich, których uczniem we Lwowie był Żuliński. Tak samo, jak w stowarzyszeniach strzeleckich, młodzież nie dzieliła się na partie i stronnictwa, organizacja bowiem pozostawiała każdemu ze swych członków zupełną swobodę przekonań politycznych. Jedyną zasadą, wiążącą wszystkich, była obietnica posłuszeństwa rządowi polskiemu, gdy ten na ziemiach polskich powstanie. Poza tym obowiązywała wszystkich praca przygotowawcza do służby wojskowej i to było właściwą treścią całego życia organizacji.

Poza tym organizacja dostarczała mi dane o wojsku rosyjskim, naturalnie, odsyłane przeze mnie do odpowiednich sztabów, i zrobiła kilka prób psucia komunikacji na tyłach

---

[1]) Piłsudski, pisząc powyższe pismo, nie znał szczegółów założenia P. O. W. Nazwę Polska Organizacja Wojskowa nadał połączonym w jedną organizację Związkowi Strzeleckiemu i Polskim Drużynom Adam Koc, oficer Związku Strzeleckiego, którego początek wojny zastał w Warszawie.

armii rosyjskiej [1]). Prace te, naturalnie, świadczą wyraźnie o froncie antyrosyjskim podczas wojny.

Od razu zaznaczę, że wspólnie z galicyjskimi strzelcami zasada służby posłusznej rządowi polskiemu w organizacji P. O. W. była znacznie silniejsza, niż w organizacjach galicyjskich. Charakterystycznymi były dla mnie dwa wypadki podczas wojny. Pierwszy spotkał mię w Radomiu. Organizacje strzeleckie przed wojną były tam względnie silne i dlatego byłem pewien znacznego przypływu ochotników, gdym jesienią 1914 r. w marszu pod Dęblin trafił do Radomia. Spotkał mnie silny zawód: z organizacji nie znalazłem ani śladu, prawie wszystko usunęło się z Radomia i okolic razem z cofającymi się Rosjanami. Przy dochodzeniach okazało się, że na początku wojny z niecierpliwością oczekiwano nadejścia strzelców, potem zaś, gdy rozpowszechniono pogłoskę, że strzelcy gwałtem zostali wcieleni do wojska austriackiego, to wystarczyło, aby zmienić całkiem nastrój.

Inny charakterystyczny fakt świadczył o tym samym. Mianowicie, ogromna większość organizacji Żulińskiego w Warszawie i okolicach odmówiła wstąpienia do Legionów, gdy się dowiedziała, że będą składać przysięgę ogólno-austriacką. Ta zaś część, która wraz z Żulińskim do Legionów poszła, stawiała jako warunek wejście w skład mojej Brygady, gdyż ta składała przysięgę cesarzowi Franciszkowi Józefowi jako królowi polskiemu. Żadne wpływy nawet moje osobiste — byłem podówczas w Warszawie — zmienić tego postanowienia nie były w stanie.

Wówczas — w Warszawie — powstała dla mnie kwestia dalszego mego stosunku do organizacji. Po namyśle zdecydowałem się dopomóc do dalszego jej rozwoju, a to dla następujących motywów:

1) miałem nadzieję, że bieg wypadków doprowadzi do zmiany stosunków względem Legionów i pozwoli na szybkie formowanie wojska po usunięciu dotychczasowych przeszkód;

2) wiedziałem, że w ogóle Polska po klęsce 1863 r. straciła zamiłowanie do wojska, stawszy się krajem nie tylko niemilitarnym, lecz antymilitarnym tak, że przy innych, najlepszych nawet warunkach, formowanie wojska ochotniczego wobec tego nie będzie łatwym. Przygotowawcze więc studia, budzące zamiłowanie do ćwiczeń i rozwijające chęć wstąpienia do wojska, wydawały mi się potrzebnymi i pożądanymi.

[1]) Ważniejsze akcje lotnego oddziału P. O. W. odbyły się pod Grodziskiem, Tłuszczem, Brześciem i Białą Siedlecką, gdzie wysadzone zostały mosty kolejowe.

Opierałem się pod tym względem na doświadczeniach z organizacjami strzeleckimi w Galicji, które właśnie do tego celu dały wyniki doskonałe;

3) nie chciałem w tych burzliwych czasach zostawiać najgorętszą część młodzieży polskiej bez nadziei, że jej aspiracje wojskowe nie będą urzeczywistnione w ścisłym związku z rozwojem Legionów.

Organizacja rozwijała się bardzo dobrze. Gdy wszedłem do Rady Stanu, liczyła mniej więcej około 12 tysięcy członków. Dodać do tego trzeba tych, którzy organizację opuścili z powodu zakończenia możliwego w danej miejscowości cyklu wykładów i ćwiczeń i którzy mogli być pociągnięci przez przykład kolegów ćwiczących. Liczba takich wynosić mogła do 10 tysięcy.

Co do typu organizacji i pracy w niej, P. O. W. po odpadnięciu pracy wojennej z okresu Żulińskiego w niczym się nie różniła od organizacji strzeleckich. Każdy mógł zostać jej członkiem i każdy, gdy chciał, mógł opuścić jej szeregi. Praktycznie wiązały ludzi ćwiczenia i szkolne zajęcia teoretyczne. Stąd tam, gdzie szczęśliwe okoliczności dozwalały na regularną pracę szkolną, organizacja była ściślejszą, gdzie zaś to było niemożliwe — luźniejszą. Podstawowe zasady organizacji pozostały te same: a) bezpartyjność i b) obowiązek oddania swych sił rządowi polskiemu, gdy ten będzie zorganizowany. Natomiast stosunek do Legionów zmienił się znacznie na korzyść. Był nie tylko sympatyzujący i koleżeński, lecz pod wpływem instruktorów, z tych samych Legionów pochodzących, zaczęto je uważać za zawiązek wojska polskiego i wzdychano do chwili, gdy takim wojskiem prawnie się staną i otworzą w ten sposób swe szeregi dla całej organizacji P. O. W.

Natomiast bardzo krytycznym i wprost niechętnym był stosunek do organizacji werbunkowej Legionów. Zarzucano jej nadzwyczajnie niepopularną w Polsce służbę policyjno-polityczną. Przypisywano jej denuncjacjom poszczególne wypadki aresztowań, wreszcie odmawiano jej szacunku, jaki miano dla Legionów, gdyż olbrzymia większość ludzi, wyznaczonych do werbunku, otrzymywała szybkie awansy i nagrody nie za wojenną pracę na polu bitwy, lecz — jak twierdzono — przy pracy, wzbudzającej pewne podejrzenie w ogóle, a odrazę u gorętszych.

Dodam do tego, że stosunek władz okupacyjnych do organizacji w ciągu roku — od zajęcia Królestwa do zwołania Rady Stanu — nie był jednolity ani w czasie, ani w przestrzeni. Przeważnie tolerancyjny, zaostrzał się niekiedy czy to dla pewnych okresów, czy też dla poszczególnych miejscowości. Przeważnie jednak organizacja, o której wszyscy w Polsce wie-

dzieli, nie wyłączając władz okupacyjnych, rozwijała się bez przeszkód ze strony oficjalnej.

Osobisty mój stosunek do organizacji w tym całym okresie był następujący: przede wszystkim popierałem ją materialnie. Bardzo wiele osób w Polsce dawało mi mniejsze i większe sumy pieniężne do zupełnego mego rozporządzenia na cele narodowe. Ogromną większość tych pieniędzy oddawałem P. O. W. Następnie posyłałem jej instruktorów dla prowadzenia ćwiczeń i wykładów. Poza tym nie mieszałem się do jej spraw wewnętrznych, chociaż wiedziałem, że imię moje jest tam bardzo popularne i wpływ moralny duży.

Nie omylę się, twierdząc, że ogromna większość ludzi, życzących sobie rozwoju wojska polskiego, nawet ci, co to lub owo organizacji P. O. W. mieli do zarzucenia, razem ze mną rachowała na to, że właśnie P. O. W. da początek bardziej gromadnemu napływowi ochotników do wojska. Było to tym bardziej możliwe, że organizacja była rozsiana po całym kraju, a w skład jej wchodzili ludzie z różnych sfer, od młodzieży uniwersyteckiej do młodzieży włościańskiej, która stanowiła więcej, niż 33% całości.

Zaznaczę, że to samo sądziła o sobie i cała organizacja P. O. W. Nadzieje, rozbudzone przez akt 5-go listopada, i pewność, że młodzież będzie mogła urzeczywistnić swój ideał i złoży hołd posłuszeństwa rządowi polskiemu, były tak wielkie, że nie znalazłem ani cienia dawnych wątpliwości, gdym po przyjeździe do Warszawy rozmawiał z poszczególnymi przedstawicielami organizacji. Wszystko oczekiwało, że Legiony będą oddane Radzie Stanu, której zadaniem będzie sformowanie rządu i w ten sposób usunięte będą te przeszkody, jakie dotąd dzieliły P. O. W. od Legionów.

Osobiście wstąpiłem do Rady Stanu, spowodowany jedynie optymistycznym przypuszczeniem co do zmian w systemie formowania wojska. Jestem więc przekonany, że wobec mojej moralnej powagi mój optymizm przerobił nadzieje młodzieży na pewność i cała praca szkolna nieledwie została zawieszona i wszystko skierowane do przygotowania organizacji do rychłego wstąpienia do wojska.

Niestety, jak wiadomo, oczekiwania te zostały zawiedzione. Sprawa cała przewlekała się z miesiąca na miesiąc, a nadzieja rozstrzygnięcia jej zgodnie z uczuciami, ożywiającymi młodzież, stopniowo znikała. Po usunięciu zaś zupełnym Rady Stanu od pracy nad formowaniem wojska i ułożeniu systemu werbunku, nie różniącego się w niczym od poprzedniego, który już przez swe dwuletnie bezskuteczne istnienie dowiódł,

że ściągnąć ochotników nie jest w stanie, byłem przekonany, że i stosunek młodzieży, zorganizowanej w P. O. W., do wojska pozostanie bez zmiany. Jak to się stało w rzeczywistości, nie wiem, gdyż do mego uwięzienia Rada Stanu nie wydała jeszcze żadnej odezwy werbunkowej.

Po tym szkicu historii organizacji P. O. W. przechodzę do samego artykułu w «Warschauer Zeitung». Przede wszystkim samo określenie Polskiej Organizacji Wojskowej. Artykuł określa ją jako «geheime polnische Heeresorganisation» [1]) i wyciąga z tego, naturalnie, ujemne dla organizacji i dla mnie konsekwencje. Tym czasem określenie samo jest najzupełniej niesłuszne.

Nie można organizacji nazwać tajną, gdy ta tajemnica jest tajemnicą poliszynela, gdy wszyscy o niej wiedzą i sama organizacja wcale się z swym istnieniem nie kryje. Duża część dyskusji, toczonej w sprawach wojskowych w Radzie Stanu wobec komisarzy obu państw okupacyjnych, tyczyła się P. O. W., jej usposobienia względem sprawy wojskowej i Rady Stanu, liczby członków, rodzaju ćwiczeń, jej potrzeb finansowych itp. szczegółów. Dalej ja sam miałem zaszczyt na ćwiczeniach warszawskiej organizacji widzieć, w postaci dwóch oficerów, przedstawicieli warszawskiej «Feldpolizei», którzy byli tak grzeczni, że odwieźli mnie z ćwiczeń do Warszawy swoim automobilem [2]). Ćwiczenia tej «tajnej» organizacji nie tylko w Warszawie, ale i na prowincji odbywały się za pozwoleniem władz i mnie osobiście w Radzie Stanu nieraz przypominali pp. komisarze, bym polecał organizacjom lokalnym o takie pozwolenia się starać. W każdym razie była to oryginalna tajność. Organizacja, prawda, nie była zalegalizowaną, ale i ten grzech P. O. W. dzieliła prawie ze wszystkimi organizacjami ówczesnymi w Polsce, które szukały legalizacji swojej w Radzie Stanu.

Następnie nazwa «Heeresorganisation» — organizacja armii — jest całkiem niestosowną przesadą w stosunku do P. O. W., która zakrawa na drwiny, zresztą niesłuszne, z organizacji. P. O. W. nigdy od samego początku takich wysokich aspiracyj nie miała i stawiała sobie znacznie skromniejsze i rozsądniejsze cele — przygotowania swych członków do wojska, pozostawiając «organizację armii», zgodnie ze swymi zasadami, rządowi polskiemu.

---

[1]) Tajna polska organizacja wojska.

[2]) Mowa o ćwiczeniach P. O. W. w dniu 29. IV. 1917 r. w Zielonce pod Warszawą.

Punkt pierwszy oskarżenia publicysty z «Warschauer Zeitung» składa na moją odpowiedzialność, że «stosunek P. O. W. do państw centralnych był coraz bardziej wrogim, a mowa jej organów podziemnych coraz bardziej podniecająca». Zarzut zupełnie niesłuszny i wątpię, by na to można było znaleźć dowody. Najpierw o «organach podziemnych». Komenda P. O. W. wydawała dwa pisma «nielegalizowane»: «Strzelec» i «Przegląd Wojskowy» [1]). Oba pisma nie zawierały żadnych artykułów politycznych i zapełnione były jedynie czysto fachowym materiałem. Za te pisma odpowiedzialna jest Komenda P. O. W., a ja nawet z tymi pismami, których mowy, jako «podniecające» nikt nie nazwie, nie miałem nigdy nic do czynienia. Poza tym przez niektórych członków P. O. W., niezależnie od Komendy jej, a tym bardziej ode mnie, było wydawane pismo «Rząd i Wojsko» [2]). Nie przypominam sobie, abym w tym piśmie znalazł choć jeden artykuł zwrócony przeciwko państwom centralnym, jako takim, bo przecie żądania prędszego sformowania rządu polskiego i oddania jemu pracy nad formowaniem wojska nazwać wrogimi w stosunku do państw centralnych nie można. A do tego sprowadzała się tendencja i treść pisma. Może zresztą w tej sprawie nie jestem kompetentny ani nadwrażliwy i dlatego nie mogłem mniemanej wrogości zauważyć. W każdym jednak razie stwierdzić muszę, że zupełnie nie rozumiem, na jakiej podstawie ja mogę być odpowiedzialny za to czy inne pismo, gdy z nim, jak i w ogóle z prasą legalną czy nielegalną, żadnych stosunków nie miałem.

Punkt drugi oskarżenia czyni mnie odpowiedzialnym za wydanie instrukcji, nakazującej zaostrzoną i zupełną konspirację dla P. O. W. Zarzut akurat sprzeczny z rzeczywistością. Instrukcji takiej nie tylko nigdy nie wydawałem, lecz odwrotnie, moje nie instrukcje, lecz rady, dawane organizacji, szły akurat w przeciwnym kierunku. Chciałem, mianowicie, zalegalizować sportowe stowarzyszenia i zmienić w ten sposób P. O. W. na związek zalegalizowanych sportowych towarzystw. Liczyłem przy tym, że ta część młodzieży, której taka praca nie zadowolni, znajdzie swe ujście w rozwijającym się życiu politycznym i od pracy ściśle fachowej odpadnie. Dodam, że je-

[1]) «Strzelec» założony został w październiku 1916 r. i zawierał prace z dziedziny wojskowej. Ogółem wyszło 7 numerów. «Przegląd Wojskowy», założony w lipcu 1916 r., miał tak samo charakter ściśle wojskowego czasopisma. «Przeglądu Wojskowego» ukazało się 10 numerów.

[2]) «Rząd i Wojsko», naczelny organ Polsk. Organizacji Wojskowej, pod redakcją Adama Skwarczyńskiego, zaczął wychodzić najpierw jawnie od 29. IX. 1916 r., a potem tajnie do listopada 1918 r. W Polsce Niepodległej wychodził do r. 1921.

stem przekonany, iż reforma ta byłaby już napewno przeprowadzona, gdyby władze niemieckie w Warszawie zgodziły się na zalegalizowanie centrali w Warszawie, a nie zmuszały do żmudnego i powolnego legalizowania każdej grupki w każdym miasteczku czy wsi, osobno i niezależnie od innych [1]). Co do mnie, szedłem w kierunku rozwiązania dotychczasowej P. O. W. bardzo daleko. Przypominam sobie, żem nawet na posiedzeniu Komisji Wojskowej, w obecności bodaj komisarzy państw okupacyjnych, taki właśnie wniosek o rozwiązanie P. O. W. postawił. Wniosek ten przez większość Komisji nie został przyjęty.

Trzeci punkt oskarżenia publicysty «Warschauer Zeitung» należy do tych, które dowodzą zupełnej nieznajomości rzeczy autora artykułu. Wyznaję otwarcie, gdy go odczytuję, nie mogę nigdy powstrzymać się od śmiechu. Punkt ten brzmi dosłownie: «P. O. W. była na drodze, by w państwie zbudować ukryte od oczu publicznych tajne państwo z odpowiednimi organami i przez przysięgę zobowiązywała członków tego tajnego państwa do absolutnego posłuszeństwa». I, naturalnie, ja, Józef Piłsudski, za te okropności jestem odpowiedzialny. Śmiech mój z powodu tego punktu wywołany jest przez następującą okoliczność: jednym z rzeczoznawców polskich przy różnych urzędach niemieckich w Warszawie był podczas mego tam pobytu niejaki Młynarski [2]); blisko związany z takimiż rzeczoznawcami z aparatu werbunkowego dla Legionów. Otóż ten p. Młynarski jeszcze przed wojną napisał książkę, która Polakom zalecała właśnie zbudowanie takiego tajnego państwa z «odpowiednimi organami». Te organy miały, według jego projektu, wziąć pod swą opiekę wszystkie przejawy życia społecznego, nie wyłączając, o ile sobie przypominam, regulowania stosunków pomiędzy obu płciami w celu poprawienia rasy polskiej.

Książka niezmiernie naiwna, z powodu której ongiś wśród młodzieży toczono wiele dyskusyj i wypowiedziano mnóstwo dowcipów. W tych dyskusjach byłem, naturalnie, przeciwnikiem tej dziecinnej teorii i twierdziłem zawsze, że wobec absurdalności swego założenia takie tajne państwo dla nikogo nie jest niebezpiecznym. Trzebaż więc ironii losów, że ten właśnie absurd mnie właśnie jest zarzucony i to jako punkt oskarżenia,

[1]) Mowa o Stowarzyszeniu sportowo-gimnastycznym «Piechur», założonym jesienią 1916 r. i współpracującym ściśle z P. O. W.

[2]) Feliks Młynarski, ps. «Brzoza», wybitny działacz zarzewiacki, wywierający znaczny wpływ na kształtowanie się ideologii Polskich Drużyn Strzeleckich.

prowadzący do uwięzienia i stworzenia w nim dla mnie bardzo ostrych warunków. W mojej tragedii — gdyż za taką uważam ostatni rok swego życia — uważałem zawsze ten punkt jako łaskawy, chociaż zupełnie dla mnie niezrozumiały, przebłysk komedii.

Co do przysięgi, składanej jakoby na posłuszeństwo, ośmielę się zaznaczyć, że we wszystkich stadiach swej pracy, gdy byłem zupełnie samodzielnym, byłem zawsze przeciwnikiem składania przysięgi. Czy to przy organizowaniu towarzystw strzeleckich przed wojną, gdy byłem zupełnie niezależnym komendantem wolnych strzelców, czy wreszcie w swoich radach w P. O. W. — zawsze usuwałem przysięgę, a to dla następujących powodów: po pierwsze dlatego, że wiedząc z doświadczenia o konieczności życiowej odstąpienia od sakramentalnych przyrzeczeń młodości, nie chciałem nigdy wprowadzać młodzież w demoralizującą atmosferę łamania przysięgi, — następnie dlatego, że wszystkie te organizacje były dla mnie organizacjami o charakterze przejściowym, przygotowawczym do czegoś większego — mianowicie, wojska polskiego, składającego przysięgę swemu rządowi na posłuszeństwo. Wszelkie więc poprzednie przysięgi były, według mnie, niewłaściwe. W tym kierunku byłem tak konsekwentny, że nawet wyruszając na wojnę, nie żądałem od nikogo ze swych podwładnych nie tylko przysięgi, lecz nawet zwyczajnego słowa honoru, postanowiwszy sobie, że w każdej chwili uwolnię z wojska tego ochotnika, który tego zażąda, albo który okaże się niegodnym towarzystwa. I wyznam, nigdy nie miałem powodu żałować swego postępowania, a posłuszeństwo w stosunku do mnie i ustanowionych przeze mnie przełożonych było bez zarzutu.

Nie chcę jednak powiedzieć, że ten mój stosunek do przysięgi był podzielany powszechnie. W praktyce swojej organizacji strzelców przed wojną miałem kilka wypadków — wśród młodzieży gimnazjalnej o romantycznych głowach i wśród włościan — gdy lokalne organizacje wprowadzały u siebie przysięgę. Nie uważam więc za wykluczone — chociaż sam o tym nie wiem — że i P. O. W. w jakiejś zapadłej wsi albo wśród rozognionych gimnazjastów były składane jakieś przysięgi. Ale cóż to ma wspólnego w ogóle z P. O. W.? A tym bardziej ze mną? A już zupełnie niezrozumiały dla mnie jest związek z okropnościami «Geheimstaates mit entsprechenden Organen» [1]), których to okropności na pewno w P. O. W. nie było.

[1]) Tajnego państwa z odpowiednimi organami.

Nareszcie ostatni punkt oskarżenia, pod którym jako wniosek jest postawiony «so blieb schliesslich nichts anderes übrig, wie ihn (Piłsudski) mit seinen Mitschuldigen festzunehmen» [1]). Ten punkt stwierdza przede wszystkim, co nie jest powiedziane zresztą, lecz konsekwentnie z poprzedniego wynika, prawdopodobnie głową owego okropnego «Geheimstaates mit entsprechenden Organen». Co do ostatniego, mogę zapewnić, że ludzie w moim wieku i z moim doświadczeniem życiowym nie bawią się tak dziecinnie, a tym bardziej tak nie pracują. Oskarżenie to postawię na równi z kryminalnym oskarżeniem o fałszowanie papierów bez żadnego praktycznego celu, o co byłem oskarżony zaraz po aresztowaniu. Wreszcie dodaję, że stosunek do P. O. W. podczas mego pobytu w Warszawie nie uległ zmianie. T. zn., dawałem zależne ode mnie środki pieniężne, dawałem rady — teraz znacznie częściej, gdyż byłem na miejscu — i nie mieszałem się wcale do spraw wewnętrznych organizacji.

Następnie punkt ten oskarża mnie ni mniej, nie więcej, jak o to, że do prac swych w Radzie Stanu wziąłem jako pomocnika swego przyjaciela Sosnkowskiego, byłego pułkownika Legionów, i panów, należących do organizacji P. O. W. Pomimo, że z tego powodu zostałem «festgenommen» nie rozumiałem zgoła, o co tu właściwie chodzi. Jak to — każdego z urzędników swego biura przed przyjęciem przedstawiałem do zatwierdzenia marszałkowi Rady Stanu. O każdym z nich i pomiędzy innymi o przynależności niektórych do P. O. W. wiedziała doskonale policja niemiecka. Płk. Sosnkowski, jako mój pomocnik i zastępca, został zatwierdzony przez Radę Stanu, a przyjechał z Krakowa na tę posadę z wiedzą policji niemieckiej, która na moją prośbę wystawiła mu specjalne pozwolenie. Jako mój pomocnik zastępował mnie nieraz na posiedzeniach Komisji Wojskowej i Wydziału Wykonawczego Rady Stanu przy komisarzach obu państw centralnych. I wszystko to nie wywoływało potrzeby ratowania zagrożonych tyłów armii na froncie wschodnim. Doprawdy, jeśli za to odsiaduję w samotności już rok cały, to jako okoliczność łagodzącą można chyba przyjąć, że przez kilka długich miesięcy wszystkie władze w Warszawie były współwinnymi ze mną, łagodnie zamykając oczy na moje zbrodnie i utwierdzając mnie w naiwnym mniemaniu, że nic zbrodniczego nie popełniam.

Co się tyczy samej treści oskarżenia, żem brał do pomocy

---

[1]) Że nie pozostało nic innego, jak uwięzienie go (Piłsudskiego) wraz z jego współwinnymi.

w pracy w Radzie Stanu ludzi, należących do P. O. W., to przede wszystkim zauważę, że nie robiłem nigdy z tego żadnego sekretu. Więcej, w podziale pracy biurowej był dział specjalny dla P. O. W., który był koniecznym przy przygotowaniu organizacji do wstąpienia do wojska i dla spraw, które się wywiązały ze stosunku tej organizacji do Rady Stanu. Wszyscy, nie wyłączając władz niemieckich, o tym wiedzieli i nie miałem z powodu tego żadnego protestu. Lecz dodam więcej, wzięcie sobie do pomocy właśnie członków P. O. W. uważałem jako swój prosty obowiązek.

Przy wstąpieniu do Rady Stanu byłem optymistycznie przeświadczony, że zasadnicze przeszkody, które hamowały dotąd rozwój ochotniczego wojska, będą usunięte. Gdybym tego przeświadczenia nie miał, gdyby mię choć słówkiem raczono uprzedzić, że system, stosowany dotąd do wojska, pozostanie bez zmiany, ani chwili bym się nie wahał zrzec się zaszczytu należenia do Rady Stanu, gdyż z góry bym wiedział, że praca moja będzie zupełnie bezskuteczna. Lecz optymistycznie wierząc w przyszłość, obowiązkiem moim było dołożyć wszelkich starań, aby werbunek, który będzie ogłoszony przez Radę Stanu, udał się jak najlepiej. Dotychczasowy system werbunkowy do Legionów dawał w przeciągu dwóch lat wyniki nikłe i stwierdził albo swoją nieumiejętność, albo niemożliwość osiągnięcia celu za pomocą swojej organizacji. Wiedziałem dalej, że w narodzie tak wrażliwym i nastrojowym, jak Polacy, bardzo dużo zależy od pierwszego kroku udanego czy nieudanego. I wobec dowiedzionej przez doświadczenie dwuletnie «nieudaności» kroków dotychczasowych naturalną rzeczą było zwrócić się do organizacji, liczącej kilkanaście tysięcy członków i od niej zażądać pomocy. Zdaniem moim, nie wypełniłbym swego zobowiązania zarówno w stosunku do Rady Stanu, jak w stosunku do państw centralnych, gdybym organizacji P. O. W. nie wykorzystał i nie brał do pomocy ludzi, mających w niej powagę i znaczenie i oswojonych z organizacją i jej życiem.

Wyczerpałem całą treść publicystycznego oskarżenia «Warschauer Zeitung». Pominąłem nic nie mówiące publicystyczne kwiatki, jak niedopasowanie moje do Rechtsstaat'u [1]). Może mają one chęć urażenia mnie osobiście i polemizować z tym trudno, zresztą nie stanowią one właściwie żadnego oskarżenia. Nicość oskarżenia może nie była znana zwykle tak dobrze poinformowanym niemieckim władzom wojsko-

[1]) Rechtsstaat — państwo praworządne.

wym. Gdy więc zestawiam je z wyjątkowymi środkami, zastosowanymi do mnie w więzieniu, nie mogę nie przyjść do przekonania, że nie stoją one w żadnym stosunku do publicystycznego przedstawienia moich zbrodni w nr 211 «Warschauer Zeitung».

Nie tłumaczy mi również tej wyjątkowości twierdzenie artykułu, że moje postępowanie nie daje się pogodzić z bezpieczeństwem tyłów armii, walczącej na wschodzie. Pomimo, że nie mogę tego twierdzenia zrozumieć, ani tym bardziej podzielić, mogę jednak przypuścić, że nie jestem w tej sprawie kompetentny, a może pewien hałas, czyniony koło mojej skromnej osoby, hałas z najsłuszniejszymi, a często bardzo zabawnymi supozycjami, robił, że tak powiem, pewien niepokój u osób, odpowiedzialnych za to bezpieczeństwo na tyłach. Ale i tego wschodniego frontu dawno już nie ma, wojsko walczące także nie istnieje, a jednak w wyjątkowym systemie, stosowanym do mnie, zmiany nie ma, nie mówiąc już o powrocie do domu. Muszą więc tu być inne nieznane mi przyczyny, które z artykułem w nr 21 «Warschauer Zeitung» nic wspólnego nie mają.

J. Piłsudski

Więzienie w Magdeburgu, 28 lipca 1918 r.

# MOJE PIERWSZE BOJE

*Wspomnienia Józefa Piłsudskiego, zatytułowane «Moje pierwsze boje», zawierają opis przeżyć wojennych z r. 1914. Wspomnienie pierwsze p. t. «Nowy Korczyn—Opatowiec» odnosi się do końca września 1914 r., kiedy oddział Piłsudskiego po opuszczeniu Kielc prowadził walki nad Wisłą w widłach Wisły i Dunajca. Następne p. t. «Ulina Mała» zawiera opis słynnego przejścia spod Wolbromia do Krakowa przez Ulinę Małą; ostatnie wreszcie, zatytułowane «Limanowa—Marcinkowice», odnosi się do grudniowych walk na Podhalu, zakończonych wkroczeniem oddziału Piłsudskiego do oswobodzonego Nowego Sącza.*

*Wszystkie te trzy wspomnienia pisał Piłsudski w czasie więziennego pobytu w twierdzy magdeburskiej. Pozostawione w rękopisie przy uwolnieniu Piłsudskiego w Magdeburgu, zostały w kilka lat później odesłane przez władze niemieckie na ręce Kazimierza Sosnkowskiego, skąd wróciły do autora. W r. 1925, przekazane do stylistycznego przepracowania Kazimierzowi Świtalskiemu, zostają po raz pierwszy opublikowane p. t. «Moje pierwsze boje» i zaopatrzone w przedmowę Piłsudskiego, zamieszczoną w t. VI «Pism Zbiorowych». Poszczególne wspomnienia zamieszczone w tomie niniejszym, podane zostały według kolejności, w jakiej pisane były w Magdeburgu.*

## ULINA MAŁA

Armia gen. Dankla cofała się w końcu października 1914 r. spod Dęblina. Nie była pobitą — przynajmniej my pod Laskami nie odczuliśmy tego — a jednak cofała się, jak armia pobita, szukająca bezpieczeństwa w szybkim odwrocie, w pozostawieniu pomiędzy sobą a nieprzyjacielem możliwie dużej przestrzeni. Dwa razy stawaliśmy na pozycjach — pod Brzechowem i pod Górą — lecz tylko po to, by po wymianie pierwszych strzałów cofać się dalej pod osłoną nocy. Będąc nieraz w ariergardzie 46 dywizji obrony krajowej i nie mając właściwie przed sobą naciskającego nieprzyjaciela, tłumaczyłem sobie to pospieszne cofanie się, podobne do odwrotu po klęsce, porażką na innych frontach, przegraną, która odsłaniała nam skrzydła i gnała tak niemiłosiernie szybko na zachód. Pewne niewyraźne pogłoski o tym chodziły pomiędzy oficerami: więc




Podziałka 1:200.000

MAŁA ULINA

1:300 000

Przemyśl znowu jest oblężony, więc Rosjanie zajmują środkową Galicję, w Karpatach idą rozpaczliwe ataki, by osłonić Węgry, wreszcie gdzieś koło Łodzi i Łowicza Niemcy pobici cofają się ku swojej granicy.

Chaos pojęć o sytuacji wojennej powiększała jeszcze specjalna moda austriacka. Moda ta polegała na robieniu siebie większym od innych przez posiadanie danych, potrzebnych dla zrozumienia czy to rozkazu, czy to sytuacji, i nieudzielanie tych wiadomości, broń Boże, nikomu, ażeby w ten sposób nie zmniejszyć przed nikim swej wielkości. Rezultatem tej specjalnej że się tak wyrażę Grossmacherei[1]) było szerzenie się w wojsku tak powszechnych opowiadań o klęskach i niepowodzeniach, żeśmy cofali się w wielkim rozpędzie, w atmosferze zupełnego rozbicia armii austriackiej. Narazie, aż do Góry pod Pińczowem, przypuszczałem, że idziemy ku Krakowowi. Skierowałem nawet wprost w tym kierunku wszystkie nasze bagaże i tabory cięższe, każąc im, by wyprzedziwszy wszystkie austriackie tabory, spieszyły czym prędzej stanąć kwaterą gdzieś w okolicach Krakowa. Chciałem uniknąć w ten sposób zaguby naszych bagażów i zaplątania się ich w marszu z taborami całej armii, któreśmy już szczęśliwie dogonili niedaleko od Pińczowa. Błyskała mi myśl, że może przy tym kierunku cofania się staniemy za parę dni w Krakowie. Tam, myślałem, zebrani razem z chorymi, rekonwalescentami i maruderami wszelkiego rodzaju, staniemy w obronie naszej bazy, skądeśmy na wojenkę wyszli. Tam nawet nieszczęśliwy koniec naszej próby stworzenia żołnierza polskiego będzie miał odpowiedni scenariusz historyczny.

Lecz nie! Od Góry odwrót, nie mniej pospieszny, poszedł w kierunku wyraźnie zachodnim — nie południowo-zachodnim, ku Krakowowi. Szliśmy wyraźnie na Miechów lub nawet nieco na północ od Miechowa, ku Antolce. Tu, po raz drugi podczas wojny, przypominałem sobie Langiewicza, gdy niegdyś, już jako dyktator, szedł spod Krakowa przez tę samą Antolkę ku Chrobrzowi nad Nidą, by smutnie w lesie pod Grochowiskami skończyć swą błyskotliwą, prawie operetkową pracę nad wojskiem polskim. Opanowywały mnie smutne, niewesołe myśli, a czułem, że i wśród mych podwładnych jakaś depresja bierze górę nad wszystkimi innymi uczuciami! W Antolce otrzymaliśmy rozkaz cofania się dalszego na Wolbrom i Krzywopłoty. Od tej chwili Kraków pozostał od nas na wschodzie i wszelka nadzieja na walki i boje pod Krakowem znikła

[1]) Robienie siebie większym od innych.

zupełnie. Szliśmy na Zagłębie, kto wie, może jutro staniemy u granicy Królestwa. Dowcipnisie w moim sztabie już określali miejsce pierwszej kwatery dla Brygady na obcej ziemi.

Marsz na Wolbrom był bardzo uciążliwy. Mieliśmy iść w awangardzie 46. dywizji. Wskutek małej ilości kuchen polowych i niedostatecznego wtrenowania się jeszcze żołnierzy do wczesnego wstawania i szybkiego załatwiania wszystkich swych porannych czynności gospodarczych, opóźniliśmy się z wyjściem. Wywołało to przykre dla mnie konflikty przy samym wstępie do marszu. Droga była już po prostu zalana przez cofające się bezładnie tabory. Dowódca brygady, która miała iść za mną, stroił niezadowolone miny i oświadczył, że złożył na mnie skargę do komendanta dywizji. Między moimi «taborytami» a austriackimi wynikały ustawiczne spory, dochodzące do tego, że jedni i drudzy chwytali za broń, by otworzyć sobie drogę. Do taborów, wlokących się z krzykiem i przekleństwami we wszystkich możliwych językach, zaczęła wciskać się gwałtem artyleria i parki amunicyjne, torujące sobie drogę swoim ciężarem i bezczelnością. Pomiędzy tabory i artylerię zaczęła wchodzić piechota i karabiny maszynowe. Jednym słowem, odwrót, gdy wojsko już raz wpadło na swoje własne tabory, zaczął przybierać charakter jakiejś bezładnej ucieczki, gdzie każdy starał się być pierwszym, by być dalej od nieprzyjaciela.

W atmosferze wojskowej dawało się z tego powodu wyczuć jakieś zdenerwowanie, wskutek którego, naturalnie, jeszcze bardziej powiększało się tarcie maszyny wojennej. Bataliony moje wcisnęły się jakoś w tę rzekę ludzi, koni i wozów, wcisnęły się bez porządku, jak kto mógł. Specjalnie tabory były rozerwane na mnóstwo części i szły w tej rzece, płynącej ku Wolbromiowi, bez żadnego związku. Nieraz nawet poszczególne wozy szły samotnie, oddzielone od innych szeregiem wozów, należących do innych jednostek wojskowych, wywołując tym, naturalnie, specjalne niezadowolenie u dowódcy danego taboru i u jego podwładnych.

Unikając ścisku na głównej drodze, gdzie podwójnym rzędem szły w natłoku wozy, boczną ścieżką, wyprzedzając wojsko, ruszyłem ku Wolbromiowi. Wreszcie z pagórka ujrzałem miasteczko. Do ciasnej uliczki wciskały się teraz z trudem i mozołem wozy i armaty. Ba, do miasteczka dążyliśmy nie my jedni. Skądś, od północo-wschodu szły inne tabory, inne wozy i inne armaty. Wkrótce na ogromnej przestrzeni przed miasteczkiem nie tylko drogi, lecz nawet ścieżki pełne były nieprzerwanego szeregu wozów, dążących do wjazdu do Wolbromia. Tu odbywała się istna orgia: krzyki, przekleństwa,

kłótnie o to, kto ma pierwszy wcisnąć się do miasteczka, bicie po pyskach koni, zajeżdżających innym drogę, nawoływanie się, słowem — piekło, do którego nie chciałem mieszać swego wojska. Dałem więc rozkaz, by zatrzymywano i ściągano na stronę wszystkich legionistów i ich wozy u wejścia do Wolbromia. Kazałem rozpalić ogień wobec zimnego jesiennego wiatru i czekać, nim cała fala nie przepłynie, a my, bez walki o miejsce, w porządku przejść byśmy mogli swobodnie. Było to zresztą i dlatego konieczne, by zebrać wszystko, co należało do nas, do kupy, nie dać zginąć w tłoku i nieporządku poszczególnym wozom, rozproszonym wśród innych.

Nie chciałem stanowczo do tych walk o miejsce się mieszać. Miałem zupełnie dosyć tej wiecznej, nieustającej kłótni i sporów z otoczeniem — austriackim wojskiem z I korpusu, do którego byłem przyczepiony i z którym przebyłem całą operację dęblińską. Przypominałem sobie u wejścia do Wolbromia całą dotychczasową naszą historię.

Gdym 6 sierpnia 1914 r. wyprowadził strzelców na wojnę i pomaszerował na Kielce, pomiędzy mną a sztabem austriackim nie było omówionych dostatecznie ściśle warunków wzajemnego stosunku pomiędzy tworzącym się wojskiem polskim a austriackim. Skorzystałem z tego, by postawić od razu, od pierwszego kroku, sprawę tak, aby w młodego żołnierza wpoić możliwie wiele ambicji, honoru, miłości własnej, wreszcie poczucia niezależności od obcych i dumy z tego, że się jest pierwszym zawiązkiem wojska polskiego. Z tych uczuć płynęło konsekwentnie wysokie poczucie obowiązku, aby w niczym nie poniżyć w oczach otoczenia, ani tym bardziej własnych, sztandaru, który od razu postarałem się wznieść możliwie wysoko. Okoliczności pierwszych tygodni wojny sprzyjały temu nadzwyczajnie. W Kielcach byliśmy w tej części teatru wojny, w której akcja wojenna nie była wcale żywą, gdzie zatem stały nieliczne, drugorzędne formacje wojskowe pospolitego ruszenia, które z natury rzeczy nie mogły posiadać gwałtownej chęci supremacji nad nami. Zresztą szybko zdołałem rozwinąć z jednej strony urządzenia wojskowe, z drugiej polityczno-administracyjne instytucje. Stwarzałem w ten sposób mnóstwo faktów dokonanych, czynionych na własną, polską rękę, co znowu nie tylko zmuszało do liczenia się z nami, ale również dawało formującemu się wojsku zewnętrzny wykładnik tego poczucia dumy narodowej i ambicji wojskowej, z których chciałem stworzyć podstawę dla «morale» polskiego żołnierza. Już same fakty, że w Kielcach, największym mieście w południowej części Królestwa, zajętej przez wojska inne, miałem kwaterę w pa-

łacu gubernatorskim, w siedlisku dawnej władzy głównej, wtedy, gdy kwatera dowódców wojsk niemieckich i austriackich znajdowała się gdzieś w mieście, że moje bataliony stały w głównych budynkach państwowych, że polskie wojsko było tam najliczniej reprezentowane — dawały podnietę dla poczucia dumy i nadziei rozwoju.

Pierwszym ciosem, ciosem poważnym i bardzo boleśnie przez wojsko odczutym, był pakt zawarty przez Naczelny Komitet Narodowy z Naczelną Komendą Armii austriackiej, co do formowania Legionów Polskich pod jego, N. K. N., opieką. Warunki tego paktu robiły z nas składową część armii austriackiej, przyrównując nas do pospolitego ruszenia — landszturmu austriackiego — i oddając nas pod opiekę organizacyjną Ministerium Obrony Krajowej. Jako komendantów Legionów wyznaczono oficerów austriackich polskiego pochodzenia, nie mających nic wspólnego z formacjami tego charakteru, co strzelcy.

Nie chcę wchodzić w motywy polityczne, dla których N. K. N. tak postąpił, ani w powody, które mnie skłoniły do przystąpienia do tej akcji — nie jest to wcale zadaniem tego szkicu, który piszę. Dosyć, że pakt ten zachwiał gruntownie podstawą, na której budowałem «morale» nowego żołnierza polskiego. Traciliśmy narazie swoje pierwotne stanowisko tylko w zasadzie, gdyż pozostawiono mi swobodę dalszej organizacji. Zresztą niewiele sobie robiłem z ustanowień tego paktu. Lecz skutki umowy w całej rozciągłości odczuliśmy po przyczepieniu nas do I korpusu krakowskiego, podczas ofensywy na Sandomierz i Dęblin.

Stosunek do nas od góry do dołu był przeważnie wrogo-pogardliwy, w najlepszych wypadkach — lekceważąco-protekcyjny. Dawało to powód do nadzwyczaj licznych starć i przykrości, najczęściej upokarzających. Po paru zajściach z samą komendą korpusu, moda stosowania się do nas, jako do «bête noire», stała się po prostu prawem. Ten stosunek tym był przykrzejszy, że spotykał on nas właśnie w polskim, krakowskim korpusie. Co prawda, było tam mnóstwo Czechów, specjalnie we wszystkich instytucjach tyłowych. Z tymi było najgorzej! Ci wszędzie i zawsze pokazać chcieli swą władzę, swe uprzywilejowane stanowisko, jako armii stałej, w porównaniu z jakąś «bandą». Po bitwie dęblińskiej, gdy pod Laskami moje bataliony wykazały doskonałą postawę, te przykrości stały się tym trudniejszymi do zniesienia, gdyż dotykały już nie tylko godności narodowej, lecz i dumy żołnierskiej. A w odwrocie, przy spotkaniu się z taborami, te przykrości zaczęły się mno-

żyć. Byłem zmęczony tym piekłem ciągłego uspokajania słusznie wzburzonych nerwów moich oficerów i żołnierzy. Zacząłem się obawiać po prostu o skutki takiego ułożenia się stosunków, skutki, które mogły się wyrazić albo w zwyczajnej bójce ze wszystkimi jej następstwami, albo spowodować upadek wśród wojska tego, co uważałem za najbardziej podstawową rzecz dla żołnierza, w ten sposób tworzonego — jego dumy i ambicji.

I dlatego, gdym stał wówczas podczas chłodnego listopadowego popołudnia u wejścia do Wolbromia i patrzał na nerwowe tłoczenie się wozów, koni i ludzi, na walkę wszystkich ze wszystkimi o to, by wejść pierwszy w ulice miasteczka, nie chciałem w niej brać udziału, nie chciałem pozwolić na nowe tarcia i spory pomiędzy moimi żołnierzami a «kolegami» z austriackiego wojska.

Wkrótce koło ognisk rozległ się wesoły śpiew żołnierzy. Przechodzące zdenerwowane wojsko patrzało na nas, jak na wariatów, albo też brało naszą wesołość za kpiny z siebie. Oficerowie z mego sztabu u początku miasteczka zdobyli jakąś chałupę, gdzie przygotowano herbatę i zaproszono mnie na nią. Posłałem oficera do środka miasteczka, by tam sprawdził ruch wojska. Wrócił z raportem, że to, co się dzieje u wejścia, jest niczym w porównaniu z tym, co się dzieje na rynku, gdzie drogi różnych części wojska rozchodziły się, gdzie nastąpiło niebezpieczne dla ruchu skrzyżowanie nieporządnie idących taborów i artylerii i gdzie zresztą już kilku oficerów sztabowych robi porządek.

— Zabawa na długo! — pomyślałem, siadłem do herbaty i pogrążyłem się w analizie nurtujących mnie oddawna myśli.

Myśli te były niewesołe! Cofaliśmy się, nie zatrzymując się wcale, z jakimś potwornym pośpiechem od Wisły ku zachodowi. Mijaliśmy już Kraków, zostawiając go na wschód od nas. Odwrót, który obserwuję, nabiera jakichś cech klęski wskutek samego sposobu marszu. Trudno sobie wyobrazić, by wojsko, tak cofające się, było w stanie jutro czy pojutrze podjąć walkę. Muszą to widzieć i rozumieć i wyżsi dowódcy, których widocznie jakieś inne powody zmuszają do tego, że pozwalają na taki bezmyślny przejaw demoralizującego tchórzostwa. Widocznie więc, jeśli walka będzie podjęta, to poza granicami Polski, którą oddają na zalew Moskali.

Druga już to próba ofensywy nieudana, kończąca się klęską i jakimś prawie haniebnym, bez przyczyny zarządzanym odwrotem. Idąc tak trochę dalej, staniemy jutro czy pojutrze w obronie dostępu do Wrocławia czy Zlatej Prahy i Wiednia.

Nie mogłem iść na to! Wolałbym śmierć, niż taką przyszłość. Mogła mi próba stworzenia zawiązku wojska polskiego nie udać się, mogłem się mylić w rachubach, lecz nie mogłem zdobyć się na jakieś udawanie Józefa Poniatowskiego i tonąć w jakiejś Elsterze, nie mając nawet Napoleona nad sobą, ale jakiegoś na krzywych nóżkach małoluda Demusa i suchego, złośliwego Kirchbacha *). Gdy nie ma już nadziei na rozwój wojska, gdy po prostu Austria walczy chyba o jako tako przyzwoite zakończenie wojny, trzeba kończyć i nam. Niech I korpus krakowski broni Prahy i Wiednia, Wrocławia i Berlina — my, wolni strzelcy polscy, nie będziemy tego czynili. Spróbujemy umrzeć z honorem, lecz umrzemy na swojej własnej ziemi!

Były to moje rozpaczliwe myśli u wejścia do Wolbromia, gdzie w błotnistych uliczkach miasteczka człapały jeszcze konie, ciągnąc za sobą taborowe wozy, armaty, jaszcze i dudniące kuchnie. Zdawałem sobie sprawę, że czynię jakieś wysiłki, aby się obronić od tego dzikiego skoku gdzieś w zupełnie nieokreśloną i niewiadomą przyszłość. Fizyczne i moralne zmęczenie robiło swoje. Leniwie i tępo patrząc w przeciwległą ścianę, siedziałem na jakiejś ławie, nie chcąc się ruszać z miejsca. Ogólne znużenie nie usposabiało do energiczniejszego wysiłku myśli. Odpocząć przed tym, nim się coś postanowi, odpocząć samemu, dać odpocząć innym, nim się zażąda od nich wydatku energii! Lecz gdzie? Tutaj, przed tym błotnistym Wolbromiem, gdzie jutro mogą się ukazać może patrole rosyjskie? Umierać tutaj, jako opóźniony w cofaniu się maruder! Robiło mi się smutno na duszy i za siebie, i za tych, których prowadziłem za sobą. Umierać można, lecz nie tak śmiesznie! Jakaś zanadto dziwaczna Elstera!

Jeszcze raz błysnęły mi w oczach mury Krakowa, skąd wyszliśmy na wojnę, gdzie miałem wtedy jakieś wewnętrzne uczucie, że zarówno w moim życiu, jak w życiu chłopców, których za sobą wyprowadzę, zachodzi jakiś przełom, jakaś zasadnicza zmiana. Do Krakowa? Przecież to forteca, to nie padnie w jednej chwili, w jednym dniu. Jeśli umierać, to tam, tam złożona z nas hekatomba ślad zostawić musi. Nie będzie to Elstera, lecz Wisła! Do Krakowa, albo jeszcze dalej, do Nowego Targu. Jeżeli istotnie Austriacy czują się tak pobici, że się cofają tak szalenie szybko, jak gdyby za kilka dni bronić chcieli Moraw i Czech, to nieprzyjaciel musi minąć całą Galicję. I wtedy trudno dostępne górskie okolice dadzą możność

*) Demus — szef sztabu I korpusu krakowskiego, główny prześladowca nasz — wydawał mi się z pochodzenia Żydem czeskim. Kirchbach — dowódca korpusu I — był hakatystycznie usposobionym Niemcem.

trzymania się dłużej, niż gdzieindziej. Górale pewno pomogą... Gdy już hekatomba ma być złożona, to będzie ona przynajmniej tam w górach bardziej historyczną, bo samodzielną, ba, będzie bardziej sceniczną. Jest już listopad, muszą przyjść śniegi, które stworzą wszędzie trudne «defilé», łatwe do obrony nawet małymi siłami. Więc spróbować się tam dostać — oto zadanie!

Odetchnąłem trochę, gdym do tej decyzji przyszedł, gdym swobodniej zaczął mówić sobie, że może jutro nie będę się tłukł po drogach w kłótniach i sporach z kochanym I korpusem krakowskim w walce «mit dem österreichischen Schikanensystem» [1]). Zacząłem leniwie myśleć, oglądając mapę. Trudności natychmiast mi zaczęły wyrastać: gdzieś jest rozkaz cofania się aż do Krzywopłotów — tak daleko jeszcze — a tu wkrótce zmierzch nastąpi; Wolbrom może za duże miasteczko do stania na noclegu z mymi małymi, a tak zmęczonymi siłami; lepiej może dobrze pomyśleć, nim się taką dziką rzecz zdecyduje, a tu myśleć tak, na jakimś popasie, nie sposób.

Oficer zameldował mi, że ariergarda austriacka już zajęła miasteczko i że drogę mamy wolną. Przejrzałem raz jeszcze mapę i wydałem rozkazy:

— Nocleg w Lgocie Wolbromskiej. Kwatermistrze mogą jechać. W ariergardzie batalion taki a taki wystawia forpoczty na wschód. Wymarsz w pół godziny po przejściu ostatnich wojsk austriackich.

Odczułem na sobie pytające oczy Sosnkowskiego, Kasprzyckiego i Stachiewicza. Lgota Wolbromska leżała o kilka kilometrów na wschód od linii forpoczt, wytkniętych na ten dzień dla armii, a naturalnie, jeszcze dalej od wyznaczonego dla nas miejsca postoju koło Krzywopłotów.

Odwołałem Sosnkowskiego i zacząłem mu tłumaczyć myśl moją:

— Od jutra cofamy się samodzielnie; idziemy na południo-zachód pod Olkusz, gdzie mamy największe kompleksy lasów; wyjdziemy pod Kraków, gdzieś koło Krzeszowic. W ten sposób znajdziemy się znowu w Polsce, tam zaś albo będziemy bronić Krakowa, albo pójdziemy na Podhale. Dzisiaj możliwie krótki marsz, aby ludzie i konie wypoczęli trochę, bo jutro będziemy mieli ciężki dzień, od południa jutro spodziewam się mieć kawalerię rosyjską na karku.

Nie potrzebowałem długo tej myśli tłumaczyć swemu najbliższemu pomocnikowi. Już nieraz w rozmowach podczas

[1]) Z austriackim systemem szykan.

marszów wymienialiśmy pomiędzy sobą myśli co do naszego tragicznego losu w najbliższej przyszłości, gdy znajdziemy się już na obczyźnie i cała myśl przewodnia, z którą szliśmy na wojnę, zniknie, skoro podstawa jej — ziemia ojczysta — spod nóg się usunie.

Narazie wszyscy potrzebowaliśmy odpoczynku na gwałt. Bój pod Dęblinem (pod Laskami) silnie nadszarpał nerwy i wywołał zmęczenie fizyczne. Pierwszy raz braliśmy udział w wielkich bojach nowoczesnych, pierwszy raz odczuliśmy na sobie wpływ silnego ognia artylerii lekkiej i ciężkiej, pierwszy raz przeżywaliśmy cięższe straty. Wreszcie trzydniowy bój z nieprzespanymi nocami, przy chłodach jesiennych, musiał się też na nas odbić.

Potem przyszło cofanie się z całym moralnym ciężarem, że opuszczamy Polskę. Wreszcie niekoleżeńskie stosunki z otoczeniem. Długie marsze, częsta praca w ariergardzie, wyczerpująca jeszcze bardziej siły, brak kuchen polowych, który skracał żołnierzom każdego dnia czas snu, wreszcie niedostateczne wyekwipowanie, brud i zawszenie — wszystko to razem wymęczyło strasznie wojsko. Odczuwałem to doskonale na sobie. Nigdy w życiu nie sypiałem we dnie. Nawet po niespanych prawie nocach zasypiałem w ciągu dnia zawsze z trudnością, teraz zaś wystarczało tylko nie myśleć, a już zaczynałem drzemać czy to na koniu, czy nieraz w najniewygodniejszej pozycji. Z powodu brudu czułem do siebie po prostu obrzydzenie, a myśl o odpoczynku i o jednym chociażby spokojnym dniu była jakimś marzeniem o raju na ziemi. Przewidywałem, że przy przeprowadzeniu powziętej decyzji będziemy wszyscy mieli parę dni szalonego napięcia nerwów i mięśni. Przede wszystkim więc odpocząć przed wytężoną pracą!

Wyszedłem do wojska. Ognie paliły się wesoło, rozlegały się śpiewy i wybuchy śmiechu, otaczano kołem kolegów, wracających z miasteczka i przynoszących z niego zdobycz — chleb czy kartofle. Po drodze przeciągała ariergarda austriacka, a raczej ostatnie jej patrole. Byli to Polacy z Tarnowa i okolic. Niektórzy z nich zatrzymywali się przy ogniskach i ze zdziwieniem pytali, co tu robimy, gdy już za nimi mogą być tylko kozacy. Otrzymywali harde odpowiedzi moich chłopców, sypały się pieprzne dowcipy. Zimny, przejmujący wiatr robił jednak swoje. Widziałem zsiniałe twarze, zmęczone oczy. Niektórzy spali przytuleni do siebie. Dokoła chodziły warty. Widziałem, że wielu z naszych żołnierzy zadaje sobie te same pytania, z jakimi się do nich zwracano: «Po co właściwie tu stoimy? Może znowu jakaś ariergarda i niespana noc?» Czułem

na sobie te pytające oczy żołnierza, chcącego z twarzy dowódcy wyczytać wyrok o swoim losie. Czułem i było mi przykro, żem już w duszy ich na śmierć w hekatombie skazał.

Lecz nareszcie odmarsz. Zbliżał się wieczór, a z miasteczka nadbiegł oficer z wiadomością, że droga wolna i całe wojsko austriackie już przeciągnęło. Przyprowadzono mi kasztankę. Byłem bardzo zmęczony, więc zaczęły mnie z łatwością opadać wszystkie możliwe wątpliwości z powodu powziętej decyzji.

Przede wszystkim długi szereg wozów i nasze «werndle na kółkach» — staromodna górska artyleria z dymnym prochem. Konie zmęczone, drogi złe, szybki marsz więc trudny. Jak obronię swe wozy od napaści kawalerii, przecie połowa wojska pójdzie na osłonę taboru. Dalej, co ja właściwie wiem o nieprzyjacielu — nic a nic, oprócz tego, że właśnie na tym trakcie, którym myśmy się posuwali, nas nie naciska. Przecież nasze szybkie cofanie się nie bez powodu się odbywa, gdzieś na naszych skrzydłach musi być nacisk silniejszy, a więc nieprzyjaciel bliższy, może akurat tym zagrożonym skrzydłem jest nasze prawe — południowe? Droga więc może być trudniejszą, niż mnie się wydaje — nie tylko z przednią strażą rosyjską bym miał do czynienia. A czy jestem do tego zdatnym z tak zmęczonymi ludźmi i z tak małym zapasem nabojów, którego już, gdy zostanę sam, nie uzupełnię? A co zrobię z rannymi? Dotąd dumni byliśmy z tego, że rannych nie zostawialiśmy w ręku nieprzyjaciela, w tym wypadku zaś będzie to koniecznością. Wreszcie ta przykra rola uciekiniera, tak, jakgdyby niespełniony obowiązek żołnierski. Dobrze mówić, że moja garstka nie zaważy na szali przy obronie Wrocławia czy Pragi, a jednak... jednak nie mogę pozbyć się uczucia przykrości specjalnie w stosunku do bezpośredniego mego dowódcy, gen. Brandnera, który od bitwy pod Laskami był szczęśliwym wyjątkiem w krakowskim korpusie i zawsze okazywał swą ku nam życzliwość i koleżeństwo.

Trudności przedsięwzięcia wyrastały, jak grzyby po deszczu. Przedstawiałem sobie różne możliwe spotkania z nieprzyjacielem, szczególnie zaś tę chwilę, gdy otoczony, po wystrzelaniu wszystkich nabojów, będę musiał decydować już skazanie męczeńskiej garstki na śmierć, utrzymując w karbach u ludzi naturalną w takich wypadkach chęć poddania się. A jeżeli przed tym mnie jaka kula trafi? Czy zamiast hekatomby nie skończymy śmiesznością właśnie poddania się?

Byłem zły i zdenerwowany. Rozkapryszona kasztanka, odczuwając moje «nerwy», coraz częściej wyrzucała do góry

łbem, wyciągając mi niecierpliwie ze zmarzłych rąk cugle. A ja, opanowany wątpliwościami — tym koniecznym dopełnieniem każdej inteligentnie przemyślanej decyzji — byłem gotów już dać rozkaz minięcia Lgoty Wolbromskiej i maszerowania dalej do wyznaczonego noclegu w Krzywopłotach. Zacisnąłem zęby, budził się we mnie mój litewski upór i wstyd — wstyd przed sobą, wstyd przed wojskiem, które w przeciągu paru godzin bez żadnej widocznej przyczyny otrzyma zmianę raz danego rozkazu.

Wczesny listopadowy wieczór przy zachmurzonym niebie zapadał szybko, gdyśmy wmaszerowali do Lgoty — wsi, rozłożonej w poprzek naszej drogi do Krzywopłotów. U wejścia czekał kwatermistrz sztabu z raportem, że mieszkanie gotowe i herbata przygotowana. Rozkazu nie zmieniłem i wojsko ze śmiechem i krzykami rozbiegło się po kwaterach, spiesząc do ciepłej chaty, do snu i posiłku.

Z moich wątpliwości, które mnie tak licznie opanowywały, została jedna, którą postanowiłem natychmiast sobie wyjaśnić. Nie wiedziałem, czy armia austriacka ma się nazajutrz cofać dalej, czy będzie stała na miejscu — w razie zaś, gdyby się cofała, o której to nastąpi godzinie. Tymczasem w Lgocie stanęliśmy właściwie pod armatami wojska, które było przekonane, że przed jego frontem mogą się znajdować jedynie oddziały nieprzyjacielskie. Bałem się więc, że przy pierwszym poruszeniu możemy być ostrzelani przez artylerię austriacką. Wezwałem kilku oficerów, dobrze mówiących po niemiecku, i rozesłałem ich w paru kierunkach, z rozkazem uprzedzenia forpoczt austriackich, żeśmy z powodu zmęczenia zostali przed frontem, by rano, gdy nas dostrzegą, nie wzięli nas za Rosjan.

Zapadała noc, sztab przygotowywał się do snu. Nagle wpadł jeden z posłanych oficerów — Brzoza — z wiadomością, że jego wywiad na forpocztach skończył się zaprowadzeniem go do komenderującego brygadą, ten zaś zatelefonował do dywizjonera i z komendy dywizji przyszedł wyraźny rozkaz natychmiastowego wymarszu do Krzywopłotów ze stanowczym zakazem pozostawania przed frontem armii. Brzoza próbował telefonicznie porozumieć się z dywizjonerem i wytłumaczyć mu brak niebezpieczeństwa, lecz bezskutecznie — rozkaz został ponowiony z całą stanowczością.

Byłem więc postawiony przed nową decyzją i na szalę wątpliwości padał ciężar nowy — ciężar wyraźnego nieposłuszeństwa wojskowego. Wahanie tym razem było krótkie. Dałem rozkaz natychmiastowego wymarszu do Krzywopłotów.

Pocieszałem siebie tym, że właśnie wejdziemy w kompleks lasów, które stamtąd idą już pod Olkusz, że więc łatwiej będzie przy następnym marszu zagubić się w drodze. Było mi jednak bardzo ciężko. Gdym siadał na konia, czułem się tak, jakgdybym ze swobody szedł do więzienia.

Dla całego wojska marsz ten z Lgoty do Krzywopłotów był bardzo uciążliwy. Większość żołnierzy ledwo zdążyła ogrzać się i zasnąć, a już trzeba było wstawać, na zmęczone nogi wciągać obuwie, wychodzić ze snu na chłodne powietrze. Konie trzeba było zaprzęgać pociemku i wlec się, gdyż maszerowaliśmy strasznie wolno, po ciężkiej piaszczystej drodze, która zdawała się nie mieć końca. O! Pamiętnym mi będzie ten marsz nocny 8 listopada! Wściekły na siebie, drżący od chłodu, siedziałem na koniu, przeklinając i swoje decyzje, i wysyłanie Brzozy i wyrzucając sobie brak stanowczości i logiki.

— Już jeśliś zdecydował swój marsz do Galicji, po licha było leźć pod armaty do Lgoty, trzeba było zostać w Wolbromiu, nie miałbyś kłopotu! — oto, jak sformułowałem swój zarzut. Zaczynałem sobie wykładać ulubioną swą teorię o ogonkach i szczątkach poprzednich decyzji, od których tak trudno się oswobodzić. Przecież marsz do Lgoty był niczym innym, jak dalszym ciągiem poprzedniego marszu na Krzywopłoty, gdy nowa decyzja w Wolbromiu wymagała innego kierunku.

— Tak, tak — powtarzałem sobie ze złością — I Bogu świeczka i czortu koczerga [1]), jak mówią Rosjanie. To nie jest żadna decyzja, z tym nie do Krakowa i Podhala, a wprost do Zlatej Prahy trafisz.

Wściekłość moja powiększyła się jeszcze bardziej, gdy po przejściu jakiejś grobelki z ciaśniutkim mostem przy młynie, miejsca, które okazało się nie do przezwyciężenia dla części mego taboru, spotkałem oficerów, wysłanych naprzód jako kwatermistrzów. Kwater w ogóle nie było wcale. Krzywopłoty, składające się z kilku chałup, naturalnie, były przepełnione. Proponowano, co prawda, przez grzeczność oddać dla mnie jakąś chałupę, lecz odrzuciłem propozycję. Jak biwakować, to biwakować wszystkim. O cieple, wygodniejszym śnie dla zmęczonych chłopców ani mowy być nie mogło. Jakieś ukrycie od wiatru dać mógł tylko lasek, a raczej zarośla sosnowe.

Wkrótce przyniesiono trochę słomy, zamigotały w zaroślach ogniska, zmęczeni ludzie walili się, jak snopy, dokoła ognia, niekiedy na wilgotną, zimną, jesienną ziemię. Mnie za-

[1]) I Bogu świeczka i diabłu ogarek.

prosił do siebie gościnny i gospodarny Śmigły, który rozłożył obozowisko komendy batalionu koło większego drzewa. Otuliłem się w burkę i ćmiąc niezliczoną ilość papierosów, patrzyłem tępo w ogniska, rozpalone przede mną. Biwak zresztą nie był pozbawiony uroku. Księżyc wysoko na pochmurnym niebie rzucał na wszystko dyskretne, szaro-srebrne tony, w oddali migały po przez gałęzie kontury jakichś ruin zamczyska na stromym pagórku. Dolatywał poważny szum boru, wesoło błyskały w zaroślach liczne ognie, nadając swym zmiennym oświetleniem wszystkiemu jakieś fantastyczne formy. Gdzieś w głębi duszy wypływały — jak zwykle u mnie, gdy jestem wśród sosnowych lasów — wspomnienia młodości o Litwie, o Syberii i nocach myśliwskich, spędzonych tak samo w półśnie, przy rozpalonym ogniu. Lecz dusiłem w sobie stan rozmarzenia, wywoływanego bliskim obcowaniem z przyrodą. Do głowy pełzły wciąż te same, niewesołe wolbromskie myśli.

— Oto są skutki tych pół-decyzji! — myślałem. Gdzież jest odpoczynek dla ludzi i koni? Wyciągnąłeś ich z ciepłych chat, ze snu; tutaj ta połowa, która jeszcze nie jest zaziębiona, gotowa będzie na jutro. Konie na chłodzie całą noc będą stały, czy zdążą jeszcze w nocy nakarmić je przemęczeni ludzie? A ze świtem trzeba będzie się zerwać, by iść pewno już na obczyznę. Kto wie, czy będzie okazja do skręcenia na południe, a i tam przecież będzie maszerować wojsko, i tam po drogach wlec się będą te przeklęte, kłótliwe «treny».

Obok mnie, w spokojnym, młodym śnie pogrążeni, leżeli Sosnkowski i Śmigły. Ja spać nie mogłem, pomimo, iż całą siłą woli odpędzałem od siebie dokuczliwe myśli. Patrzyłem wciąż na zegarek i podrzucałem drzewo do ognia. Ostatni raz, pamiętam, sprawdziłem czas o wpół do szóstej. Później musiałem zasnąć. Obudził mnie Stachiewicz, zwykły w tym czasie łącznik z komendą dywizji. Było około wpół do siódmej rano; wstawał szary, jesienny poranek 9 listopada.

Okazało się, że jestem specjalnie wezwany do dywizjonera, który ma dla mnie szczególne poruczenie. Mam gdzieś maszerować z trzema batalionami i kawalerią, dwa bataliony i artyleria zostają i dowódca pozostającego oddziału ma się meldować na przeciwległym wzgórzu, gdzie mają się zebrać wszyscy dowódcy. Skoczyłem na równe nogi.

Opodal pod lasem stał dywizjoner. Spokojnie tłumaczył mi, że wskutek tak starannego oderwania się od nieprzyjaciela nie mamy o nim żadnych wiadomości. Jest się zupełnie pociemku. Ja znam kraj i ludność lepiej, niż kto inny, dowiem się czegoś pewnego. Oprócz tego nauczył się cenić i mnie oso-

biście, i wojsko, którym dowodzę. Dlatego żąda od nas, pomimo zmęczenia, abyśmy uczynili wywiad przed frontem — od Żarnowca do Miechowa. Jest to niebezpieczna ekspedycja, ale liczy na to, że potrafię z niej się wywiązać. Mam wziąć z sobą trzy bataliony i kawalerię. Reszta zostanie i dowódca oddziałów, które pozostają, ma się za chwilę meldować u niego.

Zimne i chłodne postanowienie wróciło mi do głowy. — Nie wrócę! Przykro mi było powziąć to postanowienie właśnie przed tym przyzwoitym człowiekiem i porządnym, odważnym generałem, jednak czułem, że postanowienia nie zmienię.

— Czy dywizja stoi przez ten dzień na miejscu? — spytałem. Cień niezadowolenia przemknął się po dobrodusznej twarzy generała. Szkoła austriacka nie lubi niepotrzebnych pytań i rozmiłowana jest w niezrozumiałej dla mnie tajemniczości.

— Dotąd nie mam rozkazu odmaszerowania... — odpowiedział mi chłodno.

Skoczyłem do swoich. Musiało być coś w wyrazie mojej twarzy, gdyż podczas wydawania rozkazów oficerom niejeden z tych, których skazywałem na pozostanie, błagająco zwracał się do mnie z prośbą, bym zabrał ich z sobą. A wybór istotnie był ciężki. Nie miałem złudzeń. Wiedziałem, że jeśli my, którzy odchodzimy, idziemy na wycieczkę nadzwyczaj ryzykowną, lecz dającą duże moralne zadowolenie, ci, co zostaną, będą narażeni na mnóstwo przykrych moralnych przejść, bez możności znalezienia oparcia we mnie.

Zdecydowałem od razu, że biorę ze sobą bataliony I i III, jako mające najwięcej kadrowego materiału strzeleckiego, zostawię zaś na pewno IV, który, po detaszowaniu go pod Warszawę, wrócił z trochę pękniętą «morale». Krótko wahałem się co do wyboru pomiędzy V i VI. Większą sympatię miałem do Fleszara, który dowodził VI batalionem, chciałem go mieć z sobą, lecz batalion był świeżo sformowany i miał dużo zupełnie surowego, niewtrenowanego do długich marszów materiału ludzkiego. Okoliczność ta przeważała szalę na korzyść V batalionu. Więc idą nieparzyste I, III, V, zostają IV i VI (II — nie wrócił był jeszcze spod Warszawy).

Dowódcą oddziałów pozostających będzie Trojanowski, przy nim Stachiewicz ze sztabu, jako mający duże doświadczenie w stosunkach z austriackimi władzami. Tym dwu muszę dać specjalne instrukcje na czas, gdy zostaną sami. Instrukcje będą brzmiały:

— Prawdopodobnie nie wrócę, maszeruję do Krakowa

lub w ogóle do Galicji; nikt o tym nie ma wiedzieć, lecz jeśli wieczorem nie wrócę, oddziaływać na ludzi, by się nie poddawali rozpaczy. Gdy już będę w Galicji, rozpocznę starania o wyciągnięcie ich także. Sami jednak mają też się o to starać, gdy już będą wiedzieli, gdzie jestem. W ostateczności marudować oddział, wysyłać, co tylko słabsze, do szpitali.

Krótka narada z Sosnkowskim: — Przedstawiam sobie sytuację w ten sposób, że pomiędzy armiami nieprzyjacielskimi jest jeszcze korytarz dość szeroki, aby mały nasz oddział mógł nim maszerować na południe. Co najwyżej kręcić się po nim będzie jazda z awangardy rosyjskiej. Prawdopodobnie front południowy armii austriackiej opiera się skrzydłem na Kraków, więc ten korytarz idzie w kierunku południowowschodnim. Do Krakowa mamy półtora dnia marszu. Niestety, pójdziemy krajem niezalesionym i bardzo otwartym. Trzeba więc być bardzo ostrożnym i wysyłać dalekie boczne osłony. Zresztą nie bierzemy wozów, więc marsz można przyspieszać i łatwo skierować w różne strony, kolumna przecie nasza w marszu nie będzie dłuższa nad kilometr. Bieda będzie z zapasem amunicji. Idąc bez wozów, będziemy mieli tylko to, co żołnierz ma przy sobie. Bieda też z szalonym zmęczeniem. Ale na to jest ryzyko!

Najgorszym jest to, że muszę zmarnować ten cały dzień. Nie mogę odmaszerować od razu w pożądanym kierunku. Wstydby było, gdybyśmy do ostatka nie wypełnili żołnierskiego obowiązku i nie rozwiązali poruczonego nam zadania — wywiadu. Tę służbę trzeba odrobić, chociaż przez to strasznie się powiększa ryzyko dalszego marszu. Przez ten dzień pracy dla korpusu korytarz może się zwęzić niesłychanie, ba, może zniknie zupełnie. Ale na to rady nie ma, tak nakazuje honor. Nie mogę się cofnąć dlatego, że ryzyko się zwiększa. Przede wszystkim zaś tajemnica, nikt nie ma wiedzieć o zamiarze. Kto wie, może będę musiał go porzucić, po co ludzi narażać na zawód.

I gdy Sosnkowski wydawał rozkazy, odpowiadające sytuacji, ja żegnałem się z pozostającymi. Dr Ruppert i Dzieduszycki proszą raz jeszcze, bym pozwolił iść z sobą, przedstawiają «posłusznie» mnóstwo racyj po temu. Odmawiam, a w oczach ich błyszczą nieledwie łzy niemego wyrzutu. Oglądam z pewnym rozrzewnieniem garstkę zostających z myślą o tym, że kto wie, która część wyciągnęła lepszy los na loterii wojennej.

Już! Kasztanka wyciąga ku mnie swój łysy łeb, szukając w moich rękach chleba. Na drogę przed zaroślami wyciąga się

kolumna piechoty, która ma ze mną maszerować. Oglądam ludzi — twarze niewyspane, kaszel głuchy często rozlega się w szeregach, lecz oczy wesołe. Już wśród żołnierzy rozeszła się pogłoska, że idziemy przed front, uśmiecha się im awantura. Na czele kolumny Śmigły, który wydaje jeszcze jakieś ostatnie polecenia. Jazda! Ruszamy!

Idziemy na razie w kierunku, że tak powiem, nieprodukcyjnym dla powziętej decyzji, — w kierunku północno-wschodnim, w stronę Żarnowca. Tak iść muszę, o ile chcę dzisiaj wypełnić poruczone mi zadanie. Droga prowadzi borem. Naprzód wysuwa się mała awangarda. Zatrzymuję się, by raz jeszcze obejrzeć kolumnę straceńców. Jestem nadzwyczajnie zadowolony. Minęliśmy forpoczty austriackie: jestem wolny, jak ptak w niebiesiech, jak ongiś w cudownym marszu na Kielce. Wolny i panuję nad szmatem rodzimej ziemi. Jak daleko sięga kula z karabinów moich żołnierzy — to wolna, niezależna Polska! Rozpiera mnie rycerska duma, gdy cudowne, wychowane przeze mnie żołnierzyki przechodzą twardym krokiem przede mną. Nie ściga mnie przeklęta zmora — zmora myśli o hekatombie z nas, rycerzy, na rzecz budzenia ducha w nierycerskim, niewolniczym narodzie. Gasi wszystko poczucie rozkoszne swobody i niezależności.

To samo uczucie spostrzegam u żołnierzy: idą wesoło, pomimo zmęczenia. Jesteśmy sami, bez obcej opieki. Ba! lecz co widzę? Za batalionami idą dymiące się kuchnie, ciężko dudniąc po korzeniach na drodze. Wygodnisie! Pomimo zakazu, żeby nie brać wozów, wzięto kuchnie. Najwygodniejsi — III i V batalion — ciągną za sobą nawet po dwie sztuki. Wołam do siebie komendantów batalionów i, choć mnie samego śmieszy ta sprawa, robię groźną minę. Tłumaczą się biedacy gęsto: nie zdążono przed wymarszem zjeść śniadania, można będzie je, jak trzeba, z najbliższego miejsca odesłać, zresztą — tak trudno bez kuchni! Machnąłem ręką — niech idą!

Koniec lasu; na horyzoncie szereg pagórków, pod nimi szeroka droga, schodząca do wsi Strzegowa. Na skraju jej widać już kręcących się naszych beliniaków. To jest cel na razie mego marszu. Stąd pójdą we wszystkie strony macki-patrole. Gdy się okaże potrzeba, podsunę się jeszcze dalej w stronę Żarnowca. Wydaję rozkazy:

— Kwatera moja na plebanii. We wsi zostają dwa bataliony: III i V. III ubezpiecza na północ, V na południe. I maszeruje dalej na wzgórze, ubezpiecza na wschód i daje pomoc, jeżeli się okaże potrzeba, kawalerii. Ta wysyła dwa większe patrole pod Żarnowiec: jeden podejdzie od wschodu, drugi od

południa. Meldunki do I batalionu, stamtąd do mnie. Dwa inne patrole pójdą z Beliną przez Wolbrom — jeden pod Miechów, drugi pod osobistym dowództwem Beliny ze specjalną instrukcją.

Belinie zaś na stronie daję instrukcję, by sprawdził moją teorię o korytarzu, idącym na południo-wschód. Idzie o to, by zrobił wywiad na front austriacki możliwie daleko na południe od nas. Czekać ma na mnie z meldunkami w Wolbromiu, gdzie mam nadzieję być wieczorem. Belina otworzył na mnie szeroko oczy. W krótkości wytłumaczyłem mu, o co idzie. Oczy mu się zaiskrzyły i jego zacięta, kozacka twarz nabrała charakteru nieprzezwyciężonego uporu. Paliła mnie jednak niecierpliwość, dodałem więc, że jeżeli nadąży przed wieczorem, ma mi wysłać meldunek tutaj, do Strzegowej.

Na plebanii było przyjemnie i wesoło. Inteligentny, wesoły, młody proboszcz robił honory domu, goście byli niewybredni i pełni humoru. Co do mnie, postanowiłem był nie myśleć nic o dalszych planach — bałem się tego piekła wątpliwości, które powstaną natychmiast, gdy zacznę analizować położenie. Pomimo jednak tego postanowienia czułem, że gdzieś w duszy odbywa się prawie podświadome pasowanie się z sobą, jakaś praca, szukająca ujścia. Nie dziwota. Decyzja była na wskróś polityczna i tylko z tego punktu widzenia uzasadniona, wojennie była nonsensem i szaleństwem, tym bardziej, gdy została powzięta z tak małymi danymi o nieprzyjacielu. Wiedziałem zaś, że szaleństwo powiększyłem co najmniej parokrotnie przez pozostawanie tutaj, w Strzegowej, przez ten wesoły dzień 9-go listopada. Gryzły mnie znowu wyrzuty sumienia za «półdecyzję» i bałem się, by ona, jak wczoraj przy Lgocie Wolbromskiej, nie zemściła się na wojsku. Decydującą rzeczą dla dalszego marszu była szerokość korytarza pomiędzy armiami. To też i podczas rozmów, i wtedy, gdym słuchał księdza, który mi odczytywał notatki, robione podczas wojny, — coś w rodzaju kroniki parafialnej — robiłem w myśli wciąż obrachowania.

Patrole musiały już zrobić minimum 4—5 kilometrów na wschód, nie słychać dotąd strzałów, nie ma i meldunków, więc dzisiaj korytarz zupełnie wolny ma co najmniej 15 kilometrów. Dzisiaj więc mógłbym przejść nim minimum 30 kilometrów — przypominał mi się wyrzut sumienia — byłbym prawie pod armatami Krakowa. Jutro, gdy w ten korytarz wejdzie kawaleria, tak duży marsz będzie niepodobieństwem. Potyczki, zatrzymania, obejścia zajmą dużo czasu. Będę coraz bardziej odciskany na zachód do frontu austriackiego i czy nie

skończy się wszystko tym, że zamiast, powiedzmy, spokojnego powrotu odcinkiem swojej 46-ej dywizji, nie będę wciśnięty przed dojściem do Galicji do frontu innej dywizji. Znowu skutki pół-decyzji. Usprawiedliwiam samego siebie, że przecież nie mogłem nie wypełnić poruczonego zadania, opanowywał mnie strach, że w ten właśnie sposób postawiłem na kartę być może setki żyć z takim trudem sformowanych żołnierzy młodej Polski, drżącej do życia i nie chcącej gnić w upokorzeniu i niewoli. Ha! wreszcie raport! Od Kuby-Bojarskiego, komendanta I batalionu: «Na wschodzie słychać trochę dalekich strzałów, wysunąłem trochę naprzód ku Żarnowcowi jedną kompanię, poza tym wszystko spokojnie».

Więc nieprzyjaciel jest! Korytarz nie jest szeroki! I moje pesymistyczne przypuszczenia co do jutra mogą mieć rację. A już skądś z dna duszy wyłaniał się był promyk nadziei, że korytarz jest szeroki, że patrole dojdą do Żarnowca bez strzału. Cichy jesienny dzień, wesoła gościna tak niewojennie usposabiały, że się nie chciało wierzyć w istnienie nieprzyjaciela. No, trudno!

Daję avizo III i V batalionom, że o pół do trzeciej nastąpi wymarsz. Jemy obiad i idziemy na połączenie z I batalionem. Deszcz trochę kropi, a my drapiemy się po błonistej drodze na pagórek, gdzie u jakiegoś folwarku rozłożył się I batalion. Chcę pokazać nieprzyjacielowi większe grupy piechoty przed wieczorem, by go uczynić ostrożniejszym w jutrzejszym pochodzie.

U Bojarskiego zastaję meldunki z obu patroli z pod Żarnowca. Oba jeszcze przed Żarnowcem spotkały nieprzyjacielskie patrole i miały z nimi potyczki. Południowy patrol przysyła papiery i część munduru podoficera kozackiego, zabitego w potyczce. Więc Żarnowiec jest zajęty przez silniejszy oddział jazdy, a z opowiadań ludności wynikałoby, że ma tam przyjść na wieczór piechota. Ale cały skarb to papiery podoficera 1-go sybirskiego pułku kozaków.

Jakiś inteligentniejszy chłopak. Obszernie, choć nieortograficznie spisywał w notatniku dzień za dniem kronikę wypadków. Łatwo z tego skonstatowałem, że mam przed sobą jeden z sybirskich korpusów — numeru w tej chwili nie pamiętam — bo cała marszruta od Wisły była w tej kroniczce spisana. Biedny, nie zobaczy już swej śnieżnej ojczyzny!

Mam więc teraz doskonały materiał dla swego raportu do dywizji. Sprawa w tej części terenu zupełnie wyjaśniona:

— Taki a taki korpus sybirski w marszu w kierunku południowo-zachodnim awangardą swoją dotarł wieczorem 9-go listopada do Żarnowca. Patrole z 1-go sybirskiego pułku koza-

ków minęły Żarnowiec, zostały przez nasze patrole ułańskie po kilku udanych potyczkach odparte z powrotem. W Żarnowcu, według opowiadań mieszkańców, na wieczór spodziewana jest piechota. Papiery zabitego podoficera kozackiego załączam.

Tak mniej więcej brzmiał mój raport. Dodałem do niego, że zadania swojego nie uważam za skończone i dla wyjaśnienia sytuacji pod Miechowem, maszeruję na południe od wielkiego gościńca Miechów—Wolbrom.

Przez chwilę brała mnie szalona chętka uderzenia w nocy na Żarnowiec. Ten brawurowy projekt męczył mnie co najmniej pół godziny. Było to, że tak powiem, w logice robionego przeze mnie w tej chwili zadania — wywiadu, — jego najlepszym dopełnieniem. Lecz słyszałem «wołające mnie duchy w inną stronę», przyznaję jednak, że musiałem z sobą trochę walczyć, by od tego projektu odstąpić.

Wreszcie zapada zmierzch. Patrole wróciły, napełniając nasze obozowisko opowiadaniem o wrażeniach z potyczek. Odmarsz. Kolumna się formuje, biorę przewodników i marsz do Wolbromia! Droga jest nużąca — błotnista, pełna jakichś jam i wybojów, tym przykrzejszych, że jest ciemno. Kolumna wyciąga się straszliwie, raz po raz trzeba się zatrzymywać, żeby ją ściągnąć. Maszeruję, że tak powiem, w obszarze wpływu nieprzyjacielskiego, muszę więc trzymać w nocy cały oddział ściągnięty w garści. Wraz z nadejściem ciemności bierze górę znużenie. Słyszę za sobą apatyczne chlapanie błota, ciche przekleństwa, nie czuję w kolumnie życia, tylko rezygnacyjne zmęczenie. A przed nami jeszcze spory kawał drogi, jeśli mamy w marszu przez korytarz odpowiednio wykorzystać osłonę nocy.

Nareszcie zaczęły majaczyć w ciemności pierwsze chaty Wolbromia z mnóstwem zaplątanych płotów. Wchodzimy do miasteczka, przechodzimy przez nie i zatrzymuję kolumnę u wschodniego wyjścia. Ogłaszam, że daję godzinę wypoczynku. Jestem znowu prawie w tym samym miejscu, gdzie dnia poprzedniego powziąłem szaloną decyzję. Spotykam ułanów, patrol z Miechowa. Dowódca składa mi raport: nie spotkał nigdzie nieprzyjaciela, był o kilka wiorst od Miechowa, od ludności wie, że Miechów jest zajęty przez silny oddział ze wszystkich gatunków broni. Naprawiają mosty. W okolicy jakoby kręcą się kozacy, lecz ich nie widział. Beliny dotąd nie ma, jeszcze nie wrócił.

Więc i tu mój wymarzony korytarz istnieje. Trochę mi nie pasuje fakt, że w Miechowie już jest artyleria, więc osłona musi być gdzieś blisko od nas, ale pocieszam się, że mogą to być

armaty przy konnicy. Zresztą główną drogę, gościniec Miechów—Wolbrom, porzucę jeszcze w nocy. Siedząc w ciepłej chałupie, wybieram na mapie drogę i miejsce przyszłego odpoczynku. Jeszcze raz przeklinam brak lasów po drodze, mierzę przestrzeń i decyduję się na Buk dla krótszego odpoczynku, na Czaple Małe dla dłuższego postoju z obiadem. Tam zaczekam do wieczora i nocnym marszem wyjdę pod Kraków, może trochę na zachód od Krakowa. A teraz herbata i czekać na Belinę, ten przyniesie mi dane o linii austriackiej. O ile ta jeszcze istnieje — dodaję w myśli — gdyż może już armia w ciągu dnia była w ruchu na zachód i teraz rzeczywiście już jestem zupełnie samotny, znacznie bliżej do nieprzyjaciela, niż do pierwszej ochronnej linii armii austriackiej.

Zresztą teraz, gdy już rozpoczęło się wykonywanie planu, odeszły mnie wszelkie wątpliwości. Myśl pracuje tylko nad możliwie dobrym wykonaniem zamiaru, nad możliwie największym uniknięciem strat. Wychodzę przed dom — zaczyna świecić księżyc. Po jednej i drugiej stronie ulicy przy ścianach szeregi ciał: żołnierze ze zmęczenia padali wprost w błoto i zasypiali natychmiast. Oficerowie, jak żórawie na straży, chodzą koło żołnierzy, gotowi w każdej chwili budzić śpiących. Upewniam się, czy spełniono mój rozkaz, aby na miasteczko wysyłano po sprawunki ludzi tylko pod komendą oficerów. Tak jest, jestem spokojny, nie rozpełznie się moja gromada. Aha! wracają z tych poszukiwań! Rozlegają się śmiechy, z daleka czuję miły zapach świeżo upieczonego chleba.

Istotnie wszystkie patrole aprowizacyjne wracają ze śmiechem, obładowane chlebem, papierosami, nawet bułkami.

— Obywatelu Komendancie! — raportuje mi jeden, ledwie wstrzymując się od śmiechu. — Dla Moskali było przygotowane — a my zjemy. Byli tu kozacy, uprzedzali, że przyjdą, kazali napiec chleba. Jeszcze dużo zostało, nie mogliśmy wszystkiego zabrać.

Komendanci batalionów proszą, bym pozwolił zabrać wszystko — rozdadzą ludziom, wezmą resztę na kuchnie. O chleb jest trudno dosyć, a ten «moskiewski» tak doskonale pachnie. Pozwalam, bo zresztą Beliny wciąż nie ma. Wszystko jedno, trzeba czekać!

Oryginalnym jest wygląd takiego «neutralno-korytarzowego» miasteczka. Jedni panowie już wyszli, drudzy jeszcze nie nadeszli. I biedni «neutraliści» rachują swe grzechy przed nowym panem, grzechy, które były zasługami przed tym, co już odszedł. Psychicznie już wszyscy są wciągnięci w orbitę panowania tego, który nadejdzie. A gdy tymi, którzy mają nadejść,

są tacy łupieżcy, jak kozacy — tych zaś oczekują przede wszyskim — szykują biedacy zawczasu środki do ułaskawienia hordy. Więc chleb, więc papierosy, ba, cukierki! Nic dziwnego, że tacy naruszyciele «neutralności», jak my w tym wypadku, jesteśmy całkiem niewygodni. Więc miasteczko przyjmuje nas zamkniętymi drzwiami, na głucho nieledwie zabitymi okiennicami, niechęcią zrozumienia naszych żądań i życzeń. Trzeba być brutalnym, by zmusić do ustępstw. To też i w tym wypadku chleb był nieledwie zdobyty szturmem, groźbą, bagnetem, czy kolbą. Dla mnie jednak miało to odgradzanie się «neutralnych» dobre strony. Nikt nas nie obserwował, nikt nie liczył. Mogło nas być dziesięć, dwadzieścia tysięcy równie dobrze, jak trzystu, czy dwustu, nikt o tym nic dokładnego powiedzieć by nie mógł.

Godzina, wyznaczona dla odpoczynku, minęła, a Beliny wciąż nie ma. Niecierpliwię się, lecz czekam. Nie chcę go pozostawić w niepewności, co ma robić, gdy tu do Wolbromia nadejdzie. A czas upływa, czas tak drogi dla mnie w tej operacji. Decyduję się czekać tylko do wpół do jedenastej — jeszcze pół godziny. Zresztą zostawię mu patrol ułański.

Wreszcie i ten czas minął. Daję rozkaz formowania kolumny. Radzą mi wziąć przewodnika. Nie chcę — jutro rano muszą tu już być kozacy, nie chcę pozostawiać za sobą śladów, zresztą księżyc już jest na niebie, a pierwsza część drogi taka wyraźna — duży szeroki gościniec do Miechowa.

Wreszcie wszystko gotowe — wymaszerowujemy. Wysuwam się ze sztabem na szpicę, nikt bowiem poza nami kilku w sztabie nie wie właściwie, dokąd i po co idziemy. Gdy wyjeżdżam na czoło kolumny i mijam kolumnę, słyszę zdziwione szepty: «Do Miechowa!» Czuję, że w ludziach sen mija tak, jak i u mnie, wiedzą, że się rozpoczyna jakaś niesłychana awantura — oddalamy się coraz bardziej od austriackiej armii, maszerujemy w kierunku Moskali.

Czy jest większa rozkosz dla żołnierza, jak marsz w kierunku nieprzyjaciela? Wszystko jest niewiadomym i pełnym tajemnic, wszystko pełnym groźby i niespodzianek. Szarzejąca grupa drzew, łagodny pagórek, romantyczna zagroda — wszystko stanowi przedmiot zagadek i łamigłówek. Co prawda, marsz nasz był wyjątkowym. Oderwany oddziałek, mucha wobec ogromu słonia, ku któremu posuwaliśmy się raźnym krokiem, mucha bez żadnego oparcia i pomocy znikąd. Lecz tym silniejsze i ostrzejsze były wrażenia. Będąc dowódcą większego oddziału, nie pracowałem z natury rzeczy nigdy na czele oddziału, jako pierwsza macka, badająca przestrzeń. Więc teraz,

gdy szedłem prawie w szpicy, miałem rozkosz podwójną. Ciężkim ołowiem leżące na duszy poczucie odpowiedzialności za całe przedsięwzięcie, za parę tysięcy żyć, rzuconych przez mój marsz na kartę, znikło, ustąpiło przed rozkoszą rozstrzygania tych drobiazgów taktycznych, które nasuwał ustawicznie nasz marsz ku Miechowowi.

Cudowne! Głowa zimna z poczucia, że się ma siebie zupełnie w cuglach. A zarazem podłoże psychiczne rozgorączkowane, zmuszające serce bić żywiej, pędzić do mózgu fale krwi gorącej, trzymane jednak tak cudownie silnie na wodzy przez zimne postanowienie, przez chłodną kontrolę i analizę. Myśli się szybko, wyraziście, z jakąś zimną stanowczością. Zapomina się o wszystkim na świecie, oprócz celu, który się ma, i krytyki środków, które się nasuwają dla osiągnięcia jego.

Idziemy szeroką drogą, wyjeżdżoną wczoraj przez cofające się wozy i artylerię. Żeby cofać się prędzej, wytarto na otaczających polach nowe drogi, które to się zlewają w jedną, to znowu rozchodzą się dla objazdu jakiejś przypadkowej przeszkody, która się podczas marszu nadarzyła. Na prawo od nas z dala bucha ogromem światła jakaś fabryka. Wśród ogólnej ciszy i ciemności te snopy światła, świadczące o życiu ludzkim, świecą mi jakoś bezczelnie i złowrogo. Mam dosyć powodów do unikania teraz światła i wzroku ludzkiego, więc bezwiednie, instynktownie przy każdym spotkanym objeździe biorę się na lewo, dalej od fabryki. Za sobą słyszę równomierny tupot piechoty. Cicho w szeregach, odczuwam jednak nie martwą ciszę zmęczenia, lecz napiętą, rozbudzoną ciszę ciekawości i gotowania się do walki.

Wkrótce przeciąć musimy tor kolejowy, potem zaraz wchodzimy w las, a potem... potem owa zagroda, przy której skręcamy na południe, w kierunku Krakowa. Jeśli prawdą jest, że Miechów jest zajęty przez silniejszy oddział, to tam może stać już jakaś placówka. Tam więc otrzymam pierwsze dane dla sądu, jak jest z moim korytarzem. Maszerujemy już sporo czasu — sprawdzam — już więcej, niż pół godziny — prawie trzy kwadranse, a dotąd toru kolejowego nie ma. Idziemy dalej, zaczynam się niepokoić. Co u licha ciężkiego!

— Szefie! Czy nie spostrzegacie, że idziemy jakąś błędną drogą? — mówię do Sosnkowskiego. — Dawno powinnibyśmy byli przejść przez tor kolejowy!

— Już od dłuższego czasu o tym myślę, — odpowiada Sosnkowski — ale może to jakiś większy tylko objazd.

Niepokój wzrasta. Przy pierwszym kroku niepowodzenie.

— Czegoś był zanadto ostrożny, — robię sobie wyrzut — trzeba było wziąć przewodnika!

Oglądam się dokoła. Wszędzie trochę pofalowana równina, ani śladu jakiegoś domostwa, tylko w prawo za nami złowrogo błyszczą ślepia fabryki. Wreszcie majaczeje przed nami skraj lasu. Decyduję zatrzymać się w lesie i zorientować się w położeniu. W każdym razie wiem, że nasza istotna droga jest od nas na prawo i za torem kolejowym. Łatwo będzie ją odnaleźć. Zmarnujemy tylko znowu sporo czasu.

Podchodzimy do lasu i trochę dalej rozlega się szczekanie psa, więc jakieś osiedle. Zatrzymuję kolumnę i z kilku oficerami idziemy do chaty. Pies ujada wściekle, szturmujemy do drzwi i do okien. Po długich pertraktacjach wychodzi młody chłopak, ogląda nas ze zdumieniem i z pewnym wahaniem odpowiada na pytania.

Istotnie zbłądziliśmy. Poszliśmy drogą na stację Miechów, więc w kierunku północno-zachodnim. Na nasz gościniec wyjść można bez wozów nawet względnie blisko, ale z wozami trzeba wracać na przejazd kolejowy. Tak, niedaleko, jakaś wiorsta lub półtorej. Z chaty już powyłaziły jakieś baby. Zaczyna się tłumaczenie drogi, jak zwykle, bardzo zawiłe, kręcące się koło przedmiotów, doskonale im znanych, lecz dla nas będących jakimś X-em.

Ten błąd przy pierwszym kroku, to zawracanie znowu w stronę Wolbromia, robi jakąś atmosferę zniechęcenia i niepowodzenia. Może niesłusznie, lecz odczułem ją, jakby idącą od mego otoczenia. Zbieram do garści nerwy.

— Chłopcze, poprowadzisz nas do drogi na Miechów, zbieraj się, idziemy zaraz!

Baby w płacz, matka chłopca rzuca mi się do nóg, obiecuje prowadzić sama. Chłopiec targuje się z nią. Nie znoszę tych scen, tych niepotrzebnych męczarni ludności bezbronnej, nie wojującej. Jestem, zdaje się, za mało bezwzględny.

Śmigły przerywa dyskusję, woła paru żołnierzy i ci przystępują do chłopca. Baba zrozpaczona oświadcza, że i ona pójdzie razem, i jeszcze raz prosi, by nie potrzebowali prowadzić nas dalej, jak tylko do drogi. Dalej do Miechowa trafimy sami, droga tam szeroka i idzie wciąż lasem.

Ruszamy i wykręcamy na jakąś boczną drogę, przez jakiś przeklęty rów, gdzie kuchnie dudnią od przerażenia, a wszyscy woźnice i kucharze klną, co się zmieści. Idziemy z powrotem i przeklętą fabrykę mamy znowu przed oczami. Ha, nareszcie budka kolejowa! Koło kolei, jak wierne straże, biegną słupy telegraficzne z poodcinanymi drutami, które żałośnie ję-

czą pod stopami naszymi i kopytami koni. Jeszcze trochę i jesteśmy na naszej drodze. Patrzę na zegarek i obliczam. Straciliśmy, minimalnie licząc, dobrych dwie i pół godziny! Nie dopuszczam do siebie pesymizmu, klepię po szyi kasztankę, mrucząc:

— No, dzisiaj ty swych Czapel Małych nie zobaczysz!

Kasztanka stamtąd pochodzi i ciekaw byłem, jak się będzie zachowywała, gdy po tylu wędrówkach, niespodziewanych dla wiejskiej, rozpieszczonej klaczy, ujrzy rodzime pola i zagrody.

Maszerujemy lasem; pali mnie ciekawość, co spotkamy przy zagrodzie na skręcie naszym z wielkiej drogi na południe. Wreszcie majaczeją i zabudowania. Wstrzymuję kolumnę i chcę jechać. Lecz na cuglach spoczęła ręka Śmigłego.

— Komendancie! Nie wolno! Ja prowadzę awangardę, to mój obowiązek. Proszę zaczekać!

Kochany Śmigły! Kiwam głową na znak zgody i zostaję przy kolumnie. Z pamięci wyskakuje mi nagle Kraków i salka wykładowa w «Strzelcu». Pamiętam, gdym, zwariowany na punkcie studiów wojny japońskiej, wykładał swym uczniom sławny nocny atak 10-ej dywizji na «Sopkę o dwóch rogach», jeden z bohaterskich czynów japońskich, który wzbudzał mój zachwyt. I zawsze przy tym wykładzie, jako przykład rozumnej organizacji i wewnętrznej dyscypliny Japończyków, przedstawiałem wypadek z marszałkiem Nodzu, komendantem tej armii, do której należała atakująca 10-ta dywizja.

Marszałek Nodzu, zaniepokojony strzałami, wpadł do wsi, przez którą maszerowali Japończycy i szły kule rosyjskie: chciał być bliżej wypadków. I tam komendant dywizji po złożeniu raportu zażądał, by marszałek się usunął, bo «odkąd to dowódca armii ma być w linii ognia»? Nodzu usłuchał. Przedstawiałem ten wypadek zawsze, jako przykład zdrowego stosunku pomiędzy wodzem a podwładnymi, gdzie wódz musi i umie uszanować nie tylko granice obowiązków, ale i praw swych podkomendnych. Teraz mój uczeń, Śmigły, przywołał mnie do porządku.

Po chwili raport: «Droga wolna, pusto, nikogo nie ma». Gotów jestem skakać z radości. Korytarz jest i tutaj! Ba, w tym miejscu nawet jakby szerszy, niż w kierunku Żarnowca. Więc prawdopodobnie istotnie front austriacki idzie w kierunku południowo-wschodnim. Skręcamy w las i boczną drogą, dosyć stromo idącą, wdzieramy się powoli na pagórek. Trzeba dać odpoczynek, trzeba ściągnąć kolumnę.

Korzystam z okazji i przed wyjściem z lasu, raz jeszcze oglądam mapę oraz robię obliczenia.

Jest trzecia czterdzieści, za dwie godziny świt będzie dobry, trzeba będzie ludziom dać przyzwoitszy wypoczynek, bo gdyby nawet optymistycznie obliczać mój korytarz, jednak trzeba rachować na potyczki z kawalerią. Muszę mieć ludzi choć trochę wypoczętych. Z tak zmęczonymi ludźmi nie przejdę więcej w te dwie godziny, jak sześć kilometrów, może siedem. Mierzę na mapie: nie, do Czapel nie dociągnę. A jednak byłoby to tak dobrze! Jest dwór i to duży, można byłoby go zająć, tak, by wszystko było i pod dachem, i w kupie. I taki kawał drogi już mielibyśmy za sobą! Może się dowlec tam z odpoczynkami? Jeszcze jeden rzut oka na mapę! Przyciąga mój wzrok zielona plama w pobliżu — jedyny las w tej okolicy. Ulina Mała! Lubię lasy! Ukrycie dla słabego! Kto wie? Decyduję! Jako cel — Czaple, nie uda się — Ulina Mała.

Idziemy dalej. Błoto na drodze ciężkie. Konie i ludzie strasznie strudzeni, więc wleczemy się ospale. Oglądam okolicę przy zbliżającym się pochmurnym świcie. Jesteśmy wciąż na zboczu, łatwo dostrzegalni z traktu Miechów—Wolbrom, który się wije białą taśmą na dole. Kręta, wąska drożyna, którą maszerujemy, wchodzi do Buka; początki tej wsi są już widoczne. Dobrze byłoby dać się ludziom we wsi zatrzymać trochę; znajdzie się pewno tam mleko, a zresztą chociażby woda. Lecz już jest dzień, a każda boczna osłona oddziałów, maszerujących po gościńcu, musiałaby o Buk zawadzić. Więc lepiej nie — wlec się trzeba dalej. Wyjeżdżam naprzód do wsi: teren ku południowi opada, widać z dala wieś, ciągnącą się od wschodu do zachodu, za nią ciemna ściana lasu i zarośli. Wschodni skraj wsi jeszcze jest na górze, przez lornetkę widzę, że jest to coś w rodzaju folwarku. To Ulina Mała!

Wjeżdżam w opłotki wsi. Ludziska już powstawali, oglądają ze zdziwieniem «Austryjoków», kiedy według, słusznych zresztą, ich obrachowań, nie powinniby oni znajdować się teraz w tym miejscu. Dzieci z ciekawością wyglądają z poza węgłów chat, psy ujadają. Prawie w środku wsi widzę, jak kobieta jakaś, otoczona dziećmi, z chwilą, gdy nas zobaczyła, zakryła oczy rękami, przysiadła na przyźbie i zalewa się rzewnymi łzami. Przy niej stoi stary dziad, filozoficznie pykając z fajki. Po zbliżeniu się do tej grupy, zsiadam z konia. Interesuje mnie ta nagła rozpacz kobieciny, a zresztą muszę zasięgnąć trochę języka.

— Czego, kobieto, płaczecie? — mówię do niej. — Uspokójcie się! Nic się wam nie stanie!

Żadnej odpowiedzi, tylko płacz jeszcze silniejszy. Dzieci chowają się za spódnicę matki i stamtąd wysyłają ku mnie na pół przerażone, na pół rozciekawione spojrzenia swych chabrowych oczek. Zwracam się do dziada z tym samym zapytaniem. Dziad milczy i filozoficznie spluwa. Proszę o wodę. Przez łzy kobieta każe starszemu chłopakowi przynieść wody, ba, proponuje mleko, lecz rozpacz jej się nie zmniejsza. Pytam o miejscowość.

— Czy to Ulina Mała tam, w dole?

— Ulina, panie, Ulina!... — odpowiada z płaczem.

Przynoszą mi wodę i mleko. Kolumna zbliża się ku mnie. Daję rozkaz maszerowania dalej, bez zatrzymywania się w Buku. Patrzę na ludzi. U chłopców strasznie pomęczone twarze, jakieś szaro-ziemiste, oczy podkrążone patrzą na mnie z niemą, błagalną prośbą. Uspakajam ich, mówiąc, że wkrótce odpoczną, i wracam do grupy przed chatą. Kobieta wciąż płacze, daję jej spokój i, pijąc mleko, wszczynam rozmowę z dziadem.

— Moskale jeszcze u was nie byli? — pytam dziada.

— A jakże, panie, byli! — odpowiada — wczoraj po południu byli kozacy. Byli u nas, byli ot tam, w Ulinie Dużej. Byli!

Powoli dowiaduję się, że był tu znaczniejszy patrol, kręcił się po całej okolicy i... poszedł dalej na zachód. Nie chce mi się wierzyć, pytam raz jeszcze, nastaję i nie wiem, czy pod wpływem mojej natarczywości, czy z innego powodu dziad zgadza się z mymi wewnętrznymi chęciami, że kozacy wrócili w stronę Miechowa.

Nie dowiedziałem się, z jakiej racji płakała baba, która wdzięcznie zresztą spojrzała na mnie, gdym pogłaskał jej dzieci i spytał się o ich imiona. Czy kobieta bała się, że tu, w cichym Buku, rozpoczną się boje i jej rodzima chata padnie ofiarą na ołtarzu Molocha-wojny, czy strach o dzieci łzy jej wyciskał, czy wreszcie łzy lała z powodu nas, żołnierzy, — nie wiem. Nie pytałem dalej, bo gadania dziada o kozakach rzuciły moje myśli w inną stronę.

Moja piękna przesłanka o korytarzu, z której logicznie plan swój wysnułem, otrzymała nagle cios poważny. Już w c z o r a j w tym korytarzu byli kozacy, gdy ja oczekuję ich tutaj dopiero dzisiaj w południe. Coś mój korytarz nagle się zwęził. Nawet, gdyby istotnie kozacy cofnęli się do Miechowa, to w każdym razie znaczyłoby to, że tutaj armia rosyjska o jakie dobre pół dnia, jeśli nie cały, jest zaawansowana w porównaniu z tym, co widziałem na północy.

Z niepokojem w sercu spieszyłem do wojska. Trzeba dać

natychmiastowy, dłuższy odpoczynek, co najmniej 5—6 godzin. Ulina do tego się nadaje, mam trochę lasu dla osłony dalszych poruszeń. Ale trzeba być ostrożnym, trzeba się pilnować.

Każę I batalionowi zająć folwark na górze. Bojarskiemu, dowódcy batalionu, tłumaczę położenie, nakazuję ostrożność i stałe obserwowanie całego terenu naokoło. Spodziewam się nieprzyjaciela od wschodu, więc właśnie na nim, na Bojarskim, spoczywa odpowiedzialność za spokój i odpoczynek, którego tak potrzebujemy. Żadnej niepotrzebnej strzelaniny! Strzelać tylko do takich patroli, które wyraźnie do Uliny zmierzają, i to przypuszczając je możliwie blisko. Ludzi ukryć tak, by z daleka nie mogli być zaobserwowani, żadnych patroli na zewnątrz, nikogo z ludności nie wypuszczać, wszystkich nadchodzących przysyłać do mnie do zbadania. Meldunki o najmniejszych spostrzeżonych rzeczach!

Bojarski salutuje, wypowiada sakramentalne — «Według rozkazu!» i podkręca czarnego wąsika. Jestem spokojny. Bojarski jest służbistą, nie zawiedzie. Porzucam więc poprzedni zamiar zakwaterowania się samemu przy Bojarskim. Lepiej być przy gros swoich sił. We wsi kwaterują III i V bataliony, które otrzymują te same rozkazy; na zachodnim krańcu wsi — kawaleria.

Rozumiałem, że w moich rozporządzeniach jest poważna luka. Las był, co prawda, zbawieniem, ale też i słabą stroną. Nie kazałem badać lasu, ani posiadania jego sobie zapewnić. Kilka razy chciałem jeden z batalionów umieścić w lesie. Zawsze jednak cofałem się przed myślą, że w ten sposób zmuszę tak zmęczonych ludzi do biwakowania i nie dam im odpocząć porządnie pod dachem.

— Zresztą — myślałem — jestem tu parę godzin tylko. Niebezpieczeństwo grozi mi od wschodu, a tam wejścia do lasu obserwuje Bojarski, a u końca wsi, przy wyjściu do lasu, na południe, stoi warta V batalionu. Zawsze będzie czas zaalarmować ten batalion i las opanować. Teraz pierwsza rzecz, to trochę spoczynku, drzemki i posiłku.

Gdym po ciężkim błocie na ulicy wiejskiej wszedł do kwatery, już przez sztab zajętej, znalazłem wszystkich pogrążonych we śnie. Każdy położył się, jak mógł, — Sosnkowski leżał na łóżku tak, że głowę miał niżej, niż nogi. Kasprzycki, na wpół siedząc, nawpół leżąc, spał w najniewygodniejszej pozycji. Paru oficerów ordynansowych leżało wprost na podłodze z plecakami pod głową. Za drzwiami izby ordynansi targowali się z gospodynią o posiłek.

Siadłem przy stole, bo czułem, że nie zasnę. Z chwilą, gdym nie miał przed sobą szerokiej przestrzeni, gdy mózg przestał pracować nad szczegółami terenu, wracał niepokój, wracały wątpliwości, zwiększone obecnie przez rozmowę z dziadem w Buku. Może oderwać się od tych myśli i pójść sprawdzić kwaterunki i warty? Lecz jestem tak piekielnie zmęczony, że sama myśl o przejściu po tym błocie wzdłuż wsi przeraża mnie; zresztą tacy tędzy oficerowie, jak Śmigły, Bojarski i Zwierzyński, musieli rozkazy skrupulatnie wykonać, a tu mogą nadejść meldunki. Lepiej już zostać ze swymi myślami.

Przewracam w głowie plan dalszego marszu. Jest godzina prawie ósma, najpóźniej o pierwszej wymarsz. Więc o dwunastej wyślę patrole, by oświetlić drogę. Trzy patrole: jeden na Czaple, na wschód, drugi na Wiktorkę i Władysław, na południo-wschód, trzeci w kierunku Skały, na południo-zachód. W zależności od ich meldunków wybiorę drogę. Strach mnie bierze, że może niebardzo będę mógł wybierać. Na myśl przychodzi Belina. Dlaczego nie był w Wolbromiu na umówionym «rendez-vous»? Czy nie stoi to w związku z rewelacjami dziada? Może został wciśnięty do frontu austriackiego? Ale wtedy gdzie, u licha, jest mój korytarz? Niepodobieństwo! W jakiż sposób sam ze swym oddziałem wcisnąłbym się na teren, już zajęty przez nieprzyjaciela?

— A jednak? Jednak uparcie wraca pesymistyczne przypuszczenie. Przypominam sobie, że dziad na pytanie, dokąd poszli kozacy, wskazał od razu na zachód. Ba! słyszę chluptanie po błocie koni, za chwilę brzęk ostróg i szabli, melduje się Belina we własnej osobie.

— Skąd, u licha, tak późno?

— Z Wolbromia, szkapy tak pomęczone, że ledwo już idą. Przyszedłem do Wolbromia w godzinę po odejściu Komendanta.

— No, opowiadajcie!

Więc jeździł sprawdzać front. Przez pewien czas szło dobrze, tak, jak przewidziałem. Austriacy okopują się. Potem wpadł na patrole węgierskie. Z tymi porozumieć się nie mógł. Poprostu rozmowa gęsi z prosięciem. Pomimo starań o niczym się od nich nie dowiedział. Może więc front idzie tak, jak przewidywałem, na południo-wschód ku fortom Krakowa, może i nie. Okopują się, więc może i stoją dzisiaj jeszcze — miałbym w razie przemocy niedaleki odwrót.

— Ale — dodaje Belina — tu już wszędzie byli kozacy. Komendant wie? Wredne małpy, już się kręcą, gdzie nie potrzeba!

— Czyście ich widzieli? — skoczyłem na niego.

— Nie! Ale ludzie tu wszędzie o nich opowiadają. A nas znaleźć łatwo — dorzucił — droga widoczna po przejściu kolumny, już chociażby po mnóstwie niedopałków po papierosach, rzuconych na drogę. Kiedy wymarsz? Muszę wiedzieć, jak rozporządzić z końmi.

— Być gotowym do wymarszu ciągle. Ale nie myślę wcześniej wysyłać patroli, jak o pół do pierwszej. Ordynansa od kawalerii Orlicz już przysłał. Idźcie odpocząć!

Po chwili Bojarski nadesłał pisemny meldunek, że na horyzoncie od wschodu i północy widać grupki i pojedynczych jeźdźców. Ruch ich wyraźnie na zachód, ku nam dotąd się nie zbliżają. Widocznie już po drodze do Wolbromia maszeruje z Miechowa jakiś oddział. Bojarski widzi jego boczną osłonę. Oprócz tego Bojarski przysyła dwóch chłopów, którzy nadeszli z południa.

Zaczynam ich badać i od ich zeznań zaczyna mi się mącić w głowie.

Czaple Małe już wczoraj były zajęte przez Moskali, poszli stamtąd na Iwanowice. Dzisiaj rano byli tam z armatami, ci także poszli na Iwanowice. Dużo ich było. Byli i konni, byli i z armatami, na pytania odpowiadają, że byli i pieszo. Sami są z Uliny, byli w Czaplach na robocie we dworze. Pytałem każdego z osobna, zarzucałem pytaniami obojętnymi, by potem podchwycić ich na jakiejś sprzeczności. Nie, nie ma wątpliwości, mówią prawdę — to, co widzieli. Najwyżej dane o piechocie mogą być nasunięte przeze mnie osobiście, odpowiedzi zaś niejasne wynikają z nieznajomości wojska.

— Mój ty mocny Boże! Gdzież się podział mój korytarz! Jak my stąd wybrniemy!? — Ciepło mi się zrobiło. — Przecież to oznacza, że idąc na południe, muszę przecinać drogi, po których już wczoraj maszerowali Moskale. Więcej! Na północy ode mnie już też maszeruje nieprzyjaciel. Jestem w środku, pomiędzy dwiema drogami ich marszu na zachód: Miechów—Wolbrom i Czaple Małe—Iwanowice. Przecież co chwila spodziewać się należy, że nie ta, to inna boczna osłona, wreszcie jakiś patrol rekwizycyjny zawita do Uliny. I wtedy?... Wtedy tak łatwo nas zmiażdżyć po prostu w kilka godzin. My — garstka bez armat i karabinów maszynowych, oni w kilka godzin mogą mieć tego wszystkiego mnóstwo.

Na potwierdzenie takiej oceny sytuacji przyprowadzają mi raz po raz włościan na badanie. Nie ma żadnej sprzeczności. Coraz jaśniej i dokładniej występuje naga prawda w całej swej okropności. Jeden z badanych potwierdza wiadomości o arty-

lerii słowami: — Do Iwanowic poszły «puszki»[1]). Sam «sołdat»[2]) byłem, to wiem. — W oczach jego błyska jakaś zatajona złośliwość: wie, że to zła wiadomość, rozumie moje położenie prawie bez wyjścia. Co więcej, już koło południa przyprowadzają mi chłopa, który twierdzi, że słyszał, jakoby Skała zajęta przez Moskali, że od Słomnik poszła tam wielka siła.

Rzucam się, jak raniony tygrys. Potrzebuję ruchu, przyzwyczajony do myślenia chodząc, a tu izba zawalona leżącymi w powykręcanych pozycjach ciałami. Biłbym ich ze złości. Uspakajam siebie jednak, że będą i oni mieli dzisiaj ciężki orzech do zgryzienia. Niech śpią! Ale trzeba się decydować! Biorę siebie w garść, jak umiem, rozkładam mapę i chcę myśleć.

Na razie czuję tylko szum w uszach, w oczach się mąci, skronie gwałtownie pulsują, w głowie zupełny chaos. Gdzieś z zakamarków pamięci wypływa molierowskie: — *Tu l'as voulu, Georges Dandin*[3]).

Opuszczam głowę i parę razy powtarzam bezmyślnie: — *Tu l'as voulu, Georges Dandin.*

— Tak, chciałeś tego! Masz swą hekatombę, doprowadziłeś do niej. I to jest już cud, że ty i twoi żołnierze chodzicie po świecie! Jesteś pośród nieprzyjacielskiej armii! Rozumiesz? Mucha wobec słonia! Za chwilę olbrzymia stopa potwora zgniecie ciebie z twym oddziałem bez śladu — hekatomba będzie spełniona. Nie taka, o jakiej w swej romantycznej głowie marzyłeś, by była oną nauką dla potomności, a taka poprostu, że licho żadne nie bardzo wiedzieć będzie, gdzie się właściwie podział Piłsudski ze swymi strzelcami. To twój los przeklęty! Tak — *tu l'as voulu, Georges Dandin!*

Na razie poza wyrzutami, robionymi sobie, i poza jakimiś urywkami myśli o tym, że korytarz zniknął, nic z siebie wycisnąć nie mogłem. Pierwsza zdrowsza myśl był to błysk nadziei, że może jednak tak źle nie jest, że dane od cywilów nie są może tak wiarygodne. Może posłać zaraz patrole? Już miałem zawołać ordynansa od kawalerii, by wydać rozkazy, lecz zatrzymałem się. Jeżeli optymistyczne nadzieje mają jakąś realną podstawę, to późniejsze wysłanie patroli sprawie nie zaszkodzi. Spełnią one spokojnie swą pracę równie dobrze czy o godzinie pierwszej, czy później. Jeżeli zaś, co jest najprawdopodobniejsze, muszę się rachować z pesymistyczną oceną sy-

[1]) puszki — armaty.

[2]) sołdat — żołnierz.

[3]) «Sam tego chciałeś». Wyrażenie z komedii Moliera, komediopisarza francuskiego.

tuacji, to patrole są niebezpieczne. Sprowadzą mi na głowę nieprzyjaciela, który dotąd szczęśliwie mnie omija. Nie, trzeba pozostać ze swymi wątpliwościami w duszy, i nie próbować przedwcześnie wyświetlać położenia.

Zacząłem się trochę uspakajać, głowa zaczęła pracować. Przede wszystkim spokój! Odrzućmy wszystkie tragizmy, na nie będzie czas, gdy one w całej rozciągłości przed oczami staną. Potrafię umrzeć z honorem, chociaż w niepożądanych okolicznościach, a chłopcy moi także. Trudno, taki los wojny! Rozważmy sytuację tak, jakby to było poprostu zadanie, rozstrzygane z dala od kul i nieprzyjaciela. Spróbujmy!

Więc założenie moje co do korytarza, wolnego od nieprzyjaciela od Wolbromia do Krakowa, nie sprawdziło się. Korytarz do Buka był i szedłem nim spokojnie, teraz zniknął. Może istotnie nieprzyjaciel na południe od nas naciskał silniej na armię austriacką i teraz nocnym marszem wszedłem w sferę jego działania. Zresztą obserwacje Bojarskiego dowodzą, że i na północy korytarz ten albo się zamknął zupełnie, albo znakomicie się zwęził. Jestem otoczony przez nieprzyjaciela, na to nie ma rady! Jeszcze może najłatwiej byłoby cofnąć się wprost na zachód, trochę na północ, omijając Wolbrom, trzymając się środka pomiędzy drogami, którymi nieprzyjaciel się posuwa na zachód. Moskale, jak widzę, źle się osłaniają i źle patrolują. Wyszedłbym w parę godzin na front austriacki.

Ba! front austriacki! A skąd pewność, że on stoi? Czy to posuwanie się łatwe nieprzyjaciela nie jest świadectwem, że Austriacy już się cofnęli? Słyszałbym strzały, gdyby stali na miejscu. Więc wobec tego lepiej tej myśli dać spokój, a wprost wrócić do swego postanowienia poprzedniego. Wycofywać się na rzeczy stałe, niezmienne. Taką rzeczą jest Kraków, jako forteca; tej przecie w jeden dzień nie zajęto, musiałaby być wielka walka, a wielkie forteczne armaty słyszałbym tu także z południa.

Nie ma żadnych lasów na drodze! Nigdzie ukrycia! Dopiero gdzieś koło Słomniczek poszczególne parcele lasu. To jest bardzo zła strona obranego kierunku. Strasznie łatwo być opadniętym przez przemoc nieprzyjacielską. Każdy krok, każdy manewr prawie jak na dłoni, wszystko będzie się odbywać przed oczami kawalerii rosyjskiej, która, jeśli źle patroluje, to przecie nie spuści mnie z oka, gdy raz mnie wykryje. Lasy dadzą mi przewagę nad nią. Najbliższe większe kompleksy lasów są ode mnie na południo-zachód, w okolicy Skały. Możeby się starać tam właśnie dostać i już lasami, chociażby bez drogi, wyjść pod Krzeszowice.

Myślę nad tym długo, wreszcie odrzucam ten plan. Rachować muszę na to, co widzę u Rosjan. Słaba ich strona — źle się pilnują, źle osłaniają i źle patrolują. Trzeba to wyzyskać. Idąc ku zachodowi, idę w ślad albo może wśród ich awangardy — ta musi być najbardziej ostrożna, najbardziej czujna. Idąc trochę na wschód — ku Krakowowi — idę na spotkanie ich gros. Ci są przekonani, że ich awangarda cały kraj spatrolowała, nie mają powodu specjalnego być ostrożnymi. Łatwiej będzie nie wpaść im w oko, łatwiej się prześlizgnąć. Z Krakowem będę miał nowy kłopot. Kraków, jako forteca, flankuje przemarsz Moskali na zachód, musieli więc postawić jakąś osłonę od fortecy. Co prawda, w ostatniej wojnie bałkańskiej Bułgarzy wbrew teoriom strategicznym maszerowali o 12 km od Adrianopola, tak, jakgdyby to nie była forteca, lecz zwyczajne miasteczko. Ale wolę liczyć tu na gorszą dla mnie sytuację. Osłona musi stać poza drogą Słomniczki—Skała, na południe od niej. Więc w razie, jeśli się uda do tego miejsca dotrzeć, tam się rozstrzygną nasze losy. Trzeba będzie bagnetem otwierać sobie drogę do Krakowa. Więc ostatecznie decyduję się na utrzymanie kierunku na Kraków, a jako na ostateczność — na zwrot ku zachodowi w stronę Skały.

Teraz wymarsz. Kiedy i jak go odbyć? Naturalnie, jeśli będę zmuszony, to wyjdę w każdej chwili i to, niestety, w kierunku, który będzie nakazany przez okoliczności. Walki we wsi przyjmować nie mogę, parę granatów ją zapali. Mam do boju ten las przed sobą. Ten las! To jest mój wyrzut sumienia! Jeszcze tam ani noga mego żołnierza nie postała. A jak ja mogę się w nim ukryć, tak samo ukryje się, może się już ukrywa w nim nieprzyjaciel. Ale jak jest, tak jest. Jeżeli więc nic nie przeszkodzi, wymaszerować muszę ze zmierzchem. Przedtem, dla oświetlenia drogi, wyślę patrole. Kolumna maszeruje przygotowana do ataku na bagnety.

Najgorszym będzie, jeżeli właśnie zostanę zmuszony do takiego ataku. Naturalnie, nagłym, niespodziewanym napadem odniosę lokalne zwycięstwo, lecz cała okolica będzie zaalarmowana, czas stracony, osaczą mnie powoli i amen, hekatomba gotowa! Ale nie ma innego wyboru!

Nie chcę twierdzić, że ta decyzja przyszła mi tak łatwo, jak rozstrzyganie zadania w spokoju, bez myśli o kulach i nieprzyjacielu. O nie! Byłem zanadto świadom całej grozy naszego położenia, byłem zmęczony fizycznie i moralnie wskutek rozbicia się zupełnego dotychczasowej podstawy mego planu: wolnego albo prawie wolnego korytarza w kierunku Krakowa.

Czułem na całym ciele dreszcze, głowa od czasu do czasu odmawiała wszelkiej pracy, wracając do robienia sobie wyrzutów i kręcąc się, jak wiewiórka, w kole ustawicznych sprzeczności, z których, zdawało się, wyjścia nie ma. Nie chcę też twierdzić, że wszystkie moje decyzje były tak prosto wyrozumowane. Przeciwnie, nieraz zdrowa myśl wyrywała mi się z chaosu jakby bezwiednie, dając mi po prostu odpoczynek, gdyż równocześnie ciągle pracująca samokrytyka od razu uznawała podstawowość danej myśli. Było mi ciężko, tak ciężko, jak może ani razu przedtem, ani potem na wojnie. Lecz wreszcie zatrzymałem się na jakiejś decyzji, decyzji, naturalnie, obstawionej ogromem wątpliwości. Odpędzałem je pocieszaniem się, że zdążę naprawić to i owo po wyjściu patroli, gdy coś się już wyświetli i nie będę błądził w zupełnych ciemnościach. Patrole zdecydowałem wysłać o trzeciej. Wrócą one mniej więcej o godzinie czwartej — pół do piątej, akurat na zmrok jesiennego dnia, gdy przygotowywać się będziemy do wymarszu z Uliny.

Przygotowywano już dla sztabu obiad. Oficerowie zaspani wstawali, myli się. W dotychczasowym państwie snu rozpoczął się ruch i krętanina. Mogłem już chodzić po pokoju. Sprawiło mi to znakomitą ulgę, myśli zaczęły się porządkować, podniecenie wewnętrzne uspakajać, gdy część energii znalazła ujście w mechanicznym ruchu. Wreszcie zawołałem Sosnkowskiego i Kasprzyckiego. Przedstawiłem im sytuację w całej jej grozie i spytałem o radę. Obaj jednogłośnie i po namyśle radzili iść na zachód, w stronę lasów skalskich i olkuskich, obaj sądzili, że inny kierunek jest zbyt ryzykowny.

Nowy cios! Z takim mozołem zdobyta decyzja została przez ich zdanie zachwiana. Dałem spokój rozmowie i po dalszej przechadce po pokoju, raz jeszcze przemyślawszy swe przesłanki, postanowiłem pozostać przy swoim pierwotnym postanowieniu.

Podano do stołu. Czułem, że podczas obiadu nie ja jeden ciekawym uchem łowię szmery poza domem, z niepokojem śledząc, czy nie usłyszymy skądkolwiek strzału. Nie! Cicho i cicho! Zdawało się niekiedy, że to chyba nieprawda, abyśmy siedzieli tu, w zapadłej wioszczynie, zwanej Uliną Małą, otoczeni ze wszystkich stron przez nieprzyjaciela. A czas, ten mój sprzymierzeniec w tej chwili, powoli upływał. Każdy kwandrans, który mijał bez odnalezienia nas przez Moskali, a zbliżał do upragnionych ciemności wieczornych, zwiększał stale szanse naszego ocalenia.

Bojarski słał wciąż meldunki o zjawiających się na horyzoncie w okolicy Buka kozakach. Od czasu do czasu przyprowadzono jakiegoś chłopka do badania. Potwierdzali oni raz jeszcze fakt niezbity, że jesteśmy wśród Moskali. Przyprowadzono Żyda, który, jadąc do Wolbromia z wozem jabłek, zawadził o Ulinę. Żyd zanosił skargę, że żołnierze już mu część jabłek zabrali. Stargowałem cały wóz i kupiłem go dla chłopców. Po pewnym przeciągu czasu doniesiono mi, że Żyd umknął.

Już to nasi żołnierze są zanadto dobroduszni w stosunku do niekombatantów! Ile razy obserwowałem naszych chłopców czy to w stosunku do jeńców, czy do ludności cywilnej, zawsze odnosiłem to wrażenie, że brak nam w charakterze narodowym bezwzględności. Może to i sympatyczne, ale diablo mało warte na rynku wszechświatowego «świętego egoizmu».

Zbliżała się godzina trzecia. Szef mnie pyta o decyzje. Powiadam mu, że stoję przy swoim. Kierunek na Kraków; na Skałę tylko z musu; wymarsz — jak zapadnie wieczór; teraz wysyłam patrole. Szef mruczy, wreszcie radzi, że jeśli idziemy tak ryzykownie, to trzeba zostawić tu kuchnie. Będziemy mogli swobodniej manewrować, bez dróg nawet. To jest dobra myśl! Zgoda. Uprzedzić komendantów batalionów, by wydali kolację przed wieczorem, i kuchnie zostają. A teraz wołać Belinę, pójdą zaraz patrole!

Po chwili jest Belina. Daję mu rozkaz po wytłumaczeniu położenia. Pierwszy na Czaple, drugi na Władysław. To są kierunki, którymi mam zamiar maszerować. Oba patrole winny być uprzedzone, że mają mi przysłać meldunek po dojściu do celu. Czekać mają na nas. Na podstawie tych meldunków wybiorę drogę, i wtedy jeden z nich będzie musiał, nie doczekawszy się nas, samodzielnie wycofać się na Kraków. Trzeci patrol pójdzie na zachód. Ta cisza prawie całodzienna nakazuje mi sprawdzić gawędy «cywilów». A może nie jest tak źle i będę mógł, nie ryzykując zanadto, cofać się w zachodnim i południowo-zachodnim kierunku. Odmarsz patroli zaraz. Meldunki wprost do mnie.

Dalej wymarsz. Wraz ze zmierzchem batalion jedną kompanią zabezpiecza drogę wymarszu przez las, kompania bierze z sobą paru jeźdźców dla patrolowania i meldunków. W marszu pójdzie naprzód III, potem I, wreszcie V batalion. Kolumna czwórkowa, karabiny rozładowane, ładować tylko na rozkaz. W marszu chłopcy mają się wziąć pod ręce; przy zatrzymaniach się oddziału nie wolno nikomu się kłaść; w marszu żadnych kałuż ani błota nie obchodzić, by nie rozluźniać

szeregów, a maszerować ściśniętą kolumną. Palić, głośno rozmawiać, a tym bardziej krzyczeć — nie wolno. Ja pójdę za szpicą, szef — za trzecim batalionem, a przed pierwszym — Kasprzycki na końcu kolumny piechoty.

Największy kłopot mam z kawalerią. W nocy jest mi ona prawie do niczego. Właściwie jest ona balastem i trzebaby było upodobnić ją do wozów, t. zn. wziąć ją w środek piechoty, pod jej opiekę. Ale boję się tego. W nocy konie są płochliwe, przy najmniejszym hałasie, strzałach, gotowe są rzucać się, popsuć szyk i działania piechoty. Z przykrością stawiam ułanów na koniec kolumny. Belinie zapowiadam, żeby ludzie szli przy koniach, trzymając je pod pyskiem, żeby nie rżały, ani się rzucały. Każdy bój mam zamiar rozegrać na bagnety. Pójdzie od razu III batalion, dwa inne w odwodzie, zatrzymane przez szefa. Belina jest markotny, że tak mało ufam jego jeździe. Przysięga, że ułani utrzymają konie, że nie ma się czego bać, wreszcie prosi:

— Ale, jak piechota pójdzie na bagnety, to Komendant gniewać się nie będzie, gdy my też spróbujemy szarży.

Śmieję się z jego ochoty i twierdzę, że będę zadowolony, gdy kawalerzyści utrzymają konie, tym bardziej, że oddaję im swoją kasztankę pod opiekę. Sam pójdę pieszo.

Patrole poszły. Z nerwami, napiętymi do niemożliwości, nasłuchuję, czy nie usłyszę gdzie strzałów. Każda nieledwie minuta ciszy oznacza dla mnie swobodną przestrzeń dla manewru, dla ruchu. Minut tych przechodzi sporo, zaczynam oddychać. Jest jaka taka przestrzeń. I chociaż myślę gorzko: — Jest przestrzeń dosyć szeroka dla twej hekatomby! — jednak z ulgą każę podawać herbatę przed wymarszem.

Ba! ledwiem wypił trochę gorącej herbaty, rozlega się strzał jeden, potem drugi, i to gdzieś bardzo blisko, tak, jakgdyby we wsi. Z pasją myślę, że to pewnie ktoś z naszych wystrzelił przez nieostrożność przy rozładowywaniu karabinu. Nie! gdzie tam! wkrótce gra mi od zachodu muzyka tyralierskich strzałów, od czasu do czasu przerywana nierówną salwą. Szef skoczył, jak oparzony, z chaty. Strzały słychać z zachodu! — Jest! — myślę — i znowu wyłazi mi z pamięci ten przeklęty wiersz: *Tu l'as voulu, Georges Dandin!*

Po chwili zbiegają się raporty: «Kozacy wieś atakują, kilka sotni!» «Przyszli za Wieniawą, który z patrolem poszedł do Iwanowic». Wreszcie szef przybiega — już obejrzał położenie:

— Nie więcej, jak dwie sotnie! Kozacy kubańscy w czerkieskach. Dałem rozkaz, by kompania z III batalionu rozwi-

nęła się dla obrony, atakują słabo od zachodu. Ich patrole prawie wjechały do wsi, na Belinę.

Więc chłopi prawdę mówili! Wychodzę na tylny ganek, skąd doskonale widać zachodnią część wsi, rozłożoną trochę w dole. Już zmierzcha, więc widać bardzo niedokładnie. Przez podwórze z żałosnym jękiem idą zgórowane kule. Strzelanina to zamiera, to znowu trochę się ożywia, lecz z każdą chwilą stanowczo się zmniejsza. Nic, zdaje się, wielkiego nie będzie. Oby tylko te «wredne istoty» — jak mówi Belina — nie naprowadziły na nas większej masy, trzeba spieszyć z wymarszem. Jesteśmy już odkryci! A meldunków dotąd ani z Czapel, ani z Władysława ani śladu.

Pali mnie gorączka i niecierpliwość; w gardle wciąż zasycha, pomimo, że piję już trzecią szklankę herbaty. Strzelanina na zachodzie zacicha. Po głowie chodzą same wątpliwości, najczarniejsze przypuszczenia i supozycje.

Aha! kilka strzałów na południu. Wsłuchuję się; nic — cisza znowu zupełna. Po chwili meldunek: «Na południu, po drodze, idącej z Czapel na zachód, przeciągała jakaś kolumna z ciężkimi wozami, może artylerią, po zmierzchu w lesie nie rozpoznano, słychać było rosyjską rozmowę. Nasi ostrzelali oddział nieprzyjacielski, powstało jakieś duże zamieszanie w kolumnie, wszystko zaczęło się cofać z powrotem na wschód. Teraz droga wolna!»

— Tak więc — myślę — tłumaczy się zagadka, dlaczego nie ma meldunków; po prostu patrol południowy teraz jest od nas odcięty we Władysławie, może rozbity i rozproszony. Czapelski tak samo!

Przyspieszać wymarsz! Błyska mi myśl, by spiesznie wymaszerować i iść za cofającą się kolumną w stronę Czapel. Moskale są już i tak w strachu, gdy się cofają; gdyby się zatrzymali, to im ten strach powiększę. W każdy razie pierwsza walka z już zdemoralizowanym, cofającym się nieprzyjacielem.

— Czy gotowi tam do wymarszu? Posłać ordynansów z rozkazem o pośpiech. Zapowiedzieć Śmigłemu, że zaraz do niego przychodzę. Zaraz powinniśmy maszerować!

Rzucam rozkazy, pali mnie po prostu ziemia pod stopami, nie mogę sobie znaleźć miejsca. Sztab w szacunku dla mego rozdrażnienia zachowuje się cicho, co jeszcze bardziej mnie drażni. Jestem tak zły, tak wściekły, że biłbym kogo z rozkoszą i zadowoleniem. I to piekielne pragnienie! Piłbym i piłbym bez końca, przeplatając picie papierosami.

Meldunek od Śmigłego — za chwilę będzie gotów. Za chwilę! Ach te marudy z III batalionu! Nigdy na czas, zawsze

się spóźnią! Słyszę na dworze chlupot nóg końskich i głosy: — Czy tu Komendant?

Wchodzi oficer ułanów. Zabłocony, trochę blady.

— Skąd?

— Z Czapel, Obywatelu Komendancie!

— Cóż tam?

— Moskale! Przyszli z Miechowa, musiałem się wycofać!

— Opowiadajcie!

Gdy dojeżdżał bez przeszkód do Czapel, słyszał za sobą strzelaninę, która się wzmagała. W Czaplach byli wtedy Moskale i, prawdopodobnie pod wpływem strzelaniny, wyszli w stronę Miechowa, bo wieś zastał pustą. Rozstawił straże u wylotów wsi, wysłał meldunek. Przed godziną, może trochę mniej, na drodze od Miechowa straż usłyszała kroki kupy ludzi i dała ognia; rozpoczęła się strzelanina. Wieś zaczęto widocznie otaczać. Było już ciemno, więc sądzić może o tym tylko z tego, że strzelano do wsi z różnych stron i że słyszał gwizdki i nawoływania się od północy i południa. Gdy Moskale wchodzili już do wsi od wschodu, wycofał się ze wsi, a że słyszał strzały i na tej drodze, skąd przybył, więc naprzełaj wziął kierunek na Ulinę. Wracając, znalazł swego żołnierza, posłanego poprzednio z meldunkiem, który zabłądził i dlatego w porę nie wręczył meldunku.

Nic więc z moich lisich zamiarów maszerowania za cofającą się kolumną! Ziemia się pode mną rozstępowała. Sądząc z opisu, musiała to być już piechota, więc nienajbardziej przednia straż rosyjska. Alarm już idzie dokoła — i na zachodzie, i na wschodzie, za chwilę może nam być bardzo ciepło! A te marudy jeszcze nie gotowe!

— Idę już do Śmigłego! — mówię z nagłą decyzją.

Sztab, milcząc, stoi dokoła. Słyszał raport ułana; czuję, że wisi na ustach u wszystkich pytanie — dokąd?

— Idziemy na Władysław! — mówię — nie można na Czaple, może się uda na Władysław.

Szef zwraca się do mnie z cichą prośbą, bym pozwolił mu iść obok siebie w szpicy.

— Nie! — odpowiadam prawie ze złością — zostaniecie tam, gdzie wskazałem, gdy ze mną co się stanie, obejmiecie komendę.

Szef, widząc moją niecierpliwość, prosi już tylko — zawsze jest metodyczny! — bym zaczekał z ostatecznym wymarszem, nim nie sprawi kolumny, żebyśmy w nocy się nie pogubili i nie rozerwali się na części. Zgoda — zamelduje mi przez Kasprzyckiego, że wszystko gotowe.

Wreszcie wychodzę. Owiewa mnie zimne powietrze i od razu zaczynam rozumieć, skąd ta zwłoka w wymarszu. Jest tak ciemno, że o dwa kroki nic nie widać. Liczyłem na to i chciałem jeszcze bez księżyca dojść do skrzyżowania drogi mojej do Władysława z drogą Czaple Małe—Iwanowice przy Wiktorce. Po tej drodze szedł na zachód z Czapel główny ruch wojsk rosyjskich. Tu spodziewałem się starcia i chciałem ciemności dla ukrycia swej słabości. Teraz jednak ta ciemność szalona, zwiększona jeszcze przez to, że na mój rozkaz zasłonięto wszędzie okna, istotnie przeszkadzała wymarszowi. Kazałem zaraz w domach, stojących przy zakrętach drogi, odsłonić okna i zapalić światło.

Wieś wyglądała, jak wymarła. Ludność ukryła się skrzętnie, oczekując bitwy w ich zagrodach lub na ich zagonach. Po bardzo ciężkim błocie dotarłem do kwatery Śmigłego. Już kolumna I batalionu stała na ulicy, narzekając na III, który jeszcze nie nadążył z wyjściem. Wpadłem odrazu na Śmigłego z narzekaniem na marudztwo. Śmigły i jego adiutant, Młodzianowski, tłumaczą się: jest tak ciemno, musieli parę płotów rozwalić, by łatwiej było wychodzić na ulicę, oprócz tego, idąc w awangardzie, chcą mieć przewodnika. Właśnie czekają na niego.

Panuje tu w tym ciepłym, jasno oświetlonym pokoju atmosfera wielkiego spokoju. W oczekiwaniu na przewodnika wypijam jeszcze szklankę mleka z doskonałą bułką. Już to sztab Śmigłego zawsze jest doskonale zagospodarowany! Młodzianowski żąda jeszcze koniecznie, bym na drogę wziął do kieszeni bułkę, i trochę cukierków. Zgoda, byle prędzej! Nie mam dotąd spokoju wewnętrznego, przebiegają po skórze dreszcze, mam po prostu dosyć tego czekania, tej wewnętrznej męki. Spieszno mi do rozdarcia tajemniczej zasłony, kryjącej naszą najbliższą przyszłość, którą, zgodnie z chłodną oceną sytuacji, uważam za tragiczną.

Przyprowadzono przewodnika — ma nas doprowadzić do Wiktorki. Wychodzimy. Zaczyna się ostatni akt naszej tragedii czy komedii, jeszcze nie wiem. Do głowy, jak wino, raz jeszcze rzuca mi się cały szereg wątpliwości, cały ciężar odpowiedzialności. W głowie mi się trochę mąci, chwieję się na nogach i muszę szukać oparcia na twardym, silnym ramieniu Śmigłego. Przygląda on mi się trochę zdziwionym wzrokiem, lecz natychmiast otacza mnie troskliwą opieką.

Jesteśmy na ulicy w błocie. Przed nami o kilkanaście kroków szpica z pięciu chłopców z 1-ej kadrowej kompanii, z oficerem na czele. U wyjścia ze wsi oczekuje mnie szef z 2 ofi-

cerami ordynansowymi. Jeszcze raz prosi, by zaczekać, nim cała kolumna nie wyciągnie się do marszu. Mamy przejść tysiąc kroków i zatrzymać się. Wystarczy to do wyprowadzenia kolumny ze wsi.

Przechodzimy ten tysiąc kroków i stajemy w oczekiwaniu meldunku szefa. Ogarnia mnie znowu ten cudowny stan, jaki odczuwałem przy wyjściu z Wolbromia. Jestem zupełnie panem siebie, myśl pracuje żywo i wyraziście. — Tak muszą się czuć — myślę sobie — wszyscy wielcy i mali awanturnicy, gdy przystępują do wykonania swych zamierzeń, gdy po przejściu Rubikonu wahań powiedzą sobie: Alea iacta est! Oglądam się. Na prawo — tj. na zachód — rozpala się na chmurnym niebie łuna pobliskiego pożaru. Słyszę, jak żołnierze szepcą do siebie: — Tam są kozacy!

— Ba, — chce mi się im powiedzieć — gdzie ich teraz w pobliżu nie ma?

Wschód zaalarmowany przez Czaple, zachód przez kozaków, z którymi mieliśmy potyczkę tutaj w Ulinie, południe prawdopodobnie przez patrol Dreszera, bo od niego nie ma słowa meldunku. Obliczam zimno i chłodno. Przed sobą aż do rozwidlenia dróg na Czaple i Wiktorkę mam zapewnioną drogę przez kompanię V batalionu. Żadnego niepokojącego meldunku od niej nie mam, więc ten kawałek drogi pewno da się przejść swobodnie. Prawdopodobnie też i dalszy kawałek drogi, idącej na południe od Wiktorki. Tam przecinamy drogę do Iwanowic. Tam będzie pierwsza próba. Druga — Władysław. Dalej nie chcę liczyć, bo gdy te dwie wypadną fatalnie, nie trzeba będzie już szukać trzeciej, wystarczą te dwie, a jeżeli nie, no, to będzie czas się zastanowić potem.

Jest Kasprzycki. — Czy już gotowe?

Nie, szef prosi, by jeszcze ruszyć naprzód o 500 kroków, koniec bowiem kolumny jeszcze jest pomieszany we wsi. Idziemy trochę dalej w las, gdzie na szczęście już błota nie ma— sucha, piaszczysta, lecz twarda po deszczach droga. Łuna na prawo zmniejsza się, natomiast na niebo wyłazi niepożądany księżyc. Niebo, co prawda, zachmurzone, ale jednak światła jest dosyć, aż nadto dosyć na naszą imprezę. Łatwiej będzie maszerować, ale też i znikła osłona, która dawała nam zupełną ciemność.

Wypalamy tym czasem ostatnie papierosy, za chwilę w marszu, zgodnie z rozkazem, palić nie będziemy. Nareszcie Kasprzycki z meldunkiem,że wszystko gotowe. Ruszamy z opóźnieniem, co najmniej godzinnym. Idziemy lasem. Przed sobą widzę żwawo poruszającą się szpicę. Ale co to? Idąc tuż skra-

jem drogi, najbardziej ubitą ścieżką, zaczepiam o coś. Doprawdy nogi ludzkie! Uderzam po nich szpicrutą. Z krzaków wyskakuje naprzód jeden, potem drugi żołnierz— obaj zaspani.

— Co to jest? Skąd to, obywatele? — pytam.

— Z piątego batalionu — odpowiadają nieśmiało.

— Cóż tu robicie?

— My? Na straży.

Wpadam w pasję. — Kulą w łeb — syczę — za taką straż! Spać się im zachciało, gdy od nich zależy całość oddziału. Łajdaki! Precz, do swojej kompanii, będziecie surowo ukarani!

Ba, po kilkudziesięciu krokach spotykam to samo — nowa para, we śnie pogrążona. Nigdy nie biłem w ciągu wojny żołnierza. To był jedyny raz, którego się dotąd wstydzę. Budziłem chłopców uderzeniem silnym nogą, dusiłem się wprost z wściekłości.

Po obudzeniu już piątej pary spotykam komendanta kompanii.

— Co robicie, obywatelu? Wszyscy wasi ludzie śpią, jak zabici!

— Ach, Komendancie! — mówi — biegam ciągle i budzę, tak są zmęczeni, że ledwie zostawić, a za chwilę już wszystko śpi.

— To kazać im chodzić, do licha, a nie stać na miejscu! Nigdy z was nie będzie dobry oficer! Zebrać tę bandę i doczepić do końca kolumny V batalionu. Czy i tam u rozwidlenia tak samo śpią?

Oficer tłumaczy się jeszcze. — Nie, tam nie śpią. Kawalerzyści podjechali trochę dalej i w tej chwili meldowali, że nic nie słychać. — Wszystko spokojnie.

Dawno to było, a jednak dotąd nie mogę zapomnieć tego wrażenia i tej chwili. Dotąd na dnie duszy leży jakby żal jakiś do V batalionu, pomimo, że dziesiątki razy zmazał swą winę walecznością i doskonałem żołnierskim zachowaniem.

Mijamy rozwidlenie dróg, ostatnią placówkę z kilku konnych, i wkraczamy wreszcie na drogę niezabezpieczoną. Co do mnie, jestem zupełnie już spokojny, — wzburzenie wewnętrzne wyładowało się w ruchu. Pozostała tylko ta wewnętrzne gorączka, która każe żywiej bić sercu i jaśniej myślom pracować. Oglądam się za kolumną, co tuż za mną kroczy. Odczuwam jej psychę. Żołnierze wiedzą, w jakim są położeniu. Zresztą ostre zarządzenia marszowe, zakaz kładzenia się, obchodzenia błota, słowem — wszystkie te niezwykłe rozkazy musiały nawet w najciaśniejszym mózgu obudzić myśl, że się dzieje coś nadzwyczajnego. Cisza panuje w zwykle gwarnych szeregach,

słyszę nieraz, jak nieostrożne brzęknięcie bronią napotyka na szeptane wymyślania kolegów. Karabiny najeżone bagnetami. Idziemy, jak duchy, w przestrzeń. Czuję w kolumnie wolę bronienia się do ostatka.

Śmigły budzi mnie z rozważań, chwytając mię za rękę i podnosząc swoją na znak zatrzymania kolumny. Szpica coś dostrzegła. Podchodzi od niej jeden z meldunkiem, że na prawo od drogi jakieś zabudowania, dostrzeżono tam konie, poszedł patrol dla zbadania sprawy. Po chwili wracają z dwoma końmi. Konie osiodłane stały pod płotem bez jeźdźców koło siana. Nikt ich nie pilnował. Oglądam konie, nie wyglądają na kawaleryjskie, powiedziałbym raczej, że kozackie, lecz siodła kawalerii austriackiej. Czy nie z patrolu Dreszera? Każę je zaprowadzić na koniec kolumny do Beliny z rozkazem zameldowania, czy nie poznaje koni. My — marsz dalej!

Po paru minutach szpica podejmuje z ziemi parę przedmiotów, przynoszą mi je. Karabinki Manlichera. Teraz już jestem pewien. To z patrolu Dreszera. Była tu z pewnością potyczka, paru naszych legło czy zostało rannych. Oto więc rozwiązanie zagadki, dlaczego od Dreszera nie było meldunków. Ale gdzie nieprzyjaciel? Musi być gdzieś blisko. Te zabudowania to zapewne Wiktorka. Pytam o to przewodnika. Wymienia mi jakąś inną nazwę, której na mojej generalnej mapie 1:200.000 nie ma.

Już nie pierwszy raz się przekonuję, jak marną podstawą dla wojny była austriacka mapa generalna Królestwa. Zda się, że ją robiono co najmniej 20—30 lat temu, gdyż te zmiany, które na terenie w porównaniu z mapą znajdowałem, tylko przez dłuższy czas mogły powstać. Na kartach forma lasów inna, mnóstwa osiedli ludzkich nie ma, drogi często akurat inaczej chodzą, niż na mapie. Więc i teraz — według mapy pierwszym osiedlem, które mieliśmy napotkać na skrzyżowaniu dróg, powinna była być Wiktorka. Przewodnik zaś sypie nazwami, których wcale na mapie nie ma; ba, okazuje się, że i Wiktorka wcale na rozwidleniu dróg nie stoi, a tak się nazywa folwarczek, stojący nieco na uboczu. Do skrzyżowania dróg mamy jeszcze prawie dwie wiorsty. Tam dalej zaś w stronę Władysława droga, a znowu wbrew mapie. Zaczynam się obawiać, czy przewodnik mnie nie oszukuje. Ale nie! kierunek drogi jest dobry, no i skrzyżowania dróg dotąd nie było żadnego.

Naprzód, nie traćmy czasu! Mamy przed sobą jeszcze tyle drogi, tyle trudów! Cisza naokoło absolutna, cisza taka, jaka tylko bywa po długich jesiennych deszczach, gdy wszystko

w przyrodzie ciężko przemokłe zdaje się dumać nad ubiegłym, pełnym życia i zmian latem i przy dogorywującej jesieni cicho zasypiać drzemką przedzimową. Niebo lekko zachmurzone, obłoki przepuszczają mnóstwo bladego światła księżyca. Jest tak cicho i spokojnie w naturze, że się zapomina o nieprzyjacielu.

Maszerując, zaczynam już sobie układać w głowie swój raport o naszej eskapadzie i mam już ochotę przeklinać myśl szefa o zostawieniu kuchni w Ulinie.

Po pewnym przeciągu czasu las rzednie, przed oczami szeroka polana. Widzę białą taśmę drogi, która biegnie, by przeciąć naszą. To owa Wiktorka z mapy, nie istotna. Na samym skrzyżowaniu dróg na niewielkim pagórku stoi chata, od niej na zachód idzie niedługi zresztą szereg innych chałup. Dalej droga nasza jest osłonięta od wschodu lasem, na zachód jakaś szersza otwarta przestrzeń. Cicho i tutaj. Oczy biegną we wszystkich kierunkach, nic nie dostrzegając, uszy nic podejrzanego nie słyszą. Za mną miarowy chód kolumny piechoty. Gdyby tu był nieprzyjaciel, już musiałby być zaalarmowany! A jednak tą właśnie drogą ciągnęły wozy i armaty, tutaj niedaleko padały strzały.

Szpica posuwa się szybko ku chacie, jestem za nią ze Śmigłym o dwa, trzy kroki, kolumna o jakieś dwadzieścia, trzydzieści kroków za mną. Ubita, szeroka, prawie jak droga, ścieżka prowadzi na pagórek, tuż obok chaty. Idziemy po tej ścieżce i nagle, gdy szpica zbliża się do węgła chaty, słyszę grubym basowym głosem wypowiedziane sakramentalne słowa straży rosyjskiej: — *Stoj, kto idiot?*

Widzę, jak szpica zawahała się jedną sekundę i cofnęła o kilka kroków, tak, że musiałem też parę kroków zawrócić, schodząc z pagórka. W chacie usłyszałem jakiś gwałtowny ruch, parę krzyków. Śmigły już rzucił rozkaz: — Druga kompania naprzód, przeszukać domy! Po chwili szybki tętent koni w galopie, oddalający się w kierunku południowo-zachodnim, potem szereg strzałów, gwizd kul, idących gdzieś blisko. Szpica już była w chacie. Trochę za późno, nikogo już tam nie było.

Przez te krótkie chwile przez głowę przebiegły mi błyskawicą różne myśli co do dalszych mych kroków. Przebiegły, zostawiając tak głęboki i wyraźny ślad w mózgu, że dotąd z fotograficzną ścisłością ich przebieg powtórzyć jestem zdolen. Oto ich treść:

Jest to placówka nieprzyjacielska. Umyka w stronę oddziału, który zabezpiecza. Więc tam na południo-zachodzie jest

większa siła, która już przez strzały jest zaalarmowaną. Najbezpieczniej jest zejść z drogi temu oddziałowi, skręcić na lewo w stronę Czapel i potem w las na południe, w stronę Władysława. Tu zostawić kompanię w ariergardzie, tę, która teraz przeszukuje domy. I zaraz krytyka: — Stracę mnóstwo czasu, z kawalerią brnąć przez gęsty las trudno, a w nocy i piechota łatwo straci drogę. Niebezpieczeństwo wtedy z prawa od otwartej przestrzeni, gotowi nas ostrzelać. Będę miał rannych; niewiadomo, co z nimi robić — ani zostawić, ani ciągnąć za sobą. Wysłać na prawo osłonę czy patrole dla zbadania. I czekać? Nie! — I wreszcie krótka, ostra decyzja: — czasu nie tracić, maszerować wprost kolumną!

Byłem z decyzją gotów, gdy Trześniowski, dowódca drugiej kompanii, przyszedł z raportem, że nikogo nie ma, a wzięty tylko koń, widocznie kozacki, z długą grzywą i ogonem, z siodłem kozackim, uzdą, nabijaną posrebrzonymi gwoździami; pewno podoficerska szkapa.

— Maszerować dalej! — mówię do Śmigłego.

Śmigły prosi o pozwolenie zmienienia awangardy i szpicy. Nie podoba mu się, że chłopcy w szpicy zawahali się sekundę po okrzyku straży kozackiej. Drugie: wypuścili z rąk przewodnika, który zdążył się wymknąć.

— Gapy! Sentymentalne inteligenty! — mruczę. Nie wzięli przewodnika na sznurek.

Śmigły raportuje, że w awangardzie i szpicy pójdzie druga kompania. Chwilka zwłoki, bierzemy z tej samej chaty gospodarza jako przewodnika. Niemłody to już człowiek, stęka, gdy żołnierze wyprowadzają go na wpół ubranego z chaty. Ma na bieliźnie naciągnięty kożuch, żegna się kilka razy, gdy go paru żołnierzy bierze pod ręce. Ruszamy.

Te parę minut, spędzonych na rozstaju dróg przy chacie, zostaną mi w pamięci na zawsze. Nigdy nie byłem tak blisko nieprzyjaciela, by słyszeć wyraźnie jego słowa, nigdy, zdaje się, nie myślałem tak szybko, jak wówczas. Dlatego też nieraz potem, gdym przemyśliwał raz jeszcze tę chwilę, zastanawiałem się, czy istotnie miałem rację, wydając rozkaz maszerowania dalej, bez zmiany kierunku. Że tym razem postanowienie moje nie wyszło nam na złe, to wcale nie dowód, by rozkaz mój był racjonalnym. Niewątpliwie było to najryzykowniejsze wyjście ze wszystkich możliwych kombinacyj, jakie się nasuwały, i gdybyśmy mieli przeciw sobie silniejszego wolą nieprzyjaciela, to moja decyzja kosztowałaby nas bardzo drogo. Miała ona za sobą to, że była najprostszą i wymagała najmniej czasu dla wykonania. Było to, jak mi się zdaje teraz, główną

i, dodam, niemało ważną jej zaletą. Istotnie bowiem czasu wiele do stracenia nie mieliśmy.

Od naszego przewodnika dowiedziałem się o opowiadaniach kozaków, że za godzinę miała tu nadejść większa siła, prawdopodobnie z powodu alarmu, zrobionego przez nas. Bardzo więc być może, że przy skręcie na lewo wpadłbym właśnie na zbliżających się wrogów. Ale także prawdą jest, że gdyśmy odmaszerowali, to naszą ariergardę — kawalerię — prawie że najechała zaalarmowana sotnia kozaków. Że kozacy zamiast być dzielnymi żołnierzami i otworzyć na nas ogień, któryby zmusił mnie do zatrzymania, uszanowali ciszę jesiennej nocy i rozminęli się spokojnie z naszymi ułanami, to wcale nie dowód, że moja decyzja nie była najryzykowniejszą w tym położeniu. Powtarzam, na chłodno rozstrzygnąłbym prawdopodobnie tak samo, właśnie dla uniknięcia straty czasu.

Miałem przed sobą jeszcze opętanych trzydzieści kilka kilometrów, które przejść mogłem jedynie w nocy. W perspektywie zaś nad ranem — bój z Moskalami, którzy, jak przewidywałem, muszą gdzieś stanowić osłonę przed fortami Krakowa. Musiałem więc spieszyć.

Gdyśmy ruszyli od Wiktorki, kazałem dla ostrożności iść pod samym lasem, tak, by być w cieniu drzew, zasłaniających nas od blasku księżyca. Drżało we mnie serce, oczekiwałem wciąż strzałów z prawej, odkrytej strony. Lecz minuty szły za minutą, strzałów nie było. Zacząłem się uspakajać i myśleć o następnym etapie — Władysławie. Pierwszy — Wiktorkę i drogę z Czapel do Iwanowic — minęliśmy szczęśliwie. Mam teraz dowód, że jesteśmy istotnie w kraju, obsadzonym przez nieprzyjaciela. Jest noc, drogi więc są wolne, lecz wsie? Te pewno są zajęte przez rozkwaterowane na noc wojsko. Dajmy na to, że droga, po której idziemy, nie jest drogą marszową dla wojska, idącego na zachód; my się poruszamy na południe i Władysław nie stoi na skrzyżowaniu dróg, jak Wiktorka, ale zawsze jakaś boczna kolumna, tabor, czy kawaleria, dla zaszanowania koni i podstawienia ich pod dach na noc, może zajmować Władysław. Dreszer ze swym patrolem nie dojechał pewno do Władysława, znaleźliśmy przecie po drodze konie i karabinki z jego patrolu. Męczyły mnie te myśli w drodze do Władysława. Nie dałem sobie jeszcze z nimi rady, gdyśmy wyszli z lasu, i wkrótce z daleka ujrzałem pierwsze domy wsi.

Tu podskoczył do mnie szef z propozycją, aby Władysław obejść wprost polami. Zapytałem przewodnika, czy da się to zrobić. W lot zrozumiał on naszą myśl i odrzekł, że obejść

Władysław można doskonale. Za tamtym pagórkiem z prawa jest długi wąwóz, który otacza wieś dokoła i wyprowadza na drogę, idącą do Słomniczek. Kazałem iść w tamtą stronę, porzucając drogę do Władysława. (Nie wiedziałem, że Dreszer stał wówczas we Władysławie. Historia jego jest ciekawa. Jeszcze za ciemna zajął on Władysław, wziąwszy taborek rosyjski z chlebem, mąką i owsem. Było tam tak ciemno, że parę razy kozacy wjeżdżali do wsi, zajętej przez niego. Padały strzały. Meldunki dojść do mnie nie mogły, bo za każdym razem jadący z meldunkiem znajdował drogę przy Wiktorce zajętą przez Moskali. Dwa konie i karabinki istotnie należały do ludzi z jego patrolu. Byli to rekruci, którzy nie umieli jeździć konno i spadli ze swych rumaków. Dreszer samodzielnie, nie doczekawszy się naszego przyjścia, cofnął się do Krakowa. Dwaj nieszczęśliwi rekruci także nie zginęli. Przebrali się za chłopów i zostali przez przemytników doprowadzeni szczęśliwie też do Krakowa. Usłuchawszy szefa, straciłem, jak teraz sądzę, jakie półtorej godziny. Niewątpliwie jego rada czyniła odwrót pewniejszym i mniej ryzykownym, chociaż bardziej uciążliwym).

Skręcamy z drogi na prawo, na świeżo zorane pole, i zaczynamy zwolna wchodzić na pagórek. Jakaż to wściekła różnica maszerować po drodze, a iść bezdrożem po zoranych polach. Nogi grzęzną gdzieś w bruzdach, miękka ziemia oblepia buty. Doprawdy, gdyby nie ta konieczność spieszenia, gdyby nie te nerwy naprężone, nie dałbym ani ja, ani moi żołnierze rady w tym dzikim marszu po bezdrożu. Odpoczywalibyśmy z pewnością co 10 minut. Teraz szło się bez wytchnienia prawie. Gdy mi serce od zmęczenia trochę dokuczać zaczynało, stawałem na chwilę, nie zatrzymując kolumny, by odetchnąć głębiej i spokojniej. Dało mi to możność obejrzenia parę razy kolumnę, wciągającą się na pagórek. Cudowny widok! Ledwie dostrzegalny szary wąż pełznął po równie szarej ziemi do góry. Cisza była absolutna. Trochę w dole, na lewo od nas, tonęła w szaro-srebrnej mgle, również w ciszę pogrążona wieś Władysław. Widziałem, że żołnierze, równie jak ja, zezowali na lewo, na wieś, gdzie się spodziewano, że są Moskale. Każdy starał się stąpać jak najciszej, nieledwie szedł na palcach. Nie spostrzegałem nikogo, ktoby występował z szeregów na bok — rzecz tak zwykła w każdym marszu. Kolumna zdawała się nie być zbiorem jednostek-atomów, lecz jednolitą masą, wyginającą się w ładnych skrętach.

Z pagórka zaczęliśmy się spuszczać po bardzo spadzistej ścianie do głębokiego wąwozu. Nie mając laski ani karabinu

do oparcia się, już miałem zamiar poprostu stoczyć się na dół, gdy poczułem obok siebie podtrzymującą mnie rękę Śmigłego.

— Jezus, Maria! — przemknęło mi przez głowę — jak tu przejdzie kawaleria. Kasztanka mi na pewno nogi połamie w tym wertepie. — A jednak przeszła i jazda, i kasztanka. Wiele ten może, kto musi.

Tu, na dnie wąwozu, postanowiłem na chwilę zatrzymać kolumnę. Przy schodzeniu z tak spadzistego zbocza, podczas którego każdy musiał pomagać sobie nieledwie rękami, by się nie przewrócić, kolumna musiała się rozluźnić. Trzeba dać czas, by się ona uporządkowała. Zresztą drżałem o konie i chciałem doczekać się meldunku, czy nie było jakiego wypadku. Skorzystałem z tego czasu, by rozejrzeć się na mapie. Okryto mnie zewsząd płaszczami i przy latarce elektrycznej przejrzałem i zmierzyłem drogę przebytą i tę, która jeszcze była przed nami. Pozwoliłem sobie na wypalenie dwóch papierosów w tym ukryciu. Co za niewypowiedziana przyjemność! Przypomniały mi się młode studenckie lata, gdy się również tak chyłkiem i na schowanego zaciągało dymkiem.

Jakże ciężko jednak było potem wstać i ruszać. Nogi jakby nalane ołowiem, głowa ciężka, twarz i oczy jakieś rozpalone. Jedyne uczucie, jedyna myśl — to wyciągnąć się tu, w tym parowie, i leżeć, niech się co chce dzieje! Z przerażeniem pomyślałem, że tak prawdopodobnie czuje cała kolumna, a do odpoczynku jeszcze daleko, i kto wie, co nas jeszcze po drodze czeka!

Manewrowaliśmy tym wąwozem długo; sądzę, nie mniej, niż dwa i pół kilometra. Orientowałem się, iż pomimo zakrętów idziemy w dobrym kierunku: równolegle do wsi Władysław, w kierunku południowo-wschodnim. Była to najbardziej romantyczna część naszej romantycznej drogi. Wciśnięci w ciasny, o stromych, spadzistych brzegach wąwóz, mogliśmy sobie wyobrażać, że jesteśmy gdzieś w górach, nie na polskiej równinie. Było tu trochę ciemniej, bardziej tajemniczo, a zatem jakgdyby bezpieczniej. Śmiałem się sam z siebie, z tego dziwnego uczucia bezpieczeństwa w ciasnym wąwozie, gdy rozum mój mówił mi akurat co innego, że właśnie w tym głupim parowie najmniejszy oddział nieprzyjacielski może nam zadać jak największe straty. Spieszyłem więc, by wyjść co prędzej na teren bardziej otwarty.

Przewodnik nasz stękał i narzekał, że dalszej drogi nie jest bardzo pewien. Nawinęły się nam po drodze dwie chaty, stojące w rozszerzeniu wąwozu. Kazałem je obejść i, jeżeli są ludzie, ściągnąć stamtąd nowych przewodników. Sam wsze-

dłem do jednej z chałup. Czekając na gospodarza, który się ubierał, wypaliłem z rozkoszą raz jeszcze papierosa. Tu wreszcie rozstrzygnąłem ostatecznie kierunek naszego dalszego marszu.

Po kilku pytaniach przekonałem się, że gospodarze są zawodowymi przemytnikami. Cała ta awantura przeprowadzania nas przez linie rosyjskie niezwykle im się podobała. Opowiedzieli mi, że po drodze Słomniki-Skała przeciągnęło dużo wojska na zachód. Bojów większych nigdzie w tych okolicach nie było. Trochę strzelano dzisiaj wieczór koło Władysława, co to było jednak — nie wiedzą, bo do Władysława nie chodzili.

Wybrałem sobie na mapie lasek, niedaleko od szosy Kraków—Miechów, koło Widomej. Postanowiłem tam dotrzeć. Trzeba było przedtem przeciąć drogę Słomniki—Skała. Kazałem przewodnikowi prowadzić przez pola tak, aby przeciąć tę drogę akurat pośrodku, pomiędzy dwoma wsiami, które, jak przypuszczałem, musiały być zajęte przez maszerujące na zachód wojsko rosyjskie. Na podstawie dotychczasowego doświadczenie z Moskalami przypuszczałem, że uda mi się to zrobić, o ile tam dotrzemy jeszcze w nocy. Co da lasek, do którego dążyłem, aby dać spocząć ludziom, to już rzecz szczęścia. Albo wpadnę tam na przypuszczalną osłonę rosyjską od Krakowa i wtedy pójdę od razu na bagnety na zaskoczonych i niespodziewających się niczego z tyłu nieprzyjaciół, by drogę do Krakowa sobie otworzyć, albo, gdy będę szczęśliwszy, spocznę w lesie na godzinę lub półtorej po tak piekielnie nużącym marszu.

Przewodnicy w lot zrozumieli moje polecenie i obiecali sprawnie nas doprowadzić. Starego przewodnika z Wiktorki, pomimo, iż błagał, abym go zostawił, wziąłem ze sobą. Bałem się, by nie spotkał gdzie kręcących się kozaków i nie naprowadził ich na nas. A teraz marsz! E! jeszcze jednego papierosa, tym przyjemniejszego, że jakby skradzionego od siebie samego, wypalonego z pośpiechem. Wyznaję otwarcie, że w tej chwili nie miałem nadziei zapalenia nazajutrz spokojnie papierosa w Krakowie. Wydawało mi się to prawie niepodobieństwem.

Nasz wąwóz znacznie się rozszerza, na prawo z dala migocą jakieś światełka, od wąwozu idą na lewo rozgałęzienia. Przewodnik wskazuje na prawo i mówi, że takbyśmy szli na Iwanowice, ale my musimy teraz wyjść z wąwozu na górę, na drogę, prowadzącą z Władysława do Celiny, gdzie, jak mnie zapewniają, nocuje kawaleria rosyjska, i stamtąd przez pola, wprost na drogę od Słomnik do Skały.

Wyjście z wąwozu jest jeszcze bardziej strome, niż zejście do niego. Drapię się w górę rękami i nogami, serce mi się

tłucze gwałtownie w piersiach, myślę z przerażeniem o kasztance, która ma tę samą drogę odbywać, wreszcie staję zasapany na górze. Rzucam okiem na wszystkie strony. Na lewo w mgle widzę koniec wsi Władysław, przed sobą o sto kroków szereg drzew, stojących prawdopodobnie na miedzy, na prawo rozgałęzienie wąwozu, a za nim szeroka przestrzeń szarego, zoranego pola. Posuwamy się naprzód. Z wąwozu z trudem wyłazi za mną kompania za kompanią. I nagle gdzieś na lewo od nas padają strzały. Jeden, drugi, potem kilka naraz. Kule nie gwiżdżą nad nami, więc nie w naszym kierunku strzelają. Wszystko zamarło. Bezwiednie podniosłem rękę, by zatrzymać kolumnę; słyszę szeptem dany rozkaz Śmigłego: — Padnij! — Żołnierze i przewodnicy znikli, przywarli do ziemi.

Wysunąłem się ze Śmigłym przed szpicę ku drzewom, tam położyłem się i zacząłem uważnie wpatrywać się w szaro-srebrną przestrzeń. Całą duszę włożyłem w oczy, by przebić nimi zasłonę mgiełki, a na dnie duszy dręczące pytanie — czyżby już? Nie. Strzałów więcej nie ma. Na lewo, w stronę Władysława, nic nie widzę, wprost przed sobą także. Zwracam oczy na prawo i... widzę jasno o paręset kroków od siebie kilku konnych. Jadą stępa, jeden na przedzie, o kilka kroków za nim trzech innych. Odróżniam, że nie są to nasi; nad nimi, we mgle, widzę coś jakby długą kreskę, wznoszącą się ku niebu — piki, w które uzbrojona jest cała kawaleria rosyjska, nasi zaś ułani i kawaleria austriacka ich nie posiadają. W głowie przemyka mi się znowu tysiąc myśli, będących odpowiedzią na ciężkie pytanie: co robić?

Od nawału myśli zamykam oczy, by lepiej zastanowić się nad rozkazem, który mam wydać w tej chwili i... o, przerażenie, a zarazem ulga! Przez zamknięte oczy widzę ten sam obraz: szaro-srebrną równinę, a na niej, jak duchy bezszelestne, konne postacie, zbliżające się ku nam.

— Do licha! Tego brakowało! Mam halucynacje!

Zbieram całą siłę woli, szczypię siebie i otwieram oczy. Nie, nic nie ma, nie widzę nic. Zastanawiam się chwilę i uderzam się w czoło.

— Ośle! — powiadam sobie — przecież przy tym oświetleniu, gdybyś widział piki, tobyś na pewno słyszał też tupot koni! A przecież jest cicho! Nie marnować czasu!

— Nic nie ma — szepce mi w tym samym czasie Śmigły — chyba można ruszać? Co, Komendancie?

— Naturalnie, ruszać! — mówię już głośno, żeby przerwać tę niesamowitą atmosferę.

Ruszamy. Wychodzimy na drogę, po której, niestety,

idziemy bardzo niewielki kawałek, i gdy na lewo od nas zamigotały światełka z Celiny, skręcamy na prawo — na szerokie, zaorane pole. Znowu zmęczone nogi toną w jakiejś miękkiej masie, niezgrabnie zaczepiają o bruzdy, znowu serce od czasu do czasu wyrabia jakieś głupie brewerie w piersiach. Słyszę raz po raz, gdzieś daleko w tyle, strzały. Dla wyjaśnienia sprawy posyłam do ariergardy z zapytaniem, co się dzieje? — Nic, u nich spokojnie, strzelają gdzieś dalej na północy.

Zaczynam opadać z sił. Przemagam się, lecz czuję, że wkrótce padnę. Zjadłem już całą bułkę i wszystkie cukierki, gościnnie mi wpakowane w Ulinie przez Młodzianowskiego, — nie pomaga! W głowie kręci się wciąż głupia myśl.

— Mój ty mocny Boże! I po co pozwoliłeś, by ci ludzie tyle tego pola zaorali, nogi poprostu tęsknią do jakiejś zmiany. Niechby była nawet mokra łąka, byle nie to jakieś głupie, niedopieczone ciasto, z którego tak ciężko wyciągać nogi!

Może dać spokój? Oddać komendę szefowi, samemu odejść na tyły i siąść na kasztankę; niech ta, jak umie, wyciąga nogi z tej monotonnej, zoranej ziemi. Nie, nie mogę! Przypomina mi się znowu: *Tu l'as voulu George Dandin!* Tyś tę awanturę wymyślił. Tyś naraził wszystkich na to szalone ryzyko dla romantycznej hekatomby w Krakowie czy na Podhalu, nie wolno ci przed końcem, gdy ludzie tak samo, jak ty, są zmęczeni, zrzucać z siebie odpowiedzialności. Muszę jednak szukać pomocy. Biorę pod rękę Śmigłego, opieram się mocno — jest lepiej! Dla ulżenia sobie zaczynam myśleć o Moskalach, których zostawiłem za sobą. Zaalarmowani ze wszystkich stron, zbiorą się szukać nas w Ulinie. Będą mieli głupie miny, gdy się okaże, że ptaszek wyfrunął. A te strzały za nami. Pewnikiem teraz po nocy z «nerwów» nie poznają jeden drugiego i strzelają do siebie wzajemnie. Te myśli robią mi znaczną ulgę. Taką psotę wyprawić nieprzyjacielowi!

Patrzę na zegarek — zbliża się piąta. Oho! Zaraz już świt. Jak tam jest z naszą drogą? — Przewodnicy! Czy daleko?

— Już jesteśmy prawie przy drodze Słomniki—Skała — szepczą mi w odpowiedzi. — Za chwilę będziemy widzieć domy.

Istotnie. Srebrne blaski księżyca już znikły, zastąpione przez jednostajną szarość świtu. W tym szarym półmroku odróżniam na prawo i lewo domy obu wsi, pomiędzy którymi mamy przeciąć duży gościniec.

Zapomniane zmęczenie! Porzucam opiekuńcze ramię Śmigłego, znowu mam siebie w garści, a oczy skwapliwie badają przestrzeń. Zwalniamy kroku, by lepiej się rozejrzeć. Na gościńcu, w tym miejscu, gdzie mamy go przeciąć, nie ma ni-

kogo — pusto. W najbliższych domach, we wsi na prawo jest jakiś ruch. W różnych kierunkach posuwają się ogniki latarń. To jest wojsko! Chłopi u nas po wsiach latarń, by trafić do swej stodoły, nie używają. Ba! Widzę w najbliższym domu, jak błyska ogień od zapałki i potem we mgle, od czasu do czasu, żarzy się ogień od papierosa. Ogień błyska wprost w oczy, więc twarz palącego jest skierowana ku nam. Ciekaw jestem, czy widzi on naszą kolumnę, — przecie jest taka widoczna już przy tym świcie. Latarń jest dużo, musi to być albo tabor, albo artyleria.

Błyska mi szalona myśl. Skierować kolumnę wprost na wieś. Nagłym napadem zakłócić spokój tam panujący, zabrać co się da i hajda do Krakowa! Opanowuję się. Do Krakowa jeszcze szmat drogi, jeszcze po drodze do niego muszą być gdzieś Moskale. Niech śpi licho! Napad by się udał, lecz potem będzie zbyt trudno. Zdążą obskoczyć i zatrzymać. Marsz więc dalej, gdy szczęśliwie nas nie dostrzega ta «wredna istota» z widocznym papierosem w niewidzialnej gębie.

Wchodzimy na ubity gościniec, przekraczamy go, by wejść znowu na zorane pole. Skręcamy ku wschodowi. Oglądamy się parę razy, czy nie ma we wsi alarmu. Nie, cicho i spokojnie. Cała kolumna długości kilometrowej prześlizgnęła się przez gościniec. Ba! z daleka widzę zieloną ścianę lasu — cel najbliższy mego marszu. Czas już, bardzo czas: jest prawie zupełnie jasno, tym bardziej, że chmury się rozeszły, niebo jest czyste. Wzdłuż traktu krakowskiego, jak go nazywają w Królestwie, a warszawskiego — w Krakowie, biegną słupy telegraficzne. Na gościńcu nie widać żadnego ruchu. Przeskakuję przez rów, wdrapuję się na szosę, zapuszczam ciekawy wzrok w gęstwinę pobliskiego lasu i oczekuję jakiegoś zawołania lub strzału. Nie! nic nie ma i cała kolumna szybkim, żwawym krokiem wkrótce kryje się w lesie.

Ach, jakaż ulga! Co będzie, to będzie! Awantura nie skończona, do Krakowa mam jeszcze 16 kilometrów i nie wiem, co spotkam po drodze. Ale odpoczynek pewny. Nie jest tak źle na świecie!

Rzucam rozkazy o osłonie lasu ze wszystkich stron, zapowiadam odpoczynek z bronią przy sobie, każę nabijać karabiny i wreszcie odpocząć, odpocząć, wypalić papierosa! Widzę na twarzach wszystkich radosne uśmiechy. Znajduje się u kogoś w manierce zimna herbata, oficerowie rzucają mi płaszcze na ziemię. Kładę się na nie, piję herbatę, palę, uśmiecham się równie radośnie, jak inni, do wschodzącego na czyste niebo słońca. Zapomniane są ciężary, zapomniana męka decyzyj i zwątpień. Tak dobrze żyć na tym bożym świecie...

Po chwili zasypiam, każąc przedtem obudzić się za pół godziny. Zasypiam z rozkoszną myślą, że dalej już poniosą mnie nie własne nogi lecz nogi mojej kasztanki, która tuż niedaleko szczypie jesienną, zwiędłą trawę.

Budzę się od huku wystrzału, budzę się, nie będąc pewnym, czy to mi się przyśniło, czy tu istotnie ktoś strzelił. Zrywam się i siadam, sięgając bezwiednie po brauning na pasie. Już oficerowie pobiegli sprawdzić, co się dzieje. Słucham, a las rozbrzmiewa brzękiem wesołych, młodych szmerów i głosów. Miałem wrażenie, że jestem na majówce z jakąś szkołą. Słońce świeciło, napełniając las blaskiem, poprzecinanym wesołymi plamami. Żołnierze zachowują się, jak miłe dzieci.

Było to ogólne odetchnięcie po przebytych trudach i wrażeniach. Ten las wydawał się końcem naszych niebezpieczeństw, jakimś pewnym, niewzruszalnym ukryciem. Wszyscy byli zachwyceni, że jesteśmy tak blisko od Krakowa, nikt nie chciał rozumieć, że kto wie, czy i teraz nie jesteśmy wśród nieprzyjaciół. Zerwałem się, by przerwać ten majówkowy nastrój.

Nakazałem zbiórkę batalionom. Obszedłem wszystkie, z piątym rozprawiłem się ostro za spanie na forpocztach pod Uliną. Kazałem wszystkim być na pogotowiu do marszu, nie czynić żadnych hałasów, nie rozpalać ogni, oficerom być przy swoich oddziałach.

Bezwiednie jednak i sam poddawałem się poczuciu względnego bezpieczeństwa. Dotąd straże, wystawione na skraju lasu, nie doniosły o niczym podejrzanym, na razie nie spostrzeżono żadnego ruchu. Doprawdy, czy nie sen to był cały dzień wczorajszy z tą piekielnie nużącą nocą?

Zaczynam myśleć, co mam robić dalej. Przede wszystkim pójdzie naprzód patrol ułanów, wprost drogą na Michałowice, do Krakowa. Jeśli nie spotka Moskali, to ostrzeże najbliższe forpoczty, by nie strzelano do nas, gdy ujrzą kolumnę piechoty, zbliżającą się do fortecy. W dziesięć minut potem awangarda — kompania piechoty, a gdy do niej nikt strzelać nie będzie — reszta w kolumnie szosą do Krakowa. Tak będzie najlepiej.

Dałem odpowiednie rozkazy, pomimo, że wydawały mi się one trochę ryzykownymi.

Przewodnicy zaczęli błagać, bym ich puścił do domu. Zapłaciłem im sowicie, jeden z nich wyprosił nawet starego, siwego konia od kuchni, który zaczął kuleć w drodze. Zapowiedziałem, że pójdą sobie wtedy, gdy my ruszymy dalej, do tego czasu pozostaną pod strażą, pod którą byli dotychczas.

Wreszcie przyszła chwila, którą oznaczyłem z góry, i plu-

ton kawalerii wyskoczył na szosę, ruszając od razu ostrym kłusem ku Krakowowi. Strzałów nie ma. Rzucam dalej kompanię awangardy, a w lesie wyciągam kolumnę. Czas! Na kasztankę i z lasu! Klacz lekko przeskakuje rów przy szosie, jestem na niej i — w tej chwili gwiżdże mi nad głową kula, gdzieś z tyłu za mną wystrzelona. Rzucam okiem na prawo i lewo i, doprawdy, śmiech mnie bierze.

Po szosie tam, na górze, gna mój pluton ułański już gdzieś w początkach Michałowic. Widzę, jak migają wśród domów wiejskich ich czapki, a z obu stron szosy umykają pędem na otaczające wzgórza grupy konnych. To Moskale. Moja kompania awangardowa wysunęła się trochę naprzód, lecz jej gros zatrzymało się przy pierwszych domach, wykonując koło nich jakieś niezrozumiałe dla mnie ewolucje. Z lasu za mną już się wysuwał wąż kolumny moich batalionów. Od czasu do czasu, gdzieś z tyłu za nami, ze strony Słomniczek, jakiś uparty i niewidzialny Moskalik strzelał i kula z jękiem pędziła nad nami w przestworza. Nad tym wszystkim słońce napełnia świat wesołym blaskiem.

— Ruszać! Na wszelki wypadek, po ominięciu pierwszych domów, rozwinąć dwie kompanie na boki, w ślad za uciekającymi kawalerzystami, by nie dać im się zatrzymać i nie pozwolić im ostrzeliwać kolumny. Kompania jedna zostanie w ariergardzie o dobrych kilkaset kroków, przy tych właśnie domach.

Sam spieszę naprzód, by poznać przyczynę zatrzymania się awangardy. Nie potrzebuję pytać: z domów wywlekają moi chłopcy jeńców. Jak się okazało, przy pierwszym ruszeniu plutonu ułanów ukryli się niektórzy z Moskali w domach, reszta z innych chałup umknęła na prawo i lewo od drogi.

Krótkie badanie. Jest ich ośmiu. Trzech z nich z 21-ej dywizji III korpusu kaukazkiego zabłądziło, doganiając swoją dywizję, i przenocowało u kolegów z gwardii. Reszta to gwardziści z finlandzkiego pułku gwardii, z t. zw. «myśliwskiej», raczej wywiadowczej, kompanii, wysłanej naprzód ku Krakowowi na wywiad i osłonę pułku, który został pod Słomniczkami. Ci, co uciekali, są tak samo gwardziści, tylko z «konno-myśliwskiego» oddziału.

— Dalej! Wziąć ich w szeregi! — Naprzód! bo tam przed nami słychać znowu strzały. Tam musi mieć potyczkę mój pluton kawalerii.

Przyspieszonym, żwawym krokiem ruszamy naprzód, kompanie rozwinęły się na boki, i widzę, jak ich łańcuchy tyralierskie zbliżają się ku wzgórzom. Mamy się wszyscy zejść

tam na górze, przy dawnej granicy. W środku wsi Michałowic zastaję paru kawalerzystów, którzy też wzięli jeńców z gwardii, z tegoż finlandzkiego pułku. Zabrano do niewoli dwunastu, z nich jeden ranny, poza tym dwóch zabitych. Było tu więcej Moskali, lecz zaskoczeni z tyłu znienacka, poszli w rozsypkę. U nas strat nie ma. Podporucznik z resztą plutonu popędził dalej do fortecy, wypełnić zlecone mu zadanie. Mam więc dwudziestu jeńców i kilka koni, wziętych pod samym Krakowem.

Była to ta osłona od Krakowa, której się tak bałem poprzednio w swoich rozważaniach. Najzabawniejszym jednak było to, że wkradłem się do lasu niepostrzeżenie pomiędzy przednią straż pułku i sam pułk. Ba! Spędziłem w tym lesie półtorej godziny o kilkaset kroków od noclegu finlandzkich gwardzistów, od miejsca, skąd wyszli na wywiad ku fortecy! Trzeba istotnie mieć z jednej strony szczęście, z drugiej tak źle pełniących służbę wrogów, aby podobny kawał mógł się udać!

Na górze, przy dawnym rosyjskim urzędzie cłowym, spędziłem dobre pół godziny, nim się doczekałem zbiórki całego oddziału. Niebezpieczeństwo minęło, byłem tutaj pod osłoną armat krakowskich. Ogarniało mnie rozleniwienie i jakieś wewnętrzne roztkliwienie na widok moich kochanych chłopców, których na tak straszne przejścia naraziłem i szczęśliwie z matni wyprowadziłem. Gdzieś z pamięci wypływały wspomnienia o tym, jak przed laty z Sulkiewiczem przez tę samą «tamożnię» (urząd cłowy) przejeżdżałem z Krakowa pod obcym nazwiskiem do Królestwa. Jakże to inaczej teraz wyglądało! Przechodziłem tę samą granicę nie jak dawniej ukradkiem, lecz gwałtem, na czele wojska polskiego, niosąc, według swych dawnych marzeń, na ostrzu bagnetów upragnioną swobodę.

Lecz z chwilą, gdy z głowy spadło poczucie odpowiedzialności, brało górę nad wszystkim zmęczenie, zmęczenie fizyczne i nerwowe. Widziałem wszystko, jak we mgle jakiejś, i gdy przyszło ruszać, z trudem dosiadłem konia. Więc we mgle spostrzegłem, że ładna z wiekowych drzew aleja, idąca z Michałowic do Krakowa, znikła, a olbrzymy drzewa, jak trupy po boju, leżały ścięte. Jak we mgle spostrzegłem pierwszy fort krakowski, najeżony zewsząd drutami, spoza których żołnierze przyglądali się nam ciekawie. Jak we mgle widziałem kwiaty, które mi wpychały krakowianki, i jakieś pudełko z ciastkami, w ręce mi wsunięte. Wszystko tonęło mi we mgle.

Obudziła mnie kasztanka, która, nagle chrapiąc, zaczęła zwijać się pode mną i przysiadać na zadzie. Z wielkim hałasem i dudnieniem szedł naprzeciw nas automobil ciężarowy i kasztanka, wychowanica wolnej wsi, protestowała przeciw

takiemu monstrum. A ja, dumny i szczęśliwy, głaszcząc ją po błyskającej złotem w słońcu szyi, uspakajałem ją słowami:

— Głupia, w twoich Czaplach nie byłaś, ale za to jesteś w Krakowie, rozumiesz? W kochanym, cudnym, polskim Krakowie, gdzie żołnierz polski z honorem umrzeć może, rozumiesz? Ty czapelska istoto! Na tobie, na tobie wjadę, głuptasku, do Wilna!

Kasztanka cudów Krakowa przy samochodach zrozumieć nie chciała i drżała jeszcze na całym ciele, choć automobil dawno nas minął. Jego głuche dudnienie i warczenie, dochodzące nas z oddali, nie pozwalało się jej uspokoić.

Zawołałem Śmigłego. Kazałem mu zameldować w komendzie fortecy, że jestem chory. Poleciłem rozkwaterować ludzi i zapowiedzieć w komendzie, że piśmienny raport z wywiadów dzisiaj jeszcze nadeślę. Sam ruszyłem do domu. Rozkaz, jaki dałem służącej, gdym tam ku jej zdumieniu się zjawił, brzmiał:

— Dużo, bardzo dużo herbaty i jeść, a najwięcej spać! — Spać jednak nie udało się! Przyszedł Śmigły z raportem, że go przyjęto kwaśno, że nas tu wcale nie potrzebują i że mamy się co najprędzej wynosić. Kwater mu dać nie chciano, ledwo wytargował pałac Spiski, gdzie przedtem kwaterowali legioniści. Posłałem go na nowe targi i wieczorem otrzymałem pozwolenie pozostania w Krakowie, by ludzi wykąpać i pozwolić im zmienić bieliznę. Musiałem napisać swój raport. Nadszedł wieczór, wykąpałem się i dopiero o godzinie 12 w nocy zasnąłem, rozebrany po raz pierwszy od nieledwie tygodnia. Trzy doby nie spałem, bo godzinki podczas biwaku w Krzywopłotach i kwadransu w lasku przy Widomej liczyć niepodobna. Pamiętam, gdym ruszał na wojnę, wahałem się, czy brać na siebie komendę, gdy mam tak słabe i skłonne do nerwów serce. Gdyby mi wówczas kto powiedział, że nie będę spał trzy dni, że wytrzymam przy tym 30 kilometrowy marsz pieszy po zoranym polu, nie mówiąc o moralnych przejściach, które przeżyłem — nigdybym temu nie uwierzył.

Czekała mnie jednak w Krakowie przyjemna niespodzianka. Oto, zaraz prawie po przyjściu do domu, zameldował mi się Dreszer, którego uważałem za straconego, a gdy i dwaj niefortunni jeźdźcy z jego patrolu przyszli nazajutrz do Krakowa, nie brakowało nikogo z oddziału. Cała szalona nasza eskapada z przemarszem w poprzek jednego nieprzyjacielskiego korpusu i przedniej straży drugiego obeszła się bez strat z naszej strony.

* *
*

Teraz, gdy parę lat upłynęło i myślę na zimno o przejściu przez Ulinę, nie mogę się oswobodzić od poczucia, żem przeżył jak gdyby bajkę z tysiąca i jednej nocy. Pomimo woli zawsze zadaję sobie pytanie, jak to było możliwym, gdy wydaje się nieprawdopodobnym.

Przede wszystkim więc decyzję swoją, jak to zaznaczyłem, najzupełniej polityczną, oparłem na fałszywej podstawie pod względem wojennym, na istnieniu korytarza pomiędzy armiami nieprzyjacielskimi i to korytarza, idącego w kierunku południowo-wschodnim, z oparciem o forty Krakowa. Okazało się, że III kaukaski korpus już 9., tego dnia, gdy byłem w Strzegowej, swoją awangardą przemaszerował przez ten korytarz drogami Czaple—Iwanowice i Słomniki—Skała. Jakie były powody tego wyskoczenia naprzód III kaukaskiego korpusu — nie wiem. Marsz ten był tym śmielszym, że na południu flankowała go nie wstrząśnięta niczym forteca — Kraków. Osłona bowiem od tej fortecy, a raczej awangarda tej osłony — pułk finlandzki gwardii — stanął około Słomnik i wysłał swe forpoczty — «myśliwskie kompanie» — ku fortecy dopiero 10 pod wieczór. Stwierdziłem to przy badaniu jeńców, wziętych pod Widomą i w Michałowicach. Jeśli mi wolno postawić hipotezę, to będzie ona następująca: ruch mas rosyjskich był południowo-wschodni, forteca krakowska zmuszała do wystawiania przeciwko niej i zatrzymania zatem pewnej części wojska — w tym wypadku korpusu gwardii — i III korpus kaukaski, zmuszony zrobić miejsce gwardii, wyskoczył naprzód przed inne korpusy.

Faktem jest jednak, że zrobił mi on nadzwyczaj przykrą niespodziankę w Ulinie. Zaznaczę otwarcie, że gdybym choć na chwilę przypuszczał, że wpadnę w taką pułapkę, nie powziąłbym swej decyzji, gdyż wydawałaby mi się ona wprost niemożliwą do przeprowadzenia. Dodam zaś, że wiele, bardzo wiele świetnych czynów wojennych zawdzięcza swe powstanie jedynie fałszywym, nieodpowiadającym istocie rzeczy przypuszczeniom co do nieprzyjaciela, przypuszczeniom, które ułatwiają wykonania decyzji. No, a potem, gdy, «le vin est tiré», następuje konieczność — «il faut le boire» [1]).

W każdym razie, jeśli III kaukaski korpus, wśród którego znalazłem się rano dnia 10 listopada, sprawił mi przykrą niespodziankę i mógł mnie po prostu zdmuchnąć z powierzchni ziemi, to muszę mu przyznać, że uczynił wszystko, aby tego nie dokonać. Dotąd, wyznaję, nie mogę wyjść z podziwu,

[1]) Wino utoczone — trzeba je wypić.

że oddział dwutysięczny mógł spokojnie spędzić dzień cały i przemaszerować noc całą w poprzek korpusu armii, będącego w marszu w bliskości nieprzyjaciela. Jakaś po prostu nadzwyczajna lekkomyślność wojenna ze źle funkcjonującą służbą patroli i osłony. To właściwie było naszym zbawieniem.

Naprzód w Ulinie spędzamy cały dzień, gdy obok nas o parę kilometrów z jednej i drugiej strony maszeruje wojsko, idą transporty wojskowe. Gdybym był nie wysyłał patrolu Wieniawy na zachód, nie zostałbym nawet w przeciągu dnia zaczepiony. Lecz wreszcie jestem odkryty. Dwie sotnie kozaków otrzymuje od nas należyty odpór, więc powinno być jasnym dla Moskali, że nie jest to jakaś banda marudująca lub szukająca nieprzyjaciela, by mu się poddać. Zdawałoby się, że dla uniknięcia możliwego bigosu w dalszym swoim marszu naprzód powinni byliby Rosjanie natychmiast skoncentrować jakąś siłę dla zgniecenia śmiałków. Tymczasem nic się nie dzieje! Dalej na drodze Czaple—Iwanowice ostrzeliwujemy jakiś transport, wreszcie stykamy się z nieprzyjacielem w Czaplach samych. I znowu nic! Potem za Wiktorką sotnia nie ośmiela się zaczepić mojej ariergardy, gdy na nią prawie że najeżdża w nocy. Przez drogę Słomniki—Skała przechodzę kolumną kilometrowej długości tuż obok jakieś nocującej części wojska rosyjskiego. Wreszcie w Widomej wślizguję się, już o dobrym świcie, pomiędzy pułk i jego osłonę od fortecy. Ba! Półtorej godziny siedzę w lesie o paręset kroków od głównej drogi w tej okolicy i o tyleż kroków od nocujących wywiadowców rosyjskich!

Każde z tych poszczególnych zetknięć z nieprzyjacielem mogło być w tym położeniu początkiem naszej zguby, w najlepszym wypadku — powodem wielkich strat. Każde z nich kończyło się albo niczym, albo nawet naszym tryumfem. Być może, że takie zachowanie się Rosjan było wynikiem ich przekonania o zupełnym rozbiciu armii austriackiej, w każdym razie nasze ocalenie w tej ryzykownej awanturze zawdzięczamy przede wszystkim złemu funkcjonowaniu maszyny wojskowej u Rosjan. Dodać muszę, że gdyby nie decyzja wyjścia do Krakowa, tobym narobił tam w środku maszerującego korpusu bardzo dużo bigosu i przykrości.

Drugą przyczyną udania się wyprawy było niewątpliwie zachowanie się ludności okolicznej. Nie mówię tu o doskonałych przewodnikach-przemytnikach, którzy bez pudła prowadzili po bezdrożach. Ale w samej Ulinie nie przebyliśmy nigdy tak szczęśliwie dnia 10 listopada, gdyby otaczała nas ludność wroga i obca. Nie mówię o mieszkańcach samej Uliny Małej,

bo ta była w moim ręku i stamtąd nie wypuszczałem nikogo. Ale otoczenie! W tak gęsto zaludnionej okolicy wsie leżą bardzo blisko od siebie. Więc Buk, więc Ulina Wielka wiedziały przecież o naszym pobycie w ich sąsiedztwie. Tam władza moja, mój bagnet nie sięgał i w każdej chwili każdy z mieszkańców tych wsi mógł zawiadomić kręcące się patrole nieprzyjacielskie o naszej kryjówce w Ulinie Małej. Nic podobnego się nie stało, zostaliśmy nietknięci i nieodnalezieni aż do spotkania patrolu Wieniawy z kozakami.

Trzecią przyczyną szczęśliwego wyjścia z matni — to my sami, ja i moi drodzy strzelcy. Ze złym wojskiem nigdybym nie zdołał przeprowadzić swego zamiaru. Nie idzie tu o samą technikę przeprowadzenia sprawy i o ciężary pracy fizycznej żołnierza, chociaż one odegrały w tej akcji nie małą, ważną rolę. Myślę przede wszystkim o «morale» wojska. Zaczynając od wymarszu z Wolbromia w kierunku Miechowa, gdym się oddalał od armii austriackiej i szedł ku nieprzyjacielowi, narażałem nerwy swoich podwładnych na niezwykłą próbę. Ja wiedziałem o celu tej próby, oni nie mieli o tym, jak się mówi, zielonego wyobrażenia. Wciągnąłem ich w Ulinę z nocnym wymarszem stamtąd. Wtedy już każdy czuł jakąś niesamowitą atmosferę dokoła i przy najmniej rozwiniętej wyobraźni niepodobna było nie odczuwać oddechu śmierci i zagłady na twarzy. A jednak przez cały czas nie było ani jednej chwili zawahania się «morale» żołnierskiej, braku dyscypliny, czy objawów depresji. Spokojnie, nawet, zgodnie z naszym charakterem narodowym i żołnierskim stylem, trochę lekkomyślnie pełniono służbę nakazaną, bez szemrania i skargi. W ciągu całego marszu nie miałem wcale maruderów, pomimo, że marsz był bardzo uciążliwy, nawet dla wtrenowanego wojska. Po niespanej nocy, po uciążliwym odwrocie z Dęblina, przemaszerowaliśmy nocnym marszem z Uliny do Widomej 25 km [1]) bez odpoczynku w bardzo ciężkich warunkach taktycznych, szliśmy większą część marszu po zoranym polu, nie po gładkiej drodze. Dla najlepszego wojska jest to próba nielada! To też na głębokim moim zaufaniu do żołnierza i jego sił moralnych polegała duża część powodzenia. Z innym żołnierzem niebardzobym się odważył na takie ryzyko. Przypuszczam, że ta równowaga ducha żołnierskiego musiała polegać w pewnej mierze na odwrotnym uczuciu u żołnierzy — na zaufaniu do mnie.

[1]) W pierwszym i drugim wydaniu «Moich pierwszych bojów» wydrukowane zostało 75 klm., co jest niewątpliwie omyłką; odległość z Uliny do Widomej wynosi faktycznie 15, po uwzględnieniu marszu na przełaj, kluczeń i błądzeń mogła wynieść 25 klm.




Podziałka 1:100.000

LIMANOWA—MARCINKOWICE

Sam oglądam się na eskapadę ulińską zawsze z uczuciem dumy i radości. Radości dlatego, że rzadko podczas wojny przeżyłem tyle wrażeń i że nigdy już nie postawiłem na kartę dla osiągnięcia celu tak dużo, jakem zaryzykował 9 listopada. Nie chcę być źle zrozumianym. Nie idzie tu o ryzyko dla ryzyka, o rozkoszowanie się ryzykanctwem, idzie o to, że wojna i wszystkie zjawiska wojenne są połączone z ryzykiem nie fizycznym jedynie, związanym ze śmiercią — jest to ryzyko żołnierskie — lecz ryzykiem przegranej, ryzykiem nieosiągnięcia zamierzonego celu — jest to ryzyko każdego dowódcy. I jeżeli nie sądzono mi zaznać ryzyka wielkich przedsięwzięć wojennych, to na swoją skalę zaryzykowałem podczas Uliny prawie wszystkim. Dla celu, który uznałem za godny tego, postawiłem na kartę swej umiejętności, zdolności, jednym słowem na siebie, prawie wszystko, co miałem najdroższego — to, co uważałem za zawiązek wojska polskiego.

Z dumą zaś patrzę na Ulinę dlatego, że powziąwszy postanowienie zupełnie samodzielnie, bez odpowiedzialności przed kimkolwiek, nie cofnąłem się do końca przed jego przeprowadzeniem, pomimo, iż trudności spiętrzały mi się na każdym kroku, a ryzyko z każdą chwilą zwiększało się do niemożliwości. Otwarcie też wyznaję, że dopiero po Ulinie zacząłem sobie ufać i wierzyć w swoje siły. I być może właśnie dlatego słyszałem nieraz potem słowa moich żołnierzy: — Teraz za Komendantem pójdziemy wszędzie! Jeżeli on nas wyprowadził z Uliny, to już jesteśmy spokojni!

Był to więc jakby mój egzamin, który złożyłem zarówno przed sobą, jak przed żołnierzami.

Skończono w Magdeburgu, w więzieniu, dnia 7 września 1917 r.

## LIMANOWA — MARCINKOWICE

Wielka, historyczna bitwa pod Limanową zaczyna się dla świata coś koło 8 grudnia, dla mnie i dla mego oddziału rozpoczyna się daleko wcześniej, mianowicie — od 20 listopada. W ogólnym położeniu bowiem militarnym olbrzymich frontów i milionowych zapasów początki tej bitwy względnie niewielkie miały znaczenie dla obu stron walczących. Niewielkie też ilości wojska brały tam udział — parę dywizji kawalerii, trochę armat, wreszcie dziwna mieszanina wszelkiego rodzaju drugorzędnych formacji, które to zjawiały się na froncie, to znów znikały, ustępując miejsca innym. Ja z mymi trzema batalionami, kawalerią, w końcu artylerią walczyłem cały czas

mniej więcej w tej samej okolicy — pomiędzy Dobrą—Jurkowem, Dunajcem, od Nowego Sącza do Marcinkowic; osłaniałem z jednej strony kolej Sucha—Mszana Dolna, po której szły raz wraz nowe transporty wojskowe, austriackie i niemieckie, z drugiej strony stanowiłem osłonę od wschodu, od Rosjan, flankujących wojska, idące frontem na północ, na Bochnię—Tarnów.

Oryginalnym był wówczas ten front, w schody wyłamany! Pod Krakowem Austriacy starali się złamać południowe skrzydło Rosjan, walczących pod Pilicą i Krzywopłotami, z frontem na zachód. Moskale od Bochni znowu napierali na wschodnią flankę swych nieprzyjaciół, na tych zaś znowu od południa robiły nacisk mieszane austriacko-niemieckie wojska. Moskale od Dunajca szukali ich skrzydła przez nacisk na Limanową i Dobrą i znowu armia gen. Boroewica od Węgier parła na północ ku Nowemu Sączowi, by oskrzydlić ruch Rosjan na wschód pod Limanową. Ostatecznie, jak wiadomo, pod Limanową i Nowym Sączem te wszystkie wzajemne oskrzydlania się skończyły się porażką Rosjan i front ich w Królestwie i Galicji cofnął się na wschód, na linię Dunajca i Nidy.

Historia wielkiej wojny nazywa więc bitwą pod Limanową te ostatnie zmagania się dobrych paru setek tysięcy wojaków wśród podhalańskich gór koło Limanowej i Nowego Sącza. Dla nas zaś, powtarzam, bitwa pod Limanową rozpoczęła się wtedy, gdy teren przyszłych wielkich bojów był prawie pustym i gdy w grę z jednej i z drugiej strony wchodziła prawie sama kawaleria. Jedyną piechotą przez dłuższy czas były w tym miejscu moje trzy, bardzo zresztą liczebnie słabe, bataliony.

Nie mając obecnie w swym posiadaniu żadnych źródeł, któreby mi pozwoliły przedstawić nasz udział w całej bitwie limanowskiej, nie będę się kusił o jakikolwiek ścisły tych bojów opis. Traktować je będę tylko epizodycznie, jako wstęp do właściwego tematu, do boju naszego 6 grudnia pod Marcinkowicami, który to bój jest najjaskrawszym epizodem naszego, jak go nazywam, tańca koło Limanowej.

Dnia tego byliśmy sami — niewielka garstka — wobec ogromnej przemocy nieprzyjacieli. Osobiście zaliczam dzień ten do najcięższej przeżytych w ciągu wojny. Wspominać takie dnie jest najprzyjemniej, analizować ich przeżycia najużyteczniej. Nasz bój pod Marcinkowicami z posuwającym się na wschód VIII korpusem rosyjskim był właściwie wstępem do ostatecznych bojów pod Limanową. Po raz pierwszy wtedy na to pole bitwy wystąpiły do boju wielkie masy wojskowe.

Po wyjściu z Uliny do Krakowa, jak to już opisywałem, okazaliśmy się całkiem zbytecznymi dla obrony prastarej stolicy. Uznano, zdaje się, że nasz pobyt w Krakowie byłby nawet po prostu szkodliwym. Pozbyto się więc nas stamtąd możliwie prędko, bez wielkich formalności i ceremonii. Zresztą pobyt w Krakowie istotnie byłby przykry. Stosunki wojskowe mniej więcej przypominałyby stosunki w I korpusie, a masowa ewakuacja z fortecy doprowadziła miasto do zupełnej jakiejś prostracji. Ani śladu nie znalazłem tego żywego tętna życia, które biło w początku wojny. Polacy dali się po prostu wykopać ze swej stolicy i miasto miało jakiś charakter niepolski — raczej czesko-niemiecki — wobec ogromnego napływu wojska i jego instytucyj. Użyłem więc wszystkich możliwych wybiegów, aby zostać na Podhalu, gdzie według swego zasadniczego planu chciałem umrzeć ze swoim oddziałem, broniąc zarówno honoru żołnierza polskiego, jak i ostatniej piędzi ziemi polskiej przed najazdem.

Starania o pozostawienie mnie na Podhalu poszły mi nadspodziewanie łatwo. Po pobycie w głównej kwaterze pojechałem jeszcze do Zagłębia, by tam dać raz jeszcze instrukcje pozostałym batalionom i artylerii. Zawiadomiłem je, że idę gdzieś pod Mszanę Dolną, uważam jednak jako swoje tyły Nowy Targ, gdzie postaram się ostać i gdzie musi nastąpić zbiórka całego mego oddziału. Popędziłem potem automobilem do Makowa, gdzie zebrały się moje trzy bataliony i kawaleria po tygodniowym odpoczynku w Zawoi. Oddział był w stanie ciężkim pod względem gospodarczym. Mundury poszarpane, bez taborów i kuchni. Rozpoczęto dopiero teraz starania o usunięcie tych braków, a tu czas naglił. Z głównej kwatery zjawił się kapitan sztabu, który zapowiedział, że natychmiast ma nastąpić wyjazd koleją do Mszany Dolnej, a stamtąd marsz na Dobrą, na pomoc korpusowi kawalerii gen. Nagy, który znajdował się wobec przemożnego jakoby nieprzyjaciela. Korpus ten składał się z dwóch dywizji kawalerii: — 6. i 2. honwedzkiej.

Piechotę wyprawiłem koleją, kawaleria ruszyła konno, a ja z Szefem wyjechaliśmy automobilem. Jechaliśmy wzdłuż tak dobrze mi znanej drogi do Zakopanego, na Jordanów, Chabówkę. Po drodze, gdziekolwiek się zatrzymywałem, spotykałem panikę z powodu zbliżającego się nieprzyjaciela. Jakieś dziwaczne niewiarygodne pogłoski o jego posuwaniu się naprzód wywoływały wszędzie atmosferę nerwową i naprężoną. Te same «nerwy», skłonne dać wiarę wszystkiemu, co tchnie pesymistyczną oceną sytuacji, spotykałem u wojskowych, u kolejarzy, u t. zw. inteligencji. Wzruszano ramionami,

gdyśmy mówili, że idziemy do Dobrej, która, jak przecie z pewnością wiadomo, jest w rękach Moskali. Spodziewano się Rosjan lada chwila w Jordanowie, widziano ich jakoby pod Nowym Targiem. Panował jakiś nastrój, pełny paniki i przerażenia, jakaś dziwna skłonność do dawania wiary pogłoskom najmniej prawdopodobnym. Co do mnie, «nerwów» na wojnie nie znoszę i starałem się zawsze, zarówno siebie, jak i swoich podwładnych, wychować w «spokoju», chociażby niekiedy przesadnym. Ale niewątpliwie cała ta atmosfera paniki nie mogła zmienić mej pesymistycznej oceny sytuacji ogólnej, oceny, z którą wyszedłem z ostatniej bitwy pod Dęblinem i z odwrotu pod Kraków. Tym mocniej, tym silniej układałem w głowie plany «hekatomby» podhalańskiej.

Tym razem jednak nasz pierwszy występ na nowym teatrze wojny miał być tryumfem, który na długo zapewnił nam szacunek otoczenia. Rzecz się tak miała.

Wraz z wcześnie zapadającym wieczorem chwytał mróz coraz silniejszy. Kawaleria, mając konie lekko podkute, posuwała się bardzo powoli po śliskiej do niemożliwości szosie. Patrol jeden skierowałem na Nowy Targ wobec dzikich pogłosek, że tam jakoby mają być Moskale. Gdym przyjechał do Mszany Dolnej, piechota moja już dawno stamtąd ruszyła do Dobrej, popędzana mrozem. W Mszanej dowiedziałem się, że w Dobrej stoi już część 6 dywizji kawalerii austriackiej, lecz gdzie są generałowie 6 i 2 dywizji, u których miałem się meldować, nikt mi tego wyjaśnić nie był w stanie. Pojechałem do Dobrej. Dopędziłem swoją piechotę u początku wsi, w miejscu, gdzie od szosy odchodzi droga na południe do Jurkowa. Wojsko stało na mrozie, nie wiedząc, co czynić. Miałem kwaterować w Dobrej, lecz kwatermistrze już stamtąd wrócili, zapewniając, że cała wieś jest zajęta i chyba gwałtem da się jakąś część oddziału wcisnąć. Wiedziałem z góry z doświadczeń z I korpusem, co to znaczy! Grubiańskie kłótnie o każdą chatę, obojętny albo wręcz wrogi stosunek w tych wypadkach władzy. Do tego w tej chwili musiałbym mieć do czynienia z kawalerią, która, mając konie, rozkwaterowuje się szeroko. — Dziękuję za taką przyjemność! — pomyślałem.

Wszedłem do karczmy, aby się rozmówić z oficerami i na mapie rozejrzeć się, jak zaradzić złemu. Nie mogliśmy przecież stać całą noc na mrozie, który dochodził do 20 stopni, od górskich zaś dolin szedł zimny przenikliwy ciąg, co jeszcze bardziej powiększało chłód. Chłopcy rozpalili ognie i gwałtownie tupali nogami, skakali, uderzali rękami o biodra na rozgrzewkę.

W karczmie było pełno ludzi, duszno i gwarno. Górale, żołnierze, oficerowie, wszystko to paliło, rozprawiało, wchodziło i wychodziło. Od razu dowiedziałem się, że Jurków nie jest przez wojsko zajęty, dalej, że w Chyżówkach pokazali się dzisiaj pod wieczór Moskale. O sile ich nikt nie mógł mnie dokładnie poinformować, ale z ogółu danych wywnioskowałem, że ilość ich jest względnie niewielka. Zresztą i przypuszczać nie mogłem, by do tak zapadłej dziury, osobliwie, gdy Dobra była zajęta, wtłoczono większą ilość wojska. W każdym razie dla wojska w Dobrej nie było to wygodnym mieć tuż obok Moskali. Zdecydowałem więc od razu, że V i I bataliony rozlokują się w Jurkowie, III i II *) w Chyżówkach. Uprzedziłem obu dowódców batalionów, by byli ostrożnymi, i idąc do Chyżówek, wzięli z sobą przewodników miejscowych, a Śmigłemu, doganiającemu swój batalion, wypowiedziałem swoje przeczucia, że o nocleg będzie musiał pewnie walczyć z Moskalami.

Istotnie. Okazało się, że w Chyżówkach nocuje cały szwadron ułański. Ułani rosyjscy źle pełnili służbę forpocztową; moi chłopcy, prowadzeni przez górali, bardzo zręcznie obstawili wieś tak, że w nocy wzięto do niewoli cały szwadron z pięcioma oficerami. Straty nasze tej nocy były minimalne — jeden żołnierz zabity, drugi ranny, dziwnym trafem dwaj bracia. Ułani rosyjscy też mieli strat mało, coś kilku zabitych i rannych. Zaskoczeni znienacka, po bardzo krótkim oporze, gromadnie się poddali. Uciekło tylko zaledwie kilkunastu żołnierzy i dwóch oficerów; jednego z nich zresztą w dwa dni potem ujęto.

Przy ówczesnym nerwowym nastroju tego frontu sukces nasz był tryumfem nielada, zwłaszcza, że wypadki wzięcia do niewoli całych jednostek jazdy zdarzają się w ogóle rzadko, a dokonaliśmy tego właśnie na oczach korpusu kawalerii. Tryumf nasz był tym większy, że — jak się okazało z badań jeńców — szwadron ten był specjalnie dobrany z całego pułku ułanów rosyjskich. Dano mu najlepsze konie, względnie dużą liczbę oficerów, wreszcie doborowy materiał ludzki. Szwadron wysłano naprzód z rozkazem, by dotarł do Mszany albo i dalej, sprawdził niejasne wiadomości, które doszły gen. Dragomirowa, dowodzącego dywizją jazdy rosyjskiej, o ruchu wojsk austriackich, i by wreszcie zepsuł kolej Sucha—Mszana Dolna.

*) Batalion II wrócił świeżo z nadzwyczaj nużącej eskapady z 79-tą dywizją jazdy austriackiej pod Modlin i Warszawę. Miał tak małe liczebnie stany i tak był przemęczony, żem go odesłał po Chyżówkach jak najprędzej jako chorych do Nowego Targu, gdzie i sam spodziewałem się wkrótce znaleźć.

Nie brałem osobistego, bezpośredniego udziału w tym epizodzie zagarnięcia szwadronu do niewoli. Nie będę więc wchodził w szczegóły tej akcji, gdyż zgodnie z planem swojej pracy chcę trzymać się metody czysto pamiętnikowej, mając na usługi, przy braku źródeł pod ręką, jedynie swą pamięć.

Dowodzili pod Chyżówkami z początku Wieczorkiewicz i Wilczyński, w końcu Śmigły. Utkwił mi w pamięci jeden szczegół tej akcji, gdyż był przedmiotem rozlicznych rozmów moich żołnierzy i oficerów. Jeden z oficerów rosyjskich, zaskoczony znienacka u progu swej kwatery, poddał się, lecz nie został przez chłopców ani zrewidowany, ani odprowadzony do miejsca zbiórki jeńców. Gdy inni żołnierze nadeszli, wyjął rewolwer i strzelił kilka razy do napadających. Jednego z nich zabił, drugiego ranił — byli to owi dwaj bracia, o których, mówiąc o stratach, już wspomniałem — i, korzystając z ciemności, uciekł z innym oficerem, pomimo, że posypały się za nim gęsto kule. Żołnierze, idąc przy świcie za śladami po śniegu, znaleźli obu w jakimś górskim wąwozie, z którego jeden z uciekających — otyły sztabs-rotmistrz — nie mógł się wydostać. Niektórzy żołnierze prosili mnie, abym kazał rozstrzelać oficera, który zabił ich kolegę, gdyż użył on broni już po poddaniu się. Naturalnie, ani przez głowę nie przeszła mi myśl podobna, gdyż każdy z nas postąpiłby tak samo, wykorzystując gapiostwo jednych, którzy oficera, nie odebrawszy mu broni, zostawili bez opieki, i brak sprytu drugich, którzy jeńca z rąk wypuścili. Ba, każdy właściwie musiałby pochwalić takiego oficera za mężne zachowanie się wobec przemocy nieprzyjacielskiej i za próbę połączenia się ze swoimi, gdy dokoła inni jego koledzy masowo się poddawali.

Gdym stanął rano kwaterą na plebanii w Jurkowie, miałem od razu mnóstwo roboty. Naprzód musiałem zbadać jeńców. Wśród nich była spora garstka Polaków, którzy chętnie rozwiązywali języki w otoczeniu rodaków. Zresztą nie potrzebowałem się uciekać do ich patriotycznych uczuć, żołnierz bowiem rosyjski w ogóle rzadko nie mówi prawdy, będąc pytany przy badaniu. Jest w nim jakby bezwiedne posłuszeństwo dla każdej danej władzy, a gdy się do niego mówi jego własnym językiem i formułami wojskowymi, do których jego ucho jest przyzwyczajone, zapomina on o tym, że nie mówi przed własną komendą. Najczęściej jednak żołnierze rosyjscy mało są rozgarnięci i niewiele interesują się sprawami wojny, tak, że bardzo mało można się od nich dowiedzieć poza ciasnym kołem ich wiadomości o własnym pułku czy batalionie. Już znacznie sprytniejsi i znacznie więcej z tego powodu wiedzą

Polacy, najbardziej zaś Żydzi, którzy z przyzwyczajenia zawsze wszędzie węszą i mają ciekawe oczy i uszy. I teraz więc, badając jeńców, bardzo szybko wyciągnąłem od nich te wiadomości, których mogli mi dostarczyć. Kwestii zaś najbardziej interesującej, czy poza dywizją Dragomirowa jest i piechota przed nami, nikt z nich, gdyby nawet chciał, nie mógł mi wyświetlić.

Po Chyżówkach nie potrzebowałem się meldować u swoich generałów. Ciekawość ich paliła. Już rano przyjechał do mnie komendant dywizji 6-ej. Tego brała trochę zazdrość. Jego oficer sztabu chciał nawet część zasługi wzięcia szwadronu do niewoli przypisać swojej dywizji, powołując się na raport jakiegoś patrolu austriackiego, nadeszły jakoby do Dobrej, a mówiący o tym, że nieprzyjaciel znajduje się w Chyżówkach. Oficer ten chciał wmówić we mnie, że od tego patrolu dowiedziałem się jakoby o Moskalach i dlatego właśnie skierowałem swój batalion do Chyżówek. Zaprzeczyłem temu najstaranniej. Wysłałem swe oddziały do Chyżówek jedynie dlatego, że wydawało mi się rzeczą nieco nieostrożną nocować spokojnie w Dobrej bez zabezpieczenia się od równolegle biegnącej górami drogi, prowadzącej od Limanowej przez Chyżówki do Jurkowa. Co prawda, była to dzika górska droga, ale jednak, jak się okazało, możliwa nawet dla kawalerii. Zaraz potem zjawił się u mnie generał Nagy, dowódca całego frontu pod Limanową. Powinszował mi powodzenia i zaczął rozpytywać o stan wojska. Okazał się człowiekiem bardzo miłym i, co rzadko dotąd spotykałem, zupełnie nieuprzedzonym do takiej formacji, jak Legiony. Bardzo być może, że był to wpływ jego węgierskiego pochodzenia. Wzruszał ramionami, gdy się dowiedział, że nie posiadamy karabinów maszynowych, telefonów, ani dostatecznego wyekwipowania. Obiecał o wszystko się postarać, tym czasem zaś miał nam przykomenderować karabiny maszynowe i artylerię ze swojej węgierskiej dywizji. Zawsze dotąd wspominam ze szczerą wdzięcznością tego generała, którego stosunek był poprostu odetchnięciem od zupełnie nienormalnych stosunków dotychczasowych z Austriakami. Zarówno karabiny maszynowe, jak górskie armaty, przyszły nazajutrz, ale o tym potem. Natomiast zgodnie ze zwyczajem austriackim została zachowana absolutna tajemnica co do celu działania tak mego oddziału, jak i innych wojsk. Pozostawiono to zupełnie memu własnemu domysłowi i samodzielnym hipotezom. Od tego czasu datuje się zwyczaj, który wprowadziłem u siebie w wojsku, że poza wywiadami na nieprzyjaciela prowadziło się stale i systematycznie patrolowanie i w stosunku do

otoczenia. Był to często jedyny sposób zorientowania się w tym, co się dzieje naokoło.

Wieczorem tego dnia wobec tego, że jedynym na razie moim zadaniem było pilnowanie «defilé» górskiego w Chyżówkach, zaprosiłem do siebie na kolację pięciu wziętych do niewoli oficerów rosyjskich. Żal mi było, jako żołnierza, rotmistrza, dowodzącego szwadronem. Musiał być porządnym człowiekiem, gdyż żołnierze jego bardzo się cieszyli, że mu się nic złego tej nocy nie stało. Był przygnębiony trochę, chociaż starał się tego nie pokazywać po sobie. Miał jakieś polskie nazwisko, choć był Rosjaninem, i stał kiedyś dłuższy czas z pułkiem w Królestwie, we Włocławku. Oficerowie jego byli mniej sympatyczni, ot — zwyczajni oficerowie rosyjscy. Sztab mój składał się z samych Królewiaków, więc — choć z obrzydliwym akcentem — mówili po rosyjsku. Powoli, gdy pierwsze lody po kilku wódkach stopniały, zaczepiłem o przykry temat, o nocny wypadek w Chyżówkach. Chciałem znaleźć wytłumaczenie, jak to mogło się stać, że szwadron cały tak od razu dał się opanować i bez strat prawie zagarnąć. Rotmistrz dał mi mniej więcej następujące wyjaśnienie:

Był wysłany jako szwadron wywiadowczy, szedł szosą przez Limanową na Dobrą, tu znalazł drogę zajętą: chcąc ominąć przeszkodę, wciągnął się do Chyżówek górską drogą, nie przypuszczając, by na niej mógł spotkać kawalerię austriacką, gdyż droga nie była wcale dla jazdy stworzona. Noc była bardzo zimna i ciemna, tym mniej przypuszczał, by go zaskoczono. Wiedział przecie, że ma przed sobą jedynie kawalerię austriacką, o której nie miał dobrej opinii i nie sądził, by się zdobyła na inicjatywę. Gdyby był wiedział, że może spotkać piechotę, byłby ostrożniejszy. Wobec tego, że górskie wsie są rozrzucone, nocował w kilku grupach, które samodzielnie wystawiły po kilka posterunków. W nocy nagle usłyszał strzały, żołnierze zaalarmowani zaczęli strzelać po ciemku, nie mając żadnego widocznego celu. I wtedy z kilku stron usłyszał rosyjskie połajanki, wymawiane tak bez zarzutu dobrze, że w tej grupie, gdzie on był, wszyscy osądzili, że to są swoi — Rosjanie. Wobec tego zaprzestano strzelać i nagle spadła na nich nawała, idąca na bagnety. Działo się to tak szybko, że nim się obejrzał, już żołnierze jego się poddali i on sam nie miał nic innego też do zrobienia.

— «Wot bieda — dodał poważnie — bolno artisticzeski waszi riebiata rugajutsia»! (W tym bieda, że pańscy chłopcy zanadto artystycznie klną!)

Myślałem, że umrę od wewnętrznego śmiechu, gdym usły-

szał, czemu właściwie zawdzięczam powodzenie! Niesłychany i całkiem nowy pomysł dla taktyki!

Najzabawniejszym było jeszcze to, że przy tej całkiem rosyjskiej kolacji jednym z usługujących ordynansów był też Rosjanin — niejaki Chmielow. Był on wzięty przez nas pod Krakowem do niewoli i razem z kilku innymi prosił, by go pozostawiono u nas i nie odsyłano do obozu jeńców, gdzie, jak słyszał, warunki życia są nadzwyczaj ciężkie. U nas zaś strasznie mu się spodobało, bo — jak mówił — takiego generała jeszcze nie widział, który nigdy nie łaje i nie bije i z którym każdy żołnierz swobodnie, bez obawy mówić może. Sądziłem, że teraz, gdy zobaczy swoich żołnierzy i oficerów, zechce dzielić już dalej losy z nimi. Nie! Poprosił, by go pozostawiono i by przy oficerach z wziętego szwadronu nie mówiono do niego po rosyjsku. Sam zaś przy usługiwaniu starał się wplatać parę słów polskich, których się już zdążył nauczyć. Nazajutrz odesłałem jeńców na tyły.

Z pomiędzy siedmiu oficerów z szwadronu wziętego do niewoli, pięciu ujęto, dwóch uciekło. Jednego z nich złapano na trzeci dzień w oryginalnych okolicznościach. Ruszyliśmy już byli naprzód i, przeszedłszy Chyżówki, długą górską wioszczynę na przełęczy pomiędzy górami Łopień i Mogilnica, spuściliśmy się na dół do Słopnic Królewskich. Tam rano na krzyk jakiejś baby, że jest u niej Moskal, złapano młodego człowieka i przyprowadzono go do mnie. Był to ładny, młody dwudziestoletni chłopak, o dużych czarnych oczach, miał na sobie cywilne palto i kapelusz, jakąś kurtkę, a obok tego ułańskie spodnie i buty. Przy rewizji znaleziono u niego notatnik z zapisami, świadczącymi o tym, że przez cały czas od nocy w Chyżówkach śledził ruch na szosie i notował każdy oddział. Przy badaniu okazało się, że wdarł się on na górę, gdzie znalazł jakiś szałas i przesiedział tam o głodzie i chłodzie cały dzień, robiąc notatki i pilnie śledząc wszystko, co się naokoło działo. Teraz przedzierał się do swoich ze swymi spostrzeżeniami. Zaszedł zaś do chaty, bo był głodny, i dawał trzy ruble babie za posiłek, lecz ta narobiła wrzasku i biedny trafił do niewoli. Podobała mi się ta brawura i to spełnienie obowiązku aż do końca, nawet wtedy, gdy oficerek został sam i to po ciężkiej porażce swoich. Nie pytałem go więc już o to, skąd wziął ubranie cywilne, i chcąc go uchronić od rozstrzelania, jako szpiega, bo przyłapanego w cywilnym odzieniu, kazałem wyszukać u chłopców szynel żołnierski i czapkę, umundurowałem go z powrotem i odesłałem na tyły. Wychodząc, dziękował mi za to, dodał jednak: — Ale za to, że mnie pan wziął do

niewoli, nie dziękuję, nie! Byłbym na pewno miał order świętego Jerzego!

Ten order pewno otrzymał siódmy oficer szwadronu, jakiś Kaukazczyk, który uciekł i przedarł się do generała Dragomirowa z przykrą wiadomością, że jego wyborowy szwadron został w całości wzięty do niewoli. Po kilku dniach zostało wziętych znowu kilku, tym razem dla odmiany, huzarów z dywizji tegoż generała. Ci opowiadali mi, że Dragomirow, wściekły z powodu wypadku w Chyżówkach, miał powiedzieć: — «Jeżeli moi oficerowie nie umieją prowadzić szwadronów, to — niestety — ja, komendant dywizji, muszę jeździć na patrole!»

I jakoby istotnie ruszył z pierwszym patrolem ku nieprzyjacielowi.

Żałuję doprawdy, że nie prowadził on właśnie tego huzarskiego patrolu, z którego wzięliśmy jeńców, miałby sposobność przekonać się, czy dowodziłby nim mądrzej, niż ten oficer, który przypłacił życiem swą nieostrożność. Było to w kilka dni po wzięciu w Chyżówkach szwadronu ułanów. Zdążyliśmy przez ten czas przetańczyć swego kontredansa: byliśmy pod Limanową, cofnęliśmy się do Jurkowa i znowu miałem pilnować przejść przez góry na południe od szosy Dobra—Limanowa. W Chyżówkach stał powtórnie III batalion, zajmując pół wsi, zbliżonej do Jurkowa, mając po obu stronach wsi okopy. Chyżówki dalej ku przełęczy i przełęcz sama nie były przez nas zajęte, tylko od czasu do czasu chodziły tam patrole. Przy wyjściu doliny Chyżówek do poprzecznej szerszej doliny, w której leżał Jurków, miałem postawione cztery górskie działa. Pod wieczór żołnierze spostrzegli, że po spadzistej drodze od przełęczy zbliżają się jacyś konni. Był to ów patrol huzarski, prowadzony przez oficera.

Teren tamtejszy górzysty z raptownymi spadami, z mnóstwem stromych wąwozów, z górami, silnie zalesionymi, nie nadaje się w ogóle dla działania jazdy, teraz zaś jeszcze listopadowa gruda lub gołoledź czyniła działania kawalerii jeszcze trudniejszymi.

Patrol, liczący 7 koni, szedł wprost do Chyżówek, wsi z mnóstwem płotów, drogą wąziutką, ograniczoną zabudowaniami, mającą w dodatku z jednej strony urwisko, po którym poruszać się konno było niepodobieństwem. Była to lekkomyślność szalona — prowadzić tak patrol. Moi chłopcy wpuścili patrol do wsi bez strzału, chcąc wziąć wszystkich żywcem. Lecz na nieszczęście patrol naskoczył już we wsi na paru kręcących się tam żołnierzy i, spostrzegłszy ich, zawrócił konie i zaczął uciekać w górę ku przełęczy. Wówczas dopiero za-

częto strzelać. Konie ubito, huzarów trzech padło, dwóch wzięto jako jeńców; jeden z nich był ranny, dwóch zaledwie uciekło, stoczywszy się wprzód do parowu obok wsi. Pomiędzy uciekającymi był i oficer, ranny w nogę. Pomimo pościgu nie został ujęty, lecz, jak dowiedziałem się później, dopadł do swoich. Tegoż dnia jednak umarł z upływu krwi i wycieńczenia.

Słyszałem od jeńców, że Dragomirow należał do tej szkoły, jak zresztą niejeden z generałów jazdy w początku wojny, która nie chciała uznawać żadnych przeszkód dla kawalerii, żadnych ograniczeń przy jej użyciu. Zabawnym wtedy było, że właśnie na tym najzupełniej dla jazdy nieodpowiednim terenie walczyła wówczas tylko kawaleria. Moje trzy słabe bataliony przez długi czas były jedyną piechotą na tym odcinku. Z tym samym niestosownym użyciem kawalerii miałem sposobność spotkać się jesienią następnego roku na Polesiu, gdzie na terenie nadzwyczajnie zalesionym, z mnóstwem mokradeł i bagien, również wystąpiły do walki korpusy jazdy, względnie mało użytecznej w tych warunkach.

Wracam jednak do huzarskiego patrolu, którego historia zakończyła się dla mnie bardzo przykrą sceną. Do plebanii jurkowskiej przyprowadzono mi wziętych jeńców na przesłuchanie. Jeden z nich był całkiem zdrów, drugi leżał na wozie, napełnionym słomą, z przestrzeloną piersią. Podoficer, który ich przyprowadził, zameldował mi przy tym:

— Obaj są z Litwy, tak, jak Obywatel Komendant!

Istotnie! Ten, który wyszedł cało, był chłopem z pod Grodna. Na razie przy badaniu próbował żołnierskich sakramentalnych słów: «toczno tak, nikak niet, Wasze Prewoschoditelstwo». Lecz wkrótce, gdym zaczął mówić z polska po białorusku, stopniała na nim ta powłoka, zaczął mi mówić po swojemu, kłaniając się i tytułując, jak Pan Bóg kazał na wsi litewskiej: Panoczku. Dowiedziałem się od niego, że za przełęczą stoi cały pułk huzarów, na który natychmiast kazałem otworzyć ogień z moich dział.

Na pożegnanie mój rodak dostał herbaty i papierosów i, żegnając się już po swojemu: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — dodał:

— «Panoczku! a ten druhi, unteroficyr, znaczy się także hradnieński, ale z obywatelów, nie prosty».

Wyszedłem przed plebanię. Koło wozu stał doktor, który, salutując mi, zameldował:

— Ranny w piersi, już opatrzony, gotów do wysłania dalej.

Zbliżyłem się do rannego. Na wozie leżał młody, przystojny chłopiec o kulturalnych rysach twarzy. Twarz trochę

kurczyła się od bólu, oddychał ciężko, oczy zaś jego utkwione były we mnie z jakim pytającym wyrazem.

— Możecie mówić? — spytałem.

— Mogę, — odpowiedział — a czy mogę zapytać?

— O co idzie?

— Żołnierze mi mówili, że pan także z Litwy, czy prawda?

— Tak, jestem z Litwy, z Wileńskiego.

— Ja z Grodzieńskiego, nazwisko moje Stetkiewicz; wolno wiedzieć, jak pan się nazywa?

— Piłsudski. Miałem w gimnazjum w Wilnie kolegów Stetkiewiczów.

— Krewni — odrzekł z cicha. Łzy mu się zakręciły w oczach, szarpnął swój płaszcz i zakrył nim twarz całą.

Nie chciałem rozmawiać dalej. Było i mnie strasznie przykro, niedaleki byłem od łez. Odwróciłem się i odszedłem, pytając doktora o ranę. Rana nie była lekką, ranny trochę już gorączkował. Kazałem go natychmiast wyprawić do szpitala na tyły. Jeszcze przykrzej mi się zrobiło, gdym przejrzał papiery, znalezione przy rannym podoficerze. Był tam list od matki, świeżo otrzymany. List tchnął głęboką miłością matczyną i wielkim niepokojem o syna. Zarazem jednak zawierał parę rzeczy, które dla mnie były zupełną nowością w moich pojęciach o Litwie. Matka pisała, że wie z gazet, iż jest już pod Krakowem, więc prawdopodobnie dowodzi nim albo generał Ruzski, albo Brusiłow, obaj bohaterowie, za których co dzień modli się w kościele za to, że obronili Litwę. Z pasją rzuciłem list na stół. Jeszczem dotąd żadnej dewotki na Litwie nie widział, modlącej się za Rosjan! Ale ta młoda twarz mego rodaka, ustrzelonego przez moich żołnierzy, dotąd mi stoi w oczach, jak żywe świadectwo ciężaru moralnego, który spadł wraz z wojną na Polskę i Polaków. Przeklęte skutki niewoli! Był to na szczęście jedyny wypadek tzw. bratobójstwa, widziany przeze mnie bezpośrednio. Może z tego powodu, a może dlatego, że dotknął mnie osobiście, jako Litwina i nieledwie znajomego ofiary, utkwił mi ten przykry epizod tak żywo w pamięci.

Mieliśmy podczas całej wojny pod tym względem szczęście, że Polaków wśród nieprzyjaciół bezpośrednio przed sobą nie spotykaliśmy wcale.

Znam z opowiadań tylko jeszcze jeden wypadek zetknięcia się naszego z Polakami, ubranymi we wrogie nam mundury. Wypadek nie tragiczny tym razem. Gdyśmy maszerowali jeszcze na Dęblin, gdzieś koło Radomia prowadzono kolumnę jeńców rosyjskich. Moi chłopcy stali przy drodze i gapili się

na nich, czyniąc mniej czy więcej dowcipne uwagi. I nagle z kolumny rozległ się głos do nich:

— Stasiu, smarkaczu jeden, co ty tu robisz?!

Okazało się, że jednym z jeńców był rodzony ojciec mego młodocianego żołnierza.

Poza tym spotykałem Polaków z wojska rosyjskiego, ale jako jeńców, najczęściej dobrowolnie oddających się do niewoli..

Generał Nagy dotrzymał słowa. Nazajutrz po jego wizycie u mnie zameldowali się w Jurkowie por. Besermeny z dwoma karabinami maszynowymi, por. Meisner z czterema górskimi armatami i wreszcie, jako dodatek, rotmistrz honwedów Ulas ze szwadronem spieszonych — «speszonych», jak u nas mówiono — huzarów. Było to przykomenderowanie dla mnie i dla całego oddziałku całkiem nowym i nieznanym zjawiskiem. Obce wojsko, oddane do mego rozporządzenia, — to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie mogę powiedzieć, że mi to nie pochlebiło, choć na razie zrobiło dużo kłopotów. O ile względnie łatwym mi było dowodzić swoim wojskiem, gdzie prawie połowa podwładnych oficerów była moimi uczniami, a całe już wojsko moimi wychowankami wojennymi, których urabiałem według swojej woli i poglądów, o tyle teraz miałem mieć do czynienia, jako z podwładnymi, z oficerami, których urobiła inna szkoła. Uważała ona siebie za wyższą i lepszą i usposabiała swych wychowanków do bardzo krytycznego nastroju względem takich parweniuszów wojskowych, jakimi dla niej byliśmy my wszyscy. W dodatku przyszła konieczność używania obcego języka, którym się źle włada! Postanowiłem być na baczności. Z natury litewskiej, będąc podejrzliwym i nieufnym, wietrzyłem tarcia, skargi, chęć pozowania na nauczycieli, wreszcie, nauczony doświadczeniem w I korpusie, oczekiwałem nietaktownego i niekoleżeńskiego wykorzystywania swych przywilejów. Zdecydowany byłem stanowczo oprzeć się wszystkim próbom tego rodzaju i dlatego od razu bez ceremonii odkomenderowałem karabiny maszynowe pod dowództwo Śmigłego, rotmistrza Ulasa ze «speszonymi» huzarami pod komendę Bojarskiego, zostawiając sobie dowództwo bezpośrednie nad artylerią.

Obawy moje okazały się płonnymi. Trafiłem szczęśliwie na nadzwyczaj przyzwoitych ludzi, z którymi wkrótce ułożyły się stosunki bardzo dobrze. Obaj młodsi oficerowie, Besermeny i Meisner, okazali się bardzo dzielnymi żołnierzami i prędko nauczyli się cenić męstwo i spokój moich żołnierzy, a z oficerami mymi żyć w koleżeńskich stosunkach. Starszy zaś, rotmistrz Ulas, był to tak dobroduszny Węgier, nie wymawiający,

z powodu serdecznych wspomnień z czasów 1848 r., inaczej nazwisk Bema i Dembińskiego, jak z wojskowym ukłonem, że Bojarski miał w nim serdecznego przyjaciela.

Z początku, naturalnie, istniała wzajemna nieufność. Zarówno Besermeny, jak Meisner poprostu obawiali się, z czego potem już nie robili sekretu, że przy takiej piechocie jeden straci łatwo swe armaty, a drugi karabiny maszynowe. Istotnie doniesiono mi, że w nocy w obu przydzielonych oddziałach konie są posiodłane i większość ludzi na nogach. Gdy się to powtórzyło, rozgniewałem się. Są dwie rzeczy, których na wojnie nie znoszę. Jedno to «nerwy», drugie zaś — to wynikające zresztą z tych «nerwów» nieznośne dla ludzi i koni alarmy i trzymanie oddziałów w ciągłym naprężeniu pogotowia. Napatrzyłem się tego na wojnie tyle razy. Zawsze przekonywałem się, że dowódcy zamiast w niepewnych wypadkach wziąć na siebie i na swój sztab ciężar pogotowia, zwalają go po prostu na barki swych podwładnych najzupełniej bezcelowo. Nawet w poważnych istotnie chwilach walczyłem ze sobą długo, nim wydusiłem z siebie rozkaz o zwiększonej ostrożności i zarządzeniu alarmowego pogotowia.

Zirytowany więc, zwołałem oficerów na odprawę i poza zwykłymi rozkazami i oceną sytuacji zapowiedziałem, że obowiązkiem oficerów nie jest tylko umiejętnie i odważnie prowadzić swych podkomendnych podczas bitwy, lecz i dbać o to, by ich żołnierze byli możliwie silni fizycznie i wypoczęci przed bojem. Dlatego też zakazuję urządzać jakiegokolwiek pogotowia bez mego rozkazu. Zwróciwszy się zaś do obcych oficerów, dodałem:

— Na noc konie mają być rozsiodłane, ludzie, oprócz tych, co mają nocną służbę, powinni spać. Ja odpowiadam za bezpieczeństwo i całość oddziału i proszę panów być spokojnymi o to, że w razie istotnego niebezpieczeństwa będziecie na czas zaalarmowani i uprzedzeni.

Widziałem po ich minach, że byli trochę zdziwieni i zaniepokojeni, nie wypowiedzieli jednak ani słowa i, jak się dowiedziałem nazajutrz, zastosowali się bez szemrania do rozkazu.

Po tygodniu, gdyśmy już przebyli parę ryzykownych sytuacyj, spotkała mnie przyjemna satysfakcja. Jeden z przydzielonych oficerów dziękował mi za admonicję, twierdząc, że po raz pierwszy nieledwie na wojnie on, jego ludzie i konie są wypoczęci należycie pomimo odbytej pracy.

— Nauczyłem się, — dodał — jak pańscy oficerowie, zrzucać buty na noc i nawet odważam się rozbierać się spokojnie do snu.

Inny oficer, przykomenderowany do mnie, jako oficer łącznikowy, bardzo miły i przyzwoity Węgier, dziękował mi w jeszcze zabawniejszy sposób.

— Od czasu, jak przy panu jestem, ani razu nie dosiadłem konia niepotrzebnie. Doprawdy, to bardzo jest przyjemne!

Nie chcę twierdzić, by i w kampanii limanowskiej nie zdarzały się przykre wypadki niekoleżeńskiego zachowania się wobec nas Austriaków. Owszem, lecz na ogół wytworzyły się przyjazne i poprawne z nimi stosunki, tak, że wydawały się one po tym, co się przeżyło w początkach wojny, po prostu rajem. Specjalnie przyzwoitymi byli Węgrzy, którym nigdy ani się śniło widzieć w naszej odrębności organizacyjnej i w innym, niż u nich, układzie wewnętrznych stosunków jakiego przestępstwa, godnego kary lub tematu dla szykan czy lekceważenia. Węgrzy byli dla mnie przyjemnymi kolegami i dlatego, że mogłem się z nimi porozumieć bardzo łatwo przy ich nadzwyczaj powolnej i wyraźnej wymowie, gdy mówili językiem niemieckim.

Warunki wojny na Podhalu okazały się i pod innym względem nadzwyczaj przyjemne. Mówię tu o stosunkach z ludnością. Nie było tu, jak w Królestwie, gwałtownego i najczęściej daremnego szukania oparcia i zrozumienia wśród ludności cywilnej. Nie trzeba było tu niczego szukać, bo wszystko, czego dusza żołnierza, walczącego dla szczęścia ojczyzny, pragnie, było mu dane. Tu czułem się w ojczyźnie, czułem się potrzebnym dla niej, jako jej obrońca. Od góry do dołu — ksiądz, gazda góralski, czy jego gaździna, mieszczanin, czy robotnik — wszyscy szukali po prostu okazji, aby w czemkolwiek dopomóc lub przynajmniej okazać swą sympatię dla nas. Młodzi chłopcy chodzili na wywiady przed wojskiem. Robiono to za zgodą wsi, która wprost wyznaczała, kto ma iść. Więcej! By chłopak nie mógł skłamać, że był tam, gdzie go posłano, musiał wrócić z pieczęcią gminną, wyciśniętą na portkach, jako namacalne świadectwo swej sprawności. W żadnej chacie czy domu nie odczuło się, że jesteśmy ciężarem, pomimo, że przecież wojsko nie należy do najprzyjemniejszych gości.

Żywo pamiętam jeden wypadek w zapadłej górskiej wsi, w której po jednej z nocnych wycieczek szukałem z wojskiem na pewien czas ukrycia. Stanąłem kwaterą w chacie góralskiej, która, jak zwykle, miała dwie izby. Jedną na zimę — zamkniętą — czystą, drugą, codzienną, że tak powiem, gdzie obok ludzi przechowują się cielęta, kury, prosięta itp. pożyteczne, lecz brudne i cuchnące stworzenia. Pomimo zimna stanąłem w czystej połowie. Zastanowiła mnie gaździna, wysoka

o kształtnych rysach i dziwnie melancholijnych, szarych oczach. Była po prostu niestrudzoną w okazywaniu swej gościnności. Sama przybiegała często, proponując to lub owo, potem przysyłała dzieci, które wpadały z ciekawymi buziami, by zapytać raz jeszcze, czy nie trzeba czego, lub by przynieść jeszcze więcej drew do pieca. Byłem strasznie zmęczony po niespanej nocy, więc nużyła mnie nawet trochę ta nadzwyczajna gościnność. Gdy dałem wkrótce rozkaz do wymarszu, gaździna płakała rzewnymi łzami, patrząc swymi melancholinymi oczami na odchodzące wojsko. Przypuszczałem, że obawia się ona nadejścia Moskali po naszym wyjściu i począłem ją uspokajać. Wtedy odpowiedziała mi:

— Biedne wy, wojoki polskie! Tego płaczę!

Nie chciała wziąć ani grosza za gościnę, nawet gdym chciał to zrobić pod pozorem zostawienia pieniędzy na cukierki dla dzieci. Dotąd za te serdeczne łzy tej Podhalanki czuję szczerą wdzięczność, a do całego Podhala ogromną sympatię za to odczucie ojczyzny, które tam miałem.

Wspomnienia z tego okresu walk są i dlatego wreszcie dla mnie bardzo miłe, że prowadziliśmy tam wojnę bardzo oryginalną, bez całego przepychu techniki nowoczesnej. Tego nie było tam wcale! Nie mieliśmy ani taborów, ani telefonów i dla łączności posługiwaliśmy się według starej tradycji adiutantami i ordynansami. A gdy przypomnę sobie ówczesne okopy, śmiech mnie bierze. Nie mówię już o przeszkodach z drutu, których wcale nie było, ale same okopy — pożal się, Boże! Po prostu każdy żołnierz wykopywał sobie na prędce jamkę, do której przynosił trochę słomy, i fortyfikacja była gotowa. Najkomiczniejszymi byli w takich okopach kawalerzyści austriaccy w swych czerwonych spodniach, osobliwie na tle śniegu, który w końcu listopada leżał najmniej co drugi dzień. Każdy, kto czytał lub słyszał o pustych i bezbarwnych polach bitew nowoczesnych, uznałby to za blagę, gdyby tych «wojoków» spostrzegł o dobrych parę kilometrów, jako czerwone plamy na białym śniegu, leżących po sznur w równej linii z równymi odstępami w swych płytkich jamkach z filozoficznym wyrazem twarzy i fajką w gębie.

Z jednej i z drugiej strony w tej górzystej okolicy występowała do boju kawaleria, dumnie jeszcze szukająca szarży i mająca w pogardzie kopanie się, jak kret, w ziemi. Za to było dużo przestrzeni i ruchu. Nie zastygaliśmy na długo w jednym miejscu, codziennie była zmiana sytuacji, zmuszająca myśleć, odgadywać przeciwnika. Wojna była trochę nużąca wobec ciągłych marszów i wstrętnej jesienno-zimowej pogody,

która nam drogi zmieniała albo w błoto, albo pokrywała je twardą grudą czy śliską gołoledzią. Chłopcy byli tak poprzeziębiani, że gdym przejeżdżał koło kolumny, wyciągającej się do marszu, słyszałem nieustanny głuchy kaszel. Sam również wypoczynku miałem mało. Mimo to ta wojna w ruchu, z wielkimi przestrzeniami, w górach, z ciągłymi zagadkami i łamigłówkami była przyjemną, bo dawała dużo swobody i samodzielności.

Choć warunki, w których walczyliśmy, były miłe, nie mogłem się pozbyć swych pesymistycznych myśli i dlatego ani przez chwilę w owe czasy nie zapominałem o swym zasadniczym planie cofnięcia się przy dalszych niepowodzeniach do Nowego Targu. Tam byłem zdecydowany podnieść do wojny górali, prowadzić akcję zaczepno-odporną, a w ostateczności skończyć nasz los jakąś uwieczniającą strzelców hekatombą. Nie było dnia, w którymbym paru godzin nie przemyślał nad tym planem. Wypracowywałem w duchu szczegóły organizacji obrony i przebiegałem myślą drogi, które miałem dla swego odwrotu w stronę Nowego Targu. Tam też ściągałem zewsząd wszystkie moje organizacje tyłowe, rozsypane po różnych kątach od czasów kieleckich.

Tymczasem tańczyłem swego, jak nazywałem kontredansa, koło Limanowej. To zbliżaliśmy się do niej, to znowu odchodziliśmy. To byliśmy pewni, że właściwie przed nami są tylko nieliczne grupy kawalerii, to znowu drżeliśmy przed przemocą nieprzyjacielską. Nie mówię tu o sobie, gdyż mając zasadniczy swój plan już zdecydowany, niewiele robiłem sobie z tej przemocy; mówię tu o ogólnym nastroju, który przeważnie był bardzo nerwowy, z ciągłymi obawami o skrzydła i tyły. Wojska, będące przed nami, ciągle się zmieniały. Po dywizji Dragomirowa ukazały się dywizje kozackie i 10 dywizja kawalerii z dzikim i okrutnym gen. Kellerem na czele. I te formacje zresztą to ukazywały się w wielkiej liczbie, to znowu nieliśmy przed sobą tylko jakieś patrole, w które się wchodziło, jak w masło, bez przeszkód prawie. Ja ze swymi batalionami miałem jako bazę Jurków i drogę marszową, idącą doliną Chyżowek, ale doprawdy z pięć razy w tym czasie byłem u proboszcza w Słopnicy Królewskiej, po tamtej stronie przełęczy w Chyżówkach, w pobliżu Limanowej. Biedny proboszcz musiał, zdaje się, co parę dni zmieniać swych gości — to my, to Moskale.

Wreszcie przełamało się. Pewnej nocy, dowiedziawszy się, że Rosjan w Słopnicy mało, przeszedłem Chyżówki, wyrzuciłem trochę kozaków ze wsi i posłałem na tyły Tymbarku,

zajętego jeszcze przez Rosjan, jeden batalion z karabinami maszynowymi. I nazajutrz byliśmy już w Limanowej. Było to 4 grudnia.

Moskale widocznie cofali się ku Dunajcowi i Nowemu Sączowi. Na horyzoncie, na górach, ukazywały się patrole konne, które spiesznie wycofywały się, a gdzieś spoza Wysokiej od czasu do czasu grzmiał strzał armatni. Austriacy posuwali się ostrożnie za nieprzyjacielem. W Limanowej zatrzymałem się na chwilę, by się ostrzyc. Dowiedziałem się, że Rosjanie jakoby mnóstwo zarekwirowanych i nagrabionych rzeczy zgromadzili w Nowym Sączu. Mówiono nawet, że jakoby zaczęto je stamtąd wywozić. Gdym w Kaninie, na szosie do Nowego Sącza, dogonił sztab 2 dywizji, dowiedziałem się, że na Wysokiej stoją Moskale, a bateria ich strzela z Trzetrzewiny. Przez lornetkę obejrzałem Wysoką i stwierdziłem, że obsada jest mała, więc łatwa do przepłoszenia. Komendant dywizji zaproponował mi, bym spędził Moskali, tym bardziej, że jego żołnierze zaczęli się trochę cofać. Rzuciłem jeden batalion i kawalerię na prawo od szosy. Kawaleria poszła naprzód i, zsiadłszy z koni, pieszo zaatakowała nieprzyjaciela od skrzydła. Moskale opuścili Wysoką, bateria z Trzetrzewiny zwiała, wszystko cofało się na Nowy Sącz.

Gdym noc tę spędzał w zapadłej wioszczynie, w góralskiej chatce, byłem pod wrażeniem łatwości, z jaką Moskali zmusza się do cofania przed względnie małymi siłami. Czyżbym się mylił? Czyżby istotnie zwycięstwo uśmiechało się tej stronie, po której jestem? Cóż znaczy bowiem to nagłe i łatwe cofanie się? Co znaczą te gawędy w Limanowej o rozpoczęciu ewakuacji w Nowym Sączu? Rano patrole doniosły mi, że Trzetrzewina jest wolna. Moskali tam nie ma, a Trzetrzewina odległą jest od Nowego Sącza zaledwie o kilka kilometrów!

Tegoż dnia otrzymałem zaproszenie na naradę do sztabu dywizji. Byłem strasznie zmęczony i zaziębiony, przeprosiłem więc, że nie mogę być osobiście, i posłałem Szefa. Po paru godzinach Szef wrócił. W komendzie dywizji dziękowano mu za przepłoszenie Moskali z Wysokiej i zaproponowano plan działań następujący. Dywizja ma całkowicie nieosłoniętą lewą flankę i dlatego dalej po szosie ku Nowemu Sączowi posuwać się nie może. Gdybyśmy więc poszli na drogę Limanowa—Marcinkowice i zabezpieczyli lewe skrzydło, możeby można było razem podsunąć się ku Nowemu Sączowi, co wobec słabych, jak się zdaje, sił nieprzyjacielskich byłoby niezbyt ryzykownym. Niezbyt mi się ten plan podobał, bo w ten sposób na wypadek niepowodzeń odsuwałem się od wymarzonej mej

drogi do Nowego Targu. Wolałbym zostać na prawym skrzydle dywizji, ale z drugiej strony ta nadzwyczajna skłonność Rosjan do cofania się była pokusą nielada. Błyskała jakąś nadzieją zwycięstwa. Wreszcie zgodziłem się.

Miałem przy sobie wówczas tylko dwa słabe bataliony. Jeden (V) musiałem detaszować na północ. Poza tym niecałe dwa szwadrony kawalerii, oddział karabinów maszynowych i 4 górskie armaty. Na wzmocnienie oddziału mego na szczęście przyszła jeszcze moja własna artyleria — «werndle na kółkach»*) — 8 armat starego typu o niedalekiej «portée» i strzelające, jak na śmiech w tej wojnie, dymnym prochem. Dąbkowski przyprowadził jeszcze małą kompanię saperów. Ta pomoc przyszła po zwolnieniu reszty mego oddziału z I korpusu, po bitwie pod Krzywopłotami. Dwa bataliony poszły stamtąd, zgodnie z moim rozkazem, do Nowego Targu, artyleria i saperzy przyszli do mnie pod Limanowę.

Z tym słabym oddziałem ruszyłem żwawo na północ. Gdym doszedł potem do drogi Limanowa—Marcinkowice, skręciłem prosto na wschód ku Dunajcowi. Jak zawsze, gdy jestem w marszu ku nieprzyjacielowi, byłem w stanie trochę podnieconym, z przyjemnym uczuciem jakiegoś tryumfu, zmieszanego z oczekiwaniem nowych silnych wrażeń, nowych zagadnień. Kawaleria, rzucona naprzód, słała mi wciąż raporty o cofaniu się przed nią zewsząd słabych patroli nieprzyjacielskich. Nigdzie żadnego oporu, ani żadnych większych sił nie spotkano. Wszędzie ludność opowiadała, że Moskale byli tu przed godziną, przed pół godziną, i poszli do Nowego Sącza czy Dąbrowy za Dunajec. Nieprzyjaciel cofał się najwidoczniej, nie stawiając żadnego oporu. Moja radość, a zarazem śmiałość coraz bardziej się zwiększała.

Już na dłuższym postoju, gdzieś koło Pisarzowej, po otrzymaniu pierwszych meldunków od kawalerii, zaczęła mi się kręcić po głowie myśl dojścia do Nowego Sącza. Przewidywałem, że posuwanie się 2 dywizji będzie bardzo powolne. Czuć było to z ostrożnej atmosfery, panującej w sztabie dywizji. Tymczasem wydawało mi się rzeczą konieczną wykorzystania sytuacji, dodanie nieprzyjacielowi ognia w cofaniu się i utrudnienie mu tak zawsze trudnej operacji odwrotu. Bez względu nawet, jak na całym froncie sprawa stoi — myślałem sobie — nigdy taki nacisk nie zaszkodzi, zawsze pomoże.

*) Werndlami nazywano karabiny systemu Werndla, jednostrzałową, nierepetierową broń o wielkim kalibrze, którą otrzymaliśmy w początku wojny.

Przed zapadnięciem wieczora doszedłem z piechotą i artylerią do Klęczan i tam otrzymałem od Beliny raport, datowany z Marcinkowic, więc z nad samego Dunajca. Raport przynosił dane, przekraczające moje najśmielsze nadzieje. Jeden patrol ułanów przeprawił się przez Dunajec koło Marcinkowic i wypatrzył słabe posterunki kozackie w okolicy Dąbrowy, inne patrole zajęły Rdziostów i górę Rdziostowską po tej stronie Dunajca, spędzając z niej równie słabe patrole kozackie, które w pośpiechu cofnęły się brzegiem Dunajca ku Nowemu Sączowi. Z góry Rdziostowskiej, oddalonej o jakie 3—3½ km od Nowego Sącza, miasto widać nieledwie, jak na dłoni.

Pierwszy wniosek, jaki wyciągnąłem z tych danych, był taki, że Rosjanie mają bardzo małą siłę w Nowym Sączu. Trudno bowiem przypuszczać, aby większy oddział mógł tak blisko podpuszczać ku sobie nieprzyjaciela i pozwalał, by ten nieledwie zaglądał mu do garnka. Stąd niedalekim był mój wniosek drugi: przeszkodzić Moskalom, ile możności, w spokojnym posiadaniu tak ważnego punktu, jakim jest Nowy Sącz. Przypuszczałem, że muszą się czuć bezpiecznymi za poważną przeszkodą, jaką jest Dunajec, wiedząc, że i nasza strona ma bardzo słabe siły po tej stronie rzeki. Trzeba więc właśnie wykorzystać to ich poczucie bezpieczeństwa za osłoną Dunajca i spróbować zaatakować nieprzyjaciela po tamtej stronie rzeki. Ważną rolę do tego w mych rozważaniach odgrywała myśl, że przeszkodzę Rosjanom w ewakuacji miasta ze składów, o których okoliczna ludność ciągle mi mówiła.

Po późnym obiedzie, rozważywszy raz jeszcze położenie, byłem prawie zdecydowany co do planu. Kawaleria idzie od razu na wypatrzone posterunki koło Dąbrowy, żeby je zagarnąć. Saperzy budują kładki przez Dunajec koło Marcinkowic. Na górę Rdziostowską pod osłoną jednej lub dwóch kompanij piechoty idzie artyleria, by poprzeć atak piechoty na Nowy Sącz, albo też przykryć jej odwrót w razie niepowodzenia. Ja z piechotą przeprawiam się pod Marcinkowicami na wschodni brzeg Dunajca i próbuję nad ranem ataku na Moskali i w Nowym Sączu.

Miałem stanowczo za mało sił na takie przedsięwzięcie. Niepokoiło mnie to. Nowy Sącz — względnie duże miasto, niewiadomo, jak obsadzone przez Rosjan: w mieście nieznanym tak łatwo błądzić i tak trudno małymi siłami je obsadzić rozumnie. Liczyłem na to, że po drodze od tak przyjaźnie dla nas usposobionych chłopów zdobędę ściślejsze wiadomości i dobrych przewodników, znających miasto. Zresztą u siebie w ba-

talionach miałem chłopców, którzy je znali. Kazałem się o nich dowiedzieć. Okazało się, że nie zabraknie mi ich w batalionach. Wyznaczyłem wobec tego osłonę do artylerii na nasz brzeg z III batalionu i kazałem chłopców, znających Nowy Sącz, podzielić tak, aby każda kompania miała jednego takiego przewodnika.

Szef — to sumienie moich szaleństw — kiwał na ten plan głową. Przedstawiał mi tyle słusznych zresztą argumentów przeciwko memu planowi, że zawahałem się trochę i zdecydowałem się ostateczną decyzję odłożyć do chwili, gdy most będzie zbudowany i otrzymam dodatkowe dane od kawalerii. Swoją jednak drogą kazałem artylerii i jednej kompanii z III batalionu po kolacji maszerować do Marcinkowic, oficerom zaś artylerii zrekognoskować wzgórze Rdziostowskie, tak, aby na zajęcie pozycji poszło możliwie mało czasu. Sam z szefem i paru oficerami ruszyłem do Beliny, do Marcinkowic, na kolację i dla powzięcia ostatecznej decyzji.

Gdym tej grudniowej nocy na kasztance jechał do Marcinkowic, przekładałem sobie jeszcze raz argumenty, przemawiające za wyprawą za Dunajec i przeciw niej. Położenie mego oddziału i tak było ogromnie eksponowane. Byłem zupełnie sam, najbliższe wojsko austriackie stało w Kaninie, o 12 kilometrów w tyle poza mną. Wszystkie działania Moskali wskazywały, że nieprzyjaciel nie rozporządza większą siłą. Chodziło jednak o to, jak dalece jest słabym. Nie ulegało wątpliwości, że jest silniejszy ode mnie, trudno bowiem było przypuszczać, aby na tym froncie miał wszystkiego niespełna 2 tysiące ludzi, których ja miałem wtedy w swoim oddziale. Oprócz tego nie mogę prawie na pewno spodziewać się znikąd pomocy, gdy nieprzyjaciel będzie mógł łatwo ściągnąć niewielką pomoc dla obrony i przejść potem do ataku. Jedyną szansą mego planu jest jego niezwykła śmiałość i liczenie na efekt niespodzianki. Jeśli ona się uda, to wszystko będzie dobrze. Przypomniałem sobie Ulinę i moje ówczesne doświadczenia o źle zorganizowanej służbie ochronnej u Rosjan. Wreszcie myślałem sobie — przecie nie ma dwóch zdań, że Moskale znajdują się w odwrocie, a cofającemu się niewiele trzeba, aby go zmusić do opuszczenia tego czy innego punktu. Nie miałem jeszcze ostatecznej decyzji, gdym dojechał do dworku w Marcinkowicach i wpadł w objęcia zawsze gościnnej, zawsze serdecznej i zawsze bardzo gwarnej braci ułańskiej.

Opowiadano tu sobie przejścia dzisiejsze, żartowano z pospiesznego odwrotu patroli rosyjskich, które prawie bez strzału uciekały przy zbliżeniu się do nich, pito zdrowia wszystkich

po kolei uczestników kolacji i rozwodzono się «per longum et latum» nad cnotami każdego z rumaków, nie omieszkując skrytykować wszystkie inne konie, oprócz swego. Jednym słowem, było bardzo huczno i bardzo wesoło. Wkrótce wrócił spod Dąbrowy Grzmot-Skotnicki. Całą placówkę kozacką rozpędzono, wzięto 13 koni i kilku kozaków. Naturalnie, jak zwykle, Moskale bardzo źle się ochraniali.

Przystąpiłem do badania jeńców. Twierdzili oni, że placówka ich czekała na zluzowanie przez piechotę z Nowego Sącza i mieli odejść tegoż jeszcze wieczora na północ do swego pułku. Dalej, że do Nowego Sącza przyszedł cały VIII korpus z Karpat i że jego dowódca na pewno już jest w mieście. Pomimo, że zwykle wydawały mi się zeznania jeńców rosyjskich wiarygodnymi, tym razem odrzuciłem je. Jak to? Korpus ma być w Nowym Sączu, a ja stoję ze swymi patrolami na górze Rdziostowskiej i ten korpus nie przeszkadza mi wcale oglądać siebie. Niemożliwe! Przecież nawet te patrole, które zmykały przed moimi ułanami, byłyby śmielsze, czując za sobą oparcie tak poważne, jak korpus wojska. A to umykanie i skwapliwe cofanie się trwa już drugi dzień. Najbardziej dziwnym jest jednak posiadanie przez mnie Rdziostowa. Jakiż, u licha, korpus nie osłoni swego noclegu i pola swego jutrzejszego marszu na odległość paru kilometrów? Niewiarygodne! Pozostaje jednak fakt, że placówka miała być zluzowana przez piechotę. Nie ma wątpliwości, że rozproszona placówka już narobiła alarmu i wobec tego z głównej szansy mego planu — z niespodzianki nic nie będzie. Chybaby maszerować zaraz tu w ślad za alarmującymi. Ale do tego nie jestem gotów, piechota moja jeszcze o kilka kilometrów od Dunajca je kolację. Szef przystępuje i jeszcze raz wysuwa argumenty, przemawiające za odrzuceniem planu ataku na Nowy Sącz.

Zgoda! — zdecydowałem — trzeba się poddać racjom i być rozsądnym. Nie wyrzeknę się jednak części przynajmniej swego pierwotnego planu. Artyleria już przemaszerowała, więc trzeba ją wykorzystać. Pójdę z nią na Rdziostów i ostrzelam wszystkie wyjścia z Nowego Sącza. Jeśli nieprzyjaciel się cofa, to doda mu to ochoty do szybkiego, a może bezładnego wymarszu. Jeśli zaś istotnie, jak mówią kozacy, przygotowuje się on do ataku na nas, to moja akcja powstrzyma na czas pewien ten napad i popsuje jego porządek. Na wszelki wypadek most przez Dunajec budować dalej i saperzy, którzy wszystko jedno jutro będą odpoczywać, mają go osłonić i zabezpieczyć. Piechota, oprócz kompanii. osłaniającej artylerię, i jazda — spać i odpocząć. Ja idę z artylerią do Rdziostowa.

Rozkazy wydane, wiadomość do Kaniny, do sztabu dywizji, o jeńcach i ich zeznaniach przesłana, jeszcze szklanka herbaty na rozgrzewkę i na kasztakę! Noc jest dosyć jasna, trochę mrozi, szosa dudni pod podkowami koni. Artyleria i jej osłona już pomaszerowała, więc trochę mi spieszno, gdyż kazałem czekać z rozpoczęciem ognia na moje przybycie. Ciekaw jestem ogromnie tego widoku z Rdziostowa, a jeszcze bardziej tego, co się dzieje tam za Dunajcem, u nieprzyjaciela. Szosa idzie pod górą prawie nad samym Dunajcem. W dzień byłaby to bardzo ryzykowna wyprawa iść tu z artylerią, nie mając w ręku tamtego brzegu; kilkudziesięciu ludzi by wystarczyło, by mi wystrzelać wszystkie konie i obsługę armat. Postanawiam w myśli względnie wcześnie przerwać ostrzeliwanie Nowego Sącza, aby zdążyć jeszcze nocą wycofać artylerię.

Kasztanka wesoło prycha i mnie też bardzo jest wesoło. Wygląda to wszystko na nadzwyczajną awanturę. Nie jest ona tak wspaniałą, jak mój poprzedni plan napadu na Nowy Sącz, ale i tak jest ładnie, gdy pomyślę, że jestem o 12 kilometrów oddalony od najbliższego oddziału swego i że z tak śmiesznie małą siłą idę ogniem w paszczę tego, któremu wystarczyłoby tylko ją zamknąć, by mnie razem z moimi armatkami połknąć. No, i nasze «werndle na kółkach» użyją; w nocy, gdy się nie widzi ich śmiesznych skoków przy każdym strzale i dymu, mogą ujść za przyzwoite nowoczesne armaty.

Ale co to? Im bardziej wjeżdżam na górę, tym wyraźniej słyszę dudnienie wozów po tamtym brzegu Dunajca. Dudnienie jest bardzo silne, jakby ciężkich wozów, jest ono zupełnie nieprzerwane, jakby jechał długi szereg wehikułów. Mimo pilnego wsłuchiwania się trudno doprawdy było odróżnić, w którym kierunku wozy się poruszają, na północ czy na południe, bo że ruch szedł równolegle do Dunajca, to było wyraźne. Lecz turkot ciężkich kół był tak równomierny i tak, że się tak wyrażę, długi, że złapać kierunek ruchu było rzeczą bardzo trudną. Po dłuższym wsłuchiwaniu się wydawało mi się, że turkot posuwa się na północ.

Jakie to dziwne wrażenie — takie fizyczne wyczuwanie nieprzyjaciela. Jakże szczęśliwi byli nasi przodkowie na wojnie, gdy nie mieli tylu męczących zagadek do rozwiązywania, gdy mogli wobec niewielkiej dalekonośności broni tak często już nie wyczuć, lecz po prostu policzyć nieprzyjaciela. Dziś stało się to fizyczne zbliżenie do przeciwnika względnie rzadkim, najczęściej jest ono końcowym ustępem dłuższego epizodu. To też chwil takich, jakie miałem na górze Rdziostowskiej, gdym się po prostu ocierał o nieprzyjaciela, nie zapo-

mina się nigdy. Co to być może? Umysł pracował szalenie, by tę zagadkę rozwiązać. Pytam Szefa o jego wrażenie. Nie umie sobie tego zjawiska wytłumaczyć. Gdy stawiam hipotezę, że to jest ewakuacja Nowego Sącza, odpowiada mi, że niezrozumiałym jest, dlaczego idzie ona na północ, nie na wschód, co byłoby logiczniej.

Wreszcie jesteśmy na górze. Dwie chaty z dużą stodołą przy drodze — to początki Rdziostowa. Tutaj oczekują mnie artylerzyści, Brzoza i por. Meisner. Obaj raportują, że armaty stoją na pozycjach gotowe do strzału. Pytam ich od razu, czy dawno słyszą ten ruch kołowy po tamtej stronie Dunajca. Odpowiadają, że od czasu, jak tu są, tzn. od pół godziny. Jeden z nich dodaje, że to dudnienie przypomina mu marsz wielkiej kolumny z armatami i jaszczykami. Wzruszam ramionami. Jakże to? Puścić nas na górę Rdziostowską, by potem paradować przed nią w odległości kilometra, a więc pod strzałami karabinowymi. Ależ to nonsens!

Tym czasem należy nie tracić czasu, gdyż w każdym razie nie chcę za dnia odbywać powrotnej drogi do Marcinkowic. Więc jeszcze raz przypominam cele ostrzeliwania. Miasta samego nie ruszać! Teraz, gdy nic w nim oprócz świateł i światełek nie widać, przyczynilibyśmy więcej szkody mieszkańcom, niż nieprzyjacielowi. Ogień skierować na wyjścia z miasta — na zachód, zatem na mosty na Dunajcu, i na północ, ażeby przeszkodzić posuwaniu się tej tam kolumny wozowej, maszerującej po tamtej stronie rzeki. Rozpoczynać ogień zaraz.

Meisner ma swoje armaty na lewo od drogi, bliżej Dunajca. Brzoza swe osiem niebożątek ustawił na prawo, na górze. Naturalnie, strzelać będą według mapy, więc niedokładnie, bez żadnej możności korektury. Idzie przecież przede wszystkim o moralny efekt i o wzniecenie nieporządku u nieprzyjaciela. Patrzę przed siebie na liczne drobne światełka Nowego Sącza, błyszczące tam w dole. Prócz nich widać jeszcze tylko kilka większych lamp i parę ognisk, rozpalonych gdzieś koło Dunajca. Wszystko to tam takie spokojne, nikomu tam ani się nie śni, co za chwilę się stanie. Wreszcie — bb...um! — pada strzał od Meisnera i... zaczyna się muzyka! Górskie armaty Meisnera mają błysk mniejszy i mają głos głębszy, nasze huczą, jakby pęknąć miały, i dają błysk tak duży, jakby nie były małymi pieskami, a olbrzymimi potworami. Słyszę na prawo i na lewo spokojne komendy. Strzelamy przeważnie granatami, od czasu do czasu szrapnelami. Widok na miasto jest cudowny z błyskawicami pękających szrapneli i ognistymi wybuchami granatów. Światełka w mieście nagle przestały migotać, ognie

na brzegu Dunajca widocznie pospiesznie gaszono, gdyż wkrótce z wesołego widoku miasta z wiankiem ogników nic nie zostało — gdzieniegdzie tylko smutno i melancholijnie błyska jakieś światełko, tak, jakby to nie Nowy Sącz był przede mną, a jakaś zapadła wioszczyna. — To musiał być tam rejwach! — myślę sobie z zadowoleniem.

Ten wieczny jednak łoskot tam na szosie za Dunajcem zaczyna mnie po prostu irytować. Nasza strzelanina nie robi nań żadnego wrażenia; głucho i ponuro dudnią dalej nieprzerwanym ciągiem jakieś głupie ciężkie woziska. Patrzę się w tym kierunku i wsłuchuję się w ten monotonny grzechot kół. Spostrzegam od czasu do czasu ruszające się światła — widocznie latarnie. Gdyby to nie były tabory — myślę — to przecie wzięłaby ich też ochota posłać nam parę kul, jako odpowiedź śmiałkom. Przecież widzą, że są tu armaty, więc muszą rozumieć, że jest i jakaś osłona z żywych ludzi, od których przecie trzeba zabezpieczyć tę głupią defiladę. Chyba zmykają i nie chcą zatrzymać się ani chwili. Bierze mię ochota sprowokować tych nieznośnych dudniarzy zza Dunajca. Chcę przez chwilę skierować tam ogień jednej z bateryj, ale przychodzi mi na myśl, że mam przecie piechotę — jeden pluton stoi prawie tuż przy mnie, jako rezerwa osłony, wysłanej naprzód i na boki. Wołam do siebie dowódcę kompanii, Wieczorkiewicza, i każę mu dać parę salw w kierunku szosy na tamtym brzegu Dunajca.

Wieczorkiewicz idzie naprzód, by zbadać trochę sytuację, potem pluton staje i wkrótce bas armat jest przerwany raptownym suchym trzaskiem salwy karabinowej. Aha! poskutkowało! Turkot się zatrzymał. Widać żywo poruszające się światełka tam przy wozach. Czekam z naprężeniem, czy nie zagrzmi też jaka salwa w odpowiedzi. Nie! Przechodzi jakaś jedna czy druga minuta i znowu ten sam ponury turkot porusza się dalej.

— Strzelać dalej! — wołam do Wieczorkiewicza. Grzmi znowu salwa — turkot zamiera na chwilę, potem jakby nieśmiało zaczyna się ruszać, by wpaść dalej w swój monotonny miarowy odgłos poruszającego się kolosa na kołach. Byłem i rozśmieszony, i wściekły. Szła więc salwa jedna za drugą zawsze z tym samym skutkiem, zawsze bez żadnej odpowiedzi z tamtej strony, która jakby się uparła milczkiem defilować w nocy przed nami.

Stawiałem sobie dla wyjaśnienia sprawy różne hipotezy i zawsze odrzucałem wszystkie, związane z przypuszczeniem, że mam przed sobą maszerujący oddział wojska. Przemawiało bardzo silnie przeciw takiej hipotezie po pierwsze zajęcie przeze

mnie bez przeszkód Rdziostowa z widokiem na Nowy Sącz i na wszystkie drogi, zeń wychodzące, po drugie to milczenie absolutne z tamtej strony Dunajca pomimo mojej strzelaniny z armat i karabinów. Żadnego strzału, żadnej próby przeszkodzenia mi w czemkolwiek. Po odrzuceniu zaś hipotez o marszu wojska ku mnie pozostawało jedno przypuszczenie, które wypowiadałem poprzednio, że jest to ewakuacja przeładowanego Nowego Sącza, marsz licznych ciężkich taborów po tamtej stronie Dunajca. Na zarzut Szefa, że logiczniejszym byłoby dla Rosjan wycofanie wszystkiego na wschód, nie na północ, odpowiadałem w myśli, że przy nagłej masowej ewakuacji stało się koniecznością wykorzystanie wszystkich dróg, jakie były w rozporządzeniu. A zresztą — dodawałem — czyż dotychczas w ciągu wszystkich tańców koło Limanowej nie było zawsze to samo — przesuwanie się nieprzyjaciela, któregośmy mieli przed sobą, właśnie na północ. Może kolej, którą Moskale mają za sobą w kierunku Grybowa i Jasła, nie jest jeszcze zdolna do użytku, gdy odwrotnie północne koleje od Tarnowa na wschód są puszczone w ruch, i dlatego ewakuacja idzie w kierunku północnym do tych właśnie kolei. W każdym razie wydawało mi się wówczas — trochę pijanemu tryumfem swej własnej śmiałości — że jedynym racjonalnym wytłumaczeniem ogromnego ruchu po tamtej stronie Dunajca jest hipoteza o ewakuacji składów nowo-sądeckich. Ona jedynie tłumaczyła to nagłe cofanie się bez walki wszystkich patroli i oddziałów rosyjskich przed naszymi słabymi siłami, ona jedynie wyjaśniała, dlaczego Moskale puścili mnie bez oporu do Rdziostowa, ona wreszcie pozwalała zrozumieć tajemnicze milczenie tak bliskiego nieprzyjaciela. Nawet Szef, który w ogóle w stosunku do całej operacji był pesymistą, wzruszał ramionami, co prawda, gdym mu moje rozumowanie wykładał, lecz nie mógł znaleźć argumentów «contra» dostatecznie silnych.

Upewniwszy się w swej hipotezie, zdecydowałem od razu, że jak tylko szary świt wstanie na niebie, ruszy Belina za Dunajec po łatwą zdobycz, tabory. Wznieci popłoch i zamieszanie — to przecie idealne dla jazdy. Jako pomoc dam mu na razie jeden batalion, który zarazem przykryje Rdziostów od jakichś drobnych patroli, mogących się ukazać z południa. Z III batalionem i artylerią — która musi wypocząć po nocnej pracy — zostanę w rezerwie aż do lepszego wyjaśnienia sprawy. A nuż będę mógł odbyć jeszcze tego dnia tryumfalne wejście do Nowego Sącza i być z polskim żołnierzem pierwszym w murach oswobodzonego od najazdu miasta. Dumne marzenia!

Tym czasem strzelanina trwała dalej. Ten sam duet moich

armat i salw karabinowych z tym samym brakiem jakiegokolwiek dopełnienia muzyką z naprzeciwka. Żadnego strzału, żadnego odgłosu, oprócz monotonnego dudnienia wozów na tamtym brzegu Dunajca. Wreszcie Meisner złożył raport, że wystrzelał wszystkie naboje, wzięte ze sobą na jukach, i jeżeli nie ma dla niego innych rozkazów, będzie się gotował do wymarszu. Brzoza nie chciał zaprzestać strzelania, ponosił go zapał artylerzysty. Ze zwykłym sobie optymizmem twierdził, że parę granatów musiało trafić w mosty na Dunajcu. Świt się zbliżał, podpędzałem go więc, by zakończył swe fajerwerki, on zaś wciąż prosił, aby mógł jeszcze parę razy wystrzelić. Nareszcie skończone! Artyleria wyciąga swą kolumnę na drodze, kompania Wieczorkiewicza ściąga powoli swe posterunki. Siadam na kasztankę i daję rozkaz artylerii cofnąć się do III batalionu i pod jego osłoną odpocząć i nakarmić konie. Wyprzedzam kolumnę i wraz z szarzejącym świtem jestem z powrotem w Marcinkowicach.

Cała kawaleria jest już na nogach, konie posiodłane, ułani przy koniach pospiesznie kończą przygotowania do wymarszu. Nie schodząc z konia, wołam do Beliny:

— Belina! Przyszedł wasz wielki dzień! Na koń i jazda za Dunajec! Tam, drogą od Sącza na północ, ciągną jakieś wielkie i długie tabory. Użyć możecie, ile dusza zapragnie! Wymarsz natychmiast. Jeden pluton dla bezpieczeństwa na Rdziostów. Zluzuję go piechotą, gdy nadejdzie. Za wami pójdzie I batalion. Meldunki jak najszybciej do mnie, tutaj do Marcinkowic!

— Tabory, Komendancie! — jęknął prawie Belina, siadając na konia.

Za chwilę sto kilkadziesiąt jeźdźców tęgim kłusem ruszyło ku Dunajcowi na mostek, rzucony przez saperów. Artyleria już szła mimo Marcinkowic, widziałem, że z góry Rdziostowskiej spuszcza się ku mnie piechota, a na jej spotkanie posuwa się ku górze garstka ułanów, odkomenderowana na Rdziostów. Posłałem po I batalion, a sam ze sztabem udałem się na posiłek, na który gościnni gospodarze zapraszali. Poprosiłem o szklankę mleka i kawałek chleba jeszcze przed śniadaniem, byłem bowiem bardzo głodny.

Pamiętam tę rozkoszną chwilę, gdy zmęczony i niewyspany wyciągnąłem na całą długość znużone nogi i z rozczuleniem głodnego oglądałem szklankę zimnego mleka z cudownym, smacznym chlebem, myśląc na pół o gorącym śniadaniu, które zaraz podadzą, na pół o tym, co też zawierają te wozy, które za chwilę może, wraz ze śniadaniem, będę oglądać. Wy-

piłem już pół szklanki mleka i sięgnąłem po papierosa. Ba! Nie sądzono mi już było ani zjeść śniadania, ani nawet skończyć tej szklanki mleka, która stała przede mną. Rozpoczęła się tragedia marcinkowicka!

Do pokoju wpadł, jak bomba, Brzoza.

— Komendancie! — wołał — Moskale okopują się tam na górze za Dunajcem!

— Co za głupstwo! — odpowiadam — to być nie może!

— A jednak tak jest! Ze strychu doskonale widać!

Zrywam się, chwytam za czapkę i futerko. Biegniemy po jakichś stromych schodach i przez okienko na strychu oglądamy ową górę, która wznosiła się tuż nad zbudowanym przez saperów mostem. Szare ołowiane niebo nie pozwala dokładnie przekonać się nawet przez silną lornetkę, kto właściwie tam na górze stoi. Widać jednak wyraźnie, że ludzie w liczbie może trzydziestu kopią tam, a jeden z nich stoi i przez lornetkę bada okolicę.

— Dlaczego sądzicie, że to Moskale? — pytam Brzozę — to muszą być nasi saperzy. Mają rozkaz zabezpieczyć most i przecież nie uczynili tego, jak policjanci, stojąc przy moście, ale postawili, bo postawić musieli, posterunek na górze. Tylko przecież w ten sposób mogli most zabezpieczyć. A teraz na rozgrzewkę i dla wprawy saperskiej kopią okop.

— Może być — odpowiada Brzoza, trochę przekonany, — tylko mnie się wydaje, że oni wysypują ziemię w naszym kierunku, saperzy zaś wyrzucaliby ziemię z rowu w tamtą stronę.

Przypatrywałem się długo i nie mogłem dojrzeć, czy istotnie tak jest, jak Brzoza mówi. — Et! — pomyślałem — dla uspokojenia poślę kogokolwiek do saperów. Nie może przecież być, by byli oni tak nierozsądni i nie obsadzili choć posterunkiem obserwacyjnym tej góry nad swoim mostem. A zresztą, gdyby to byli Moskale, musieliby już dostrzec jazdę Beliny i teraz jużbym słyszał strzały.

Uspokojony schodzę, by wrócić do swej szklanki mleka *). Gdy jestem na podwórzu, słyszę zbliżający się silny tętent koni w galopie. Na podwórze wpadają ułani, a oficer, spostrzegłszy mnie z daleka, woła:

— Komendancie! Moskale są w Rdziostowie. Piechota, silny oddział, rozwiniętą tyralierą idzie ku nam. W tyralierze najmniej dwie kompanie.

*) Już jako Naczelnik Państwa pojechałem rozmyślnie do Rdziostowa i Marcinkowic. W Marcinkowicach kazałem przygotować sobie na spotkanie szklankę mleka. Nie mogłem znieść na sobie tego, żem taki głodny, jak wtedy byłem, nie dopił mleka.

I w tej chwili przez podwórze zaczynają bzykać pierwsze kule. Idą istotnie od strony Rdziostowa. Stoję chwilę zupełnie bezradny — całe dotychczasowe moje pojęcie o sytuacji runęło w jednej chwili. Teraz zaczyna grać za Dunajcem muzyka. Naprzód bezładne strzały karabinowe, parę salw — i w ten grzechot karabinowy wpada suchy, bezmyślny, równomierny trzask karabinów maszynowych. Włosy mi stają na głowie! Coś chwyciło mnie za serce.

Zgubiłem swoją kawalerię!

Na podwórze wypadli oficerowie i ordynansi. Szef schwycił mnie pod rękę i gwałtem wyciągnął za stodołę z podwórza, przez które gęsto już szły kule. Ordynansi spiesznie siodłali konie, wyprowadzając je potem za stodołę. Wkrótce zaczęły grzmieć nasze karabiny. Wieczorkiewicz rozwinął swoją kompanię przeciw Rdziostowowi. Od mostu, również ku Marcikowicom, grupkami ściągali się saperzy, a za Dunajcem coraz silniej trajkotały karabiny maszynowe. Każdy strzał odbijał mi się na sercu. W głowie była tylko jedna myśl: «Jezus, Maria, zgubiłem Beliniaków!» Raz po raz wysuwałem się z poza stodoły, patrząc, jak na górze Rdziostowskiej rozwija się nieprzyjaciel. Szukałem po prostu, by jakakolwiek kula mnie zaczepiła. Byle nie mieć tej ciężkiej myśli w głowie, byle nie czuć tego ołowianego ciężaru w sercu!

— Na łatwe zwycięstwo nad taborami — myślałem — posłałeś ich! Na śmierć ich posłałeś, ot co jest, i to na śmierć bez potrzeby i pożytku, dlatego jedynie, żeś się omylił w ocenie sytuacji!

Lecz i kula mnie nie trafiała, i Szef za każdym razem wciągał mnie z powrotem za stodołę. Wreszcie ujął mnie silnie pod ramię i stanowczym głosem powiedział:

— Komendancie! Nic tu nie wystoimy, musimy odchodzić do piechoty!

Na razie z wściekłością ruszyłem ramionami. Przyszło mi na myśl, by odesłać cały sztab, a zostać samemu. Była to jakby potrzeba serca. Może jakaś resztka tej jazdy wróci. Potem znowu przyszła myśl o ratunku: mam przecie jeszcze piechotę; pójść z nią na pomoc? Ale nie! Ta wąziutka dolina, w której staliśmy, była pod strzałami i z prawa, i z frontu. Gdzież tu rozwinąć się i jak w dodatku forsować pod takim ogniem Dunajec i drapać się tam na górę, gdy z prawa w każdej chwili możemy być odcięci od drogi odwrotowej.

A Szef, jakby odgadując moją mękę, dodał:

— Komendancie! Nic tu nie zrobimy. Pomagając kawalerii, zgubimy i piechotę. Trzeba się cofać!

Istotnie nie było innej rady. Machnąłem ręką, by prowadzono naprzód konie i odjeżdżali konni. Sam z Szefem szedłem pieszo. Na razie posunęliśmy się drogą wgłębioną, potem drzewa osłaniały nas od Rdziostowa. Byliśmy jednak zupełnie odkryci dla nieprzyjaciela zza Dunajca. Jakoż, gdyśmy uszli paręset kroków, gwizdnęły za nami stamtąd dalekie kule, a po chwili rozległ się nad głowami suchy trzask, w koło na drzewa i na szosę posypały się liczne kule, a po szosie tuż koło naszych nóg, brzęcząc, podskakiwała szklanka szrapnelowa. Jest i artyleria! Więc to dudnienie na szosie, to nie były tabory, lecz armaty i jaszczyki! Po chwili znowu posłano ku nam parę szrapneli. Wzięli naszą grupę na oko! Konni i ordynansi z wystraszonymi luzakami ruszyli pędem ku najbliższemu zagłębieniu. Ja z szefem stanęliśmy na chwilę za drzewami. Artyleria przeniosła ogień w inną stronę, ku kompanii Wieczorkiewicza. Ruszyliśmy z Szefem dalej i wkrótce w osłoniętej kotlince spotkaliśmy batalion Bojarskiego. Kazałem mu rozwinąć jedną kompanię — gdyż dla większego oddziału w tej dolince, po której szła droga, nie było miejsca — tak, by mógł zapewnić odwrót Wieczorkiewicza. Na prawo i lewo ma wysłać na pagórki silne patrole i czekać rozkazu o prawdopodobnym odwrocie.

Nad nami od czasu do czasu pękały szrapnele, nie czyniąc zresztą szkody nikomu wobec doskonałego ukrycia, jakie ta kotlinka z dosyć stromymi brzegami dawała od ognia polowych armat.

Wreszcie doszedłem do tego miejsca, skąd poprzedniego dnia wieczorem wyruszyłem do Marcinkowic i na Rdziostów. Sztab był już zupełnie spakowany i cofnął się dalej wobec tego, że i tu już zawitały szrapnele rosyjskie. Niedaleko w ukryciu stał III batalion, artyleria i karabiny maszynowe. Przyszedłem tam rozbity na ciele i duszy. Duszę rozdzierał ból z powodu ułanów, ciało było strasznie zmęczone. I nagle błysk nadziei! Od dywizji, która została w tyle w Kaninie, przyszło krótkie zawiadomienie, że «alles soll vorgehen» [1]).

— Może otrzymali — pomyślałem sobie — posiłki, że są tak odważni! Ja mam tu przed sobą znaczną przewagę nieprzyjacielską, ale jeśli już w s z y s t k o ma iść naprzód, trzeba zrobić też wszystko, aby dopomóc do zwycięstwa, chociażby to nas miało dużo kosztować. A może tu dopomożemy trochę kawalerii. Więc naprzód!

Szef wyrażał swe wątpliwości i twierdził, że będziemy postawieni w sztychu. Nie chciałem słuchać tych zgryźliwych

[1]) Wszystko ma iść naprzód.

uwag. Zatrzymamy na sobie tę przemoc nieprzyjacielską i ułatwimy w ten sposób rozwijanie się i postęp tych, co tam szosą Limanowa—Nowy Sącz będą parli naprzód.

Więc tak! Front mamy wiązіutki i dla osłony drogi samej wystarczy kompania. Reszta I batalionu i Wieczorkiewicz rozwiną się ku Rdziostowowi. Artyleria Meisnera, karabiny maszynowe i dwie kompanie pójdą na lewe skrzydło. Muszą się wdrapać na górę, przejdą lasem prawie niepostrzeżenie i staną do boju tak, by zatrzymać przeprawę Rosjan przez Dunajec. Jedna kompania w rezerwie przy mnie. Nasza artyleria jest na razie zupełnie nieużyteczna. Wobec niewielkiej «portée» musiałaby stanąć bardzo blisko za swoją piechotą, by przy strzelaniu nie razić swoich zamiast nieprzyjaciela. Tutaj, nimby wyjechała na pozycję, jużby była w ogniu karabinowym Rosjan. Trzeba tę zabawę z «werndlami na kółkach» odłożyć. Rozkazy poszły, wszystko ruszyło na wskazane miejsca i wkrótce już słychać było wzmożony ogień naszych karabinów na naszym prawym skrzydle. Widzę, jak nad naszą piechotą, gdy się rozwijała, nisko pękają szrapnele. Zaczynają napływać ranni, — jest ich na razie niewielu. Artyleria i karabiny maszynowe kazały na siebie czekać dłużej — miały dłuższą i przykrą drogę raczej po zboczu góry. Przyszły jednak jeszcze na czas, by rozpocząć ogień akurat na przeprawiających się przez Dunajec Rosjan. Bój rozpoczął się na całej linii. Moskale wobec wzmożonego ognia nawet nie próbowali zająć opuszczonych przez nas Marcinkowic. Posłałem natychmiast do dywizji zawiadomienie, że mam przed sobą nieprzyjaciela w znacznej przewadze: wróg pokazał co najmniej dwie baterie, a piechotę można obliczać na 3—4 bataliony z względnie wielką ilością karabinów maszynowych, które trajkotały, jak wściekłe, w różnych stronach. Prosiłem o możliwie szybkie posunięcie się naprzód oddziałów austriackich, gdyż długo tego boju nie będę mógł wytrzymać.

Nierówny bój ogniowy trwał, z widoczną jednak przewagą ognia nieprzyjacielskiego. Artyleria rosyjska, która ostrzeliwała wzdłuż całe moje prawe skrzydło, sypała szrapnelami, jak z rękawa. Chłopcy moi jednak trwali i odparli parę prób rosyjskich zbliżenia się do nich od Rdziostowa. O próbach tych mówiły mi fale nagle wzmagającego się ognia naszych karabinów. Każda taka krótsza nawałnica ogniowa napinała mi nerwy w trwożnym oczekiwaniu. Nie miałem przecie nic już prawie w ręku, aby na dłużej zatrzymać nieprzyjaciela, a przy przełamaniu mego prawego skrzydła Rosjanie od razu odcinali drogę odwrotu dla artylerii na lewym skrzydle.

Ale nic! Po kilku chwilach słychać było znowu wolny ogień naszych chłopców, jakby mszczący się za niepowodzenie swoich, i ogień armatni zza Dunajca. Armaty musiały stać gdzieś bardzo blisko, gdyż huk strzału i wybuch pocisku słychać było prawie jednocześnie.

Lewe skrzydło też pracowało — kilka prób rosyjskich przeprawy przez Dunajec utknęło pod silnym ogniem Meisnera, Besermeny'ego i mojej piechoty. Trzymaliśmy się, pomimo, iż oba skrzydła właściwie wisiały w powietrzu i że mieliśmy przed sobą widoczną przewagę nieprzyjaciela. Lecz czuło się, że tak długo trwać nie może. I ja, i Szef — obaj z różnymi myślami — oglądaliśmy się wciąż na prawo, na góry, pomiędzy którymi przechodzi szosa Limanowa—Sącz. Ja oczekiwałem, że usłyszę tam nareszcie karabiny i armaty austriackie. Szef patrzył z obawą, czy stamtąd nieprzyjaciel nie obejdzie naszego prawego skrzydła. Pesymista, niestety — miał — rację.

Nasz bój trwał już może ze trzy kwandranse, gdy nagle od prawego skrzydła doniesiono mi, że nieprzyjaciel wychodzi z lasów już na tyły. I istotnie po chwili usłyszeliśmy już prawie za sobą trzask karabinów maszynowych, a tryumfująca artyleria rosyjska wzmocniła swój ogień na prawe skrzydło, zaginające się mocno ku szosie, na której stałem. Nastąpiła najkrytyczniejsza chwila dnia. Dalej trwać w tym położeniu było niepodobieństwem.

Wąska, czwartorzędna szosa Limanowa—Marcinkowice była naszą jedyną drogą, która nas łączyła z naszym światem. Biegła ona w wąskiej dolince, wśród prawie nieprzerwanych zabudowań wiejskich. Z prawa, o jakie paręset kroków, wznosił się niewysoki wał, który opadał łagodnie ku południowi, formując znowu wąską dolinę. Za nią były już wyższe wzniesienia, zalesione góry, wśród któych szła szosa Limanowa—Nowy Sącz. Pierwszy wał chronił od strzałów karabinów z prawa, od skraju lasów, tylko szosę, sam wał był pod ogniem karabinów i karabinów maszynowych. Szosę samą zaś już nic nie chroniło od widoku z gór zalesionych. Stamtąd można było przez dobrą lornetkę policzyć każdy wóz, każdego konia i człowieka na szosie i, naturalnie, wystarczało postawić tam baterię, aby ruch na szosie uniemożliwić.

Na lewo od szosy teren spadał w dół, formując coś w rodzaju parowu, a potem podnosił się silnie, formując górę, dosyć grubo zalesioną, lecz, jak mnie się zdawało, zupełnie zdatną dla manewrów nawet kawalerii.

Gdyśmy więc z prawa, zamiast spodziewanej pomocy, otrzymali przywitanie w postaci ognia karabinowego, oczeki-

wałem stamtąd, jako dalszego ciągu, ognia artylerii, a zarazem zajęcia pierwszego wału w tyle poza końcem mego prawego skrzydła, które już i tak walczyło na tym samym wale z frontem na południe, ku lasom na wysokich górach. Przede wszystkim więc trzeba było przedłużyć skrzydło. Poszła na to rezerwowa kompania, poszli saperzy. Jak tylko ukazali się na wale, spotkał ich gęsty ogień karabinowy.

Teraz nie było już innego wyboru. Trzeba się cofać. Przede wszystkim wyprowadzić artylerię z lewego skrzydła na tyły, tak, by ją postawić przeciwko najgroźniejszemu niebezpieczeństwu z prawa. Nie mogę tracić obcych armat. Trzeba wytrzymać, dopóki lewe skrzydło nie cofnie się z daleko wyrzuconego naprzód stanowiska. Posłałem rozkazy odpowiednie, na front zaś i prawe skrzydło polecenie, że muszą wytrwać, aż lewe skrzydło i artyleria się nie wycofa. Wtedy, lecz dopiero wtedy, stopniowo ściągać mają prawe skrzydło z wału, przerzucając je po szosie na przedłużenie skrzydła ku Limanowej.

Szło teraz o to, kto prędzej dokona swego manewru. Czy my zdążymy wycofać swoje lewe skrzydło i wzmocnić się na swoim skrajnym prawym skrzydle, czy Moskale zdążą nas obejść zupełnie i zająć wał koło szosy, na naszych tyłach. Jeżeli wyprzedzą nas Moskale, mamy drogę odwrotu odciętą. Zepchnięci jesteśmy z szosy do parowu i pod strzałami drapać się musimy na bezdrożną górę, na lewo od nas. Przy rozciągniętym do niemożliwości froncie nie może się to odbyć w porządku, więc muszą być wielkie straty albo po prostu zniszczenie całego oddziału.

I w tej właśnie krytycznej chwili otrzymałem odpowiedź od dywizji na mój ostatni raport. Odpowiedź była oryginalna. Brzmiała ona, że oddział austriacki, tam na górze się znajdujący, może tylko wówczas ruszyć naprzód, jeśli ja wpadnę na skrzydło i tyły nieprzyjaciela! Masz, babo, placek! Nieprzyjaciel mi się pakuje właśnie na skrzydło i tyły, a ja mam szukać jego skrzydeł i tyłów. Akurat w porę rada! Komunikat dodawał, że z powodu przejścia mego oddziału pod inną komendę mam natychmiast odesłać karabiny maszynowe.

Byłem przygotowany teraz na najgorsze. Dotąd jeszcze nie przebolałem straty kawalerii, gdzieś w głębi duszy czułem wyrzuty przeciwko sobie za tę niepotrzebną hekatombę. Narazie dusiłem je w sobie, by nie zawadzały w spokojnym dowodzeniu, lecz czułem, że tylko usuwam na czas pewien surowy sąd, który będę musiał wydać na siebie. A teraz zdawało mi się, że po ułanach przyszła kolej na innych. Czułem

dokoła siebie nerwowy nastrój, czułem i w sobie wzrastające «nerwy». Jak zwykle podsuwały one mi coraz czarniejsze przypuszczenia. Więc lewe skrzydło się cofnie. Moskale, oswobodzeni spod jego ognia, przejdą łatwo Dunajec, a raz przeprawiwszy się, wpadną mi już nie tylko na prawe, ale i na lewe skrzydło. Parę sotni kozaków górą łatwo obejdzie cofającą się artylerię i piechotę, no i wówczas koło się zamknie. Nikt z nas stąd nie wyjdzie. Nie wiem co by było, gdybym był sam. Przypuszczam, że poddałbym się rozpaczy i, nie czekając końca, w łeb bym sobie strzelił. Lecz byłem w otoczeniu, gdzie wyczuwałem «nerwy». Budził się we mnie duch przekory i wstyd. Widziałem, że wszyscy patrzą na mnie, oczekując ode mnie wyjścia z opresji. Gniotłem więc w sobie całą rozpacz, by być spokojnym. Paliłem papierosa za papierosem i to może było jedynym dowodem moich nerwów. Mogę jednak zapewnić, że je miałem i że skóra mi cierpła na myśl, co za chwilę stać się musi.

A tu trzeba było czekać, czekać i jeszcze raz czekać. Okropnym jest czekanie! Niecierpliwość jakaś dusi, wszystko się wewnątrz burzy, by szukać jakiegoś ratunku, wymyśleć jakieś sposoby, by zapobiec złemu! Zwykle, gdy się temu nastrojowi poddaje, wprowadza się tylko chaos i nieporządek. A jednak to takie ludzkie! Czułem to w sobie i gwałtownym wysiłkiem woli zmuszałem siebie do spokoju. Zrobione już jest wszystko, jedyną rezerwą jest nasza garstka przy mnie — kilku oficerów i ordynansów. Reszta wszystko w ogniu. A ogień wzrasta. Słyszę, jak coraz częściej grzmią nawałnicowo nasze karabiny, zatem nieprzyjaciel, ośmielony powodzeniem, coraz częściej szuka zbliżenia z nami.

Wreszcie ogień naszych armat ustał — a więc rozkaz cofania się doszedł — lewe skrzydło zaczyna się zwijać. Z tego miejsca, gdzie stoję, nie będę widział drogi, po której będą schodzić z góry. Obejrzałem się. O kilkaset metrów za mną, obok drogi, na wzniesieniu, stał kościół murowany. Odejdę tam i będę czekał na przejście artylerii. Kościół dokoła otoczony murem, nawet nasza mała garstka może się jeszcze przez czas pewien bronić, jeżeli już sądzono nam dzisiaj zginąć. Wolnym krokiem ze spuszczoną głową otwieram nasz odwrót. Uszedłem paręset kroków, gdy ktoś mnie szarpnął za rękaw.

— Komendancie! Grzmot z jakimś meldunkiem do Komendanta!

Obejrzałem się. Przy szosie, wyprostowany, jak struna, stał ułan, istotnie — Skotnicki. Spojrzałem na jego twarz i odechciało mi się pytać: twarz mówiła swój hiobowy raport.

Ładny, jak malowanie, chłopak, wyprostowany, salutował. Oczy miał podkrążone i wpadnięte głęboko, usta czarne, spalone gorączką. Widać było na twarzy wielką wewnętrzną walkę, by nie rozpłakać się.

— Obywatelu Komendancie! — mówił. — Belina przysyła mnie po rozkazy. Dwóch oficerów i dwudziestu czterech ułanów stoi do dyspozycji Komendanta.

— Jezu! — jęknęło coś we mnie — a posłałem ich stukilkudziesięciu. — Nie miałem chęci pytać o szczegóły, było to ponad moje siły. Może nawet uraziłem tym Skotnickiego, lecz przybrałem chłodną minę, tak, jakbym jego raport uważał za rzecz zupełnie prostą.

— Obchodzą nas z prawa — powiedziałem — nie mam już ani jednego człowieka w rezerwie. Sprowadzicie tu na szosę Belinę i macie przedłużyć skrzydło. Odpoczniecie potem! Chwila jest bardzo krytyczna. Dołączyć lewym ramieniem do saperów!

Nie patrzyłem na młodego oficera. Bałem się wewnętrznie wyczytać w twarzy jego ślady wyrzutu. Chłopak zasalutował, brzęknął ostrogami i odszedł. Zbliżałem się do kościoła. Istotnie stąd można było widzieć nieco więcej.

Walczyliśmy już teraz prawie wyłącznie z frontem na południe. Chłopcy leżeli długą rzadką linią na wale, równolegle do drogi, którą cofaliśmy się. Wzdłuż nad nimi raz po raz pękały szrapnele. Z lasu naprzeciw nich wypadały od czasu do czasu łańcuchy tyralierskie, ogień nasz się wzmagał i zatrzymywał atakujących. Najbliżej Moskale podeszli w najbardziej na wschód wysuniętej części frontu, niedaleko od Marcinkowic. Bliżej do mnie, ku zachodowi, było jeszcze pomiędzy liniami sporo przestrzeni. Odetchnąłem, niebezpieczeństwo nie takie jeszcze groźne, jak myślałem. Może nadążymy! Tylko teraz zaczną napierać i od wschodu, wprost na szosę. Moje lewe skrzydło, które broniło przeprawy przez Dunajec, już sporo czasu jak milczy. Obejrzałem się na lewo i spostrzegłem jeszcze dosyć daleko na zboczu pomiędzy drzewami juczne konie baterii, schodzące na dół do parowu. Jeszcze jaki kwadrans i już można zacząć zwijać front od Rdziostowa.

Z naprzeciwka z plebanii wyszedł staruszek ksiądz, pytając, czy nie może czym służyć. Przypomniałem sobie, żem właściwie od kolacji poprzedniego dnia nic nie jadł. Przed plebanią wypiłem łapczywie parę szklanek mleka. Zacny ksiądz raz po raz wybiegał z mlekiem, gdy widział, że przenoszono czy przeprowadzano rannych. Było ich zresztą wciąż na szczęście niewielu.

Jeśli jednak nieprzyjaciel nie obchodził nas z bliska zbyt szybko, za to na górach koło szosy obejście było znacznie głębszym. Tam widać było na łysinach lasów grupy i grupki, znacznie dalej posunięte, niż to było na dole u skraju lasów, na zboczach gór. W paru miejscach widać było pracę koło okopów.

Wreszcie gdzieś z daleka rozległ się znany mi z boju pod Laskami cichy, lecz głuchy odgłos strzału — ciężka artyleria. Istotnie! — zaraz potem rozległ się powolny, wśrubowujący się w powietrze lot pocisku. Ten odgłos gdzieś z góry zbliża się tak powoli, że oko bezwiednie szuka go w powietrzu, a zarazem tak złowrogo i nieubłaganie świszczy i sepleni tam coś w powietrzu, jakby mówiło ono: — Nie ujdziesz! Ja, śmierć pewna, idę ku tobie, a idę powoli, nie spiesząc się, bo chcę widzieć, jak twarz ci blednie przedtem, nim umrzesz! — W tym złowrogim świście pocisków ciężkiej artylerii jest odcień chichotu, chichotu siły, złośliwej, pewnej siebie, leniwie poruszającej się i urągającej bezsilnemu człowiekowi. Nie ma w nim tego pośpiechu, gorączki i krzykliwości polowych armat i ich pocisków.

Pocisk przeleciał powoli nad nami, za chwilę rozległ się wybuch, połączony z jakimś jękiem, jakby ziemia ciężko westchnęła, przyjmując w swe łono tego potwora. Z ulgą oglądamy się wszyscy, kontrolując, gdzie padł pocisk. Z parowu za szosą podnosi się w górę fontanna ziemi, wykwitając stamtąd potwornym kaktusem.

— Kuferek!... — słyszę szepty z odcieniem szacunku dokoła.

Rozstrzygam w myśli zagadkę, do czego właściwie wstrzeliwuje się artyleria: do nas, stojących przy kościele, czy do zbliżającej się do parowu mojej baterii. Po kilku strzałach jasnym już jest, że celem «kuferków» jest moja artyleria. Ściągnęła ona na siebie baczność obserwatora i teraz widać, jak raz po razie niedaleko od niej wybuchają «kuferki». Myślę z pociechą, że gorzejby było, gdyby pociski padały koło nas. Nie o nas osobiście mi szło, lecz o cały oddział, który musiałby się cofać wśród palących się chałup i zabudowań. «Kuferki» tym razem nie zrobiły żadnej szkody, przeszkodziły tylko Meisnerowi stanąć raz jeszcze na pozycji dla przykrycia cofania się piechoty. Odważny oficer spróbował znaleźć ukrycie w załomie gruntu i już zaczął rozjuczać konie, lecz nieprzyjaciel ze swych gór doskonale mógł obserwować. Kilkanaście «kuferków» wystarczyło, by przepłoszyć konie i uniemożliwić tę

pozycję. Biedny Meisner musiał cofać się dalej, ścigany od czasu do czasu «kuferkami».

Ogień na froncie, osobliwie bliżej do Marcinkowic, wzmacnia się, specjalnie coraz silniejszym jest ogień artylerii rosyjskiej. Teraz, gdy Meisner zamilknął, jedna z rosyjskich baterii wyjechała wprost na otwartą pozycję, by wygodniej strzelać. Lecz zarazem przychodzi wiadomość, że już i moi zaczynają się cofać. Wkrótce odbieram osobisty meldunek Bojarskiego. Z jego batalionu została, jako ostatnia, kompania Milki. Gdy odchodził z resztą, ogień był bardzo silny. Moskale już się przeprawili przez Dunajec. Każę przenosić punkt opatrunkowy dalej w tył. Jestem już znacznie spokojniejszy. Jeśli dotąd Moskale nie zdążyli nas połknąć, to może wytrzymamy do wieczora. Dzień krótki i powoli, cofając się krok za krokiem, odejdziemy. O prawe skrzydło już się nie boję, mam znowu trochę rezerwy w garści i jakoś Moskale z tej strony nie zanadto silnie atakują, pomimo swej przewagi. Bardziej zaczynam się bać teraz o lewe skrzydło, gdzie Moskale po przejściu Dunajca łatwo mogą się posuwać niepostrzeżenie dla mnie zalesioną górą. Dotąd jednak i stamtąd żadnego groźnego meldunku nie ma. Tylko tam na wschodzie szum boju stale się zwiększa. W ślad za punktem opatrunkowym odchodzę i ja ze sztabem w tył ku Pisarzowej. Staję na plebanii. Tu otrzymałem przykrą wiadomość, że Milko zabity: szklanka szrapnelowa rozpłatała mu głowę. W kompanii jego ciężkie straty, niektórych rannych nie zdążono przy cofaniu się zabrać z sobą. Lecz zarazem przychodzi pociecha. Wpada, jak bomba, Belina i widzę już z wyrazu twarzy, że po prostu wstrzymuje się gwałtem od wybuchu radości.

— Komendancie! Ułani prawie wszyscy są, straciłem zaledwie piętnastu, z nich pięciu już odesłałem do szpitala, z dziesięciu nie wiem, co się dzieje.

— Więc wyszli! — podskoczyłem.

— Wyszli! Ale mieliśmy piekło! Brr!... Skąpaliśmy się wszyscy teraz w grudniu w Dunajcu i to pod karabinami maszynowymi.

Teraz dowiaduję się szczegółowo. Poszli na owe tabory i, zamiast nich, spostrzegli artylerię. Wystrzelali, co prawda, część obsługi baterii, która odprzodkowywała działa do strzału, ale wyszła na nich piechota z karabinami maszynowymi. Trzeba było się cofać, a droga koło mostu była pod strzałami z góry. Musieli trzymać się bardzo blisko góry, aby być choć trochę ukrytymi. Drobnymi grupami ułani rzucali się do Du-

najca i szli wpław pod gradem kul na brzeg przeciwny. Było bardzo ciepło!

— Ale — dodał Belina — straciłem dwadzieścia dwa konie. Takem się cieszył z owych trzynastu kozaków, które Grzmot zdobył poprzedniego wieczora, a tu masz znowu szwadrony zmarnowane!

— Niepoprawny koniarzu! — krzyknąłem — co mi tam wasze konie! Ułani wrócili — to grunt. Kamień mi z serca spadł, rozumiecie Belina?!

— Dobrze Komendantowi mówić — «ułani» — kłopotał się Belina — co wart ułan bez konia?

Rzeczywiście kamień spadł mi z serca. Innymi już oczami patrzyłem na świat; przygnębienie minęło i od razu wraz z moralnym życiem przyszedł wściekły apetyt. Nie było jednak nic, czymbym mógł głód zaspokoić. Bagaże moje i sztabu z jakimi takimi zapasami cofnęły się za daleko, a gospodarz-ksiądz oświadczył, że nie ma nic — Moskale wszystko zabrali. Ledwie, ledwie, po długich targach otrzymałem niewielki kawałek chleba. Czułem, że ksiądz nie mówi prawdy, ale nie chciałem robić awantury, tym bardziej, że szum boju zbliżał się ku nam i ksiądz wraz z całym swoim otoczeniem gdzieś znikł i skrył się. Wyszedłem na drogę. Koło mnie posuwali się lżej ranni; ciężej rannych na wozach, wyłożonych słomą, odwożono na tyły. Biedne, drogie chłopaki! Rzadko który z nich jęczał, a nawet, gdy jęczał, zobaczywszy mnie, przestawał i starał się w jakikolwiek sposób oddać mi wojskowe honory. Zabawnym był jeden z nich.

Spostrzegłem go z daleka, gdy wychodził z izby, gdzie był punkt opatrunkowy. Młody zupełnie chłopiec szedł, opierając się o karabin, z miną niezwykle rozpromienioną. Spostrzegłem na bluzce ślady krwi; zrozumiałem, że jest raniony w piersi. Szedł spokojnym, równym krokiem i, zbliżywszy się do mnie, zarzucił karabin na ramię, by mi zasalutować.

— Z którego batalionu, chłopcze? — rzuciłem zapytanie.

— Z trzeciego, Obywatelu Komendancie!

— Gdzieście oberwali?

— W serce! — odpowiedział, a w głosie czuć było dumę z tak niezwykłej rany.

— Głupstwa gadacie! Gdzieżbyście spacerowali z taką raną?

Istotnie jednak ślady krwi na bluzce były w okolicy serca.

— Ależ, Komendancie! Nie kłamię, proszę spytać doktora! — mówił urażony. Zaśmiałem się i puściłem go dalej, a szedłem zapytać doktora. Okazało się, że chłopak miał sza-

lone szczęście. Kula przebiła mu pierś w czasie największego skurczu serca i właściwie przeszła przez miejsce w którym sekundę wcześniej czy później musiałaby zawadzić o serce. Gdy lekarze go opatrywali, przez żart powiedzieli mu, że jest ranny w serce, ale będzie zdrów. Chłopak więc miał rację, gdy się uraził z powodu mego niedowiarstwa.

Inny ranny, który mnie rozśmieszył, był Wieczorkiewicz. Spostrzegłem go, gdy opierając się o żołnierza, kusztykał na tyły. Zawołałem go do siebie.

— Co z Wami, Wieczorkiewicz?

— Noga, Komendancie! — syknął z bólu — szklanka szrapnelowa uderzyła po kostce. Wściekle boli!

Spostrzegłem, że na obu nogach ma buty, więc chyba rana nie jest ciężka.

— Zrzucajcie do licha but, lżej Wam będzie!

— Istotnie! może lepiej...

Zaczęto ściągać mu but z nogi. Biedak przy każdym poruszeniu buta syczał z bólu i spostrzegłem, że mu pot występuje na czoło.

— Dajcie spokój takiemu ściąganiu — zawołałem — rozciąć cholewę i but sam spadnie z nogi. Po co się męczyć!

— Nie! nie — obruszył się ranny — nie, Komendancie! Nie psuć buta, takich dobrych butów już nigdzie nie dostanę!

Z biedą i bólem po kwadransie ściągnięto mu obuwie. Najparadniejszym było to, że istotnie ranę dostał w rękę, noga zaś była kontuzjowana przez uderzenie, lecz biedak czuł ból tak silny w nodze, że o ranie w ręku zapomniał zupełnie.

Bój powoli zacichał. Moskale zadowolili się tym, że zepchnęli nas z okolicy Marcinkowic i Rdziostowa. Widocznie musieli mieć znaczne straty i teraz porządkowali swe pomieszane oddziały. Mogliśmy odetchnąć chwilkę i uporządkować się także. Zdecydowałem się, by cofać się zwolna aż do wyrównania naszej linii z austriacką. Powoli, metodycznie, kompania za kompanią, odchodziliśmy bez wielkiego nacisku nieprzyjaciela. Pod wieczór stanąłem w zachodnim końcu Pisarzowej, rozciągnąwszy swą linię wszerz całej doliny od podnóża Kaniny aż do wzgórza na lewo od drogi Limanowa—Marcinkowice. Bój marcinkowicki został skończony. Straty moje wynosiły 92 ludzi: najbardziej ucierpiał I batalion, który wraz z kompanią Wieczorkiewicza z III batalionu najdłużej stał w najbardziej zagrożonym punkcie pod krzyżowym ogniem artylerii i karabinów maszynowych.

Pomimo, iż dzień 6-go grudnia 1914 r. zaliczam do najcięższych, przeżytych w ciągu wojny, lubię wspominać Mar-

cinkowice, jako jedną z najładniejszych bitew, jakie stoczyłem. I tu, jak w Ulinie, wyszedłem z fałszywej, nieodpowiadającej istocie rzeczy podstawy. Byłem, mianowicie, przekonany, że nieprzyjaciel cofa się i opuszcza Nowy Sącz akurat wtedy, gdy w rzeczywistości odwrotnie — dnia tego rozpoczynał się atak na większą skalę. Nie chcę twierdzić wcale, że jest dobrym na wojnie wychodzić z fałszywej podstawy i błędnie szacować działania nieprzyjaciela. Biorę bój marcinkowicki tylko jako przykład tej starej, odwiecznej prawdy o wojnie, prawdy, którą formułuję tak, że działanie wojenne to rozwiązywanie równań, gdzie liczba niewiadomych ogromnie przewyższa ilość równań samych. Zresztą, gdyby kto mnie chciał źle sądzić, tobym odpowiedział, że mnóstwo wielkich wypadków wojennych zawdzięcza swe istnienie jedynie wskutek przyjęcia fałszywej podstawy. Wspomnę tylko o jednym przykładzie — o wielkim zwycięstwie marszałka Davout pod Auerstädtem. Marszałek jedynie dlatego był tak śmiałym, bo był przekonany na podstawie błędnych dyrektyw Napoleona, że miał przed sobą 14 października 1806 r. nie główną armię pruską, lecz jakąś boczną jej osłonę. Nie mając zresztą zamiaru przyrównywać się do tych wielkich postaci wojennych, powiem, że byłem również tak śmiałym jedynie na skutek przypuszczenia, iż mam przed sobą cofające się oddziały rosyjskie. I wyznam, dotąd nie mogę zrozumieć zachowania się Rosjan wieczorem dn. 5-go i w nocy z 5-go na 6-ty. W każdym razie było ono takim, iż do śmiałości zachęcało.

Dzisiaj, gdym Marcinkowice już zupełnie na chłodno z dziesięć razy przemyślał i przeanalizował, znajduję tylko jeden fakt, który powinien był mnie uczynić ostrożniejszym, a który oceniłem fałszywie jedynie dlatego, że wszystkie inne fakty dawały mi obraz inny. Idzie tu o charakter turkotu, który słyszałem na górze Rdziostowskiej. Tabory rosyjskie, a i chłopskie wózki, które mogły być tu użyte, nie dawałyby odgłosu tak ciężko ładowanych wozów, jak ten, któryśmy słyszeli w Rdziostowie. Ale i tutaj brak odpowiedzi na naszą zaczepkę, nadzwyczajnie dla artylerii prowokacyjną, nie dopuszczał myśli, aby obok nas maszerowało wojsko, idące do ataku. Powtarzam, nie znajduję dobrego wytłumaczenia zachowania się nieprzyjaciela tej nocy. Bo przecie III rosyjski korpus przemaszerował spiesznymi marszami do Nowego Sącza i okolic nie dlatego, aby mnie z moim małym oddziałem zwodzić.

Położenie strategiczne było wówczas nadzwyczaj naprężone dla obu stron i z przyjemnością myślę o tym, że dzięki

mojej śmiałości i dzielnemu zachowaniu się moich paru batalionów pomogłem dużo tej stronie, po której walczyłem. Odwrotnie — Rosjanie przez swoje niezręczne prowadzenie sprawy stracili dużo. Wówczas, dn. 5-go grudnia, atak wojsk austriackich i niemieckich (47-ma dywizja «landwehry»), prowadzony na północ w kierunku Bochni, wyraźnie się zaznaczył. Nasze słabe oddziały pod Limanową były przykryciem ich skrzydła i tyłów. Wzmocnienie naszego odcinka i wojsk, atakujących na północ, odbywało się bardzo powoli. Jeszcze 8 grudnia pod Limanową była to mieszanina najrozmaitszych formacyj landszturmowych, nie wyłączając «financów» i «żandarmów». I oto w tej krytycznej chwili przychodzi VIII korpus, siła, znacznie przewyższająca wszystko, co pod Limanową tego następnego dnia mogło być zebrane. Część tego korpusu maszeruje prawym brzegiem Dunajca do doliny Łososiny — doliny, która szła za górą, za naszym lewym skrzydłem podczas bitwy marcinkowickiej. Że Moskale spieszyli się, tego dowodzi ich wymarsz z Nowego Sącza. I oto na swej drodze napotykają mnie na górze Rdziostowskiej, absolutnie panującej nad prawym brzegiem Dunajca, po którym marsz się odbywa. Napotykają nas jedynie dlatego, że lekkomyślnie dopuszczono bym tę górę zajął. Marsz Rosjan się przerywa, aby mnie odrzucić na bok.

I tu właśnie jest ciekawym, jakich sił użyto dla osiągnięcia celu. Ja oceniałem całość sił, wprowadzonych do boju, na 3—4 bataliony, tzn. na dwa razy większą liczbę batalionów, niż moja. Ponieważ zaś bataliony rosyjskie niechybnie były liczniejsze, niż moje, więc rachowałem, że mam do czynienia z 2½ do 3 razy silniejszym nieprzyjacielem. Lecz nazajutrz wzięto do niewoli kilku żołnierzy rosyjskich, których rozpytywałem o cały przebieg bitwy. Okazało się, że przeciwko mnie rzucono dwa pułki, więc 8 batalionów, w rezerwie zaś za rzeką zatrzymano w marszu jeszcze jeden pułk (4 bataliony). Walczyliśmy więc właściwie 1 przeciwko 5, może 6, związaliśmy zaś w ruchu prawie całą dywizję, czyli prawie połowę tegoż VIII korpusu.

Następnie, moja akcja przyniosła zysk na czasie. Wobec tego, że posiłki na nasz front przybywały bardzo wolno, więc wszelka wygrana na czasie była bardzo pożądana. Jeszcze 8-go grudnia byliśmy pod Limanową słabsi od nieprzyjaciela, cóż zaś mówić o 6-tym. Otóż 6-go nieprzyjaciel, nie będąc zatrzymanym przeze mnie, byłby doszedł pod samą Limanową, tym czasem przez nierówny bój marcinkowicki i nocną eskapadę artyleryjską został zatrzymany o całe 16 godzin, 16 godzin,

tak cennych przy powolnym działaniu kolejowych komunikacyj na tyłach. Jest to zasługa przede wszystkim moich chłopaków, którzy walcząc 1 przeciw 6 przez cały dzień, cofnęli się tylko o 12 kilometrów, zatrzymując cały czas na sobie ogromną przewagę nieprzyjaciela. Nie mogę jednak nie przyznać, że nie mała część zasługi spoczywa na mnie i to głównie z powodu śmiałości rzucenia się na górę Rdziostowską, ostrzeliwania nocnego Sącza i maszerujących kolumn, wreszcie z powodu rzutu kawalerii na Dunajec.

Śmiałość daje swoje efekty wszędzie, specjalnie na wojnie. Zmusza ona do fałszywej oceny sił, fałszywej «in plus» dla śmiałego. Jestem mocno przekonany, że Rosjanie przeceniali moje siły tak samo, jak ja ich niedoceniałem. Byli więc zanadto ostrożnymi, zanadto powolnymi w działaniach, — jednym słowem, tracili dużo czasu, obawiając się fantomów, nie rzeczy realnych. Ten zaś ich stan psychiczny wywołany był działaniem śmiałym, które kazało im przypuszczać, że rozporządzamy odpowiednią siłą. Inaczej nie mogę sobie zupełnie wytłumaczyć całej bitwy, ani też tego, żeśmy wyszli z niej cało, gdy wszystko: liczba, teren, przewaga artylerii — wszystko przemawiało za tym, abyśmy zostali zgnieceni i zniszczeni przez wroga. Z chwilą, gdym nie przerwał boju po moim wyjściu z Marcinkowic i rozwinął wszystkie swoje siły, byłem, zdaniem moim, według wszelkich zimnych i chłodnych rachub skazany wraz z całym oddziałem na zagładę. Zostaliśmy zaś ocaleni jedynie dlatego, że do tej zimnej rachuby, do tych matematycznych i technicznych równań wrzucone zostały nieważkie, niematerialne i nie dające się w liczbach i miarach wyrazić czynniki psychiczne: śmiałość nasza i wywołana nią ostrożność i powolność przeciwnika, niedocenianie i przecenianie nieprzyjaciela u kierowników boju, wreszcie dzielność naszych żołnierzy. Pod tym względem bój marcinkowicki zawsze pozostanie dla mnie przeżytym przykładem wielkiego znaczenia na wojnie czynników psychicznych, tak trudno dających się obliczyć i opanować.

Wracając do szczegółów boju, przede wszystkim interesował mnie zawsze skutek nocnego ostrzeliwania Sącza tylko według względnie niedokładnej mapy bez poprzedniego wstrzelania się do celów, tak, na chybił-trafił. Mając na celu tylko psychiczne wrażenie na nieprzyjacielu, nie liczyłem wcale na wielkie powodzenie. Kiedy potem w kilka dni wreszcie trafiłem do Sącza, rozpytywałem o tę noc i o skutek strzelania. Wypadek chciał, — bo, naturalnie, o celnym strzelaniu mowy być nie mogło — że jeden z pierwszych granatów padł szczęśliwie

na baterię artylerii, stojącą niedaleko od mostu, uszkodził jedno działo i poranił kilku artylerzystów. Koło mostów zostało też rannych i zabitych kilku żołnierzy. Wywołało to popłoch w komendzie, która kazała gasić światła i zaczęła robić poszukiwania za telefonem, gdyż nie przypuszczano, aby tak celne strzały mogły być wypadkowe. Sądzono, że kieruje nimi ktoś telefonicznie z miasta. Opowiadano mi też o tym, że jeden z granatów wpadł do domu, zajętego przez żołnierzy, lecz nie wybuchł i oprócz dziury w dachu i suficie szkody innej nie zrobił.

Co się tyczy mego niefortunnego rzucenia ułanów za Dunajec w pogoni za rzekomymi taborami, to przyniosło ono nieprzyjacielowi dużo szkody. W Nowym Sączu opowiadano mi, że już rano przywieziono do miasta bardzo dużo rannych, a pomiędzy nimi było wielu artylerzystów i to oficerów. Tym więc razem śmiałość zrobiła swoje. Zatrzymała nieprzyjaciela i osłabiła go w tym, czym najsilniej mógł nam dać odczuć swą przewagę — dobrze prowadzonym ogniem artylerii. Na swoje przed sobą usprawiedliwienie zawsze przytaczam fakt, że nie byłbym puścił kawalerii, gdybym nie był pewien, że most, a zatem i najbliższe otoczenie mostu jest przez nas opanowane. Nigdy nie przypuszczałem, aby saperzy zadowolili się zwyczajną policyjną obsadą mostu i pozwolili, aby nieprzyjaciel tuż koło mostu wlazł na górę, spokojnie na niej się okopał i postawił tam karabiny maszynowe, które panowały zarówno nad mostem, jak nad całą rzeką, przez którą przy odwrocie przeprawiali się wpław moi ułani. Na początku wojny nieraz miałem do czynienia z takimi niedostatecznie przemyślanymi czynnościami wśród dzielnych skądinąd oficerów. Dopiero po pewnym czasie doświadczenie wojenne nauczyło ich oceniać sytuację i teren, tak, że nie trzeba było nigdy tłumaczyć, jak dany rozkaz wypełnić należy. Może być, że błędem moim było niewzięcie dostatecznie pod uwagę tego braku doświadczenia, jak również wydanie rozkazu, nie rozwijającego szczegółowo, na czym polegać ma zabezpieczenie mostu przez saperów.

Jak ułani wyszli z tego piekielnego kociołka, do którego ich wepchnąłem, zrozumieć trudno; wszystko przemawiało za tym, że stanie się tak, jak brzmiał pierwszy meldunek Skotnickiego. Lecz i straty w piechocie były stosunkowo małe. W ciągu całego dnia walczyła ona jeden przeciwko sześciu, stała godzinami na pozycji nieokopanej, miała front, ułożony z konieczności tak, że większość jej była pod skrzydłowym ogniem paru bateryj. A mimo to straciłem tylko stu ludzi — zatem pięć procent całego oddziału. Moskale, co prawda, strzelali według sta-

rej mody salwami. Salwami do leżącej piechoty! Nic dziwnego, że tym razem sprawdziły się filozoficzne słowa mego adiutanta Dzieduszyckiego, który zawsze twierdził, że kula ma skłonność do spacerowania powietrzem dookoła człowieka. Dzieduszycki był tym razem w zgodzie z dowcipnym i inteligentnym obserwatorem wojny, gen. Hamiltonem. Ten, patrząc się na atak sławnej brygady japońskiej gen. Okasaki, spostrzegł, jak grad kul rosyjskich otoczył po prostu kurzem idącą do ataku japońską piechotę, a z atakujących przewracało się bardzo mało, tak, jak gdyby kule umyślnie były wycelowane w przestrzeń pustą pomiędzy ludźmi. Filozoficzna uwaga przy tym gen. Hamiltona brzmiała nieco inaczej, niż u Dzieduszyckiego. Dodaje on mianowicie z pewną ironią: «Zauważono, że zwykle bywa tak, gdy wojsko źle strzela». Sądzę, że i pod Marcinkowicami uwaga Hamiltona tłumaczy wszystko.

Spomiędzy rannych i zostawionych na polu przy cofaniu się znaleźliśmy wszystkich. Jednych spotkaliśmy w Nowym Sączu w szpitalu, gdzie ich zostawili Moskale przy ostatecznym wycofaniu się z miasta. Innych poukrywali u siebie włościanie, przebierając ich po swojemu. Opowiadano mi o zabawnym epizodzie, gdy chytry góral wyprowadził w pole prostodusznych braci z nad Wołgi. Góral ukrył u siebie jednego z rannych moich chłopców i położył go u siebie w chacie. Gdy nadeszli Moskale i chcieli wejść do chaty, zawołał na nich: — Ostrożnie, tam leży człowiek chory na cholerę! — Otworzyli tylko drzwi i, zobaczywszy istotnie chorego na łóżku, uciekli. Do tej «cholerycznej» chaty zakazano potem chodzić, izolowano ją, pozostawiając rannemu swobodę. Jeszcze jeden dowód serdecznego do nas stosunku Podhalan!

Straty Rosjan musiały być znacznie większe. Nie mówię o stratach, które ponieśli w początku boju przy starciu z kawalerią, ale parokrotna, nieudana próba przejścia pod ogniem Dunajca musiała kosztować niemało ofiar. Atakujący od Rdziostowa nie byli również jakoś zbyt pochopni do szybkiego zbliżenia się z I batalionem, musiały więc też zatrzymywać ich straty. Nie potrafię, naturalnie, orzec teraz, czy uwaga Hamiltona zastosowaćby się nie dała i do nas pod Marcinkowicami i czy nasze kule tak samo nie miały skłonności do szukania sobie drogi pomiędzy ludźmi. Muszę jednak przyznać, że ogień nasz sprawiał wrażenie znacznie bardziej celowego i porządnego, niż rosyjski. Nie mówię już o całkiem dziwnych salwach, które ze strony Rosjan raz po raz się rozlegały, lecz o tym, com mógł skonstatować z oddali. Ożywienie naszego ognia czuć było wtedy, gdy się ukazywały cele dla niego, i za-

mierał on, gdy nie było właściwie po co psuć nabojów. To świadczyło o rozsądnym prowadzeniu ogniowego boju, a zatem przypuszczalnie i o skutkach jego.

Nazajutrz — 7-go grudnia — miałem sposobność oglądać zjawisko ciekawe i takie, którego prawdopodobnie już żaden z wojskowych nie zobaczy. Mianowicie — naszą «dymną» artylerię przy pracy. Rosjanie atakowali nas i nazajutrz — prawie na całej linii. Specjalnie próbowali obejść moje lewe, wiszące całkiem w powietrzu, skrzydło. Ześrodkowałem tam na wszelki wypadek rezerwę, a bój sam prowadziła właściwie artyleria. Meisner ze swymi nowoczesnymi armatami stanął znacznie dalej, dobrze ukryty, i stamtąd prażył nieprzyjaciela. Brzoza ze swymi ośmiu armatkami nie mógł pójść w jego ślady, musiał stanąć prawie za własną piechotą na pozycji, prawie zupełnie odkrytej i widocznej dla Rosjan.

Gdyby zresztą można było ukryć armatki za jakimś załomem gruntu, byłoby to zupełnie nieużytecznym, bo armaty dymiły haniebnie. Było zabawnym patrzeć na te «werndle na kółkach». Wyglądały one, jak złe pieski na uwięzi. Za każdym strzałem taki potworek podskakiwał, jak na łańcuchu, i śmiesznie przewracał się lub odskakiwał w tył. Chłopcy, którzy przy nich pracowali, wciągali znowu potworka na należyte miejsce, pakowali weń nabój i... znowu to samo. Pagórki na prawo od szosy — gdzie właśnie stała artyleria Brzozy — dymiły, jak wulkany. I dziwna rzecz — artyleria rosyjska słała pocisk za pociskiem ku Meisnerowi, zostawiając całkiem prawie bez uwagi tak jasno widoczne cele. Od czasu do czasu pękł nad artylerią Brzozy jakby zabłąkany szrapnel. Chłopcy przy armatach pracowali szalenie i mieli ten rzadki dla artylerii zaszczyt, że pracowali w ogniu karabinowym, gdyż dla osiągnięcia nieprzyjaciela musieli stanąć blisko do niego. Przecie karabiny swą dalekonośnością przewyższały tę «polską» artylerię. Mam cały szacunek dla oficerów i żołnierzy z artylerii. Wyznam otwarcie, że nie należę do rzędu ludzi tchórzliwych, a jednak pomimo ciekawości trzymałem się od swoich armat w należytym oddaleniu. Wydawało mi się koniecznym, że ściągną one na siebie cały ogień artylerii rosyjskiej, tak widocznymi były na całym prawie polu bitwy. Tym bardziej powinny były wywołać reakcję ze strony nieprzyjaciela, że praca artylerii była skuteczną; kilka razy Rosjanie podsuwali się do naszego lewego skrzydła i za każdym razem spotykał ich prawdziwy huragan szrapneli i granatów, za każdym razem cofali się z powrotem. A jednak, powtarzam, pozostaje faktem, że artyleria rosyjska nie raczyła ostrzeliwać naszych armat.

Ciągle oczekiwałem, że zwali się na nie cały ciężar ognia przeważającej artylerii. Nie! Do końca dnia Rosjanie pozostawili Brzozę w spokoju. Nie mogłem sobie nigdy wytłumaczyć tego zjawiska inaczej, jak przypuszczeniem, że obserwatorzy rosyjscy brali kłęby dymu za maskę i oszukaństwo i w tych wulkanach i błyskach nie podejrzewali artylerii. Brzoza strzelał zapamiętale — postanowił on wystrzelać całą amunicję. Wiedział, że już więcej tej amunicji nie ma nigdzie, przypuszczał więc, co okazało się słusznym, że może to da asumpt do zmiany armat na bardziej nowoczesne. Istotnie, po bitwie pod Pisarzową powędrowały wreszcie nasze «werndle na kółkach» tam, gdzie powinny się były znajdować od dawna, do muzeów artyleryjskich i na szmelc. Nasze szczęście doprawdy, że nie było większych zapasów amunicji do tych przestarzałych armat, jestem bowiem przekonany, że w znacznie cięższych bojach później występowalibyśmy wciąż z naszymi «werndlami», upiększając dymem prochowym nowoczesne bezbarwne pola bitew! Po Pisarzowej Meisner mówił mi, że po prostu oczom swoim nie wierzył, gdy zobaczył nasze armaty. Po bitwie marcinkowickiej nabrał on wielkiego respektu dla naszej piechoty, której w najcięższych wypadkach zaufać można, ale jako artylerzysta jeszcze bardziej począł szanować naszych artylerzystów po tym, co widział w Pisarzowej. Miał on ciągle te same uczucia, co ja, oczekiwał lada chwila zniszczenia naszych armat przez huragan pocisków rosyjskich, gdy taki wdzięczny cel na polu bitwy się ukazał. A jednak! jednak artyleria wyszła cało, tak, jak dnia poprzedniego wyszła cało kawaleria i cały oddział. Mieliśmy jednak, trzeba przyznać, dużo szczęścia na tej wojnie!

Z pobytu w Pisarzowej pamiętam jeszcze przykre spotkanie z rodakami. Na wieść, że moje lewe skrzydło jest zagrożone, wysłano mi, jak się później dowiedziałem, na pomoc dwie kompanie landszturmu polskiego, świeżo sformowanego i naprędce zebranego. Dowodzili tymi kompaniami jacyś równie przestarzali, jak nasze «werndle na kółkach», lejtnanci rezerwowi, «rodacy». Przywędrowali oni, naturalnie, gdy było już po wszystkim, gdy wieczór położył koniec wszelkim zakusom obejścia naszego skrzydła. Nie o tę spóźnioną jednak pomoc idzie mi w tym wypadku, lecz o stosunek tych panów do nas. Spotkanie z nimi było tak charakterystyczną ilustracją stosunków, z jakimi mieliśmy do czynienia, że warto je opowiedzieć szczegółowiej. Było to już wieczorem, gdy otrzymałem rozkaz o cofnięciu całej linii bliżej do Limanowej i o przej-

ściu moim do rezerwy. Zjedliśmy już kolację i przy papierosach i gawędce czekałem ze swoim sztabem na ściągnięcie wojska i na konie. Nagle do pokoju wkroczyły dwie czy trzy postacie w austriackich uniformach — byli to owi dowódcy kompanij landszturmowych. Żaden z nich nie zameldował mi się, jako starszemu od nich oficerowi, ba — żaden z nich nie raczył się nawet przedstawić. Była w nich straszna duma z powodu uniformu, który mieli na sobie, i straszne lekceważenie w stosunku do «bandy», nie mającej tak wysokich, jak oni, przywilejów. Byli przy tym dostatecznie nieokrzesani i niekulturalni. Zaczęli coś bąkać o tym, że przyszli do «rodaków», że chcą się czegoś dowiedzieć i po długich wywodach powiedzieli coś niewyraźnego o pomocy, jaką mają nam okazać. Paru moich oficerów skoczyło, by ich wprost wyrzucić za drzwi — tak oburzającym było to nieprzyzwoite ich pod względem wojskowym i towarzyskim zachowanie się. Powstrzymałem moich oficerów. Gdyby byli to nie Polacy, chętniebym zezwolił na zrobienie przykrości takim gościom, lecz tu brała mnie chętka wypicia kielicha goryczy «polskiego żołnierza» do dna. Nie pierwszy raz spotykałem ten stosunek ze strony «rodaków», dumnych z tego, że są żołnierzami nie w «polskim» uniformie. Oświadczyłem im więc tylko krótko, że pomoc ich jest zbyteczną i że mogą sobie iść, gdzie im się podoba. Gdy wyszli z kwatery, wyskoczyli jednak za nimi moi oficerowie i dali im na dworze nauczkę odpowiednią. Porównuję ten wypadek zawsze z innym, gdym na Wołyniu miał do czynienia z batalionem pruskim, przysłanym mi również na pomoc w ciężkiej chwili. Dowódca tego batalionu, bardzo miły kapitan, ani chwili w swym postępowaniu, nawet w drobiazgach, nie zostawiał wątpliwości, że stoi przed swoim dowódcą, ani jednej chwili nie zmuszał mnie do dyplomatyzowania, gdy czas był jedynie na rozkazy i na niewzbudzające wątpliwości wzajemne stosunki. Tak, ale to był pruski kapitan, tu zaś byli wtedy polscy lejtnanci rezerwowi z Galicji!

Jeszcze tej nocy stanęliśmy w Limanowej. Cały mój oddział (V batalion też wrócił z ekspedycji) był w rezerwie, na odpoczynku. Miałem kwatery we wschodniej części tego miasta, bliższej do nieprzyjaciela, a więc przez Austriaków i mnie zajętej. Sam ze swym sztabem zatrzymałem się u miejscowego, zdaje mi się, lekarza. Dawno takich wspaniałości nie oglądałem. Czysta pościel, jasno oświetlone pokoje, obrusy na stołach, dużo wody do mycia. Przyjemna kwatera. Odpoczywałem po przejściach marcinkowickich.

Wieczorem Moskale zaczęli ostrzeliwać Limanowę i po-

zycje dokoła miasta. Zaczął się wielki bój pod Limanową. Na razie szły lekkie pociski, szrapnele pękały we wszystkich kierunkach. Na naszym podwórzu pomiędzy innymi padło ich kilkanaście. Jedliśmy zrazu spokojnie i wesoło kolację. Lecz wkrótce przyszły ciężkie granaty. Znowu zajęczała dokoła ziemia, a zaraz potem rozeszła się nagle pogłoska, że austriackie wojska opuszczają pozycje. Skoczyłem od kolacji. Wysłałem zaraz oficerów do miasta, by zbadali sytuację, gdyż żadne rozkazy ani wyjaśnienia nie przychodziły do mnie.

Wkrótce zaczęli wracać moi oficerowie z meldunkami. Miasteczko, opuszczone istotnie przez sztaby i tabory, pali się gdzieś koło kościoła, a z różnych stron z gór okolicznych schodzą luźni żołnierze, przeważnie polscy landszturmacy, mówiący, że Moskali jest dużo i że są bardzo blisko, tak blisko, że do nich strzelać nie można. Żołnierze ci nadciągają z różnych stron, więc nie można zrozumieć, skąd właściwie grozi największe niebezpieczeństwo. Zaalarmowałem oddział i rozesłałem tym razem konnych na linię dla sprawdzenia stanu rzeczy. Przywieźli mi uspakajające wiadomości. Nie wytrzymały ognia tylko niektóre kompanie landszturmowe — podejrzewam mocno, że były to kompanie moich znajomych z poprzedniego dnia, — reszta wojska stoi na pozycjach, a ogień artylerii w miarę zapadania ciemności ustaje.

Był to jedyny wypadek, gdym widział źle bijących się Polaków, i dlatego tak mi utkwił ten fakt w pamięci z tym charakterystycznym dla złego, ale szczerego żołnierza, ujęciem sytuacji: nie mógł strzelać, bo nieprzyjaciel był za blisko.

Tegoż wieczora, a raczej nocy otrzymałem rozkaz udania się na skrajne prawe skrzydło dla przykrycia górskich przejść w kierunku Mszany Dolnej, przez którą szły nowe transporty wojskowe. Pokazała się tam, jak mówiono, bardzo liczna kawaleria rosyjska. Jeszcze przed ranem odmaszerowałem do znanej mi Słopnicy Królewskiej, by iść dalej na południe ku Kamienicy, która była już w rękach Moskali.

Wychodziłem z Limanowej ze złymi przeczuciami co do wyniku rozpoczynającej się bitwy, dlatego też misja osłonięcia prawego skrzydła bardzo mi się uśmiechała. Stawałem znowu na komunikacji z moimi własnymi tyłami — z Nowym Targiem. Postanowiłem dotrzeć do Kamienicy i wziąć w swe posiadanie drogę na Krościenko do Nowego Targu. Udało mi się to nadspodziewanie łatwo. Wystarczała wtedy na tym odcinku prawie zawsze kawaleria, aby odepchnąć jazdę rosyjską, która cofała się bardzo łatwo. Była to 10-ta dywizja jazdy rosyjskiej pod gen. Kellerem.

Zostawiła ona złą sławę w tej okolicy. Gen. Keller nie zabraniał żołnierzom hulać, ani pić. Wszędzie słyszałem skargi z powodu postępowania jego żołnierzy. Jest to ciekawym, jak wiele może dowódca na wojnie. Poprzednio na tym samym terenie miałem do czynienia z dywizją gen. Dragomirowa, który starał się ostro trzymać swe wojsko w karbach, by nie dopuszczało się grabieży. Przy paru zabitych podoficerach z jego oddziałów znalazłem rozkazy dywizyjne, grożące sądami polowymi nawet tym, którzy dopuszczą się na gwałtu na Żydach. A przecie turbowanie ich leży prawie we krwi Rosjan. Skarg ludności na dywizję Dragomirowa słyszałem bardzo mało. 10-ta dywizja zachowywała się znacznie gorzej.

Ogólnie jednak muszę zaznaczyć, że po tym, com sam widział, nie mógłbym uważać armii rosyjskiej za taką specjalistkę w grabieży, za jaką jest okrzyczana. Niewątpliwie prawie u każdego złapanego kozaka można było znaleźć zagrabione gdzieś tasiemki, trochę pieniędzy, nawet tombakowych guzików od liberii, które prawdopodobnie w oczach syna Donu uchodziły za złoto. Ale widziałem tyle gorszych rzeczy na wojnie!...

Pesymistyczne moje przypuszczenia co do wyniku bitwy limanowskiej powstrzymały mnie od tego, bym się teraz tak angażował, jak to robiłem w Marcinkowicach. Zadowoliłem się tym, że spełniłem rozkaz i, wyrzuciwszy Moskali z Kamienicy, zabezpieczyłem wszystkie podejścia przez góry do kolei Chabówka—Limanowa. A szkoda! Okazja, zdaniem moim, była wspaniała. Gdybyśmy wtedy uderzyli w kierunku Nowego Sącza, sądzę, że wiele szkody nieprzyjacielowi, a sławy memu oddziałowi dałoby się przysporzyć w przeciągu tych dwóch dni, podczas których leżałem prawie bezczynnie w Kamienicy. Nikt mnie o niczym w tym czasie nie zawiadamiał i gdyby nie specjalne patrole, które wysyłałem na północ ku Limanowej, mógłbym, zdaje się, i tydzień cały przesiedzieć w Kamienicy lub Łącku, który potem zdobyłem. Kiedym się obejrzał, że Moskale są pobici, było już za późno na jakiekolwiek znaczniejsze czyny. Nawet pościg, który zarządziłem, nie dał już rezultatów, doprowadził mnie jedynie szybciej, niż by to było w innych warunkach, do Nowego Sącza.

Tym razem wchodziłem do miasta bez poprzedniego ostrzeliwania. Wchodziłem spokojnie, jak za czasów pokoju. Przyjemne to było wejście do miasta, miałem tylko dużo kłopotu ze swoją kasztanką. Wysłałem do Nowego Sącza naprzód swoich ułanów, sam zaś maszerowałem z piechotą. Belina doniósł mi, że w mieście przygotowują specjalną owację na cześć

moją i mego oddziału. Podjeżdżałem do miasta już wieczorem. Kasztanka już na moście na Dunajcu, podziurawionym przez wybuchy, kręciła głową, uważając, że jest zanadto niebezpieczny dla jej szanownego istnienia. Za mostem wjazd do ciemnej ulicy z nieprzyjemnie brzmiącym pod podkowami brukiem powiększył jej przykrości. Z trwogą nastawiła już uszy. Lecz wreszcie rynek. Jasno oświetlony, czarny od tłumu. Gdym się na nim na kasztance ukazał, rozległ się krzyk całego tłumu i padły pociski z kwiatów. Tego już było stanowczo za wiele dla mojej wiejskiej klaczy, zwinęła się pode mną i chciała uciekać od owacji. Niemało mnie kosztowało, by ją po prostu wepchnąć na rynek. Szła przez szpaler ludzki ostrożnie, nieledwie zatrzymując się co parę chwil. Czułem pod sobą, jak nieszczęśliwe stworzenie szukało ucieczki. Musiałem kasztankę ciągle pchać naprzód, tak, iż po wyjeździe z rynku poznałem i ja, że owacja cos kosztuje. Czułem doskonale, że mam nogi, tak miałem je zmęczone.

Nowy Sącz przyjął nas nadzwyczajnie serdecznie. A te rozkosze «wielkomiejskie»! Elektryczne światło, kawiarnie, wanna, fryzjer. Zgoliłem sobie tam brodę, którą utrzymać w porządku na wojnie jest nadzwyczaj trudno. Bawili mnie potem moi żołnierze, którzy przy spotkaniach na ulicy udawali, że mnie nie poznają. Oddawali mi honory z rozmyślnym ociąganiem się, by mieć okazję do przeproszenia, że wskutek zgolenia brody nie mogli mnie jakoby od razu poznać. Oficerowie mówili mi, że wśród żołnierzy postanowiono przy pierwszym marszu wołać za mną: «Oddaj brodę!» Na szczęście, nie przyszło do tego.

Do Nowego Sącza, już po moim wyjeździe stamtąd, ściągnęły i oddziały z Nowego Targu. Mój plan obrony doliny Nowotarskiej, jako ostatniej piędzi ziemi polskiej, chwała Bogu, nie doszedł do skutku i podhalańska moja, wymarzona w ciągu listopada, krwawa epopea ograniczyła się wstępem do niej w bojach Limanowa-Marcinkowice.

## NOWY KORCZYN—OPATOWIEC

Pierwsze boje, pierwsze zetknięcia z wojną! Nie wiem, jak dla kogo, ale dla mnie było w tym tak dużo rozrzewniającej poezji, jak w młodzieńczej pierwszej miłości, w pierwszych pocałunkach. Lecz tych najwcześniejszych moich zetknięć się z wojną nie poruszę. Na razie to zanadto mnie boli.

Było tam zbyt dużo momentów niewojennych, a zarazem zbyt dużo zetknięć z brutalną prawdą niemocy i jakiejś niewolniczości własnego społeczeństwa, które uparcie wolało odepchnąć od siebie wszelką myśl o samodzielnej, sobie tylko podwładnej pracy, i szukało zawsze starannie uległości i posłuszeństwa obcym.

Pewnych jednak polityczno-wojskowych momentów dotknąć muszę, bo bez nich niezrozumiałymi byłyby moje decyzje.

Brałem w nich pod uwagę specjalne położenie strzelca wśród innych wojsk, położenie jego jako żołnierza, bez względu na jakiekolwiek polityczne motywy. Z góry przypuścić należało, że stosunek do nas, jako do formacji ochotniczej o charakterze milicyjnym, będzie polegał ze strony wojsk austriackich i niemieckich, armij stałych o wiekowych tradycjach, na głębokim niezaufaniu do naszej wartości żołnierskiej. Do tego byłem przygotowany i, znając dobrze wygórowaną ambicję strzelców, bałem się ogromnie, bym pierwszymi niepowodzeniami tę ich ambicję nie tylko nie uraził ale gorzej jeszcze — nie zabił w nich wiary w siebie, jako żołnierzy. A niepowodzenia można mieć było łatwo przy ogromnie niskim stanie naszego technicznego uzbrojenia i wyekwipowania. Przecie byliśmy zrazu uzbrojeni w przestarzałe, nierepetierowe karabiny Werndla, poza tym nie mieliśmy karabinów maszynowych i artylerii, nie posiadaliśmy prawie telefonów, kuchen polowych. Brakowało ładownic i większość żołnierzy w kieszeniach nosiła ładunki, które łatwo można było zgubić. Ten brak nabojów mógł w każdej krytycznej chwili zmieniać karabin w jakąś grubą i niezręczną maczugę. Wreszcie wewnętrznie, nieułożone stosunki, tak, jak w każdej nowej formacji, sprawiały, że każdy z poszczególnych dowódców zużywać musiał mnóstwo czasu na uporządkowanie drobiazgów życiowych, na ułożenie jakiegoś wewnętrznego «modus vivendi» pomiędzy ludźmi. Sam musiałem ciągle załatwiać mnóstwo codziennych spraw, wynikających z tarcia całej maszyny wojskowej, spraw o charakterze osobistym. Kwestie starszeństwa pomiędzy oficerami, kwestie rozgraniczeń kompetencyj były tym piekłem po prostu, w którym żyłem na początku wojny. Musiałem bronić wojska nie tylko od zewnętrznych upokorzeń, ale i od wewnętrznego upokorzenia, które musiałoby się zrodzić z poczucia swej niższości w stosunku do otoczenia, z niezdolności wykonania wziętych na siebie zadań.

Odczuwałem dokładnie, że u wszystkich żołnierzy w głębi duszy jest bojaźń przed szalonym przedsięwzięciem, przed

egzaminem, który jako żołnierze złożyć będziemy musieli, zarówno przed otoczeniem, jak i przed samym sobą.

Na szczęście w początkach nie mieliśmy jeszcze tej choroby, która w Legionach rozwielmożniła się dopiero później: protekcjonizmu dla «dekowników» wszelkiego rodzaju. Ten pasożyt przyszedł potem, gdy sztucznie skonstruowana polityczna Komenda Legionów poczęła szukać oparcia w wojsku, płodząc oficerów i rozdawając awanse swoim stronnikom bez żadnego względu na ich wartość żołnierską. Nie mówiąc już o całej «politycznej» (czytaj policyjnej) służbie tyłowej p. Sikorskiego. Trzeba przyznać, że za łaskawym przyzwoleniem szanownej Komendy Legionów rozmaici dziennikarze, malarze, różnego rodzaju politycy, znajdowali w wojsku ciepły kącik, no i oficerskie gwiazdki. Przecie jest publiczną tajemnicą, że gdy Legiony stały się modnymi, były one zarazem sposobem «dekowania się» od służby w wojsku austriackim, a gdy się służyło politycznie Komendzie Legionów, to za jej protekcją można się było ochronić i od służby wojskowej w ogóle. Zjawisko to nazywam brutalnie «zawszeniem» wojska. Każdy żołnierz wszędzie jest narażony na to, że do jego sławy, a kosztem jego niedoli przyczepia się pasożyt «tyłowy». Powiedziałbym, że miarą «moralności» danego narodu i jego wojska jest ilość i jakość służby tyłów. Im mniej tych tyłowców i im mniej wiodą życie pasożytów, tym naród i wojsko jest zdrowsze, tym «morale» jest wyższa. Otóż trzeba przyznać, że Komenda Legionów wraz z N. K. N-em zawszyła wojsko polskie nadzwyczaj skutecznie. Przez pewien czas obawiałem się, że ilość oficerów «tyłowych» i politycznych obrońców Komendy Legionów przewyższy liczbę żołnierzy frontowych. Jest to chyba ideał pasożytniczy. Z tym zjawiskiem jednak, powtarzam, mieliśmy do czynienia dopiero później.

Gdym rozważał nasz stan uzbrojenia, gdym rozmyślał o egzaminie, który mieliśmy złożyć — a egzaminem dla żołnierzy zawsze jest bój — mówiłem sobie stale: — Ostrożnie, ostrożnie, jeszcze raz ostrożnie z ogniem. Nie bądź dzieckiem i nie puszczaj cugli swojej fantazji! — Lecz wszystko, co było we mnie charakterem, wolą, dumą i ambicją, burzyło się zawsze przeciwko takim kunktatorskim, «rozsądnym» myślom. Zresztą, zdaniem moim, nie było wyjścia. Iść na egzamin bojowy było, nie przeczę, przedsięwzięciem nadzwyczaj niebezpiecznym, ale tylko ryzykując to, ryzykując dużo, można było wygrać to, co przede wszystkim wygrać należało: zaufanie do siebie i szacunek żołnierski u otoczenia. Tak też i z początku postępowałem: stawiałem zawsze bardzo dużo na kartę. Marsz

na Kielce, zdaniem moim, należał do najśmielszych akcyj wojennych. Do takich śmiałych prób zdania egzaminu należą również kilkudniowe boje pod Nowym Korczynem i Opatowcem, boje, pamiętne pewno dla wszystkich żołnierzy, którzy byli pod moją komendą. Po innych, ciężkich bitwach, któreśmy w ciągu wojny przebyli, już jako starzy, zcynicznieli żołnierze, wydają się boje nasze nad Wisłą fraszką i zabawką dziecinną. Śmiem jednak twierdzić, że wydają mi się one, gdy o nich wspominam, śmielszymi, niż inne, bo były pierwszymi, toczonymi w warunkach technicznie ciężkich, a moralnie trudnych, zwłaszcza wobec ówczesnej przegranej wojsk austriackich.

W Kielcach odbywała się ciężka, trudna praca organizacyjna. Strzelec ze Związków i Drużyn Strzeleckich, zatem na trzy czwarte cywil, przerabiał się na żołnierza. Obok tego szła praca zagospodarowania oddziału. Więc zakładaliśmy warsztaty wszelkiego rodzaju, formowaliśmy tabory i. t. d. Poza tym dokonywałem w Kielcach, jako pierwszym większym mieście Królestwa, próby politycznego związania ludności z nami. Kielce, jednym słowem, były bazą strzelecką, skoro Kraków, niestety, nią w owe czasy prawie nie był. Stamtąd przyszli ludzie, no i pierwsza licha broń, reszta musiała być stworzona własnymi siłami.

Wobec tego nic dziwnego, że Kielce miały dla mnie pierwszorzędne znaczenie wojenne, tak, jak każda podstawa wojny dla wojska. A tym czasem już po tygodniu spokojnego naszego pobytu w Kielcach miasto stało się pełnym dziwnych pogłosek, alarmujących wszystko, co żyło. Opowiadano więc o dziesiątkach tysięcy jazdy rosyjskiej, która idzie z Warszawy na Kielce i Kraków. Wymieniano nawet gen. Miszczenkę, jako wodza masy kawalerii, wyrzuconej przez Rosjan na lewy brzeg Wisły, z kierunkiem marszu na Kraków, no i, naturalnie, z rozkazem zniszczenia przede wszystkim Kielc, a w Kielcach specjalnie mnie i moich strzelców. Te alarmujące pogłoski niepokoiły nie tylko nas, lecz i niewielką załogę austriacką i niemiecką, która stała w Kielcach. Wieści te dochodziły do Krakowa, skąd zarówno władze wojskowe, jak i politycy od opieki nad Legionami, raz po raz zapytywali Kielce, czy aby te alarmy nie są prawdziwe. Do mnie wpadał ciągle z tymi niepokojącymi wiadomościami podpułkownik pruski, dowodzący załogą niemiecką. Był to skądinąd bardzo porządny człowiek i żołnierz — nazwisko jego wyszło mi z pamięci, słyszałem, że jakoby poległ potem pod Warszawą. Powiedziałem mu, że biorę na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo kieleckiego garnizonu i ręczę, że niespodzianie napadnięci nie będziemy.

Wielką jest zaiste zasługą Beliny i mego biura wywiadowczego, złożonego prawie wyłącznie z kobiet, że mogłem wówczas posiadać dane o nieprzyjacielu. Opasałem wywiadami szerokie półkole dokoła Kielc tak, że istotnie byłem spokojny. Belina dokazywał po prostu cudów. Biedni ułani! Na siodłach, zdatnych do spacerów, niewtrenowani do dłuższych marszów, zajeżdżali konie, siedzenia zbijali na kotlety; uzbrojeni w długie, niezdatne do konnej służby karabiny, do krwi rozdzierali sobie plecy, a jednak wytrwale odbywali patrolowanie, robiąc niekiedy po 60—80 km dziennie w różnych kierunkach. Jeszcze bardziej ofiarnie pełniły służbę kobiety. Na furmankach tłukły się one samotnie po wszystkich drogach, zataczając kręgi znacznie obszerniejsze, niż jazda, bo sięgające do Warszawy, Piotrkowa i Dęblina. Na podstawie moich danych uspakajałem mego Niemca. Narazie nie było się czego obawiać. Nad Pilicą, na północy, jeden pułk dragonów starał się dowieść, że jest nie pułkiem, a co najmniej korpusem jazdy. Kawaleria rosyjska była wprawdzie szeroko rozrzuconą nad Pilicą, robiła wywiady na południe i wschód, ale wywiad mój napotykał ciągle na jeden tylko i ten sam pułk.

Sam więc byłem spokojny, ale uspokoić swego otoczenia nie mogłem. Te głupie pogłoski o masach kawalerii robiły swoje. Przypuszczam, że były rozmyślnie puszczane, a że ludność składała się z Żydów i Polaków — nacyj, wypędzających bardzo starannie z głowy wszystko, co pachnie wojną, a zatem ludzi, niezwykle łatwowiernych i poddających się strachowi — więc nerwowy stan otoczenia udzielał się niewielkiej załodze Kielc, ba, sięgał dalej, aż do bram Krakowa. Lecz wkrótce sytuacja zaczęła się pogarszać. Austriacy przegrali walne bitwy pod Lwowem. Armia Dankla i grupa Kummera zostały w części rozbite, w części zmuszone do szybkiego odwrotu z Lubelszczyzny. Teraz zaczynało być istotnie ciepło. Na naszym lewym brzegu Wisły pierwsze dane o pogorszeniu sytuacji otrzymałem od swych wywiadowczyń aż spod Radomia, gdzie operował gen. Nowikow. Było to jeszcze daleko od nas, ale jednak zaczynało wzbudzać istotny niepokój.

Miałem wówczas zamiar przyjąć pierwszą bitwę pod Kielcami. Liczyłem, że będę miał przed sobą kawalerię rosyjską, a ta, po moich doświadczeniach z pochodu na Kielce, nie wzbudzała we mnie szacunku. Szło mi zaś o to, aby nawet w wypadku, gdybym miał opuścić Kielce, nie pozostawić po sobie wrażenia, że jesteśmy jakby dalszym ciągiem «uciekinierów» z 1863 r. Cofnąć się możemy, lecz wtedy, gdy pierwszą obroną wykażemy, że bić się potrafimy, a przy cofaniu się

umiemy należycie zęby pokazać. Tam więc koło Kielc wybierałem sobie plac pierwszej większej bitwy. Nie sądzonym jednak mi było mieć bój pod tym miastem. Może być, że się stało i dobrze, gdyż Kielce same uniknęły ciężkiej kary i zemsty. Dotąd jednak żal mi, żem nie zatrzymał się przy swojej pierwszej decyzji i uległ okolicznościom. Okoliczności zaś były następujące.

Pewnego dnia przyszedł do mnie podpułkownik pruski z depeszą, że wojsko niemieckie nazajutrz wychodzi z Kielc, my zaś będziemy odwiezieni koleją do Krakowa, czy pod Kraków, prosi więc, abym się do tego wyjazdu przygotował. Oświadczyłem mu, że może on wychodzić z Kielc, dokąd mu się podoba, ja zaś zostanę w mieście, dopóki nieprzyjaciel nie zmusi mnie do cofnięcia się z niego. Nazajutrz rano zawiadomił mnie, że rozkaz wymarszu cofnięto i że zostaje narazie i on, prosi jednak, abym wzmocnił swoje wywiady, bo on ze swymi landszturmami, złożonymi z ludzi o dosyć podżyłym wieku, nie jest w stanie prowadzić na szeroką skalę wywiadów dokoła miasta.

Przez dwa dni był spokój, lecz wieczorem dosyć późnym, dnia drugiego, przyszedł do mnie znowu komendant pruski ze swym adiutantem, przynosząc mi tym razem i depeszę do mnie z Krakowa od Komendy Legionów. Telegram brzmiał, że mam razem z Prusakami i Austriakami wymaszerować nazajutrz rano z Kielc w kierunku Staszowa, rekrutów zaś mam odesłać nazajutrz, rannym pociągiem do Krakowa. Podpułkownik pruski dodał, że to nie jest cofanie się, lecz — odwrotnie — idziemy w kierunku nieprzyjaciela, który się ukazał koło Staszowa, liczy więc, że nie zechcę odmówić mu pomocy. Ciężko mi było istotnie odmawiać w tym wypadku. Przed dwoma dniami mowa była jedynie o cofaniu się do Krakowa, teraz o marszu w kierunku nieprzyjaciela. Odpowiedziałem, że się namyślę, i umówiłem się, że jeżeli pójdę razem, to wymarsz nastąpi raniutko, o świcie, ze zbiórką u rozdwojenia szos: krakowskiej i chmielnickiej. Po jego odejściu spędziłem bardzo przykrą godzinę, namyślając się, co mam uczynić.

Dobrze było mówić każdemu Austriakowi czy Prusakowi, że wychodzi z Kielc za kilka godzin. Żaden z nich niczym nie był z miastem związany, każdy otrzymywał wszystko, co mu potrzeba czy z Berlina, czy z Wiednia. Było im zupełnie obojętnym, czy to, co wyciskają z miejscowej ludności, biorą z Kielc, czy z innego miejsca. Żaden z nich również uczuciowo nie miał nic wspólnego z miastem. Dla mnie była to operacja i trudna i bolesna. Trudna dlatego, że w Kielcach założone

zostały wszelkie warsztaty: krawieckie, szewskie, rymarskie, tu pod względem wyekwipowania była moja baza, już do pewnego stopnia zorganizowana, i rozstać się z nią było niełatwo bez zmarnowania włożonej pracy i materiału. Tu też rozpoczęła się wcale nieźle praca organizowania nowych formacji wojskowych. Wreszcie względnie wielka ilość osób w Kielcach zaangażowała się w stosunki z nami. Opuścić ich bez pomocy — znaczyło wydać ich na zemstę nieprzyjaciela. Nie mogłem przecie mieć takiego stosunku do pracy, jak komendant Legionów, który, dowiedziawszy się od stojącego na warcie żołnierza, że jest moim rekrutem z Jędrzejowa, pogroził mu palcem, dodając: «Poczekaj, poczekaj! Przyjdą Moskale, to cię powieszą!»

Zostać jednak w Kielcach było bardzo trudno, powiedziałbym więcej — było niemożliwe. Pod względem technicznym byliśmy bardzo śmieszną organizacją, jak na r. 1914. Jeżeli w pierwszej chwili zgodziłem się na próbę wymarszu z werndlami, to teraz odczuwałem wyraźnie, że jestem w celach bardzo dziwacznych jak gdyby szantażowany przezbrojeniem nas w normalną broń repetierową. Szło o poddanie się komuś bez zastrzeżeń. Lecz gdy rozważałem pytanie, komu właściwie mam być poddany, nie mogłem znaleźć odpowiedzi dla samego siebie. Nie mogłem zdać sobie z tego sprawy, gdyż szantaż prowadzony był z dwóch, że tak powiem, stron: ze strony N. K. N., czyli organizacji polskiej, i ze strony austriackich oficerów sztabu, spomiędzy których każdy mówił co innego. Jeden udawał patriotę polskiego, chcącego razem ze mną konspirować przeciw Austriakom, tak, że wydawał mi się ajentem prowokatorem, drugi ze wzruszeniem ramion mówił o wszelkich próbach N. K. N-u, trzeci żądał po prostu poddania się N. K. N-owi, grożąc rozbrojeniem nawet z werndlów i. t. d. Wyglądało mi to tak, że z jednej strony lekceważono nas zupełnie — na co byłem w pierwszych chwilach wojny przygotowany — z drugiej zaś strony szukano zrobienia jakiegoś niezrozumiałego dla mnie geszeftu czy kariery, kosztem naszym i naszej skóry. Nieraz zastanawiałem się, czy różni panowie z N. K. N-u i oficerowie sztabu, z którymi miałem do czynienia, odpowiadali przed jakąś władzą przełożoną za swoje postępowanie w stosunku do nas. W każdym razie pewnikiem dla mnie było, że jeśli ich obietnice i szantaże są czynione dla jednego i tego samego celu, to niedostatecznie się umówiono przedtem, nim rozpoczęto rozmowę ze mną. Przez cały ów czas miałem wrażenie, że mam do czynienia raczej z jakimś osobistym interesem tych wszystkich panów, którzy nie czuli się zobowią-




Podziałka 1:100.000

NOWY KORCZYN—OPATOWIEC

zani do mówienia prawdy swojej władzy. Jakimś niewyraźnym na razie celem, o ile zrozumieć mogłem wtedy, była chęć odebrania mnie i moim strzelcom możliwie dużo z tej samodzielności, którą dawała mi pierwsza umowa z Austrią. Chciano narzucić nam zewnętrzne cechy austriackie, poddać nas rozkazom nieledwie pierwszego lepszego drobnego oficera czy nawet agenta szpiegowskiego. Głównym momentem szantażu było uzbrojenie, tym próbowano stale wydobyć ze mnie zgodę na coraz nowe, coraz inaczej brzmiące propozycje, idące jednak zawsze w kierunku zmniejszenia naszej samodzielności. Ta widocznie była głównym wrogiem, główną naszą zbrodnią i wobec rozumujących Polaków z N. K. N-u, i — co już było bardziej naturalnym — wobec różnych przedstawicieli władzy wojskowej austriackiej.

Wahałem się, czy mogę pozostać w Kielcach. Byłem niedostatecznie uzbrojony, wyekwipowany licho wie jak, bez ładownic, bez płaszczów, bez butów, wytrzymujących dłuższe marsze, bez środków, pozwalających żołnierzowi wieść w polu swoje skromne życie, wreszcie bez kuchen polowych, tego dobrodziejstwa żołnierza na wojnie. Byliśmy umundurowani licho, po strzelecku, za własne pieniądze, nie stanowiliśmy oddziału zdatnego — według powszechnego sądu t. zw. fachowców — ani do boju, ani do jakiejkolwiek operacji wojennej, wymagającej wysiłku pracy żołnierskiej przez kilka dni, bez żadnej przerwy.

Tym bardziej, tym silniej wzrastała we mnie wtedy chęć do ulegania temu sądowi, tym chętniej poszedłbym wbrew rozkazom, opartym na tym lekceważącym nas mniemaniu. Nie chciałem ustąpić przed głupotą sądów fachowych, przed sądami tchórzliwych mądrali polskich, powtarzających te fachowe dogmaty z głupotą w drugiej czy nawet dwudziestej potędze. Wahałem się. Przerzucałem raz po raz mapy, szukając wyjścia. Upierałem się przy zasadniczej myśli, której się trzymałem przy decyzji wymarszu z werndlami, dającymi od pierwszej chwili spotkania z nieprzyjacielem przewagę broni w jego ręce. Tą zasadniczą myślą były lasy. Te usuwają przewagę dalekonośności i szybkostrzelności, dają możność walki z równymi szansami. Błyskała mi myśl wyjścia naprzód i zajęcia gdzieś pozycji dalej od Kielc w lasach samsonowskich, tak, by mieć zapewnioną drogę odwrotu leśnymi drogami; to znów plan pójścia ku Miechowowi, trzymając się lasów na północ od kolei i szosy Miechów—Kielce, albo, co byłoby już trudniejszym, posunięcia się ku Pińczowowi i oparcia się na Nidzie. Powtórzyć chciałem w lepszy sposób niefortunny kontredans

Langiewicza koło Nidy, zakończony upadkiem operetkowej jego dyktatury. Odrzuciłem wreszcie te myśli i odłożyłem próbę zdania egzaminu bojowego, próbę zdobycia pracą i bojem szacunku dla siebie i strzelców.

Po pewnym wahaniu się powziąłem decyzję. Część oddziału pod dowództwem Sosnkowskiego pójdzie rano z Prusakami. Ja z częścią jazdy i dwoma batalionami piechoty zostanę jeszcze pół dnia w Kielcach. Przez ten czas ewakuuję Kielce z wszystkiego, co zostać tam nie może, i z tego, co mogłoby paść ofiarą zemsty nieprzyjaciela. Potem pomaszeruję również ku Wiśle, stanowiąc, że tak powiem, straż tylną. Ta straż tylna, wbrew wszelkim zasadom, miała być przeciążona do niemożliwości mnóstwem taborów wszelkiego rodzaju.

Decyzja ta dużo mnie kosztowała. Tak było ciężko rozstawać się z pracą, która i ładnie już tu się rozpoczynała, i była jedyną nadzieją na samodzielną przyszłość wojskową. Galicja była jedynie odskocznią, egzamin trzeba było złożyć nie gdzieindziej, jak w Królestwie. Ale trudno — decyzja została powzięta i tejże nocy zostały wydane odpowiednie rozkazy. Niektóre oddziały, rozesłane na wywiady i ochronę, trzeba było ściągać aż spod Końskich.

O świcie większość mego oddziału z Sosnkowskim odmaszerowała w stronę Chmielnika. Całe przedpołudnie byłem zajęty bolesną operacją ewakuacji Kielc. Na szczęście, pociąg ewakuacyjny istotnie przyszedł, można więc było dużą część wyprawić koleją, inaczej moja ariergarda wyglądałaby raczej na jakąś część wędrówki narodów, niż na wojsko. Dowódca pociągu prosił, bym nie wymaszerowywał z miasta dopóki pociąg nie odjedzie. Prośba była zupełnie naturalna. W Kielcach prócz moich dwóch batalionów i garstki beliniaków nie było już wojska, a pogłoski, coraz bardziej alarmujące, przychodziły raz po raz. Sam otrzymałem pewną wiadomość, że kawaleria rosyjska zbliża się od strony Radomia i Końskich. Jeszcze chwilę walczyłem z sobą, czy nie doczekać chociażby pierwszych patroli i ostrzelać plac pod Kielcami. Nie! Odrzuciłem raz jeszcze tę najprzyjemniejszą dla mnie decyzję. A tymczasem żegnałem się z Kielcami, z pałacem byłym biskupim, ogrodem, powiem wprost, z najpiękniejszą i najserdeczniej kochaną pracą i... — czego jeszcze nie wiedziałem — z najmilszym, bo najsamodzielniejszym okresem wojny. Pociąg nie odchodził o zamierzonym czasie, chwile pożegnania przeciągały się. Dopiero pod wieczór tabor i oddział ściągnął się na drogę do Chmielnika. Zdecydowałem zanocować w Morawicy. Nieprzyjaciela pod Kielcami jeszcze nie było.

Marsz nasz był łatwy, krótki i przy wieczornym chłodzie nie nużący. Dokuczał trochę kurz. Gdym jechał konno gdzieś na końcu kolumny, zastanawiałem się, jak to na wojnie inaczej się marsze odbywają, niż na szkolnych ćwiczeniach. Szliśmy marszem niby ubezpieczonym. Strzec musiałem specjalnie swej lewej flanki, skąd oczekiwałem nieprzyjaciela. Szczególnie zabawnie wyglądało to ubezpieczenie, gdyśmy weszli w korytarz, mający po obu stronach duże parcele leśne, oddalone od drogi o jakieś pięćset—osiemset kroków. Wobec dużego taboru kolumna nasza marszowa była niezmiernie długą, ciągnęła się co najmniej półtora, jeśli nie całych dwa km. Gdybym chciał być tak ostrożnym, jak to nakazują szkolne regulaminy, nie doszedłbym po prostu dnia tego do Morawicy i zamęczyłbym wojsko patrolowaniem tak trudnego do przejrzenia terenu. Ograniczyłem się zaś do wysłania na lewo, poza las, paru konnych patroli, reszta maszerowała spokojnie kolumną po drodze. Próbowałem ustanowić jakiś związek pomiędzy kolumną a boczną osłoną, ale ani razu nie udało mi się tego zrobić. Przestrzeń wobec lasów była bardzo duża, a ludzi, użytych do osłony, bardzo mało. Maszerowało się zatem raczej pod osłoną boską, niż przy istotnym ubezpieczeniu wojskowym.

W Morawicy miałem bardzo miły nocleg we dworze. Niespodziewanie spotkałem tam panią M. z dziećmi, żonę jednego z moich przyjaciół, u którego dziesiątki razy nocowałem w Kijowie podczas swoich nielegalnych wędrówek po państwie cara. Dzieci, że tak powiem, rosły w moich oczach. Miałem bardzo przyjemną chwilę. Tamże w nocy otrzymałem raport od Sosnkowskiego, który mi donosił o nadzwyczajnie uciążliwym marszu do Lisowa, gdzie stanęli na noc. Wyznaczono im, naturalnie, biwak w polu, gdzie uprzywilejowani, t. zn. Austriacy i Niemcy, zajęli kwatery we wsi. Nazajutrz równie gwałtownym marszem miano podsunąć się pod Staszów. Pożałowałem, żem nie zostawił przy sobie jeszcze jednego batalionu — mieliby chłopcy daleko lepszy wypoczynek. Niestety, musiałem wyznaczyć na następny dzień marsz równie gwałtowny, ażeby zbliżyć się do maszerującego przede mną oddziału, który mógł już zgodnie z tym, co mi mówił pruski podpułkownik, wejść pod Staszowem w prawdopodobny kontakt z nieprzyjacielem. Nakazałem więc wymarsz bardzo wczesny. Wiedziałem, że nie będzie on łatwy. Nie mieliśmy kuchen polowych, które zawczasu przygotowałyby śniadanie dla ludzi, a w drodze podczas marszu na to, by zjeść obiad, musieliśmy znowu sobie radzić, gotując po chatach, co zabierało i dużo czasu, i wymagało pracy wielu ludzi. Nie było jednak rady,

więc rozkazy wydałem ostre, nakazując absolutną punktualność.

Marsz istotnie był bardzo ciężki. Jeszcze na razie o porannym chłodzie szło się bardzo raźnie. W Lisowie zastałem większą część taboru Sosnkowskiego, która jeszcze nie odmaszerowała. Była to garść chorych i słabych, dla których doktor szukał furmanek. Tu opowiedziano mi zabawną scenę podczas nocy na biwaku pod Lisowem. Strzelcy rozpalili ognie i, zebrawszy się koło ognisk, rozpoczęli chóralny śpiew. Wywołało to niepokój u nocujących w chatach Austriaków i Niemców. Przybiegł jakiś oficer z poleceniem, by zgaszono ognie i zaprzestano śpiewu; lasy są jakoby pełne kozaków i ten hałas gotów ich ściągnąć do Lisowa. Sosnkowski, oburzony, odpowiedział, że noc jest chłodna, jemu nie wyznaczono ani jednej chaty, więc musi pozwolić palić ognie, a co do tego, że «die Stschelzen singen», co ma sprowadzić kozaków, to i on, i strzelcy bardzoby się ucieszyli, gdyby istotnie przyszli kozacy, mieliby przyzwoity bój, a nie spędzanie bezsennej nocy pod gołym niebem i zazdroszczenie kolegom ich noclegu w ciepłych chatach. Pozostawiono biednym strzelcom wobec tego swobodę palenia ognisk i śpiewania. Odtąd przez dłuższy czas przysłowiowym było w całym moim oddziale określenie «die Stschelzen singen».

Z tego opowiadania wywnioskowałem, że jednak ciągłe gawędy o niezliczonym mrowiu kozaków, ukrytych po lasach, robią swoje: czynią ludzi nerwowymi. W tym samym Lisowie i mnie opowiadano przy szklance herbaty, którą tam zdążyłem przełknąć, o tych kozakach, kręcących się w lasach okolicznych. Nie zwróciłem na to uwagi i nie zwiększyłem osłony swego marszu. Coś niecoś w tych opowiadaniach było jednak prawdy, bo gdym wyszedł z lasów lisowskich na otwarte pola pod Chmielnikiem, to na prawo na wzgórzach ukazywali się konni, jadący w kierunku już od Chmielnika. Ale byli to poszczególni jeźdźcy, którzy, rzecz prosta, nie odważyliby się zaczepić kolumny. Nie spostrzegłem nawet jakiegoś zdenerwowania u chłopców, sam zaś spokojnie zatrzymałem cały oddział w Chmielniku na dłuższy odpoczynek obiadowy. Nie mogę jednak nie przyznać, że sam byłem trochę niespokojny. Gdym przeszedł przez rynek, zawalony po prostu wozami tak, iż przecisnąć się było trudno, gdym zobaczył swoich chłopców, łażących po miasteczku w poszukiwaniu prowiantów, papierosów itp. rzeczy, pomyślałem, że jeden szwadron, mający odwagę rzucenia się w ciasne uliczki miasteczka, narobiłby tu szalonego bigosu. Placówki dookoła były wystawione, ale chło-

pcy, uzbrojeni w werndle, z trudnością zatrzymaliby śmiało idącą naprzód jazdę.

Nieraz podczas wojny miałem do czynienia z podobnymi przypuszczeniami co do działań nieprzyjaciela. Nigdy właściwie człowiek na wojnie nie jest zupełnie pewny, zawsze są możliwości dla nieprzyjaciela szkodzenia i zrobienia jakiejś mniejszej lub większej przykrości. Zawsze w takich wypadkach przychodzą do głowy różne środki zapobiegawcze i zawsze odbywałem z sobą krótką walkę z powodu myśli o tym zapobieganiu. Każdy taki środek opłacić trzeba przecież mniejszą czy większą pracą i wydatkiem nerwowym żołnierza. Widziałem podczas wojny tak często brak oszczędności pod tym względem i lekkomyślne marnowanie pracy i nerwów żołnierskich dla spokoju pana dowódcy. Dlatego doprawdy rad jestem, żem od początku wojny zawsze wychodził zwycięsko z walk z tą pokusą zapobiegania wszystkim możliwym niespodziankom. Rozstrzygałem prawie zawsze na korzyść nerwów żołnierza, na niekorzyść swoich własnych. Brałem niepokój na siebie i wolałem przeżyć kilka chwil przykrych i denerwujących, niż zrzucić z siebie brzemię tego niepokoju kosztem odpoczynku i spokoju moich żołnierzy. Później, gdy byłem już pewien i siebie, i swoich oficerów, i żołnierzy, że damy sobie radę, byłem w takich chwilach o wiele spokojniejszy i nie kosztowały one mnie tak dużo, ale na początku wojny, gdy tej pewności nie miałem jeszcze, nieraz odbywałem z sobą ciężką i przykrą walkę. Zewnętrznie wyrażało się to zawsze w zwiększonej ilości wypalonych papierosów i zaciętym milczeniu.

W Lisowie postąpiłem zgodnie z moją metodą. Upewniłem się tylko, czy placówki istotnie rozstawione, kazałem zmniejszyć, o ile możności, ilość żołnierzy, włóczących się za zakupami w miasteczku, i poszedłem na herbatę.

Z Chmielnika ruszyliśmy w kierunku Staszowa. Droga zrobiła się znacznie cięższa. Przedtem maszerowaliśmy szosą, teraz wpadliśmy na drogę, która może niegdyś była szosą, ale dziś była pełną piaszczystych wybojów. Upał nie ustawał. Kolumna i wozy szły w obłokach kurzu, kurzu tak gęstego, że ludzie nikli po prostu w tych tumanach, stając się coraz bardziej podobnymi do jakichś murzynów. Paliło szalone pragnienie, język przysychał do podniebienia, a suchość czuło się gdzieś w okolicy żołądka. Musiałem coraz częściej przystawać, a przy przemarszu przez wsie pozwalać na dłuższe odpoczynki dla nabrania wody. Kolumna się rozciągała i pełzła w tumanach kurzu leniwie i ospale. Zamilkły śpiewy, coraz więcej chłopców siadało przy drodze dla chwilowego odpoczynku.

Z każdego batalionu kilku oficerów i lekarz zbierali tych biednych osłabłych chłopaków, zachęcając ich do nabrania siły i pocieszając, że ot tam, za tą górką lub laskiem już koniec marszu i odpoczynek.

Wyjechałem naprzód przed kolumnę. Zbliżał się wieczór; odczuwałem, że niepodobna będzie kontynuować marszu dalej. Trzeba było zatrzymać się na odpoczynek. Na pagórku stał dwór Grabie Wielkie wraz ze wsią tej samej nazwy. Zdecydowałem, by dać tu ludziom dłuższy odpoczynek. Wysłałem naprzód kwatermistrzów i stanąłem pod pagórkiem, na który droga stromo prowadziła po piasku. Mój ty Boże! żal mi było patrzeć! Z przechodzącej kolumny raz wraz osuwał się do rowu przydrożnego żołnierz i padał bezsilnie na trawę. Na ten ostatni pagórek nie starczyło mu już sił!

Pojechałem do dworu i wysłałem stamtąd lekarzy z wozami, aby ściągnąć osłabłych na nocleg. Zapadał duszny, nie przynoszący ulgi swą ochłodą, wieczór. W Grabiach ku wielkiemu swemu zdumieniu ujrzałem tabor pruski, idący na powrót w stronę Chmielnika. Ciężkie, przeładowane wozy zarzynały się w piach nieledwie po osie: konie, równie ciężkie i ogromne, pokryte potem i pianą, z trudnością wyciągały wozy z jam i dziur na drodze. Obok szli flegmatycznie opaśli landszturmiści, pykając fajki. Dziwnie niedostosowany do naszych dróg był ten ciężki, ładowny tabor niemiecki. Nie mogłem zrozumieć tego powrotnego ruchu taborów. Wysłałem oficera sprawdzić, co to znaczy? Okazało się, że wozy po tej drodze dalej iść nie mogą, wracają na szosę do Chmielnika, skąd pójdą szosą na Busk do Nowego Korczyna. Gdzież więc ten marsz ku nieprzyjacielowi? Wkrótce otrzymałem wyjaśnienie.

Od Sosnkowskiego przyszedł raport. Marsz mieli równie ciężki, jak my. Nasi kawalerzyści poszli aż do Staszowa. Mieli niewielką potyczkę z patrolami rosyjskimi, które szły od wschodu. Cały oddział jutro rano ma iść na południe na Wisłę, by pod Szczucinem przejść Wisłę i pójść do Galicji. Marsz jutrzejszy wyznaczony jest do Pacanowa.

Byłem wściekły! Więc do Galicji! Gdzieś się kilku kozaków ukazało i my wszyscy pospiesznie mamy zmykać od nich? Po co w takim razie wychodziłem tak pospiesznie z Kielc? Stamtąd tak samo wygodnie, a raczej jeszcze wygodniej mogłem zdążyć do Galicji, ale odchodziłbym pod istotnym naciskiem nieprzyjaciela, cofając się krok za krokiem, zmuszając go do rozwinięcia swych sił. Nie zostawiłbym ani wrogom, ani swoim podwładnym cienia wątpliwości, że się cofamy, jak żołnierze, a nie umykamy, jak zające, z powodu lada pogłoski

głupiej o tysiącach kozaków, reprezentowanych realnie przez kilkunastu jeźdźców z patrolów. Dusiła mnie pasja! Bo teraz co? Grabie Wielkie niechybnie są bardzo ładnym miejscem na świecie, mam dla nich duży szacunek, ale co tu właściwie robić, gdy w Kielcach i okolicy każda godzina była wartościową? Zostawać w Grabiach, tak, jak chciałem to zrobić w Kielcach, nie ma najmniejszego sensu i celu. Jestem po prostu zmuszony do dalszego marszu do Galicji.

Jednak w głębi duszy istniała taka głęboka niechęć do opuszczenia Królestwa bez jasnego nacisku ze strony nieprzyjaciela, że i rozkazy, które w sprawie marszu wydałem, miały charakter ociągania się. Wyruszyć mieliśmy późno, jako cel marszu wyznaczyłem Stopnicę — ostatnie powiatowe miasto w Królestwie. Gdzieś jeszcze żyła nadzieja, że może się coś odmieni, a może łaskawe nieba zeszlą mi wreszcie kozaków, abym mógł z Królestwa wychodzić, jako walczący żołnierz, a nie jako uciekający przed paru kozakami demonstrant.

Nie mogłem się pozbyć uporczywej chęci zwalczenia tradycji myślowej naszego polskiego społeczeństwa w stosunku do 1863 r. Znałem doskonale tę tradycję! Pobłażliwa pogarda bardzo a bardzo rozumnych i praktycznych ludzi wobec śmiesznie głupiutkich stworzeń rozmazanych marzeniem o samodzielnej pracy polskiej, — to najwzględniejszy sąd, który spotkać mogliśmy dla siebie w tej tradycji. Obok zaś taki rozumny, taki praktyczny geszefcik, taki, co niecałe trzy grosze dziennie zarabia, a osłonięty ogromnym, olbrzymim hasłem patriotycznej pracy organicznej, której przeszkadzają takie właśnie wariaty! Piękna polska tradycja po klęsce 1863 r.! Znałem to dobrze i wiedziałem z góry, do czego ta tradycja prowadzi — do najczarniejszych, do najsmrodliwszych sprzedaży i siebie, i polskich interesów, i polskiej samodzielności — każdemu, kto płaci. Znowu więc, dla pociechy tych tradycyjnych Polaków, mam być «uciekinierem» z czasów 1863 r.! Po to mnie może uzbrojono licho, po to zrobiono wszystko, bym nie mógł dobrze i przyzwoicie walczyć. Po to, by tym pewniejszy był tryumf «praktycznej, geszefciarskiej» myśli nad upartą głupotą «romantyków» o «samodzielnych» głowach!

Nieba nie były łaskawe! Noc minęła zupełnie spokojnie, równie spokojnie i pierwsze ranne godziny. O nieprzyjacielu ani słuchu, ani duchu. Nie, przepraszam, otrzymałem niezwykle zabawny meldunek o zbliżającej się «czarnej sotni». Tak! «czarnej sotni»! Rzecz się tak miała. Jeden z chłopców z V batalionu — jednego więc z tych, które maszerowały ze mną, a zatem ostatnie wyszły z Kielc — robotnik z Podgórza pod

Krakowem, zawieruszył się jakoś przy odchodzeniu forpoczt z przed Kielc i pozostał sam, jako jedyna wojskowa osłona miasta od nieprzyjaciela. Jeden z tych wielu filozofów-dłubinosków, jak ich nazywałem, którzy w początku wojny lubili się gapić, rozkoszując się filozoficznie swobodnym życiem żołnierskim, którego dotąd nie znali. Otóż ten żołnierz doczekał pod Kielcami przyjścia Moskali, widział ich, oglądał, potem udał się do okolicznych mieszkańców, którzy go nakarmili i przebrali za wiejskiego chłopaka. W tym przebraniu powędrował za nami. Gdy przeszedł pod Morawicą forpoczty rosyjskie, dobrodusznie pożegnały go one uderzeniem nahajki po plecach. Dotarł wreszcie do Grabki, do oddziału, i teraz właśnie meldował mi swoje spostrzeżenia. Twierdził, że do Kielc przyszła «czarna sotnia».

— Jaka czarna secina? — pytam — czy to byli ludzie cywilni?

— Nie, Obywatelu Komendancie! Nie cywilni, wojsko!

— Więc jakaż to czarna sotnia? Dlaczego tak to wojsko nazywacie?

— Jakże, Obywatelu Komendancie! Czarna sotnia, na pewno. I konie były czarne, i mundury, i spodnie też czarne! Widziałem na własne oczy. Tylko srebrne galoniki mieli na spodniach, reszta wszystko czarne, nawet konie!

Uśmiałem się serdecznie. Jeden z pułków rosyjskich, zdaje się, huzarskich, tak właśnie jest umundurowany, a mój podgórzanin, który tyle czytał o okrucieństwach «czarnej sotni» w Rosji, uznał natychmiast tych huzarów za okrutną awangardę rosyjską, idącą wywierać w Kielcach zemstę na strzelcach.

Powtarzam, nieba nie były łaskawe: ani od Staszowa kozacy, ani od Kielc i Morawicy «czarna sotnia» nie ukazała się wcale, aby dać mi satysfakcję boju w Królestwie, a wyznaczony czas wymarszu zbliżył się. Jeszcze chwilka oczekiwania i opuściliśmy Grabie, maszerując ociężałym marszem ku Wiśle. Marsz i tym razem był ciężki, powietrze duszne, parne, przeddeszczowe. Jakoż, gdyśmy pod wieczór zbliżali się do Stopnicy, lunął deszcz, zmieniając drogę w brudne lepkie błoto. Do miasta wchodziliśmy, gdy już ściemniało zupełnie.

Po wysłuchaniu raportu o rozkwaterowaniu wojska wyszedłem na rynek. Plac, jak w Chmielniku, był zapchany taborami; konie wyprzężone chrupały owies i siano, na wozach, nakryci derami, leżeli woźnice, w ogromnej części miejscowi włościanie. I tak samo, jak w Chmielniku, myślałem:

— Jak tu łatwo o popłoch, jak łatwo uczynić mnóstwo

szkody! Śmiały napad nocny mógłby rozbić wszystkie moje szacowne zbiory kieleckie!

Trochę niepokoju wkradło mi się w duszę i poszedłem sprawdzić osłonę najniebezpieczniejszego kierunku — wschodniego. Tu było spokojniej — byłem wśród wojska, nie wśród taborów. Placówka stała przyzwoicie, wysyłała przed siebie patrole, a jednak i tu ile sposobności dla przedsiębiorczego i odważnego przeciwnika!

Pomimo tych niepokojów zasnąłem smacznie, marząc wciąż o tym, że nieba będą mi łaskawsze w Stopnicy, niż w Grabiach, i ześlą mi jutro jaką «czarną» czy innego, mniej żałobnego koloru «sotnię» na pożegnanie z Królestwem. Od Sosnkowskiego przyszedł raport, że nazajutrz rano wyznaczono odmarsz do Szczucina. Posłałem mu rozkaz, by z całym oddziałem został w Pacanowie i czekał tam na mnie. Jeszcze nie opuszczała mnie nadzieja, którą pieściłem w duszy.

Belinie kazałem ze świtem rozesłać patrole w różne strony i postanowiłem czekać. Zwiedziłem nazajutrz rano klasztor, jeden z nielicznych, jaki pozostał w Królestwie. Tam kwaterą stał Belina. Klasztor miał tęgie mury, stał dosyć odosobniony od miasta i, zwiedzając go, przychodziła mi myśl, by tam właśnie zatrzymać się dłużej. Lecz co ja zrobię z tymi przeklętymi taborami? Cały skarb, zebrany w naszej bazie kieleckiej, był tam na wozach, a wychodząc z Kielc, dałem rozkaz niepozostawienia tam żadnego rzemyczka. Twierdziłem, że jeżeli już mamy się wycofać z Kielc, to tak, aby nie było najmniejszego śladu popłochu czy przerażenia. Byłoby więc teraz niekonsekwencją rzucać te wszystkie zapasy na łaskę i niełaskę losów. Tabor trzeba odprowadzić w bezpieczne miejsce, kto wie, czy prędko będę mógł się znowu zdobyć na organizacyjno-taborowo-warsztatową pracę, a w łaskawą opiekę z góry niebardzo mi się chciało wierzyć. Ociągałem się z rozkazem wymarszu, namyślałem się wciąż, co robić, licząc ciągle, że «czarna sotnia» ukaże się na horyzoncie. Tak czas zszedł do obiadu.

W południe zjawił się u mnie podoficer legionowy, przybyły ze Szczucina, meldując mi, że przyszło tam z kompanią saperską trochę uzupełnień dla piechoty i — co główne — transport karabinów Manlichera na zmianę naszych ciężkich, niezgrabnych i przestarzałych werndli. To było już coś. Po to warto było chodzić do Galicji. Sosnkowski zaś przysłał raport z Pacanowa, że otrzymał rozkaz, przynaglający do wymarszu, z ostrzeżeniem, że most w Szczucinie czeka tylko na nasz przemarsz, aby być zerwanym i spalonym. Sosnkowski prosił więc

o rozkazy, donosząc mi zarazem, że na wschód od Pacanowa ukazały się patrole nieprzyjacielskie.

Nareszcie kończył się szantaż karabinami! Teraz zacznie się szantaż mundurami, butami i kuchniami! Przypomniałem sobie te same manewry z karabinami przy ćwiczeniach strzeleckich. Jeden pozwalał, drugi za nic w świecie. Jeden ustępował, jak w żydowskim sklepie, mówiąc: «Niech będzie, to tylko dla pana!» — drugi akurat odwrotnie twierdził: «Dla pana? Niepodobieństwo, ten a ten urząd czy oficer nie pozwala!» I pamiętam, gdym ten system podziwiał, jeden z rozumnych oficerów sentymentalnie i sentencjonalnie tłumaczył mi, że «u nas inaczej niczego nie można zrobić!» Nie sądziłem, aby przy wybuchu wojny, gdy państwo trzeszczało od nadmiernego wysiłku i gdy tyle władzy spoczęło nagle w ręku oficera, mogło pozostać to samo. A jednak! Wydawało mi się, że widzę ten sam szykano-personalny system, który teraz jest stosowany do mnie.

Niezrozumiałym dla mnie było i to straszenie mnie paleniem mostu w Szczucinie. Przed czym czy przed kim drżą tam ci, którzy przy moście stoją? Przed kozakami, którzy się w okolicy Pacanowa ukazali? Nie chciałem ustąpić przed głupią trwogą i kazałem wydawać żołnierzom obiad. Czyż nie mają oni jeść tylko dlatego, że kogoś tchórz oblatuje?! Wreszcie z ciągłym ociąganiem się dałem rozkaz wymarszu do Pacanowa. Nieba i nie były łaskawe na nas i w Stopnicy. Odmaszerowaliśmy po obiedzie zupełnie spokojnie. W Pacanowie zastałem Sosnkowskiego z całym oddziałem. Otrzymywał on ciągle ze Szczucina gwałtujące nakazy maszerowania do Galicji z ustawicznymi groźbami spalenia mostu. Oddział, do którego należał, był w ciągu ostatniego dnia i podczas noclegu w Pacanowie w stanie wielkiego podenerwowania. Spodziewano się tam co chwila napadu ze strony Rosjan, kozaków widziano nieledwie za każdym krzakiem.

Dziwna rzecz, jak zaraźliwym jest stan nerwowy na wojnie, jak łatwo poddać się sugestii niepokoju wobec ciągłego braku istotnie pewnych, że tak powiem, oczywistych danych o nieprzyjacielu. Do Szczucina trafiłem w 30 i parę godzin po przejściu przez Wisłę Austriaków i Niemców i poza drobną zupełnie utarczką z patrolem kozackim na wschód od Pacanowa nie miałem do czynienia z nieprzyjacielem. Tym czasem Austriacy i Niemcy już się widzieli prawie osaczonymi przez mrowie kozackie. Czyż nie jest to sugestia, wynikła z ustawicznych plotek i gawęd o tym mrowiu?

Objawów takiej sugestii można obserwować na wojnie mnóstwo. Do nich należała ta po prostu mania prześladowcza,

która opanowywała ludzi na tle szpiegostwa, posługującego się rzekomo sygnalizowaniem różnego rodzaju znakami. Ile wiatraków padło ofiarą tej choroby, ile niewinnych ofiar złożyła biedna ludność polska! Ilekroć razy spotykałem się z objawami tej wojennej psychozy, tylekroć razy przypominałem sobie wypadek gen. Trasowa w czasie bitwy nad rzeką Jalu, opisany przez kapt. Swieczyna w jego wspomnieniach z wojny japońskiej. Ten trochę chory nerwowo generał upstrzył sobie, że widzi na górach przed frontem ogniki czerwone i zielone i na tej jedynie podstawie doszedł do przekonania, że jest zaatakowany przez Japończyków. Nazajutrz biednego Trasowa pozbawiono komendy.

Te ogniki i światełka to też była choroba, którą spotykałem często. Muszę przyznać, że są one istotnie denerwujące. Przypominam sobie wypadki, gdy sam siebie albo swych oficerów łapałem na przesadnej na tym tle podejrzliwości. Wśród ciemnej nocy błyska takie światełko i niknie, by zamigotać na nowo. «Po co, na co? Przecież — myślę sobie — dla zwykłej codziennej potrzeby nikt tak światłem nie manewruje». Parę razy starałem się zbadać przyczyny tych zjawisk, za każdym razem przekonywałem się, że źródłem ich są właśnie zwykłe codzienne prace, najczęściej własnego wojska. Gdym o tych rzeczach rozmawiał z wyższymi oficerami, zawsze dowodziłem, że nasz chłop, tak często analfabeta, nigdy nie da sobie rady ze skomplikowanym aparatem sygnałów świetlnych, tym bardziej z depeszowaniem systemem Morsego. Przyznać jednak muszę, że te błędne ogniki działają na nerwy i mogą wywoływać sugestie.

Przypominam sobie jeden wypadek z początków wojny, bardzo charakterystyczny pod tym względem. Po pierwszym cofnięciu się z Kielc, cały nasz oddział zebrał się pod Chęcinami. Góra z ruinami zamku była obsadzona przez Wyrwę, który miał przeczekać odejścia całego oddziału w stronę mostu na Nidzie i potem zejść na szosę i stanowić ariergardę. Gdy oddział minął górę, zatrzymałem się, by dopilnować sprawnego funkcjonowania ariergardy. Batalion Wyrwy grupkami schodził z góry na szosę i formował się w kolumnę. Było już ciemno, gdy Wyrwa mi zameldował, że są już wszyscy i że możemy odchodzić. I w tej właśnie chwili zaczęły błyskać światełka na górze, którą przed chwilą opuścili żołnierze.

— Rzecz prosta — słyszałem w szeregach — sygnalizują, że góra opuszczona!

Wyrwa, jak zwykle, wesoły, zaczął nawet odczytywać sygnały. Wyznam otwarcie, zrobiło mi się jakoś niezręcznie. Jak-

gdybym czuł jakąś wrogą nieuchwytną dłoń, czyniącą gdzieś blisko mnie jakieś niezrozumiałe dla mnie, a jednak niechybnie mi szkodzące ruchy. Błysnęła mi myśl, by kazać dać salwę w kierunku światełka, nieprzestającego błyskać na górze. Lecz wkrótce rozległ się stamtąd głos, wołający nie kogo innego, jak nas. Okazało się, że jeden z żołnierzy zapomniał przy odejściu papierośnicy i wrócił po nią na górę. Szukał swej zguby, świecąc sobie latarką elektryczną. Śmiałem się z Wyrwy, że ten już starał się odczytywać sygnały. Wyrwa był wściekły i klął żołnierza na czym świat stoi.

Powstrzymałem się od dania rozkazu strzelania w kierunku światełka. Jestem przekonany, że ogromna większość ludzi taki rozkaz by dała. To uspokaja nerwy — jest jakaś czynność, przeciwdziałająca niebezpieczeństwu. Na wojnie zaś mnóstwo rzeczy dzieje się dla uspokojenia nerwów mniejszych i większych dowódców. Przeciąża się pracą podkomendnych, pali się wiatraki, wiesza się niewinnych ludzi — wszystko pod pozorem zapobieżenia niebezpieczeństwu, właściwie zaś dla uspokojenia rozdrażnionych nerwów tego czy innego pana. «A la guerre comme à la guerre!» [1]).

Podczas naszego marszu z Kielc nie poddawałem się sugestii o mrowiu kozackim, otaczającym nas dokoła. Miałem tę satysfakcję, żem ostatni schodził z pola, chociaż, zdaniem moim, i moje zejście z pola było przedwczesne i śmiało mogło być jeszcze o całą dobę, jeśli nie o dwie, odciągnięte bez żadnej szkody dla oddziału. Gdybym nie miał taboru, prawdopodobnie na złość tym strachom i sugestiom, zostałbym jeszcze w Królestwie. Tak przykro, tak ciężko było z nim się rozstawać i wracać do Galicji, skąd się na wojnę wyszło. Zdawało się — a i istotnie tak było — przekroczenie powrotne granicy zamyka na wieki część tego, czym się żyło w początku wojny. Odsuwa bezpowrotnie w przeszłość coś bardzo drogiego. Drogiego, bo jakąś prawie urzeczywistnioną prawdę o samodzielnej pracy polskiej i widocznym, jasnym jej rozwoju.

Ze smutnym i ciężkim sercem wkraczałem na most pod Szczucinem. Most istotnie był przygotowany do spalenia. Na tamtym brzegu udałem się od razu do miejscowego komendanta, jakiegoś grubego, poczciwego podpułkownika, by go uspokoić i nie dać mu spalić mostu zaraz po przejściu pierwszej grupy mego oddziału. Wiedziałem bowiem, że po nocy kolumna znacznie się rozciągnęła. Droga nad Wisłą była błotnista i wozy raz po raz grzęzły, rozbijając kolumnę na części.

---

[1]) Na wojnie jak na wojnie!

Po rozmowie oficjalnej z owym podpułkownikiem zwróciłem się do niego, jako do komendanta nieszczęśliwego mostu, przeznaczonego na zagładę, z prośbą, aby niewielką część furmanek, wziętych z najbliższej okolicy, puścił wolno z powrotem po przewiezieniu bagażu na tę stronę. Poczciwy podpułkownik nie miał w zasadzie nic przeciw temu, wyrażał tylko obawę, czy chłopi, jako Rusini *(Ruthenen)*, nie będą nam szkodzili po powrocie.

— Ależ oni nie są Rusinami! — mówię mu zdumiony.

— Czy pan z pewnością ręczy, że wśród nich nie ma Rusinów? — pytał mnie tryumfująco. — Przy tak mieszanej ludności nigdy takich rzeczy twierdzić nie można.

Byłem zupełnie zabity tym nadzwyczajnym odkryciem mieszanej ludności rusińsko-polskiej w powiecie stopnickim. Najzagorzalsi polakożercy z pomiędzy Rusinów czy Rosjan tak daleko nie sięgali w swych apetytach, jak ten dobroduszny rusinofob. Taką właśnie niebotyczną ignorancję stosunków polskich spotykałem bardzo często zarówno u austriackich, jak niemieckich oficerów. Trzeba przyznać, żeśmy o sobie kazali zapomnieć światu. Ignorancja ta jednak była zawsze dla mnie świadectwem, jak właściwie Niemcy i Austriacy nie na serio przygotowali się do wojny z Rosją, jak mało wchodziła ona w ich rachuby, a zatem jak mało również rachowali się ze wszystkim, co jest związane z Polską. Moja rozmowa z podpułkownikiem austriackim to jeden z przykładów tej ignorancji, która nieraz mnie podczas wojny śmieszyła, choć częściej drażniła i gniewała.

Pod Szczucinem staliśmy cały dzień następny. Tu czekało na nas całe moje uzupełnienie i saperzy. Jedni i drudzy przyszli z Krakowa z opaskami czarno-żółtymi. Upiększono nam mundur taką opaską na znak, że jesteśmy w austriackim landszturmie. Pierwszy komendant Legionów, gen. Baczyński, przedtem, nim przysłał nam naboje i amunicję do Kielc, nadesłał cały transport takich opasek. Rzecz prosta, że nie próbowałem nawet rozdawać tego żołnierzom. Miałbym obawę, aby kolory państwa, opiekującego się nami, nie uległy profanacji. Trzeba było słyszeć dowcipy moich chłopców, trzeba było widzieć zawstydzone miny żołnierzy uzupełnienia, pospiesznie zrzucających z mundurów ten państwowy dodatek, aby zrozumieć, jaką sprzeczność z duchem, panującym wśród żołnierzy, stanowiła cała umowa, zawarta przez N. K. N. z Austrią. Dodam, że od żadnego landszturmu w Austrii tego dodatku do umundurowania nie wymagano. Była to niechybnie mądra inwencja jakiegoś zaczadzonego sztablera, przeświadczonego

o istnieniu mieszanej rusko-polskiej ludności pod Kielcami i pod Warszawą. Obawiał się on zapewne, byśmy nie włożyli nagle opasek czerwono-białych i tym nie obrazili najświętszych uczuć drugiej połowy mieszanej ludności, rozkochanej prawdopodobnie w innych kolorach.

Tutaj też, w Szczucinie, zrzuciliśmy z siebie nasze werndle. Mieliśmy nareszcie repetierowe karabiny Manlichera. Lżej odetchnąłem, gdym zobaczył moje bataliony, przechodzące koło mnie z nowoczesną bronią. Nie tak jednak patrzyli na to niektórzy z moich żołnierzy. Już się zdążyli oni przywiązać do swoich karabinów. Szczególnie górale z II batalionu wyrzekali na nową broń. Werndle były ciężkie, duże, czuło się, że się ma coś w garści. Miały one bagnety ledwie nie dłoń szerokie, kule wyglądały, jak średniej wielkości ziemniaki — to ci była broń! A to zabawki jakieś. «Czy tym aby można zabić nieprzyjaciela?» — martwili się górale. Otrzymałem karabiny, ale nabojów do nich przysłano tak mało i w tak nieporządnym stanie, bo zmieszanych z ładownicami i innymi częściami wyekwipowania, że doprawdy uważałem to za jakąś rozmyślną szykanę. I kto wie, czy jej nie było. Musiałem natychmiast starać się o amunicję i porozsyłać po nią furmanki.

Tu zaszedł też komiczny incydent, charakteryzujący ówczesny stan wewnętrzny naszej organizacji wojskowej i dający zarazem pojęcie, jak na razie było trudno zrobić ze wszystkiego maszynę, funkcjonująca bez nadmiernego tarcia. Miałem dwóch nadzwyczajnie skądinąd miłych oficerów, którzy odznaczali się niezwykłą czupurnością i skłonnością obrażania innych i łatwością obrażania się samym. Lubiłem ich, tak zresztą, jak lubiłem całe nasze wojsko, — znani w pierwszej Brygadzie Belina i Wyrwa. Poszło pomiędzy nimi w Szczucinie o konia czy o siodło. Kawaleria, muszę wyznać otwarcie, nie odznaczała się poszanowaniem czyjejkolwiek własności, o ile chodziło o konia czy o siodło. Formowana przez Belinę w okresie kieleckim, że tak powiem, z niczego, szukała ona stale albo konia, albo siodła, albo najczęściej i jednego, i drugiego razem, gdyż zawsze brakowało ułanom wszystkiego.

W batalionie Wyrwy właśnie zginął koń czy siodło i Wyrwa popędził od razu na poszukiwanie zguby nie gdzieindziej, jak do ułanów. Tam spotkał młodego oficera ułanów, który nie dopuścił go do oglądania koni i siodeł. Wyrwa — gorączka, jak zwykle — naklął, co się zmieści, i groził sprowadzeniem kompanii ze swego batalionu dla zrewidowania ułańskich ruchomości. Belina stanął w obronie ułanów, a że również, jak Wyrwa, nie należy do ludzi, mało impulsywnych i ma-

jących silne hamulce psychiczne, rozmowa przybrała pomiędzy przyjaciółmi — bo byli takimi — charakter drażliwy i ostry. Obaj stanęli do raportu do mnie ze skargą. Jak dzisiaj, widzę ich obu rozgorączkowanych sporem, gdy weszli do mnie, jak dwa rozsierdzone koguty, gotowe w każdej chwili rzucić się na siebie. Obu lubiłem bardzo i jako swoich uczniów, i jako zdolnych oficerów. Śmiech mnie brał pusty, patrząc na ich rozindyczone miny, lecz, gdy w obecności mojej dalej spór chcieli prowadzić, rozkrzyczałem się na dobre. Byłem zniecierpliwiony, gdyż takich właśnie sporów o drobnostki, o słowa nieraz, miałem w początku wojny całe mnóstwo. Zabierały one mi dużo czasu i świadczyły ciągle o niedostatecznie jeszcze utartych wzajemnych stosunkach pomiędzy ludźmi, którzy wczoraj jeszcze byli równymi sobie kolegami, a teraz od razu mieli być wojskiem z ustaloną hierarchią i ustalonymi stosunkami służbowymi. Sąd wydałem zupełnie Salomonowy. Kazałem, mianowicie, owego młodego oficera ułanów oddać pod rozkazy Wyrwy do komendy batalionu na tyle czasu, aż Wyrwa zda mi raport, że jest z oficera zadowolony. Wiedziałem, że złote serce łatwo wzruszającego się Wyrwy jednego dnia nie wytrzyma w gniewie. Tegoż wieczora też i Wyrwa meldował mi prośbę, aby ukaranego oficera odesłać z powrotem do ułanów.

Ten śmieszny obrazek staje mi zawsze w pamięci, gdy myślę o trudnościach, jakie miałem do zwalczenia przy organizacji próby wojska w 1914 r. Musiałem bronić się od ciągłych szykan i szantażów ze strony otoczenia, a równocześnie swoim jedynie autorytetem moralnym zmniejszać tarcia wewnętrzne, wynikające z szybkiej formacji ochotniczego materiału ludzkiego. Wyczuwałem, że mi praca idzie, że się udaje, lecz, wyznaję, była ona ciężką; tym cięższą, że wszystko od początku odbywało się w polu, podczas zetknięć z nieprzyjacielem, niekiedy w boju lub w jego oczekiwaniu. Nieraz przed wojną marzyłem o pracy podobnej, jako eksperymencie, przeczącym rutynie myślowej w wojsku, eksperymencie, nie dającym się pogodzić z żadną doktryną oficjalną i nieoficjalną. Wydawało mi się, że Polska jest skazaną na szybką improwizację siły zbrojnej, jeśli ją w ogóle chce mieć. Wszystko zaś, co było teorią, wszystko, co było uznaną doktryną, wszystko, co było stale i powszechnie powtarzanym przez wszystkie papugi, twierdziło: «Lasciate ogni speranza! [1]) — to głupie, to niemożliwe!» Miałem teraz w ręku możliwość improwizowania siły zbroj-

[1]) Napis nad piekłem w utworze Dantego «Boska komedia». Lasciate ogni speranza voi ch'entrate — porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie.

nej — i tyle od razu szykan, i tyle przeszkód, i tyle... niebotycznej, tchórzliwej głupoty!

Otrzymałem tegoż dnia rozkaz, tyczący się dalszej pracy. Ze zdziwieniem oglądałem ten papier. Oddawano mojej pieczy odcinek Wisły od Bolesławia w górę rzeki do ujścia Dunajca. Szło o przykrycie cofającej się armii 1-ej gen. Dankla, która była aż pod Lublinem, a teraz cofała się poza naszymi plecami gdzieś pod Tarnów.

Niewesoła perspektywa. Rozkaz podpisany był przez dowódcę etapów 1-ej armii, co mnie niezmiernie zdziwiło, wyglądało bowiem tak, jak gdyby dowództwo armii przestało istnieć, a my, należąc do etapów armii, mimo to mamy zadanie bojowe. O sytuacji całej nie było ani słowa, o nieprzyjacielu i jego działaniach nie umiano czy nie chciano czegokolwiek napisać. Pozostawiono to zupełnie domysłom wykonawców rozkazu lub plotkom, które krążyły już o klęskach pod Lublinem i pod Lwowem. Przeczytałem kilka razy rozkaz, tak sprzeczny z moimi pojęciami o rozkazie, wzruszałem ramionami i, nie znając jeszcze austriackiego systemu rozkazodawstwa, przypuszczać zacząłem, że armia właściwa jest jeszcze znacznie ku wschodowi — co było zresztą słuszne — a nieścisłość i nieumiejętność pisania rozkazu jest związana z etapowymi pojęciami o rozkazie i wojnie. Rozkaz był za to tyleż pompatyczny, co niejasny. Nakazywał on wszystkim odcinkom, a więc i naszemu, nie ograniczać się jedynie do pasywnej defenzywy, lecz wskazywał na konieczność ofensywnego w razie możności działania. Miała to być taka «ofensywna defensywa» czy «defensywna ofensywa», przy czym rozkaz ani słowem jednym nie zaznaczał, o co właściwie idzie więcej: czy o ofensywę, czy — odwrotnie — o defensywę. Każdy więc z dowódców odcinków, a było ich kilku, mógł sobie dowolnie kłaść nacisk na obronę lub na wymagający więcej śmiałości atak. Co prawda, trochę śmiesznym wydał mi się ten atak etapów, jako awangardy, lecz myślałem, że może mieliśmy być zastąpieni potem przez armię 1-ą czy inną i że być może idzie o uzyskanie łatwiejszej możliwości przejścia Wisły, która płynęła przed nosem, oddzielając Galicję czyli państwo austriackie od rosyjskiego.

Był to pierwszy rozkaz pisemny operacyjny, który od Austriaków otrzymałem, dlatego analizowałem go dokładnie, chcąc znaleźć w nim wytyczne punkty dla moich rozkazów. Nie chciałem bowiem pozwolić ani sobie, ani mym podwładnym na obniżenie naszej wartości, jako żołnierzy, gdy znaleźliśmy się w otoczeniu tzw. regularnego wojska, które, jak było mi wiadomo, patrzało na nas ze wzruszeniem ramion. Rozkaz

był pisany po niemiecku, odbity na hektografie, ale zawierał ustęp, dopisany, jak widać, specjalnie na maszynie, niepodpisany przez nikogo, a zredagowany w języku polskim. Dopisek wskazywał na konieczność napięcia wszystkich sił, gdyż idzie o obronę «zagrożonej ojczyzny». Ten dopisek był wspaniały! Uśmiechałem się gorzko! Bardzo niedawno dowiedziałem się od ppłk. Breitschneidra, dowódcy odcinka w Szczucinie, że w Kielecczyźnie jest obawa jakichś knowań Rusinów, teraz inny komendant austriacki pisze wyraźnie dla mnie zachętę, bym bronił «ojczyzny». Więc Bolesław, Gręboszów, więc Kozłów i Uście Jezuickie to ojczyzna, a Nowy Korczyn za Wisłą, a Opatowiec, Szczytniki i Winiary, Chmielnik i Kielce, gdzie nam tak dobrze było, to było wszystko «Feindesland», było krajem wrogim. Dlatego, gdy chodziło o obronę Gręboszowa czy Kozłowa, dawano ostrogę mej pracy wojennej. Dziwny rozkaz, dziwny dopisek. Kręciłem papier w ręku długo, nim go nie rzuciłem na bok z niechęcią.

Miałem więc wybierać zarówno pomiędzy ofensywą i defensywą, jak i pomiędzy ojczyzną galicyjską a «Feindeslandem mit Ruthenen» [1]), leżącym za Wisłą, krajem, z którego mi się nie chciało tak wychodzić, żem ociągał się z tym dnie całe. W tych warunkach zdecydowałem się łatwo na atak i na «Feindesland mit Ruthenen».

Nazajutrz rano byłem już w marszu do Kozłowa, który punkt rozkazu wskazywał mi jako kwaterę komendy mego odcinka. W Bolesławiu piechota zatrzymała się na odpoczynek, a ja po obiedzie w gościnnym dworze w Bolesławiu pospieszyłem za wysłaną naprzód jazdą, by obejrzeć swój odcinek. Wisła od ujścia Dunajca płynie w kierunku północno-wschodnim, a od Winiar skręca prosto na wschód, utrzymując ten kierunek aż do końca mego odcinka. Złą więc stroną obrony był ten zakręt rzeki. Jeszcze gorszą było to, że od ujścia Dunajca aż do Winiar brzeg przeciwległy panuje ogromnie nad znacznie niższym prawym brzegiem, którego miałem bronić. Zaczynając od Opatowca aż do Winiar, ze wzniesień lewego brzegu, można było przejrzeć najdrobniejsze szczegóły prawego brzegu i tylko gęste zadrzewienie niektórych wsi mogło dać jakie takie ukrycie. W razie poważniejszego zajęcia lewego brzegu ruch na moim brzegu mógłby się odbywać tylko nocą, a każdy pierwszy lepszy patrol z Winiar mógłby rozpatrzyć z łatwością cały rozkład obrony mego odcinka.

Rzeka również poważnej przeszkody nie stanowiła. Wisła w tym miejscu nie jest szeroka, a w czasie, gdym tam przybył,

[1]) Kraj nieprzyjacielski z Rusinami.

po suszy sierpniowej, stan wody był bardzo niski. Środki przewozowe stanowiły promy — bardzo zresztą prymitywne — w Opatowcu i Nowym Korczynie, oraz względnie niewielka ilość małych łodzi. Później odszukano jeszcze bliżej Bolesławia dwa stare promy. Wszystkie środki przewozowe ściągnięte były na nasz brzeg. Odcinek mój był właściwie głęboką dziurą, nad którą panował każdy, kto był w Winiarach i Opatowcu.

Bardzo pobieżnie oglądając okolicę, przybyłem za ułanami do Borusowej, leżącej naprzeciw Nowego Korczyna i ujścia Nidy, gdzie zameldowano mi, że nasi ułani przybyli tu właśnie w chwili, gdy straż skarbowa miała przez Wisłę strzelaninę z kozakami. Jeden z «financów» był ranny, a patrol naszych ułanów pod dowództwem Orlicza przeprawił się wpław przez Wisłę na tamten brzeg, skąd przysłać miał meldunek.

Więc Rosjanie są już w Nowym Korczynie! Zdecydowałem od razu, że przejdę na tamten brzeg. Nie tylko dlatego, że ciągnęło mnie do Królestwa, ale i dlatego, że chciałem możliwie długo utrzymać w swych rękach wysoki brzeg przeciwległy, aby nie mieć stałych obserwatorów nieprzyjacielskich nad sobą. Przyznaję też, że jednym z motywów była chęć pokazania wszystkim, że dla nas, strzelców, przeszkód nie ma — a dodać trzeba, że nastrój całego otoczenia cywilnego i wojskowego w tym właśnie czasie, po porażkach lwowskich, był bardzo trwożny i skłonny do przesady w ocenie sił przeciwnika. Wyczuwałem to w Szczucinie, a teraz to samo widziałem wśród ludności mego odcinka. Śmiałem się na myśl, jak to zaimponuje, gdy będziemy po tamtej stronie. Zresztą akcja na lewym brzegu Wisły była przecież wynikiem otrzymanego rozkazu. Na razie postanowiłem wyczekać raportu Orlicza z tamtej strony. Sam system obrony nie mógł na razie być skomplikowany. Posłałem rozkaz, by postawić placówki i patrole na brzegu, a całe wojsko rozkwaterować po wsiach.

Wreszcie przyszedł raport Orlicza. Dzielny ten żołnierz przeprawił się z kilku ułanami wpław na brzeg nieprzyjacielski i zaatakował niespodzianie Moskali nad Nidą. Został lekko ranny i przysłał mi meldunek, że Nowy Korczyn jest słabo zajęty.

Zabawnym było to, że przeprawił się zupełnie nagi — tylko z karabinami i nabojami — i pozostał prawie do wieczora w adamowym stroju na tamtym brzegu. Przywieziono go dla złożenia mi meldunku, drżącego z zimna i otulonego w płaszcz dla opatrunku. Zabawnie wyglądał.

Tejże nocy kazałem przeprawić się II batalionowi, z Norwidem na czele, za Wisłę dla zajęcia Korczyna. Dwie kom-

panie z batalionu Wyrwy kazałem przerzucić do Opatowca, jako podstawę dla kawalerii — było jej niecały szwadron — której kazałem przejść Wisłę pod Opatowcem i zbadać okolicę: Winiar, Czarkowa aż po Wiślicę. Ruchy te odbyły się bez żadnych przeszkód ze strony nieprzyjaciela. Nieliczne patrole kozackie opuściły Korczyn, jak się okazało, zaraz po potyczce z Orliczem, tak, że Norwid nie spotkał nikogo ani przy przeprawie, ani przy zajmowaniu miasteczka. Belina zaraportował, że w najbliższej okolicy nieprzyjaciela nie ma, że jest on jakoby w Wiślicy, dokąd pójdą patrole. Na razie więc moja śmiałość opłaciła się — byłem z powrotem w Królestwie i podniosłem poczucie pewności siebie u moich żołnierzy. Zabawnym też było patrzeć na to, jak wzmógł się wtedy ogromnie nasz autorytet wśród ludności. Przejście Wisły uważano za czyn nadzwyczajnej odwagi i śmiałości strzelców.

Do pewnego stopnia był to czyn śmiały. Nie miałem za sobą mostów, a przeprawa na starych promach zajmowała bardzo dużo czasu. Niewątpliwie więc oddziały, przerzucone za Wisłę, byłyby eksponowane bardzo silnie w razie zjawienia się w ataku większej siły ze strony Rosjan. Przejazd przez Wisłę zajmował od 10—25 minut czasu i naraz można było przeprawić najwyżej 50 ludzi. Przeprawa więc słabego batalionu zajęłaby od 4—5 godzin czasu. W takich warunkach oddziały na lewym brzegu Wisły wisiałyby właściwie w powietrzu. Saperzy, którym poruczyłem opiekę nad przeprawą, wymyślali różne sposoby jej przyspieszenia, ale i sami nie byli jeszcze zbyt praktyczni pod tym względem, a zresztą, jak się to mówi, z próżnego i Salomon nie naleje.

Przy tych saperskich pracach zginął przedwcześnie jeden z oficerów, który mógł mieć przed sobą przyszłość z powodu gruntownego przygotowania się do pracy wojskowej, Stanisław Krynicki, noszący pseudonim Tymkowicza. Biedak utonął w Wiśle pod Nowym Korczynem. Śmierć jego była dla mnie pierwszym ciężkim przejściem moralnym. Po raz pierwszy zabierała mi wojna jednego z bliskich mi ludzi, jednego z tych, których w swym otoczeniu, w naszej rodzinie strzeleckiej, przyzwyczaiło się widzieć stale. To nagłe, nienaturalne zniknięcie młodego życia unaoczniało grozę wojny, a mnie dawało odczuć ciężar odpowiedzialności za to życie, z młodzieńczą wiarą oddawane mi w ręce. Późniejsze wypadki, które spotykały moich bliskich, pomimo, że byłem do nich często bardziej przywiązany uczuciowo, nie robiły na mnie tak wstrząsającego wrażenia, jak ten pierwszy ubytek z najbliższego mi otoczenia strzeleckiego. Chyba jeszcze śmierć Wyrwy

w 1916 r. wstrząsnęła mną silniej, niż ten niespodziewany zgon Tymkowicza.

Ogromnym kłopotem w mej sytuacji było utrzymanie łączności z rozrzuconym oddziałem. Saperzy przyszli z niewielką ilością materiału telefonicznego, który starczył zaledwie na połączenie z Korczynem. Już z Opatowcem i ułanami trzeba było komunikować się najprymitywniejszymi środkami, tym uciążliwszymi, że pomiędzy nami była Wisła i długa przez nią przeprawa promem. Była to fatalna strona całego mego położenia. Ten brak wyekwipowania technicznego robił z nas porozrzucane luźno oddziały, a nie jednolity organizm, i w najgorętszych chwilach utrudniał szalenie kierownictwo. O! telefon jest wielkim dobrodziejstwem wojennym; żeby go tylko nie nadużywano, bo wtedy staje się wprost przekleństwem. Niejedno dałoby się opowiedzieć o tej skrzeczącej zmorze. Gdy zaś trafi się «nerwowy» dowódca, wtedy stanowczo byłoby lepiej dla wojska, gdyby tego wynalazku nie zrobiono, bo staje się on w takich warunkach nie pomocą, lecz przeszkodą skutecznej pracy wojennej.

Lecz wobec tego, że do nerwowych dowódców nie należę, dbam o spokój i nerwy swych podwładnych, telefonu nigdy nie nadużywam. Doprawdy więc, jak krzywdę, odczuwałem teraz brak tego środka łączności, gdy pomiędzy sobą a swymi oddziałami miałem rzekę, wymagającą zawsze dłuższej przerwy w komunikacji. Nie pierwszy to raz od początku wojny odczułem w braku technicznego wyekwipowania coś w rodzaju upokorzenia i zazdrości. Ciągle widziałem dokoła bardzo i bardzo drugorzędne wojska w pełnym rynsztunku nowoczesnej techniki, bardzo często bez wielkiej korzyści dla sprawy toczonej wojny. My zaś — niewątpliwie pierwszorzędny materiał wojenny, bo coby o nas kiedykolwiek kto mówił, zawsze jednak musiał to przyznać — cierpieliśmy na brak wszystkiego, absolutnie wszystkiego. Prawda, oni mieli za sobą swój rząd, my byliśmy sierotami wojennymi, które ta czy inna macocha najczęściej tylko pod włos gładziła. Łatwo tam komuś było wydawać rozkazy o «ofensywnej taktyce obrony Wisły» — które, zdaje się, na całej przestrzeni Wisły ja jeden tylko wykonałem — łatwo było robić dopiski o obronie «galicyjskiej» ojczyzny, ale gdy szło o ułatwienie wypełniania zadania — niestety — spotykaliśmy zawsze nie pomoc, lecz obojętność, a często i przeszkody. Bądźże tu śmiałym, człowiecze, i prowadź «defensywny atak»!

Długo rozpatrywałem mapę. Czytam mapy wojenne inaczej może, niż wojskowi. Czytam je jako wojskowy bardzo

szybko, chwytając prawie w jednej chwili najważniejsze szczegóły, na których opieram swój sąd o działaniach wojskowych. Lecz muszę zawsze domieszać do swego przemyślenia terenu różne rzeczy, które są całkiem obce wojnie. Tak więc i tutaj. Trafiłem na zabawny odcinek. Opowiadano mi, że w Winiarach był Kościuszko i że lubił siedzieć tam, oglądając widok przeciwnego brzegu Wisły. Jest jakoby we dworze w Czarkowej altana z kamiennym stołem, przechowywanym jako pamiątka po Naczelniku, który tam także bawił i przy tym stole siadywał. Wydaje mi się to legendą, gdyż nie umiem z danych historycznych, które posiadam, związać postaci Kościuszki z Winiarami czy Czarkową. (Zresztą pracy Kościuszki nie studiowałem dokładnie). A jednak jest przyjemnie myśleć o tym, że gdy zagrzmią tu strzeleckie strzały, Kościuszko-Naczelnik patrzy na nas z najwyższego punktu — z Winiar. Śmieszny drobiazg, a jednak miły!

Albo znowu te rzeki! Jestem u zbiegu trzech polskich rzek: Wisły, Dunajca i Nidy. Wszędzie stają w moim zadaniu na przeszkodzie, biegnąc zresztą z różnych stron. A jakie różne te rzeki! Wisła, jak Wisła. Wisełka o zwyczajnym prądzie. Dunajec rwie i pędzi z gór, wlatuje do Wisły, chcąc jakby złamać i zniszczyć jej szare życie, czyniąc je żywym i barwnym. Od północy sprzeciwia się temu leniwa, błotna druhna Wisły — Nida. I nazwy jakże odpowiednie! Wisła, jak Wisła; ucho bierze tę nazwę tak zwyczajnie, jak jakiś chleb powszedni dźwięku. Dunajec, rodzaju męskiego, jakaś prasłowiańska nazwa — Dunaj bezwiednie się przypomina. Nida najzabawniejsza! Nie mogłem nigdy się oprzeć chęci dodania do nazwy dźwięku g, wyjdzie wtedy Gnida. W miękkim łóżku, nie wśród puchów, lecz błot, płynie, jak gdyby się leniła nawet myśleć. Trzy rzeki polskie były mi więc przeszkodą dla ofensywnych planów, dzieląc w dodatku ojczyznę na dwoje, czynią z miłego Gręboszowa i Kozłowa jakoby ojczyznę, a z kościuszkowskich Winiar i Czarkowej, z Nowego Korczyna — gdzie także jakieś pakta historyczne pisano — «Feindesland, mit Ruthenen dazu» [1])! Śmiałem się sam z siebie, tym bardziej, że serio myślałem o ataku.

Właśnie byłem zajęty bardzo i bardzo ofensywnym planem. Doszły do mnie wiadomości, że w Busku stoi sztab dywizji kawalerii. Nie wiem, czy słuszne były te dane, ale zdecydowałem w nocy uderzyć na Busk. Był to projekt bardzo śmiały, bardzo ofensywny, lecz, zdaniem moim, zupełnie wy-

[1]) Kraj nieprzyjacielski w dodatku z Rusinami.

konalny, gdyby... gdyby właśnie nie owe techniczne przeszkody, które na każdym kroku się piętrzyły. Dla przygotowania tego planu kazałem przerzucić do Nowego Korczyna jeszcze jeden batalion, czwarty, z poleceniem zajęcia najbliższych wsi na północ od Korczyna i zrobienia wywiadu w kierunku Buska. Belinie poleciłem dotrzeć do Wiślicy i zerwać tam most. W tym ostatnim zadaniu szło mi o ściągnięcie uwagi Buska w tamtą stronę i postawienie jakich takich przeszkód nieprzyjacielowi na wypadek, gdyby chciał przejść przez Nidę i zajść mi skrzydło, a nawet tyły w czasie wyprawy na Busk. Operacja ta doprowadziła do krótkiego boju na północy od Korczyna.

Nieprzyjaciel ukazał się z prawego skrzydła. Szedł od Solca — od wschodu. Bój rozstrzygnął się wieczorem na naszą korzyść. III batalion — z początku jego prawa osłona — wytrwał przez pewien czas w ogniu karabinów maszynowych, potem, wyprowadziwszy rezerwy do boju, wyparł nieprzyjaciela z lasu i zmusił do cofnięcia się w kierunku Solca. Pod wieczór zaczęła strzelać artyleria nieprzyjacielska, również od wschodu. Działała ona nie w kierunku naszym; pociski swe posyłała w kierunku Bolesławia. Stało tam parę armat 7 dywizji kawalerii austriackiej i właśnie pomiędzy tymi dwoma oddziałami artylerii prowadzona była rozmowa. Przy końcu boju z daleka doleciał nas odgłos dwóch głuchych wybuchów — to Belina, wyparłszy kozaków z Wiślicy, niszczył most na Nidzie. Zaraz prawie potem zamilkły karabiny maszynowe w lesie na północy od Korczyna — nieprzyjaciel cofał się. Kto wie, czy wrażenie wybuchu — podobnym on był do odgłosu cięższej artylerii — nie przyczyniło się do urwania boju.

Gdy tylko rozległy się pierwsze strzały po tamtej stronie Wisły, pierwszą moją myślą było kazać osiodłać kasztankę i jechać do Korczyna, lecz wstrzymałem się, zostałem w Kozłowie i, korzystając z telefonu do Korczyna, mogłem być «au courant» tego, co się dzieje za Wisłą. Muszę przyznać, że wiele kosztowała mnie ta decyzja. Przekonałem jednak siebie, że tutaj, gdzie mam pod bokiem wszystkie swoje rezerwy i resursy, będę korzystniejszym dla wojska. Było mi jednak ciężko siedzieć z dala od bitwy i kierować się wrażeniami słuchowymi, nie oczyma. Znacznie szczęśliwszymi byli dowódcy wojenni dawniej, gdy okiem ogarnąć mogli cały plac boju i widzieć bezpośrednio jego perypetie. Przypominam sobie przykrą chwilę, gdy zatrajkotały karabiny maszynowe. Wiedziałem, że my tej broni nie posiadamy, i jakieś złe myśli o przewadze technicz-

nej nieprzyjaciela zaczęły mi krążyć po głowie. Jestem przekonany, że takie same myśli przychodziły do głowy i tam, na samym placu boju. Nie może to nie wpływać na stan moralny wojska. Cóż dopiero, gdy zagrały armaty! Zdaje się, takie właśnie przekonanie o wyższości Moskali nad nami mieli podczas boju i wszyscy inni, którzy słyszeli jego odgłos, zatem mieszkańcy obu brzegów Wisły oraz Austriacy. W Nowym Korczynie Żydzi zaczęli być w stosunku do żołnierzy i oficerów bezczelnymi i zuchwałymi, a wśród ludności galicyjskiej zapanowało przekonanie, że tego dnia, zamiast nas, będą gościć u nich Moskale.

To też gdy nieprzyjaciel się cofnął, znaczenie nasze poszło ogromnie w górę. Już wieczorem tego dnia opowiadano, że Moskalom zadałem ogromną klęskę. Od wojskowych słyszałem powinszowania z powodu pobicia dywizji rosyjskiej. Po drodze do Krakowa dywizja ta urosła do dwóch — i w tydzień potem, gdym był w Krakowie, pytano mnie serio o szczegóły tego poważnego boju, w którym rozbiłem w puch całe dwie dywizje rosyjskie. Tak sława nasza rosła, a nawet późniejsze nasze cofnięcie się nie zmniejszyło znaczenia tego pierwszego powodzenia. Istotnie, Rosjanie nie wprowadzili do boju więcej jak 2—3 szwadrony jazdy — przynajmniej tak mnie się wydaje. Jeśli nawet było ich więcej, przewaga karabinów była w każdym razie po naszej stronie, pominąwszy, naturalnie, przewagę, jaką oni mieli w postaci armat i karabinów maszynowych. Straty nasze były bardzo nieznaczne. Jeden czy dwóch zabitych i kilku rannych, prawie wyłącznie od karabinu maszynowego. Rany były stosunkowo lekkie.

Pamiętam czterech rannych — pierwszych rannych, których oglądałem podczas wojny. Jeden z nich miał szczęście. Kilka kul podziurawiło mu czapkę i poszarpało skórę na głowie. Pokrwawiony na twarzy, z plamami ceglastymi na bluzce, śmiał się wesoło, gdy przechodził koło mojej kwatery i pokazywał mi swoją czapkę z dziurami od kul w różnych miejscach. Dwóch innych miało rany w rękach i łopatce, jeden dostał dwie kule i, co mnie wprawiło w zdziwienie, kule tkwiły w ciele. Nie mogły to być kule, które straciły już impet, gdyż rany byłyby wówczas szarpane; przypuszczam, że karabiny maszynowe jazdy rosyjskiej nie mają tej siły, co zwykłe karabiny, wszystkie bowiem rany były tak powierzchowne. Najcięższe wrażenie sprawiał ranny w głowę — kula przebiła mu głowę na wylot. Biedak leżał bez pamięci, charczał ustawicznie, a na ustach pokazywała mu się krwawa piana — wyglądał, jakby miał skonać za chwilę. Przez trzy dni odwiedzałem nasz

mały szpitalik i zawsze zastawałem go w tym samym położeniu, leżał nawznak, charcząc, jak przy konaniu. Chłopak ten w dwa miesiące potem był z powrotem w wojsku. Wyzdrowiał i, jak mi opowiadano, nie znać było po nim, że miał postrzał w głowę.

Tymczasem do mojej kwatery przybywały meldunki: z północy, z Korczyna, szybko i uspokajająco, z zachodu, gdzie połączenia telefonicznego z Opatowcem nie było — denerwująco powoli. A tymczasem były one dla mnie decydującymi dla postanowienia co do Buska. Teraz wiedziałem, że w razie marszu na Busk będę musiał sporo sił postawić dla ochrony swego prawego skrzydła, tak, że całe powodzenie wyprawy zależeć będzie od szybkości wykonania i wykorzystania wieczoru i nocy. Wywiad w stronę Buska od strony Korczyna został wstrzymany przez bój, a wyniki wywiadu Beliny nie przychodziły do mnie z powodu braku dobrego połączenia. Niecierpliwiłem się, ale co to pomaga? Mogłem niecierpliwić się, ilem sobie życzył — nie zbuduje to kilometra telefonu, ani mostu na Wiśle pod Opatowcem.

Z Korczyna donoszono mi, że nieprzyjaciel cofnął się ku wschodowi. Po pewnym czasie otrzymałem dodatkowo wiadomość z Bolesławia, że obserwatorzy artyleryjscy zauważyli oddziały rosyjskie po bitwie, wraz z artylerią i karabinami maszynowymi, wchodzące do wsi Grotniki, gdzie się zatrzymały prawdopodobnie na noc. Była pewna różnica w obserwacji artylerzystów i naszego dra Piestrzyńskiego. Doktor — bardzo wesoły i sympatyczny — był zawsze zapamiętałym obserwatorem. Stanowczo rozminął się ze swym powołaniem. Sosnkowski twierdził o nim, że jest najlepszym artylerzystą wśród lekarzy i, naturalnie, najlepszym lekarzem wśród artylerzystów. Był wciąż zajęty obserwowaniem nieprzyjaciela, a ja znowu twierdziłem, że wyznaczy kiedyś punkt opatrunkowy na jakiejkolwiek wieży kościelnej, aby móc w czasie pomiędzy opatrunkami oddawać się rozkoszy obserwowania. Otóż tym razem doktór twierdził, że nieprzyjaciel odszedł dalej na wschód w stronę Solca. Nie znając jeszcze dobrze zdolności dra Piestrzyńskiego, nie zwróciłem uwagi na jego... cywilne spostrzeżenia i zatrzymałem się na wojskowych obserwacjach artylerzystów. Od Beliny meldunki nie nadchodziły.

Wieczór zapadał, gdy wreszcie postanowiłem odłożyć swój plan marszu na Busk do lepszych czasów. Natomiast zdecydowałem spróbować odeprzeć nieprzyjaciela jeszcze dalej na wschód od mego prawego skrzydła. Oparłszy się na obserwacji artylerzystów, powziąłem plan napadu o świcie na Grot-

niki, miejsce noclegu artylerii i karabinów maszynowych. Chcąc zrobić go niespodziewanie, zdecydowałem przeprawić w nocy przez Wisłę jeden batalion niedaleko od Bolesławia, tak, by atak szedł od południa, od Wisły, skąd nie spodziewano się nieprzyjaciela. Dla poparcia ataku kazałem V batalionowi w nocy przeprawić się do Nowego Korczyna i stamtąd o świcie maszerować na wschód, tak, by I batalion mógł znaleźć oparcie w razie niepowodzenia i w razie spotkania przemożnych sił nieprzyjacielskich.

Jako dodatkowy środek dla utrzymania tajemnicy przedsięwziąłem jedyną w ciągu mej kariery wojskowej ekspedycję karną, mianowicie na Nowy Korczyn. Jak zauważyłem już, wraz ze zbliżeniem się Rosjan stosunek do nas ludności, specjalnie żydowskiej, zmienił się na gorsze. Zaczęto zamykać sklepy, odmawiać sprzedaży różnych rzeczy żołnierzom itd. Aby zapobiec komunikacji ludności z nieprzyjacielem, postanowiłem steroryzować trochę panów kupców i nauczyć ich, że chociaż jesteśmy wojskiem polskim, jednak możemy karać. Nakazałem, mianowicie, kontrybucję 10-tysięczną na miasto z rozkazem wypłaty natychmiastowej. Rabina miejscowego aresztowano jako zakładnika. Od tej chwili nie miałem powodu skarżyć się na ludność. Ciekawym jest, że ludność katolicka zwróciła się z prośbą pociągnięcia i jej do udziału w tej kontrybucji, gdyż, jak mówiono, w przeciwnym razie mogłaby być ofiarą zemsty ze strony Żydów i Moskali w razie zajęcia Korczyna przez nieprzyjaciela.

Nieraz potem, gdy zastanawiałem się nad tą decyzją przerzucenia większej części moich sił na drugi brzeg Wisły, zawsze oceniałem ją jako trochę lekkomyślną. I nie dlatego, by w zasadzie była ona niedostatecznie ugruntowaną. Przeciwnie, przy zwykłych warunkach, t. j. przy dostatecznym uzbrojeniu, sądzę, że była racjonalną i zgodną z duchem rozkazu ofensywnej obrony Wisły. Lecz, wziąwszy pod uwagę przewagę techniczną nieprzyjaciela, brak zupełny poparcia przez sąsiadów, przerzucenie większej ilości sił za Wisłę, gdy się miało przez nią połączenie tylko za pomocą prymitywnych promów, była to gra śmiała. Tym śmielsza, że naokoło tej śmiałości nie było wcale. Przeciwnie.

Właśnie tej nocy, gdy mój I batalion przeprawiał się z mozołem na przegniłych promach przez Wisłę, miałem przyjemność widzieć przejawy ofensywnej defensywy dokoła. Przede wszystkim coś koło dziesiątej wieczorem usłyszeliśmy parę strzałów armatnich na wschodzie, a wkrótce potem rozbłysła na niebie duża łuna w stronie Szczucina. To palił się

most szczuciński. Naturalnie, nieprzyjaciel z chwilą tą był zupełnie swobodny i przerzucił ku mnie, jako jedynemu posterunkowi na jego brzegu, większość swoich sił, które dotąd były trzymane w szachu przez sam fakt istnienia mostu na Wiśle pod Szczucinem. Następnie w nocy obudzono mnie alarmem, że żandarmi przyszli by zniszczyć wszystkie promy na Wiśle. Żadne perswazje nie pomagały, otrzymali taki rozkaz z Krakowa i chcą go wykonać, a że duża część mego wojska znajduje się na tamtej stronie, to ich nie obchodzi, bo tego rozkaz otrzymany nie uwzględnia. Jeden z promów pod Opatowcem został już «unieszkodliwiony». Podziurawili go, jak rzeszoto. Kazałem natychmiast postawić przy promach straż z rozkazem strzelania do każdego, kto będzie do nich się zbliżał bez mego pozwolenia. Dodatkowo zaś poleciłem, aby promy trzymano po stronie rosyjskiej, przy lewym brzegu; byłem pewien, że tak daleko odwaga stróżów porządku nie sięgnie, aby przeprawić się na brzeg nieprzyjacielski.

Dziwny niesmak mnie opanował na tę wiadomość.

Wszystko to było uprzyjemnieniem mojej ofensywnej defensywy, ale zarazem świadectwem, jak dalekim było otoczenie całe od śmielszych decyzji i jak względnie niełatwym było zdobyć się na przezwyciężenie tej ogólnej niechęci oglądania krajobrazów tamtego brzegu Wisły. I jeżeli mówię, żem był lekkomyślnym, to przyznaję, że przede wszystkim mam na względzie to tło, na którym moja lekkomyślna ofensywa wyglądała tym lekkomyślniej, gdyż, niestety, we wszystkim, coby mi mogło służyć za pomoc, zależałem nie od czego innego, jak od tego nielekkomyślnego tła. Zostawałem ze swą ofensywą po prostu osamotniony, bez żadnej nadziei na pomoc, gdy, odwrotnie, nieprzyjaciel mógł oczekiwać zewsząd poparcia i zwiększenia swej siły. Jeżeli jednak pomimo to uparcie trzymałem się swego, to podstawowym motywem po temu była dbałość o «morale» moich strzelców, których duma i pewność siebie właśnie na tym tle wyrosnąć mogła. Dlatego też pomimo, iż oceniłem cały ciężar, jaki spadł na mnie, gdy most szczuciński został spalony a zatem wszelka myśl o ofensywnej defensywie na prawo ode mnie upadła, nie zmieniłem rozkazu i bataliony moje zgodnie z rozkazem przeszły Wisłę tej nocy.

Dokładnie przypominam sobie mój stan w owym czasie. Wahałem się dosyć długo, gdyż pierwszym odruchem po prostu było dać spokój całemu przedsięwzięciu i nie narażać swoich chłopców na jakieś romansy z wojną, gdy wszystko naokół po prostu przed nią stchórzyło i zrzekało się próby ofensywności, pomimo, że w rozkazie była ona nakazana. Naj-

bardziej zniechęcały mnie nasze braki wyekwipowania technicznego. Czułem, że naigrawano się po prostu ze mnie i z moich strzelców, albo że ja muszę być po prostu głupim, wyobrażając sobie, iż mam dokoła z żołnierzami do czynienia.

Nad ranem słuchałem z napięciem, czy nie usłyszę odgłosów boju z za Wisły. Było cicho i spokojnie; więc moje bataliony nieprzyjaciela nie znalazły. Istotnie nadeszły potem meldunki, że Grotniki nie były zajęte przez Rosjan i że nasze patrole szły dalej na wschód. Dr Piestrzyński okazał się lepszym obserwatorem, niż fachowi artylerzyści. Postanowiłem sobie odtąd dawać więcej wiary namiętnemu wywiadowcy. Jeszcze przed południem pojechałem do Korczyna, gdzie Norwidowi, mającemu tam komendę, kazałem w razie ataku przeważających sił nie przerzucać większości naszego wojska z powrotem do Borusowej na prawy brzeg Wisły, lecz cofać się w stronę Winiar i Opatowca, most zaś na Nidzie przygotować do zniszczenia na wypadek konieczności opuszczenia Korczyna. Szło mi w tym wypadku o to, aby w najgorszym razie zatrzymać w swoim ręku wzgórza w Winiarach, panujące nad całą okolicą, a specjalnie nad poruczonym mi do obrony prawym brzegiem Wisły.

Gdym był na drodze do swojej kwatery w Kozłowie, usłyszałem wzrastający coraz bardziej szum bitewny ze wschodu. Do strzałów karabinowych wkrótce zaczął się dołączać raz po raz basowy odgłos strzałów armatnich. Nie chcę twierdzić, że nie zrobiło to na mnie wrażenia. Owszem, w duszy budziło się znów poczucie bezsilności wobec przemocy technicznej nieprzyjaciela. Ręczę, że takie same uczucie musiało powstawać i u moich żołnierzy. Armaty to wpadały w gniewny szał, sypiąc strzał za strzałem szybkim ogniem, to znów milkły, by odezwać się tylko jakimś jednym strzałem. Widocznie cele to się ukazywały obserwatorowi, to znowu niknęły w terenie. Strzały karabinowe zbliżały się ku Korczynowi i wkrótce zatrajkotały karabiny maszynowe; to nowy objaw przewagi nieprzyjaciela nad nami. Nasi cofali się — tak sądzić można było z przesuwania się bitwy ku zachodowi.

Nieraz potem rozmyślałem nad tą chwilą, gdym na kasztance jechał ku Kozłowowi, przysłuchując się odgłosom bitwy za Wisłą. Zawsze przychodziłem, tak, jak i teraz przychodzę, do wniosku, że należało kasztankę zawrócić i jechać nie ku Kozłowowi, lecz ku Korczynowi z powrotem. Może jest to moja zarozumiałość, lecz sądzę, że obecność moja w Korczynie zatrzymałaby odwrót i dnia tego nie dopuściłbym Moskali do zajęcia Korczyna. Brakowało tam jedynie rozkazu zatrzymania

się, gdyż odwrót odbywał się bez strat. Trzeba było tylko zneutralizować u oficerów i żołnierzy wrażenie przewagi technicznej nieprzyjaciela, przed którą właściwie cofali się moi strzelcy, strat bowiem, powtarzam, nie było. Tymczasem, gdym przyjechał do Kozłowa, dowiedziałem się, że część wojska jest już w odwrocie na Winiary, część przeprawia się promem na Borusową, a sam bój toczy się na krańcach wschodnich Korczyna, jako bój ariergardy, kryjącej odwrót. Tam właśnie grały nieprzyjacielskie karabiny maszynowe. Wieczorem opuścili strzelcy Nowy Korczyn, zniszczywszy za sobą most na Nidzie.

Nie mogę twierdzić, abym był tego dnia zadowolony i z siebie, i z wojska. Wojsko cofało się bez potrzeby, bez odczucia przez straty krwawe przewagi nieprzyjaciela, jedynie z powodu psychicznego nacisku technicznej przemocy armat i karabinów maszynowych, których samo nie posiadało. Jest to dla mnie jeden z doskonałych przykładów, ilustrujących znaczenie psychicznych stanów żołnierza na wojnie. Ja znowu nie doceniłem wpływu tego stanu i nie zapobiegłem na czas ujemnym jego skutkom. Miałem na tamtym brzegu zebrane cztery bataliony; było to zupełnie wystarczające, by utrzymać pozycję na wschód i północ od Korczyna do wieczora. Wieczorem zaś nieprzyjaciel cofnąłby się sam, unikając nocnych niespodzianek. Zawsze, gdy myślę o tej chwili, wyrzucam sobie brak dość pewnej decyzji i zawsze pamiętam ten dzień, jako przykre wspomnienie o niepotrzebnej porażce wewnętrznej wobec samego siebie.

Z pewnym niepokojem przyglądałem się nazajutrz wpływowi odwrotu na żołnierzy. Spostrzegłem na swoje szczęście, że, zdaje się, ja jeden byłem zgnębiony tym wypadkiem. Upadku «morale» żołnierskiej nie widziałem, nie obserwowałem też wcale zmiany usposobienia w stosunku do nas otoczenia wojskowego. Uważano odwrót za rzecz tak naturalną, jak do pewnego stopnia za nienaturalną i może głupią oceniano moją śmiałość operowania na tamtym brzegu Wisły. Zdusiłem więc w sobie niezadowolenie z siebie i z wojska, nie dałem tego poznać po sobie, nie chciałem bowiem, aby moje uczucie przeniosło się na żołnierzy i oficerów i spowodowało u nich zmniejszenie się nabytej już pewności siebie i szacunku dla siebie. Powtarzam, istotnego powodu do cofania się nie było, nie mieliśmy bowiem żadnych strat. Brak było kilku ludzi z I i V batalionu, ale nikt nie widział, żeby byli zabitymi lub pozostali jako ranni w polu. Po prostu zaginęli. Najzabawniejszym jest, że wszyscy ci zaginieni nazajutrz zgłosili się do swoich batalio-

nów w przebraniu cywilnym lub na pół cywilnym. Wszyscy to byli gapie — dłubinoski, jak ich nazywałem — którzy przy zbiórkach podczas cofania się gdzieś się zawieruszyli. Jeden z nich, n. p., zaspał na sianie w czasie odmarszu naszych i obudził się w stodole dopiero od huku armat, które Moskale postawili przeciw nam właśnie koło tej stodoły. Wszyscy byli o tyle sprytni — zresztą, nakazywała to dbałość o swoje głowy — że doczekali wieczora. Każdy z nich udał się pod opiekę chłopów, którzy ukryli ich i nakarmili. Nocą i nad ranem jeden za drugim przechodzili przez Korczyn ku Winiarom, żaden zaś przy tym nie został złapany. Jeden z nich nocował na strychu chałupy, zajętej przez kozaków. Kazałem wszystkich przykładnie ukarać w batalionach, aby oduczyć ich od nietrzymania się kupy i łażenia z dala od swoich kompanii i plutonów na własną rękę. Wobec tego, że przy cofaniu się z Korczyna większość wojska przeszła jednak na prawy brzeg Wisły, postanowiłem wzmocnić część oddziału na lewym brzegu i kazałem IV batalionowi, który stał w Gręboszowie, nazajutrz raniutko przeprawić się pod Opatowcem. Sam pojechałem na noc do Gręboszowa, aby dopilnować przeprawy. W Gręboszowie, wsi kościelnej, mieliśmy bardzo serdeczne i przyjemne przyjęcie u miejscowego proboszcza. Na cmentarzu kościelnym chowano wszystkich poległych w potyczkach pod Korczynem i Opatowcem.

Przy przeprawie przez Wisłę miałem ogromnie zabawny wypadek z Wyrwą, który dowodził IV batalionem. Wypadek ów, świadcząc o zimnej krwi strzelców, żywo przypomina mi sympatyczną, żołnierską postać Wyrwy.

Jak wspomniałem, dałem uprzednio rozkaz, aby wszystkie środki przeprawy przez Wisłę były trzymane po tamtej stronie Wisły dla uniknięcia zamachów na ich całość ze strony żandarmerii. Tym razem dla przyśpieszenia przeprawy kazałem ściągnąć promy do Ujścia Jezuickiego i dla ostrożności postawić przy nich wartę na noc. Osobiście przypuszczałem, że u strzelców, pozostawionych na tamtym brzegu, po opuszczeniu Korczyna spostrzegę znienawidzone przeze mnie «nerwy». Postanowiłem więc przeprawić się rano przez Wisłę do Opatowca, żeby uspokoić ludzi i dodać im odwagi.

Przenocowałem w sztabie Wyrwy i ze świtem byłem z nim w Ujściu Jezuickim u przeprawy. Na brzegu stał posterunek — zmarznięty strzelec filozoficznie przechadzał się tam i z powrotem koło... na pół zatopionego promu i podziurawionej łodzi. Ładna przeprawa! Skoczyłem do żołnierza.

— Czego tu pilnujecie?

— Tych łodzi, Obywatelu Komendancie!

— Jakże to, przy was podziurawiono?

— Nie, Obywatelu Komendancie, takie już były, gdy wartę postawiono. Niezepsuty prom na tamtym brzegu. Widać go stąd.

Istotnie przez mgłę widać było przy przeciwległym brzegu kontury promu.

— Ładny porządek! — zawołałem do Wyrwy — prom, wbrew rozkazowi, na tamtym brzegu, a warta strzeże, licho wie po co, dziurawych łódek!

Wyrwa skoczył jak oparzony tą wymówką.

— Zaraz prom będzie, Obywatelu Komendancie!

Począł krzyczeć i wołać o przejazd. Po pewnym przeciągu czasu z tamtej strony Wisły odezwał się jakiś zaspany głos. Rozpoczęła się zabawna rozmowa, prowadzona krzykiem przez rzekę.

— Dawać tu zaraz prom! — wołał Wyrwa.

— Co?! prom?! — krzyczano z Opatowca.

— Prom, do diabła! — irytował się Wyrwa. — Prędzej! Jeszcze stoi ten bałwan! Sypać, a żywo!

— Prom?! — odpowiadano z za rzeki — nie wolno, bez pisemnego pozwolenia Wyrwy nie dam promu.

Myślałem, mówiąc po galicyjsku, że Wyrwę «szlak trafi». Zaczął skakać na miejscu, jak opętany.

— Ja sam Wyrwa! — wrzeszczał — prędziej, skurczybyku, zastrzelę, żywcem spalę!

Trzymałem się za boki ze śmiechu, a Wyrwa w bezsilnej wściekłości miotał się na brzegu. Wartownik, przerażony gniewem swego dowódcy, usunął się na stronę, aby nie oberwać. Wzrok Wyrwy padł na małą łódź na pół zatopioną. Skoczył do niej.

— Ja zaraz się przeprawię na tamtą stronę, Obywatelu Komendancie! Przepraszam, ale proszę zaczekać troche. A, diabeł! Pisemnego rozkazu mu się zachciało, ja mu dam rozkaz!

— Opamiętajcie się, Wyrwa — zawołałem — łódką tą nie przejedziecie, pełno w niej dziur. A któż wam winien, że daliście nonsensowy zakaz przysyłania promu bez pisemnego pozwolenia? Jakżeż to pozwolenie dojść może na tamten brzeg, gdy nie ma żadnej przeprawy. Trzeba czekać.

Wyrwa ochrypł od krzyku, wreszcie z tamtej strony wyszedł na brzeg obudzony oficer, który poznał Wyrwę.

Przysłano łódkę. Okazało się, że rozkaz Wyrwy przygotowania przeprawy na rano nie doszedł na przeciwny brzeg dla tego samego powodu, że bez pisemnego pozwolenia Wyrwy

nie było połączenia pomiędzy obu brzegami, a Opatowiec wypadkiem przez cały wieczór i noc nie miał żadnego interesu na nasz brzeg.

Pojechałem do Opatowca. Panował tam miły spokój. «Nerwów» nie odczuwałem, nie miałem kogo uspakajać, chyba samego siebie. Wyrwie kazałem się przeprawić i zająć Ksany i Winiary.

Dnia tego nieprzyjaciel nie przedsiębrał nic poważnego. Silniejsze patrole jazdy rosyjskiej zaczęły się ukazywać i na prawym brzegu Nidy. Z nimi ucierał się Belina. Bardzo słabo Rosjanie obsadzili Korczyn, który leżał prawie u stóp zajętych przeze mnie Winiar; na lewym brzegu Nidy jazda rosyjska wystawiła posterunki i oddziałki, osłaniając swoje «gros» od zachodu. Wywiady, przeprowadzone przez Belinę, stwierdziły, że silniejszy oddział znajduje się w Szczytnikach. Na ten oddział postanowiłem przeprowadzić napad nocny. Wywiad szczegółowy przeprowadził Gibalski, nadzwyczaj sprytny i łatwo orientujący się oficer.

Napad udał się doskonale. Sotnia kozacka, która zajmowała Szczytniki, została rozproszona, w części wybita; wzięto kilku jeńców i trochę koni. Lecz, gdy jazda moja chciała debuszować dalej po przebiciu osłony, napotkała zewsząd znaczne siły kawalerii rosyjskiej i musiała z nieznacznymi stratami cofnąć się z powrotem za Nidę. Nieprzyjaciel w ogóle powiększył się w swej sile. Pomiędzy jeńcami ze Szczytnik był wzięty dragon 14 dywizji, gdy dotąd mieliśmy jedynie przed sobą 5 czy 8 dywizję. Opuszczenie przez nas Korczyna i okolicy zwęziło znacznie teren, opanowany przez nas na lewym brzegu Wisły, nie zwęziło jednak obszaru, którego musiałem pilnować. Obrona była teraz bardziej skomplikowaną, a moje lewe skrzydło, po wyrzuceniu na przeciwległy brzeg Wisły, bardzo eksponowane.

Wszystkie moje plany i rozmyślania zostały przerwane przez wezwanie, które otrzymałem, polecając mi przybyć do kwatery gen. Kordy, dowodzącego 7 dywizją kawalerii austriackiej. Znajoma dywizja i znajomy generał! Z nim i z tą dywizją rozpoczynałem kampanię pod Miechowem, pod Brzegami i pod Kielcami. Natychmiast pojechałem autem do niego. Gen. Korda wydał mi się ongiś sympatycznym, choć nieco twardym generałem, sympatia zaś wzrosła, gdy się dowiedziałem, że był ranny pod Kielcami. Zaczynałem mieć nadzieję, że wreszcie jakaś mgła dowodzenia, która mnie otaczała, zaczyna się wyjaśniać.

W kwaterze przyjął mnie gen. Korda i spokojnym tonem

zaczął mi wyjaśniać sytuację. Dywizja jazdy, którą dowodzi, ma iść naprzód, jako awangarda większych sił, mających przejść Wisłę. Termin jest nakreślony. Ruch jego jazdy ma się rozpocząć za dwa dni. Wobec tego, że ja zajmuję część lewego brzegu Wisły koło Winiar i Opatowca, wydaje się jemu i wyższemu dowództwu, że debuszowanie jazdy przez Wisłę koło Ujścia Jezuickiego byłoby najlepsze i najdogodniejsze. Nie może jednak zdecydować się na to, dopóki nie będzie słyszał mojej odpowiedzi, czy sądzę, że się utrzymam na tamtym brzegu rzeki przez te dwa dni, przykrywając budowę mostu i wymarsz dywizji. Wydaje mi się, że utrzymanie Winiar jest dlatego nieodzownie potrzebne.

Jeżeli ucieszyłem się niezmiernie, że praca moja dotychczasowa nareszcie się przydała ogólnym operacjom wojennym i w ten sposób okazuje się, że nie tańczę jakiegoś lekkomyślnego kadryla przez rzeki polskie dla dowiedzenia śmiałości strzeleckiej i ich fantazji rycerskiej — to jednocześnie odczułem gorycz jakąś i niechęć. Podnosił się w duszy jakiś głęboki wyrzut, że ten generał, który tak jasno tłumaczy pracę wojny, nie ma żadnego odczucia tego, jak trudną jest praca moja i strzelców, gdy dla utrzymania się w «Feindeslandzie» walczymy z ogromną przewagą techniczną nieprzyjaciela. Namyślałem się chwilę.

Powiedziałem otwarcie, że zadanie będzie mi bardzo trudne, o ile nie będę poparty efektownie przez artylerię, gdyż walczyć ciągle samemu bez artylerii, gdy nieprzyjaciel ją posiada — trudno. Wskazałem na karabiny maszynowe u nieprzyjaciela i braki wyekwipowania u nas, specjalnie na tak potrzebne dla mnie telefony. Generał odmówił mi wysłania czegokolwiek na tamten brzeg. Wydało mi się to wprost jakimś śmiesznym, obraźliwym sposobem załatwienia sprawy. — Albo — myślałem — bezmyślnie bredzi o ważności utrzymania Winiar dla operacji swojej dywizji, albo też chce wprost poświęcać dla swoich żołnierzy — nas, bo przecie mówi wyraźnie, że chce i nawet musi przejść na tamten brzeg. Byłem już zdecydowany otwarcie powiedzieć, że w tym wypadku nie ma o czym mówić i poprosić go, by się zwrócił z tym zadaniem do tych, co będąc lepiej wyekwipowani i uzbrojeni, spalili most w Szczucinie, lecz opanowałem się. Zapytałem, czy może generał skłonny jest objąć lub nakazać objąć odcinek mój na prawym brzegu Wisły, bym mógł swobodniej rozporządzać swoimi siłami. Czekałem ze złością odpowiedzi, przygotowany do zrobienia jakiegoś grubiaństwa. Generał zgodził się i zaraz telefonicznie dał odpowiedni rozkaz. Dodał, że rozkaże, by arty-

leria wspierała działania moje, lecz nie inaczej, jak tylko z prawego brzegu. Zdecydowałem wreszcie, że nową część sił przerzucę na brzeg lewy, żeby w razie czego mieć trochę rezerwy w ręku. Wreszcie powiedziałem, że kwaterę przeniosę do Gręboszowa, a potem do Opatowca za Wisłę.

Gdym odjeżdżał, zaczęły mi chodzić po ciele jakieś dreszcze. W Kozłowie, dotychczasowej kwaterze, wydałem rozkazy, wypiłem parę szklanek mocnej herbaty dla uspokojenia dreszczów i otrzymałem doniesienie, że Wisła gwałtownie przybiera. Pojechałem natychmiast na brzeg rzeki na przeciw Opatowca, tam, gdzie zwykle odbywała się przeprawa promowa. Istotnie, teraz wyrastała nowa potężna przeszkoda. Wisła i Dunajec zaczęły wzbierać. W górach spadły obfite deszcze i skromna dotychczas Wisła zaczęła nabierać charakteru grozy. Brudno-żółte fale zalewały coraz bardziej nizinę nadbrzeżną, woda robiła się rwąca, przeprawa coraz trudniejsza. Nieledwie w oczach rosła potęga Wisły, a z nią rósł i czas, wymagany dla przepłynięcia przez nią promu. Teraz prom za każdym razem trzeba było odprowadzać daleko w górę rzeki, aby nie być zniesionym poza miejsce lądowania w Opatowcu i Uściu Jezuickim. Już koło południa, gdym z zegarkiem w ręku śledził bieg przeprawy, przepłynięcie Wisły tam i z powrotem wymagało 45 do 50 i kilku minut. Położenie oddziału za Wisłą wobec tak silnej przeszkody za plecami stawało się coraz groźniejszym i niebezpieczniejszym. Zacząłem być zły na siebie, żem przyjął propozycję, której wykonanie zaczynało graniczyć z szaleństwem.

Czas biegł godzina za godziną, a ja stałem wciąż nad rzeką z zamoczonymi nogami, niespokojnie śledząc, jak coraz trudniej idzie przeprawa, jak raz po raz zmieniać trzeba ludzi, pracujących przy promie, i jak coraz trudniej jest przeciągnąć prom pod wodę. Ludzie złorzeczyli na Dunajec, stamtąd bowiem szła woda, nie wprost z Wisły. Z tej rwącej brudnej fali wiślanej biła jakaś siła groźby, na którą nie mogłem znaleźć żadnego środka zapobiegawczego. Dreszcze na całym ciele wzmagały się, czułem w sobie zbliżającą się lub już istniejącą gorączkę.

I właśnie, gdy tak nad rzeką rozmyślałem, rozległy się pierwsze strzały armatnie za Wisłą. Nieprzyjaciel poszedł do ataku. Wkrótce żywym płomieniem zabłysły pożary. To się paliły Szczytniki i dwór w Czarkowej, które Moskale podpalili przez zemstę za swą porażkę w Szczytnikach. Ogień artylerii był bardzo żywy, ostrzeliwano Winiary, Czarkową, Ksany. Baterie strzelały salwami tak, jak gdyby przygotowywano szturm

dla pieszego wojska. Wkrótce też usłyszałem w stronie Winiar bardzo żywy, coraz bardziej wzrastający ogień karabinowy. Niekiedy ogień wybuchał gwałtownie, prowadzony w szybkim tempie, strzelano paczkami, tak, jak do zbliżającego się do ataku nieprzyjaciela.

Nigdy nie zapomnę tego podłego uczucia bezsilności, które mnie dusiło, gdym stał nad brzegiem Wisły, wsłuchany w odgłosy boju, nie mogąc niczym przyczynić się do jego powodzenia, nie rozumiejąc nawet dokładnie, co właściwie się tam dzieje.

Właśnie w czasie najgorętszego boju Wisła zaczęła najbardziej szaleć i przewoźnicy, pracujący z saperami, zaczęli coś szeptać pomiędzy sobą. Okazało się, że boją się jechać, gdyż sądzą, że zostaną porwani prądem aż pod Korczyn, gdzie lewy brzeg był w rękach Moskali. Może zresztą byli pod wrażeniem toczonego na tamtym brzegu boju. Nim saperzy i ja ułożyliśmy dalszą przeprawę, zwiększając załogę promu kosztem ilości przewożonych żołnierzy, minęło sporo czasu, w ciągu którego żadna wiadomość ani ode mnie na tamtą stronę, ani z tamtej strony do mnie dojść nie mogła. A tymczasem, w gorączkowym stanie, w jakim już byłem, myśl moja przestała już być zwykłą chłodną pracą głowy. Myśli, przypuszczenia zanadto żywo, razem z krwią, pulsowały w skroniach, i z tego powodu patrzeć zacząłem na bój, toczący się poza rzeką, wyolbrzymiając jego rozmiary i znaczenie jego przejawów. Siły nieprzyjaciela wydawały mi się większe, położenie naszego wojska cięższe, niż było istotnie. Głowa gorączkowo zaczęła pracować, szukając ratunku lub wyjścia. Wydawało mi się, że nie ma co mówić o szukaniu ratunku przez przewiezienie wojska na prawy brzeg Wisły. Wszelka przeprawa na tę stronę, gdzie stałem sam, zmniejszałaby siły, na tamtym brzegu zebrane, i zwiększałaby niebezpieczeństwo dla ariergardy. Ta byłaby wtedy stale zmniejszana w sile i mogłaby ulec łatwo przemocy, nie mając szybkiej przeprawy. Zacząłem gorączkowo przebiegać w myśli różne możliwości, związane z bojem, i zdecydowałem możliwie prędko przeprawić się samemu na tamten brzeg bez względu na to, że zrywałem w ten sposób bezpośrednią łączność telefoniczną z gen. Kordą.

Tymczasem bój trwał, a prom — jak widziałem — powoli przesuwał się na tamtym brzegu w górę rzeki ku Opatowcu. Prąd zniósł go daleko w kierunku Winiar. Bój, sądząc z odgłosów, zamierał był już na wzgórzach w Winiarach, a teraz, gdy już zbliżało się ku wieczorowi, zaczął wybuchać z no-

wą siłą, idąc ku mnie wprost z zachodu na wschód, zmierzając jak gdyby wprost na Opatowiec.

— Obeszli lewą flankę Wyrwy — pomyślałem — chcą wrzucić go wprost do Wisły.

Kilka baterii z jakąś wściekłą pasją bić zaczęło w stronę Opatowca, który jeszcze w zmierzchu jasno był widoczny na wysokim przeciwległym brzegu. Gdzieś dalej za Opatowcem buchnął żywy płomień i kłęby dymu.

— Zdaje się, Ksany się palą — westchnął, żegnając się, stojący niedaleko ode mnie zmęczony i pozostawiony tym razem dla odpoczynku przewoźnik.

Rzuciłem okiem na mapę, decydowałem coś w myśli, gdy pod najwyższym wzniesieniem, gdzie stał dwór w Winiarach, zaczęły rozlegać się strzały karabinowe z jakąś dziwną furią. Każdy strzał trafiał mi w rozgorączkowane serce i głowę.

— Koniec! — myślałem — zbliżają się do rzeki!

Zatrajkotał chwilę karabin maszynowy, potem znowu strzały karabinowe. Armatni ogień zamilkł zupełnie, jakby był zadowolony z siebie i ze swojej pracy. Przestałem zupełnie odróżniać, z której strony padają strzały, gdzie — czy po naszej, czy po ich stronie — ogień karabinowy prowadzony jest spokojnie i równo. Straciłem takt i tempo boju. Wydawało mi się, że musi to być w tym winiarskim kącie, że pod okiem załzawionym Naczelnika rozstrzeliwują cofające się w nieładzie, prawie bez obrony, szeregi strzelców. Słyszałem wciąż bliżej ku Winiarom, lecz nie w Winiarach samych strzały i strzały karabinowe, wybuchające z niezrównaną, jak mnie się zdawało, siłą. Wreszcie o zmierzchu już wszystko zacichać zaczęło. Opuściłem bezwładnie ręce.

— Skończone! — myślałem. — Lecz jak? Opatowiec jeszcze w naszym ręku. W nocy Moskale nie zaatakują, mamy noc przed sobą do wyzyskania.

Zdecydowałem od razu, nie czekając na żadną kolację, jechać na tamtą stronę. Jeżeli nawet coś straciliśmy, mamy możność w nocy wszystko naprawić. Widziałem, jak prom niosło w dół rzeki ku Winiarom, jak potem już u naszego brzegu znikł w ciemnościach zapadającej nocy. Czekałem niecierpliwie, przechadzając się nad rzeką, by wreszcie z tamtego brzegu mieć wiadomość o przebiegu boju. Nareszcie, po długim oczekiwaniu z ciemności wynurzył się prom z ludźmi. Przewoźnicy i saperzy ciężko oddychali, a do mnie podskoczył oficer z raportem.

— Obywatelu Komendancie! — salutując, raportował — Winiary stracone. Wyrwa odszedł brzegiem rzeki. Pierwszy

batalion stoi pod Ksanami, reszta zgromadzona w Opatowcu. Nieprzyjaciela w pobliżu Opatowca nie ma, staramy się połączyć za pomocą patroli, tak, że gdy odjeżdżałem, ścisłych wiadomości ani o rozkładzie naszych sił, ani o stratach nie było. Noc jest bardzo ciemna. Tam oczekują rozkazów!

— Co za rozkazy u licha, — burknąłem — kiedy ścisłej łączności nie ma?! Trzeba będzie Winiary odbierać i to jak najprędzej. Czego ten Wyrwa wycofał się? Przestraszył się armat? Co?!

Oficer stał niezdecydowany, co ma odpowiadać, zaniepokojony moim gniewem.

— Będę teraz sam się przeprawiał do Opatowca! — krzyknąłem. — Żołnierzy teraz nie przeprawiać! Przyprowadzić konie sztabowe!

Zaczęto się naradzać, ile koni stawiać na prom. Saperzy prosić mnie zaczęli, bym konie zostawił i nie przejeżdżał z nimi na tamtą stronę. Bano się specjalnie mojej płochliwej kasztanki, która może nieszczęście sobie albo komu uczynić, rzucając się ze strachu na promie. Byłem rozgniewany.

— Chodzić wam jeszcze będę pieszo! — mruczałem. Ale uznawałem rację ich rozumowania. W nocy istotnie nie jest to łatwo. Może kasztanka z tym czekać do świtu. Lecz nie sądzone mi było i tym razem przejechać na tamten brzeg. Usłyszałem głosy, poszukujące mnie.

— «Wo ist der Herr Kommandant»? — mówił jakiś głos po niemiecku. — Gdzie pan Komendant? — pytał po polsku drugi.

Okazało się, że mnie szukają, gdyż przyszła do mnie jakaś depesza i leży w Uściu Jezuickim na stacji telefonicznej. Po chwili byłem tam. Depesza była od gen. Kordy. Zawiadamiał mnie po prostu, że cała jego propozycja upada, gdyż projekt został odłożony i miejsce przejścia Wisły zmienione. Jakaś dzika pasja mnie opanowała. Cały dzień pracowałem, jak wół, naraziłem cały oddział na straty zupełnie bezużyteczne. Wszystkie rozmowy okazały się austriackim gadaniem. Wraz z krwią, pędzoną gorączką do głowy, dobiegła jakaś dzika nienawiść, idąca z jakiegoś upokorzenia i wściekłości.

— Psia krew! — krzyknąłem w pasji i rzuciłem depeszę na podłogę.

Zrobiło to wrażenie. Ciasny pokoik opustoszał. Został przy mnie tylko jeden z moich oficerów i starszy telefonista, który — dostrzegłem — patrzył na mnie ze współczuciem. Stałem bezradny i zniechęcony — i do siebie, i do wszystkich.

— Panie Komendancie! — przemówił telefonista po pol-

sku — czemu oni Panu pontonów nie dają? Patrzymy i dziwimy się. Tak się panowie męczycie z tą przeprawą, a tu niedaleko stoją nasze krakowskie pontony.

— Jakie pontony? — pytałem.

— Panie Komendancie, — mówił — niech Pan każe; tu na Dunajcu stoi batalion pontonów z Krakowa. Oni sami wciąż czekają na rozkaz Pana, by Panu dopomóc. Korda gdzieś pojechał i jego teraz nie ma. Pan to może zrobić — doradzał prawie wesoło — oni zrobią szybko, co Panu trzeba.

— Jakto, Kordy nie ma? — krzyknąłem — a któż tu dowodzi?

— Panie Komendancie, — poufnie mi mówił — oni nie chcą iść za Wisłę. Zginiecie tam wszyscy. Tu niedaleko stoi komenda brygady 7-ej dywizji. Tam jest jakiś stary generał. Lepiej niech P. Komendant wprost zatelefonuje do komendy pontonów. Oni pójdą, sami to mówili — namawiał mnie wciąż.

Przez jakiś upór i złość dopytałem wreszcie, gdzie jest ten stary generał, i zdecydowałem pojechać do niego zaraz autem. Wyjąłem rewolwer, obejrzałem go starannie, wsunąłem do kieszeni spodni i skoczyłem z adiutantem do auta. Byłem zdecydowany użyć nawet siły, by uzyskać natychmiastowy ich własny rozkaz wysłania pontonów dla mnie pod Opatowiec.

Kwatera gen. Legay była niedaleko. Wpadłem tam, jak bomba. Oficer ordynansowy starał się zatrzymać mnie, twierdząc, że obaj panowie, generał i jego oficer sztabowy, już śpią. Kazałem jednak natychmiast siebie zameldować i powiedzieć, że mam pilną sprawę, i proszę, bym mógł zaraz ich widzieć, chociażby w łóżku. Po chwili wszedłem do sypialnego pokoju.

Gen. Legay, którego podczas wojny spotkałem kilka razy i którego przed tą wizytą widziałem pod Chęcinami na koniu, pozostał mi w pamięci jako człowiek sympatyczny; odważny osobiście, z typu «vieux troupier». Gdy więc opisuję tę śmieszną scenę, którą ujrzałem, nie mam żadnej chęci w czymkolwiek uchybić pamięci jego. Zresztą komizm sytuacji usunął może z mojej strony grubiaństwo i gwałt, do czego byłem przygotowany. Powiadają, i według mnie słusznie, że «le rire soulage» — śmiech ulgę przynosi. Z chwilą, gdym wszedł do ciasnego sypialnego pokoiku, ledwiem się powstrzymał od wybuchu śmiechu.

Pierwsze, co rzucało się w oczy w pokoiku, były dwa obok siebie stojące szerokie łóżka — małżeńskie łoże. Obok łóżka dwie nocne szafki, które wypełniały prawie resztę przestrzeni, ograniczonej ścianą. Na jednej z szafek stała świeca, słabo oświetlająca pokój. Na łóżkach w koszulach nocnych sie-

działy dwie postacie. Bliżej świecy siedziała wyprostowana postać, w której generała poznać nie można było. Wobec tego, że generał zgolił wąsy, była to raczej jakaś koścista, sucha baba z jakiemiś głupimi zobojętniałymi oczami. Na drugim łóżku, również w nocnej koszuli, siedział oficer sztabowy, młody człowiek o małych wąsikach. Nie miał na sobie munduru, więc był po prostu młodym chłopcem, który w dodatku wbijał we mnie przerażone oczy. Było to tak komiczne, jakbym nagle zastał bardzo niedobraną parę wcale w nieodpowiednim momencie. W każdym razie skonstatowałem, że nie zawsze jest bezpiecznym dla autorytetu generała wydawać rozkazy w nocnej koszuli.

Sprawa poszła mi bardzo gładko; po bardzo krótkim wyjaśnieniu sytuacji generał spokojnie kazał oficerowi ubierać się i, przeprosiwszy mnie grzecznie, prosił, bym zaczekał chwilę w innym pokoju. Istotnie, wyszedł do mnie zaraz z wielkimi przeprosinami, już w generalskich inekspimablach, oficer zaś sztabowy wszedł, zapinając ostatnie guziki narzuconego szybko uniformu. Generał natychmiast przy mnie dał rozkaz pontonom telefonicznie, na moje zaś żądanie kazał napisać ten rozkaz na papierze. Oświadczył mi, że on nie chce się mieszać do umów moich z jego przełożonym, gen. Kordą, i dlatego daje mi na całą dobę do rozporządzenia mego całkowitego pontony, sam zaś sądzi, że najlepiej przewieźć wszystko na brzeg prawy i opuścić całkowicie Opatowiec i okolicę.

Skoczyłem do auta, by być nad rzeką. Zdecydowałem być możliwie szybko na tamtej stronie. Rozkazy, związane z pontonami, wydałem i wreszcie znalazłem się w Opatowcu. Wszystkie dane mówiły mi, że utrzymanie się przez następny dzień koło Opatowca było bardzo trudne. Winiary straciliśmy — Wyrwa wycofał się stamtąd bez strat. Byłem nań wściekły za to. Najsilniejszą obroną z naszej strony była walka w okolicach Ksan, gdzie na linii placówek utrzymaliśmy swój teren. Stratami z naszej strony była pewna ilość rannych i 8 zabitych — wszyscy na jednej placówce, najsilniej zaatakowanej. Pozostałych kilku ludzi, z Młotem-Fijałkowskim (oficerem) na czele, dziko już pracując, gdyż straty zmniejszyły siły placówki o połowę, trzymało wiernie straż aż do wieczora, gdy Moskale się cofnęli. Wydałem rozkazy przewożenia wszystkiego na tamtą stronę, ustanowiłem kolejność batalionów odchodzących i od razu zapowiedziałem, że ostatni zejdę z tego brzegu. Bałem się ogromnie, że przeprawa przedłuży się aż do zupełnego rozwidnienia i że mała ariergarda, która ostatnia będzie musiała odchodzić, będzie zmuszona manewrować tak,

by się wycofać dalej w górę rzeki i tam siąść na pontony. Z Winiar bowiem aż do przeprawy pod Opatowcem włącznie rzeka była zupełnie widoczna i dopiero znikała z oczu obserwatorów, stojących, jak liczyłem, od rana na wzniesieniu w Winiarach. Ogień artyleryjski więc łatwo mógł być kierowany na promy i pontony pod Opatowcem.

W nocy zaczęła się przeprawa pontonami. Krakowscy saperzy śmiali się wesoło, że pracują razem ze strzelcami. Widocznym było, że przyjemnie im jest z nami, czuli wszyscy, że stosunek nasz wzajemny jest serdeczny i koleżeński. Zrobiło się i mnie raźniej trochę na duszy. Pontony, pędzone silnymi ramionami krakowian, które rzucały w wodę długie wiosła, mknęły po rzece spokojnie i równo, jakby bez tego wielkiego mozołu, jakiśmy mieli cały czas poprzednio, pracując prymitywnymi promami. Rozlana i rozdziwaczona Wisła wyglądała, jak opanowana przez nas. Znikała jej groza, a dwa brzegi, które przedtem wyglądały, jak dwa wrogie obozy, dwa «Feindeslandy», były teraz złączone łatwo i szybko przez technicznie przepracowany instrument — pontony. A do rozgorączkowanej głowy mojej pełzły niechętne złośliwe myśli:

— Dranie, — myślałem — więc obok stały świetne pontony, któreby mi mogły tak znakomicie ułatwić wszystkie moje śmiałe operacje nad Wisłą i Nidą. Lecz nie! Sami, dranie, — myślałem — spalili dla braku śmiałości mosty, a gdy ja i strzelcy tę śmiałość wykazaliśmy, to kazali nam dziurawić nawet śmieszne promy, by nas zgubić. Wreszcie na pół z łaski zostawili tym głupcom strzelcom zgniłe promy. Ba, kto wie? Może to my z Kielc jesteśmy dla tych draniów tymi niepewnymi «Ruthenen aus dem Feindesland», których podejrzewał i bał się obrońca spalonego mostu w Szczucinie? A może wprost nas zgubić chcieli, rzucając na pastwę przewagi nieprzyjacielskiej i odmawiając wciąż technicznej pomocy. Przecież nawet te pontony, stojące tak niedaleko, mogłyby być po temu świadectwem!

Pomimo jednak szybkości, z jaką pontony mknęły na falach Wisły, miały one ten brak, że ilość ludzi, których zabierano naraz, była względnie mała. Praca szła raźno, lecz równie raźno szedł czas. Z trwogą spoglądałem na zegarek, gdym stał na brzegu rzeki i gdym dla jakiegoś rozgrzania się wchodził do mieszkania, gdzie piłem herbatę. Wskazówek zegarka zatrzymać nie mogłem i wraz ze zbliżaniem się świtu zaczynałem się niepokoić. Oczekiwałem, że wraz z jasnością dnia nastąpić muszą strzały armatnie. Ariergardy nasze musiały z konieczności z powodu zmniejszenia sił ustępować z terenu, coraz

bardziej zbliżając się do Opatowca, i nieprzyjaciel w ten sposób otrzymywał coraz swobodniejsze pole działania. Zdecydowałem, że w przedostatnim pontonie przeprawię na tamtą stronę wszystkich ośmiu zabitych kolegów strzelców, sam zaś z ostatnim patrolem siądę do ostatniego pontonu. Nie chciałem ustąpić żadnym perswazjom, chciałem zachować dla siebie honor największej śmiałości pierwszych bojów strzeleckich.

Świt jednak przyszedł, a my nie byliśmy jeszcze gotowi. Pozostawały niewielkie grupy, ściągające, jako ostatnie patrole, wysłane do Opatowca, osiem trupów w pokrwawionych strzeleckich kurtkach i ja ze swym otoczeniem. Gdym stanął na brzegu rzeki, zezowałem wciąż na lewo, na wzgórza około Winiar, oczekując stamtąd sygnału, abym przerwał przeprawę i przerzucił pontony w górę rzeki. Minuty płynęły za minutami, ponton odbijał za pontonem, grupa nasza ariergardowa malała i malała. Spojrzałem na rzekę. Jak gdyby zadowolona z wyrządzonej nam psoty, zaczęła opadać — widocznym to było wyraźnie na brzegu. Zakląłem siarczyście.

Wreszcie na brzegu został ostatni patrol, stojący na straży przy trupach zabitych kolegów, i ja sam ze swym otoczeniem. Spojrzałem raz jeszcze w stronę Winiar i na niebo. Słońce jakby leniwie wytoczyło się wreszcie na horyzont ze wschodu od rzeki wiał jakiś przeraźliwy chłód, zwiększając moje gorączkowe dreszcze. Winiary milczały. Kończyłem swoje śmiałe boje nad Wisłą i Nidą. Na sąsiedni ponton ładowano trupy strzeleckie, my po kolei wchodziliśmy do drugiego. Westchnąłem ciężko, gdy ostatni skoczył do pontonu. Za chwilę byliśmy na tamtym brzegu, gdzie oczekiwał mnie samochód. Jechałem do Gręboszowa zniechęcony, osłabiony i trawiony gorączką.

W Gręboszowie, w gościnnej plebanii, ułożono mnie natychmiast do łóżka. Proboszcz — tęgi, jowialny ksiądz — przyszedł prosić mnie, bym pozwolił wszystkie piki kozackie, zabrane z pól bitewnych, oddać do kościoła. Z przyjemnością na to pozwoliłem. Prosiłem natomiast o pogrzeb zabitych na cmentarzu przy kościele. Oddałem komendę Sosnkowskiemu i kazałem przyjść doktorowi. Ten pukał, stukał, mierzył temperaturę, kiwał głową, jak wszyscy doktorzy, i wreszcie oświadczył, że to zwykła u mnie influenza i że sądzi, iż musi mnie wyprawić do Krakowa. Zacząłem targi, doktor nie ustępował, ja zacząłem krzyczeć na niego. Odszedł, mrucząc pod nosem. Czułem się dobrze w łóżku, nie nad rzeką; całe ciało paliła gorączka, niespaną noc czułem w kościach, w uszach słyszałem łagodny szum — zwykły stan mój przy wysokich temperatu-

rach. Nie chciałem o niczym myśleć i zamknąłem oczy. Przyniesiono mi gorącej herbaty i pozostawiono mnie w spokoju.

Za ścianą słyszałem szepty oficerów i przyciszone ich kroki, za oknem na ganku dwa grube głosy, prowadzące dyskurs medyczny.

— Najlepiej — mówił tubalny głos księdza — zagotować gorący krupnik litewski i przykryć kożuchami. Jutro będzie osłabiony, pojutrze siądzie na kasztankę.

— Serce słabe, — oponował gruby ton doktora — alkoholu dawać nie można, trzeba odwieźć do Krakowa.

Głosy odbijały mi się w głowie, tłukąc o czaszkę. Chciałem krzyknąć, by szli gdzieś dalej kłócić się o moją kurację. Lecz znowu na ganku omawiano kwestię pogrzebu. Machnąłem niecierpliwie ręką i do głowy wpełzły znowu niecierpliwe i złośliwe myśli z powodu pierwszych moich bojów. Nie mogłem się rozstać z przeżyciami ostatnich dni. Rozgorączkowana głowa, nietrzymana na wodzy przez poczucie obowiązku i odpowiedzialności, przestała składnie pracować.

— Masz — myślałem — swoje boje! Boje nad polskimi rzekami! Jakżeż ci się to wszystko spodobało z początku?! Co?

— Głupie rzeki! — myślałem. — Wisełka taka szara, płaska, zerkająca oczkiem na obie strony, jakby szukała gdzieś za ladą małego sklepiku, ktoby kupił za trzy grosze i towar, i ją całą. A ta głupia Nida! Powiadają, że Żeromski ją właśnie nazwał «wierną rzeką»! Płynie leniwie, jak w puchach, w błocie i wierna jest. Komu? Chyba tym błotom! Wreszcie Dunajec, jedyna męska rzeka w zbiorowisku rzecznym. Czego on oszalał, czego mu się zachciało zerwać jakieś pęta u tych leniwych bab rzecznych, by tyle nam napsocić? Śmieszne to wszystko!

Przypominały mi się moje wycieczki w Tatrach, skąd Dunajec płynie i skąd teraz wał wodny pędził. Do tej trójki rzek pomimo woli dochodzi czwarty towarzysz. Najzabawniejsza rzeka, jaką znam, Poprad. Zastanawiałem się nieraz nad tym dziwolągiem rzecznym. Rozpoczyna swój bieg na południowym skłonie Tatr, spadając wesoło na dół ku południowi, jak wszystkie strumienie z południa Karpat. Musiałby, jak one, biec do Dunaju. Nie! Zawraca dziwacznie ku północy, dumnie przebija góry, jakby tęsknił za Wisłą. Gdzież jest taka głupia rzeka, co wbrew naturze gwałtem góry przewierca! Leci potem, jak opętany, by znowu wbrew logice zgubić swe imię u Nowego Sącza. Wpada do Dunajca, gdy od niego jest dłuższy, potężniejszy i żywszy. Czyżby ten rycerz, co góry przewierca, nam — mnie i strzelcom — psocił w tych bojach!

Chyba nie! Deszcze były tylko dla Dunajca, a ten dziki i dziwaczny Poprad to chyba symbol mój i strzelców. Machnąłem niecierpliwie ręką.

Za oknem znowu ksiądz umawiał się z oficerami o pogrzeb poległych. Upraszał znowu o piki kozackie, które, jako votum strzelców, postawi obok chorągwi procesyjnych dla upiększenia świątyni Bożej. «Raritas!» I znowu płocha myśl poniosła mnie gdzie indziej. Przy «grzecznych szańczykach» niejaki chorąży orszański, Kmicic, noszący w sercu obraz jakiejś dalekiej mej kuzynki, Oleńki Billewiczówny, podnosi w górę «za kark ucapionego» Lapończyka, chcąc, by król jegomość szwedzki mu go podarował. Natychmiast by go uwędził i pomiędzy inne «raritates» w kościele farnym w Orszy powiesił, gdyż tam jajo strusie już wisi!

— Niech tam! — zaśmiałem się — może dosyć tych fantasmagoryj!

Do pokoju weszła deputacja oficerów z Sosnkowskim na czele, za nimi doktor Ruppert. Oświadczyli mi, że przychodzą z prośbą, bym się nie opierał żądaniom wszystkich i wyjechał do Krakowa, gdyż nie chcą brać na swoje sumienie skutków influenzy gdybym się nie zaszanował. Było mi już wszystko jedno. Targowałem się dla zasady i ustąpiłem. Po paru dniach ewakuowano mnie w aucie do Krakowa.

Tym się skończyły dla mnie pierwsze moje boje, gdzie zrobiłem — jak mnie się zdaje — dużo, by przez śmiałość decyzji i pracy zyskać szacunek żołnierski w otoczeniu dla siebie i strzelców.

# SKOROWIDZ NAZWISK [1])


Albin Stanisław 30
Andrassy Juliusz 189

Baczyński Rajmund **6. 10,** 11, **155,** 373
Bagiński Henryk **47**
Bem Józef 318
Berbecki Leon **28,** 31, 43, 55—59, 68, 70, 71, 80, 226
Bernhardt Bronisław 29
Beseler Hans **90, 115, 143, 144,** 151, 154, 155, 157—159, 162, 185, **198,** 203, 204, 210, 229, 233—235
Besermeny 317, 318, 336
Bethmann-Hollweg Theobald 168, 181, 199
Bielohlawek Artur 30
Biernacki 66
Biliński Leon 188
Billewiczówna Oleńka 402
Bissingen Ferdynand 18
Bobrowski Zygmunt 23
Bojarski-Kuba Kazimierz 265, 274, 276, 278, 281, 317, 318, 334, 341
Boerevic 306
Bortnowski 25
Boruszczak 32
Brandner 257
Bretschneider 377
Brudziński Józef **88, 115**
Brusiłow **54,** 316
Brzezina-Brzoza Ottokar 258, 328, 331, 332, 349, 350
Brzozowski Zygmunt 29
Bukowiecki Stanisław **116—118, 121,** 125, 128, 158, **161,** 163, 172, 184, 195, 204
Burhardt-Bukacki Stanisław **7,** 25

Chełmicki Zygmunt **144**
Chmielow 313
Conrad von 153
Cybulski Napoleon 107
Czernin Ottokar 168, 181, 199
Czetwertyński Włodzimierz **144**

Daniłowski Gustaw **22**
Dankl 248, 358, 376
Dante 375
Dańko Jerzy 29
Daszyńska-Golińska Zofia **85**
Daszyński Ignacy **85**
Davout 344
Dąbrowski Henryk 106
Dembiński Henryk 318
Demus 254
Dębski Aleksander **38**
Długoszowski-Wieniawa Bolesław 282, 304
Dorobczyński 29
Downarowicz Stanisław 53
Dragomirow 309, 311, 314, 315, **321,** 353
Dreszer-Orlicz Gustaw 276, 286, 288, 291, 292, 301, 378, 379
Durski-Trzaska Karol **10, 155**
Dzieduszycki Konstanty 262, 348
Dzierzbicki Stanisław **116—118, 147,** 158, **161,** 171, 172, 184, **193**
Dziewulski Stefan 117, 131, 134, 139, 163, 165
Dzikowski Stanisław **102**

Fabrycy Kazimierz 73
Fanto 64, 67
Fath 74
Fijałkowski-Młot 398


[1]) Stronice wydrukowane tłustymi czcionkami odnoszą się do części redakcyjnych.

Fiszer 66
Fleszar Albin 55, 56, 59—61, 66, 68, 70, 71, 74, 76—79, 261
Flughardt 65, 74, 77
Franciszek Józef I 204, 216, 219, 238
Furgalski-Wyrwa Tadeusz 43, 55, 59—72, 371, 372, 374, 375, 379, 389, 390, 395, 398

German Ludomił 189
Gibalski Edward 391
Głąbiński Stanisław 187, 188
Głuchowski Janusz 76
Gnatowski Jan **144**
Górecki Piotr **53**
Górski Ludwik **117,** 126, **135,** 140, 180
Grendyszyński Ludomir **146, 152,** 164, 184
Grobicki Aleksander **144**
Grudziński Franciszek 30
Grzesicki Wiktor 37

Hamilton 348
Hauer 66, **74**
Herzbruch 141, 142
Herzmański 31, 34
Hołówko Tadeusz **182**
Hranilowic 220, 221, 225
Hupka Jan **22**
Hutten-Czapski Bogdan 117, **163, 198,** 235

Iszkowski **117, 163**

Jagoszewski Marian 29
Jakubowski 73
Janicki Stanisław **116, 118,** 131, **159, 161,** 171, 172, 184
Jankowski Paweł 131, 144, **159, 182**
Jastrzębowski Wojciech **81**
Jaworski Leopold Władysław **21,** 22, **48, 49, 53, 82, 83,** 220, 226

Kaczorowski Antoni 163, 171, 194
Karol I 195
Kasprzycki Tadeusz **7, 13, 26, 120,** 186, 225, 274, 280, 282, 284, 286
Keller 321, 352, 353
Kempner **85**
Kędzior Andrzej 189
Kirchbach 254
Kmicic 402
Koc Adam **237**
Kołodziejski 29
Konopka Jan **117,** 118, 134, **143, 147, 152, 163,** 195, 204, **207**
Korda 391, 394, 396—398
Kościuszko Tadeusz 381
Kot Stanisław 53
Kozłowski 131, 173
Kropatschek 12
Krynicki Stanisław 379, 380
Krzywoszewski Stefan **144**
Kucharzewski Jan **208**
Kuk **143, 144,** 226, 227, 229
Kukiel Marian **22,** 55—58
Kula-Lis Leopold 61, 62
Kunowski Włodzimierz **116, 118,** 126, 128, 145, **146,** 182, 184, **193**
Küttner Ferdynand 64, 68, 69, 77, 79

Lachor Jan 30
Landau Maksymilian **6, 18**
Langiewicz Marian 249
Legay 397, 398
Leo Juliusz 189
Lerchenfeld **117,** 131, 138, 139, **152,** 158, 159, **163,** 165, 169, 194, **198**
Lewakowski **153**
Libicki Stanisław **144**
Limanowski Bolesław **85**
Linsingen Aleksander 74, 77
Lipecki Jan ob. Pannenkowa Irena
Lipiński Wacław **6, 11, 14,** 38
Lisiewicz **48**
Ljubičić 26
Lubomirski Zdzisław **208—215**
Lwow Georgij **155**

Łempicki Michał **49, 116, 117,** 126, 132, 146, 184—186, **193—195**
Łuczyński-Narbutt Aleksander 74, 78
Łuniewski 140, 171, 184

Maj Andrzej 131, **144**
Malinowski-Pobóg Władysław **116**
Manlicher 13, 288, 369, 374
Meier **158**
Meisner 19, 20, 317, 318, 328, 331, 335, 340, 341, 349, 350
Michejda Franciszek **22**
Mietzl 30, 31, 34, 35
Mikołaj II 185
Milko Władysław **6,** 20, 23, 341
Miszczenko 357

Młodzianowski 285, 296
Młynarski Feliks 243
Molière 278
Morse 371
Moszczeńska Iza **22**
Musiałek Józef **11**
Muszyński Kazimierz 30
Myszkowski 55, 57, 58, 79

Nagy 307, 311, 317
Nałęcz 41
Napoleon I 104, 254
Natanson **161**—165, 184
Neugebauer - Norwid Mieczysław 68, 379, 387
Neumann Józef **25**
Niemojowska **144,** 147
Niemojowski Andrzej **115, 116, 120, 121,** 131, **147,** 159, **166,** 171, **193,** 195, **196**
Nieniewski-Nałęcz Adam 66
Nodzu 271
Nothe 210, 233, 234
Nowak **85**
Nowikow **10,** 358

Paić 141
Pannenkowa Irena **90, 208**
Piestrzyński 384, 387
Piskor Tadeusz 70
Poller **85**
Pomarański Stefan **90**
Pomorski-Mikułowski Józef **116—118,** 132, **135,** 140, 141, 154, **161,** 172, **184**
Poniatowski Józef 254
Prażmowski - Belina Władysław 62, 68, 72, 73, 75—78, 134, 264, 266—268, 275, 281—283, 288, 324, 325, 330, 331, 339, 341, 342, 353, 358, 369, 374, 375, 379, 382, 384, 391
Przeździecki 126—**128,** 134, 141, 146, **161,** 184
Puchalski **155**

Radlińska Helena 53
Radziwiłł Franciszek **117,** 126, **144,** 184, 199
Roja Bolesław 43, 44, 87
Roos 11
Rosner **117, 163**
Rostworowski Wojciech **116—118,** 132, 158, **187**
Rouppert Stanisław 262, 402
Ruzski 316
Rydz-Śmigły Edward **13, 27,** 28, 34, 35, **41, 44,** 45, 64, 68, 70—72, **75—**77, 79, **86,** 226, 260, 263, 270, **271,** 283—285, 289, 290, 295, 296, **301,** 309, 310, 317

Sadowski Jan **56**
Sapieha Eustachy **144**
Sieminigiewski Antoni 30
Sieroszewski Wacław **7**
Sikorski Władysław **22,** 53, 146, 356
Skotnicki-Grzmot 75, 326, 338, 342, 347
Skrzynecki Jan 161
Skulski **189**
Skwarczyński Adam **242**
Sławek Walery 54, **110**
Sokolnicki Michał 54, 236
Sosnkowski Kazimierz **9,** 10, **24,** 34, **44,** 48, 66, 87, 226, 245, **248,** 255, 260, 262, 269, 274, 280, 281, **284,** 286, 292, 322, 326, 330, **333, 334,** 336, 362—364, 369, 370, 379, 384, 400
Srokowski Konstanty **21, 36, 37,** 189
Stachiewicz Julian **90,** 255, 260, 261
Staniszewski Stanisław **144**
Stetkiewicz 316
Stolarski Błażej 131, 158, **171**
Strohuber 35
Studnicki Władysław 117, 118, **121,** 125—128, 132, 133, **147, 161,** 167, 171, **180,** 184, 186, 200
Sulkiewicz Aleksander 300
Swieczyn 371
Szeptycki Stanisław 145, **155,** 198
Szlubowski Bronisław **144**
Sztobryn **159, 182**

Ścieżyński 25
Śliwiński Artur 126, 132, 133, **135,** 138, **143, 147, 159,** 171, 172, **182, 196**
Świderski 25
Świtalski Kazimierz **90, 110, 248**

Tarnowski Adam 197, 198
Tartalia 32
Tetmajer Włodzimierz **187—189**
Teufel 32

Trasow 371
Traugutt Romuald 237
Trojanowski Mieczysław 261
Trześniowski Mieczysław 290

Ulas 317, 318
Ulrych Juliusz 53
Urbanowicz Michał 29
Uzdowski-Bończa Władysław 43

Wasilewski Leon 8, **23, 53**
Werndl 13, 323, 355
Wessl Stanisław **144**
Wieczorkiewicz-Scevola **27,** 310, 329, 331, 333—335, 343
Wielopolski Aleksander 192, 193
Wilczyński-Olszyna 310
Wilson Woodrow **155,** 190
Wiśniowski Stanisław 29

Zagórski-Ostoja Juliusz 64, 68, 71
Zagórski Włodzimierz 11
Zawiślak-Tunguz 29
Zieliński Hugo **30, 56**
Zwierzyński-Sław Stanisław 43, 58
Żarski-Radomski Zygmunt 28
Żeromski Stefan 50, 400
Żuliński Tadeusz **2, 45,** 46, 237—239
Żychliński **117, 163**
Żymierski Michał **13**

# SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI


Adrianopol 279
Antolka 249
Auerstädt 344

Benjaminów **209**
Bereźnica 75, 77
Berlin **88,** 131, 162, 254, 359
Będzin 129
Biała Siedlecka **238**
Bochnia 306, 345
Bolesław 376, 377, 382, 385
Borusowa 378, 387, 388
Brzechów **13, 14,** 248
Brzegi 10, 391
Brześć Litewski **238**
Brzuchowice **48**
Buk 267, 272, 273, 275, 278, 281, 304
Busk 366, 381, 382, 384

Celiny 294, 296
Chabówka 307, 353
Chęciny 371, 397
Chicago 38, **51**
Chmielnik 362, 364—366, 368, 377
Chomranice 20
Chrobrze 249
Chyżówki 309—314, 321
Cieszyn **203**
Czaple Małe 15, 16, 267, 271, 272, 276, 281, 283—286, 290, 291, 301—303
Czaple Wielkie 17
Czarkowa 379, 381, 393
Czeremoszno 54, 62
Czersk 74, 76, 77
Częstochowa 11

Dąbrowa 18, 19, 323, 324, 326
Dąbrowa Górnicza **2**
Dęblin **2, 13, 14,** 17, 238, 248, 252, 256, 304, 308, 317, 358
Dobra **3,** 306, 308, 311, 312, 314
Domaradzice 34
Dubniaki 80, **81**

Gałuzja 68, 70
Garbowice 34
Gdańsk **5**
Gorlice **27**
Gorodok 69, 72, 75
Gorzków 34
Górne 14
Grabie Wielkie 366, 367
Gręboszów 377, 381, 389, 393, **400**
Grochowiska 249
Grodno 315
Grodzisk **238**
Grotniki 384, 387
Grybów 330

Hradyska 71, 74—77
Hulewicze **41**

Iwanowice 16, 17, 276, 277, 285, 291, 302, 303

Jabłonki **44,** 45
Jabłonków **22**
Jasło 330
Jastków **3, 39,** 63
Jędrzejów 11, 12, 360
Jordanów 307, 308
Jurków 308—311, 314

Kamienica 352, 353
Kamieniec 28, 29, 31
Kamieniucha **44, 45**
Kanina 18—20, 322, 325, 327, 334, 343
Karasin **47,** 71
Kielce **2,** 9—12, **14, 48,** 98, 215, 216, **248,** 251, 263, 357—362, 366, 367, 369, 371—373, 391, 399

Kijów **182,** 363
Klęczany 18, 19, 324
Kobcze **4**
Kołki 42, 44, 46
Kołodia **54,** 79
Konary **3,** 27, 30, 31, 34, 38, 39
Końskie 363
Kopiec 34
Kormin **42**
Kostiuchnówka **4, 44, 52—59,** 79
Koszyszcze **4, 42**
Kowel **3,** 41
Kozinek **27,** 30, 32, 34, 35
Kozłów 377, 382, 387, 388, 393
Kraków **1, 2, 4, 7, 8,** 10—12, **14,** 16, 17, **21, 36, 48,** 51, 80, 83, **85, 86,** 88, **189,** 199, 204. 216, 222, **227,** 245, 248, 249, 253—255, 261, 262, 264, 267, 269, 271, 275, 278, 279, 281, 291, 292, 294, 296—303, 306—308, 357, 359, 383, 386, 397, 400—402
Krościenko 352
Krzeszowice 255, 278
Krzywopłoty 249, 255, 258, 259, 301, 306, 323
Ksany 393, 395, 396, 398
Kukle **44,** 45
Kunskoje 66—70
Kurów 19

Laski **2, 13,** 23, 248, 252, 256
Legionowo 65—69
Lgota Wolbromska 255, 258, 259, 264
Limanowa **3,** 18, 20, 223, **248,** 305, 306, 311, 312, 314, 321—323, 330, 335, 336, 345, 350—353
Lipnica Murowana **3, 24**—26
Lisów 364, 365
Lozanna 187
Lubartów **39,** 40
Lublin **3, 4,** 42, **52,** 98, **152,** 376
Lwów **25, 48, 85,** 237, 376

Łącko 353
Łączki 39
Łowczówek **3, 24, 26,** 223
Łowicz 249
Łódź 249

Maciejowice 161
Magdeburg **5,** 208, 215, 236, 247, **248,** 305
Maków 307
Maniewicze 58, 68—73
Marcinkowice **3, 6,** 18, 19, **23, 248,** 306, 322, 324, 325, 328, 331—334, 336, 339, 341, 343, 344, 346, 348, 353, 354
Michałowice 17, 298—300, 302
Miechów 15—17, 249, 261, 264, 266—270, 272, 273, 276, 284, 294, 304, 361, 391
Miedwieże **44**
Modlin 309
Morawica 362, **363, 368**
Mosty **10**
Mszana Dolna 306—309, 352

Nałęczów 96
Nawsie **6, 22**
Nowa Rarańcza 61, 63, 65, 66
Nowa Ruda 69, 70, 74
Nowy Jastków 62, 65—67
Nowy Korczyn **2, 248,** 357, 366, 377—385, 387—389, 391, 394
Nowy Sącz **3,** 18—20, **248,** 306, 322—327, 329—331, 335, 336, 344—347, 353, 354, 400
Nowy Targ 254, 307, 308, 321, 323, 352, 354

Olkusz 11, 255, 259
Opatowiec **2, 4, 248,** 357, 377—380, 384, 386, 387, 389—400
Orsza 402
Ożarów **3, 39,** 40

Pacanów 366, 369, 370
Perekrestie 67—71, 73, 79
Pińczów **3,** 249, 361
Piotrków **7, 36, 37,** 358
Pisarzowa 18, 323, 341, 350
Płaczkowice 31, 34
Pokrzywianka 34
Poręba Wielka 15
Powursk 70
Poznań **5**
Praga 253, 254, 257, 259
Przepiórów 28, 29, 31

Racławice 161
Radawczyk **3**
Radom 238, 317, 358, 362
Rdziostów **6, 18,** 19, 324, 326, 328—335, 339, 343
Rogi 56

Sandomierz **2, 14,** 252
Semenicha 69, 71, 72, 75
Sienno 11
Skała 15, 17, 275, 277—279, 281, 294, 296, 302, 303
Słomniczki 278, 279, 292, 299
Słomniki 11, 16, 17, 277, 294, 296, 302, 303
Słopnice Królewskie 313, 321, 352
Smolary 69, 72, 73, 75—80
Solec 382, 384
Sosnowiec 129
Stacyn **69**
Staszów 359, 363, 365, 366, 368
Stopnica **2,** 367—370
Stowygoroż **4,** 43
Strzegowa 15, 263, 264
Sucha 309
Swojków 29
Szczucin 366, 369, 370, 372—374, 378, 385, 386, 392
Szczypiorno **209**
Szczypniki 377, 391, 393
Szlüsselburg 211
Szpandawa **5**
Sztokholm 182, **187**

Ściborzyce 16

Tarłów **3,** 11, **39**
Tarnów 256, 306, 376
Tczyca 15
Tłuszcz **238**
Trojanówka 69—78
Trzetrzewina 322

Ugły 68
Ulina Mała **2, 6, 14—17, 248,** 272—274, 276, 280, 281, 284, 289, 296, 298, 301—303, 305, 306, 325, 344
Ulina Wielka 273, 304
Ułanowice 34, 35
Urzędów **3, 39**
Uście Jezuickie 377, 389, 392, 393, 396

Warszawa **1—3, 5, 6,** 8, 10, **13, 14, 18, 38, 42,** 46, **47, 56, 85,** 90, 106, 107, **119,** 138, 139, 153, 156, **164, 182, 185,** 210, 213, 222, 223, 226, 227, 233, 234, 237, 238, 240, 241, 243, 245, 261, 309, 357, 358, 373
Widoma 17, 294, 301, 302, 304
Wiedeń **2—4, 21, 22, 24, 25, 48,** 162, 204, 253, 254, 359
Wielki Obzyr 69
Wiktorka 16, 17, 275, 285, 286, 288, 289, 291, 294, 303
Wilno 301, 316
Winiary 377—379, 381, 387—**396,** 398—400
Wiślica 379, 382
Władysław 16, 17, 275, 281, 283, 284, 286, 288, 290—293, 295
Włocławek 312
Wola Konarska 29
Wolica 34
Wolbrom **2,** 15, 16, **248—251,** 253—255, 259, 264, 266—268, 272, 275, 276, 278, 281, 286, 304
Wołczeck **44,** 53, 55, 62, 63, 65, 66
Wrocław 253, 254, 257
Wysocice 16, **17**
Wysoczki Małe 34

Zagórzyce 34
Zakopane **4**
Zakrzów 32, 34
Zalesie 17
Zielonka **241**
Żarnowiec 15, 261, 263, 265, 266, 271

# SPIS RZECZY TOMU IV


Str.

Wstęp . . . . . 1
Przemówienie do złączonych w Kompanię Kadrową Oddziałów Związków i Drużyn Strzeleckich 3 sierpnia 1914 r. w «Oleandrach» w Krakowie . . . . . 7
Odezwa na wkroczenie wojsk polskich do Królestwa Kongresowego 8
Rozkaz o powstaniu Naczelnego Komitetu Narodowego i Legionów 9
Raport do Komendanta Legionów gen. Baczyńskiego . . . . . 10
Rozkaz po bitwie pod Laskami . . . . . 13
Raport z marszu na Ulinę Małą . . . . . 14
Raport z boju pod Rdziostowem i Marcinkowicami . . . . . 18
Przemówienie na bankiecie w Wiedniu 21 grudnia 1914 . . . . 21
Przemówienie podczas wieczerzy wigilijnej w Nawsiu . . . . 22
Wspomnienie o kpt. Milce . . . . . 23
Rozkaz z powodu boju pod Łowczówkiem . . . . . 24
Telegram do Prezydenta m. Lwowa Józefa Neumanna . . . . 25
Rozkaz po wyjściu I Brygady ze składu XI korpusu armii austr.-węg. 26
Rozkaz z powodu boju pod Konarami . . . . . 27
Raport bojowy spod Konar . . . . . 30
Z listu do Departamentu Wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego . . . . . 36
List do Komitetu Obrony Narodowej w Ameryce . . . . . 38
Rozkaz do P. O. W. . . . . 38
Rozkaz na pierwszą rocznicę wojny . . . . . 39
Rozkaz wydany w związku z działaniami na Polesiu Wołyńskim . 41
List do Prezesa Wydziału Narodowego w Lublinie . . . . . 42
Rozkaz z powodu walk na Wołyniu . . . . . 42
Rozkaz pożegnalny dla 4-go pułku . . . . . 43
Rozkaz powitalny po złączeniu Brygady . . . . . 44
Rozkaz o poruczniku Żulińskim . . . . . 45
Rozkaz oficerski . . . . . 47
Mowa na bankiecie w Krakowie 29 marca 1916 . . . . . 48
List do Komitetu Obrony Narodowej . . . . . 51
Sprawozdanie z przemówienia na bankiecie w Lublinie . . . . 52
List do Leona Wasilewskiego . . . . . 53
Rozkaz z powodu bitwy pod Kostiuchnówką . . . . . 54
Sprawozdanie Komendy I Brygady z boju pod Kostiuchnówką . . 56
Sprawozdanie Komendy I Brygady z odwrotu I Brygady Legionów Polskich na Stochód w dniach 6—7. VII. 1916 . . . . . 67
Rozkaz na drugą rocznicę wojny . . . . . 80
Ustanowienie odznaki «Za Wierną Służbę» . . . . . 81
List do Prezesa Naczelnego Komitetu Narodowego Władysława Leopolda Jaworskiego . . . . . 82

Str.

Sprawozdanie z przemówienia na wieczerzy w hotelu Pollera w Krakowie . . . . . 85
List do pułkownika Rydza-Śmigłego . . . . . 86
List do rektora Uniwersytetu Warszawskiego Józefa Brudzińskiego 88
Memoriał o organizacji werbunku do polskiej siły zbrojnej . . . 89
Wywiad w «Tygodniku Ilustrowanym» . . . . . 102
Budowanie armii polskiej . . . . . 106
List do profesora N. w Krakowie . . . . . 107
O armii narodowej . . . . . 110

PRZEMÓWIENIA NA POSIEDZENIACH TYMCZASOWEJ RADY STANU

20. I. 1917 . . . . . 116
1. II. 1917 . . . . . 118
10. II. 1917 . . . . . 121
24. II. 1917 . . . . . 128
5. III. 1917 . . . . . 132
6. III. 1917 . . . . . 135
21. III. 1917 . . . . . 141
31. III. 1917 . . . . . 143
6. IV. 1917 . . . . . 147
13. IV. 1917 . . . . . 152
21. IV. 1917 . . . . . 158
26. IV. 1917 . . . . . 160
27. IV. 1917 . . . . . 162
28. IV. 1917 . . . . . 164
1. V. 1917 . . . . . 166
5. V. 1917 . . . . . 172
15. V. 1917 . . . . . 180
25. V. 1917 . . . . . 182
31. V. 1917 . . . . . 187
1. VI. 1917 . . . . . 190
8. VI. 1917 . . . . . 193
9. VI. 1917 . . . . . 195
13. VI. 1917 . . . . . 199
15. VI. 1917 . . . . . 200
2. VII. 1917 . . . . . 201

List do księcia Zdzisława Lubomirskiego . . . . . 208

MOJE PIERWSZE BOJE

Ulina Mała . . . . . 248
Limanowa—Marcinkowice . . . . . 305
Nowy Korczyn—Opatowiec . . . . . 354

Skorowidz nazwisk . . . . . I
Skorowidz miejscowości . . . . . V

BIBLIOTEKA WOJSKOWA

2216



Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej
26155/2 t.4
12-026155-004-0